

CZARNA SERIA

Z hamorem i majomością ludzi oraz ludzkich słabości Nesser zaprasza nas do wykreowanego przez siebie świata. Ani przez sekundę nie będziemy się nudzić.

Sydelevenskan

Pascynająca intryga, wartkie i zabawne dialogi, elegancja i potoczny język. Nic dziwnego, że książka została uznana za najlepszą szwedzką powieść kryminalną 2007 roku.

Aftonbladet

Håkan

NESSER

CAŁKIEM INNA HISTORIA

Kilkoro Szwedów spędza wspólnie urlop w Finistère w Bretanii – dwie pary, dwóch singli – w sumie sześcioro świeżo poznanych przyjaciół. Zażywają kąpeli, rozkoszują się francuskim jedzeniem, organizują wycieczki i flirtują, nie zważając na zobowiązania małżeńskie. Na pamiątkę zostaje kilka fotografii, może jakieś zdjęcie grupowe, jakaś akwarelka i anonimowy pamiętnik opisujący ich eskapady.

Pięć lat później ktoś zaczyna ich zabijać, jedno po drugim, informując wcześniej listownie o swoich planach inspektora Barbarottiego. Sprawa odbija się szerokim echem w mediach, które rozpętują nagonkę na policję. Morderca ciągle zwodzi śledczych, a jego działanie jest coraz bardziej niezrozumiałe. Pozornie jego ofiary nie mają ze sobą nic wspólnego. Dlaczego seryjny morderca wybiera właśnie ich? Dlaczego za każdym razem stosuje inną metodę zabijania?

Callieum inna historia to druga z planowanych czterech części cyklu Håkana Nessera o inspektorze Gunnarze Barbarottim, wyrafinowanym sceptyku szukającym czasami wskazówek w Piśmie Świętym, którego poznaliśmy w powieści *Callieum bez psa*. Ma coraz więcej wątpliwości związanych ze swoją karierą zawodową, a jego życie osobiste obciążone nieuczynkowanymi zruwanymi planów. Wkrótce kolejny tom – *Drugie życie pana Ruosa*.

Håkan Nesser (ur. 1950) jeden z najpopularniejszych szwedzkich pisarzy, mieszka w Uppsali. Największą popularność przyniósł mu składający się z dziesięciu części cykl powieści kryminalnych o komisarzu Van Veeterenie. Większość książek z tej serii stała się podstawą scenariuszy filmowych. Nesser trzykrotnie otrzymał nagrodę za najlepszy szwedzki kryminal, m.in. za powieść *Callieum inna historia* (2007), a jego książki przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków.

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

Cena: 39,90 zł



Hakan

NESSER

CAŁKIEM INNA HISTORIA

przełożyła Emilia Fabisiak

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2011

Tytuł oryginału EN HELT ANNAN HISTORIA

Redakcja Agnieszka Niegowska

Projekt okładki Magda Kuc

Skład i łamanie Marcin Labus

Korekta

Ewa Jastrun

Bogusława Jędrasik

© Håkan Nesser, 2007

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with

Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2011

Copyright © for the Polish translation by Emilia Fabisiak

Wydanie I

Wydawnictwo Czarna Owca Sp, z o.o.

(dawniej Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza)

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36

faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego: www.czarnaowca.pl

Druk i oprawa

OpolgrafS.A.

Książka została wydrukowana na papierze Ecco Book Cream 70g/m², vol 2,0

dystrybuowanym przez:

map

ISBN 978-83-7554-326-1

Miejscowość Kymlinge nie istnieje naprawdę, a klucz francuski Bahcos o numerze 08072 nigdy nie był sprzedawany we Francji. Poza tym treść książki zasadniczo nie odbiega od realiów.

I

Notatki z Mousterlin

29 czerwca 2002 roku

Nie jestem taki jak inni.

I nie chcę taki być. Jeśli kiedykolwiek w życiu natrafię na grupę ludzi, z którą będę się utożsamiał, będzie to znaczyło tylko tyle, że mój umysł popadł w otepienie. Że i ja dałem się ociosać do konturów wytyczonych przez panujące obyczaje i głupotę. Tak to właśnie wygląda, a zmiana tych warunków brzegowych nie jest możliwa. Wiem, że jestem wybrany.

Może zostając tu, popełniłem błąd. Może powinienem posłuchać intuicji i zrezygnować. Najłatwiej bowiem pójść po linii najmniejszego oporu, a dodatkowo Erik wydawał mi się z początku dość interesujący; to niewątpliwie człowiek niebanalny. Poza tym nie miałem konkretnych planów podróży, żadnej marszruty. Na południe; zależało mi tylko, żeby jechać na południe.

Jednak dzisiejszego wieczoru poczułem wątpliwości. Nic mnie tu nie trzyma, mogę w każdej chwili spakować plecak i ruszyć dalej. Już choćby to daje mi poczucie bezpieczeństwa. Uderzyła mnie myśl, że rzeczywiście mógłbym wyruszyć w każdej chwili, już teraz; jest druga w nocy, w ciemności słychać monotony szum morza oddalonego o kilkaset metrów od tarasu, na którym właśnie zapisuję swoje myśli. Nadchodzi przypływ; mógłbym zejść na dół na plażę i ruszyć na wschód, nic prostszego.

Powstrzymuje mnie jednak lenistwo połączone ze zmęczeniem i pewną dawką alkoholu we krwi. Poczekam przynajmniej do jutra, prawdopodobnie jeszcze kilka kolejnych dni. Nigdzie mi się nie

śpieszy, to pewne. Może dam się skusić i przyjmę rolę obserwatora. Może będzie o czym pisać. Kiedy powiedziałem doktorowi L., że mam chęć wyruszyć w dłuższą podróż, nie był zachwycony. Ale kiedy wyjaśniłem mu, że potrzebuję czasu, by przemyśleć i opisać to, co się zdarzyło, a najłatwiej będzie mi to zrobić w obcym środowisku - bo taki był podstawowy cel tej podróży - zgodził się. Wkrótce życzył mi udanej podróży i były to słowa płynące prosto z serca. Byłem pod jego opieką przez ponad rok. Myślę, że nieczęsto jest mu dane wypuszczać pacjenta w świat, musi więc mieć poczucie triumfu.

Wracając do Erika, muszę przyznać, że wykazał się wielkodusznością, kiedy pozwolił mi tu pomieszkać całkiem za darmo. Twierdził, że wynajął ten dom wspólnie z dziewczyną, z którą później zerwał, ale rezerwacji nie dało się już odwołać. Na początku wydawało mi się, że kłamie; podejrzewałem, że jest gejem i chce się ze mną zabawić, ale chyba nie miałem racji. Prawdopodobnie nie jest homoseksualistą, ale stuprocentowej gwarancji bym nie dał. Może jest biseksualny a już na pewno jest osobą bardzo pokomplikowaną. Być może właśnie dlatego z nim wytrzymuję; fascynują mnie jego ciemne strony, przynajmniej dopóki ich nie rozpracuję.

Jest dość zamożny; dom jest tak duży, że nie musimy ciągle na siebie wpaść. Umówiliśmy się, że dopóki tu będę mieszkać, będziemy mieli wspólną kasę na jedzenie, ale łączy nas coś jeszcze. Może rodzaj szacunku; minęły cztery dni od chwili, gdy zabrał mnie z drogi pod Lille, trzy dni odkąd tu przyjechaliśmy. Zazwyczaj ludzie zaczynają mnie nużyć już po ułamku tego czasu.

Ale dzisiejszej nocy - kiedy piszę te słowa - naszły mnie, po raz pierwszy, poważne wątpliwości. Zaczęło się od przedłużającego się lunchu w porcie w Bénodet; od razu poczułem, że jest to tylko początek męczącego wieczoru. Takie rzeczy zauważa się dość

wyraźnie. Kiedy wreszcie dotarliśmy do pełnej zgiełku restauracji i udało nam się wytłumaczyć kelnerowi, co chcemy zamówić, przez moją głowę przeleciała pewna myśl: „Zabij wszystkich przy stole i odejść”.

Byłoby to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich, a mnie nie zadrżałaby nawet powieka.

Gdybym tylko wiedział jak. Gdybym wiedział, jakiej użyć broni. Gdzie uciec.

Może pomysł pojawił się z powodu upału. Od gorączki do szaleństwa jest bardzo blisko. Przystawialiśmy stoły, przeciągaliśmy parasole w tę i z powrotem, żeby uzyskać cień, ale ja i tak siedziałem w słońcu - szczególnie gdy odchylałem się do tyłu i przywierałem plecami do oparcia krzesła; można więc było powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że było wygodnie. Egzystencjalne swędzenie. Wibrujące rozdrażnienie zmierzające ku temu, co nieuniknione.

Całe to zamieszanie było oczywiście bezdenną głupotą. Może nikt konkretny za tym nie stał, może chodziło wyłącznie o typową, źle ukierunkowaną ciekawość. Przypadkowe spotkanie kilku rodaków na sobotnim targowisku w małym bretońskim miasteczku. Bardzo możliwe, że w takich sytuacjach konwenanse wymuszają na nas pewne zachowania. Pewne rytuały. A ja nienawidzę konwenansów tak bardzo jak ludzi, którzy ich przestrzegają.

Możliwe, że inaczej odbierałbym grupę Węgrów biesiadujących wspólnie w Sztokholmie czy Malmö; nie znoszę przebywania wewnątrz takiej grupy, ale gdy patrzę na nią z zewnątrz, zupełnie mnie nie obchodzi. Nieświadomość jest zwykle lepsza niż uświadamianie sobie czegoś, wiedza o czymś. Albo udawana nieświadomość. Łatwiej żyć w kraju, którego języka nie zna się zbyt dobrze.

Na przykład język, który nas akurat otacza, czyli francuski, brzmi najbardziej dobitnie, gdy się go nie do końca rozumie.

Ja nigdy nie pokazuję tego, co myślę, nie wpuszczam nikogo za swoje zasieki. W środku przeklinam, ale mogę się śmiać i,

uśmiechać śmiać i uśmiechać. Nauczyłem się iść tak przez życie. *Navigare necesse est**. Zdarza się, że ludzie uważają, iż jestem miły. Myśli nie są niebezpieczne dopóty, dopóki pozostają w naszych głowach - to prawda równie dobra jak każda inna.

Z zasady nigdy nie mówię ludziom nic nieprzyjemnego.

* Z łac. „Żeglowanie jest rzeczą konieczną” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Mamy tu dwie pary. Na początku myślałem, że oni się znają, że wspólnie spędzają urlop - ale nie. Dla całej szóstki było to zupełnie przypadkowe spotkanie na targu, wśród domowej roboty serów, powideł i marmolady, muscadeta i cydru oraz szydełkowych szalików. Może Erik napalił się na którąś z tych kobiet; obie są młode i dość ładne, może zresztą podobały mu się obie, bo gdy tak zajadaliśmy owoce morza, popijając kolejnymi butelkami wina, bezsprzecznie próbował je oczarować.

Może ja też próbowałem je oczarować.

No i Kymlinge, czyli osobliwe ogniwo spajające całą grupę. Erik mieszka w tej miejscowości od urodzenia, pierwsza z kobiet się tam wychowała, ale później przeprowadziła do Göteborga, druga mieszka w Kymlinge od dziesiątego roku życia. Choć wcześniej nic o sobie nie wiedzieli, cała trójka uznała, że to geograficzne ogniwo jest zniewalającym magnesem. Nawet Erik.

Dla mnie było to odrażające. Tak jakby przyjechali tu z wycieczką autokarową i siedząc w restauracji w małym francuskim miasteczku, delectowali się zwyczajami i dziwactwami tubylców oraz porównywali je z zachowaniem ludzi mieszkających w ich rodzinnych stronach. W Kymlinge i gdzie indziej. Przed daniem głównym wypilem trzy kieliszki chłodnego białego wina, pocąc się w słońcu i czując, że ogarnia mnie dobrze znana desperacja. Swędzenie.

Postanowiłem nie opowiadać o moich powiązaniach z Kymlinge. Jestem pewien, że nikt z nich nie wie, kim jestem, w przeciwnym razie nie mógłbym tutaj zostać.

Pierwsza para to Henrik i Katarina Malmgrenowie. To właśnie ona wychowała się w Kymlinge, ale teraz mieszkają w Mölndal. Oboje są około trzydziestki, ona pracuje w szpitalu Sahlgrenska, a on jako pracownik naukowy. Są małżeństwem, ale nie mają dzieci. Ona wygląda jak kobieta, która może i chce zajść w ciążę, więc jeśli są jakieś przeszkody medyczne, to na pewno po jego stronie. On jest chłodny i spięty, ma zaczerwienioną skórę, prawdopodobnie łatwo ulega poparzeniom słonecznym; podczas wielogodzinnego lunchu czuł się chyba równie źle jak ja, takie odniosłem wrażenie. Prawdopodobnie lepiej się czuje przed monitorem komputera lub wśród zakurzonych książek niż pośród ludzi. Ciekawe, jak w ogóle doszło do tego, że są parą.

Druga para to Gunnar i Anna. Nie są małżeństwem i chyba nie mieszkają razem. Oboje próbowali ukrywać swoją płytkość, udawać, że ich filozofia życiowa jest efektem głębokich przemyśleń. Robili to jednak nieudolnie: najlepiej, gdyby konsekwentnie milczeli, szczególnie ona. On jest jakimś nauczycielem - nie dosłyszałem wszystkich szczegółów - a ona pracuje w agencji reklamowej, prawdopodobnie przy bezpośredniej obsłudze klienta. Jej największymi atutami są twarz i górna połowa ciała. Opowiadali również, że właśnie kupili razem kłusaka, a może tylko zamierzali kupić.

Z niewyjaśnionych powodów Katarina Malmgren mówi po francusku prawie jak autochtoni - pozostali biesiadnicy mogą tylko pomarzyć o takiej znajomości języka - więc podczas lunchu uzyskała niezасłużony status swoistej wyroczni. Jedliśmy co najmniej osiem rodzajów owoców morza, których właściwości omawiała z kelnerem bardzo szczegółowo. Do wydłubywania opornych mieszkańców z

ich skorupkę stosuje się igły zakończone uchwytem z korka; kiedy ten kawałek mięśni trafia wreszcie do ust biesiadnika, nigdy nie wiadomo, czy jest żywy, czy martwy. Z tego, co rozumiem, trzeba je pozbawić życia, przegryzając na pół, i dopiero wtedy połknąć.

Kwestie napojów wziął na siebie Erik; zaczęliśmy od zwykłego wytrawnego białego wina, ale po trzech butelkach przeszliśmy na miejscowy cydr, mocny i słodki zajzajer, który zmusił nas do dwugodzinnej popołudniowej drzemki.

Później spędziliśmy wieczór w domku Gunnara i Anny; mieszkają kilkaset metrów stąd, idąc plażą w kierunku Beg-Meil, w malowniczym domku wrośniętym w wydmy. Siedzieliśmy na ich tarasie w szóstkę i znowu jedliśmy owoce morza, wlewając w siebie wino i calvados. Gunnar śpiewał, przygrywając sobie na gitarze. Taube, Beatlesi i Olle Adolphson. Próbowaliśmy dotrzymać mu kroku, dołączając się tam, gdzie pamiętaliśmy słowa; można było odnieść wrażenie, że był to zaczarowany wieczór. Gdzieś koło północy byliśmy już tak podchmieleni, że pojawił się pomysł kąpieli nago w morzu. Entuzjastyczny kwartet w osobach obu kobiet, Erika i Gunnara wyruszył w stronę morza, trzymając się za ramiona i wymachując butelką wina musującego.

Ja i Henrik Oschły zostaliśmy w domu; powinienem oczywiście zapytać, czym się właściwie zajmuje, jakimi konkretnie badaniami, ale nie miałem ochoty na rozmowę. Dużo przyjemniejsze było smakowanie calvadosu, palenie papierosa i gapienie się w mrok. On próbował nieśmiało rozpocząć jakąś rozmowę o tych czy innych cechach charakteru mieszkańców departamentu Finistère, aie ja nie bardzo paliłem się do konwersacji. W końcu ucichł; prawdopodobnie jego zainteresowanie moimi poglądami na temat tego czy owego było równie minimalne, jak moje względem jego opinii. Mimo wszystko jednak wydaje się, że za tą palisadą oschłości kryło się poczucie własnej wartości. Siedzieliśmy tak obaj, słuchając

pokrzykiwań naszych kąpiących się przyjaciół; oczywiście on miał poważniejsze powody, by nasłuchiwać, w końcu to jego żona, a nie moja rozebrała się do naga razem z trójką całkiem obcych ludzi.

Od pięciu lat nie mam żony i czasami za nią tęsknię, ale rzadko.

Kiedy powrócili z kąpeli, owinięci pruderyjnie udrapowanymi ręcznikami, ich wesoły nastrój się ulotnił; odniosłem wręcz wrażenie, że łączy ich jakaś tajemnica.

Że coś się wydarzyło i teraz to ukrywają.

Ale może to tylko alkohol i zmęczenie. Musiało im być zimno; w czerwcu woda w Atlantyku ma znacznie poniżej dwudziestu stopni. Po półgodzinie wyruszyliśmy z powrotem od domu. Kiedy wędrowaliśmy z Erikiem wzdłuż plaży, miał duże trudności z utrzymaniem się na nogach, a po przekroczeniu progu domu zasnął, zrzucając tylko sandały.

Ja natomiast czuję zadziwiającą jasność umysłu. Zdolności analityczne. Słowa i myśli stały się tak wyraziste, jak to możliwe tylko nocą - w niektóre noce. W oddali słychać ocean, jest ciepło, pewnie ze dwadzieścia pięć stopni. Owady uderzają z sykiem o lampę, zapalam gauloise'a i piję ostatni dzisiaj kieliszek. Erik śpi przy otwartym oknie; słyszę jego głośne chrapanie, w jego żyłach płyną przynajmniej dwa litry wina. Jest kilka minut po drugiej i nareszcie mogę być sam.

Do domu Malmgrenów idzie się w przeciwnym kierunku, na drugą stronę cypla Mousterlin. W sumie wzdłuż całego pasa nadbrzeżnego jest co najmniej pięćdziesiąt domów do wynajęcia - w większości oddalonych od plaży o około kilometra - nic więc dziwnego, że trzy są wynajęte przez Szwedów. Jeśli dobrze zrozumiałem, oni nie wynajmowali domów przez tego samego pośrednika co Erik, ale przyjechali tu mniej więcej w tym samym czasie co my.

Przed nami trzy tygodnie potencjalnych spotkań. Nagle uzmysławiam sobie, że myślę o Annie. Właściwie wbrew sobie widzę

przed oczami jej twarz bez makijażu i mokre włosy po powrocie z kąpieli. I to swoiste poczucie winy. W oczach Katariny było coś innego, rodzaj tęsknoty

Powinienem był przyjrzeć się twarzy Henrika, żeby zdobyć kontrapunkt, ale o tym nie pomyślałem. Rola obserwatora nie zawsze jest łatwa.

Życie czy śmierć nie mają znaczenia, pomyślałem. Nie wiem, dlaczego naszły mnie właśnie takie myśli.

Okruch. Jesteśmy tylko okruchem wieczności.

Komentarz

lipiec 2007 roku

Minęło pięć lat.

A wydaje się, jakby to było piętnaście lat albo pięć miesięcy. Uderzająca jest elastyczność czasu jako pojęcia; wszystko zależy od punktu widzenia. Czasami widzę przed sobą twarz Anny tak wyraźnie, jakby siedziała obok mnie w tym pokoju, a w następnej chwili widzę całą szóstkę, włącznie ze mną, jakby z góry; mrówki na plaży, błędzące wokół w daremnych, bezsensownych piruetach. W zimnym świetle wieczności - i trójprzymierzu morza, ziemi i nieba - nasza małość wydaje się wręcz śmieszna.

Tak jakby właściwie mogli sobie żyć dalej, jakby ich śmierć nie miała wystarczającej wagi i znaczenia. A jednak decyzja jest już podjęta i zrobię to, co zaplanowałem. Musimy ponieść konsekwencje swoich czynów, inaczej dzieło stworzenia zostanie zdeformowane. Należy wykonywać plany; nie ma sensu ich kwestionować, kiedy są już zatwierdzone. Potrafimy jedynie wyrzynać szczeliny porządku w

otaczającym nas chaosie - na tym polega istota zobowiązania, które spoczywa na każdym z nas jako istocie moralnej.

A oni na to zasłużyli. Bogowie wiedzą, jak bardzo.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderza, jest brak przeczuć. Tamtego pierwszego wieczoru nic do mnie nie docierało. Sześcioro ludzi w swoich domkach przy plaży; mogłem spakować plecak i opuścić wybrzeże następnego dnia i gdybym tak zrobił, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

A może nigdy nie miałem wyboru. Ciekawe, że ta myśl przyszła mi do głowy już w tej restauracji w Bénodet. „Zabij wszystkich przy stole i odejdz”. Już wtedy, w tamtym momencie, jakaś część mnie rozumiała, co zdarzy się po tylu latach.

Już zdecydowałem, od kogo muszę zacząć. Kolejność jest tu bardzo istotna.

24 lipca - 1 sierpnia 2007 roku

1.

Inspektor kryminalny Gunnar Barbarotti zawahał się. Potem zamknął drzwi, przekręcając klucz w zamku siedmiozapadkowym.

Na co dzień tego nie robił. Czasami w ogóle nie zamykał drzwi na klucz.

Jeśli będą chcieli wejść, to i tak wejdą, myślał. Po co mają przy okazji narobić szkód.

Możliwe, że tego typu myśli świadczyły o pewnym defetyzmie, możliwe, że o braku wiary w umiejętności grupy zawodowej, którą sam reprezentował; wydaje się, że ani jedno, ani drugie nie było sprzeczne z jego oglądem świata. Był zazwyczaj bardziej realistą niż fundamentalistą, choć trudno się było w nim doszukać wyraźnych oznak wskazujących jedną z tych cech jako dominującą.

Prowadząc takie rozważania, zdziwił się jednocześnie, że kwestia zamknięcia drzwi na dodatkowy zamek może prowadzić do tak dziurawej teorii.

Może to i dobrze, że mózg intensywnie pracował od samego rana? Od czasu przeprowadzki do marnego, trzypokojowego mieszkania przy Baldersgatan w Kymlinge, która była konsekwencją rozwodu pięć i pół roku temu, nigdy nie miał nieproszonych gości - nie licząc oczywiście różnych podejrzanych wyglądających kolegów szkolnych córki Sary. Trzeba wierzyć w to, że ludzie są dobrzy, dopóki nie udowodnią, że jest inaczej; matka starała się wbijać mu do głowy tę zasadę od momentu, gdy dawało się mu coś wbić do głowy, a zasada ta... cóż, była dobra jak każda inna.

Poza tym włamywacz musiałby być strasznie dumny, gdyby spodziewał się czegoś nadającego się do kradzieży i sprzedaży za pospolitymi drzwiami z laminatu w kolorze mahoni. To też pewien przejaw realizmu.

Ale dzisiaj zamknął drzwi na oba zamki. Miał swoje powody. Mieszkanie miało stać puste przez dziesięć dni. Nie będzie ani jego, ani córki. Sary nie było już od ponad miesiąca; bezpośrednio po maturze i rozdaniu świadectw na początku czerwca pojechała do Londynu i zaczęła pracować w sklepie - możliwe, że w pubie, co jednak ukrywała, żeby niepotrzebnie nie martwić ojca - i tyle.

Miała dziewiętnaście lat. Poczucie, że mu coś amputowano, które pojawiło się zaraz po jej wyjeździe, zaczynało go wolno opuszczać. Zbyt wolno. Świadomość tego, że być może już nigdy nie będą mieszkać pod jednym dachem, przenikała do ojcowskiego serca w podobnym tempie.

Wszystko w swoim czasie, pomyślał Gunnar Barbarotti ze stoickim spokojem i wcisnął pęk kluczy do kieszeni dzinsów. Wszystko w życiu ma swój czas.

Wspólne życie, rozstanie i śmierć.

Pół roku temu, za radą Pana Boga, zaczął czytać Biblię i ze zdziwieniem obserwował, jak często w jego głowie pojawiały się pochodzące z niej słowa i wersety. Nawet jeśli w rzeczywistości nie istniejesz, Boże - myślał często - to trzeba przyznać, że Pismo Święte to piorunsko dobra książka. Przynajmniej niektóre fragmenty.

Bóg zwykle się z nim zgadzał.

Do jednej ręki wziął swoją torbę podróżną, do drugiej worek pełen śmieci i zaczął schodzić po schodach. Natychmiast poczuł kielkującą radość. To ma związek ze schodzeniem po schodach - wiele razy przychodziło mu to do głowy. Schodzenie w dobrym tempie po przyjemnie zaokrąglonych schodach - w drodze na dwór, ku nieprzebranej różnaitości świata. Czyż nie jest tak, że prawdziwą istotą życia jest ruch? Właśnie taki rozkołysany, niepowodujący wysiłku

ruch? Przygoda czekająca za rogiem? Okna na klatce schodowej były dziś otwarte na oścież, do środka wlewała się gorączka lata, w nos uderzał zapach świeżo skoszonej trawy, a z podwórka dobiegały radosne głosy dzieciaków

Słychać też było wrzask jakiejś dziewczynki, przypominający kwik zarzynanego prosiaka, ale nie trzeba zwracać uwagi na wszystko, co się słyszy.

Listonosz tańczył prawdopodobnie tango w czasie wolnym od pracy, bo unik, którym uratował się przed ciosem torby podróżnej, przypominał elegancki pasaż taneczny do tyłu.

- Ojej. Jakaś podróż?
- Przepraszam - powiedział Gunnar Barbarotti. - Trochę się rozpędziłem... Tak, wyjeżdżam.

- Za granicę?
- Nie, tym razem tydzień na Gotlandii.
- O tej porze roku nie ma sensu wyjeżdżać ze Szwecji - komentował nadzwyczaj gadatliwy dzisiaj listonosz, machając ręką w kierunku podwórka. - Weźmie pan dzisiejszą pocztę, czy wrzucić ją do domu, żeby poczekała, aż pan wróci z urlopu?

Po chwili namysłu Gunnar Barbarotti odpowiedział:

- Wezmę. Ale bez reklam.

Listonosz kiwnął głową, przejrzał paczkę listów i wręczył mu trzy koperty. Barbarotti wziął listy i włożył je do zewnętrznej kieszonki torby podróżnej. Życzył listonoszowi udanego lata i ruszył w dół w kierunku wyjścia, tym razem już trochę wolniej.

- Gotlandia to perła! - zawołał za nim listonosz. - Ma najwięcej godzin słonecznych w całej Szwecji.

Godzin słonecznych? - pomyślał Barbarotti, gdy wyjechał z Kymlinge i udało mu się obniżyć temperaturę w samochodzie do dwudziestu pięciu stopni. Oczywiście nie mam nic przeciwko godzinom słonecznym, ale nie narzekałbym, nawet gdyby miało padać przez dziesięć dni.

Na horyzoncie rysowało się przecież innego rodzaju ciepło, ale listonosz nie mógł tego wiedzieć. „Gdy dwóch śpi razem, nawzajem się grzeją; jeden natomiast jakże się zagrzeje?”*.

* Koh 4:11 (ten i pozostałe cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia).

Księga Koheleta ma dzisiaj powodzenie, stwierdził Gunnar Barbarotti i spojrzął na zegarek. Była dopiero za dwadzieścia jedenasta. Listonosz przyszedł dzisiaj nadzwyczaj wcześniej; może miał w planie jakąś popołudniową wizytę na kąpielisku. Barbarotti poczuł, że mu tego serdecznie życzy. Jezioro Kymmen albo Borgasjön. Z całego serca życzył wszystkim, żeby dzisiaj robili to, na co tylko mają ochotę. Dosłownie. Wyrwało mu się pełne zadowolenia westchnienie.

Takie winny być wszystkie westchnienia, pomyślał. Nie powinno się ich tłumić, powinny się po prostu człowiekowi wyrwać. O tym też winna mówić Księga Koheleta.

Popatrzył na swoje odbicie w lusterku wstecznym i zauważył, że się uśmiecha. Był nieogolony i lekko potargany, ale uśmiech rozciągał się na jego twarzy od ucha do ucha.

A dlaczego by nie? Prom z Nynäshamn odchodzi o piątej, a na drodze było tak mało samochodów, jak na niebie obłoków; to pierwszy dzień jego długo wyczekiwanej podróży. Przyspieszył, do odtwarzacza CD włożył płytę Lucilii do Carmo i pomyślał, że życie jest piękne.

Później zaczął myśleć o Marianne.

Właściwie była to ciągle ta sama myśl.

Znali się prawie od roku. Najpierw ogarnęło go niejasne wrażenie, że stracił poczucie czasu, ale później dotarło do niego, że to prawda, że faktycznie był to tylko rok. Poznali się ubiegłego lata na greckiej wyspie Thasos w optymalnie korzystnych okolicznościach - poczucie wolności, beztroska, obce środowisko, jedwabiste noce, owulacja i ciepłe Morze Śródziemne - ale okazało się, że było to coś więcej niż wakacyjny romans.

- Nie należę do ludzi, którzy wdają się w przelotne romanse - powiedziała Marianne po pierwszym wieczorze.

- Ja też nie - przyznał. - Nawet nie wiem, jak taki romans wygląda. Jeśli patrzę kobiecie w oczy, to z reguły potem się z nią żenię.

Marianne uznała to za jakiś rekord. Jednak po powrocie do domu rzeczywiście spotykali się dalej. Dość regularnie; w jego oczach przypominali dwie rodzicielskie planety w średnim wieku, grawitujące ku sobie z wolna, aczkolwiek niewzruszenie. Może tak to musi wyglądać. Tak się trzeba zachowywać: prowadzić ostrożną, choć zmierzającą do konkretnego celu budowę mostu składającego się w równych częściach z odwagi i ostrożności. Marianne mieszkała w Helsingborgu i miała dwoje nastoletnich dzieci, on natomiast mieszkał dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ - w Kymlinge - i miał córkę, która właśnie się wyprowadziła z domu, oraz dwóch synów mieszkających z matką. Widać więc, że most musiał być dość długi.

Kiedy pomyślał o Larsie i Martinie, poczuł odrobinę smutku. Jego synkowie. Mieszkali ze swoją matką na przedmieściach Kopenhagi; spędził z nimi dwa tygodnie na początku wakacji i ewentualnie czeka ich jeszcze wspólny tydzień w sierpniu, a jednak nie opuszczała go myśl, że ich traci. Ich nowy przyszywany ojciec nazywał się Torben, czy jakoś podobnie, i prowadził Instytut Jogi w Vesterbro; Barbarotti nigdy go nie spotkał, ale wydawało się, że jest odrobinę lepszy od swojego poprzednika. Tamten był prawdziwym cudem natury do dnia, kiedy dopadło go złośliwe pomieszanie zmysłów i zwiął z seksowną tancerką brzucha z Wybrzeża Kości Słoniowej.

A nie mówiłem? - pomyślał tamtego dnia Barbarotti, ale już wtedy miał poczucie, że jego satysfakcja jest dość zwietrzała, a jej data przydatności do spożycia dawno minęła.

Choćby nie wiem jak bardzo chciał, nie mógł powiedzieć, że Lars i Martin byli nieszczęśliwi z powodu przeprowadzki do Danii.

Należało raczej postawić pytanie, dlaczego od czasu do czasu - w najbardziej zatęchłych zakamarkach duszy - po prostu chciał, żeby źle się tam czuli. Czy zimna wojna z Heleną nigdy się nie skończy? Czy już zawsze będzie podnosił te swoje wyblakłe, psychicznie chore tabliczki z tekstem „A nie mówiłem”?

- Moim obowiązkiem jest zrobić wszystko, żeby oni byli szczęśliwi - podkreślała często - a nie ty. Tym zajmowałam się dawniej.

W innym zakamarku duszy wiedział, że miała rację. Po rozwodzie Sara powiedziała, że chce zostać z nim, i teraz tak bardzo mu jej brakowało. Nie był jej żony, nie synów. Taka jest prawda. Przez pięć lat Sara ratowała go przed demonami samotności; tym gorzej odczuwał stratę, gdy wreszcie go zostawiła i ruszyła na podbój świata.

Ale teraz pojawiła się Marianne. Gunnar Barbarotti rozumiał, że musi za nią dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie - albo może przypuszczalnie istniejącemu Bogu, z którym czasami się targował, po dżentelmeńsku.

Mam nadzieję, że ona rozumie, jak wielką dziurę musi wypełnić, pomyślał. Albo lepiej, żeby tego nie wiedziała, poprawił się po chwili. Nie wszystkie kobiety lubią opiekować się potrzebującym pomocy mężczyzną w średnim wieku. A przynajmniej nie na długo.

Zauważył, że opuszcza go odwaga - że utrzymywanie nosa nad powierzchnią wody jest straszliwie trudne - a ponieważ w tej samej chwili na tablicy rozdzielczej zapaliła się czerwona lampka, skreślił na stację Statoil, którą właśnie mijał.

Benzyzna i kawa. Wszystko w swoim czasie.

Prom na Gotlandię nie był tak zapchany, jak się obawiał.

Może dlatego, że to wtorek. Środek tygodnia. Szturm szalonych plażowiczów ze stolicy przypuszczalnie nasilał się w weekendy. Gunnar Barbarotti był niezwykle wdzięczny za to, że nie spędzi

dziesięciodniowego urlopu z Marianne w miasteczku Visby Z odrazą wspomina pewien tydzień, kiedy pod koniec małżeństwa z Heleną wynajmowali pioruńsko drogie mieszkanie w ścisłym centrum miasteczka, za murami obronnymi, mniej więcej o tej porze roku. Miał poczucie, że mieszkają w samym środku rozklekotanego wesołego miasteczka. W każdym zaułku wrzeszczący, rzygający i kopulujący młodzi ludzie; nie dało się zasnąć przed trzecią nad ranem.

Nie, do cholery, pomyślał wtedy Gunnar Barbarotti. Jeśli coś takiego uważane jest za ważną gałąź gospodarki, zwaną wzniosie turystyką, to równie dobrze można przerobić zamek królewski na ogromny bar piwny i burdel. Wtedy nie będą musieli przeprować się statkiem.

Poczucie bezsilności było tym silniejsze, że mieli ze sobą trójkę dzieci, a ich małżeństwo dogorywało. Pamięta, że dali sobie nawzajem jeden wieczór wolnego, żeby pójść na miasto i poszaleć. Helena była pierwsza. Wróciła do domu o piątej rano i wyglądała na zadowoloną. Ponieważ nie chciał być gorszy, spędził następną noc, siedząc do wpół do piątej na plaży Norderstrand - samotnie, z siatką piwa.

Ale trzeba przyznać, że tamtego ranka, kiedy wracał do domu wśród ruin i róż, miasto wydało mu się piękne, mimo że zwykle nie był czuły na takie niuanse. Cholernie piękne.

Gdy Marianne zapytała o jego wcześniejsze pobyty na Gotlandii, ograniczył się do opowieści o paru wizytach z młodości - na Fårö i w Katthammarsvik - przemilczając ten pożałowania godny tydzień w Visby.

Teraz będą mieszkać w Hogrän. Mówiła, że nazwa tego miejsca oznacza „wysoki świerk”. To maleńka wioska pośrodku wyspy - w zasadzie tylko skrzyżowanie dróg i kościółek - w której Marianne i jej siostra mają dom: spadek po poprzedniej generacji; ich złośliwy brat został splecony, więc mogła zagwarantować brak uciążliwych turystów. To dlatego że dom znajduje się ponad dziesięć kilometrów

od morza; najbliższa plaża była w Tofta - dzieci jeździły tam na rowerach kilka razy w tygodniu, ona zwykle zostawała w domu. Przez najbliższych osiem dni na horyzoncie nie było jednak w ogóle żadnych dzieci.

Niezmałony spokój, choć według niej to wyświechtane powiedzenie. A szkoda, bo niezmałony spokój jest w zasadzie esencją domu pod nazwą Gustabo.

Gustaf, od którego wywodzi się nazwa budynku, zbudował pobielony wapnem dom w połowie XIX wieku, a kiedy na początku lat pięćdziesiątych ojciec Marianne postanowił kupić jakiś dom na wyspie, uległ czarowi tej nazwy. Też miał na imię Gustaf, a ostatnich pięć lat swojego życia - po śmierci żony - prawie w całości spędził właśnie tu.

Gustaf w Gustabo.

Było tu wszystko, co jest potrzebne do życia: woda, prąd i radio. Ale ani telewizora, ani telefonu.

- Nie zabieraj ze sobą komórki - poinstruowała go Marianne. - Daj swoim dzieciom numer telefonu do sąsiada rolnika, to wystarczy. Kiedy jest się w Gustabo, trzeba się odciąć od wrzenia świata. Nawet moje dzieci to zaakceptowały Słuchamy prognozy pogody dla żeglarzy i „Wiersza dnia”, a dzieci to polubiły. Johan na przykład narysował mapę, na której zaznaczył wszystkie szwedzkie latarnie morskie.

Spełnił jej życzenie. Wyłączył komórkę i zostawił ją pod jakimiś papierami w schowku samochodowym. Gdyby mieli ukraść mu samochód, to niech sobie wezmą i komórkę, pomyślał. Ani jedno, ani drugie nie ma drugiego zamka, i to siedmiozapadkowego.

Kiedy prom dopływał do wyspy, wyszedł na pokład i obserwował dobrze znany kształt miasta połyskującego w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Dachy, wieżyczki i wieże. Widok był tak piękny, że aż bolesny. Przypomniał sobie słowa starego przyjaciela: „Gotlandia to nie tylko wyspa, to całkiem inna kraina”.

Mam nadzieję, że czeka na mnie, jak obiecała, rozmyślał. Nie byłoby fajnie, gdybym musiał szukać budki telefonicznej i dzwonić do tego rolnika.

Czy są jeszcze jakieś budki telefoniczne?

Była.

Opalona i piękna jak lato.

To niemożliwe, by taka kobieta czekała na takiego mężczyznę jak on, przebiegło mu przez głowę. To jakieś nieporozumienie.

Ale kiedy zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała, pomyślał, że chyba jednak był elementem tego planu.

- Jesteś taka śliczna. Nie całuj mnie więcej, bo zemdleję.

- Zobaczmy, czy uda mi się opanować - powiedziała z uśmiechem. - To takie...

- Tak?

- To takie cudowne, w piękny letni wieczór witać mężczyznę, którego się kocha. Mężczyznę, który przypląnął do mnie statkiem.

- Mhm. Jednak jest coś jeszcze lepszego.

- Co takiego?

- Przypląnąć statkiem i zostać przywitany przez ukochaną kobietę. Masz rację, to jest wspaniałe. Gdyby tak można było to powtarzać co wieczór.

- Cudownie jest mieć już tyle lat, że ma się czas, by zatrzymać się i to zauważyć.

- Właśnie.

Gunnar Barbarotti roześmiał się. Marianne się śmiała. Później patrzyli tak na siebie w milczeniu dobrą chwilę, aż poczuł, że coś go zaczyna ścisnąć w gardle. Odchrząknął i parę razy mrugnął powiekami.

- Cholera, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Proszę, mam dla ciebie prezent.

Wyjął małe pudełko z wisiorkiem, który dla niej kupił. Nic

wielkiego, mały czerwono-zółty kamień na złotym łańcuszku, tylko tyle, ale ona niecierpliwie otworzyła pudełko i zawiesiła łańcuszek na szyi.

- Dziękuję. Ja też mam coś dla ciebie, ale musisz poczekać, aż przyjedziemy do domu.

Do domu? - pomyślał Gunnar Barbarotti. Zabrzmiało, jakby naprawdę tak myślała.

- Ruszamy?
- Gdzie masz samochód?
- Tutaj, na parkingu oczywiście.
- W porządku. Z tobą choćby na koniec świata.

I pozwól mi tam zostać na wieki, dodał już do siebie. W taki wieczór nawet świniopas mógł zamienić się w poetę.

Gustabo było gdzieś na końcu świata. Przynajmniej tak to wyglądało, gdy przyjeżdżało się tam po zmierzchu. Gunnar Barbarotti uznał, że sam by tu nie trafił. Może z powrotem do Visby tak, ale nie w tę stronę. Kiedy po niecałych trzydziestu minutach Marianne skręciła na podwórko przez otwór w kamiennym murze, ogarnęło go przyjemne uczucie, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Zatrzymała samochód przy krzaku bzu i wysiedli. Narożny kinkiet oświetlał szczyt białego kamiennego domu, przejrzysty mrok letniej nocy sływał powoli na trawnik urozmaicony dwoma sękatymi drzewkami owocowymi i kępą krzaków porzeczek; cisza wydawała się żywym stworzeniem.

- Witam w Gustabo - powiedziała Marianne. - Właśnie tak to wygląda.

W tym samym momencie usłyszeli dwa uderzenia zegara kościelnego. Gunnar Barbarotti spojrział na zegarek. Wpół do dziesiątej. Później odwrócił głowę w kierunku, który pokazała Marianne.

- To kościół w środku wsi. A za płotem mamy cmentarz. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Gunnar Barbarotti objął ją ramieniem.

- A tam są krowy.

Znowu zrobiła ruch ręką i wtedy zauważył, że są zaledwie o kilka metrów od nich. Ciężkie, przezuwające sylwetki po drugiej stronie kamiennego muru.

- O tej porze roku są na polu przez całą dobę. Właściciel dojeżdża na polu, zamiast zabierać je do obory. No tak, tutaj też mamy cztery strony świata. Kościół leży na wschodzie, a krowy pasą się na północy. Na zachodzie mamy najpiękniejsze na świecie pole rzepaku, jutro się przekonasz, a na południu jest las.

- Las? - powtórzył Gunnar Barbarotti i obejrzał się za siebie. - To nazywasz lasem?

- Sześćdziesiąt osiem drzew liściastych - wyjaśniła Marianne. - Dęby, buki i czerwone klony. Jedno bardziej szlachetne od drugiego, a większość ponad stuletnie. Ale teraz idziemy do środka. Mam nadzieję, że dotrzymałeś słowa.

- W jakiej sprawie?

- Że nie będziesz się za bardzo obżerał na promie. Mam coś dobrego w piekarniku i otworzyłam butelkę wina, żeby pooddychało.

- Zjadłem tylko żelkowego szczurka.

Gdy się obudził, łagodne światło poranka nieśmiało przeświecało przez cienkie zasłony. Poruszały się leciutko od wiatru, a intensywny zapach letniego poranka sączył się przez otwarte okno. Odwrócił głowę i popatrzył na Marianne, która spała głębokim snem, leżąc na brzuchu u jego boku; jej nagie plecy łagodnie wyginały się przy kości ogonowej, a kasztanowe włosy leżały rozrzucone na poduszce jak pomięty wachlarz. Po omacku znalazł na nocnym stoliku swój zegarek.

Wpół do piątej.

Pamięta, że rzucił okiem na zegarek, kiedy skończyli się kochać. Było piętnaście po trzeciej.

A zatem jeszcze nie pora, by wstawać i wyjść naprzeciw nowemu dniu.

Jednak zasnąć ponownie nie będzie tak łatwo, pomyślał. Odsunął prześcieradło, ostrożnie wstał z łóżka i wyszedł do kuchni. Wypił parę łyków wody prosto z kranu.

Skoło już wstałem, to trzeba się wysikać, pomyślał i wyszedł do ogrodu. Zatrzymał się na chwilę i łapał palcami u nóg pokryte rosą żdzbla trawy. Stoję tutaj golusieńki. Całkiem nagi, tu i teraz. W letnią noc w Gustabo. Lepiej już być nie może.

Czuł się świetnie. Chyba jeszcze lepiej niż wówczas, gdy statek dobijał do brzegu, postanowił więc, że musi zapamiętać tę chwilę. Patrzył na zaróżowione wschodem niebo za cmentarzem, potem poszedł aż do szlchetnego lasu i wysikał się. Uchylił się przed nadlatującym nietoperzem. Uznał, że to dziwne: przecież nietoperze latają tylko po zmroku.

Poszedł kawałek wzdłuż kamiennego muru i zatrzymywał się co jakiś czas, patrząc po kolei we wszystkie strony świata.

Krowy. Pole rzepaku.

Zrobiło mu się zimno i wrócił do domu. Podziwiał wewnątrz i bijącą z niego stylową prostotę. Tylko obielone wapnem ściany i brązowe drewno. Zauważył swoją ciągle nierozpakowaną torbę podróżną, stojącą obok kanapy w kuchni. Z zewnętrznej kieszeni wystawało coś białego. Obszedł naokoło stół i przypomniało mu się, że to te trzy listy, które wziął od gadatliwego listonosza, wyruszając z domu. Wyjął je i dokładnie obejrzał. Dwa z nich to przypuszczalnie rachunki: jeden od operatora telefonicznego, a drugi z towarzystwa ubezpieczeniowego. Schował je z powrotem.

Trzeci list był zaadresowany odręcznie. Jego nazwisko i adres wypisane na czarno kanciastymi, nieco niezdarnymi wersalikami. Bez nadawcy Znaczek z żaglówką.

Zawahał się przez sekundę. Potem wziął jeden z noży kuchennych ze stojaka na zlewie i rozciął kopertę. Wyciągnął podwójnie złożoną kartkę papieru, rozłożył ją i przeczytał:

ZAMIERZAM ZABIĆ ERIKA BERGMANA. ZOBACZYMY,
CZY MNIE POWSTRZYMASZ.

Usłyszał, że Marianne mruczy coś przez sen. Nie mógł oderwać
wzroku od tekstu.

Waż w raju, pomyślał.

2.

- Co to znaczy? - spytała Marianne.

- Tylko tyle, co powiedziałem. Dostałem list.
- Tutaj? Adresowany tutaj?

Było przedpołudnie drugiego dnia. Siedzieli każde w swoim
leżaku pod parasolem od strony pola rzepaku. Nad nimi błękitne
niebo. Jaskółki przelatywały jak strzały, słychać było brzęczenie
trzmieli; właśnie skończyli śniadanie i teraz był czas na dokładki i
przeżuwanie.

I rozmowę. Zastanawiał się, po co o tym powiedział. Już tego
żałował.

- Nie, dostałem go w chwili, gdy wyjeżdżałem z domu.
Włożyłem go do torby. Ale dziś rano otworzyłem.

- Groźba, mówisz?
- Poniekąd.
- Pokaż.

Przez chwilę pomyślał o zabezpieczeniu odcisków palców, ale
uznał, że ma urlop, i poszedł po list.

Kiedy czytała, miała jedną brew uniesioną, a drugą opuszczoną;
nigdy wcześniej nie widział u niej takiej miny, ale widocznie był to
wyraz zdziwienia połączonego z koncentracją. Nie uszło jego
uwadze, że wyglądało to dość elegancko. W ogóle była chodzącą
elegancją, jeśli się nad tym zastanowić; z wyjątkiem starego,
znoszonego kapelusza słomkowego z dużym rondem miała na sobie
wyłącznie

cienkie, prawie przezroczyste okrycie, które zakrywało mniej niż szyba w akwarium.

Len, o ile się nie mylił.

- Często dostajesz takie listy?
- Nigdy.
- A więc to nie chleb powszedni zawodu policjanta?
- Przynajmniej nie dla mnie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Kim jest Erik Bergman?
- Nie mam pojęcia.
- Jesteś pewien?

Wzruszył ramionami.

- Przynajmniej nikogo takiego sobie nie przypominam. Ale to nie jest jakieś wyjątkowo rzadkie nazwisko.

- I nie wiesz, kto mógł go wysłać?
- Nie.

Podniosła kopertę i zaczęła ją badać.

- Nie widać, co jest napisane na znaczku.
- Nie. Wydaje mi się, że na końcu jest „org”, ale bardzo niewyraźnie.

Przytaknęła.

- No to dlaczego go dostałeś? Chodzi mi o to, że to musi być jakiś szaleniec, ale dlaczego wysłał list właśnie do ciebie?

Gunnar Barbarotti westchnął.

- Marianne, jest, jak mówię. Nie mam najmniejszego pojęcia.

Odgonił muchę i znowu zaczął żałować, że wspomniał o liście. To idiotyczne, żeby w taki cudowny poranek siedzieć w ogrodzie i dyskutować o sprawach zawodowych.

Choć w zasadzie przed chwilą uznał, że to nie ma nic wspólnego z policją. Przelotna chwila irytacji - nie można jej poświęcać więcej uwagi niż tej musze, którą przed chwilą odpedził.

- Ale musisz przecież mieć... Jak to się nazywa? ...intuicję? Jak długo pracujesz w policji? Dwadzieścia lat?

- Dziewiętnaście.

- No tak, tyle samo, co ja jako położna, przecież już o tym mówiliśmy. Z czasem człowiek ma coraz lepsze wyczucie. Przynajmniej ja tak czuję.

Gunnar Barbarotti wypił łyk kawy i zastanawiał się przez chwilę.

- Czasami chyba tak. Ale nie w tym przypadku, niestety. Myślałem o tym przez cały poranek, ale nie pojawiło się nawet najmniejsze przeczucie.

- Ale przecież ty jesteś adresatem listu. Tu jest twój adres.

- Tak.

- Nie komendy policji. To oznacza, że on... albo ona... mają jakiś szczególny stosunek do ciebie.

- Stosunek to chyba zbyt wielkie słowo. Po prostu on... lub ona... wiedzą, kim jestem. Ale teraz zmieniamy temat. Przykro mi, że ci o tym powiedziałem.

Marianne odłożyła kopertę na stół i położyła się na leżaku.

- Ale co myślisz?

Najwyraźniej nie zamierzała się tak łatwo poddać.

- O czym?

- No, o liście. Groźbie. Jest na serio?

- Prawdopodobnie nie.

Teraz zsunęła kapelusz na kark i uniosła brwi.

- Jak tak możesz mówić?

Znowu westchnął.

- Dlatego że często dostajemy anonimowe groźby. Prawie wszystkie są fałszywe.

- Wydawało mi się, że musicie wszystkie takie rzeczy brać na poważnie. Jeśli ktoś, na przykład, grozi zamachem bombowym w jakiejś szkole, to chyba musicie...?

- Bierzymy wszystko na poważnie. Naprawdę niewiele zostawiamy przypadkowi. Ale ty pytałaś, czy uważam, że ktoś ma poważne zamiary w tym przypadku. To co innego.

- Okej, szeryfie. *See your point*. Czyli uważasz, że to tylko blef?
- Tak.
- Dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślał Gunnar Barbarotti. Cholernie dobre pytanie. Dlatego że... dlatego że chcę, by to był blef, to jasne. Dlatego że jestem w rajku pod nazwą Gustabo z kobietą, którą prawie na pewno kocham, i nie chcę, by mi przeszkadzał jakiś idiota, który zamierza pozbawić życia jakiegoś innego idiotę. Ale gdyby się okazało, że groźba jest prawdziwa, to chcę... no tak, chciałbym móc powiedzieć, że otworzyłem list dopiero po powrocie z mojego pobytu w rajku.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Niehm - mruknął niezrozumiale Gunnar Barbarotti. - No bo nie jestem pewien. Oczywiście, nigdy nie należy mówić nigdy. Zostawmy to.

Pochyliła się do przodu i wbiła w niego wzrok.

- Co to za brednie? Zostawmy to? Musisz przecież coś z tym zrobić. Przecież jesteś inspektorem kryminalnym?
- Jestem na urlopie w siódmym niebie.
- Ja też. Ale gdyby do siódmego nieba przyszła kobieta w ciąży i chciała urodzić dziecko, to bym przyjęła poród. Rozumiesz, co mam na myśli?
- Sprytnie - powiedział Gunnar Barbarotti.
- Jeden do zera dla położnej - oznajmiła Marianne, uśmiechając się szeroko. - A przy okazji, dziękuję za dzisiejszą noc, kocham się z tobą kochać.

- Przez kilka sekund miałem faktycznie wrażenie, że potrafię latać - przyznał Gunnar Barbarotti. - Ale jestem tylko idiotą, który otworzył list. Nie moglibyśmy o nim zapomnieć, udawać, że otworzę go dopiero po powrocie do domu?

- Nigdy w życiu. Pomyśl, co będzie, gdy wrócisz do domu w Kymlinge i dowiesz się, że Erik Bergman został zamordowany? Jak będziesz mógł z tym żyć? Wydawało mi się, że spotkałam mężczyznę o wysokim morale i dobrym sercu...

Gunnar Barbarotti poddał się. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i popatrzył na nią z uwagą.

- *All right.* To co proponujesz?
- Ja mam coś zaproponować?
- Dlaczego nie? Podczas urlopu można chyba zamieniać się

zawodami?

Roześmiała się.

- Rozumiem, że ty zajmiesz się ciężarnymi w siódmym niebie.
- No jasne.
- Byłeś przy narodzinach swoich dzieci?
- Przy wszystkich trzech.

Kiwnęła głową.

- W porządku. Chcę się tylko upewnić, że żadne maleństwo się nie zmarnuje. Widzę przed sobą dwa wyjścia.

- Jakie?
- Możemy pojechać z tym na policję do Visby.
- Nie chcę jechać do Visby Jaka jest alternatywa?
- Zadzwońmy do twoich kolegów w Kymlinge.
- Niezły pomysł - ocenił Gunnar Barbarotti. - Ale jest pewien

szkopał.

- Tak?
- Nie mamy telefonu.
- To się da załatwić. Przedstawię cię sąsiadowi. A przy okazji, sąsiad nazywa się Jonsson. Hagmund Jonsson.

- Hagmund?
- Tak. Jego ojciec też miał na imię Hagmund. I jego dziadek.

Gunnar Barbarotti skinął głową i podrapał się po nieogolonej brodzie.

- Czy mogę zgłosić jedną propozycję?
- Co takiego?
- Żebyś założyła na siebie coś więcej oprócz tej przezroczystej

chusteczki do nosa, w przeciwnym razie Hagmund Trzeci dostanie zawału.

Roześmiała się.

- Ale tobie się podoba?

- Bardzo mi się podoba. Wyglądasz w tym bardziej nago, niż gdybyś nic na sobie nie miała.

- Grrr - mruknęła Marianne, czterdziestodwuletnia położna z Helsingborga. - Myślę, że możemy na razie wejść na trochę do środka. Mam wrażenie, że Hagmunda nie będzie w domu jeszcze przynajmniej z godzinę.

- Grrr - mruknął Gunnar Barbarotti, czterdziestosiedmioletni inspektor kryminalny z Kymlinge. - Mam wrażenie, że rzepak jest jakimś afro... Jak to się nazywa?... afrodyzjakiem?

- Tak, tak się to nazywa - potwierdziła położna. - Ale to nie rzepak, głuptasie, to ja.

- Chyba masz rację.

Upłynęło półtorej godziny, zanim wyruszyli do Jonssonów, a Hagmunda i tak jeszcze nie było w domu. Przyjęła ich jego żona. Była to sześćdziesięciopięcioletnia niska i krępa kobieta o imieniu Jolanda. Gunnar Barbarotti zastanawiał się, czy jej matka i babka też miały na imię Jolanda, ale nie odważył się zapytać.

Tak czy owak, ta wesoła kobieta nie pozwoliła im skorzystać z telefonu, zanim nie wypili z nią kawy i nie spróbowali jej szafranowych naleśników i jedenastu rodzajów ciastek. Barbarotti dodzwonił się więc do komendy w Kymlinge dopiero parę minut po wpół do drugiej. Na szczęście inspektor Eva Backman była u siebie, zawalona tonami papierów. Kiedy centrala go z nią połączyła, wyluszczył sprawę w ciągu pół minuty.

- A niech to szlag - powiedziała Eva Backman. - Zaraz pójde do komisarza i powiem, żeby cię wezwał z urlopu, bo musisz wrócić na służbę. Sprawa wygląda poważnie.

- Możesz uznać naszą przyjaźń za zakończoną. O urlopie się nie żartuje.

Eva Backman śmiała się w głos.

- *All right.* Co w takim razie mam zrobić?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem na służbie. Jako odpowiedzialny społecznie obywatel chciałem tylko zgłosić anonimowy list zawierający groźby.

- Brawo, panie inspektorze. Czapki z głów. Czy mógłbyś jeszcze raz przeczytać ten tekst?

- „Zamierzam zabić Erika Bergmana - czytał posłusznie Barbarotti. - Zobaczmy, czy mnie powstrzymasz”.

- Powiadasz „powstrzymasz”?

- Tak.

- Odręczne pismo?

- Tak.

- Zaadresowane do ciebie osobiście?

- Tak.

- Hmm. Czy mógłbyś przefaksować ten list?

- Jestem w Gustabo. Tu nie ma faksu.

- No to jedź do Visby.

Gunnar Barbarotti negocjował sam ze sobą.

- Może jutro.

- *All right.* Czy chodzi o jakiegoś specjalnego Erika Bergmana?

- Nie wiem. Nie znam żadnego Erika Bergmana. A ty?

- Nie przypominam sobie. No dobrze, sprawdzę przynajmniej, ilu ich mieszka w Kymlinge. Czy jest tam coś o tym, że przypuszczalne zwłoki mieszkają w naszym mieście?

- Nie ma nic poza tym, co przed chwilą przeczytałem.

- Rozumiem. No, ale jeśli przefaksujesz to jutro... adres na kopercie też... to zobaczymy.

- Umowa stoi.

- Zresztą, może włożysz oryginał do plastikowej torebki i wyślesz do nas... a ja postaram się zdjąć z barków szanownego obywatela ten drobny kłopot. Co u Marianne?

- Świetnie. Jest ze mną.

Eva Backman znowu się roześmiała.

- Dobrze, że wam dobrze. Tutaj pada, wolno spytać jaka...?
- Nawet najmniejszego śladu obłoczków. W takim razie zostawiam to w twoich rękach i do zobaczenia za dwa tygodnie.
- Nic z tego. Wtedy to ja idę na urlop.
- Aha.
- Zdarza się. A wracając do tematu, gdyby się okazało, że znajdę całą bandę ludzi, którzy się nazywają Erik Bergman, to może nie zaszkodziłoby, żebyś sobie na nich popatrzył, jak myślisz? Na wypadek gdybyś któregoś z nich znał... mimo wszystko... Jesteś tam?
- O ile lista nie będzie za długa.
- Dziękuję, panie policmajstrze. To gdzie mam ją wysłać?
- Chwileczkę.

Odłożył słuchawkę na komodę, obok ramek ze zdjęciami i srebrnych naczyń, i wyszedł na taras do Jolandy i Marianne.

- Przepraszam, jaki jest adres do Gustabo?
 - Gustabo, Hogrån, Gotlandia. Powinno wystarczyć -
- odpowiedziała Marianne.

Barbarotti podziękował i wrócił do telefonu.

- Możesz przefaksować listę na komendę w Visby - powiedział.
- Przecież i tak do nich pojedę, żeby wysłać faks. Policzę to jak osiem nadgodzin.
- Koniecznie. Ucałowania, inspektorze, i pozdrowienia dla Marianne.

To by było na tyle, pomyślał Gunnar Barbarotti i poczuł zgage po ciasteczkach gospodyni. Tę sprawę mamy z głowy.

Wychodząc, natknęli się na Hagmunda Jonssona. Ten siedemdziesięcioletni mężczyzna był równie wysoki i żyłasty, jak jego żona niska i pulchna.

- Coś takiego, Marianne znalazła sobie faceta. Najwyższy czas. A więc teraz pozostaje żyć w czasie jeszcze niespełnionych nadziei?

Gunnar Barbarotti pomyślał, że ostatnie zdanie, wypowiedziane czystym dialektem gotlandzkim, zabrzmiało jak cytata z Biblii. „Czas jeszcze niespełnionych nadziei”?

Przywitali się uściskiem dłoni.

- To tak, jakby wrócić do czasów dzieciństwa, prawda? - ciągnął dalej Haggmund, nie czekając na odpowiedź. - Świat i życie są pełne nieprecyzyjnych obietnic, zapachów i przeczuć, których jeszcze nie rozumiemy. Kiedy je zrozumiemy, pojawi się pustka. *Omne animal post coitum trist est*. Wtedy trzeba poszukać nowych marzeń. I nie spieszyć się z ich spełnianiem.

- Święta prawda - powiedziała Marianne i pociągnęła za sobą Gunnara Barbarottiego przez furtkę. - Haggmund jest filozofem - wyjaśniła, gdy znaleźli się już na drodze. - Jeśli wdasz się w dyskusję, to nie uwolnisz się od niego przez wiele godzin. Co znaczyła ta łacińska sentencja?

- Nie jestem pewien. Coś o tym, że człowiek wpada w melancholię po akcie miłosnym, tak mi się wydaje*.

* Z łac. „Każdy zwierz jest smutny po spółkowaniu”.

Marianne zmarszczyła czoło.

- To chyba dotyczy głównie mężczyzn. Haggmund i Jolanda są szczęśliwymi ludźmi. Zgłosili swój akces do pierwszej wycieczki turystycznej w kosmos.

Gunnar Barbarotti skinął głową.

- Żeby przedłużyć czas oczekiwania?

- Pewnie tak. Haggmund zbudował własny teleskop w stodole: podobno światowej klasy, ale nikt go nie widział, od czasu gdy parę lat temu odkryli to dziennikarze. Nikogo tam nie wpuszcza.

- Skąd wiesz, że są szczęśliwi?

Westchnęła.

- Masz rację. Tego nie wiem. Najważniejsze, że tak myślę.
- W takim razie rozumiem. Co będziemy teraz robić?
- Tak szybko znudziła ci się bezczynność w rajcu?
- Więcej niż dwa czy trzy razy na dobę nie możemy się kochać.

Nie w naszym wieku.

Roześmiała się.

- Tak, to prawda. Nie chciałabym, żeby ogarnęło cię megaprzygnębienie. Co byś powiedział na wycieczkę rowerową?

Gunnar Barbarotti zmrużył oczy, spoglądając na bezchmurne niebo, i powąchał, co niesie wiatr.

- Dlaczego nie. Lepsze to niż podróż w kosmos, to pewne.

3.

- Dlaczego zostałeś policjantem? Nigdy o tym nie opowiadałeś.

- Dlatego że nigdy nie pytałaś.
- No to teraz pytam. Dlaczego zostałeś policjantem?
- Nie jestem pewien.
- Dziękuję. Tak myślałam.
- Czemu tak mówisz?

- Bo mężczyźni nigdy nie wiedzą, dlaczego w ich życiu dzieją się takie czy inne rzeczy.

- Co za bezczelność. Ilu mężczyzn przeanalizowałaś?

- Jesteś numerem dwa. Albo może dwa i pół, chociaż z tym nauczycielem fizyki nigdy nic nie było. Ale przyznaj, że mam rację.

Leżeli na plecach pod dębem przy starym kościele z wapiennej cegły. Była czwarta po południu. Było co najmniej dwadzieścia pięć stopni, a oni mieli za sobą dwie godziny pedałowania. Jeździli wzdłuż i wszerz przez zielony, wiejski, letni krajobraz. Kamienne ogrodzenia, bławatki i maki. Niskie, bielone domy porośnięte

pnącą różą i dzikim winem. Biało-czarne krowy, na niebie jaskółki, ospali Gotlandczycy chrapiący w swoich hamakach i maleńkie sklepiki sprzedające lody szafranowe i kawę turystom na rowerach. Gunnar Barbarotti nie miał pojęcia, jak daleko było do Gustabo. Ale w ogóle go to nie martwiło.

- Było prawie tak jak teraz - zaczął.

- Co?

- No, w momencie gdy postanowiłem zostać policjantem.

- Co masz na myśli?

- Bolał mnie tyłek. Chociaż wcale nie jeździłem kilometrami na rowerze. Siedziałem na nim i wkuwałem przez pięć lat.

- Prawo w Lund?

- Tak. Uzmysłowiłem sobie, że jeśli zostanę prawnikiem, to będę tak siedział na tyłku przez następne czterdzieści lat. Miałem wrażenie, że policjanci więcej się ruszają.

- Świeże powietrze i koleżeńska atmosfera?

- Właśnie. Dobra emerytura, o ile człowiek nie da się wcześniej zastrzelić.

- No i co? Jest tak, jak myślałeś? Chodzi mi o ruch.

Gunnar Barbarotti wypił łyk wody i zastanawiał się - przez chwilę.

- Trzeba trochę pochodzić, przesiadając się z jednego krzesła na drugie.

Roześmiała się i podniosła stopy w kierunku bogatej w liście korony drzewa. Poruszała z rozkoszą palcami u stóp.

- Mógłbyś zrobić tak jak ja.

- Czyli jak?

- Usunąć krzesła. Prawie całe dnie stoję.

- Hmm - mruknął Gunnar Barbarotti. - A ty oczywiście już w liceum wiedziałaś, że będziesz położną?

- Pod koniec podstawówki. - Poprawiła go. - Przyszła do nas położna z miejskiego szpitala i opowiadała o swojej pracy. Tego samego dnia podjęłam decyzję.

- I nigdy nie żałowałaś?

- Czasami, kiedy coś się komplikuje. Kiedy dziecko jest martwe albo ma poważne uszkodzenia. Ale to mija, człowiek rozumie przecież, że takie są reguły gry. Nie, nigdy nie przeżyłam prawdziwego zwątpienia. Czuję się uprzywilejowana przez to, że jestem przy narodzinach nowego życia; nie ma w tym żadnej rutyny. Aborcji udaje mi się jakoś unikać, co mnie cieszy, bo to one wywołują najwięcej trudnych myśli.

Gunnar Barbarotti splótł dłonie na karku.

- Gdyby do nas do szkoły przyszedł policjant i opowiedział, jak wygląda ta praca, to chyba zostałbym kimś innym. Ale masz pewnie rację, że to dobrze, iż kwestie życia i śmierci nigdy nie stają się rutyną.

- W takim razie kim chciałbyś być? Tak naprawdę.

Przez chwilę leżał w milczeniu i słuchał bzyczenia trzmiela. Naprawdę się zastanawiał.

- Nie wiem. Podejrzewam, że jestem już za stary, żeby się przekwalifikować. Więc muszą ze mną wytrzymać. Choć mógłbym sobie wyobrazić, że jestem kierowcą lokalnego autobusu w tej okolicy.

- Autobusu?

- Tak. Własnego, żółtego lokalnego autobusu przewożącego średnio jedenastu pasażerów dziennie. Jeden kurs rano i jeden po południu. Kawa z termosu na pętli, gdzieś obok porośniętego kwieciami rowu... Tak, to mogłoby mi się podobać.

Mariannę pogłaskała go po policzku.

- Mój biedny, wykończony mężczyzno w średnim wieku. Może powinieneś pójść na parę dni na przyuczenie do Hagmunda?

- Niezły pomysł. Mówili, że potrzebują parobka?

Nagle poczuł, że naprawdę jest zmęczony. W jednej chwili ogarnęła go ogromna senność; delikatny szum grubej powłoki zielonych gałęzi wielkiego dębu nad głową był niewątpliwie znakomitą kołysanką.

Dłoń Marianne, która właśnie znalazła swoją właściwą pozycję na jego piersi, popychała go delikatnie, choć nieuchronnie w tym samym kierunku. W nocy snu nie było wiele, trzeba przyznać, więc to... faktycznie nie miało związku z wiekiem średnim. Musi to powiedzieć, nim zaśnie.

Ostatnie słowa, jakie usłyszał, zanim usnął, brzmiały: „Ten list. Przyznasz, że to nieprzyjemna sprawa, prawda? Śpisz?”.

Śnił mu się komisarz Asunander.

Z tego, co pamiętał, nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Teraz też nie bardzo rozumiał sens tego snu. Asunander wyglądał dokładnie tak jak zawsze: oczy blisko osadzone, drobny, wymuskany i złośliwy; jedyną osobliwością było to, że w jednej ręce trzymał szpicrutę, a w drugiej latarkę. Był zły, chodził nerwowo po wielkim domu, który w jednym momencie wydawał się Barbarottiemu całkowicie nieznanym, w drugim zaś bardzo znajomy - w tym drugim wypadku przypominał w wielu szczegółach komendę policji w Kymlinge. Niezależnie od wszystkiego oczywiste było, że Asunander czegoś szuka; było tam pełno ciasnych przejść i ciemnych zakamarków, dlatego miał w ręku latarkę. Wąski strumień światła przesuwiał się wzdłuż korytarzy, w których słychać było echo jego kroków, w górę po groteskowo poskręcanych schodach i przez ociekające wodą przepusty w piwnicy.

Czy mi się zdawało, czy jeszcze niedawno leżałem pod wielkim dębem na Gotlandii? - zdziwił się Barbarotti i w tym samym momencie zrozumiał, że wprawdzie we śnie również leżał na plecach, ale nie pod jakimś dębem na spokojnym wiejskim cmentarzyku, tylko pod łóżkiem w ciemnym pokoju, pod starym, skrzypiącym, metalowym łóżkiem z materacem z włosia. Wyglądało na to... tak, wyglądało na to, że komisarz szukał właśnie jego. Kiedy wstrzymał oddech, nastawił uszu i zaczął nasłuchiwać, dotarł do niego

charakterystyczny odgłos klikania sztucznej szczęki Asunandera; był teraz bardzo blisko i Barbarotti wtedy już wiedział, że ukrywał się głęboko wciśnięty pod łóżko z powodu poważnego zaniedbania obowiązków. Teraz nadszedł czas załatwienia porachunków.

Jasny szlag, pomyślał Gunnar Barbarotti, a niech by go szlag trafił...

Ale po chwili zmienił taktykę i zaczął pospieszenie odmawiać modlitwę egzystencjalną do drugiego możnowładcy

Często tak robił, przynajmniej na jawie. Miał tak zwany *deal* z Bogiem, że ten będzie udawadniać swoje istnienie, spełniając rozsądną liczbę prośb wnoszonych przez jego skromnego sługę, inspektora Barbarottiego. Jeśli Bóg wysłuchał Barbarottiego, dostawał plus, a jeśli tego nie zrobił, zapisywał mu się minus. W tym akurat śnie, w tej chwili pod dębem na gotlandzkim cmentarzu w lipcu 2007 roku, Bóg posiadał na swoim koncie jedenaście plusów, które stanowiły dowód jego istnienia, i dlatego tu i teraz dostał propozycję za dwa punkty, by w żadnym razie nie pozwolić komisarzowi odnaleźć drżącego inspektora pod łóżkiem albo pod dębem, albo gdziekolwiek indziej, gdzie w tym momencie rozgrywała się rzeczywistość.

Dobry Boże, to przecież tylko króciutki list, a ja mam urlop, formułował pospiesznie swoją prośbę. Przecież to nie może być nic poważnego...

- Kiedyś znałam chłopaka, który nazywał się Erik Bergman. Teraz sobie przypominałam.

- Co?

Obudził się. Otworzył oczy i ze zdziwieniem - i ulgą - patrzył na zielonkawę, wielolistne dzieło natury. Nigdzie nie było komisarza Asunandera, tylko położna Marianne, której głowa spoczywała na jego piersi. I dąb, co stanowiło zdecydowaną poprawę sytuacji. Jak długo spał? Dziesięć minut? A może tylko minutę? Czy Marianne

zauważyła, że zasnął? Wyglądało na to, że nie, bo dalej mówiła o liście. Może tego snu też wcale nie było?

- Powiedziała, że знаłam kiedyś chłopaka, który nazywał się Erik Bergman. A co, jeśli to właśnie on miałby teraz umrzeć?

Gunnar Barbarotti odchrząknął i wyciągnął ręce do tyłu.

- Na pewno nie on. Chodziłaś z nim?

- Nie, ale byliśmy w tej samej klasie w liceum. Ale niemożliwe, żeby mieszkał w Kymlinge. Bo o to chodziło, tak?... Że ten, co ma umrzeć, mieszka w Kymlinge, tak?

- Dobry Boże, Marianne, skąd ja miałbym to wiedzieć? A tak w ogóle, to nikt nie umrze. Koniec tematu.

Nie odpowiedziała.

- Chodzi tylko o jakiegoś czubka. Jutro pojedę do Visby i spełnię swój obowiązek, a teraz czuję, że mój tyłek znów ma ochotę na kontakt z siodełkiem rowerowym. A twój?

- Nigdy tak dobrze się nie czułem. Chcesz dotknąć?

Rozejrzył się pospiesznie po cmentarzu, a potem skorzystał z oferty. Było dokładnie tak, jak mówiła: jej tyłek był w świetnej formie. W zachwycająco dobrej formie, mówiąc dokładniej, i aż się prosił o chwilę zapomnienia.

- W porządku. - Delikatnie odsunęła jego rękę. - W takim razie pedałujemy do domu i bierzemy się za kolację.

W Kymlinge było pięciu Erików Bergmanów.

Tak wynikało z listy, którą Gunnar Barbarotti odebrał z komendy policji w Visby w czwartek przed południem. Najstarszy z nich miał siedemdziesiąt siedem lat, najmłodszy - trzy i pół roku.

Popularne imię i nazwisko we wszystkich generacjach.

Siedząc na ławce w parku w pobliżu Söderport i czekając na Marianne, która robiła zakupy w warzywniaku, przyglądał się liście potencjalnych ofiar.

Siedemdziesięciosiedmioletni mężczyzna był wdowcem i mieszkał przy Linderödsvägen 6. Przez całe życie pracował jako urzędnik

kolejowy i od czterdziestu lat mieszkał w tym samym mieszkaniu. W rejestrze policyjnym nie ma na jego temat żadnych adnotacji.

Kolejny na liście miał pięćdziesiąt cztery lata i mieszkał w Kymlinge od niedawna. Pracował jako analityk rynkowy dla Handelsbanken i mieszkał przy Grenadjärgatan 10 razem z drugą żoną od dwóch lat. Również on nie miał żadnej kartoteki kryminalnej.

Barbarotti zastanawiał się, czy te dwa lata odnosiły się do mieszkania, czy drugiego małżeństwa. Z notatki nie wynikało to wyraźnie, może chodziło o jedno i drugie.

Numerem trzy był trzydziestoczteroletni Erik Bergman z Hedeniusvägen 11. Samotny, prowadził własną firmę komputerową, żadnych ciemnych sprawek na koncie, przynajmniej tak wynikało z rejestrów. Rodowity mieszkaniec Kymlinge, działał w miejscowym klubie badmintonowym przez kilka sezonów, ale niemal dokładnie dziesięć lat temu zakończył karierę z powodu uszkodzenia kolana.

Kto, do cholery, spisywał tę listę? - pomyślał Barbarotti. Uszkodzenie kolana sprzed dziesięciu lat? Pewnie Backman się ze mnie nabija.

Erik Bergman numer cztery ma trzydzieści dwa lata. Podobnie jak numer dwa, niedawno się sprowadził do miasta. Ma troje dzieci, mieszka przy Lyckeboatan, a pracuje w Kymlingeviskolan jako wychowawca w świetlicy. W kartotekach policyjnych istnieje jedna wzmianka na jego temat - chodziło o wykroczenie polegające na zastosowaniu przemocy wobec funkcjonariusza państwowego podczas meczu piłkarskiego na stadionie Råsunda w Göteborgu w 1996 roku. Był mocno podchmielony, wcisnął policjantowi w twarz bułkę z kielbasą, musztardą, ketchupem i sałatką szwedzką. Dostał za to karę grzywny. I bardzo słusznie.

No i wreszcie trzyipółletni Erik Bergman. Bez zawodu, żadnych adnotacji w rejestrze karnym, a mieszka pod tym samym adresem, co jego niezamężna matka, przy Molngatan 15.

Aha, pomyślał Gunnar Barbarotti i ziewnął. I jeden z was miałby umrzeć, tak?

Będąc na komendzie, rozmawiał przez pięć minut z inspektorem Backmanem. Pytał, czy podjęli jakieś działania.

- Oczywiście, że tak - wyjaśniła Backman. - Asunander polecił, żeby patrol wyposażony w radiotelefon przejeżdżał obok tych adresów dwa razy na dobę, żeby sprawdzać, czy nie dzieje się tam nic dziwnego. Z tego, co udało się ustalić, przynajmniej dwaj Erikowie są aktualnie na urlopie. Numer dwa i numer pięć.

- Ale nie ostrzegaliście tych pięciu? - zapytał Barbarotti.

- Nie, w opinii Asunandera nie ma takiej potrzeby. Według jego słów, to, że mamy do czynienia z listowym szaleńcem, nie oznacza, że policja też ma się zachowywać jak szaleniec. Przecież wiadomo, ile kosztuje całodobowa ochrona policyjna. Ale po otrzymaniu oryginału listu przyjrzymy mu się dokładnie. I może zmienimy zdanie.

Czy Barbarotti zapakował list w folię i wysłał, tak jak było umówione?

Gunnar Barbarotti potwierdził, że wysłał, a później życzył Backmanowi przyjemnej pracy i odłożył słuchawkę.

Złożył listę na cztery, włożył do tylnej kieszeni spodni i stwierdził, że jego stanowisko było podobne. Gdyby miał decydować, też by nie podejmował żadnych szeroko zakrojonych czynności.

To, że wszystkie groźby trzeba traktować poważnie, to jedno. Ale to nie znaczy, że należy zawsze i w każdym przypadku uruchamiać całą masę środków. Jasne, że nie. W dłuższej perspektywie bardziej opłacało się „z powagą obserwować rozwój sytuacji”, jak mieli w zwyczaju politycy i dyplomaci. Wewnętrznie, ale nigdy oficjalnie, motywowano to tym, że dwadzieścia z dwudziestu pogróżek było fałszywych. Problem pojawiał się, kiedy przychodziła dwudziesta pierwsza.

Pojawiła się Marianne, najmniejszy i najpiękniejszy z jego problemów. Gwałtownie odsunął na bok wszystkie policyjne rozważania i wyszedł jej naprzeciw; widok jej sylwetki wychodzącej ze sklepu ICA z siatkami w rękach nie mógł się równać z uczuciem, jakie go ogarnęło, gdy zobaczył ją stojącą w porcie o zachodzie słońca - ale również był przyjemny. Zauważył, że jego serce zaczynało mocniej bić, gdy tylko pojawiała się w zasięgu wzroku.

Mam nadzieję, że za dwa lata będzie moją żoną - pomyślał nagle, a potem zastanawiał się, czy to rzeczywiście była jego własna myśl, czy też po prostu taki zbitek słów, wyprodukowany przez jego mózg, rozgrzany wcześniejszymi rozważaniami i zachęcony piękną pogodą.

- I jak tam?
- W najlepszym porządku. Oddelegowałem odpowiedzialność, teraz jestem cały twój.
- Tss. Weźmiesz obie siatki czy jedną?
- Jasne, że obie. Za kogo ty mnie bierzesz?

4.

- Czytasz Biblię?

- Ojej. Myślałam, że śpisz.
- Bo spałem. Ale obudziłem się, gdy poczułem, że łóżko jest puste.
- Rozumiem. Tak, czasami sobie czytam.

Zamknęła wiśniową okładkę Biblii i odłożyła ją na stół obok filiżanki z herbatą. Oparła się wygodnie w fotelu i popatrzyła na niego przymrużonymi oczami. Był wtorek, poranek ósmego dnia urlopu - jeśli policzyć wtorek w ubiegłym tygodniu jako dzień pierwszy, mimo iż spotkali się dopiero wieczorem. Ale to zwykła akademicka gadanina.

Mierzenie czasu w Gustabo nie jest czynnością istotną, pomyślał Gunnar Barbarotti i ziewnął. Przynajmniej jeśli chodzi o czas miniony.

Tak czy owak, był kolejny poranek. Niebo zaczęło się rozpogadzać po nocnej burzy z piorunami, którą podziwiali przez okno w salonie. Zaczęła się tuż po północy i trwała do piętnaście po pierwszej, ponad godzinę, a błyskawice nad polem rzepaku wyglądały niesamowicie.

- A więc ty... to znaczy, wierzysz, że Bóg istnieje?

Przytaknęła.

- Nic o tym nie mówiłaś.

Roześmiała się. Z zażenowaniem - pomyślał.

- Faktycznie, uważam się za osobę wierzącą - stwierdziła - ale nie obnoszę się z tym zanadto.

- Dlaczego?

- Dlatego że... dlatego, że ludzie czują się zakłopotani. I nigdy nie chodzę do kościoła. Nie lubię kościoła... to znaczy, nie chodzi mi o budowlę, chodzi mi o Kościół jako instytucję. Dla mnie to sprawa osobista, rozumiesz? Pewna relacja.

Usiadł na krześle naprzeciwko jej fotela.

- Rozumiem. I nie uważam, żeby to było specjalnie kłopotliwe.

- Jesteś pewien? Zastanawiał się.

- Tak, naprawdę.

- Ale ty chyba nie wierzysz w żadnego Boga?

- Nie byłbym taki pewien.

Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć o prawdziwej naturze jego relacji z Bogiem, ale postanowił, że jeszcze z tym poczeka. Znają się od roku - to znaczy on i Marianne, jego relacje z Bogiem są trochę dłuższe - ale wydało mu się, że jeszcze nie czas na tego typu wyznania. Był prawie pewien, że Bóg podzielał jego zdanie. Mieli swoistą... tak, swoistą umowę dżentelmeńską, tak po prostu. Sprawa osobista, dokładnie tak.

- Co to znaczy?
- Co?
- Powiedziałeś: „Nie byłbym taki pewien”. Co miałeś na myśli?
- Tylko tyle, że nie wiem. Ale od czasu do czasu o tym myślę.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i popatrzyła na niego z niepokojem.

- Od czasu do czasu o tym myślisz?
- Hmm, no tak, może powinienem użyć innych słów... zresztą, co za różnica. A jaka jest ta twoja wiara, co? Zakorzeniona od kołyski?

Pokręciła głową.

- Nie, nie. Chybaby mnie z domu wyrzucili, gdybym zaczęła odprawiać jakieś dewocje. Przez całe lata osiemdziesiąte moi rodzice byli zdeklarowanymi marksistami, naprawdę. Matka już nie żyje, ale licho wie, czy ojciec nadal nie głosuje na komunistów. Szczególnie po odejściu Schyman, którą obsobacza jak zwykłego psa łańcuchowego za każdym razem, gdy się z nim spotykam.

- A twoja wiara? - przypomniał Barbarotti.
- Pojawiła się znienacka, po prostu przyszła. Jest taki stary perski wiersz, w którym można przeczytać, że „zwycięski bóg nadchodzi z wolna w miękkich sandałach z oślej skóry”, i muszę przyznać, że to bardzo pasuje do mojego o nim wyobrażenia.

- W miękkich sandałach z oślej skóry...? - powtórzył Barbarotti.

- Tak. No i na pewno ma to jakiś związek z moją pracą... Potrzebuję poczucia sensu. Ale to już historia między nim a mną, wyłącznie; chcę, żebyś o tym wiedział. Nie zależy mi na tych zewnętrznych fortyfikacjach. Czasami wydaje mi się...

- Tak?
- Czasami wydaje mi się, że to diabeł wymyślił religię, by stała pomiędzy człowiekiem a Bogiem.

- Sama na to wpadłaś?
- Nie, gdzieś to przeczytałam. Ale to chyba nic nie zmienia, prawda?
- Nie. A Koran, Budda i kabała?
- Szczęście ma wiele imion. Na pewno nie czujesz się zakłopotany?
- Ani trochę - zapewnił Gunnar Barbarotti. - Wydaje mi się, że masz jakieś uprzedzenia do duchowych kwalifikacji szwedzkiej kadry policyjnej. W każdym razie nie musisz czytać Biblii w ukryciu; ja też czasami się w nią gapię.

Roześmiała się i wyciągnęła ręce do góry. Dłonie odwrócone do nieba.

- Gapi się w Biblię! Słyszałeś, o Panie? Jaka będzie nagroda?
- Jednego jestem pewien - stwierdził zainspirowany jej słowami Barbarotti. - A mianowicie, jeśli Bóg istnieje, to jest dżentelmenem z humorem. Nie ma innej możliwości. I wcale nie jest wszechmocny.

Marianne spoważniała. Spojrzała na niego w taki sposób, że nagle poczuł ucisk w gardle.

Czy ja mam znowu czternaście lat, czy co? - pomyślał.

- Wiesz co? Kiedy mówisz takie rzeczy, to zaczynam myśleć, że chyba cię kocham.
- Jakie... jakie szczęście, że siedzę, a nie stoję - wydusił z siebie przez zaschnięte usta. - Bo chyba bym zemdlał...

W tym momencie usłyszeli kasznięcie, a potem zobaczyli Hagmunda Jonssona przechodzącego przez trawnik. Na ramieniu miał kosę, a w ręku trzymał martwego królika.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że w tej podrywce trzymasz policjanta z kryminalnej, Marianne. Muszę pogratulować. Że też nie mają tyle rozumu, by odskoczyć, kiedy koszę kosą. Może chcecie świeże mięsko na kolację?

Pomachał zakrwawionym królikiem.

- Dziękuję, ale jednak nie - powiedziała Marianne i odwróciła wzrok.

- Nie dlatego tu przyszedłem - kontynuował Haggmund.

- Głównym powodem odwiedzin jest nasz śledczy. Jest do niego telefon. Z tego, co się zorientowałem, to sprawa jest pilna.

- Telefon? - spytał zdziwiony Gunnar Barbarotti.

Haggmund skinął głową i podrapał się po karku.

- Państwo najprawdopodobniej uznali, że lepiej zostawić komórki na stałym lądzie. To przynosi wam prawdziwy zaszczyt. Ale, jak już mówiłem, w słuchawce telefonu w naszej kuchni siedzi niecierpliwa pani inspektor, więc może pójdzie ze mną i z nią porozmawia. Na pewno nie chcecie tego szkraba?

Pomachał zwisającym królikiem przed ich oczami. Marianne pokręciła głową, a Barbarotti podniósł się z krzesła.

- Już idę - powiedział. - Mówiła, o co chodzi?

- Sprawa poufna - wyjaśnił Haggmund Jonsson. - Najprawdopodobniej chodzi o bezpieczeństwo narodowe, bo nie rozumiem, jak inaczej śmieliby zakłócać taką idyllę.

Mrugnął porozumiewawczo jednym okiem. Marianne owinęła się szczelnie szlafrokiem, a Gunnar Barbarotti wyszedł za rolnikiem na drogę.

- Wygląda na to, że twój nadawca jednak nie ściemniał.

Nie od razu odpowiedział.

Niech to jasna cholera, pomyślał. Czuję, że tak będzie.

Pokazał ręką Jolandzie, żeby zostawiła go samego i zamknęła drzwi do kuchni. Począł, aż zrobiła, o co prosił.

Jeśli chcieli podsłuchiwać, to muszą się przynajmniej pofatygować, żeby podnieść słuchawkę w innym pokoju, dumiał Barbarotti.

- Jesteś tam? - zapytała Eva Backman.

- Jestem - potwierdził Barbarotti. - Co powiedziałaś?

- Chyba nie zapomniałeś listu, który dostałeś przed wyjazdem do raję?

- Nie - odparł. - Jak mógłbym zapomnieć? No to co właściwie się stało?

Powiedziała coś poza słuchawką do jakiegoś kolegi, ale nie zrozumiał, co to było.

- Przepraszam. No więc parę godzin temu pewien biegacz znalazł zamordowanego Erika Bergmana nad zatoką Brönnsvik. Na ścieżce joggingowej, która biegnie nad rzeką i potem pod górę, wiesz którą. Prawdopodobnie urządzał sobie właśnie przebieżkę... Bergman, oczywiście.

- Nie robisz sobie ze mnie jaj? - zapytał Barbarotti.

- Nie - odpowiedziała Eva Backman. - Niestety to prawda, nic nie poradzę. W tej chwili mamy tu lekkie zamieszanie, sam rozumiesz. Jakby tego było mało, to jeszcze ten, który go znalazł, przypadkiem jest dziennikarzem. Johannes Virtanen, znasz go?

- Tak, wiem, kto to jest. Ale prasa nic chyba nie wie o moim liście?

- Nie, ten szczegół udało nam się na razie utrzymać w tajemnicy.

- To dobrze. A o którym Eriku Bergmanie mówimy? To znaczy...

- Tak, tak - powiedziała Eva Backman. - Numer trzy. Ten z uszkodzonym kolaniem i firmą komputerową.

- Rozumiem - odparł Gunnar Barbarotti.

Co było prawdą, choć nie do końca. Czuł wyraźnie jakby brzęczenie komórek w swoim mózgu, ale przypominało to raczej odgłos silnika starego gruchota, który zaraz odda ostatnie tchnienie, niż jakąś dobrze naoliwioną maszynę myślącą.

- Powiedz coś więcej - poprosił i usiadł na kuchennej kanapie pod kilimem z artystycznie wyhaftowaną dewizą „Każdy dzień ma własne zmartwienia”.

Właśnie, pomyślał. Tak właśnie jest. A ten dzień dopiero się zaczął.

- Znalezione o szóstej pięćdziesiąt pięć - zaczęła Eva Backman.

- Mieszkał sam, ale rozmawialiśmy z jednym facetem, który go dość dobrze znał, a przynajmniej powinien. Andreas Grimle, pracownik w firmie Bergmana. Chyba ma w niej jakieś udziały, jakoś tak. Twierdzi, że Bergman regularnie biegał tą ścieżką dwa lub trzy razy w tygodniu. Oczywiście latem, przed śniadaniem, gdzieś tak pomiędzy szóstą a siódmą.

- Metoda? - zapytał Barbarotti.

- Pchnięcie nożem - odpowiedziała Backman. - Przepraszam, nie powiedziałam tego? Jedno w plecy, dwa w brzuch i cięcie na szyi. Śmierć nastąpiła dość szybko. W zasadzie leżał w kałuży własnej krwi.

- Brzmi przyjemnie.

- Tak, prawda?

- Byłaś na miejscu?

- Oczywiście. Zobaczymy, co znajdą technicy, ale chyba jakichś wielkich nadziei nie można mieć. Ziemia była sucha i tak dalej. Żadnych odcisków stóp, żadnych śladów walki, przypuszczalnie morderca dopadł go nagle i od tyłu.

- Mówiłaś chyba, że był na przebieżce? Przecież byłoby trudno...

- Nie wiem. Musimy się nad tym zastanowić. Ale przecież mogło być tak, że go najpierw zatrzymał... poprosił o pomoc albo zapytał o coś.

- Możliwe - powiedział Gunnar Barbarotti. - Kto prowadzi dochodzenie?

- Prowadzącym postępowanie przygotowawcze jest Sylvenius.

- Chodzi mi o śledztwo.

- A jak myślisz?

Nie od razu odpowiedział. Miał wrażenie, że żadna odpowiedź nie jest potrzebna.

- *All right* - powiedziała Eva Backman. - Wygląda to tak, że Asunander oddał to na razie w moje kompetentne ręce. Chociaż jak na razie wszyscy są zaangażowani. Maksymalna mobilizacja sił. I o

ile go dobrze zrozumiałam, oczekuje, że jutro ty to przejmiesz.

- Ja mam urlop.
- Jeśli wrócisz na służbę jutro, zamiast w poniedziałek, to dostaniesz cały tydzień wolnego na polowanie na łosie.
- Nie poluję.
- To była przenośnia.
- Rozumiem. Czy to słowa Asunandera?
- Nie, to moja interpretacja.
- Dziękuję - westchnął Gunnar Barbarotti.

Eva Backman odchrząknęła.

- Nie zawsze zgadzam się z naszym kochanym komisarzem, przecież wiesz. Ale w tym wypadku myślę tak jak on.

List był zaadresowany do ciebie osobiście. Nie do mnie, nie do Smutasa czy kogokolwiek innego. Nawet nie pod adres komendy. A zatem... wygląda na to, że sprawa leży na twoim biurku. Chociaż wiadomo, że w rzeczywistości cała grupa będzie nad tym pracować. Już mówiłam.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Może właśnie o to mu chodzi?
- Co takiego?
- Mordercy. Żebym właśnie ja prowadził śledztwo?
- Myślałam o tym - powiedziała Backman. - Może to ktoś,

kogo znasz, na przykład.

- Ale dlaczego - spytał Barbarotti. - Dlaczego miałby być aż tak skończonym kretynem, żeby... narażać się na ryzyko?

- Kretynem? - powtórzyła Backman. - Tego nie wiem. Lepszym określeniem byłby chyba bufon. Tak czy siak, chyba powinieneś przyjąć to wyzwanie.

Barbarotti zastanawiał się przez trzy sekundy. Wyglądało na to, że nie ma wyboru.

- *All right* - powiedział. - Przekaż Asunanderowi, że będę w pracy jutro rano. Wydaje mi się, że jest prom o piątej po południu,

ale gdyby tymczasem ktoś się pojawił i przyznał, to proszę o sygnał.

- Mam przeczucie, że tak się nie stanie. Niestety. I bardzo mi przykro, że musiałam przerwać twoje miłosne lato tak brutalnie.

- Odbiorę sobie pozostałe dni urlopu w innym terminie - stwierdził inspektor Barbarotti i odłożył słuchawkę.

Może w terminie polowań na łosie - dodał już do siebie.

Co za poranek, pomyślał później, kiedy już opuścił gospodarstwo Jonssonów i wyszedł na drogę. Zaczęło się od studium biblijnego i pytań o istotę Boga, potem powiedziała, że prawie mnie kocha, a na zakończenie pojawiło się drobne morderstwo i polowanie na łosie.

Marianne nie robiła mu wyrzutów. Wiedział, że tak będzie.

- I tak spędziliśmy razem osiem dni z dziesięciu - powiedziała, kiedy wyłączyła silnik samochodu na parkingu przy terminalu promowym. - Może nie można wymagać więcej, kiedy człowiek się związał z inspektorem policji?

- Nie powinienem był otwierać tego listu - odrzekł Gunnar Barbarotti. - Gdybym go znalazł dopiero teraz, w piątek, to nie mogliby mnie odwołać z urlopu.

Nie był jednak pewien, czy mówi szczerze. Było to dość paradoksalne; nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tańczy tak, jak mu morderca zagra. To, że otworzył list, przeczytał ostrzeżenie i przesłał je dalej; to, że teraz natychmiast włącza się w dochodzenie. Czy właśnie nie tego chciał... albo chciała?

Dlaczego w ogóle wysłał ten list i uprzedził, że zamierza kogoś zabić? Zanim to zrobił. Jaki to ma sens? A może chodzi o czubka, więc szukanie racjonalnych pobudek jest bezcelowe?

Nikt tego nie wie, rozmyślał Gunnar Barbarotti. Na razie nie można snuć żadnych spekulacji.

Jedno wiedział na pewno: jeszcze nigdy nic takiego mu się nie zdarzyło. Jak się zastanowił, to nie mógł sobie przypomnieć takiego przypadku w ogóle. Już samo to, że sprawca zaplanował swój czyn,

było czymś kompletnie niezwykłym; najczęściej mieli do czynienia z przypadkami, kiedy to jeden nawalony gość wpadał w szal i zabijał drugiego nawalonego gościa. Albo żonę, albo kogoś innego, kogo akurat wtedy uznał za osobę niepożądaną. Ale nie w tym przypadku - to jedyna pewna konkluzja.

- Tak czy inaczej, spędziłam z tobą cudowne dni - powiedziała Marianne, przerywając jego gonitwę myśli. - Szkoda, że nie spotkasz się z moimi małoletnimi łobuzami.

Planowali, że dzieci przyjadą w czwartek i później w czwórkę spędzą wspólnie całe popołudnie, wieczór i poranek. Spotkał je już kilkakrotnie i jak dotąd te spotkania przebiegały nadzwyczaj bezboleśnie. Lubił Johana i Jenny, i gdyby nie brzmiało to zbyt buńczucznie, to powiedziałby, że oni też go znoszą całkiem nieźle.

- Jest jak jest - odparł. - Musisz im powiedzieć, że wujek policjant musiał jechać do domu, by złapać paskudnego mordercę. I będzie to gorzka prawda.

- Myślę, że zaakceptują takie wyjaśnienie - odparła Marianne. Później pocałowała go i wypchnęła z samochodu.

Uczucie, które mnie ogarnęło, gdy stałem na pokładzie i machałem na pożegnanie, kiedy prom wypływał z portu, nie było przyjemne, odnotował w myślach Gunnar Barbarotti. Szczególnie jeśli świeżo w pamięci ma się uczucie sprzed tygodnia, z dnia przybycia na wyspę.

I nagle zapragnął być czternastoletnią dziewczyną, a nie czterdziestosiedmioletnim inspektorem policji - wtedy mógłby sobie popłakać i nikt by się nie dziwił.

Ale takie marzenia się nie spełniają. A poza tym bycie czternastolatką też mogłoby być w dłuższej perspektywie uciążliwe.

Mam nadzieję, że w moim chaotycznym życiu pojawi się więcej takich tygodni, marzył, kiedy już nie mógł dostrzec jej sylwetki na nabrzeżu pod budynkiem terminala. Ale rozwodów żadnych już nie chce.

Potem poszedł do restauracji i kupił dużą porcję zapiekanki mięsnej z marynowanymi buraczkami i piwo.

5.

Było piętnaście po dziewiątej, kiedy w promieniach zachodzącego słońca wsiadał do swojego citroena na parkingu długoterminowym w Nynäshamn. Z powodu, którego nie rozumiał, prom płynął teraz trochę wolniej i przeprawa zajęła czterdzieści pięć minut więcej niż zwykle.

Nocna jazda do domu, pomyślał i uruchomił silnik.

Trzy i pół godziny wspaniałego odosobnienia. Był przyzwyczajony do samotności, ale teraz odebrał ją nagle jak drapieżnika, kosmatą bestię, która po tygodniu głodowania gotowa była z rozkoszą wbić w niego zęby.

Chwilę później ze swojego telefonu komórkowego połączył się z inspektor Backman. Zawsze coś.

- Jesteś moim głosem w nocy - wyjaśnił. - Orzeł wylądował i prosi o najświeższe informacje.

- Nie zauważyłam, żeby ziemia zadrżała - zazartowała Eva Backman. - Musiało to być tąpnięcie w świecie podziemi. No, a ja, prawdę mówiąc, nadal jestem w pracy.

- Gratuluję. Ilu macie podejrzanych? Może dzwonię w środku decydującego przesłuchania? W takim razie...

- Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy Ale już niedługo będzie otoczony. Wydaje nam się, że mamy do czynienia z praworęcznym mężczyzną w wieku od siedemnastu do siedemdziesięciu lat.

- Nieźle - skomentował Barbarotti. - No to wkrótce go złapiemy. Mamy pewność, że to nie kobieta?

- Może i kobieta - przyznała Backman. - Ale uderzenia nożem były dość silne, więc musiałaby być dobrze wytrenowana.

- I raczej nie siedemdziesięcioletnia.

- Co najwyżej pięćdziesięcioletnia.

- Opowiadaj dalej.

Eva Backman westchnęła i zaczęła opowiadać:

- Jeśli zaczniemy od konkretnej wiedzy, to technicy przeczesali obszar wokół miejsca przestępstwa równy boisku piłkarskiemu. Wyniki analiz poznamy gdzieś pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Lekarz sądowy przyśle swój raport jutro przed południem. Ale nie będzie w nim żadnych sensacji: zmarł w wyniku ran zadanych nożem, prawdopodobnie w ciągu minuty. Wydaje się, że badanie DNA nie wchodzi w grę. Tak, no i zaczęliśmy sporządzać mapę koligacji rodzinnych i kręgu znajomych. Mamy listę około pięćdziesięciu osób, z którymi trzeba porozmawiać i właśnie teraz tym się zajmuję... to znaczy ustawiam priorytety. Z kim i w jakiej kolejności chcemy porozmawiać. Z tego, co wiemy, był dość towarzyski ten Erik Bergman.

- Co masz na myśli?

- Nic szczególnego. Kawaler, dobrze sytuowany, tylko tyle. Chodził od czasu do czasu do knajp. Znał wielu ludzi... Nie był maniakiem komputerowym, jeśli tak sobie go wyobrażałeś.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Poza tym ma do nas przyjechać ekspert od profili psychologicznych z Göteborga. Podobno w Stanach istnieje tradycja takiego właśnie pisania listów. I jest sporo literatury na temat tego typu zabójców. U nas to dość niespotykane, ale może ten psycholog dorzuci coś ciekawego. Przynajmniej posłuchamy, co ma do powiedzenia. Przyjedzie jutro po południu, więc i ty się z nim spotkasz.

- Wiemy, czy Bergman czuł się zagrożony albo czegoś się bał? Jacyś wrogowie?

- Nie, nic takiego dotychczas nie wypłynęło. Najwięcej rozmawialiśmy z tym Grimlem, jego współnikiem, o którym ci wcześniej wspominałam... do tego z kilkoma innymi przyjaciółmi i jego siostrą. Mieszka w Lysekil. Rozmawiałam z nią z godzinę i odniosłam wrażenie, że nie mieli do brego kontaktu. Jest pięć lat starsza.

- Dzieci?

- Nie.

- Rodzice?

- Na urlopie w Chorwacji. Ale zostali powiadomieni. Mieszkają w Göteborgu, w dzielnicy Långedrag. Przylatują na lotnisko Landvetter jutro po południu. Dobrze sytuowani, chyba rozumiesz, tylko takich stać na mieszkanie w Långedrag. Dwa lata temu sprzedali sporą firmę w branży technicznej i wycofali się z życia zawodowego.

- Ach tak - mruknął Gunnar Barbarotti. - Jakaś przyjaciółka? Musiał przecież mieć z kilka dłuższych związków? Ile miał lat? Trzydzieści sześć?

- Zgadza się. To znaczy wiek się zgadza. Ale jeśli chodzi o związki, to wygląda to marnie. Dziesięć lat temu mieszkał przez parę miesięcy z jedną dziewczyną, i to chyba wszystko. Prawdę mówiąc...

- Tak?

- Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że był dość niesympatycznym typem. Zaliczał dziewczyny i szastał pieniędzmi. Mieszkał sam w siedmiopokojowej willi: na ścianach prawdziwe dzieła sztuki, stół bilardowy i jacuzzi... piwniczka na wino i dwa samochody.

- Kompletny brak przyzwoitości - skomentował Barbarotti. - Po prostu typ, który może budzić frustrację.

- Pewnie tak.

- Aż taką frustrację, że ktoś nabrał ochoty, by parokrotnie dźgnąć go nożem.

- Całkiem możliwe - odparła Eva Backman. - Może powód jest właśnie tak prozaiczny.

- A ten Grimle, też taki jest?
- Na szczęście nie. Bardzo sympatyczny, naprawdę. No i jest żonaty, ma dwoje dzieci.

Ktoś wszedł do pokoju Evy Backman, poprosiła więc, żeby poczekał przy telefonie, dzięki czemu zyskał trochę czasu na zastanowienie. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to tytuł piosenki, popularnej pod koniec lat osiemdziesiątych albo na początku dziewięćdziesiątych... ale słów nie mógł sobie za bardzo przypomnieć. *A man without a woman is like a...* no właśnie, co? Nie mógł sobie przypomnieć. To był chyba zespół Vaya Con Dios? A tytuł miał jakiś związek z tym ostatnim, co powiedziała Backman.

„Iść z Bogiem?” - tym razem inny rodzaj połączenia synaptycznego, zakotwiczony w porannej rozmowie w Gustabo.

Czasami, pomyślał Barbarotti, czasami wydaje mi się, że ludzki mózg jest tylko planszą do gry dla jakichś wyższych sił, które układają w nim pasjansa. Przynajmniej mój mózg.

Co, w istocie, było nowym i dość zaskakującym obrazem. Ale w każdej talii kart istnieje przecież tyle możliwych kombinacji, że teoria była prawie samosprawdzająca się. Czasami udaje mi się wymyślić coś naprawdę błyskotliwego, stwierdził ze zdziwieniem.

Czasami pasjans wychodzi.

- Połączenia komórkowe? - zapytał, gdy Backman wróciła do rozmowy. - Czy Smutas zaczął się temu przyglądać?

- Smutas jest na urlopie - wyjaśniła Backman. - Ale wraca w poniedziałek. Na razie billingami zajmują się Fredksson i Toivonen. Miał trzy telefony, ale nie wiem, co dotychczas ustalili. Myślę, że nic rewelacyjnego, bo inaczej by raportowali.

Trzy telefony komórkowe? - pomyślał Barbarotti. Zupełnie inaczej niż w raju.

- List? - zapytał. - Co da się o nim powiedzieć?
- Żadnych odcisków palców - powiedziała Backman i westchnęła. - Z wyjątkiem twoich i Marianne... przynajmniej zakładamy

że to jej odciski. Zwykła koperta, zwykły papier, taki, jakiego używa się do każdej możliwej drukarki. Długopis przypuszczalnie marki Pilot... czarny żelowy... 0,7 milimetra. Można kupić w mniej więcej stu czterdziestu pięciu tysiącach sklepów w całej Europie.

- A tekst? Chodzi o styl i te rzeczy.

- Nie mam pewności - powiedziała Eva Backman. - Wydaje mi się, że ktoś mówił, iż wygląda, jakby osoba praworęczna pisała lewą ręką, ale to nie jest pewne. Wysłaliśmy go dziś do nowej analizy... bo sytuacja, jakby to powiedzieć, się zaogniła.

- *All right* - rzekł Barbarotti i zastanawiał się przez chwilę.

- Jestem trochę zmęczona. Może resztę zostawimy na jutro?

- Dobry pomysł - zgodził się. - Myślę, że będę jutro siedział na tyłku całe przedpołudnie i przekopywał się przez stertę papierów. Ale...

- Tak?

- Ale jeśli nie możesz mi podać nazwiska mordercy, to rzuć chociaż jakiś ochłap. Jak myślisz? Co to, do cholery, za typ? Przedemną jeszcze trzy godziny jazdy.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza.

- *Sorry* - powiedziała po chwili Backman. - Przecież wiesz, że naprawdę nie ukrywałabym przed tobą niczego, ale faktem jest, że nic nie mam.

- Nic kompletnie?

- Nic, właśnie to ci próbuję powiedzieć. Jestem w pracy... no tak, ile to już będzie?... trzynaście godzin ciurkiem... a *summa summarum*, mogę powiedzieć tylko tyle, że wiem, iż Erik Bergman został zamordowany.

- Nieźle - skomentował Gunnar Barbarotti. - Świetna robota, słońko.

Eva Backman zakończyła rozmowę.

Deszcz pojawił się tuż przed dziesiątą. Padał miękko i uparcie, a monotonne ruchy wycieraczek zaczęły działać na inspektora usypiająco. Gdy dojechał do jeziora Vättern, zatrzymał się, zatankował samochód i wypił kubek kawy, a kiedy wrócił do auta, z wielkim trudem opanował chęć wykonania telefonu na Gotlandię. Jednak myśl, aby o tej porze prosić Hagmunda i Jolandę Jonssonów, żeby w ciemną noc poszli zapukać do Marianne, wydała mu się całkowicie niedorzeczna. Nie miał przecież żadnej konkretnej sprawy. Chciał tylko usłyszeć jej głos. Gdyby miała swój telefon, to mógłby cieszyć się jej towarzystwem w samochodzie przez cały wieczór - tego był pewien - ale nie w takiej sytuacji.

No tak, jej dzieci będą miały ze sobą telefon alarmowy w walizce, kiedy przyjadą w czwartek, tak mu powiedziała; czasami trzeba było zmodyfikować niektóre zasady. Do tego czasu powinien się uzbroić w cierpliwość.

Musiał zająć myśli rozwijającym się dochodzeniem w sprawie o morderstwo.

Piszącym listy mordercą.

Wszystko to było dziwne. Delikatnie mówiąc. Nawet w Kymlinge zdarzały się jakieś dochodzenia w sprawie o morderstwo. Parę razy do roku. W większości zupełnie nieskomplikowane; najczęściej wykrywali sprawcę - jakiegoś nawalonego gościa - w ciągu jednego, góra kilku dni. Śledztwa dotyczące morderstwa prawie się nie zdarzały. W dziewięciu przypadkach na dziesięć istotnym czynnikiem zdarzenia były narkotyki lub alkohol, a osoby zaangażowane były znane policji z wcześniejszych zdarzeń. Wynik dochodzenia był prawie zawsze efektem świadomych, rutynowych działań policyjnych. Trzymając się procedur, nie trzeba było wcale myśleć. Przynajmniej tak twierdziła inspektor Backman. Zakup biletu do kina przez Internet wymaga więcej inteligencji niż wsadzenie za kratki mordercy - tak się kiedyś wyraziła.

Tym razem powiedziała, że nie ma bladego pojęcia.

To nie wróży nic dobrego, pomyślał Barbarotti. Nic dobrego.

Mimo że morderca napisał list i zapowiedział, kim będzie jego ofiara. Zawczasu. Mieli tydzień, żeby uchronić Erika Bergmana przed jego zabójcą. Nie udało się.

Nawet nie próbowali.

Gunnar Barbarotti miał nadzieję, że ta informacja nie przedostanie się do prasy. Nietrudno sobie wyobrazić, jakich tytułów mogli się wówczas spodziewać.

Decyzję podjął Asunander, możliwe że w porozumieniu z prokuratorem Sylveniussem, ale, Barbarotti myślał już o tym wcześniej, nie można im nic zarzucić. Sam też do konałby takiej oceny. Wiedząc, o jakiego Erika Bergmana chodzi, prawdopodobnie można by sprawę załatwić inna czej: skontaktować się z nim i wspólnie dokonać próby oceny zagrożenia. Po fakcie łatwo jest powiedzieć, że w tym przypadku też tak trzeba było zrobić, ale po fakcie zawsze wszystko wydaje się łatwe i oczywiste.

Jednak tej deszczowej nocy myśli Barbarottiego wcale nie skupiły się na dotychczasowych działaniach policji. Przeciwnie - na działaniach sprawcy.

No bo działał w sposób przedziwny Dlaczego? Dlaczego napisał list, w którym wyjawiał nazwisko planowanej ofiary? I dlaczego wysłał go właśnie do niego? Do inspektora kryminalnego Gunnara Barbarottiego? I to pod adres domowy.

Żeby go rozdrażnić? Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie?

Czy rzeczywiście znał Barbarottiego?

I, koniec końców, czy Barbarotti znał mordercę?

Kiedy wreszcie parkował samochód na Baldersgatan pod swoim domem, nie miał sensownej odpowiedzi na żadne z tych pytań. Nawet zbliżonej do sensownej. Była za dwadzieścia pierwsza; pół godziny temu przestało padać, ale ulice Kymlinge ciągle połyskiwały wilgocią.

Ponieważ minęła już północ, zaczął się pierwszy sierpnia - dzień urodzin jego byłej żony - a całe miasto było pogrążone w mroku, jakby w oczekiwaniu na atak bombowy z powietrza. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w jego głowie pojawiły się właśnie takie dwie refleksje, ale wkładając klucz do zamka, przypomniał sobie wcześniejszą metaforę o sile wyższej układającej pasjans. Czuł też śmiertelne zmęczenie, a jednak postanowił posegregować górę gazet, poczty i reklam, która przykrywała połowę podłogi w ciasnym przedpokoju.

Posegregował je na stole kuchennym na trzy staranne kupki i kiedy pobieżnie przeglądał przesyłki listowe, które nadeszły podczas jego tygodniowej nieobecności, zmęczenie zniknęło jak kamfora. Ulotniło się w ułamku sekundy.

Zachował na tyle przytomność umysłu, żeby nałożyć torebkę foliową na lewą rękę, zanim rozciął kopertę nożem kuchennym.

To samo pismo i tak samo jednoznaczna wiadomość jak poprzednio:

NASTĘPNA BĘDZIE ANNA ERIKSSON. TYM RAZEM TEŻ MI NIE PRZESZKODZISZ, PRAWDA?

Gunnar Barbarotti zawahał się i przez pół minuty prowadził wewnętrzną dyskusję z samym sobą. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie leży na leżaku w Hogrän i nie śni, ale doszedł do wniosku, że nie tym razem.

Następnie zadzwonił do inspektora Backman i obudził ją.

Notatki z Mousterlin

30 czerwca 2002 roku

Dziewczynka pojawiła się znikąd. Nagle stała przed nami i obserwowała nas z krzywym, lekko beczelnym uśmiechem na kanciastej twarzy.

Byliśmy na plaży; cała szóstka. Było późne przedpołudnie. Nie wiem, czy był to efekt jakichś wczorajszych uzgodnień, ale zanim przeszliśmy we dwóch z Erikiem przez stromy wał nabrzeża i na dobre rozsiedliśmy się w swoich leżakach od strony Bénodet, pojawili się Malmgrenowie i rozłożyli przy nas swoje ręczniki. Jakies dziesięć czy piętnaście minut później pojawili się Anna i Gunnar. Kiedy teraz o tym myślę, to widzę, że spotkanie musiało być mniej lub bardziej uzgodnione. Wkrótce wszyscy złapali wiatr w żagle i rozwinęła się typowa dla plażowiczów flegmatyczna konwersacja; z wolna wypowiedane przemyślane repliki i długie chwile przerwy. Na pozór głęboko przemyślane opinie i słowa, wypowiedane w kompletnym poczuciu bezkarności; opuściłem na oczy płócienny kapelusz i udawałem, że śpię. Sen był mi rzeczywiście potrzebny, ponieważ do łóżka dotarłem dopiero po wpół do trzeciej; spałem więc dość krótko. Wydaje się, że Erik wstaje wcześniej niezależnie od przebiegu wieczoru; dzisiaj rano obudził mnie już przed dziewiątą i zaprosił na kawę, bekon i jajecznicę; cokolwiek by o nim nie mówić, to przynajmniej jest troskliwym gospodarzem.

Możliwe, że przysnąłem przez chwilę na leżaku; było oczywiście gorąco, ale od morza wiał przyjemny wietrzyk, a dalekie krzyki mew mieszały się z odgłosami prowadzonej rozmowy i po chwili nie potrafiłem już odróżnić jednego od drugiego. Może rzeczywiście zasnąłem; w każdym razie obudził mnie chyba głos tej dziewczynki, dość dziecinny, a jednocześnie szorstki.

Jakby stara dusza w młodym ciele - pamiętam, że właśnie tak sobie wtedy pomyślałam.

- *Bonjour. Ça va?*

Wszyscy ucichli. Katarina Malmgren roześmiała się.

- *Ça va? Bonjour, petite.*

Podniosłem rondo kapelusza i spojrzałem na nią. Ciemnowłosa dziewczynka w wieku dwunastu czy trzynastu lat. Czerwony jednoczęściowy kostium kąpielowy, niebieski słomkowy kapelusz z kwiatami z tkaniny. Wokół pasa przewiązany sweterek, z tyłu mały plecak.

Błyszczące oczy, patrzące z odrobiną drwiny.

- *Vous n'êtes pas français, hein?*

Nie, Katarina Malmgren wyjaśniła, że nie jesteśmy Francuzami. Jesteśmy Szwedami. Na urlopie w pięknej Bretanii. Na twarzy dziewczynki ponownie pojawił się lekko przekrzywiony uśmiech. Było w niej coś urzekającego, rodzaj naturalności, wręcz bezwstydnosci, która mogła się wydawać uciążliwa, gdyby mała miała kilka lat więcej.

Ale była nadal dzieckiem, choć maleńkie pączkujące piersi odznaczały się już wyraźnie pod cienką tkaniną kostiumu. Katarina Malmgren zapytała, jak ma na imię.

- *Troaë*- odpowiedziała dziewczynka. —*Je m'appelle Troaë.*

Dłuższą chwilę zajęło nam ustalenie pisowni tego osobliwego imienia. Staraliśmy się prawidłowo je wymówić - mniej więcej jak francuskie słowo określające pociąg, *train*, ale z małym „o” wcisniętym pomiędzy nosowym dźwiękiem „ae”. Wszyscy próbowali, a dziewczynka nam pomagała, poprawiała nas i zachęcała. Z tego ćwiczenia najbardziej cieszyli się Gunnar i Anna.

Troaë wyjaśniła, że nie jest to typowo francuskie imię. Nie wiedziała, skąd mogło pochodzić; wybrał je dla niej tata, który był artystą i mieszkał w Paryżu.

Po tych wstępnych piruetach odstawiła swój plecak na piasek i zapytała, czy może nas namalować. Zwróciłem uwagę, że z plecaka wystaje para brązowych drewnianych patyków i zrozumiałem, że musiały to być sztalugi.

- Namalować nas? - zapytała Katarina Malmgren i za śmiała się nienaturalnie. - Dlaczego?

Dziewczynka wyjaśniła, że zamierza zostać malarką, tak jak jej ojciec. Ale ponieważ przez cały rok chodziła do nudnej szkoły na przedmieściach Paryża, musiała wykorzystywać wakacje na ćwiczenia. Uważała, że jesteśmy ciekawą grupą ludzi, jakiej właśnie szukała na plaży. Szukała fajnych ludzi, których mogłaby namalować.

Zaczęła rozstawiać sztalugi.

- A więc jesteś tu na urlopie ze swoim tatą i...? - zapytała Katarina.

Okazało się, że wcale nie. Troaë zaczęła opowiadać, że - o ile dobrze zrozumiałem - latem mieszka u swojej babci, która ma dom niedaleko Fouesnant, kilka kilometrów od plaży; mama i tata mieszkali w Paryżu i byli po rozwodzie, a ona mieszkała u taty, w każdym razie przez większość czasu.

Opowiadając, przygotowywała swoje przybory malarskie: na sztalugach ustawiła tablicę do malowania, odsunęła się od nas na około dziesięć metrów, wyjęła pudełko z akwarelami, zwilżyła pędzle czubkiem języka. Wszystko to wyglądało naprawdę bardzo profesjonalnie. Gunnar zapytał łamaną francuszczyzną, czy to oznacza, że musimy przez cały czas trwać bez ruchu. Dziewczynka odpowiedziała, że to nie jest konieczne i wystarczy, byśmy się za bardzo nie przemieszczali. Przyszło mi do głowy, że ktoś powinien pójść po rozum do głowy i zatrzymać to przedstawienie, ale nikt inny z grupy nie miał nic przeciwko pozowaniu na plaży. Może Henrik, ale powstrzymało go widocznie to, że pozostali świetnie się bawili. Zagłębiłem się w leżak i próbowałem wrócić do półsnu.

Przez dłuższą chwilę było cicho, dobre pół godziny, a Troaë z poważną miną stała za sztalugami i malowała swój grupowy portret szwedzkich turystów na plaży. Obecność dziewczynki najwyraźniej jednak przeszkadzała w kontynuowaniu wcześniejszej, leniwie płynącej rozmowy; nawet kobiety oszczędzały słowa. Wydaje mi się, że przez kilka minut drzemałem. Tym razem to Anna przerwała panującą ciszę.

- Lunch - powiedziała. - Najpierw do wody, a potem musimy coś zjeść. Co wy na to?

- Czy nie powinniśmy najpierw zapytać artystkę o zgodę? - spytał Erik, a ja nie potrafiłem wyczuć, czy był to wyraz zmęczenia, czy rozbawienia sytuacją.

Katarina zawołała do dziewczynki. Zapytała, jak jej idzie, i powiedziała, że zamierzamy zrobić przerwę w opalaniu, żeby się wykapać i zjeść lunch. Dziewczynka odpowiedziała coś, czego nie zrozumiałem, a Katarina wyjaśniła, że mała poprosiła o jeszcze dwie minuty; potem będzie można zrobić przerwę.

- Bezczelna gówniara - wymamrotał Henrik, ale został szybko przywołany do porządku przez swoją żonę i Gunnara.

- Ja uważam, że jest czarująca - zadeklarował ten ostatni. - Prawdziwa mała kokietka. Nie widzicie, jaka będzie piękna za pięć lat?

- Ty perwersyjna świnió! - zawołała Anna, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać. Głośno i sztucznie.

Byłem prawie pewien, że po lunchu pójdę z powrotem do domu; choćby po to, żeby posiedzieć w cieniu, pobyć w spokoju i zaplanować coś na najbliższe dni.

Nie zmienialiśmy pozycji do momentu, aż Troaë zrobiła głęboki ukłon i podziękowała nam za cierpliwość.

- Można zobaczyć? - zapytała Katarina. Pokręciła głową.

- Dopiero gdy będzie gotowe. Po południu, a może jutro.

- Czy ona myśli, że będziemy jej pozować całymi dniami? - zdziwił się Gunnar.

Katarina przetłumaczyła jego słowa dziewczynce, która odpowiedziała, że wystarczy jej jeszcze tylko chwila po lunchu.

Nie poszła z nami do wody, ale przyłączyła się, gdy wyruszyliśmy do restauracji. Nie wiem, czy ktoś ją zapraszał, może Katarina albo Gunnar; tak czy owak Troaë uczepliła się ramienia Erika i szła z nim pod rękę aż do Le Grand Large, maleńkiej restauracji leżącej kilkaset metrów na wschód od cypla Mousterlin. Momentami się do niego przytulała, lekko podskakiwała, jak w tańcu, pokazywała klasyczne pozycje baletowe i przez cały czas coś mówiła. Erik wydawał się zachwycony tą adoracją: udawał, że rozumie wszystko, co do niego mówiła, i żartował z nią; w pewnym momencie mała podskoczyła, zawiesiła mu się na szyi i pocałowała go w usta.

- Uważaj - powiedziała Anna z wymuszonym uśmiechem. - Ta mała jest być może starsza, niż ci się wydaje.

I potem spróbowała wskoczyć w objęcia Gunnara, tak jak to zrobiła dziewczynka z Erikiem; Gunnar był na to najwyraźniej nieprzygotowany i oboje upadli na piasek. Troaë krzyknęła z zachwytu, rzuciła się na nich i zaczęły się krótkie, chaotyczne zapasy. Nawet Henrik dał się wciągnąć w tę zabawę i tylko ja trzymałem się na dystans.

Po chwili, kiedy wszyscy już wstali, śmiejąc się, głęboko oddychając i strząsając z siebie drobne ziarenka piasku, dziewczynka powiedziała, że Szwedzi muszą być najzabawniejszymi ludźmi na świecie i że chciałyby, byśmy ją adoptowali.

- No to musimy poprosić twoją babcie, żeby najpierw podpisała odpowiednie papiery - stwierdziła Katarina. - Dobra, koniec zapasów. Teraz będziemy jeść i pić wino.

Pierwsze zdanie powiedziała po francusku, a drugie po szwedzku, więc musiała je oba przetłumaczyć.

- Moja babcia na pewno się zgodzi - powiedziała Troaë, poważniejąc. - Twierdzi, że jestem źle wychowana i za głośna.

Znowu przywarła do ramienia Erika i poszliśmy dalej do Le Grand Large.

Przez dwie godziny zajadaliśmy owoce morza i piliśmy białe wino. Dziwne, że siedzieliśmy tak pod jasnoniebieskimi parasolami, całą głośną grupą - powiększoną o lekko zwariowaną dziewczynkę - jakbyśmy byli starymi, dobrymi znajomymi. Uzmysłowiłem sobie, że znałem Erika od niespełna pięciu dni, pozostałych Szwedów od doby, a dziewczynkę od kilku godzin. A mimo to siedzieliśmy tam, jedząc i popijając wino, rozgadani i uśmiechnięci, jakbyśmy się znali od wieków. Pamiętam, że doktor L, prosił mnie na zakończenie kuracji, kiedy się żegnaliśmy, bym przestał wszystko ciągle kwestionować; mogę się nawet z nim zgodzić, że właśnie ta cecha najbardziej potęguje moje problemy, ale pomyślałem sobie, że tutaj, w Le Grand Large, właśnie tego wietrznego popołudnia odrobina zawahania była uzasadniona. Kim właściwie byli ci ludzie?

Kim właściwie są ci ludzie? - powinienem oczywiście napisać. Jak ja się znalazłem w tym gronie? Co właściwie mogliśmy sobie powiedzieć, siedząc tam i zajadając ślimaki, raki i krewetki oraz popijając schłodzone białe wino? Co sobie wyobrażaliśmy? W chwili gdy to piszę, jest późny wieczór, siedzę na tarasie wyposażony w długopis i gruby notatnik, tak jak wczoraj. Erik śpi w swojej sypialni, a może leży i czyta, choć wydaje mi się, że wypił za dużo wina, by jeszcze czytać. Ogólnie nie jest jakimś mołem książkowym. Nie to, żeby brakowało mu inteligencji. Po prostu nie czyta. Znowu zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem się stąd związać, ale trzyma mnie ta dziwna gnuśność całej sytuacji. Również krajobraz tej okolicy przemawia do mnie i zniechęca do wyjazdu. Upał i równina. Wydmy, niskie i częściowo poukrywane w nich kamienne domy, ogromna przestrzeń. Może jeszcze moment napięcia, coś

nieprzewidywalnego, nad czym nie panuję; mam wrażenie, że u wszystkich tych ludzi pod powierzchnią czai się coś, co tylko czeka, żeby wydostać się na światło dzienne - taka mi się nasuwa refleksja. Tak jakby potrzebowali siebie nawzajem, jakby bycie w parach im nie wystarczało; widać to najwyraźniej u Gunnara i Anny: rzadko poświęcają uwagę sobie nawzajem, cały czas szukają porozumienia i potwierdzenia u nas, pozostałych, a nawet u tej dziewczynki, Troaë. Nie mam oczywiście pojęcia, ile są warte moje obserwacje; nie przywykłem spędzać tyle czasu z ludźmi i prawdopodobnie jest gdzieś jakaś granica - przyjdzie dzień, kiedy powiem dość. Po prostu.

Troaë siedziała z nami przy stole przez cały czas, piła coca-cole, ale również kieliszek białego wina z wodą, twierdząc, że to jej normalne napoje do posiłku zarówno w domu w Paryżu, jak i u babci w Fouesnant. Bardzo się starała nas zabawić, doprowadziła nawet do tego, że wspólnie coś zaśpiewaliśmy, choć zawsze wydawało mi się, że takie śpiewy są wyłącznie domeną szwedzkich klimatów i trochę innego towarzystwa przy stole. Dziewczynka siedziała pomiędzy Edkiem i Gunnarem i starannie pilnowała możliwie najbardziej sprawiedliwego podziału swoich wdzięków. Kiedy całowała jednego w ucho, natychmiast robiła to samo z drugim, a kiedy wreszcie przyszedł rachunek, upierała się, że zapłaci za siebie, na co oczywiście nie pozwoliliśmy.

Wróciliśmy do naszego obozu na plaży około wpół do czwartej i kiedy tak siedzieliśmy, czy też na wpół leżeliśmy i drzemaliśmy po posiłku, w przyjemnej bryzie morskiej, dziewczynka malowała nas dalej. Stała w odległości dziesięciu metrów od nas, na szeroko rozstawionych nogach, ze stopami zagłębionymi w piachu; słomkowy kapelusz na karku, na słodkiej twarzy wyraz koncentracji. Katarina Malmgren narzekała, że nie wzięła z domu aparatu. Świetnie ją rozumiem. W tej dziewczynce jest coś zniewalającego, swoisty brak skrępowania i pączkujący czar, przed którym trudno się obronić.

Nie wiem, czy to spostrzeżenie miało jakieś znaczenie, ale wydawało mi się, że po południu Anna straciła humor, jakby pojawiła się nuta rywalizacji pomiędzy nią a dziewczynką - dorosłą kobietą a dzieckiem. Może przesadzam. Nie mam zwyczaju angażować się w motywy i pobudki innych ludzi, ale kiedy Gunnar w pewnym momencie próbował włożyć swoją rękę pod pośladki Anny, został dyskretnie, acz stanowczo odtrącony; aż zawarczała. Erik też zwrócił uwagę na ten incydent; wymieniliśmy spojrzenia w konspiracyjnym porozumieniu. Z jakiegoś powodu wywołało ono moją irytację. To spojrzenie, no bo ręka, która próbuje ukradkiem wcisnąć się pod pośladki Anny Eriksson, w ogóle mnie nie obchodzi.

Po godzinie, kiedy wszyscy już obudzili się z drzemki - a Troaë uparcie stała za sztalugami i malowała nasz portret grupowy - ponownie pojawiła się kwestia wycieczki łodzią na Les Glénan. To niewielki archipelag piętnaście do dwudziestu mil morskich od Beg-Meil; Henrik i Gunnar rozmawiali o tej wycieczce podczas lunchu - z małego portu na wschodnim brzegu cypla pływają tam łodzie kilka razy dziennie. Ale można też wynająć własną łódź; najwyraźniej obaj mieli doświadczenie w żeglowaniu po morzu, więc teraz rozmawiano o tym, żeby się dowiedzieć, ile by to kosztowało i jakie są warunki takiego wynajmu. Moglibyśmy wyruszyć wszyscy razem w któryś z najbliższych dni, tak przynajmniej zrozumiałem. Anna i Katarina natychmiast zaczęły snuć entuzjastyczne wizje tego, jaki to będzie wspaniały dzień: weźmiemy koszyki z prowiantem i butelkami wina, i sprzęt wędkarski, i znajdziemy własną wyspę bez żadnych innych turystów; nagle zabrzmiało to tak, jakbyśmy byli wybrańcami losu, a ja czułem narastające obrzydzenie tym nagle zrodzonym elitaryzmem. Zauważyłem jednak, że Erik nie brał udziału w rozmowie. Może miał już dosyć obu par, ale kto wie - z Erikiem nigdy nie wiadomo.

Dyskusje o Glénan przerwała informacja, że Troaë skończyła malowanie. Oczywiście obraz nie był jeszcze gotowy, ale powiedziała nam, że już nie musimy pozostawać w tych samych pozycjach. Katarina ponownie zapytała, czy możemy popatrzeć na efekty jej pracy, ale odpowiedź była odmowna. Może jutro albo pojutrze, ale w żadnym wypadku, zanim dzieło będzie gotowe i wyschnie farba. Dziewczynka spakowała swoje rzeczy i zamknęła je w plecaku. A potem zrobiła coś, co nas zdumiało: obwieściła, że zamierza się wykapać, zdjęła kapelusz, kostium i naga, jak ją Pan Bóg stworzył, pobiegła przez plażę prosto do wody. Jedynym, który zdobył się na komentarz, był Erik.

- O kurde. Ale jazda.

Jego głos wydawał się jakby nieco grubszy.

Po pięciu minutach wyszła z wody, stanęła bezwstydnie przed nami i zaczęła się wycierać czerwonym ręcznikiem; jej maleńkie piersi sterczały, na łonie widać było delikatny meszek czarnych włosów. Pomyślałem, że to przedstawienie faktycznie balansowało na cienkiej linii pomiędzy dziecięcą niewinnością a wyrafinowanym aktorstwem. Patrzyliśmy na nią wszyscy, mniej lub bardziej ukradkiem. Zauważyłem, że nikt nie znalazł słów punktujących tę sztuczną ciszę.

Wreszcie włożyła kostium. Założyła plecak i kapelusz i pomachała nam na pożegnanie. Przeszła przez stromiznę nadbrzeża i zniknęła.

- O kurde - powtórzył Erik i roześmiał się głośno, nieco sztucznie. - Niezłe z niej ziółko!

Gunnar zawtórował mu śmiechem, a zaraz po nim pozostali. Dziesięć minut później rozeszliśmy się. Malmgrenowie poszli na zachód - ich dom leży jakiś kilometr w głąb łądu, w połowie drogi do Bénodet - a pozostali wyruszyli na wschód, przez wydmy. Nikt nic nie mówił o wspólnej kolacji; zauważyłem, że towarzystwo ogarnęły zmęczenie i senność. Kiedy rozstawaliśmy się z Gunnarem i Anną

pod ich domem na plaży Cleut-Rouz, niczego nie uzgadnialiśmy. Erik był wyciszony i przygaszony, jakby intensywnie o czymś myślał; podczas spaceru do domu nie wymieniliśmy zbyt wielu słów, pomyślałem nawet, że może ma mnie już dosyć, więc gdy doszliśmy na miejsce, wprost go o to zapytałem.

Czy nie uważał, że nadszedł czas, bym wyruszył w dalszą drogę i zostawił go w spokoju.

- Nie, do cholery - odpowiedział. - Ale nie jesteśmy małżeństwem, pamiętaj. Musimy czasami dać sobie luz, a gdy któregoś dnia uznam, że powinienes spadać, na pewno ci to powiem.

- Okej - powiedziałem. - To zostaną jeszcze parę dni.

- Jeśli ci się wydaje, że za mało się udzielasz, to możesz zrobić dla nas dzisiaj kolację - dodał po chwili. - Mamy pełno jaj, może byś zrobił omlet z warzywami. Mnie by to wystarczyło, a tobie?

Skinąłem głową. Powiesiliśmy nasze kąpielówki na poręczy altany, wszedłem do domu i zacząłem buszować po kuchni.

Kiedy już jedliśmy kolację, popijając piwem, rozmawialiśmy o pozostałych. Głównie o kobietach.

- Gdybyś musiał spędzić noc z jedną z nich, którą byś wybrał? - zapytał Erik.

Mówił to bardzo serio, więc zastanawiałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

- Trudne pytanie. Musiałbym wypróbować obie, żeby ocenić.

Najwyraźniej uznał tę odpowiedź za trafioną, zaśmiał się na całe gardło i o mało nie zakrztusił się piwem.

- Racja, kurde. Masz na myśli obie naraz czy każdą oddzielnie?

- Każdą oddzielnie - odpowiedziałem. - W przeciwnym razie łatwo się rozproszyć.

Erik skinął głową, ale przestał się śmiać.

Tak to właśnie z nim jest - myślałem podczas tych wspólnych dni - że potrafi wyłączyć swój śmiech w ułamku sekundy. Ale włącza go równie szybko; jego nastroje mają bardzo ostre krawędzie, ale nie są zbyt głęboko ugruntowane.

- Słusznie - powiedział. - Cokolwiek by człowiek robił, to nie można się rozpraszać. Co powiesz o Annie i Gunnarze? Wydaje ci się, że się nie rozprasza?

- Nie wiem - odparłem. - Jeśli mam być szczery, to uważam, że są dość banalni. Przynajmniej ona.

Odchylił się do tyłu, położył swoje zapiaszczone stopy na pomalowanej na niebiesko, lekko wytartej drewnianej poręczy biegnącej wokół altany i pociągnął łyk piwa z butelki.

- Ludzie wiążą się zupełnie niepotrzebnie - mówił, pró bując nadać swoim słowom filozoficzną nutę. - Na tym polega problem. Wydaje im się, że muszą być we dwoje.

Gunnar i Anna dużo lepiej by się ze sobą czuli, gdyby nie musieli udawać, że są cały czas razem. Prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Już dawno nie mieszkalem z kobietą - wyznałem. - Więc nie jestem odpowiednią osobą do takiej oceny.

Erik siedział przez chwilę bez słowa.

- Wiesz - powiedział - mam ochotę zaanektować Annę, właściwie tylko po to, żeby się przekonać, jaka będzie reakcja. Co ty na to? Może to by trochę podgrzało atmosferę?

- Jesteś pewien, że będzie chciała? - zapytałem, głównie dlatego, że takiego pytania oczekiwał.

- Takie odniosłem wrażenie, kiedy się kąpaliśmy wczoraj w nocy - odparł Erik. - A jaka była zazdrosna o tę małą, zauważyłeś?

- Była dość wyzywająca.

- Przyznaję - powiedział Erik i zaśmiał lekko. - Ale Annie nie podobało się, że Gunnar się na nią gapił. To było widać. Uważa z pewnością, że to na nią trzeba się gapić. Większość kobiet ma takie wyobrażenie.

Nie odpowiedziałem. Właśnie tego typu rozmów nie znośłem. Takie quasi-filozofowanie, tanie generalizowanie i podsumowywanie nędznych doświadczeń życiowych, jakie ludzi nachodzi po kilku kieliszkach.

Ty kretyński wypierdku, pomyślałem. Gównu wiesz o życiu. Dopiero gdybym ci wsadził nóż w brzuch i trochę powiercił, trzymając ci jednocześnie lustro przed oczami, zauważyłbyś kompletną pustkę w swoim mózgu. Dopiero wtedy byś się czegoś nauczył.

Aż się zdziwiłem tym nagłym i bogato wyartykułowanym wybuchem złości, jaki przeżyłem wewnątrz. Dotychczas miałem wobec Erika dość przyjazne uczucia, ale teraz wzbudził we mnie obrzydzenie.

- Choć w zasadzie Katarina wydaje mi się bardziej interesująca - powiedział. - To zupełnie inny typ kobiecości.

- Dlaczego nie uderzysz do niej? - zapytałem.

Przez chwilę milczał, przetaczając sobie butelkę z piwem po czole.

- Byłoby to zbyt kosztowne - stwierdził w końcu. - Duży wysiłek i być może zero zysków. Nie, ją zostawiam tobie.

- Nie, dziękuję - powiedziałem.

Nadciągał zmierzch. Przez trawnik w kierunku szopy na narzędzia spokojnie przemaszerował jeź. Przyszło mi do głowy, że najwyższy czas, by poczuł potrzebę zadania mi kilku pytań o mnie i moje sprawy. Ale żadne pytania nie padły, tym razem też nie; spędziliśmy razem prawie pięć dni, a on nadal nic o mnie nie wiedział. Już pierwszego dnia, w samochodzie, podałem mu nazwisko i miejsce zamieszkania, ale nic więcej. Chyba jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo tak kompletnie niezainteresowanego ludźmi dookoła jak Erik Bergman - parę dni trwało, zanim do tego doszedłem, ale teraz widzę to bardzo wyraźnie. A jednocześnie odczuwam ulgę, że jest właśnie taki. Gdyby zaczął grzebać i nękać mnie pytaniami o moje sprawy, nie mógłbym mieszkać z nim na tak niezobowiązujących warunkach.

Z drugiej strony można by sobie zadać pytanie, dlaczego w ogóle pozwala mi tu być; muszę przyznać, że nie do końca to rozumiem. Jeśli ma jakieś skłonności homoseksualne, to w każdym razie udało mu się je starannie ukryć.

Dopił piwo z butelki i zapalił papierosa.

- Myślę, że powinniśmy się przyłączyć do tej wycieczki na wyspy - powiedział. - Jeśli załatwią łódkę i całą resztę.

- Być może - odparłem, a potem rozmowa ucichła.

Siedzieliśmy i gapiliśmy się w coraz czarniejszą noc, a po piętnastu czy dwudziestu minutach Erik oznajmił, że jest zmęczony i idzie do wyra. Powiedziałem, że zajmę się zmywaniem i że jeszcze trochę posiedzę, a on skinął głową i zniknął w swoim pokoju. Słyszałem, jak przesłuchiwał kolejno różne stacje radiowe, ale wkrótce się zmęczył. A ja, tak jak powiedziałem, posprzątałem ze stołu, wziąłem swój notatnik i nowe piwo i wyszedłem na zewnątrz, na taras. Zacząłem robić podsumowanie dnia; gdyby doktor L, wiedział, jak pilnie robię zapiski, pochwaliby mnie. Każdy z nas ma swoją indywidualną drogę do uzdrowienia - zwykły mawiać. - W twoim przypadku pisanie, notowanie tego, co się zdarzyło, jest jednym z ważniejszych komponentów, a może i najważniejszym.

Nie we wszystkim się zgadzam z doktorem L., ale w tym wypadku coraz bardziej rozumiem, że jego ocena była prawidłowa. To słowa zmuszają człowieka do wyboru drogi.

Jest wpół do jedenastej. Odgłosy morza w ciemnościach przypominają oddech ogromnego zwierzęcia. Wokół lampy fruują chmary owadów. Mam poczucie pełni i siły; nie obchodzą mnie ludzie, z którymi obecnie spędzam czas. Nie dostrzegają istoty sprawy i, dopóki tkwią na marginesach, mogę się nimi posługiwać z taką samą łatwością, z jaką posługuję się długopisem w mojej dłoni.

Dzisiejszego wieczoru na tarasie moje myśli krążą wokół Troaë. Na początku napisałem, że wydaje się starą kobietą w ciele młodej

dziewczyny; w zasadzie było to tylko takie sformułowanie, które nagle pojawiło się w mojej głowie, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej dostrzegam, że jest bliskie prawdy. Tak chyba jest z różnego rodzaju refleksjami, które pojawiają się nieproszone; często widać w nich wagę i dobitność, jakiej brakuje wielu przemyślanym i wystudiuowanym ocenom. Bezpośredniość.

Bo przecież coś jest w tym uśmiechu, w tych zręcznych dłoniach ściągających kostium z młodego ciała. Doświadczony ruch, gdy wchodziła na dziewicze tereny; chciałbym, żeby takie słowa nie przychodziły jak na zawołanie, żeby wykazały się zdrowym rozsądkiem i trzymały się z dala od mojej świadomości. Bezpośredniość, o której przed chwilą wspominałem, nie ma sama w sobie oczywistej wartości i mam nadzieję, że nie będę miał snów o tej małej.

Tak czy owak, idę spać. Spokój, jaki odczuwam, jest powierzchowny i możliwe, że zapowiada sztorm i mrok; wydaje się, że spędzę na tym słonecznym wybrzeżu jeszcze kilka dni.

Komentarz

lipiec 2007 roku

Dobrze, że zacząłem od niego. Kiedy ponownie czytam zapiski dotyczące tamtej bezsensownej rozmowy z tym całkowicie pozbawionym uczuć człowiekiem, muszę sobie pogratulować. Choć owego wieczoru nie miałem bladego pojęcia, co się zdarzy, to jednak odkryłem tajemnicę charakteru Erika; suma dobra na całym świecie nie zmalała z powodu jego śmierci, przeciwnie. Motorem mojego działania nie są oczywiście rozważania etyczne, na pewno nie - ale nie zaszkodzi sobie o nich przypomnieć. Nikomu nie będzie brakowało Erika Bergmana; odzyskiwanie balansu, jaki straciłem w Mousterlin, zajęło mi pięć lat - w zasadzie rozpoczęcie odzyskiwania - i były to

okropne lata. Niezliczone noce, kiedy budziłem się zlany zimnym potem w środku snu o ciele dziewczynki w moich ramionach, niezliczone chwile, kiedy stałem na spadzistej krawędzi rozpaczy, gotowy odebrać sobie życie.

Ale pokutą za to, co się wtedy zdarzyło, nie będzie moje życie, tylko ich. Działania muszą mieć swoje konsekwencje, a ja jestem tylko narzędziem sprawiedliwości. To wszystko jest bardzo proste i nie dam się złapać; kiedy tamtego pięknego poranka wreszcie wbijałem nóż w brzuch Erika Bergmana, poczułem, że moje ciało napęlnia się świeżym powietrzem.

Czy muszę mówić coś więcej?

1-7 sierpnia 2007 roku

6.

Christina Lind Bergman była ciemnowłosą kobietą około czterdziestki.

W momencie przywitania odniósł wrażenie, że wydawała się nadzwyczaj opanowana, zważywszy na fakt, że jej jedyny brat został zakłuty nożem. Ale z drugiej strony minęła już przecież doba; może zażyła jakieś tabletki uspokajające. Przypomnił sobie, że jest z zawodu lekarką i że powinna się znać na tego typu środkach.

Jej pierwsze słowa po zakończeniu części formalnej - i po podziękowaniu zarówno za kawę, herbatę, jak i za wodę - dowodziły, że jego ocena była słuszna. Po prostu była opanowana.

- Mój brat i ja nie byliśmy sobie zbyt bliscy - powiedziała. - Powinien pan to wiedzieć. Rozumiem, że musi mnie pan przesłuchać, ale zapewniam, że nie mam o czym opowiadać. Nic nie wiem.

Świetnie, pomyślał Gunnar Barbarotti. W takim razie od początku nie będziemy mieć wygórowanych oczekiwań.

- Aha, rozumiem - odparł. - Czy mogłaby pani to trochę rozwinąć?

Mogła. Kostką małego palca usunęła z kącika oczu jakiś paproch i zaczęła mówić.

- Jestem pięć lat starsza od brata. Nie mamy innego rodzeństwa. To trochę za duża różnica wieku, żeby mieć z siebie nawzajem pożytek, gdy jest się dziećmi. Kiedy byłam młodsza, myślałam, że nasze relacje poprawią się, gdy dorośniemy, no, przynajmniej

wydaje mi się, że miałam taką nadzieję. Ale tak się nie stało. Erik nigdy nie dorósł.

Zrobiła krótką przerwę, jakby oczekiwała jakiegoś komentarza do swojego ostatniego zdania, ale Barbarotti pokazał jej tylko, żeby mówiła dalej.

- Tak, nigdy nie dorósł - powtórzyła. - Nigdy nie dojrzał. Należy do tego gatunku mężczyzn, którzy przez całe życie patrzą na świat oczami nastolatka. Wszystko jest jakąś grą, ludzie są zabawkami, które można wyrzucić, kiedy się znudzą. Szczególnie kobiety. Tak jakby nie potrafili wyjść z przebieralni po meczu piłkarskim drużyny juniorów... Może to brzmi brutalnie, nie lubię tego mówić, ale dlaczego miałabym się certolić?

No właśnie, dlaczego? - pomyślał Gunnar Barbarotti i wzruszył ramionami w jakimś geście półserdeczności, którego sam nie potrafił wyjaśnić.

- Niestety zawsze miał tyle pieniędzy, że mógł prześlizgiwać się przez życie na swój sposób - kontynuowała, zanim zdążył zadać nowe pytanie. - Nasi rodzice zawsze go wspierali.

- Jego własny interes też chyba szedł całkiem nieźle? - spytał Barbarotti.

- Tak, teraz tak - wyjaśniła Christina Lind Bergman, a na jej twarzy pojawił się grymas. - Ale ile milionów mama i tata w niego wpakowali, to tylko oni wiedzą.

- Rozumiem. Chce pani powiedzieć, że jej brat był typem rozpuszczonego yuppie?

- Mniej więcej. Brakowało mu też empatii, a przecież człowiek nie musi być pozbawiony tej cechy, tylko dlatego że wszystko mu idzie jak po maśle. Ja w każdym razie straciłam nadzieję już wiele lat temu.

- Często się pani z nim kontaktowała?

- W ogóle. Nie spotykaliśmy się już nawet na Boże Narodzenie. Mama i tato przestali przyjeżdżać do domu, mają drugi dom

w Hiszpanii. Nie znam żadnych jego przyjaciół. Po prostu nie będę mogła w żaden sposób pomóc.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Zastanowiła się.

- Latem ubiegłego roku. Ale to był przypadek. To było w kawiarni w Lysekil, gdzie mieszkam... i pracuję w szpitalu. Pojawił się w towarzystwie dwóch kolegów. Powiedzieliśmy sobie tylko cześć.

- Ale przedstawił panią swoim kolegom?

- Tak, a ich przedstawił tylko z imienia. Z tego, co się zdążyłam zorientować, byli to mężczyźni tego samego pokroju co Erik. Opaleni, wyszczerkani i na lekkim kacu. Nie pamiętam ich imion. Micke i Patrik albo jakoś tak, tak mi się wydaje.

Gunnar Barbarotti skinął głową.

Przyjemna rodzinka, pomyślał. Silne więzi, te sprawy.

- Jak wyglądają pani relacje z rodzicami? - zapytał.

Podniosła jedną brew.

- Nie rozumiem, co mają wspólnego moje relacje z mamą i tatą z morderstwem mojego brata?

- Może jednak spróbowałyby pani odpowiedzieć na to pytanie - poprosił Barbarotti.

- Nie za dobre - wyznała Christina Lind Bergman. - Raczej kiepskie. Jeśli mam być szczerą, to uważam, że jestem taką białą owcą w tej rodzinie.

- Ach tak - mruknął Gunnar Barbarotti. - No, ale i tak muszę panią zapytać, czy ma pani jakiegokolwiek podejrzenia, czy zastanawiała się pani nad tym, kto mógł zamordować pani brata.

- Nie mam.

- Ale dlaczego?

- Chodzi panu o to, dlaczego ktoś to zrobił?

- Tak.

- Znowu pana rozczaruję. Nie mam pojęcia. Choć nie trudno mi sobie wyobrazić, że zachował się wobec kogoś jak świnia, a ten ktoś

się wkurzył i zakłuł go nożem. Ale to wyłącznie spekulacje, które się państwu do niczego nie przydadzą.

- Brzmi to prawie tak, jakby pani nie była za bardzo zaskoczona? - spytał Barbarotti.

- Oczywiście, że jestem zaskoczona - stwierdziła. - Człowiek zawsze jest zaskoczony, gdy komuś, kogo zna, przytrafi się wypadek.

Nie, pomyślał Gunnar Barbarotti, gdy dziesięć minut później odprowadzał Christine Lind Bergman do windy. W tym wypadku nie były potrzebne żadne środki uspokajające.

- Zgadnij - powiedziała Eva Backman.

- Dwadzieścia pięć - powiedział Gunnar Barbarotti.

- Nie całkiem. Prawidłowa odpowiedź brzmi: dziewiętnaście. Ale według mnie to i tak za dużo.

- Pewnie - zgodził się Barbarotti. - Pokaż.

Podawała mu listę. Pospieszenie rzucił okiem na informacje o Annach Eriksson.

- W niektórych przypadkach pisownia jest inna - wyjaśniła. - Trzy piszą swoje nazwisko przez „c”, a jedna używa pojedynczego „s”. Jeśli założymy, że morderca bierze pod uwagę pisownię, to zrobi nam się piętnaście. Myślisz, że możemy założyć, że facet jest dobry z ortografii?

Gunnar Barbarotti rzucił kartkę na biurko.

- Skąd mam to wiedzieć? - burknął poirytowany. - A poza tym, skąd pewność, że chodzi o Kymlinge?

- Nigdy nie twierdziłam, że mamy pewność - powiedziała Eva Backman i skrzyżowała ramiona na piersiach. - Jak dotychczas dysponujemy danymi statystycznymi w postaci jednej ofiary, więc wiemy za mało... ale tego chyba nie muszę wyjaśniać? Jak tam siostra?

- Świetnie - odpowiedział Barbarotti. - Ale o swoim bracie wie jeszcze mniej niż ja o rytuałach godowych szczeliniaka sosnowca.

- Szczeliniaka sosnowca...?
- To tylko przykład.
- Skąd ty to bierzesz?

Gunnar Barbarotti wzruszył ramionami.

- To się nazywa kreatywność - powiedział. - Mogą człowiekowi przyjść na myśl najróżniejsze rzeczy. A co Asunander mówi o tych Annach? Mamy wszystkie objąć obserwacją?

- Jeszcze nie zdecydował - wyjaśniła Backman. - Właśnie ma spotkanie z Sylveniusem i tymi z Göteborga. Wydaje się, że przyślą nam jakieś wsparcie. I tego psychologa od profili kryminalnych.

Inspektor Barbarotti spojrział na zegarek.

- Za pięć minut jestem umówiony z Grimlem. Może spotkalibyśmy się po tej rozmowie i omówili wszystko na spokojnie?

- Zawsze możemy spróbować - powiedziała Eva Backman. - Jeśli z rodzicami nie zejdzie mi zbyt długo. Już siedzą w moim pokoju i czekają.

Wstała i zawahała się przez chwilę. Później wyszła.

Rozmowa z Andreasem Grimlem trwała pół godziny. Kiedy skończyli, ponownie przesłuchał taśmę, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył.

Wyglądało na to, że nie. Zgadzał się z Backman, że Grimle robił wrażenie sympatycznego, młodego człowieka. I normalnego.

Może człowiek jego pokroju też jest w takiej firmie potrzebny, pomyślał Barbarotti. Jeśli Erik Bergman rzeczywiście był takim sukinsynem, jak twierdziła jego siostra.

Grimle przedstawił trochę jaśniejszy obraz swojego nieżyjącego wspólnika. Twierdził co prawda, że prawie nigdy nie spotykali się w czasie wolnym; Erik był kawalerem, a Andreas Grimle ma żonę, psa i dwoje dzieci, które nie skończyły jeszcze pięciu lat. A zatem są na różnych etapach życia. Byli.

Ostatni raz widział Erika żywego na dzień przed jego śmiercią. Pracowali razem w biurze przy Järnvägsgatan do godziny piątej. Wszystko było mniej więcej jak zwykle. Grimle nie zauważył nic szczególnego; Erik Bergman nie powiedział też nic takiego ani nie zachowywał się tak, jakby przeczuwał, co go czeka.

Co teraz będzie z firmą? - wypytywał inspektor Barbarotti.

Andreas Grimle przyznał, że nie wie. Dwóch prawników specjalizujących się w prawie podatkowym z kancelarii Ohrlings już zaczęło badać sprawę; mogą pojawić się jakieś problemy, ale przypuszczalnie sprawę załatwią między sobą Grimle i rodzice Erika. Miał jednak nadzieję, że będzie mógł kontynuować działalność. W ciągu ostatnich trzech lat firma osiągała dość dobre wyniki.

Zszokowany?

Oczywiście był zszokowany. I gdyby było coś, cokolwiek, co mógłby zrobić, żeby pomóc policji ująć sprawcę, to jest gotowy to zrobić.

- Rozumiem, że Erik zginął przez przypadek, prawda? - zapytał. - Morderca po prostu czekał, gotów zadźgać nożem pierwszą napotkaną ofiarę, prawda?

Inspektor Barbarotti przytaknął niepewnie i powiedział, że taka jest jedna z hipotez. Dochodzenie znajdowało się na razie w fazie początkowej, więc było za wcześnie, żeby wypowiadać się na temat motywów sprawy.

Czy Grimle słyszał o jakichś wrogach Erika Bergmana?

Nie.

Może jacyś konkurenci? Czy morderstwo mogło mieć jakikolwiek związek z ich działalnością gospodarczą?

Nie, w życiu. Oczywiście, mieli konkurencję, ale w ich branży grało się według zasady *fair play*. Jego wspólnik miał pecha i trafił na zaćpanego szaleńca, nic innego nie przychodzi mu do głowy.

Dlaczego? - pomyślał Barbarotti. Jeśli Grimle widywał się z Bergmanem wyłącznie w środowisku zawodowym, w ich wspólnej firmie komputerowej, to przecież nie mógł nic wiedzieć o potencjalnych demonach, które straszyły w prywatnym życiu jego współnika. Chyba sam powinien zauważyć, że jego punkt widzenia jest nieco ograniczony

Ale ponieważ dysponowali już dwunastostronicowym protokołem z wczorajszego przesłuchania, Barbarotti postanowił, że nie będzie rozwijał tego tematu.

- Czy Erik nigdy nie wspominał panu o anonimowych listach? - zapytał już po pożegnalnym uścisku dłoni, w momencie, gdy Andreas Grimle zaczął wychodzić z pokoju.

- Anonimowych listach? - powtórzył Grimle, a na jego otwartej, szczerej twarzy malował się wyraz ogromnego zdziwienia. - Nie, dlaczego do licha miałby mówić o anonimach? Dlaczego pan pyta?

Inspektor Barbarotti nie odpowiedział. Natomiast przypomniał Grimlemu, żeby natychmiast skontaktował się z policją, jeśli sobie przypomni coś, co w jego opinii będzie miało choćby minimalne znaczenie dla dochodzenia.

Grimle obiecał, że tak zrobi, pożegnał się i życzył policji powodzenia w polowaniu na mordercę.

Psycholog z Göteborga pojawił się właśnie wówczas, gdy Barbarotti zamierzał zadzwonić do Backman i zaproponować lunch roboczy w Kungsgrillen.

Więc zrobił się z tego lunch z psychologiem. Nazywał się Curt Lillieskog, a Barbarotti miał wrażenie, że już kiedyś się gdzieś spotkali; Lillieskog też to przyznawał, ale nie potrafili sobie przypomnieć, kiedy i gdzie to było.

Lillieskog miał około sześćdziesiątki, był chudy i wysportowany, emanował szczególnym, wręcz żywiołowym entuzjazmem do swojego zawodu, pasującym raczej do nastolatka. Zupełnie jakby to

właśnie on wymyślił pojęcie profilu psychologicznego sprawcy i teraz odbywał tournée, którego celem było głoszenie tej idei i jej propagowanie.

Zajmowanie się mordercami jest dla niego czymś fajnym, pomyślał Barbarotti. I nie wstydzi się tego.

- Sprawcy piszący listy są niezwykle rzadkością - wyjaśnił Lillieskog na wstępie. - W każdym razie tacy, którzy spełniają swoje zapowiedzi. Przyjemne miejsce, często tu przychodzisz na lunch?

Barbarotti przyznał, że i on, i wielu jego kolegów często odwiedzali Kungsgrillen, kiedy jedzenie w kantynie na komendzie nie było zachęcające; domowa kuchnia tej restauracji rzadko budziła kontrowersje. Zamówili lunch dnia - kotlet mielony *wallenbergare* z piure ziemniaczanym i surowymi borówkami - usiedli przy oknie i wzięli się za określanie profilu.

- Wygląda na to, że mamy do czynienia z osobą, która za wszelką cenę pragnie potwierdzenia swojej wartości - po wiedział Lillieskog.

Taką diagnozę słyszałem już setki razy, pomyślał Barbarotti. Choć to nie znaczy, że nie jest właściwa.

- Możesz powiedzieć coś więcej? - poprosił.

- Jasne - odparł Lillieskog. - Oczywiście niewiele nam to mówi o naszym człowieku, ponieważ dotyczy to zasadniczo wszystkich przestępców. Gdzieś na samym dnie u wszystkich tych ludzi znajdziemy niespełnioną potrzebę potwierdzenia swojej wartości. Mają poczucie, że świat ich nie dostrzega. Najczęściej przyczyna leży gdzieś w dzieciństwie, a potem dochodzą do tego różne wady i niedoskonałości ujawniające się na dalszych etapach życia. Można by powiedzieć, że jest to zasadniczy fundament wszystkich działań o podłożu kryminalnym.

- Rozumiem - powiedział Gunnar Barbarotti. - Więc dlaczego pisze listy?

- Widzę dwie możliwości - wyjaśnił Lillieskog i podzielił swojego *wallenbergare'a* widelcem na dwie części. - Albo jest to znak,

że chce zostać złapany; że w głębi duszy nie jest zadowolony z tego, co robi, i chce pomóc policji w poszukiwaniach i powstrzymaniu go od dalszych czynów...

- Chwileczkę - przerwał mu Barbarotti. - Zakładasz, że zamierza uśmiercić większą liczbę ludzi? Że ta Anna Eriksson też jest na poważnie, tak?

- Uważam to za bardzo prawdopodobne - powiedział Lillieskog. - Możliwe, że jest cała lista osób, które ma na celowniku. Trzy osoby, a może siedem czy nawet dwanaście; ludzie, którzy w jego odczuciu byli dla niego wredni. Ale równie dobrze może być tak, że wybrał nazwiska zupełnie przypadkowo, z książki telefonicznej. Znaleźliście już jakiś związek pomiędzy Erikiem Bergmanem i Anną Eriksson?

- Nie na tym etapie - odparł Barbarotti. - Ale mamy specjalną grupę, która się tym zajmuje. W kręgu najbliższych znajomych Bergmana nie ma żadnej Anny Eriksson, to wiemy z całkowitą pewnością. Szukamy teraz znajomych znajomych i jest to dość zmudna robota, ponieważ...

- Ponieważ nie chcecie ujawnić informacji o tych listach - wtrącił Lillieskog i przez chwilę, jak zauważył Barbarotti, wyglądał na prawdziwie podekscytowanego.

- Tak, tak właśnie jest. Przepraszam - powiedział Gunnar Barbarotti. - Powiedziałaś, że jedną z alternatyw jest to, że ofiary są wybrane mniej lub bardziej przypadkowo, a morderca pisze do mnie listy, bo chciałby, żebym go wsadził za kratki. Ale dlaczego pisze właśnie do mnie? No i jaka jest druga możliwość? Mówiłaś, że są dwie.

Lillieskog pospiesznie przeżuł ugryziony kęs i przełknął, pomagając sobie napojem borówkowym.

- Odpowiedź na pytanie, dlaczego pisze właśnie do ciebie, jest bardzo trudna. Może coś do ciebie ma... może to były przestępca, którego wpakowałaś do pierdła. To jeden z przykładów, ale musicie brać pod uwagę i taką możliwość... Może też być tak, że po prostu

zna twoje nazwisko. Może pisali o tobie w gazetach albo mówili w telewizji... Jesteś w książce telefonicznej?

Gunnar Barbarotti skinął głową.

- To może być wystarczający powód. Nie mamy pewności, że ty możesz wiedzieć, o kogo chodzi, przeciwnie, uważam za bardzo prawdopodobne, że nie wiesz. A co do alternatywy... No więc, może być tak, że mamy do czynienia z człowiekiem dużo bardziej przebiegłym.

Bardziej przebiegłym? - pomyślał Barbarotti. Wyglądało, jakby opowiadał o postaci w stylu Karlssona z dachu* lub kogoś podobnego.

* Chodzi o tytułowego bohatera jednej z bajek Astrid Lindgren.

- Myślisz, że... - zaczął.

- Myślę, że mogą istnieć dużo bardziej racjonalne powody, dla których... Założmy dla potrzeb tej analizy, że to jest mężczyzna... że pisze te listy i w ten sposób chce utrudnić pracę policji i nie dać się złapać.

Ucichł i patrzył na Barbarottiego z nieukrywanym zachwytem. Inspektor odłożył widelec i nóż na talerz. Wytarł usta serwetką i zastanawiał się nad sensem wypowiedzi Lillieskoga.

- Utrudnić pracę policji? - powtórzył. - Teraz się pogubiłem. W jaki sposób miałby utrudniać naszą pracę, skoro...

Lillieskog podniósł do góry palec wskazujący.

- Trudno powiedzieć. Być może wcale mu się nie uda.

Mówię tylko, że jego celem jest zrobienie większego zamieszania. A może listy mają coś zasłonić. Musicie poświęcić mnóstwo sił i środków, żeby zrozumieć, dlaczego, do diabła, on pisze te listy i daje wam cynk... choć niewykluczone, że te siły należałoby poświęcić na coś zupełnie innego.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się. Uważał, że brzmiało to jednocześnie kusząco i kompletnie bezsensownie.

- Może też być tak, iż właściwie chodziło mu tylko o zamordowanie tego Bergmana - kontynuował Lillieskog z entuzjazmem. - A teraz chce, jakby to powiedzieć, rozproszyć waszą uwagę, skierować ją we wszystkich możliwych kierunkach. I jeśli tak jest, to trzeba przyznać, hmm, że mu się udało.

- O ile to drugie rozwiązanie jest prawidłowe - powie dział Barbarotti po kilku sekundach namysłu - to mamy do czynienia ze sprawcą, który potrafi zaplanować swoje działania. Prawda?

Lillieskog pochylił się przez stół w jego kierunku i ściszył głos.

- To mamy do czynienia ze sprawcą, który potrafi znakomicie planować - doprecyzował. - Nie muszę chyba dodawać, że w takim przypadku mamy do czynienia z niesłychanie skomplikowaną sprawą. Niesłychanie skomplikowaną.

- No i jaki on jest? - chciała wiedzieć Eva Backman pół godziny później. - Psycholog od profili.

- Nie do końca normalny - odpowiedział Barbarotti. - Ale najgorsze jest to, że w wielu punktach ma rację.

- Co masz na myśli?

- Że w wielu punktach ma rację, tylko tyle. Powiedział parę rzeczy, które być może się potwierdzą.

- Dziękuję, to akurat zrozumiałam. Ale co powiedział, podaj jakiś przykład.

- Jak choćby to, że mamy do czynienia z zawodnikiem obdarzonym mózgiem, który... przemyślał to, co robi, nie raz i nie dwa.

- To, co robi? - wyrwało się Evie Backman. - Zabił nożem jednego faceta i napisał dwa listy. Z tego, co mówisz, można wywnioskować, że to tylko początek. Masz coś konkretnego na myśli?

- Niewiele - odpowiedział Gunnar Barbarotti. - Mam nadzieję, że się mylę. A ty co myślisz?

Eva Backman potrząsnęła głową i zakłęła.

- Nie mam, cholera, czasu na myślenie, kiedy cały czas muszę przesłuchiwać ludzi i obrabiać dokumenty.

- Ojoj - ubolewał Barbarotti.

- Przez cały ranek rozmawiałam z jego rodzicami, teraz zabieram się za czterech nieżonatych kumpli Bergmana. Jeśli Asunander i wujek Sylvenius postanowią, że trzeba na bieżąco monitorować Anny, to możemy zapomnieć o życiu rodzinnym przez najbliższe dni.

- Ja nie mam życia rodzinnego - podkreślił Barbarotti. - Ale to nie ma znaczenia. Czy są wśród tych kobiet takie, które można uznać za bardziej interesujące niż inne?

Eva Backman wzruszyła ramionami.

- Dwie z nich nie mają jeszcze dwunastu lat; miejmy nadzieję, że to nie one są najbardziej interesujące. Ale i tak zostaje nam siedemnaście... jeśli ograniczymy się tylko do Kymlinge.

- A jeśli nie ograniczymy się do Kymlinge?

- No, a jak myślisz? - zapytała.

Jasna cholera, pomyślał Gunnar Barbarotti i poszedł do swojego pokoju. Niedobrze mi, to wszystko jest jakieś chore.

Zdążył posiedzieć na swoim krześle tylko pięć minut. Potem zadzwonił komisarz Asunander i wezwał go na naradę.

7.

- Astor Nilsson z policji w Göteborgu - poinformował komisarz Asunander. - Ty i Backman dalej prowadzicie dochodzenie, pomaga Nilsson. Jasne?

- Jasne - odparł Barbarotti.

Asunander miał, jak zwykle, problem ze swoją sztuczną szczęką. Przesuwała się, odklejała od podniebienia, przez co musiał wyrażać się zawsze możliwie najbardziej skrótowo. A sztuczna szczeka była

efektem dobrze wymierzonego ciosu kijem bejsbolowym, jakim poczęstował go naćpany pętał jakieś dziesięć lat temu. Od tamtego zdarzenia komisarz wolał pracować za biurkiem. Nigdy nie brał udziału w działaniach operacyjnych, rzadko sam przesłuchiwał i dorabiał sobie na boku, opracowując krzyżówki dla trzech czy czterech tygodników. Ale był szefem wydziału kryminalnego policji w Kymlinge i miał jeszcze przynajmniej dwa lata do emerytury

Barbarotti przywitał się z Astorem Nilssonem, potężnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną, którego uścisk dłoni przypominał imadło. A zatem Göteborg przysłał wsparcie w postaci tylko jednego człowieka. Usiedli w pokoju Asunandera, każdy na swoim krześle dla gości. Komisarz usiadł za swoim biurkiem i wyłączył cztery telefony.

- Techniczni nic nie znaleźli - powiedział. - Żadnych śladów. Skomplikowane.

- Świadkowie? - zapytał Barbarotti. - Którzy widzieli, jak Bergman wyruszał z domu, albo którzy spotkali go na ścieżce?

- Na razie nie - odpowiedział Astor Nilsson, uwalniając Asunandera od konieczności mówienia. - Ale może się pojawia, bo nasi ludzie rozpytują sąsiadów i kogo się da. A właśnie, jakaś kobieta widziała, jak przebiegał pod jej oknem kuchennym tuż po szóstej; ma osiemdziesiąt dwa lata i zawsze wstaje tak wcześnie... Choć przecież i tak wiedzieliśmy, że był na porannej rundce joggingu.

- Tym razem nie przebiegł całej rundki - zauważył Barbarotti.

- To prawda - potwierdził Nilsson.

- Nie wtrącam się w działania operacyjne - zadeklarował Asunander i spojrział z wyrzutem na Barbarottiego; przecież nie wzywał go tu na dyskusję o ogólnej sytuacji dochodzenia.

Barbarotti wymienił spojrzenie z kolegą z Göteborga i skinął głową.

- Anna Eriksson - warknął Asunander. - Musimy podjąć decyzję.

Astor Nilsson odchrząknął i zaczął mówić. Najwyraźniej miał wszystkie bieżące informacje, przecież był w pokoju, kiedy przyszedł Barbarotti. Może był tu już od rana.

- Mamy dziewiętnaście domniemanych ofiar - zaczął. - Zadzwoniliśmy do wszystkich, najpierw pod numer do mowy, potem na komórkę. W szesnastu przypadkach była odpowiedź i...

- Chwileczkę - przerwał mu Barbarotti. - Kto dzwonił? Co im powiedział?

- Nic - warknął Asunander z wściekłością.

- Zajął się tym dwóch ludzi - powiedział Astor Nilsson.

- Borgsen i Killander... Dobrze mówię?

- Dobrze - potwierdził Asunander.

- Borgsen i Killander dzwoniли do wszystkich, ale gdy tylko w słuchawce odzywała się Anna, przerywali rozmowę. Nie mówiąc ani słowa. Pięć z nich odebrało telefon domowy, pozostałe komórkowy... prawdopodobnie były w pracy albo na świeżym powietrzu, w taki piękny dzień.

Zrobił ruch ręką w kierunku okna, jednak przez szczelnie opuszczone żaluzje nie przedostawał się nawet promyczek słońca.

- Można też przypuszczać, że niektóre z nich są daleko stąd. Zrobiliśmy tylko wstępne obdzwanianie wszystkich...

- Przepraszam - przerwał mu Barbarotti. - Jaką właściwie mamy strategię? Czy chcemy ostrzec te kobiety, czy...

- Decyduj - burknął Asunander.

- Właśnie to musimy ustalić - wyjaśnił Astor Nilsson.

Biedaczek, pomyślał Gunnar Barbarotti. Musiał się użerać z Asunanderem całe przedpołudnie?

- Jasne - powiedział. - Nie możemy przecież ich chronić, nic im nie mówiąc. Z tego, co rozumiem, waszym zdaniem... nie powinniśmy im w ogóle nic mówić?

Zęby Asunandera zaklikały złowieszczo, ale nie wypowiedział ani słowa.

- Jak myślisz? - zapytał Astor Nilsson.

- Hmm - zawahał się Gunnar Barbarotti. - Będziemy głosować?

Ja uważam, że natychmiast powinniśmy je powiadomić o całej sytuacji.

- Dlaczego? - warknął Asunander.

Astor Nilsson westchnął głęboko, jakby z ulgą. Aha? - pomyślał Gunnar Barbarotti. Najwyraźniej stanąłem po właściwej stronie.

- Dlatego że... - powiedział inspektor Barbarotti, przeciągając słowa i szukając pospiesznie rozsądnego uzasadnienia. - Jest, oczywiście, wiele powodów... aspekt ochrony jest chyba najbardziej ewidentny. Byłoby dobrze, gdybyśmy uniemożliwili mu zabicie kolejnej osoby, po prostu. Takie są podstawowe zadania policji. O ile mi pamięć nie szwankuje... mamy chronić obywateli. Ale poprawcie mnie, jeśli się mylę.

- Hmm - mruknął Asunander i złamał ołówek.

- Są też inne aspekty - kontynuował Barbarotti. - Jeśli na przykład istnieje jakiś związek pomiędzy Erikiem Bergmanem a Anną Eriksson, to może Anna Eriksson będzie nam mogła o nim opowiedzieć.

- No właśnie! - wykrzyknął Astor Nilsson.

Asunander niezrozumiale wymamrotał coś, co prawdo podobnie miało znaczyć „środk”, a potem wstał.

- Wy odpowiadacie - rzucił. - Raportujecie do mnie. Odmeldować się.

Barbarotti i Nilsson opuścili pokój komisarza Asunandera.

- Jasna cholera - zaklął Astor Nilsson, kiedy wyszli na korytarz.

- Już tęsknię do domu. To najbardziej przesrane przedpołudnie, jakie przeżyłem od dnia, w którym szczeniła się moja leonbergerka. Zawsze taki jest?

- Musisz go zobaczyć, jak nie ma humoru - odparł Barbarotti. -

Chodźmy do mojego pokoju na naradę. Jeśli dobrze zrozumiałem, razem prowadzimy to dochodzenie.

- Wielkie nieba! - powiedział Astor Nilsson i włożył do ust porcję snusu*.

* Popularna w krajach skandynawskich używka na bazie tytoniu, przeznaczona do ssania.

- A zatem musimy ujawnić nazwisko ofiary, tak? - zapytała Eva Backman. - Chodzi mi o Erika Bergmana.

- A są inne ofiary? - zapytał Barbarotti.

- Nie łap mnie za słówka - odcięła się Backman.

- Jeśli ma to coś dać, to przynajmniej Annom musimy powiedzieć, że chodzi o niego - potwierdził Astor Nilsson. - Chociaż na mieście wszyscy już pewnie wiedzą, zwykle tak to bywa. Musimy je zapytać, czy mają z nim jakieś powiązania. Czy przynajmniej wiedzą, kim jest... a potem od razu przejdziemy do kwestii ochrony, ale jeśli dobrze zrozumiałem, to...?

- Smutas już się tym zajął - potwierdziła Eva Backman.

- Na razie tylko teoretycznie. Pod tym względem Asunander ma rację: tego typu historia może oznaczać niewyobrażalnie dużo pracy

- Można pójść na skróty - rzucił Astor Nilsson.

- Tak? - zaciekawiła się Backman.

- Możemy rozmawiać z tymi kobietami, niczego nie odsłaniając. Dzięki temu ich nie wystraszymy. Możemy tylko wypytywać o Erika Bergmana.... nie zdradzając, jaki to ma związek z nimi. Sam nie wiem. Jak myślicie?

Spoglądał to na Backman, to na Barbarottiego. Eva Backman wpatrywała się w swoje buty. Barbarotti wyglądał przez okno. Minęło pięć sekund.

- *All right* - przerwał ciszę Barbarotti. - Dlaczego nie spróbować

na początek tej drogi. Proponuję jednak, że rozmowy przeprowadzi nasza trójka. Za pierwszym razem rozmawiamy z nimi przez telefon i ustalamy możliwie najszybszy termin spotkania... oko w oko... niektóre na pewno są na urlopach, więc spotkań nie będzie wiele.

- Szesnaście z tych dziewiętnastu odbiera telefony, to już wiemy - powiedziała Eva Backman. - Ale wezwiemy je tu na rozmowę na... jutro, tak?

- Tak - potwierdził Barbarotti. - Trzymajmy się tej linii, przynajmniej jeśli chodzi o te, które są blisko. Nie uważam, żebyśmy musieli ściągać tu kogoś, kto właśnie bawi na Majorce albo w Tajlandii.

- I pytamy wyłącznie o to, czy znają Erika Bergmana - powtórzył Astor Nilsson. - Tak?

- Tak - powiedział Barbarotti. - Przez telefon tylko to... Jeśli trafimy na taką, która ma coś ciekawego do powiedzenia, to oczywiście ściągamy ją tutaj od razu. Potem zdecydujemy, co będziemy robić jutro. Wszyscy się zgadzają?

Eva Backman kiwnęła głową. Astor Nilsson kiwnął głową.

- Dobra - rzekł Gunnar Barbarotti. - Tutaj jest lista. Dziewiętnaście kobiet o imieniu Anna i nazwisku Eriksson. Każde z was bierze sześć, dla mnie zostanie siedem. Jest druga. Umówmy się, że spotykamy się tutaj za dwie godziny i każdy przedstawi raport ze swoich rozmów, dobra?

- Potrzebny mi jakiś pokój - powiedział Astor Nilsson. - A przynajmniej telefon.

- Chodź ze mną - odparła Eva Backman. - To żaden problem. Połowa ludzi jest na urlopach.

Kiedy wyszli, inspektor Barbarotti uświadomił sobie, że nie minęła jeszcze doba od chwili, gdy opuścił Visby. A wydawało się, jakby to był miesiąc.

Gdzieś tam krążył morderca, który miał nad nimi przewagę.

Nic nie ustalili.

Tak można podsumować te rozmowy.

Gdy Barbarotti wychodził z komendy, było już po ósmej. Spośród szesnastu kobiet o imieniu Anna - wszystkie już wcześniej miały telefon z policji, choć o tym nie wiedziały - żadna nie przyznawała się do jakiegokolwiek powiązania z zamordowanym Erikiem Bergmanem. Tyko dwie z nich wiedziały, kim był: jedna dlatego, że jej mąż pracował w firmie, która miała swoje biura przez ścianę z firmą komputerową Bergmana przy Järnvägsgatan, a druga, ponieważ chodziła do równoległej klasy w tym samym gimnazjum. Osiem spośród pań Eriksson obecnie przebywało w Kymlinge, a pięć z nich słyszało o morderstwie. Cztery Anny znajdowały się w innych miejscach na terenie Szwecji, cztery były na urlopie za granicą.

Z trzema nadal nie udało się nawiązać kontaktu, niestety.

Syndrom Gustabo, pomyślał Barbarotti pośpiesznie, gdy przechodził skosem przez Norra Torg. Z nią też nie ma kontaktu.

Ogólnie można powiedzieć, że narastało w nim niezadowolenie.

Czym my się właściwie zajmujemy? - rozmyślał. Zachowujemy się jak bezwolne kukielki. Oczywiście, reguły mówią, że trzeba pracować w sposób obiektywny i otwarty, bez z góry ustalonych tez, ale to, co się dzisiaj działo, przypominało totalny chaos. Jak to Backman określiła dziś rano? „Tańczymy tak, jak nam morderca zagra”?

Niestety, chyba miała rację. Bo jeśli prawdziwa była alternatywa numer dwa Lillieskoga - sprawca, który starannie planuje swoje czyny - to wszystkie dotychczasowe działania policji były właśnie tym, na co czekał. Każdy mógł się ich spodziewać. Czyż nie?

Minęło półtorej doby od zamordowania Erika Bergmana. Nie znaleźli choćby najmniejszego śladu. A jego myśli biegły przez cały dzień w inną stronę - w kierunku przestępstwa, które jeszcze się nie zdarzyło. Jakże łatwo było popychać siły policyjne w stronę, na której

komuś zależało. Przypomnił sobie stary slogan reklamowy poczty z *anno domini* prehistoria. „List znaczy tak wiele”. Chyba nawet był szlagier o tym tytule.

Przypomnił sobie też napad na bank, o którym czytał kilka lat temu. W Niemczech, o ile się nie mylił. Sprawcy zagrozili wybuchem bombowym w trzech bankach w pewnym mieście, policja rzuciła wszystkie swoje siły do tych banków, a sprawcy obrabowali czwartą.

A co będzie, jeśli jutro przyjdzie kolejny list z nowym nazwiskiem? Co wtedy zrobią?

A co będzie, jeśli te Anny, z którymi rozmawiali, zaczną się domyślać, o co chodzi?

I najgorszy z możliwych scenariuszy: co będzie, jeśli jedna z tych kobiet rzeczywiście zostanie zamordowana, a do wiadomości publicznej przecieknie informacja o tym, że policja dostała ostrzeżenie o planowanym morderstwie, ale nie podjęła żadnych kroków, żeby chronić ofiary?

Nie, pomyślał Gunnar Barbarotti. Kiedy jutro będziemy z nimi rozmawiać, musimy grać w otwarte karty. Niezależnie od ceny.

Może należałoby skontaktować się ze służbami bezpieczeństwa i poprosić o przysłanie trzydziestu ośmiu ludzi? Czyż nie taka jest procedura, gdy ochraniają czołowych polityków i inne osobistości? Dwóch na każdy obiekt chroniony? Jest oczywiście różnica pomiędzy ministrem jakimś tam a zwykłą Anną Eriksson.

Albo może zaproponować wszystkim Annom, że zamkniemy je w areszcie? Byłoby to bez wątpienia najmądrzejsze i najtańsze rozwiązanie.

Kiedy w jego głowie pojawiła się ta ostatnia myśl, uznał, że czas iść do domu i spróbować pospać, choćby kilka godzin.

Każdy dzień ma własne zmartwienia. Święta prawda.

8.

Ale jak tu zmrużyć oczy?

Przeżywał to już wielokrotnie. Co prawda nie mógł utrzymać oczu otwartych na tyle długo, żeby na przykład dało się coś poczytać, ale gdy tylko je zamykał i próbował zasnąć, miał wrażenie, że w głowie zagnieździł mu się rój pszczoł. O wpół do pierwszej wstał, wyjął piwo z lodówki i usiadł przy biurku. Siedział w ciemności i patrzył przez okno na rzekę Kymlinge. Widział oznaki suchego lata. Bładożółte światło latarni odbijało się w wodzie, działającej przy tym jak filtr, który powodował zmatowienie obrazu; poziom wody był tak niski, że z gliniastego podłoża wystawały fragmenty wrzuconych tam rowerów i najróżniejszych gratów. To był brzydki widok.

W takiej brei nie dałoby się nawet nikogo utopić, pomyślał inspektor Barbarotti i wypił łyk piwa.

Oczywiście bezcelowe byłoby zastanawianie się nad tym, dlatego właśnie w jego głowie pojawiła się taka myśl.

Zapalił lampę i otworzył nowy notatnik. Skoro już nie śpi, to może spróbuje uporządkować trochę kłębiące się myśli; zwykle pomagało to uciszyć ten szumiący w głowie rój. Ze starej puszki po herbacie wyjął długopis i zaczął się zastanawiać, a potem szybko zapisał nazwiska czterech osób:

Erik Bergman

Anna Eriksson

Gunnar Barbarotti

Morderca

To czwarte to wprawdzie nie było nazwisko - miał tego świadomość - ale na tym polegała gra, chodziło wszak o znalezienie tego nazwiska. Każdego z uczestników gry otoczył kółeczkiem. Nie pomogło. Postawił krzyżyk po słowie „Morderca” i gapił się na nie

przez pół minuty. To też nie pomogło. Podarł kartkę, wrzucił ją do kosza i zaczął od początku. Narysował kwadrat i w każdym jego rogu umieścił jedno nazwisko. Podkreślił nazwiska i narysował przekątne. Przez chwilę wpatrywał się w osiągnięty wynik. Podarł kartkę i wrzucił ją do kosza.

Co za brednie - pomyślał.

Zamiast rysować, zaczął zapisywać pytania. Po dziesięciu minutach doszedł do dwudziestu. Przerwał i zaczął się zastanawiać. Wybrał te, na które mógł udzielić odpowiedzi, przygryzł długopis i skoncentrował się.

Po kolejnych dziesięciu minutach nadal był w punkcie zero.

Jasna cholera, pomyślał Gunnar Barbarotti, przecież to nie ma sensu. Dwadzieścia pytań i żadnej odpowiedzi. Nie widać żadnych wyników dochodzenia.

Chociaż trzeba być sprawiedliwym - pracował nad tym dopiero jeden dzień. Stara dobra zasada głosiła, że chcąc uzyskać ważne odpowiedzi, trzeba najpierw postawić ważne pytania. Pomyślał nagle, że może przydałaby się rozmowa z Bogiem, ale nie potrafił znaleźć słów. Poza tym wydawało mu się to nieodpowiednie. Ten *deal*, który obowiązywał między nimi od pięciu lat, zakładał - jeśli dobrze pamiętał, bo niestety nie ma pisemnej dokumentacji w tej sprawie - że nie będzie prosił o bezpośrednią pomoc w trwających dochodzeniach. Bóg nie był przecież aż tak wszechmocny, a przede wszystkim nie był policjantem, jednak po chwili wahania Barbarotti znalazł rozwiązanie kompromisowe.

Boże, poprosił. Wyślij promień światła do głowy zamroczonego i błądzącego po omacku gliనిarza. Utknąłem i nie wiem, co dalej. Rzuć w swojej wielkiej łasce choćby słomkę; nie jest to prośba, za którą przydzielamy punkty, ale co za różnica. Jeśli jutro podczas lunchu poczuję, że robię krok we właściwym kierunku, to dopiszę ci plusa do twojego bilansu punktowego, okej? I tak masz przewagę jedenastu punktów, gratuluję, gratuluję.

Nasłuchiwał odpowiedzi, ale jedyne, co usłyszał, to warkot motocykla, który z hukiem przejechał aleją kasztanowców po drugiej stronie rzeki.

Cholerni chuligani, pomyślał Gunnar Barbarotti, przecież obudzą pół miasta. Trzeba zadzwonić na policję.

Później wlał w siebie resztkę piwa i spojrzał ponownie na pytania.

Pięć minut, pomyślał, dam im jeszcze pięć minut.

Czy był to wpływ boskiego przewodnictwa, czy też nie, trudno ocenić, ale z czarnej czeluści kopalni, jaką było jego wnętrze, zaczęła się wylaniać pewna myśl, a może po prostu jego zdolność do symultanicznego działania całkowicie zanikała - kolejny smutny dowód na to, że mężczyźni potrafią myśleć tylko o jednej rzeczy naraz.

Chodziło o te Anny... i o ewentualne relacje mordercy z jego ofiarami.

Bo jeśli... - pomyślał inspektor Barbarotti w tej samej chwili, gdy usłyszał, jak zegar na kościele Karola wybija wpół do drugiej - bo jeśli założyć, że rzeczywiście istniała jakaś relacja, zarówno pomiędzy mordercą i jego ofiarami, jak i między samymi ofiarami, a zatem nie chodziło o jakiegoś szaleńca, który wybierał nazwiska z książki telefonicznej, to oznacza to, że ujawnienie nazwiska ofiary numer dwa wiązało się dla mordercy z ogromnym ryzykiem.

Ponieważ można założyć, że ofiara numer dwa znała ofiarę numer jeden, choć może słowo znała jest zbyt daleko idące, skorygował się inspektor Barbarotti, drepcąc boso do kuchni po piwo numer dwa, ostrożnie i delikatnie jak pantera, żeby nie zgubić myśli, lub że przynajmniej istniało jakieś powiązanie między nimi i, dalej, że ofiara numer dwa mogła powiadomić policję o tym powiązaniu i...

...i, w końcu, zasugerować policji, kto był ich najmniejszym wspólnym mianownikiem, czyli mordercą.

Czyli mordercą, powtórzył w swojej głowie inspektor.

I jeśli ten morderca rzeczywiście był człowiekiem tak drobiazgowo planującym swoje ruchy, jak to opisał psycholog Lillieskog, to byłoby chyba...?

...tak, byłoby chyba cholernie dziwne, gdyby dał policji szansę na rozmowę z Anną Eriksson przed jej zamordowaniem! Właśnie.

Właśnie. Gunnar Barbarotti wypił łyk piwa i wpatrywał się w okno. Czy jego wywód miał jakieś wady? Chyba nie. Co to oznacza dla ich dalszej pracy?

Odpowiedź pojawiła się po kilku sekundach. Oznacza to po prostu, że jutrzejsze przesłuchania z szesnastoma Annami nic im nie przyniosą - nie, nie było ich aż tyle, przecież niektóre były poza Kymlinge, parę z nich bardzo daleko - ponieważ...

...ponieważ ta właściwa Anna Eriksson z największym prawdopodobieństwem należała do tych trzech, z którymi nie udało się nawiązać kontaktu.

A jeśli morderca naprawdę zamierzał ją zabić, to nie zostało jej zbyt wiele czasu.

Albo może już była martwa.

Przez chwilę siedział i analizował tę konkluzję na spokojnie, dopijając drugie piwo, i pomyślał, że o tej porze łatwo jest dochodzić do takich konkluzji. W środku nocy, siedząc samotnie przy swoim biurku z piwem w garści, przy ostatniej kwadrze księżyca, obserwując szlamowatą rzekę.

Ale poczucie, że jego sposób myślenia był jak najbardziej prawidłowy, miało również swoją wagę. A później pojawił się znowu obraz mocarnej siły wyższej i talii kart.

No proszę, pomyślał inspektor Barbarotti. Dzisiaj znowu pasjans wyszedł. W końcu.

Może.

Rankiem spotkał Eve Backman na parkingu dla rowerów.

- Wpadła mi w nocy do głowy pewna myśl - przyznał z wahaniem.

Eva Backman kiwnęła głową.

- Mnie też - powiedziała. - Ja zacznę. Wydaje mi się, że musimy się skupić na tych trzech Annach.

- Co u diabła?! - krzyknął Barbarotti.

- Poczekaj, zaraz wyjaśnię - powiedziała Backman. - Jeśli jest tak, że...

- Daj spokój! - przerwał jej Barbarotti. - Ja doszedłem dokładnie do tego samego wniosku. Nie musisz wyjaśniać. Możemy odwołać te przesłuchania, bo jeśli mamy kogoś ochraniać, to raczej te trzy, których wczoraj nie znaleźliśmy.

- Nie - stwierdziła Eva Backman. - Tak nie można. Nie możemy po raz trzeci dzwonić do tych biednych kobiet. Posadzimy przy tym Larssona i Killandera, przygotujemy formularz z pytaniami, na które będą odpowiadać. Przecież nie zaszkodzi. To tylko osiem osób. Ale ani słowa o listach. Nie mogą się domyśleć, o co chodzi.

Barbarotti zastanawiał się.

- *All right* - powiedział. - Może i masz rację. Ale ty i ja musimy wybrać właściwą spośród pozostałej trójki.

Kiedy przechodzili przez hal wejściowy, na sekundę położyła dłoń na jego ramieniu.

- Gunnar - powiedziała. - Mam takie nieprzyjemne uczucie. Wydaje mi się... wydaje mi się, że tym razem mamy do czynienia z wyjątkowo ohydny typem.

Zatrzymał się i spojrzął na nią. Nagle zrozumiał dwie rzeczy.

Po pierwsze, nigdy wcześniej nie słyszał czegoś takiego z jej ust.

Po drugie, przypuszczalnie miała rację.

- Bardzo możliwe - powiedział. - Ale i tak to rozwiążemy

Grupa brakujących Ann zmaląła z trzech do dwóch już za piętnaście dziewiąta. Asystent kryminalny Molin delikatnie zapukał do drzwi Barbarottiego i zameldował, że nawiązano kontakt z Anną Eriksson,

lat czterdzieści dwa, która przebywała na urlopie na Lofotach z mężem i dziećmi. Zasięg telefoniczny nie był tam najlepszy, jak widać, ale aktualnie znajdowała się w kawiarni w stolicy regionu, Svolvaer, i tam ją złapaliśmy. Pytała, o co chodzi.

Molin jej tego nie wyjaśnił; policja poszukiwała osoby o tym nazwisku, ale ponieważ ona była poza Kymlinge, nie mogło zatem chodzić o nią.

- Bo tak możemy założyć, prawda? - zapytał Molin. - Że nie chodziło o tę właśnie Annę?

Barbarotti powiedział, że tak mu się wydaje, i podziękował. Asystent wyszedł na korytarz.

Zostały dwie.

Jedna Anna Eriksson mieszkała przy Grimstalundsvägen 32. Miała pięćdziesiąt sześć lat, była rozwiedziona, miała dwoje dorosłych dzieci, mieszkała sama, pracowała jako analityk biomedyczny w szpitalu, ale akurat teraz mijał trzeci tydzień jej urlopu; pozostał jej jeszcze jeden. Miała komórkę, ale od dwóch dni nie odbierała telefonu.

Anna Eriksson numer dwa miała trzydzieści cztery lata i mieszkała przy Skolgatan 15. Z posiadanych informacji wynikało, że pracowała w biurze reklamowym pod nazwą Sfinx, które było zamknięte z powodu urlopu do początku sierpnia. Nie miała męża, a ponieważ zajmowała jednopokojowe mieszkanie o powierzchni niespełna czterdziestu metrów kwadratowych, założono, że mieszkała sama.

- Skolgatan 15 leży niecałe trzy minuty stąd - stwierdziła Eva Backman, która od pół godziny siedziała w jego pokoju. - Przejdę się tam i pogadam z sąsiadami. Najlepiej od razu, zanim powyjeżdżają na działki.

Gunnar Barbarotti skinął głową i rzucił spojrzenie przez okno.

Miała rację. Wyżowy upał.

- Idź - powiedział. - Ale chyba jeszcze za wcześnie na oględziny mieszkania?

- Może jest w domu - optymistycznie powiedziała Eva Backman. - Może mamy do niej nieaktualny numer. A później pójdę na Grimstalundsvägen, dobra?

- Tak, idź - powtórzył Barbarotti i zaczął podwijać rękawy. - A ja w tym czasie zapanuję nad frontem wewnętrznym.

Front wewnętrzny składał się tego przedpołudnia z trzygodzinnej odprawy i wysłuchiwania raportów. Astor Nilsson i psycholog Lillieskog byli na miejscu; prawdopodobnie obaj zakwaterowali się w hotelu Kymlinge. Komisarz Asunander też był obecny w pokoju odpraw przez większość czasu, ale nic nie mówił. Stał w rogu, zagryzał zęby i czuwał nad wszystkim z groźnym i nieprzeniknionym wyrazem twarzy - tak przynajmniej widzieli to inni.

Wygląda jak człowiek na pogrzebie teściowej, pomyślał Barbarotti w pewnej chwili.

Pierwszy w kolejce był lekarz sądowy Kallwringel. Jeszcze rok temu nazywał się Karlsson i na całej komendzie do znudzenia wałkowano kwestię, jakim cudem w urzędzie wydano mu zgodę na przyjęcie takiego właśnie nazwiska. W gazecie personalnej pojawiła się nawet notatka podpisana pseudonimem Ballwinckel.

Tym razem jednak nie chodziło o kwestię dziwnego nazwiska. Kallwringel ze szczegółami objaśniał przez dwadzieścia pięć minut to, co wszyscy w gruncie rzeczy wiedzieli; a mianowicie, że trzydziestosześcioletni Erik Bergman zmarł wczesnym rankiem we wtorek nad rzeką Kymlinge, na wysokości gospodarstwa ogrodniczego Tillgrenów, z powodu pięciu pchnięć nożem, przy czym co najmniej dwa z nich były śmiertelne, a także że przypuszczalnie był już nieprzytomny, gdy sprawca oddawał ostatni cios. Na podstawie oględzin zwłok nie dało się wyciągnąć żadnych pewnych konkluzji dotyczących sprawcy, ale prawdopodobne wydawało się, że był to osobnik

obdarzony sporą siłą fizyczną, i z tym samym prawdopodobieństwem można było powiedzieć, że jest on (lub, co możliwe, aczkolwiek mało prawdopodobne, ona) praworęczny. Nie znaleziono żadnych śladów walki, a morderca nie zostawił po sobie na ciele ofiary nic, co mogłoby w przyszłości posłużyć do badań DNA. Szacunkowy czas popełnienia czynu ocenia się na godzinę między za dwadzieścia a za dziesięć szósta; jak wiadomo, ciało odkryto za pięć szósta.

Druga część prezentacji Kallwringela poświęcona była opisowi penetracji nożem w ciele Bergmana, poszczególnych miejsc uderzenia i pobieżnemu szacunkowi na temat wyglądu noża. Był to nóż z jednym prostym ostrzem, dobrze naostrzony, długości między piętnaście a osiemnaście centymetrów, szerokości niecałe trzy i pół centymetra w najszerszym miejscu.

- Typ noża kuchennego? - zapytał Astor Nilsson.

- Tak, ten typ - odpowiedział Kallwringel, a ponieważ nikt nie miał więcej pytań, przekazał głos szefowi grupy techników, który nadal nazywał się Carlsson, choć pisane przez „C”.

Carlsson zaczął od opisu miejsca zbrodni. Wyniki badań były więcej niż negatywne, jak wyjaśnił. Nic, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tożsamości sprawcy; w gęstych, nieformowanych krzakach, które rosną tuż przy miejscu przestępstwa, widać było ślady wydeptania, a zatem możliwe, że morderca stał tam przez jakiś czas i czekał na swoją ofiarę, ale na dzień dzisiejszy więcej nie udało się ustalić. Na ubraniu Bergmana - krótkie spodenki i T-shirt z reklamą firmy komputerowej Informatex - nie znaleziono żadnych ciał obcych; można było wręcz uznać, że osoba, która odebrała Erikowi Bergmanowi życie, w ogóle nie musiała go dotykać. Wystarczył nóż, po prostu. Pięć uderzeń.

Następnie Carlsson przeszedł do listów. Oba były obecnie poddawane szczegółowej analizie w Państwowym Laboratorium Kryminalistycznym w Linköping, ale już teraz można było coś o nich

powiedzieć. Nie zabezpieczono żadnych odcisków palców - ani na kopercie, ani na samym liście - piszący nie musiał nawet używać śliny do naklejenia znaczka, bo użył stosowanych obecnie znaczków samoprzylepnych. W środku, w kopercie, znaleziono niewielką cząsteczkę, która być może jest kocim włosem, a raczej fragmentem kociego włosa, ale bliższe informacje na ten temat pojawią się, przypuszczalnie, kiedy nadejdzie raport z Linköping.

- Kot? - powiedział Gunnar Barbarotti.

- Hmm, tak - odparł Lillieskog. - Nie ma w tym nic niezwykłego, że tacy sprawcy lubią zwierzęta domowe.

- Dzięki - odrzekł Barbarotti. - Proszę kontynuować.

Zastępca komendanta Carlsson mówił dalej. Papier i koperta, których użył morderca, są najpopularniejszego gatunku, przynajmniej w Szwecji. Długopis to przypuszczalnie Pilot grubości 0,7 milimetra, tak jak wcześniej przypuszczano. Jeśli chodzi o miejsce nadania listów, to uznaje się, że prawdopodobnie był to Göteborg. W obu przypadkach.

- Prawdopodobnie? - zapytał Astor Nilsson.

- Dokładnie - powiedział Carlsson. - Linköping też się w tej sprawie wypowie.

- Dobra - powiedział Barbarotti. - Jeszcze coś z grupy technicznej?

Nie. W związku z tym zaczęto omawiać wyniki rozmów ze znajomymi, krewnymi i sąsiadami Erika Bergmana. Przeprowadzono trzydzieści sześć takich rozmów, więc chcąc uzyskać w miarę jasny pogląd na ich wyniki, inspektor Gerald Borgsen *alias* Smutas podjął się przesłuchania wszystkich taśm z nagraniami i przeczytania wszystkich już spisanych protokołów. Zagadką pozostaje, jak mu się udało z tym zdążyć, ale Smutasa zawsze otaczała aura zagadkowości. Nierzucający się w oczy, małomówny i niedostępny, a do tego - co podpowiadało przezwisko - nieco smutny.

Zajęło to prawie godzinę, ale obraz Erika Bergmana nieco się rozjaśnił. Nawet w najbliższym kręgu - trzech czy czterech niezonatych młodzieńców, z którymi imprezował - uznawano go za osobę tajemniczą. Mimo iż dużą część swojego życia spędzał w knajpach, był odludkiem - wielu powtarzało tę opinię. Nawet kiedy więcej wypił, a czasami mu się to zdarzało, nie miał zwyczaju się otwierać. Na dowód tego Smutas zacytował niejakiego Rasmusa Palmgrena, który znał Bergmana od pierwszej klasy podstawówki: „Człowiek nigdy do końca nie wiedział, co on sobie myśli. Prawie zawsze wyglądało to tak, jakby chciał właśnie przebywać w zupełnie innym miejscu. Nigdy nie było wiadomo, co mu siedzi w głowie”. Erik Bergman nie był skąpy, Smutas pozwolił sobie nawet na przypuszczenie, że właśnie ta cecha powodowała, iż ludzie chcieli przebywać w jego towarzystwie. Zawsze miał dużo pieniędzy i często stawiał - to też słowa wielu świadków. Jeśli chodzi o możliwych wrogów - ludzi, którzy mogli wpaść na pomysł, żeby pchnąć go nożem pięć razy - nikt nie potrafił nikogo wskazać. Erik nigdy nie szukał zaczepki; kiedy dochodziło do bójek albo kiedy ludzie zaczynali się kłócić, najchętniej odsuwał się na bok. Wyglądało też na to, że nie miał większego powodzenia u kobiet. „Nie interesowały go kobiety - opowiadał ten sam Palmgren - a on nie interesował kobiet”. Czy był homoseksualistą? To pytanie zadano wielu osobom, ale nikt nie odpowiedział na nie jednoznacznie twierdząco. Z drugiej strony nikt nie uznał tego za absolutnie niemożliwe. A zatem można wysnuć konkluzję, że Erik Bergman był równie dyskretny na temat swojego życia seksualnego - o ile je miał - jak na temat wszystkiego innego.

- Człowiek bez cech szczególnych? - zapytał Astor Nilsson.
- Na swój sposób - odpowiedział Smutas, a Gunnar Barbarotti gotów był przysiąc, że przez twarz inspektora przeleciał słaby rumieniec.

Był to epitet, który w wielu przypadkach można było zastosować w odniesieniu do niego. I najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę.

Nie udało się skontaktować z kobietą, z którą Erik Bergman mieszkał przez kilka miesięcy dziesięć lat temu, wyjaśnił Smutas. Nazywała się Ulrika Sigridsdotter, a niektórzy ze znajomych zeznali, że wyjechała za granicę zaraz po rozstaniu z Erikiem.

Smutas kontynuował swoje przemyślenia przez kolejne dwadzieścia minut, ale na tym etapie Gunnar Barbarotti stracił już koncentrację.

A jeśli morderca wyłowił go przypadkiem, pomyślał. Lillieskog mówił, że była i taka możliwość. Po co w takim razie tu siedzimy i prześwietlamy tego zmarłego?

Jeśli nie ma logicznego powiązania pomiędzy mordercą a ofiarą.

Jeśli równie dobrze ktoś inny mógł zostać zadżgany.

Już sama myśl o takiej dowolności powoduje, że czuję się nieswojo, pomyślał Barbarotti, a tego nie lubił. Ponieważ rozwiązanie zawierało... No co? Bezsporną prawdę o życiu i jego wrodzonej kruchości. Że każdego można dopaść kiedykolwiek. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Odległość pomiędzy życiem a śmiercią można zmierzyć w milimetrach i ułamkach sekund; człowiek potrafi sporządzać prognozy z niemal stuprocentowym prawdopodobieństwem, lecz kiedy pewnego dnia mimo wszystko wyląduje w krainie cieni, może to oznaczać tylko jedno: że wyliczenia zawiodły. Czyż nie tak? Nawet jeśli liczba ofiar morderstw w kraju była w zasadzie stała każdego roku, nie oznaczało to, że pojedyncza ofiara, na przykład Erik Bergman, była owocem jakiejś działającej zasady. Śmierć jest jedyną pewną rzeczą na tym świecie, a mimo to zawsze przychodzi z zaskoczenia. Przynajmniej prawie zawsze.

Przykładowo, nie mogę teraz w stu procentach być pewien, że Marianne nadal żyje, pomyślał nagle i poczuł ogarniającą go panikę,

aż dotarło do niego, że dzisiaj jest czwartek i to właśnie dzisiaj miały do niej przyjechać dzieci wyposażone w telefon komórkowy. Prawie w tej samej chwili uświadomił sobie, że nawet nie wiedział, pod jakim numerem można ją będzie złapać. Może chodziło o numer któregoś z dzieci, a nie Marianne? Chociaż oczywiście spróbuje zadzwonić pod jej numer - spróbować nie zaszkodzi; tak czy owak musi pilnować, żeby jego telefon był cały czas włączony i dostępny przez cały dzień, by nie przegapił jej pierwszego telefonu. Naszła go przy tym ogromna ochota, żeby od razu wyjść z odprawy i spróbować zadzwonić; może przypląnęłyby wcześniejszym statkiem? O ile był taki w rozkładzie.

Ciekawe, jak będzie wyglądało moje życie za pięć lat? - pomyślał później bez żadnego ostrzeżenia. Czy będę mężem Marianne? I wobec tego, gdzie będziemy mieszkać? Chyba nie da się namówić na przeprowadzkę do Kymlinge. A zresztą, czy jest coś, co mnie tutaj trzyma? Nic. Dzieci się wyprowadziły, jestem wolny jak ptak i mogę się przeprowadzić, gdziekolwiek mi się zamarzy.

A później - podczas gdy Smutas dalej perorował - jego myśli nabierały prędkości jak kula śnieżna turlająca się po zboczu.

Czy za pięć lat będę jeszcze w policji? Dlaczego by nie wrócić znowu do prawa; już chyba nabrałem dość doświadczeń z tej strony sceny... choć rola prokuratora nie wydaje się zbyt pociągająca, niestety. Wystarczy popatrzeć na Dum-Ramundsena albo Sylveniusa - ciągle szukają ponurych typów; a zresztą, kto to wie, czy za pięć lat nadal będę żył... chyba właśnie taki wniosek wysnułem chwilę temu. Zastanawiam się, czy nie miałem lekkiego udaru mózgu podczas prezentacji Carlssona. Podobno udar może być naprawdą niewielki i nie można się czuć pewnie tylko dlatego, że człowiek jeszcze nie skończył pięćdziesiątki...

Kiedy Smutas wreszcie zakończył swoje dywagacje, stwierdzeniem, że zostało jeszcze kilka bardzo ważnych przesłuchań do

przeprowadzenia i że wszystkie raporty będą dostępne w normalnych segregatorach - proces myślowy w głowie Gunnara Barbarottiego fruwał dokładnie nad punktem zero. Albo nawet pod nim; z całych sił starał się nie dopuścić do zaśnięcia i jedyną myślą, jaka w tej chwili do niego docierała, było to, że chyba cierpiał na jakiś dziwny *jet lag* związany z powrotem z Gotlandii.

I że aktualnie nie był najbardziej efektywnym policjantem na świecie.

9.

- Mam coś z głową. Nie wytrzymuję odpraw.

Eva Backman patrzyła na niego z pośepnym uśmiechem.

- Zgadzam się, że masz coś z głową. Ale fakt, iż nie wytrzymujesz trzygodzinnej odprawy, jeszcze o tym nie świadczy

- Ach tak? - powiedział Barbarotti. - No, jeśli pani inspektor tak twierdzi, to w porządku. Jak poszło z Annami?

- Może złapię jedną z nich dziś po południu - odparła Backman. - Tę z Grimstalundsvägen. Niewykluczone, że przeczekuje czas w Värmlandii z jakimś tajemniczym kochankiem. W okolicy Grums.

- Chwileczkę - powiedział Barbarotti. - To ta, co ma pięćdziesiąt sześć lat i jest sama? Więc po co musiałaby mieć tajemniczego...

- To jakieś uprzedzenia - przerwała Backman. - Przecież tajemniczość to przyprawa. Nawet ktoś, kto ma coś z głową, powinien to zrozumieć. W tym przypadku może przecież być tak, że to ten kochanek jest żonaty, na przykład.

- Gdzieś daleko od Grums?

- Gdzieś daleko od Grums.

Gunnar Barbarotti odchylił się do tyłu, oparł wygodnie na krześle i rozmyślał.

- Ciekawe - powiedział. - I pomyśleć, że ludzie prowadzą takie interesujące życie. Nigdy bym nie przypuszczał...

to znaczy, w tym wieku. Dzięki tej pracy człowiek się rzeczywiście napatrzy.

Inspektor Backman westchnęła.

- Może spróbujemy się przez chwilę skoncentrować - zaproponowała. - W każdym razie mam nadzieję, że za parę godzin będę już miała potwierdzenie. Możliwe, że uda mi się z nią porozmawiać. Z tą drugą Anną poszło jednak gorzej.

- Gorzej? - spytał Barbarotti.

- Dokładniej mówiąc, w ogóle nie poszło. Rozmawiałam z kilkoma sąsiadami. Ona mieszka na Skolgatan w kamienicy, a w takich domach sąsiedzi zazwyczaj utrzymują ze sobą dość dobre kontakty... I jeszcze z jedną z jej przyjaciółek, i to właśnie mnie niepokoi.

- Dlaczego? - zapytał Barbarotti, wyjął długopis i notatnik i zaczął notować. - Dlaczego cię to niepokoi?

- Dlatego że ta przyjaciółka i Anna były na pięćdziesiąt procent zdecydowane, żeby pojechać wspólnie na Gotlandię, teraz w piątek... czyli jutro... ale ona przez cały tydzień nie dała znaku życia. To znaczy od niedzieli.

- Gotlandia? - mruknął Barbarotti.

- Nie tylko ty jeździsz na Gotlandię na urlop, nawet jeśli takie miałeś wrażenie - poinformowała go Backman cierpliwie. - Tak czy owak, ta przyjaciółka powiedziała, że to dziwne, iż nie może się z nią skontaktować. Kiedy zapytałam, jaki, jej zdaniem, może być powód, odpowiedziała, że musi oczywiście chodzić o tego skurwiela Conny'ego.

- Conny'ego?

- Zauważyłeś, że przez cały czas powtarzasz jedno słowo z tego, co ja mówię, wypowiadając je ze znakiem zapytania?

- Wcale nie - powiedział Barbarotti. - Ale jestem trochę zmęczony. Kim jest ten Conny?

- Jak rozumiem, jest to facet, z którym się spotyka od czasu do czasu. Może nawet stały partner, jeśli chciałbyś to tak nazwać. Oni... podobno ostatnio coś się między nimi pochrzało. Przyjaciółka twierdziła, że kompletnie nie rozumie, dlaczego Anna chciała się zadawać z takim dupkiem.

- Rozumiem. A co mówi dupek Conny?

- Nie udało nam się z nim skontaktować - westchnęła Eva Backman. - Nazywa się Conny Härnlind. Ma własną firmę hydrauliczną. Interes jest zamknięty latem. Facet ma trzy telefony i na wszystkich trzech nagrałam wiadomość.

- Czy jest jakiś związek pomiędzy Härnlindem a Bergmanem?

- Na razie nic nie znalazłam.

- No tak. Czyli teraz tylko siedzimy i czekamy, aż telefon zacznie dzwonić.

- Dokładnie - stwierdziła Backman. - Nie masz jakiejś przyjemnej gry towarzyskiej, w którą tymczasem moglibyśmy pograć?

Zaraz po tym, jak Backman opuściła jego pokój - czy to dlatego, że nie miał w służbowym biurku żadnej talii kart, czy też były inne powody - w drzwiach pojawił się Astor Nilsson z kartką w dłoni.

- Przepraszam, szanowny kolego - powiedział - ale pojawiły się ważne informacje w naszej sprawie.

- Świetnie - ucieszył się Barbarotti. - Zamieniam się w słuch.

Astor Nilsson odchrząknął.

- Aż dwóch zupełnie niezależnych od siebie świadków widziało Erika Bergmana podczas przebieżki w ten brzemienny w skutki poranek.

- No proszę - mruknął Barbarotti.

- Jednym świadkiem jest biegacz, który spotkał się z nim przypuszczalnie jakieś dwadzieścia po szóstej na wysokości mostu zwodzonego, a drugim inny biegacz, który mijął go na wysokości wieży

ciśnien pięć minut później. Żaden z nich nie zauważył u Bergmana żadnych oznak świadczących o tym, żeby wkrótce miał umrzeć.

- Zbyt duża prędkość obniża zdolność obserwacji - rzucił Barbarotti. - Wiem to z doświadczenia. Nic więcej nie powiedzieli?

- Nie. Byłoby fajnie, gdyby widzieli jeszcze kogoś na ścieżce w pobliżu miejsca zbrodni, ale niestety nie widzieli. Żaden z nich.

- Ale obydwaj przebiegali obok tego miejsca?

- Tak, jeden z piętnaście minut wcześniej, a drugi z dziesięć.

- A więc możliwe, że już wtedy morderca tam stał i czekał?

- Jeśli nie, to na pewno powinien już być w drodze - odpowiedział Astor Nilsson. - No, ale nasze poranne zuchy gównem widziały. Szkoda, prawda?

- Siadaj - powiedział Barbarotti. - Jak to się stało, że cię nam wypożyczyli? To znaczy...?

- Mnie zawsze wypożyczają - wyjaśnił Astor Nilsson uprzejmie i usiadł. - Od dwóch lat. W jednej sprawie sprzeciwiłem się swojemu szefowi i on nie może ścierpieć, że miałem rację. Co prawda nie może mnie wykopać, ale gdy tylko pojawia się potrzeba udzielenia komuś wsparcia w odległości dwóch tysięcy kilometrów od Göteborga, natychmiast mnie wysyła. Jeśli mam być szczerzy, to wcale mi to nie przeszkadza. Mam okazję pokręcić się w różnych miejscach.

- Ale masz stopień komisarza?

- Oczywiście.

Gunnar Barbarotti patrzył na niego uważnie. Wyglądało na to, że frustracja, jakiej Astor Nilsson dał wyraz po wczorajszym poranku z Asunanderem, już minęła. Kiedy tak siedział na fotelu dla gości, z nogą założoną na nogę, i machał gołą stopą w sandale, sprawiał wręcz jowialne wrażenie. Opalony, z krótko obciętymi, lekko przerzedzonymi włosami i powłoką cielesną w granicach stu kilogramów. Choć wcale nie wydawał się gruby.

Taran pełen harmonii, ocenił w myślach Barbarotti. Pięćdziesięciopięciolatek, który niejedno już przeżył.

- Co o tym wszystkim myślisz?

Astor Nilsson rozłożył ręce.

- Cholera wie - powiedział. - Ale nie podoba mi się to. Faktem jest, że nigdy jeszcze nie brałem udziału w takiej sprawie, a niejedno już widziałem.

Barbarotti skinął głową.

- A jak nas oceniasz? Coś nam umyka?

Astor Nilsson wzruszył swoimi potężnymi ramionami.

- Nie wydaje mi się. Nawet jeśli mi się to nie podoba, to wygląda na to, że wszyscy czekamy na ofiarę numer dwa. Powinien być jakiś związek pomiędzy tym Bergmanem a jedną z Ann.

- Dokładnie - rzekł Barbarotti. - I jeśli dobrze zrozumiałem inspektor Backman, to właśnie zaczynamy otaczać tę właściwą.

- Właściwą Annę?

- Tak. Ale nikt jej nie widział od kilku dni, więc można mieć złe przeczucia.

- Niech to szlag - powiedział Astor Nilsson. - Wygląda na to, że robota pali wam się tutaj w rękach.

- Ta... - odparł Barbarotti. - Czasami chyba tak. Ale wcale nie mamy pewności, czy obraliśmy dobry kierunek. Może się równie dobrze okazać, że to któraś z tych innych.

- Albo ktoś z Edsbyn, albo z Kuala Lumpur?

- Na przykład. Myślę, że nie ma powodów do zbyt wielkiego optymizmu.

Pięć godzin później nic się nie zmieniło, stwierdził Gunnar Barbarotti, wyciągając swój rower ze stojaka na podwórku komendy. Było wpół do dziewiątej, przepiękny letni wieczór, a Anna Eriksson ze Skolgotan nie odezwała się przez całe popołudnie. Dupek hydraulik,

czyli Conny, też nie posłuchał apelu policji, żeby się skontaktować, ale nie to było największym zmartwieniem inspektora Barbarottiego. Nie miał żadnych wieści z Gotlandii.

- Masz ponurą minę - oceniła Eva Backman.
- Życie to ponury żart - odparł Barbarotti.
- Pedałuj do domu i dzwoń do Marianne - wesoło rozkazała

Backman - to od razu wszystkie siły witalne wrócą na miejsce.

- Dzięki za radę - powiedział Gunnar Barbarotti. - A ty w końcu nie idziesz na urlop od poniedziałku, tak?

Pokręciła głową.

- Przesunęłam urlop o tydzień. Ville weźmie chłopców i pojedą na działkę, a ja dojadę w przyszły piątek.

Ruszyli razem na swoich rowerach, jedno obok drugiego. Nie wyglądała na niezadowoloną z takiego układu, odnotował Barbarotti ze zdziwieniem, a później pomyślał, że ich sytuacje życiowe były diametralnie różne. Jego i Evy Backman. A przecież byli mniej więcej w tym samym wieku, oboje w stopniu inspektora kryminalnego i oboje mieli po troje dzieci.

Tyle że jego dzieci były tego pięknego wieczoru daleko, poza jego zasięgiem. Jedno w Londynie, dwoje w Kopenhadze. Nagle poczuł tę odległość jak coś bardzo bolesnego. Eva Backman wejdzie za niecałe dziesięć minut do swojego szeregowca i zobaczy całą trójkę. I męża. Spora różnica.

- O czym myślisz? - zapytała.
- O niczym - odpowiedział. - Tutaj skręcam. Do jutra.
- Dobranoc i kolorowych snów - powiedziała inspektor

Backman i ręką przesłała mu na pożegnanie całusa.

Właśnie, pomyślał. Samotni powinni mieć do tego prawo. Bogate, kolorowe sny z braku innych wrażeń.

Było już piętnaście po dziesiątej, kiedy wreszcie zadzwoniła. Gdy usłyszał jej głos, zrozumiał, co czuje człowiek w ostatniej sekundzie

uratowany przed utonięciem. Przyływ uczuć, który go ogarnął, aż go przeraził; krew pulsująca w skroniach, suchość w gardle. Marianne natomiast brzmiała zupełnie normalnie.

Co się ze mną dzieje? - zapytał sam siebie z przerażeniem. Ta ręka trzymająca słuchawkę, przecież ona drży!

Marianne wyjaśniła, że niestety telefon komórkowy, który przywiozły dzieci, odmówił posłuszeństwa, dlatego tyle czasu nie dzwoniła.

- Więc teraz stoisz w kuchni Hagmunda i Jolandy? - zapytał Barbarotti.

- Tak jest - odpowiedziała Marianne. - Jest już późno, ale jeszcze nie zdążyli się położyć, więc miałam szczęście. Co u ciebie?

- Ja... no cóż, strasznie za tobą tęsknię - powiedział i udało mu się przełknąć ślinę.

- To dobrze. To dlatego warto się czasami rozstawać. Żeby nauczyć się tęsknić. Złapaliście pisarza listów?

- Nie - wyznał Barbarotti i pomyślał, że praca jest ostatnim tematem, o którym miał ochotę rozmawiać z Marianne. Ale wcale się nie dziwił, że była ciekawa. Przecież to przez pisarza listów musiał przed czasem wyjechać z Gustabo. To dlatego każde z nich siedziało teraz po swojej stronie linii telefonicznej, zamiast się przytulać. - Ale pracujemy nad tym. A co u ciebie? Dzieci dojechały bez problemu?

Roześmiała się.

- Pewnie. Ale były trochę rozczarowane, że nie miały okazji spotkać inspektora policji. Masz u nich niezłą pozycję, kochanie.

Wywiodłem ich w pole, pomyślał Gunnar Barbarotti. Zamydliłem im oczy, całej trójce. Jak to się nazywa? Syndrom Groucho Marxa? Taki fenomen, że człowiek nie chciałby zostać członkiem żadnego klubu, który chciałby go przyjąć na członka.

- Ej tam - odrzekł. - Wiesz, jak to jest z nastolatkami, zmieniają zdanie częściej niż skarpetki.

Wymienili mniej więcej tuzin podobnie wyrafinowanych replik, a potem Marianne ściszyła głos i powiedziała, że ma owulację i że ma już dosyć spania samotnie w łóżku, w którym świetnie mieszczą się dwie osoby Gunnar Barbarotti odparł, że on nie ma owulacji, ale jest gotów spać z nią przez resztę swoich dni - lub, ściślej mówiąc, nocy - w łóżku, w którym mieści się tylko małeńki piesek albo coś w tym guście. Potem do kuchni najwyraźniej weszła po coś Jolanda. Było to słychać aż w Kymlinge. Marianne zrobiła głęboki wdech, życzyła mu dobrej nocy i obiecała, że w najbliższym czasie pojedzie do Visby i kupi nowy telefon komórkowy. Najlepiej tak, żeby dzieci nie wiedziały, bo nie chciała za bardzo naruszać panujących w Gustabo zasad.

Kiedy się rozłączyli, Gunnar Barbarotti wziął piwo i poszedł posiedzieć na balkonie.

Mój Boże, pomyślał. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, ile ona dla mnie znaczy. Jeśli ją stracę, palnę sobie w łeb.

Siedział tak przez chwilę, pił piwo i obserwował resztki zachodu słońca, rozciągające się jak rozmazane, bladożółte miraże nad Pampas i nad blokami w Ångermanland. Obserwował też kawki, nadciągające skrzeczącymi stadami, żeby zająć swoje miejsca noclegowe na dachach miasta i na wiązach w parku miejskim. Są bardzo wcześnie w tym roku, prawda? Zawsze wydawało mu się, że inwazja kawek odbywa się w chłodniejsze, jesienne wieczory - koniec sierpnia lub wrzesień. Ale przecież one były tu przez cały rok - i te, i inne istoty. *A man without a woman...* - w jego głowie znowu pojawiła się ta piosenka, ale i tym razem nie potrafił przypomnieć sobie dalszego ciągu... *is like a...?*

Kiedy skończył piwo, udało mu się wreszcie wyrwać z nastroju współczucia dla samego siebie i mógł poświęcić parę chwil na zastanowienie się nad trwającym dochodzeniem. Morderca.

Morderca piszący listy. Cała ta historia nabierała specjalnego wymiaru właśnie przez te listy. Wszystko wydawało się przez to

wyjatkowe. Gdyby sprawa polegała na tym, że znaleziono mężczyznę zamordowanego nożem, to policja i tak pracowałaby na pełnych obrotach, ale sprawa nie miałaby tej rangi. Gazety jeszcze nie podały nazwiska ofiary, ale wiedział, że ta informacja ukaże się już jutro. Była to prawdopodobnie właściwa decyzja.

Może właściwą decyzją byłoby również upublicznienie informacji o listach i podanie nazwiska Anny Eriksson? Może dzięki temu udałoby się dotrzeć do kogoś, kto by coś wiedział.

Z drugiej strony łatwo wywołać panikę. A jeśli było coś, co popołudniówki uwielbiały, to właśnie szerzyć panikę. Bawić się projekcją wszystkich wrodzonych człowiekowi lęków, frustracji i gniewów, i kierować je w jedną stronę, na kozła ofiarnego. Kiedyś były nim grupy ludzi: Żydzi, Cyganie albo komuniści, teraz są to jednostki. Na przykład jakiś minister. Albo aktorka z problemem alkoholowym. A dlaczego nie naiwny inspektor kryminalny z Kymlinge? Właśnie to było niezbędnym motorem nagonki. Istniało, odkąd istnieją gazety, a dzisiaj miało się wyjątkowo dobrze, ponieważ obowiązującym tonem narracji stała się wulgarność i babranie się w cudzym życiu intymnym.

A nowe, silikonowe usta wyposażonej w sztucznie powiększony biust blondynki z telewizji były większym newsem niż ludobójstwo w jakimś innym miejscu na świecie, daleko od Stureplan.

Niech to szlag, pomyślał Gunnar Barbarotti. Czy ten kraj był kiedykolwiek bardziej powierzchowny? Czy kiedykolwiek mieliśmy gorsze popołudniówki?

Zastanawiał się, czy morderca zdawał sobie z tego sprawę. Czy pisał te listy celowo, wiedząc, że pod wieloma względami utrudnią tylko pracę policji. Szczególnie od momentu gdy prasa odkryje ich istnienie. Bo przecież tak już jest, rozmyślał Barbarotti, obserwując kolejną chmarę kawek, które po eleganckich popisach awiacyjnych

usiadły na kalenicy dachu Szkoły Katedralnej, że dwa tropy nie zawsze są lepsze niż jeden. Zwłaszcza gdy jeden z nich podrzucił morderca, mając na celu...

No właśnie, mając na celu co?

To pytanie go zirytowało. Bardzo zirytowało.

A co będzie z Anną Eriksson?

Jeszcze większa irytacja.

Tu jest tak samo, stwierdził Barbarotti i wrócił do pokoju. Lepsze jedno irytujące pytanie niż dwa.

Poza tym oba były z lekka przerażające, a to jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Pamięta dłoń Ewy Backman na swoim ramieniu dziś rano. Fakt, że to właśnie on był adresem tych listów - on, inspektor kryminalny Gunnar Barbarotti zamieszkały na Baldersgatan w Kymlinge - wcale go nie uspokajał, przeciwnie.

No bo co to właściwie znaczyło? Że w jakiś sposób znał sprawcę? Że jego nazwisko - kiedy już go złapią - okaże się znajome? No bo fakt, że morderca wiedział, do kogo wysyła listy, wydawał się bezsporny. A może nie?

Kurde, pomyślał Gunnar Barbarotti i spojrzał na zegarek. Gdybym nie wziął tego ranka listów od listonosza albo gdyby listonosz przyszedł wtedy o jedną minutę później, to właśnie w tej chwili tuliłbym Marianne w łóżku w Gustabo. I nie wydaje mi się, że przyniosłoby to jakąś szkodę dla dochodzenia.

Rzepak, krowy, cmentarz, szlachetne drzewa. Brak tych wszystkich rzeczy w Kymlinge rzucał się rażąco w oczy. No tak, cmentarz oczywiście był.

Z głową pełną takich właśnie czarnych myśli poszedł do łazienki i stanął pod prysznicem.

10.

- Zlokalizowaliśmy dupka od hydrauliki.

Barbarotti spojrział w górę, znad raportów.

- Co?

Był piątkowy poranek. Przeczytał już osiem raportów, w rękę trzymał właśnie dziewiąty. Jego autorem był niejaki Wennergren-Olofsson - lubił kwieciste wypowiedzi i w miejscu, gdzie wystarczyłyby trzy słowa, używał dwudziestu. Mówiono też o nim, że był jedyną osobą w całej komendzie, która potrzebowała więcej niż dziesięciu sekund na złożenie podpisu. Claes-Henrik Wennergren-Olofsson.

- Conny Härnlind - oznajmiła Eva Backman i zamknęła za sobą drzwi. - No ten ewentualny chłopak Anny Eriksson ze Skolgatan.

- Pamiętam - odparł Barbarotti i szybko przymknął oczy, żeby uciec przed rojem nazwisk. - Powiedziałaś, zlokalizowaliśmy?

- Właśnie. Jest w Tajlandii, jednak nie w towarzystwie panny Eriksson. Ani żadnej innej kobiety; chodzi mi teraz o kobiety z Kymlinge i najbliższych okolic. Pojechał tam z bandą młodych mężczyzn, tydzień temu, i nietrudno się domyślić, jak spędzają czas.

- No i kto tu ma uprzedzenia? - zapytał Barbarotti.

- Przepraszam - powiedziała Backman. - Tak, to z pewnością opinia kompletnie nieuprawniona. Na pewno rozmawiają o filatelistyce i sprawach ekumenicznych. Tak czy inaczej, nasza Anna nadal się nie znalazła. Rozmawiałam z jej matką, ona też nic nie wie, choć zazwyczaj kontaktują się telefonicznie parę razy w tygodniu. Mieszka w Jönköpingu. Niepokojące jest to...

- Tak?

- Trochę niepokojące jest to, że najwyraźniej matce też powiedziała o tym wyjeździe na Gotlandię. Dzisiaj, niby.

- A kiedy o tym powiedziała?
- W niedzielę wieczorem. Matka dzwoniła do niej trzy lub cztery razy w ciągu tego tygodnia, ale bezskutecznie, więc... nie wiem.
- Niech to jasna cholera - skomentował Gunnar Barbarotti. - To zły znak. Ma komórkę, prawda?
- Tak.
- Musimy sprawdzić, czy jej używała w tym tygodniu. Wydaje mi się...
- Właśnie byłam u Smutasa i o tym rozmawialiśmy. Do tej pory chyba już się zdążył skontaktować z operatorem.
- Dobrze - pochwalił ją Barbarotti. - Więc jak będziemy mieć szczęście, to po południu przyjdzie odpowiedź. Jeśli samotna kobieta przez cztery dni nie używała swojej komórki podczas urlopu, to znak, że coś jest nie tak.

Oczekiwał, że Eva Backman powie coś na temat uprzedzeń - właściwie miał taką nadzieję - ale komentarza nie było.

Szkoda, pomyślał. Ona też wie, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

- Chyba możemy przygotować się do przeszukania mieszkania, jak myślisz? - zaproponowała. - Jeśli... hmm, jeśli dostaniemy od operatora tego typu informację.

Tego typu informację? - pomyślał Gunnar Barbarotti, kiedy Eva sobie poszła. Dlaczego nie, tak też można to było wyrazić.

Cieniutka warstwa językowego balsamu na poranioną rzeczywistość. Takie zawołane wyrażenia w ustach Ewy Backman nie były jednak czymś zwyczajnym.

Co miało oczywiście swoje znaczenie. Znowu przypomniał sobie o jej dłoni na swoim ramieniu.

Westchnął i wrócił do dużo bardziej napuszonej prozy Wennergrena-Olofssona.

Około drugiej po południu komendę w Kymlinge opuścili Astor Nilsson i psycholog Lillieskog; Nilsson tylko do poniedziałku, a Lillieskog do momentu, gdy znowu będą go potrzebować.

- Przed południem przeprowadziłem pogłębione rozmowy z czterema znajomymi Bergmana - opowiadał Astor Nilsson, kiedy się żegnali w kantine przy czterech filiżankach kawy i czterech dobrze zakonserwowanych lukrowanych ciasteczkach. - O czym już wcześniej mówiliśmy. I mogę teraz przysiąc na grób mojej matki, że żaden z nich nie ma bladego pojęcia, kto może być mordercą. Żaden z nich nie jest aniołkiem, ale jak się zeskrobie powłokę z pierdoł, to zostają fakty. Zabójcy Erika Bergmana nie znajdziemy w kręgu jego znajomych. Możemy przestać szukać.

- Jest jeszcze kilka osób, których aktualnie nie ma w domu, prawda? - powiedziała Backman.

- Zgadza się - odpowiedział Astor Nilsson. - Przyjmuję to zastrzeżenie. Choć gdy się jest w podróży, to nie można jednocześnie być w domu i zasztyletować kumpla.

- *All right* - powiedział Barbarotti. - Załóżmy, że masz rację. To gdzie mamy szukać?

- Na to pytanie aktualnie nie mam odpowiedzi - odparł Astor Nilsson. - Ale jadę na weekend do domu w Hisingen i będę o tym myślał. Jeśli przed poniedziałkiem coś mi przyjdzie do głowy, to dam znać.

- Super - syknęła Eva Backman.

- Wiecie, gdzie mnie szukać, gdybyście uznali, że mogę się przydać - powiedział Lillieskog. - Ciekawe, jaką datę przydatności do spożycia mają te ciasteczka.

- Należą do partii wyprodukowanej jeszcze przed wprowadzeniem nakazu oznaczenia daty - poinformowała go usłużnie Backman. - Gdzieś w latach sześćdziesiątych. Kiedy znów się pojawicie, możecie nas poczęstować innymi znakomitymi łakociami.

Uścisnęli sobie dłonie, życzyli miłego weekendu i rozstali się.

- To by było na tyle - skomentowała Backman, gdy zostali sami. - Więc eksperci nam odjechali.

- Dokładnie - mruknął Barbarotti. - Operator komórkowy jeszcze się nie odezwał?

Backman pokręciła głową.

- Obiecali, że prześlą billingi przed trzecią, a zatem przy najmniej do tej pory musimy uzbroić się w cierpliwość. Przeczytałeś wszystkie raporty?

Gunnar Barbarotti wzruszył ramionami.

- Przynajmniej trzydzieści osiem z czterdziestu dwóch.

- I?

- Hmm, jest chyba dokładnie tak, jak powiedział Astor Nilsson. Nie ma nic, co by mogło nas poprowadzić w jakimś konkretnym kierunku. Zgadzam się z nim, że morderca nie znał Erika Bergmana zbyt dobrze. Przynajmniej nie w ostatnim czasie... Może gdzieś w przeszłości się spotkali, tak mogło być, ale takie rzeczy wypływają bardzo wolno.

- Tak, a ludzie zazwyczaj zabijają, bo mają jakiś powód. Może jestem staroświecka, ale...

- Zawsze możemy mieć nadzieję - powiedział Barbarotti. - No i brak powiązania z którąkolwiek Anną Eriksson, niestety. Nie da się powiedzieć, żebyśmy się posuwali do przodu.

Eva Backman napiła się kawy i zagryzła wargi.

- Niestety nie - rzekła. - Jednak morderca musiał cokolwiek wiedzieć o zwyczajach Bergmana, prawda? Wiedział, że będzie tego ranka biegać. Przecież nie poszedł czekać w te krzaki tak na wszelki wypadek. O czym to świadczy?

- Może o tym, że przez kilka dni go obserwował - oświadczył Barbarotti. - Siedział w samochodzie i rozpracowywał jego zwyczaje, na przykład.

- Ale na pewno pytaliśmy sąsiadów, czy nie widzieli w okolicy jakiegoś podejrzanego samochodu?

Gunnar Barbarotti obserwował muchę, która szła sobie po jego nagim przedramieniu.

- W raportach nie widziałem żadnej informacji na ten temat.

- Fajnie - powiedziała Eva Backman, wstając z krzesła. - Dobrze, że mamy czas na zastanowienie, zanim podejmiemy następne działania. Przyjdę do ciebie, gdy dostanę informacje od operatora telefonii komórkowej.

- To czekam - zakończył rozmowę Gunnar Barbarotti.

Odpowiedź przyszła już po dwudziestu minutach i zgodnie z ich przypuszczeniami była jednoznacznie negatywna. Anna Eriksson - zamieszkała przy Skolgatan w centralnej części Kymlinge i będąca klientką firmy Telenor - nie używała swojej komórki od godziny pięć po jedenastej przed południem we wtorek. W ciągu trzech dób miała dwadzieścia dziewięć rozmów przychodzących, ale żadnej z nich nie odebrała. Do tego sześć SMS-sów - nie wiadomo, czy je przeczytała, ale wiadomo, że na żaden nie odpowiedziała. Backman podała Barbarottiemu listę billingową.

- Wtorek godzina jedenasta - zaczęła. - Pierwsze nieodebrane połączenie zarejestrowano dwadzieścia sześć minut po dwunastej w południe. Jak myślisz?

- Tego dnia zamordowano Erika Bergmana - powiedział Barbarotti. - List o Annie Eriksson dostałem ze środową pocztą. Mógł... musiał go chyba wysłać we wtorek... w Göteborgu. Chyba nie myślisz, że faktycznie... zajął się obojgiem tego samego dnia?

Gapił się na Eve Backman, jakby naprawdę oczekiwał, że usłyszy właściwą odpowiedź, ale spojrzenie, jakim go obdarzyła, było kompletnie puste, a jej zaciśnięte usta tworzyły ostrą kreskę. Przez dłuższą chwilę siedziała całkowicie bez ruchu, z podniesionymi ramionami i dłońmi schowanymi pomiędzy kolanami, bez słowa.

- Skąd mam to wiedzieć? - burknęła na koniec. - Wiem natomiast, że nadszedł czas na odwiedziny na Skolgatan. Godzinę temu dostaliśmy zgodę Sylveniusa.

Gunnar Barbarotti spojrział na zegarek.

- Może to być dobre podsumowanie całego tygodnia pracy - oznajmił.

Mieszkanie nie było duże; znaleźli ją od razu.

Przez ułamek pierwszej sekundy Barbarotti odczuwał swoisty perwersyjny triumf. „Mieliśmy rację! To ona! Byliśmy na dobrym tropie!”.

Później czuł już tylko obrzydzenie i bezsilność. Anna Eriksson, trzydziestoczterolatka, samotna i zatrudniona w firmie reklamowej Sfinx na Fabriksgatan, nie udała się na urlop na Gotlandię. Ani w żadne inne miejsce. Leżała pod swoim łóżkiem w mieszkaniu przy Skolgatan 15 zapakowana w dwa duże czarne worki foliowe: jeden naciągnięty od góry, a drugi od dołu; pachniała raczej nieszczególnie. W niewietrżonym, dusznym mieszkaniu bardzo wyraźnie czuć było słodkawy smród wydobywający się z jej ciała; poczuli go od razu po otwarciu drzwi, a kiedy Barbarotti ukląkł przy nienagannie zaścielonym stalowym łóżku w sypialni i ją zobaczył, a później wyprostował się, poczuł nagły zawrót głowy, który nie był jednak reakcją na widok jej zwłok, tylko tego, że przez ponad pół minuty wstrzymywał oddech.

- Otwórz balkon - poinstruował Eve Backman.

Wprawdzie zanim obydwie worki zostały zdjęte przez lekarza i techników kryminalnych, minęła prawie godzina - a kolejne pół godziny, zanim dokonano wstępnej identyfikacji (z pomocą młodej, zszokowanej pary w mieszkania naprzeciwko) - ale w ciągu tych długich dziewięćdziesięciu minut inspektor Barbarotti ani przez moment nie miał wątpliwości, kto tam leży.

Eva Backman także.

Nie było też większych wątpliwości odnośnie do sposobu uśmiercenia Anny Eriksson. Jej lekko spuchnięta, blada twarz była w zasadzie nienaruszona, ale otaczała ją obwódka z ciemnej, zaschniętej krwi, rozmazanej wzdłuż skroni ku policzkom. Kiedy ostrożnie przekreśli ją na bok, wyraźnie widać było rany tłuczone na ciemieniu i nad lewym uchem.

Tepty przedmiot, pomyślał automatycznie Gunnar Barbarotti i opanował mdłości, które wywołały odruch wymiotny. W stylu metalowej rurki. Kija bejsbolowego. Czegokolwiek.

Kiedy wymienili spojrzenia z Backman, dostrzegł, że ona myślała o tym samym.

Metoda. Morderca nie zastosował tej samej metody.

To coś nowego. Każdy sprawca podejmuje decyzję o sposobie działania i potem zwykle się jej trzyma. Broń palna lub nóż albo gołe dłonie - wszystko w zależności od temperamentu i gustu. Ale w tym wypadku zmienił jednak metodę. Dlaczego? - pomyślał Barbarotti. Albo... albo, czy można być pewnym, że chodzi o tego samego mordercę?

Rozumiał też, że wszystkie pytania techniczne, które kłębiły się teraz w jego głowie, były rodzajem tarczy ochronnej przed wrażeniem, jakie wywoływał groteskowy widok leżącej na podłodze kobiety.

Rzadko zdarzały się takie dochodzenia, w których można było mieć aż taką pewność. Ale pytanie i tak trzeba postawić. Dwóch morderców czy jeden? Najbardziej niebezpieczną pułapką są zbyt pochopne wnioski.

Brednie, pomyślał i odwrócił wzrok od ofiary. Jasne jak cholera, że to ta sama osoba. No bo co, mielibyśmy dwóch różnych autorów listów o tym samym charakterze pisma? Albo jednego autora listów i dwóch różnych sprawców? Na pewno nie.

- Jak długo? - zapytał lekarza sądowego Santessona, gdy ten się

wyprostował i poprawiał okulary na nosie. - Tak na oko.

Santesson spojrział na niego badawczo.

- Co najmniej dobę. Prawdopodobnie dłużej. Zakładam, że czujesz zapach.

- Jasne - potwierdził Barbarotti. - Więc nie jest niemożliwe, że leży tu na przykład od wtorku.

- Nie chcę się wypowiadać tak precyzyjnie - odparł Santesson.

- Ale nic nie jest niemożliwe.

Stroop, pomyślał Gunnar Barbarotti i rzucił pytające spojrzenie na Backman. Czy nie wystarczy tego patrzenia? Ona chyba też ma dosyć?

Miała dosyć. Razem wyszli z mieszkania i kiedy znaleźli się na ulicy, stali przez chwilę w słońcu i mrugali powiekami, jak człowiek, który dopiero się obudził - jakby potrzebowali paru sekund, żeby zorientować się w rzeczywistości. Później Backman przypominała sobie, gdzie zaparkowali samochód, i gestem pokazała Barbarottiemu, żeby się pospieszył.

Mieli mnóstwo roboty.

Podsumowanie tygodnia pracy przekształciło się w początek długiego, roboczego weekendu.

Było już piętnaście po dziesiątej, kiedy Barbarotti wyszedł z komendy. Przez ponad trzy godziny siedzieli i dyskutowali na temat koniecznych działań i podziału obowiązków; przez godzinę rozmawiał z prasą. Wiadomość o morderstwie na Skolgatan nieznanymi drogami dotarła do dziennikarzy - bez udziału policji, co nie było niczym nadzwyczajnym - więc zwołana na szybko konferencja prasowa wzbudziła duże zainteresowanie. Po błyskawicznej naradzie postanowili, że nadal nie będą upubliczniać informacji o listach wysyłanych przez mordercę; Barbarotti wcale nie był pewien, czy była to właściwa decyzja, ale kiedy pojawiały się wątpliwości, zasadniczo lepiej było zachować ostrożność. Tego samego zdania byli zarówno

Smutas, jak i prokurator Sylvenius oraz Astor Nilsson; telefonicznie z Göteborga ustalono więc, że gdyby decyzja się zmieniła jutro, to umieszczą tę informację w nowym komunikacie prasowym, który zapowiedzieli na godzinę trzecią po południu.

Podczas wszystkich tych dyskusji komisarz Asunander przyjął swoją zwykłą rolę obserwatora i doradcy, ale ponieważ nikt go nie pytał o radę, nie musiał rzucać wyzwania swojej sztucznej szczęce.

Gdy Barbarotti dotarł do domu, usiadł w tym samym fotelu na tym samym balkonie, co wczorajszego wieczoru, i podziwiał resztki takiego samego zachodu słońca.

Albo też, gdyby czepiać się drobiazgów, zachodu słońca starszego o jeden dzień; przecież cały wszechświat postarzał się w tym czasie o dzień, choć odczucia Barbarottiego, gdy chodzi o starzenie się, były bardziej radykalne - przynajmniej dwieście lat. Stwierdził, że kawki już się uspokoiły; wrzaski, które docierały do niego na czwarte piętro, były raczej piątkowymi odgłosami rozochoczonej młodzieży, która korzystała z pięknej pogody, okupując ogródki uliczne przy restauracjach i parki.

On też otworzył piwo, nalał do szklanki i wypił czterema czy pięcioma łykami. Prawie natychmiast poczuł, że opuszcza go silne napięcie i ogarnia ogromne zmęczenie.

Co to w ogóle jest? - pomyślał.

Trafił nam się jakiś kompletny szaleniec?

Zrezygnowane, jałowe pytania wynikające z poczucia bezsilności. A przy tym niebezpieczne. Demonizowanie wroga należało do najbardziej typowych i najprostszych błędów. Było podwaliną wszelkiego rodzaju rasizmu, na przykład ksenofobii. Pod koniec pracy Asunander przyszedł do jego pokoju i napomknął, że być może pojawią się posiłki i że w sobotę zapadną decyzje w tej sprawie; Barbarotti pomyślał, że wyjątkowo cieszy się z takiego rozwiązania. Zazwyczaj wszystkim zależało na tym, by prowadzić swoje sprawy po swojemu; każdy zespół funkcjonariuszy bardzo dbał o granice swojego rewiru.

Ale nie w tym przypadku, pomyślał Barbarotti. Ściągajcie ludzi z Göteborga i Centralnego Biura Śledczego. Jestem za. Sprzedam swój prestiż za bezcen.

Rozumiał, że po jego głowie tłukły się demony zmęczenia, ale po trzech dwunastogodzinnych dniach pracy, które tak właściwie były trzema ostatnimi dniami jego urlopu, te odczucia były uprawnione.

Przez cały dzień nie miał nawet chwili spokoju, żeby pomyśleć o Marianne, i dopiero teraz, kiedy dochodziła już jedenasta, przypomniał sobie, jak mówiła, że pojedzie do Visby i kupi sobie telefon.

Dobry Boże, pomyślał. Spraw, żeby zadzwoniła. Jeden punkt, dobra?

Ale Bóg nie miał zamiaru poprawiać swojej pozycji tego wieczoru i inspektor Barbarotti zasnął - niepokieszony, niekochany, zapomniany, odepchnięty przez Boga i z nieumytymi zębami - tuż po północy.

11.

W chwili gdy wsiadł do samochodu w sobotni poranek, zaczął rozmyślać nad kwestią rodzicielstwa. Możliwe, że był to wynik wcześniejszych przemyśleń na temat rodzicielstwa Evy Backman i swoich własnych relacji z trójką dzieci, a może chodziło o coś innego.

Na przykład, że mogło ono przyjmować tak różną postać. Że była tak cholernie duża różnica pomiędzy ludźmi, a przecież w zasadzie każdy mógł zostać rodzicem. Z posiadanych informacji wynikało, że matka Anny Eriksson kontaktowała się z córką telefonicznie przynajmniej raz w tygodniu, a jednak czas na identyfikację ciała zamordowanej córki znalazła dopiero w niedzielę. Bo w sobotę miała tyle do zrobienia...

Mimo to udało się umówić z nią na godzinne spotkanie; obiecała, że spotka się z inspektorem Barbarottim.

Zastanawiał się, czy już kiedyś mu się to zdarzyło. Że identyfikację swojego zamordowanego dziecka ustawiało się na końcu kolejki spraw do załatwienia. Bo wszystkie ważne sprawy uznane zostały za ważniejsze.

Choć przez telefon nie sprawiała wrażenia jakiejś dziwaczki, pomyślał Barbarotti. Płakała i wypowiadała słowa rozpaczy. Możliwe, że trochę zbyt głośno, ale poza tym wszystko wydawało się dość normalne.

Anna była jedną z jej ulubionych córek, jak wyjaśniła, a kiedy zapytał, ile miała córek, odpowiedziała, że pięć. I czterech synów.

Może w tym trzeba było szukać wyjaśnienia jej zachowania. Mając dziewięcioro dzieci, człowiek musi się liczyć ze stratami. Nie próbował się nawet dowiadywać, ilu różnych ojców przyczyniło się do narodzin tych dzieci, ale między wierszami zrozumiał, że więcej niż dwóch.

Mniej niż dziewięciu? Mam nadzieję, pomyślał Gunnar Barbarotti.

On miał tylko jednego ojca i jedną matkę. Ojciec nazywał się Giuseppe Barbarotti, a jedyną rzeczą, jaką po nim odziedziczył, było nazwisko; nigdy go nie spotkał i nie wiedział nawet, czy ojciec nadal żyje. Kiedy dorastał, matka wbiła mu do głowy, że Giuseppe był superprzystojnym dupkiem i że najlepiej było trzymać się od niego z daleka. Z jakiegoś powodu stosował się do tych zaleceń. Dwanaście lat temu, kiedy zmarła matka, nawet przez jakiś czas się zastanawiał, czy nie pojechać do Włoch i nie poszukać ojca, ale projekt upadł. Był wtedy tak zajęty własną rodziną, dwójką dzieci i trzecim w drodze, że nie było miejsca na poszukiwania w dół drzewa genealogicznego.

Ale teraz tamte powody przestały istnieć, pomyślał Gunnar Barbarotti.

Co mu przeszkadzało pojechać do Włoch i poszukać ojca? Albo jego grobu, gdyby już nie żył. Wiedział, że jak na razie ciągle była to tylko taka myśl, którą człowiek mógł się bawić, podróżując samochodem w słoneczne, sobotnie przedpołudnie - ale że kwestia mogła kiedyś dojrzeć do realizacji.

Czas pokaże, postanowił.

Jednak to, że dla różnych rodziców dzieci znaczyły co innego, nie ulegało wątpliwości. I *vice versa*. Zarejestrował w pamięci, że ma zadzwonić do Sary wieczorem albo podczas jazdy powrotnej. Wprowadził taki zwyczaj, żeby dzwonić do niej podczas weekendów z pytaniem, jak się miewa jego ukochana córeczka w rojącym się od ludzi i śmiertelnych niebezpieczeństw mieście Londyn. A ona opowiadała same uspokajające wieści. Wiedziała, że z rodzicami tak trzeba, ale jego to wkurzało. Sara mogłaby być umierająca, ale nie powiedziałaby ani słowa, żeby go nie niepokoić.

Musiał więc słuchać tego, co przekazywała mu między wierszami. Nie wiedział, czy jego umiejętności w tym zakresie są wystarczające; od jej wyjazdu upłynęło siedem tygodni i jak dotąd nie udało mu się odkryć żadnych sygnałów, że coś jest nie tak. Jedyna rzecz to podejrzenie, że pracowała w pubie, a nie w butik, jak usiłowała mu wmówić. Mieszkała w Camden Town, północnej części miasta. Miał zamiar ją odwiedzić pod koniec sierpnia albo na początku września; wtedy jego opinia o tym, jak jej się wiedzie, będzie bardziej realistyczna.

A później przez jego głowę przemknął mrozący krew w żyłach obraz, jak jego córeczka leży zamordowana pod łóżkiem; silniej zacisnął dłonie na kierownicy. Właśnie to mu się śniło. Że to nie Anna Eriksson kryła się pod zasłoną z worków plastikowych, tylko jego własna córka.

Życie jest piekielnie kruche, pomyślał Gunnar Barbarotti. I tak piekielnie normalne aż do chwili, kiedy wszystko się kończy.

Taka jest prawda. Jak wędrówka po świeżym lodzie - tak to już jest.

I wtedy zadzwonił telefon.

- Działa! Dzień dobry, kochanie.

Wystarczyło, że usłyszał jej głos, a prawie najechałby na jadącą przed nim niemiecką ciężarówkę.

Coś zdecydowanie niepokojącego dzieje się ostatnio z moją duszą, pomyślał. Jest rozedrgana jak u czternastolatka.

- Cześć - powiedział. - Masz...?

- Oczywiście. Właśnie wyszłam ze sklepu. Jest żółty. Dostałam go prawie za darmo, tylko dlatego że to stary model.

Skonsternowany, nie bardzo rozumiał, o czym ona mówi, aż wreszcie zaskoczył.

- Mam gdzieś, jaki ma kolor - powiedział. - Ale chcę znać numer.

Powtórzyła go dwa razy i obiecała, że na wszelki wypadek wyśle mu go SMS-em, a zresztą, czy on się nie rejestruje automatycznie w pamięci jego telefonu, gdy ona dzwoni? Potem zapytała, co porabia. Wyjaśnił, że jest w drodze do Jönköpingu, gdzie ma się spotkać z matką niedawno zamordowanej kobiety. Przez chwilę w słuchawce zrobiło się cicho, a Barbarotti uznał, że chyba niepotrzebnie wchodził w szczegóły.

- Piszący listy? - zapytała.

- Obawiam się, że tak.

- O Boże. Czyli już wykończył dwójkę?

- Niestety - powiedział Gunnar Barbarotti, jakby wina za to, że Erik Bergman i Anna Eriksson stracili życie, leżała częściowo po jego stronie jako śledczego i adresata listów, i jakby chciał prosić

Marianne o wybaczenie. Oczywiście nie miało to sensu, ale coś mu mówiło, że nie powinien być ujawniać prawdy.

Choć z drugiej strony wiadomość i tak by do niej dotarła, prędzej czy później. Przecież czytała gazety i słuchała radia. Równie dobrze mogła się dowiedzieć od niego.

- Mamy teraz mnóstwo roboty - odparł. - Naprawdę chciałbym nigdy nie musieć wyjeżdżać z Gotlandii.

- Po południu będziemy rzucać krążkiem - powiedziała. - Zapraszamy... Oj, przepraszam, to jest okropne. Czy w dzisiejszych gazetach coś o tym piszą?

- Raczej na pewno - odrzekł Barbarotti. - Choć faktycznie nie sprawdzałem.

- Kupię popołudniówkę - powiedziała Marianne. - Bardzo chcę wiedzieć, czym się aktualnie zajmujesz. To śledztwo to chyba... no, chyba nie jest to taka rutynowa sprawa?

Skąd jej się wzięło takie pytanie? - pomyślał nagle Gunnar Barbarotti. Może dlatego, że nie wyobraża sobie życia z facetem, który pracuje w takiej branży?

- Nie - odparł. - To nie jest rutynowa sprawa. Wydaje mi się, że nigdy czegoś takiego nie widziałem. I rzeczywiście zacząłem się zastanawiać nad zmianą pracy.

Ostatnie zdanie wypowiedział, zanim słowa przeszły przez mózg - prawdopodobnie chodziło o taki wybieg, który miał jej dać do zrozumienia, że nie boi się zmian - ale gdy po dziesięciu minutach skończyli rozmowę, stwierdził, że nadal wisiły w jego świadomości. Słowa, oczywiście. I połyskiwały takim jasnoczerwonym, odbłaskowym światłem jak lampki ostrzegawcze na desce rozdzielczej samochodu. „Zatankuj za pięćdziesiąt kilometrów! Uzupełnij olej!”.

„Zmień pracę!”.

Muszę pomyśleć o tym w ciszy i spokoju, jakiegoś innego dnia, obiecywał sobie inspektor Barbarotti. Ścieżka mojego życia dotarła do ronda.

Viveka Hall Eriksson przyjęła go w swojej kuchni w ładnie położonym domku jednorodzinny w dzielnicy Bymarken w Jönköpingu. Tafla wody jeziora Vättern połyskiwała nieruchomo kilkaset metrów poniżej imponującego okna panoramicznego, a Barbarotti pomyślał, że nawet jeśli ta kobieta nie miała spokojnego życia, przeżyła wiele związków, to przynajmniej nie była na tym stratna.

Wyglądało na to, że wszystkie dzieci już wyprowadziły się na swoje. Mężowie również.

Miała sześćdziesiąt cztery lata - wiedział to, bo sprawdził - ale robiła wszystko, żeby wyglądać na czterdzieści cztery. Było parę minut po drugiej, kiedy usiedli przy stole zastawionym serwisem kawowym. Barbarotti pomyślał, że musiała poświęcić sporą część poranka, żeby doprowadzić swój wygląd do takiego stanu. Możliwe, że nawet zdążyła pójść do fryzjera i salonu kosmetycznego: jej starannie ułożone włosy były koloru dojrzałego pola żyta, policzki upudrowane i podkreślone różem, paznokcie świeżo pomalowane. Ani trochę nie wyglądała jak kobieta, która urodziła dziewięćcioro dzieci.

Ani jak matka, która poprzedniego dnia dowiedziała się, że jej córka została zamordowana.

- Drogi panie komisarzu, całą noc nie mogłam zmrzyć oka - oznajmiła nieoczekiwanie silnym głosem i przeciągnęła dłońmi po swojej błyszczącej, liliowej bluzce, jakby chcąc ją jeszcze bardziej wygładzić i nabłyszczyc. - Jestem zrozpaczona, zupełnie nie wiem, co mam robić. Złapaliście go?

- Nie - odparł Barbarotti. - Niestety nie. Nie wiemy, kto mógł to zrobić. Właśnie dlatego chciałem z panią chwilę porozmawiać.

- Ze mną? - wybuchnęła Viveka Hall Eriksson. - Dobry Boże, przecież ja nic o tym nie wiem... nie rozumiem... dobry Boże!

Mówiła tak, jakby jej rozmówca znajdował się dwadzieścia czy trzydzieści metrów od niej; Barbarotti zastanawiał się, czy to jej

normalne natężenie głosu, czy też był to wyraz jakiejś nagłej hysterii. Przez telefon nie było tego słyhać.

- Chodzi tylko o krótką rozmowę - powiedział tak wolno i tak łagodnie, jak tylko mógł. - Oczywiście nie może pani nic wiedzieć o kulisach tego tragicznego wydarzenia, ale rozumie pani, że my musimy zbadać sprawę szczegółowo. Chcemy złapać mordercę Anny.

- Tak, tak - potwierdziła. - Musicie. Ten skurwiel nie może ujść sprawiedliwości. Ona była taka dobra, moja Anna, dobra jak anioł.

- Z całą pewnością - powiedział Barbarotti. - Może pani wie, czy ostatnio z kimś nie randkowała?

- Randkowała? - powtórzyła Viveka Hall Eriksson, jakby nie do końca rozumiała znaczenie tego słowa. - Nie miała faceta, jeśli o to panu chodzi.

- A może niedawno się z kimś rozstała?

- Tak, dobry Boże, na pewno - odparła Viveka Hall Eriksson. - Ta dziewczyna nie musiała długo szukać, żeby kogoś poznać. Ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu, ale ona umiała się szanować; zadbałam o to, żeby nauczyć tego wszystkie córki.

- Conny Härnlind? - próbował Barbarotti i zaczął odczuwać coś na kształt desperacji. - Czy to nazwisko coś pani mówi?

Prychnęła.

- Nie rozoznaję się w tych wszystkich imionach. Ale wiem, że Anna umiała o siebie zadbać; ten, który ją zabił, na pewno nie był jej facetem, może pan być pewien. Dbała o to, żeby spotykać się z porządnymi ludźmi, a nie z takimi barbarzyńcami.

- Erik Bergman?

- Co?

- Czy rozpoznaje pani to nazwisko?

- Erik Bergman? Nie, nigdy nie słyszałam.

Barbarotti wypił parę łyków kawy i zmienił temat.

- Rozmawiała pani z nią ostatnio w niedzielę, prawda?
- Zgadza się - powiedziała Viveka Hall Eriksson. - Zwykle rozmawialiśmy ze sobą raz w tygodniu. O tym i owym. Jeśli potrzebuje mojej rady, to ją dostaje, jeśli nie, to nie. Tak jest z nią i tak samo jest z pozostałymi dziećmi.

- Pamięta pani, o czym rozmawialiście?
- Jasne, że tak. Rozmawialiśmy o tym, że miała pojechać na Gotlandię, jakoś wczoraj. Dałam jej parę wskazówek; byłam w Visby siedemnaście razy, to prawdziwy letni raj, więc chyba nic dziwnego, że człowiek chce się podzielić doświadczeniami.

Oczywiście, pomyślał Barbarotti. Należy przekazywać dobre zwyczaje swoim spadkobiercom.

- Miała jechać sama czy z kimś? - zapytał.
- Z jakąś przyjaciółką, ale nie pamiętam, jak ona się nazywa. Lisbeth czy jakoś tak. Tak, miały jechać we dwie. Powiedziałam jej, żeby spróbowały wynająć domek nad Gustavsvik, tam jest najtaniej i najlepiej. Blisko do miasta i blisko do centrum turystycznego Snack. Lepszego miejsca nie można sobie wymarzyć. Był pan na Gotlandii?

Barbarotti skinął głową.

- Tylko parę razy. Tak, to piękna wyspa.
- Trzeba być w Visby - powiedziała Viveka Hall Eriksson. - Reszta to dziura zabita dechami. I tylko latem, ma się rozumieć; mieszkanie tam przez cały rok to niezły syf.

- Czy jak wtedy rozmawialiście, nie mówiła, że się czegoś boi?
- zapytał Barbarotti.

- Jak to boi? Nie, niczego się nie bała. Dlaczego miałyby się bać?

Barbarotti wypił jeszcze trochę kawy, zagryzł ciastkiem i zastanawiał się, co by tu zrobić, żeby rozmowa przyniosła jakiś efekt.

- Na przykład dlatego, że parę dni później została za mordowana - powiedział. - Zapomniała pani?

- Zapomniałam?! - wrzasnęła i wytrzeszczyła oczy. - Jak mogłabym zapomnieć, że moja córka została zamordowana? Odbiło panu? Niech pan się bierze do roboty i wsadzi do pierdła tego skurwiela, który to zrobił, a nie siedzi tu i mi insy... insu... jak to się, kurna, nazywa?

- Insynuować? - podsunął Barbarotti.

- Właśnie. Zamiast mi tu inseminować! Wsadź pan za kratki tego, co zabił moją Annę. Na to płacimy podatki, komisarzu.

- Hmm - burknął Barbarotti. - Właśnie dlatego przyjechałem do pani. Żeby sprawdzić, czy pani informacje nie podsuną nam jakiegoś tropu, który mógłby nam w tym pomóc. Moi koledzy w Kymlinge właśnie rozmawiają ze znajomymi pani córki, ze wszystkimi, do których udało się dotrzeć, i...

- Powiem panu, jakiego typa macie szukać - przerwała mu z wściekłością, a gruby wianuszek bransoletek, które miała na lewym przegubie, zabrzączał złowrogo, uderzając w blat stołu. - Szukajcie wśród tych parszywych imigrantów. To na pewno cudzoziemiec. Kobiety nie chcą się z nimi spotykać, więc ci próbują wszelkimi metodami. To na sto procent jakiś parszywy, brudny Arab, to jakiś brudas zabił moją Annę; wystarczy, że pan wyjdzie na ulicę i zaraz pan go znajdzie. Oni nie są tacy jak my, mają inny zapach, i cały czas nie mogę zrozumieć, dlaczego tu mieszkają.

- Teraz to wyciąga pani zbyt...

- Będę mówić, co będę chciała! - wrzasnęła Viveka Hall Eriksson. - Jestem w swoim domu.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, naszła go ochota, żeby podnieść kamień z ulicy i rzucić go w kuchenne okno. Ale się powstrzymał i tylko przez zaciśnięte zęby puścił długą wiankę.

Skąd się biorą tacy ludzie, pomyślał. I jak to możliwe, żeby stać się tak wulgarnym? Sześćdziesięcioczworoletnia matka dziewięciorga dzieci?

Co prawda przywykł w pracy do najróżniejszych zachowań, ale dzisiaj - w słoneczne przedpołudnie w środku pięknego lata - nie był na to przygotowany. Nie w tym wymuskanym domu w zadbanej dzielnicy willowej.

Matka, która właśnie straciła córkę.

Cholerna zakamuflowana rasistka, pomyślał Gunnar Barbarotti. A do tego jeszcze idiotycznie zadufana w sobie. Cholerna idiotka.

Zresztą, czy rzeczywiście zakamuflowana? Nie ukrywała swoich poglądów; tego nie można jej zarzucić.

No i rozmnożyła swoje debilne geny dziewięciokrotnie, pomyślał ze smutkiem i wsiadł do samochodu. Gdyby wszystkie jej dzieci również miały...

No tak, ośmiokrotnie - teraz mu się przypomniało. Od wczoraj. Jak wiadomo, Anna Eriksson ze Skolgatan w Kymlinge nie zdażyła dać światu żadnego dziecka, mimo że miała już trochę ponad trzydziestkę, więc...

No nie, teraz to już zaczynam stąpać po bardzo grząskim gruncie, przerwał swój tok myślenia i przekręcił kluczyk w stacyjce. Niech się pan uspokoi, panie inspektorze. W dłuższej perspektywie to demokracja jest najlepszym lekarstwem i nie wszyscy ludzie w tym kraju nazywają się Viveka Hall Eriksson.

Postanowił przesunąć rozmowę z Sarą na wieczór albo na jutro. Wprawdzie opanował już wzburzenie, ale nie całkiem się uspokoił. Kiedy będzie rozmawiał z córką, chce być spokojny i wyculony na jej sprawy, a nie wzburzony i zgorzkniały.

Zamiast tego wybrał numer inspektor Backman, żeby zapytać, jak przebiegały działania na własnym boisku.

W głosie Backman wyczuł irytację.

- Mamy tutaj chaos - powiedziała.
- Dlaczego? - spytał Barbarotti.
- Między innymi dlatego, że gazeta poświęciła temu kilka stron. Wygląda na to, że zaczęły się pielgrzymki do miejsc zbrodni.

Obu. Pewien sąsiad twierdzi, że widział nieznanego mężczyznę na klatce schodowej u Anny Eriksson we wtorek wieczorem; najśmieszniejsze jest jednak to, że udzielił wywiadu jakiemuś dziennikarzowi, zanim zdążyliśmy go przesłuchać. Asunander krąży wokół i wygląda jak bóbr cierpiący na skręt kiszek. Smęci, że potrzeba nam więcej ludzi; myślę, że chodzi mu o Centralne Biuro Śledcze. O drugiej mamy naradę, z nim i prokuratorem. Zdasz wrócić?

Gunnar Barbarotti odruchowo zwolnił i spojrział na zegarek.

- Nie jestem pewien. Włączę się, jak dotrę... Czy lekarz sądowy powiedział coś o godzinie zgonu?

- Mówi, że nie wyklucza, iż mogło to być wtorkowe popołudnie.

- Ale może być też środa?

- Może być środa. Chociaż wtorek jest bardziej prawdopodobny.

- Jakies ślady w mieszkaniu?

- Dowiemy się za tydzień. Ale coś powinni znaleźć. Musiał ją przecież zabić tam na miejscu.

- Ale żadnych oczywistych śladów?

- Jeśli pan policjant ma na myśli narzędzie zbrodni, to nie, wydaje się, że nie zapomniał go ze sobą zabrać.

- Rozumiem - powiedział Gunnar Barbarotti. - A ten świadek, który widział kogoś obcego... jest wiarygodny?

- W gruncie rzeczy tak. Chociaż rysopis, jaki nam podał, jest tak ogólnikowy, że pasuje do połowy ludności Szwecji. Widział go na schodach, tylko z tyłu. Mężczyzna w wieku pomiędzy dwadzieścia pięć a pięćdziesiąt lat, jasna koszula, włosy ciemny blond... Brak czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że to sprawca. Choć w jutrzejszych gazetach na pewno napiszą, że to był sprawca. Możemy się założyć.

- Żadnych innych chętnych, żeby nam opowiedzieć, co widzieli?

- Nie, ale mamy jeszcze jakieś dziesięć ton ludzi do przesłuchania. Jak tam mamusia?

Szukał jakiegoś prostego określenia.

- *White trash* - powiedział. - Choć mieszkanie imponujące.

- *White trash?* - powtórzyła Eva Backman. - Wydawało mi się, że tacy bywają tylko w Ameryce, ale widzę, że... coś źle rozumiałam. No dobra, teraz muszę się zająć kilkoma przyjaciółkami, które czekają na możliwość złożenia zeznań. Do zobaczenia o drugiej, tak?

- Jeśli zdążę dojechać - powiedział Gunnar Barbarotti.

Kiedy dotarł do komendy w Kymlinge, była już za piętnaście trzecia i narada z Asunanderem i prokuratorem Sylveniusem zdążyła się skończyć. Inspektor Backman nie skomentowała jego wyjątkowo powolnej jazdy z Jönköpingu; wyglądało na to, że gdyby była na jego miejscu, z całą pewnością zrobiłaby to samo.

- Od jutra będziemy prawdopodobnie mieli zmianę na stanowisku prowadzącego śledztwo - stwierdziła lakonicznie. - Asunander negocjuje właśnie z Centralnym Biurem Śledczym i Göteborgiem. To świetnie, że przyjedzie tu paru facetów z jajami i powie nam, co mamy robić.

- Dokładnie - powiedział Barbarotti. - Ale Astor Nilsson chyba już przyjechał?

Przytaknęła.

- Rozmawia z ciekawym facetem. Julius Bengtsson. Jakim cudem można w dzisiejszych czasach nazywać się Julius Bengtsson? Mnie się to kojarzy z kimś w rodzaju oszusta matrymonialnego w starej przedwojennej komedii.

- Kto to taki?

- Były narzeczony naszej ostatniej ofiary. Z tego, co rozumiałam, ma sporo ciekawych informacji. Chcesz posłuchać?

Gunnar Barbarotti wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie.

Usiedli przy stole w sali przylegającej do pokoju przesłuchań i wyposażonej w lustro fenickie*. Backman podkreśliła głośność. Barbarotti obserwował dwóch aktorów siedzących naprzeciw siebie przy stole w pustym pokoju. Widział profile obu z nich: lewy profil Astora Nilssona i prawy Juliusa Bengtssona. Mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, tak mniej więcej, z ufarbowanymi na blond włosami w stylu Tintina i małą ostrą bródką w tym samym kolorze. Pomarańczowy podkoszulek odsłaniający wytatuowanego węża na potężnym ramieniu. Mały złoty kolczyk w płatkach ucha. Lekka nadwaga.

* Często błędnie nazywane lustrem weneckim.

- Co masz na myśli? - zapytał Astor Nilsson.

- No bo wywaliła wszystkie moje graty na ulicę - tłumaczył wzburzony Julius Bengtsson. - Musiałem latać po ulicy z gołą dupą. Jeśli to pana interesuje, to ta laska była całkiem walnięta.

- Rozumiem - powiedział Astor Nilsson.

- Innym razem popchnęła mnie do rzeki. Byliśmy w Rimminge i walnęliśmy po parę browarków, to było jakoś latem, a potem spokojnie jak baranki ciągnęliśmy do domu. Stałem, żeby się odlać. Nagle poczułem pchnięcie z tyłu i spieprzyłem się do bajora. A ta zafajdana pinda rechotała na całe gardło.

- Jak długo byliście razem? - zapytał Astor Nilsson.

- Dość długo - odpowiedział Julius Bengtsson. - Przynajmniej ze trzy miesiące, nie, ja pierdziele, dłużej... może nawet z pół roku, co za syf. No, ale chwilami nie byliśmy razem.

Astor Nilsson podał mu fotografię.

- Czy pan wie, kto to jest?

Julius Bengtsson długo i dokładnie studiował zdjęcie. Oddał je.

- Błędnie pojęcia nie mam.

- Erik Bergman. Mówi panu coś to nazwisko?

- To ten, co go zaciukali nożem?
- Zgadza się. Znał go pan?
- Nie.
- *All right*. Kiedy ze sobą zerwaliście, to znaczy pan i Anna Eriksson?

Julius Bengtsson zastanawiał się.

- Dwa lata... może dwa i pół roku temu.
- Mieszkaliście razem?
- O nie. Człowiek powinien tego unikać jak zarazy.
- Tak? A kiedy widział ją pan ostatni raz?
- W ubiegłym tygodniu. Albo może dwa tygodnie temu.
- W jakich okolicznościach?
- Co?
- Gdzie?
- Po prostu, na mieście. Zagadałem do niej jakieś siemanko, ale ta kwaśna pinda odwróciła głowę, jakby mnie nie znała. Taka właśnie jest... znaczy, taka była, to trzeba przyznać.

Gunnar Barbarotti pokazał Evie Backman, żeby wyłączyła głośnik. Wyłączyła.

- Jak dla mnie, wystarczy - powiedział. - Nie wydaje się, żeby nadawał się na świadka koronnego.

- Z pewnością nie - potwierdziła Eva Backman. - A poza tym mamy jeszcze dwóch byłych narzeczonych w magazynie. I mniej więcej kwartet przyjaciółek.

- Miała ośmioro rodzeństwa - przypomniał Gunnar Barbarotti. - Czy rzeczywiście nie mamy nic, co miałyby w sobie więcej treści?

Po chwili namysłu Eva Backman odpowiedziała:

- Przyjaciółka od wyjazdu na Gotlandię nie powiedziała nic ciekawego. Przynajmniej w rozmowie telefonicznej. Zobaczymy, jak się będzie zachowywać podczas spotkania oko w oko; jutro przyjdzie na przesłuchanie. Tym razem wyjazd do Visby skończył się po jednym dniu.

Barbarotti kiwnął głową bez słowa.

- Spodziewam się usłyszeć trochę więcej od tej przyjaciółki z dzieciństwa w Torremolinos, z którą rozmawiałaś wczoraj - stwierdziła Backman. - Musimy pogadać z nią jeszcze raz jutro... Przynajmniej sprawia wrażenie, że znała ofiarę trochę lepiej niż inni, ale może to tylko wrażenie.

- Coś jeszcze? - spytał Barbarotti.

- Niewiele - oświadczyła Eva Backman. - Smutas próbuje zrobić grafik wtorkowych zdarzeń. Co robiła do momentu, gdy spotkała się z mordercą i tak dalej. Jeśli odważymy się przyjąć hipotezę, że umarła właśnie tego dnia. Można by zapytać... no bo można by zapytać, ile morderca dał nam czasu?

- Co masz na myśli?

- Tylko tyle, że być może dostałeś list tego samego dnia, kiedy on zabił Annę Eriksson. Chociaż mogłeś go przecież dostać dzień wcześniej? W poniedziałek. Albo w ubiegłym tygodniu. Nie pamiętasz, czy ten list leżał na samym wierzchu stosu poczty, czy nie?

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że przesyłki były porzucane. Prawie jestem pewien, że nie był ukryty pod niczym innym.

- Czyli mógł przyjść we wtorek?

- Możliwe - powiedział Barbarotti.

- Ale pierwszy list przyszedł tydzień przed terminem. Zastanawiam się...

- Tak?

- Zastanawiam się, czy tym razem też zaryzykował i uprzedził nas kilka dni wcześniej. Chodzi mi o to, że daje nam nazwisko i tydzień czasu na poszukiwania... to brzmi trochę ryzykancko, jak myślisz?

Barbarotti skinął głową.

- Może lubi ryzyko. Przecież nikt mu nie każe pisać tych listów.

- Nie, oczywiście masz rację - odparła Eva Backman, a na jej twarzy pojawił się przez chwilę wyraz, którego nie znał, albo nie potrafił rozpoznać. Cień czegoś bardzo przygnębiającego, prawie melancholijnego. To zły znak, pomyślał.

- A mimo to pisze te listy - dodała, splatając dłonie na blacie stołu, bardzo wolno i z pełną świadomością, jak gdy by chodziło o czynność nadzwyczaj precyzyjną. - Według mnie jest to bardzo niepokojące, Gunnarze. Cholernie niepokojące. Myślisz... to znaczy, myślisz, że będzie więcej ofiar?

Gunnar Barbarotti siedział przez chwilę i obserwował jej splecione dłonie.

- Zasadniczo nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - stwierdził na koniec. - Jeśli mam być szczery, to...

- Tak?

- Jeśli mam być szczery, to nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie - przyznała Eva Backman i wyprostowała się; wróciła jej wola działania. - Podzielimy się przesłuchaniami?

- Tak, jasne - odpowiedział Barbarotti.

Notatki z Mousterlin

1-8 lipca 2002 roku

Przez ostatnie kilka dni dużo chodziłem. Nasz dom leży na obrzeżach polderu, *Marais de Mousterlin*; wystarczy skręcić w prawo, bezpośrednio po wyjściu za pomalowaną na niebiesko furtkę, i już wchodzi się na obszar morski odgradzony jedynie wydmiami. Wąskie, wijące się żwirowe ścieżki prowadzą w różne strony przez bujne moczary pełne przedziwnych roślin, ptaków i oczek wodnych. Można tam spotkać spacerujących ludzi, jakieś psy, ale nie za wiele; ten osobliwy krajobraz rozciąga się wzdłuż całej drogi biegnącej przy plaży pomiędzy Mousterlin a Beg-Meil; wczoraj dotarłem do latarni morskiej, a potem poszedłem jeszcze dalej, ścieżką spacerową wzdłuż wybrzeża aż do Cap-Coz. Cudowne są te samotne spacerory; od czasu do czasu zapominam, że to jest moje prawdziwe ja: samotne wędrowanie w ciszy i spokoju, wśród własnych myśli i fantazji. Siła natury, która mnie otacza i akompaniuje moim krokiem, jest potężna, niemal mistyczna; w tej gorącej, wybujałej dżungli ocierają się o siebie wielkie siły erotyki i śmierci. Z pewnością pełno tu najróżniejszych robaczków, których całe życie trwa tylko jeden dzień: rodzą się rankiem, umierają wieczorem i w ciągu nocy zamieniają w próchno.

Od czasu do czasu muszę sobie przypominać o tym, jakie jest moje miejsce w tym wszystkim i kim, koniec końców, jestem. Teraz po południu wróciły do mnie myśli o Annie i jej mokrych włosach po nocnej kąpieli nago, aż musiałem się zatrzymać na nagrzanym słońcem polanie i, masturbując się, wyrzucić ten nachalny obraz z głowy.

Później zszedłem po zboczu na małą plażę Bot Conan i wykapałem się. Pływałem w zatoce dobrą godzinę i postanowiłem, że zostanę jeszcze przez cztery czy pięć dni. Do wtorku albo środy w przyszłym tygodniu. Później już wystarczy tego towarzystwa; podejrzewam, że będziemy się spotykać z Malmgrenami oraz Gunnarem i Anną przez weekend, co jest perspektywą częściowo pociągającą, a częściowo odpychającą. Przyznaję bez ogródek, że przebywanie w towarzystwie, do którego nie czuje się najmniejszej wprost sympatii, wiąże się jednak z pewną przyjemnością. Nie licząc podtekstów erotycznych.

Nie wiem, czym się przez ten czas zajmował Erik. Wczoraj i dzisiaj wychodziłem z domu zaraz po śniadaniu, a wieczorem jedliśmy *moules marinières* w Le Grand Large, ale nie opowiadał mi, jak spędził dzień. Podejrzewam, że leżał na werandzie albo na plaży i się opalał, bo był już brązowy jak czekolada; przypuszczalnie spotykał się też z kimś z naszej szwedzkiej kolonii.

W zasadzie mogę być tego pewien, ponieważ opowiadał o dalszym snuciu planów wspólnej wyprawy łódką na Les Glénan. Nie za wiele, tyle tylko, że Gunnar - a może chodziło o Henrika - nawiązał kontakt z pewnym Anglikiem, który prawdopodobnie mieszkał tutaj mniej lub bardziej na stałe i zgodził się wynająć swoją łódź na jeden dzień.

Wygląda na to, że mamy płynąć w szóstkę. Erik nigdy mnie nie zapytał, czy mam chęć płynąć z nimi, ale może samo podjęcie tematu było takim pytaniem nie wprost; daniem mi szansy na odmowę - właśnie wtedy, w Le Grand Large - a ponieważ tego nie zrobiłem, założył, że płynę i że dorzucę się do kosztów wycieczki. Kiedy analizuję swoje myśli i pobudki, nie mogę powiedzieć, że czuję jakąś większą niechęć do tego pomysłu.

Dlaczego nie?

„Dlaczego?”. „Dlaczego nie?”. Ciągłe te dwa jałowe pytania, które nie dają rozstrzygnięcia i nie dają mi spokoju. Powinny istnieć jakieś bardziej czytelne drogowskazy.

Piszę podsumowanie pół dnia później. To, co się stało, już się stało i czasu nie da się cofnąć.

Wziąłem prysznic, spałem około czterech godzin, znowu wziąłem prysznic. Erik wyszedł z domu wcześniej rano; podejrzewam, że poszedł do Gunnara i Anny, żeby się naradzić. Albo do Malmgrenów. Przestało padać. Jest poniedziałek, wpół do dwunastej.

Ale wróćmy do niedzielnego poranka. Wczoraj, dwadzieścia sześć godzin temu, wszystko się zaczęło; trudno pojąć, że minęło tylko tyle czasu, ale kiedy cofam tę dobę i zaczynam wszystko od początku, w głowie mi pulsuje, a chronologia wydarzeń pomaga w zachowaniu obiektywizmu i w odtworzeniu wszystkiego jak najdokładniej. Jestem pewien, że nikt poza mną nie przeleje na papier w porządku chronologicznym faktycznego przebiegu zdarzeń tego przerażającego dnia.

Jest piękny poranek, a nasz plan bardzo prosty: Anglik z łodzią - jakoś nie zanotowałem jego nazwiska - mieszka gdzieś w Beg-Meil, a łódź cumuje w niewielkiej przystani jachtowej na wschodnim nabrzeżu. Gunnar i Henrik odbierają łódź około dziewiątej; pozostali uczestnicy wycieczki zbierają się na plaży tuż za cyplem Mousterlin, poniżej domu Malmgrenów. Kosze z prowiantem i torby termoizolacyjne, stroje kąpielowe, butelki z winem - kobiety były w sobotę w Quimper i zrobiły porządne zakupy. Spod ściereczek w czerwono-białą kratkę wystają bagietki, pstrokaty parasol, słomkowe kapelusze, jak na jakimś sielankowym obrazie. Panie są ożywione, rozmawiają o olejkach do opalania i nietkniętych stopą ludzką plażach; pogoda jest wyśmienita, bezchmurne niebo, temperatura już w okolicy dwudziestu pięciu stopni. Tak, to prawie jak obraz, obraz mistrzów ze Skagen w innym kraju i w innym czasie, ale z tym samym

temperamentem. Czuję jednak - dokładnie tak samo wyraźnie jak przed taką skostniałą, starą olejną idyllą - że to kwestia jednej iluzorycznej sekundy, jednego mrugnięcia okiem, a cały obraz zniknie. Skąd mogę to wiedzieć? Morze jest spokojne, na horyzoncie można dojrzeć kilka wysp archipelagu Glénan; w każdym razie wydaje mi się, że to, co widzę, to te właśnie wyspy, ale nie mam pewności. Plaże są jeszcze prawie puste; widać tylko kilku biegaczy, kilku wędkarzy. Odpływ, ale zaraz zacznie się przyptyw. Erik i ja, dwie kobiety. Należą do innych mężczyzn, ale patrząc na nas, jakiś obcy obserwator uznałby nas bez wątpienia za dwie pary. Pamiętam, że rzeczywiście taka myśl przeszła mi przez głowę, gdy tak staliśmy, czekając na Henrika i Gunnara z łódką. Pamiętam też, że Erik pomógł Annie poprawić ramiączka bikini, które się poskręcały na plecach.

Ale zanim przyплыła łódź, na plaży pojawiła się Troaë.

Ile bym dał, żeby tak nie było.

Miała na sobie ten sam czerwony kostium kąpielowy, co poprzednim razem, dzisiejszego poranka połączony z parą obciętych na krótko džinsów. Ten sam niebieski, letni kapelus, ten sam plecak. Ale bez sztalug; kiedy nas zobaczyła, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Ruszyła do nas biegiem, wzbijając za sobą fontanny piasku.

- *Mes amis!* - krzyczała. - *Mes amis les Suédois!*

- *Bonjour, petite!* - zawołała do niej Katarina Malmgren. -

Comment vas-tu ce matin?

Dziewczyna wyhamowała tuż przy nas i natychmiast spowaźniała.

- Niezbyt dobrze. Pokłóciłam się z babcią.

- *Et pourquoi?* - zapytał Erik, któremu tym razem udało się wtrącić do konwersacji. - Dlaczego?

Troaë roztoczyła żywiołową wizję porannej rozmowy z babcią, robiła miny i naśladowała; wyglądało na to, że Katarina Malmgren

większość z tego rozumiała, bo śmiała się głośno i komentowała słowa dziewczynki. Pozostała trójka starała się cokolwiek zrozumieć; wyglądało na to, że babcia chciała zabrać dziewczynkę ze sobą do miasta - przypuszczam, że chodziło o Quimper - na zakupy, ale Troaë nienawidziła chodzenia po sklepach. Szczególnie z babcią, która potrzebowała ośmiu godzin, żeby kupić ser i parę butów.

- Powiedziała, że jestem *guenon* i że wrodziłam się w matkę.

- *Guenon?* - zapytał Erik.

- Chyba chodzi o koczodana - powiedziała Katarina Malmgren.

Oczywiście, pomyślałem. Ona rzeczywiście jest koczodanem.

Wówczas dziewczynka nazwała babcię *chameau*, czyli pewnie też jakąś małpą, a potem babcia pojechała do miasta sama.

- Co będziecie dziś robić?

Mniej więcej wtedy zobaczyliśmy Henrika i Gunnara. Biała, plastikowa łódź opływała cypel i zbliżała się do nas z dużą prędkością i ostrym odgłosem silnika. Nie znam się na łodziach, ale nawet ja rozumiałem, że jest to dość kosztowna zabawka. Przez chwilę zastanawiałem się nad tym Anglikiem; kim właściwie był, że zgodził się bez problemu wynająć swoją łódź bandzie obcych. Chociaż być może Henrik i Gunnar potrafili się wykazać większym znawstwem żeglarstwa i zrozumieniem reguł morza, niż myślałem. Katarina wyjaśniła Troaë, że zamierzaliśmy zrobić sobie wycieczkę na archipelag.

- Les Glénan! - zawołała Troaë. - Uwielbiam Les Glénan! Weźcie mnie ze sobą!

Minęło kilka sekund; łódź była coraz bliżej. Wymieniłem spojrzenie z Erikiem, ale nie potrafiłem odczytać jego opinii. Później dziewczynka złapała Katarinę Malmgren za rękę i przytuliła się do niej.

- Błagam was!

- A babcia? - zapytał Erik. - Jak myślisz, co na to powie babcia?

- Ona ma to w nosie - zapewniła Troaë. - Zawsze chodzę własnymi drogami. Ona sprawdza tylko, czy jestem w łóżku koło północy, to wszystko. Błagam was!

- No dobrze - zgodziła się Katarina Malmgren.

- *Je vous aime* - powiedziała dziewczynka.

Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Dlaczego Katarina Malmgren, ni stąd, ni zowąd, powiedziała dziewczynce, że może z nami popłynąć na całodniową wycieczkę na Les Glénan. Podjęła tę decyzję na własną rękę, nie pytając pozostałych o zdanie; jestem pewien, że przynajmniej Anna uważała to za idiotyczny pomysł, ale - ta myśl była uderzająca - może właśnie dlatego Katarina się zgodziła. Właśnie dlatego, że wiedziała, iż Anna była przeciwnego zdania, ale trudno byłoby jej je obronić. Nigdy do końca nie rozumiałem tego typu skomplikowanych gierk pomiędzy kobietami, mogę więc tylko spekulować. Tak czy owak, decyzja zapadła i Troaë miała płynąć z nami na archipelag; żadne z nas się nie sprzeciwiło - ani ja, ani Erik, ani Anna.

Henrik i Gunnar też nie mieli nic przeciwko, gdy wyszli z łodzi, brodząc po kolana w wodzie i pomagając nam dostać się na pokład „Arcadii”, a dziewczynka powstrzymywała swoje podniecenie i radość, chcąc sprawiać wrażenie bardziej dorosłej, niż jest, i nie wyróżniać się. Miała talenty socjotechniczne, ta mała Troaë, tego nie można jej odmówić.

„Arcadia” była białą plastikową łodzią z dużym czarnym silnikiem. W kambuzie pod pokładem było miejsca na cztery osoby, ale nikt nie chciał siedzieć pod pokładem. Kobiety natychmiast znalazły dla siebie miejsce z przodu na pokładzie, rozłożyły czerwone i żółte ręczniki i zaczęły się opalać. Gunnar dostał rozkaz, by płynąć spokojnie, żeby nie wiało na nie zbyt mocno i żeby nie opryskiwała je woda; pozostali uczestnicy wyprawy usiedli przy wąskim stole w

kokpicie: Henrik i ja po jednej stronie, a Erik i Troaë po drugiej. Dziewczynka wsunęła rękę pod ramię Erika, a on jej nie odsunął. Nie mówiliśmy wiele, zbyt męczące było przekrzykiwanie niezwykle głośnego warkotu silnika. Stwierdziłem, że jest nas siedmioro i że żadne z nas nie ma kamizelki ratunkowej, ale nikt nie skomentował tego ani słowem.

Kiedy zaczęliśmy się zbliżać do Les Glénan - jest to mały archipelag składający się z około dziesięciu wysepek; wszystkie są niezamieszkane, ale na kilku przygotowano infrastrukturę wymaganą przez współczesną turystykę - Gunnar zwolnił, Anna i Katarina weszły do nas do kokpitu i zaczęła się dyskusja na temat wyboru wyspy. Ktoś wyjął mapę i rozłożył ją na stole. Ja nie brałem udziału w tej dyskusji, a po chwili towarzystwo zgodziło się, że dobijemy do Ile de Brunec; nie wiem, dlaczego akurat do tej, może dlatego że była trochę na uboczu. Nie należała do tych pięciu większych wysp, które tworzyły pierścień wokół słynnej laguny. Według broszury, którą miał ze sobą Erik, na Brunec nie było żadnych budynków, żadnej restauracji ani wygod.

- Idealnie - powiedziała Anna. - Tylko białe plaże i turkusowe morze.

- Jedzenie, wino i gorące ciała - dodał Gunnar.

Rzeczywiście, była to prawda. Przepłynęliśmy na ukos przez lagunę, okrążyliśmy Ile de St-Nicolas i zakotwiliśmy po zachodniej stronie Brunec w małej zatoczce pomiędzy ostro zakończoną skałą a piaszczystą plażą w kolorze kości słoniowej. Brodząc po kolana w przyjemnie chłodnej wodzie, zeszliśmy na plażę, niosąc koszyki i torby na głowach. Nie widać było ani jednego człowieka; wcześniej widzieliśmy kilka łodzi poruszających się w różnych kierunkach, około tuzina łódek bujało się na kotwicach w lagunie, ale na Brunec było pusto. Wyglądało na to, że znaleźliśmy całkiem własną wyspę z co najmniej trzystumetrową piaszczystą plażą; wyspa

była dość mała, zaledwie dwa kilometry w obwodzie, a na środku porastał ją niewielki lasek. Najwyższy punkt wyspy leżał nie więcej niż pięć metrów ponad poziomem morza.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do dwunastej. Spojrzałem na niebo. Lazurowy błękit. Morze było nadal spokojne jak lustro, mewy fruwały wokół, robiąc ospałe elipsy, a ja pomyślałem sobie, że byłem zdany na tych ludzi. Przez cały dzień.

Po co mi to było?

Naprawdę tak myślałem, a Władca much trzepotał w mojej głowie. Nie wymyśliłem tego po fakcie.

Okazało się, że była to druga podróż Troaë na Les Glénan. Za pierwszym razem była tutaj z mamą i tatą; jeśli dobrze pamiętała, bo miała wtedy cztery lata.

- A co będzie, kiedy twoja babcia wróci do domu o piątej i ciebie nie zastanie? Nie będzie się martwić? - zapytała Katarina.

Oczywiście stawianie teraz takiego pytania było bez sensu, ale dziewczynka zaczęła się śmiać i potrząsnęła głową.

- Ona twierdzi, że ma ze mną same kłopoty - odpowie działa. - Już wam mówiłam. Dla niej najważniejsze jest, że bym była cała, kiedy przyjedzie po mnie tata. Ale mi nie przeszkadza, że ona taka jest; świetnie sobie radzę sama.

- A kiedy przyjedzie tata?

Wzruszyła ramionami.

- Parę dni przed rozpoczęciem szkoły, tak myślę. Za sześć tygodni czy jakoś tak.

Naszła mnie myśl, że Troaë mogła być mitomanką. Że w gruncie rzeczy mieszkała z mamą i tatą przez cały rok w Fouesnant. Albo na którymś z kempingów, które widziałem niedaleko Beg-Meil. Że żadna babcia nie istniała, a my dostaniemy niezły ochrzan, że porwaliśmy dziewczynkę. Ale nic nie powiedziałem. Wstałem i poszedłem do wody. Popływałem trochę; woda była krystalicznie czysta, a grunt

traciło się jakieś dwadzieścia metrów od brzegu. Żałowałem, że nie zabrałem ze sobą płetw i fajki do nurkowania, byłyby znakomitym narzędziem do zabicia czasu. Unosiłbym się w wodzie i obserwował głuchoniemy świat rozciągający się pod jej powierzchnią. Dotarło do mnie, że minęło już ponad pięć lat, od kiedy zrobiłem certyfikat nurka i prawie tyle samo od wypadku z żoną.

Kiedy pół godziny później wróciłem na brzeg, pozostali właśnie zabrali się za przygotowywanie lunchu.

- Myślę, że powinniśmy wypić parę butelek wina, dopóki są w miarę schłodzone - stwierdził Gunnar. - Podejrzewam, że woda jest za ciepła, żeby je w niej chłodzić?

Pytanie było skierowane do mnie. Nikt z pozostałych jeszcze się nie zamoczył. Wzruszyłem ramionami.

- Myślę, że ma trochę powyżej dwudziestu stopni.

- Chce mi się pić - powiedziała Anna. - Mam zamiar niedługo wykapać się nago, ale potrzebuję parę kieliszków na odwagę.

Wydawało mi się, że mówiąc te słowa, rzuciła spojrzenie w moją stronę, ale może to tylko złudzenie.

- Anna ma taką właściwość, że kąpie się nago tylko w towarzystwie - powiedział Gunnar. - Nigdy w samotności. Można by się zastanawiać, dlaczego.

- Goń się, świnió - krzyknęła Anna.

Zaczęła się śmiać i uderzyła go otwartą dłonią w pośladki. Troaë zapytała, o czym rozmawiamy, a Katarina wyjaśniła jej, że podziwiamy urodę wyspy. Potem był lunch. Bagietki i sery, kleiste sałatki, szynka z Bayonne, *crêpes* i awokado. Truskawki, maliny i czereśnie; kobiety faktycznie się postarały, a w torbie termoizolacyjnej zmieściło się - ni mniej, ni więcej - tylko osiem butelek wina alzackiego.

Przez następne dwie i pół godziny opróżniliśmy sześć z nich. Troaë twierdziła, że wychowała się na winie z wodą, więc też dostała kilka kieliszków. Konwersacja plażowa toczyła się leniwie i bez atrakcji, oczywiście z każdą opróżnianą butelką wina coraz bardziej

leniwie. Gunnar uparcie dyskutował z Troaë o zakupie jej akwarelki; dziewczynka wyjaśniała, że obraz będzie gotowy jutro, i jeśli tylko znajdzie nas na plaży, to go nam pokaże. Może nawet urządzi aukcję; bywała kilka razy na różnych aukcjach sztuki ze swoim ojcem i wie, jak to się odbywa. Gunnar i Erik przez chwilę udawali, że poważnie zastanawiają się nad tym pomysłem, ale wkrótce im się znudziło. Przerzucili się na rozmowę o dziwnym zamięszeniu Francuzów do słodkich i niezdrowych śniadań i o innych tego typu sprawach. Dziewczynka przestała dyskutować, wyjęła z plecaczka książkę i zaczęła ją czytać. Ja też wyjąłem *Wyznania* świętego Augustyna, które mam ze sobą zawsze, kiedy podróżuję; miałem wrażenie, że dziewczynka i ja zaznaczyliśmy swój dystans wobec pozostałych - cienką, lecz znaczącą linię graniczną. Przez chwilę zastanawiałem się też nad aspektem Władcy much - sytuacją, jak ta obecna, w której bylibyśmy rozbitkami wyrzuconymi na ląd i musielibyśmy żyć na tej wyspie przez kilka miesięcy - i nad tym, że po jakimś czasie dziewczynka i ja stworzylibyśmy pewną enklawę, wspólny front walki z barbarzyńcami; szybko zrozumiałem, że pomysłowi brakowało nośności i wiarygodności.

Tuż po wpół do trzeciej przyплыnęła inna łódź, która zakotwiczyła na drugim końcu plaży; na ląd zeszli mężczyzna i kobieta, którzy zaraz usiedli każde w swoim leżaku.

- W porządeczku - powiedział Gunnar. - Teraz mamy już wystarczająco dużą publiczność. Teraz możesz się już kąpać nago, Anno.

Nie namyślając się długo, Anna przyjęła wyzwanie. Podniosła się na lekko chwiejnych nogach, zdjęła bikini i wbiegła do wody. Byłby to z pewnością piękny widok, gdyby nie to, że była zbyt pijana: potknęła się i upadła, gdy tylko zrobiła dwa kroki w wodzie. Zakłęta, stanęła na nogach i odwróciła do nas.

- Ruszcie tyłki, pieprzone cioty! - krzyknęła. - Wrzucicie na luz, tu jest całkiem jak w raj.

Katarina Malmgren wahała się tylko przez moment, a potem zrzuciła bikini i pogalopowała w kierunku Anny. Trzymała się na nogach dużo pewniej, udało jej się wbiec spory kawałek do wody i zanurzyła się z własnej woli.

Gunnar roześmiał się. Erik też się śmiał i krzyczał: „Brawo!”. Henrik i ja nie odezwaliliśmy się ani słowem. Troaë klaskała w dłonie i krzyczała coś po francusku, ale nie zrozumiałem co; potem pobiegła do wody za obiema nagimi kobietami.

Tym razem nie zdjęła kostiumu. Zastanawiałem się, dlaczego. Może zrozumiała, że nie ma szans konkurować z dwoma tak wspaniałymi kobiecymi ciałami jak ciała Anny i Katariny, ale przypuszczalnie przypisywałem jej więcej przebiegłości i wyrachowania, niż go w rzeczywistości miała.

Po kilku minutach do wody udał się również cały męski kwartet. Nikt nie zdjął kąpielówek; ja miałem ku temu wyraźny powód i zauważyłem, że przynajmniej jeszcze Erik był w tej samej kłopotliwej sytuacji.

Obca para opuściła plażę około czwartej i mniej więcej w tym samym czasie Anna i Gunnar powiedzieli, że chcieliby popłynąć na krótką wycieczkę sami. Do tej pory wlałiśmy w siebie pozostałe wino i wyraźnie było widać, że szukają jakiegoś odosobnienia, żeby się pobzykać.

- Weźmiemy łódkę i popłyniemy do Les Blunieres - oświadczył Gunnar, machając mapą. - To chyba te wyspy, które tam widać. - Pokazywał w kierunku małych zarysów wysp widocznych na zachód od nas. - Wrócimy za godzinę, okej?

- Jasne, nie ma sprawy - powiedziała Katarina Malmgren. - Przyjemnej wycieczki, ha, ha.

- Ha, ha - odparła Anna.

- O czym teraz rozmawiacie? - dopytywała się Troaë.

- Jesteś za mała, żeby to zrozumieć - powiedziała Katarina po szwedzku.

- Nie bądź taka pewna - powiedział Erik, patrząc w zamyśleniu na Gunnara i Annę idących w kierunku łodzi. - Nie bądź taka pewna.

- Chcę wiedzieć, o czym rozmawiacie - zaprotestowała Troaë i skrzyżowała ramiona na piersi. - To niesprawiedliwe.

- To przychodzi z wiekiem - powiedział Erik. - Musisz się nauczyć cierpliwości, malutka.

Powiedział to po szwedzku i wydaje mi się, że Troaë nie zauważyła, iż te słowa były skierowane do niej. Poczulem, że z powodu wina i słońca procesy myślowe w mojej głowie zamieniają się w wiązanie supłów. Uznałem, że najlepiej będzie przenieść się do cienia i zdrzemnąć. W ciszy obserwowaliśmy, jak Gunnar i Anna wspięli się na pokład łodzi po drabince, jak po kilku nieudanych próbach Gunnar uruchomił silnik i jak ruszyli wokół skałki w kierunku Les Bluinieres.

- To niesprawiedliwe - powtórzyła Troaë, kiedy łódź zniknęła nam z oczu i w zasadzie nie było jasne, czego do tyczyło to stwierdzenie.

Erik wstał.

- Zamierzam przejść się dookoła wyspy - powiedział. - Możesz iść ze mną, Troaë.

Zwrócił się do niej po francusku bez jednego nawet błędu, przynajmniej ja tak to odebrałem; tak jakby wcześniej się przygotował.

- *Oui, monsieur!* - zawołała dziewczynka. - *Avec plaisir!*

Podskoczyła, złapała go za rękę i ruszyli wzdłuż linii brzegowej w kierunku słońca.

Zostałem sam z Malmgrenami. Katarina położyła się na brzuchu i poprosiła męża, żeby nasmarował jej plecy. Uznałem, że przyszedł czas na tę drzemkę, o której pomyślałem wcześniej. Wziąłem swój ręcznik i poszedłem do cienia w pobliżu drzew. Przyszło mi na myśl,

że może powinienem zrobić sobie dobrze przed zaśnięciem, ale byłem zbyt zmęczony i podchmielony, żeby coś z tego wyszło.

Obudziłem się z potwornym bólem głowy. I z zimna.

A może również dlatego, że Henrik Malmgren stał kilka metrów ode mnie i chrząkał. - Nie śpisz? Mamy problem.

- Problem?

- Tak. Gunnar, Anna i łódka jeszcze nie wrócili. Jest wpół do siódmej.

Usiadłem i spojrzałem na zegarek. Spałem ponad dwie godziny. W skroniach pulsował ból. Zauważyłem, że przenieśli się trochę bardziej w głąb lądu, około dziesięciu czy piętnastu metrów od miejsca mojej drzemki pod drzewami. Katarina Malmgren i Troaë siedziały blisko siebie, zwrócone do mnie plecami, Erik parę metrów dalej. Przebiegł mnie dreszcz. Zauważyłem, że wieje zimny wiatr, a niebo przykrywają ciemne chmury.

- Nie wrócili? - zapytałem. - Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedział Henrik. - Parę razy dzwoniłszy na ich komórkę, ale nie odpowiada.

- Może jej nie mają ze sobą.

- Może nie - odrzekł Henrik. - Tak czy owak, musiało się chyba coś stać, a zaraz zacznie padać, przynajmniej tak się zapowiada.

- Przepraszam - powiedziałem i podniosłem się. - Muszę coś na siebie założyć.

- Wydaje mi się, że temperatura spadła o jakieś piętnaście stopni - skomentował Henrik.

Poszliśmy w kierunku pozostałych. Założyłem spodnie i bluzę z długim rękawem.

- Golnij trochę tego - zaproponował Erik i podał mi butelkę calvadosu. - Te cholerne króliczki nie wróciły.

- Słyszałem - odparłem i wypilem spory łyk prosto z butelki.

Popatrzyłem na nich. Troaë siedziała przytulona do Katariny Malmgren, która obejmowała ją ramieniem. Miała zmartwiony wyraz twarzy.

- Wydaje mi się, że mała jest chora - powiedziała.

Spojrzałem na Erika i przypomniało mi się, że zanim uciałem sobie drzemkę, on poszedł na spacer i zabrał małą ze sobą. Odwrócił wzrok i zaczął wpatrywać się w morze, w kierunku wysp, które, jak przypuszczaliśmy, nazywały się Les Bluinieres. Już ich nie było widać, światło się zmieniło - to jeszcze nie był zmierzch, ale widoczność zmalała radykalnie. Po morzu przetaczały się półmetrowe fale i w powietrzu czuć było burzę. Zapytałem, czy nie myśleli o tym, żeby skontaktować się z kimś na lądzie.

- Nie wiemy, do kogo by zadzwonić - powiedział Henrik Malmgren.

Zauważyłem, że język mu się płacze. Mój ból głowy wbijał mi dwa cieniutkie gwoździe w czaszkę. Pomyślałem, że wszyscy są nawaleni. Czworo nawalonych Szwedów bez łodzi na bezludnej wyspie. Porwaliśmy dwunastoletnią francuską dziewczynkę i cholera wie, co oni tam robili na tym spacerze.

- Poczekajmy jeszcze godzinę - zaproponowała Katarina Malmgren. - Nie ma powodu, żeby wszczynać jakiś wielki raban.

- Ja byłem przeciwny temu, żeby zabierali łódź - oświadczył Henrik.

- Zamknij się - rzuciła Katarina. - Takie komentarze kompletnie nam się teraz nie przydadzą.

- To ty wplątałaś w to małą - atakował Henrik. - Ale tego też nie chcesz słyszeć? W niezły syf nas wpakowałaś.

Katarina nie odpowiedziała.

- Na szczęście mamy jeszcze pół litra calvadosu - powiedział Erik.

- Chodzi mi o kompletny brak odpowiedzialności - kontynuował Henrik i niezdarnie podpałił papierosa.

Dziewczynka powiedziała coś do Katariny na ucho. Wstały.

- Mówi, że jej niedobrze - powiedziała Katarina oskarżycielskim tonem.

- To niech się wyrzyga - zaproponował Erik.

Katarina i Troaë poszły w kierunku drzew. Kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że dziewczynka klęka i wymiotuje; w tej samej chwili poczułem pierwsze krople deszczu na wierzchu dłoni. Erik podał butelkę Henrikowi, a ten wziął głęboki łyk.

Próbowaliśmy stworzyć pod drzewami prymitywny szałas. Rozwiesiliśmy ręczniki jako ochronę przed wiatrem i deszczem, ale nie na wiele się to zdało. Henrik był zalany, chodził wkoło i klął pod nosem. Katarina i Troaë siedziały razem, przytulone do siebie, żeby było cieplej; po tym, jak wróciły, dziewczynka nic nie mówiła i wyraźnie widać było, że źle się czuje. Ja i Erik na zmianę staliśmy przy linii brzegowej i bezskutecznie wypatrywaliśmy łodzi od strony Les Bluinieres. Mówiliśmy niewiele. O ósmej podzieliliśmy się ostatnimi kroplami calvadosu; Katarina Malmgren podziękowała, dziewczynka też nie chciała pić, mimo że szczękała zębami z zimna. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy mamy radę rozpaścić ognisko. Henrik był rozbawiony tym pomysłem.

- Jasna cholera, to jest przecież najbardziej mokre miejsce na świecie - powiedział. - A to jest największe fiasko, w jakim zdarzyło mi się brać udział.

- Zamknij się - odrzekł Erik. - Twoje dziecinne jęki wcale nam nie pomagają.

- Z radością się zamknę - odparł Henrik. - Daj tylko znać, kiedy już rozpalisz ogień.

Zobaczyłem, że Erik zacisnął pięści, i pomyślałem, że zaraz dojdzie do prawdziwej awantury. I pewnie by doszło, gdyby nie to, że w tym samym momencie usłyszeliśmy okrzyk Katariny Malmgren.

- Patrzcie! To chyba łódź!

Gapiliśmy się wszyscy pięcioro na rozhuśtane morze i zobaczyliśmy, że rzeczywiście w naszym kierunku płynie łódka.

- Czy to oni? - zapytał Henrik.

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiedziała Katarina.

- Jasne, że oni - zapewniał Erik. - Jacy inni idioci wyruszyliby na morze przy takiej pogodzie?

- Najwyższy, kurna, czas - zauważył Henrik.

- Bądź tak dobry i siedź cicho. Spróbuj może zrobić coś pożytecznego - zaproponowała Katarina.

- A co byś chciała, żebym zrobił? - dopytywał się Henrik. - Może posmarować ci plecy?

Rzeczywiście, była to nasza łódź, a na niej Gunnar i Anna. Przeskakując przez fale, wyszli na brzeg, a po męczącym kwadransie wysiłków wszystkim udało się wejść na pokład. Przy tych falach nie było to łatwe; Erik skaleczył się w łokieć, a dziewczynka głośno płakała, kiedy wspinała się po drabince i próbowała nie dać się porwać fali.

- Mamy jakąś usterkę silnika - oznajmił Gunnar. - Dwie godziny się z nim męczyliśmy, zanim zaskoczył.

- Mamy nadzieję, że wycieczka się udała - powiedział Henrik.

Pomyślałem, że jeśli Henrik się nie zamknie, to zaraz ktoś nie wytrzyma.

- Idźcie na dół do kambuza - powiedział Gunnar. - Jestem co prawda już tak zmarznięty jak dupa niedźwiedzia polarnego, ale chyba najlepiej będzie, jak powrotem do domu też ja się zajmę.

Pomyślałem, że porównanie z niedźwiedziem polarnym było kompletnie bez sensu, ale się nie odezwałem.

- Tylko nie dawajcie żadnych zadań Henrikowi - odpowiedziała Katarina.

Skupiliśmy się w ciasnym i ciemnym kambuzie; Gunnar zawrócił łódź i dodał gazu. Rzeczywiście, słychać było, że z motorem jest coś nie w porządku, bo odgłos, jaki z siebie wydawał, brzmiał nisko i

głucho. Gdy płynęliśmy w tamtą stronę, był wysoki i ostry. Przecinaliśmy fale na ukos; uderzenia były bardzo silne, musieliśmy więc pochylać się do przodu i mocno trzymać, żeby nie uderzać głowami w niski sufit. Mimo że dzięki zmianie odgłosu silnika było ciszej i można było rozmawiać, nikt nie skorzystał z tej okazji. W górę i w dół, w górę i w dół - już po kilku minutach czułem, że robi mi się niedobrze; przez ostatnią godzinę mój ból głowy lekko przycichł, teraz jednak wrócił ze zdwojoną siłą. Jestem pewien, że pozostali też nie czuli się najlepiej. Siedziałem ściśnięty pomiędzy Henrikiem i Erikiem. Anna, Katarina i dziewczynka siedziały po drugiej stronie stołu, a sześć par rąk wczepiało się w jego blat, aż pobielaly nam kostki. W górę i w dół. W górę i w dół. Głos silnika podnosił się i opadał w takt ruchu fal. Od czasu do czasu przychodziło silne uderzenie, kiedy lądowaliśmy za nieco wyższym grzbietem fali. Mdłości nasilały się; zacząłem liczyć oddechy, monotonne uderzenia pulsu w skroni, zamykałem oczy i żałowałem, że nie zabiłem tych ludzi wtedy, pierwszego dnia w Bénodet. Że przynajmniej raz nie przemieniłem myśli w czyny.

Nagle silnik zgasł. W wejściu do kambuza pojawił się Gunnar; jego przemoczona do suchej nitki postać wypełniła całe wejście i zrobiło się kompletnie ciemno.

- Kurwa! - krzyknął. - Znowu stanął. Kurwa mać!

Kołysanie boczne nasiliło się. Przetaczaliśmy się z boku na bok, w górę i w dół, ale dzięki temu, że było nas sześcioro w pomieszczeniu przeznaczonym tak naprawdę dla czworga, byliśmy ściśnięci i utrzymywaliśmy się w miejscu.

- Co robimy? - zapytał Gunnar. - Już nie mam czucia w rękach!

- Jak daleko jest ląd? - krzyczała Anna, choć nie było fizycznego powodu, żeby krzyczeć, wyłącznie wewnętrzny.

- Przynajmniej pół godziny - odpowiedział Gunnar. - Ale bez silnika będziemy dryfować na otwarte morze. Wieje z północnego

zachodu; jeśli się nie wywrócimy, to zwieje nas do... cholera wie, gdzie. La Rochelle albo gdzieś tam.

- A nie mógłbyś spróbować jeszcze raz uruchomić silnik? - zaproponowała Anna.

- Myślisz, że nie próbowałem? - odparł z wściekłością Gunnar.
- Już nie mam za cholereę czucia w rękach. Może czas, żeby ktoś inny wziął się do roboty.

Łódka się gwałtownie przechyliła. Gunnar uderzył głową o obramowanie drzwi i puścił długą wiązanke.

- Dobra - powiedział Erik. - Wyjdę tam i zobaczę, jak to wygląda.

Przecisnął się obok Gunnara, który przywarł do mojego prawego boku i jęczał.

- Niech to szlag. Nie mamy nawet kamizelek ratunkowych. Jak, kurna, można wynajmować łódź bez kamizelek ratunkowych.

- Czy Erik zna się trochę na silnikach? - zapytała Katarina. - Henrik, czy ty nie powinienes...?

- Jestem zbyt pijany - odpowiedział Henrik. - *Sorry*, ale to wy nas w to wpakowaliście i teraz to wy musicie nas z tego wyprowadzić.

Zaciśnięta pięść Anny wyskoczyła do przodu nad blatem stołu jak tłok. Na twarzy Henrika słycać było chrzęst; uważam, że to niesamowite, że przy tym całym bujaniu i w ciemnościach udało jej się trafić z taką precyzją.

- Co jest, do ciężkiej cholery?! - wrzasnął Henrik. - Ty porąbana dziwko!

- Spokój tam, debile! - ryknął Gunnar. - Skupcie się, do cholery!

Myślę, że wówczas osiągnęliśmy właśnie pewien punkt. Cieniutki werniks cywilizacji spłynął w strugach deszczu i stresu; skończyła się normalność i nastał czas panowania brutalnych sił natury, a język przestał służyć do otumaniania innych i stał się bronią. Łodzią znowu silnie bujnęło, a Troaë zaczęła płakać.

Minęła przynajmniej godzina. Siedzieliśmy ściśnięci w ciasnym, ciemnym kambuzie, poddawani sile wzburzonego, chłostanego deszczem morza. Nikt nic nie mówił, nie licząc pojedynczych przekleństw; dziewczynka od czasu do czasu cichutko łkała, Erik i Gunnar wymieniali się przy niepracującym silniku, chwilami wspólnie próbując tchnąć w niego życie. Nie prosili o pomoc ani mnie, ani Henrika. Mój ból głowy nasilał się i znikał, podobnie mdłości. Liczyłem oddechy i uderzenia pulsu i zastanawiałem się nad tą ciszą: dlaczego właściwie nikt nie miał w tej sytuacji nic do powiedzenia. Dlaczego nikt z nich nie próbował odzyskać swojego człowieczeństwa. Może dlatego że sytuacja, w której się znaleźliśmy, przekraczała ich zdolność pojmowania. Z tego powodu stali się niemi, bezsilni i przerażeni - jak zwierzęta. Ja też nic nie mówiłem, ale to jest moja naturalna strategia. Może wszyscy zastanawiali się nad groźbą śmierci; może każdy próbował sobie poradzić z poczuciem osamotnienia w obliczu takiego zagrożenia. Według własnego uznania i własnych możliwości, a także w zimnych ciemnościach ustępującego odurzenia alkoholowego.

Kiedy zauważyłem, że siedzący po mojej lewej stronie Henrik zasnął, odezwała się Katarina Malmgren.

- Ma mdłości - powiedziała, wskazując na dziewczynkę. - Nie wiem, czy ja...

- Pójdę z nią - zaproponowałem.

Katarina powiedziała coś do Troaë i dziewczynka skinęła głową. Cicho jęknęła i wyciągnęła rękę, szukając mojej ponad stołem. Złapałem ją i wyszliśmy po czterech schodkach do kokpitu. Deszcz zaczął nieprzerwanie, ale wydawało mi się, że fale nieco zmalęły. W oddali można było zobaczyć światła łądu, co znaczyło, że mimo wszystko dryfowaliśmy w mniej więcej dobrym kierunku. W każdym razie nie na środek morza. Jeśli tylko uda nam się nie

wywrócić, to za jakąś godzinę, może kilka godzin dopłyniemy do brzegu. Albo rozbijemy o jakieś skały. Erik siedział wczepiony w nieruchomy silnik; zdjęli z niego czarną zewnętrzną pokrywę, uzyskując dostęp do wnętrza, a ja pomyślałem, że jedyne, co udało im się w ten sposób osiągnąć, to kompletne zniszczenie silnika, zalewanego masami słonej wody. Troaë zaczęła wymiotować; pomogłem jej dojść do relingu, trzymałem ją prawą ręką, kiedy pochylała się nad wodą i wymiotowała. Stwierdziłem, że wybraliśmy złą stronę, rzygała bowiem pod wiatr, a lepki śluz wracał z wiatrem na pokład. Łkała, wymiotowała i krzyczała coś, czego nie rozumiałem; nie przypominało to w ogóle francuskiego, tylko jakiś nieznan mi język.

Nagle znaleźliśmy się na grzbiecie fali i straciliśmy równowagę. Rzuciło mnie do przodu, w kierunku wody, więc wolną ręką poszukałem po omacku czegoś, za co mógłbym się przytrzymać; nic nie znalazłem. Żeby nie pociągnąć za sobą Troaë, puściłem jej rękę, a po chwili udało mi się złapać lin od zadaszenia. Odzyskałem równowagę, ale w tej samej chwili zrozumiałem, że to był zły manewr. Dziewczynka krzyknęła, pomachała rozpaczliwie ramionami w powietrzu i wypadła za burtę.

Zawołałem Erika. Nie wiem, co krzyczałem, ale Erik oczywiście widział całe zdarzenie; krzyknął coś do mnie, podniósł się i zaczął wpatrywać w fale. Nagle Troaë pokazała się na wodzie - jej głowa i dziko machające ręce - ale była już dwa czy trzy metry od łodzi.

- Lina - wrzasnął Erik. - Rzuć jej linę!

Rozglądałem się w panice. Nigdzie nie było żadnej liny ani koła ratunkowego. Dziewczynka krzyknęła i zniknęła pod wodą. Erik zaklął i zawołał coś do pozostałych, siedzących w kambuzie. Przeszedłem dookoła zadaszenia na pokład; łódź dostała przechyłu, ale udało mi się utrzymać, chwytając olinowania. Rozpaczliwie rozglądałem się wokół, szukając jakiegoś narzędzia - nie wiedziałem za

bardzo czego - jednocześnie próbując zlokalizować dziewczynkę. Po kilku sekundach znowu wypłynęła: machała ramionami i krzyczała, ale tym razem nie były to słowa, tylko nieartykułowane, głuche dźwięki wydobywające się z jej krtani.

Cholera jasna, pomyślałem. Chyba nie umie pływać!

Zobaczyłem, że do kokpitu wyszli Gunnar i Katarina; stali tam, pokazywali rękami i wrzeszczeli.

Po chwili wahania wskoczyłem do wody. Uderzyłem prawą stopą o coś twardego i ostrego; moje ciało przeszył ostry ból i przez pierwsze sekundy w wodzie czułem tylko to. Zakrztusiłem się wodą; poczułem pieczenie w gardle, ale zebrałem się w sobie i zacząłem płynąć, szukając dziewczynki. Słyszałem krzyki Anny i Katariny z łodzi; przypuszczalnie pokazywały coś i gestykulowały, ale ja przechodziłem właśnie przez grzbiet fali i straciłem z nimi kontakt. Przez ułamek sekundy widziałem dziewczynkę: jej głowę i jedną rękę wystające ponad szaroczną powierzchnią wody. Potem zniknęła. Zanurkowałem i próbowałem zobaczyć coś pod wodą, ale czułem tylko pieczenie w oczach i kiedy jakimś cudem udało mi się utrzymać oczy otwarte, z ledwością widziałem własne dłonie. Wypłynąłem na powierzchnię, znowu zakrztusiłem się wodą; słyszałem dalsze instrukcje Anny, Katariny i Gunnara, którzy najwyraźniej zauważyli cień dziewczynki obok mnie. Zrobiłem kilka ruchów rękami, znów zanurkowałem, znów próbowałem zobaczyć coś w mętnych ciemnościach, ale bezskutecznie. W chwili gdy wystawiłem głowę na powierzchnię i mogłem znowu oddychać, zobaczyłem, że do wody wskakuje Gunnar. Spojrzeliśmy na siebie. Gunnar zaklął, a ja znowu poczułem ból w stopie. Zanurkował, a ja stwierdziłem, że siły opuściły mnie już prawie całkowicie. Straszny wysiłek sprawiało mi utrzymywanie się na powierzchni wody.

Nie wiem, jak długo tak walczyliśmy pośród fal. Prawdopodobnie tylko kilka minut, ale miałem wrażenie, jakby to były całe godziny.

Nie tylko straciłem nadzieję na uratowanie życia dziewczynce, ale zacząłem myśleć o własnej śmierci. Wtedy usłyszałem krzyk Gunnara:

- Mam ją!

Był zaledwie kilka metrów ode mnie; łódź była jeszcze kawałek dalej, właśnie przeszła przez grzbiet fali i zniknęła. Udało mi się dopłynąć do Gunnara; miał dzikie, szalone spojrzenie, otwarte szeroko usta i przerażenie na twarzy.

- Mam ją - wysapał. - Pomóż, do cholery!

Trzymał głowę dziewczynki nad wodą, ale sam zniknął pod jej powierzchnią; nie widziałem jej oczu ani ust, tylko czarne włosy leżące na twarzy jak pęk wodorostów. Udało mi się złapać jej ramię i wspólnymi siłami zaczęliśmy ją holować w kierunku łodzi. Przy każdym ruchu nóg wydawało mi się, że to już ostatni, jaki jestem w stanie wykonać, że to nie ma sensu, że to koniec, że nie dam rady.

Ale daliśmy radę. Dociągnięcie jej na pokład zajęło nam przynajmniej dziesięć minut. Wszyscy krzyczeli i przeklinali. Gunnar miał szramę na twarzy od uderzenia sztagiem, Anna wpadła do wody, ale wróciła na pokład o własnych siłach; cały czas zaciął deszcz, fale rzucały łodzią i nami jak kawałkami dryfującego drewna. Nie potrafię powiedzieć, jak nam się udało doholować bezwładne ciało dziewczynki do łodzi. Tego się nie da opowiedzieć słowami i ogarnąć rozumem. Tego się nie da pojąć.

Kiedy wreszcie udało nam się ją przetransportować na podłogę kokpitu, Katarina uklękła i zaczęła jej robić sztuczne oddychanie. Naprzemiennie wdmuchiwała powietrze do jej ust i uciskała dłońmi klatkę piersiową; przypomniałem sobie, że pracuje jako pielęgniarka. Nikt inny nie próbował nawet jej pomagać; wszyscy wcisnęliśmy się pod zadaszenie i nagle zapanowała cisza. Cisza, która w jakiś niepojęty sposób zagłuszała huk morza i deszczu. Kilka minut później zauważyliśmy też, że fale się zmniejszyły; deszcz, który przez cały czas lał jak z cebra, zamienił się teraz w lekką mżawkę, uderzającą

delikatnie o brezent daszku; bardzo możliwe, że na chwilę straciłem przytomność.

Po paru minutach Katarina Malmgren wyprostowała się. Popatrzyła na nas, przenosząc zbolełe spojrzenie od jednego do drugiego; jej dłonie i ramiona drżały z wysiłku, a po twarzy płynęły łzy.

- Nie żyje - powiedziała. - Rozumiecie? Ona nie żyje.

Komentarz

sierpień 2007 roku

Żadnych komentarzy, tak właśnie było.

8-13 sierpnia 2007 roku

12.

Inspektor kryminalny Gunnar Barbarotti siedział w samochodzie i wpatrywał się w deszcz.

Był środowy wieczór. Zmiana pogody nastąpiła wczesnym przedpołudniem, wał chmur pojawił się z południowego wschodu i wytoczył z siebie pierwsze ciężkie krople tuż po drugiej, a potem, w ciągu zaledwie pół godziny, całe niebo, po horyzont, zaciągnęło się ciemnymi, deszczowymi chmurami. Od tamtej chwili deszcz nie przestawał padać, uparcie i niestrudzenie, choć niezbyt ulewnie, a temperatura spadła z dwudziestu pięciu do piętnastu stopni.

Było przyjemnie, pomyślał Gunnar Barbarotti. Dało się oddychać, przynajmniej boczna szyba od strony pasażera była opuszczona o kilka centymetrów.

Stwierdził, że była to jedyna pozytywna rzecz, jaką mógł powiedzieć o aktualnej sytuacji. Że dało się oddychać. W ciągu ostatnich trzech dni narastało w nim poczucie bezsilności dotyczące śledztwa i swojej pracy, a słowa, które przypadkowo wyrzucił z siebie podczas rozmowy z Marianne o tym, że zastanawia się nad zmianą pracy, wracały do niego wielokrotnie - jak bumerang.

Jakby właśnie tego lata ważyło się jego życie, prawda?

Ważyło? Brzmiało to trochę defetystycznie, na pewno, ale przypuszczał, że właśnie tak będzie je wspominał. Lato 2007 roku. Podjąłem taką i taką decyzję, a potem było tak i tak.

Przypuszczalnie tak właśnie wyglądało życie; taki obowiązywał schemat. Długie odcinki rutyny i utartych ścieżek, na dobre i na złe,

aż nagle otwierały się bramy nowych możliwości i wyboru drogi. I jeśli człowiek nie zdążył wybrać, bramy się zamykały. Brak wyboru to też wybór.

A może były to właśnie takie myśli, które najchętniej pojawiały się w deszcz.

W każdym razie siedział teraz w samochodzie i pilnował tego domu. Sam poprosił o to zadanie; dobrowolnie wziął na siebie to trywialne zajęcie tylko po to, żeby na chwilę się oderwać. Backman spojrzała na niego pytająco i ze współczuciem w oczach, ale nic nie powiedziała. Jak zwykle przejrzała go na wylot; i jak zwykle było mu to na rękę. To, że miała to specjalne matczyne spojrzenie właściwe niektórym kobietom; przy niej nie warto było nic udawać.

A może tylko idealizuję, pomyślał. Może niektórzy mężczyźni potrzebują takiego matczynego spojrzenia, więc wymyślają je i przypisują kobiecie, która wydaje się zdolna dać schronienie iluzji? Może tak samo jest z Marianne?

A zresztą, czemu „niektórzy mężczyźni”?

Wygląda na to, że przynajmniej ja potrzebuję zająć myśli czymś innym niż piszącym listy szaleńcem, stwierdził na koniec i włożył do ust dwa listki gumy do żucia, żeby nie zasnąć.

Już kiedy godzinę temu parkował pomiędzy starannie przyciętymi lipami, poprosił Boga, żeby nic się nie wydarzyło, żeby mógł sobie posiedzieć w spokoju przez kilka godzin, a później odjechać stąd po dobrze wykonanym zadaniu, zasnąć spokojnie i spać nieprzerwanie przez całą noc. Był pewien, że mógłby spać dwanaście godzin bez przerwy, gdyby tylko nadarzyła się taka okazja. A nawet czternaście godzin.

- Jeden punkt? - zapytał Bóg.
- Jeden punkt - potwierdził Barbarotti.

Dziesięć minut rozmawiał z Marianne i może właśnie ta rozmowa najbardziej go uwierała. Gdyby tak się odważył przyjrzeć temu bliżej, to właśnie ona nie dawała mu zasnąć. Bardziej skutecznie niż

guma do zucia. Dlatego że Marianne wydawała się trochę... zamknięta w sobie, zdekoncentrowana; zastanawiał się, czy chodzi o jakiś problem z dziećmi.

Miał nadzieję, że to było przyczyną, a nie jego osoba. Najdziwniejsze - i równie niepokojące - było to, że podczas tej rozmowy on też był nie do końca obecny duchem.

To efekt szaleńczo intensywnej pracy w ciągu ostatnich dni, pomyślał. Praca wyssała z niego wszystkie pierwotne funkcje i potrzeby. Miłość i czułość, i tęsknotę. Zostawiła samą pustkę, dziurę.

A potem wypełniła tę dziurę zmęczeniem i przygnębieniem.

I kolejnymi obowiązkami.

Za chwilę, po tych peregrynacjach przez bagno współczucia dla samego siebie, musiał jednak przejść na tematy związane ze śledztwem.

Może to i dobrze, pomyślał Gunnar Barbarotti. Przecież akurat śledztwo było aktualnie jego realnym światem.

Trwało prawie od chwili, gdy wrócił do Kymlinge w ubiegłym tygodniu. Był to ósmy dzień nieprzerwanej pracy. A jego wiedza na temat mordercy piszącego listy była taka sama jak wówczas, gdy wysiadał z promu z Gotlandii.

Ani odrobinę większa.

Gdyby człowiek pracował w masarni przez tydzień, to mógłby się z pewnością pochwalić, że wyprodukował w tym czasie niejedną parówkę, pomyślał inspektor Barbarotti. Natomiast w jego przypadku nie dałoby się tak łatwo odpowiedzieć na pytanie o efekty ostatnich siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu godzin pracy. A przecież nie był sam. Przynajmniej dziesięcioro kolegów i koleżanek pracowało równie intensywnie jak on i miało równie mało powodów do radości - taka jest prawda.

Natomiast morderca był sam. Można o nim mówić, co się chce, ale dawał przynajmniej zajęcie niejednemu funkcjonariuszowi policji.

Nawet tym, którzy już nie chcieli tego zajęcia.

No cóż.

Grupa prowadząca śledztwo zmieniła się w poniedziałek, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Asunandera. Oprócz Astora Nilssona dostali do pomocy dwóch funkcjonariuszy z Centralnego Biura Śledczego. Zastępca komendanta Jonnerblad i komisarz Tallin. Gunnar Barbarotti nie wyrobił sobie jeszcze zdania na ich temat, ale zakładał, że byli doświadczonymi śledczymi. Przynajmniej nie wleźli do śledztwa z buciorami jak para zadzierających nosa besserwisserów, a on osobiście, jak wiadomo, był zadowolony, że zdjęto z niego część odpowiedzialności. A zatem w grupie było ich obecnie sześcioro; oprócz nowo przybyłych jeszcze on sam, Eva Backman i Gerald Borgsen, z powodu melancholijnego usposobienia zwyczajowo zwany Smutasem. Komisarz Asunander należał również do tej grupy, ale zazwyczaj trzymał się w cieniu, zagryzał wargi, przeszywał wszystkich wzrokiem i czekał na emeryturę. Lillieskog, psycholog zajmujący się profilowaniem kryminalnym, przyjeżdżał i odjeżdżał, ale ponieważ w ostatnich dniach nie pojawiło się nic nowego na temat sprawcy, nie był w stanie doprecyzować profilu w znaczący sposób. Fakt, że sprawca zastosował dwie różne metody morderstw, był uznawany za coś niezwykłego, wszyscy tak uważali; mimo dobrej znajomości ogólnego obrazu psychologicznego nożownika i cech charakteru sprawcy, który wolał tępe narzędzia zbrodni, trudno było ustalić sylwetkę osoby, która jednego dnia wybierała pierwszą metodę, a następnego drugą.

Tak uważano. Oba morderstwa zostały szeroko skomentowane we wszystkich możliwych mediach; podano nazwiska ofiar, opublikowano ich zdjęcia, ale grupa prowadząca śledztwo, w porozumieniu z prokuratorem Sylvenusem, zdecydowała nie informować o niedorzecznym zwyczaju mordercy piszącego listy do policji i ostrzegającego o swoich planach. Może ta decyzja zostanie później zmieniona;

jest to bardziej kwestia zbilansowania ewentualnych korzyści, jakie można uzyskać ze współpracy z tak zwanym „społeczeństwem śledczym”, i efektów paniki, jaką ta wiadomość mogłaby wywołać, oraz krytyki, jaką na siebie mogłaby ściągnąć policja, gdyby wiadomość o listach dotarła do publicznej wiadomości.

Tak czy owak, w oczekiwaniu na trzeci list - i trzecią ofiarę - postanowiono nic nie mówić.

I kilka godzin temu pojawił się.

List, oczywiście - na razie bez ofiary. W każdym razie żadnej odnalezionej ofiary. Zgodnie z procedurą Barbarotti pojechał do domu po lunchu i przeszukał dzisiejszą pocztę, ale ponieważ automatycznie założył, że morderca zastosuje taki sam typ koperty również w trzecim przypadku, o mały włos nie przegapiłby przesyłki.

Charakter pisma był jednak ten sam. Również papier, na którym napisano krótką informację. Różnica polegała na tym, że tym razem morderca użył jasnoniebieskiej koperty, czyli nie tej najbardziej popularnej w Szwecji; jednak na tyle popularnej, że przypuszczalnie nie da się wyśledzić jej pochodzenia. Również stempel pocztowy był tym razem wyraźniejszy: widać było, że list nadano w Borås. Informacja zaś była jeszcze krótsza niż zwykle.

NUMEREM TRZY BĘDZIE HANS ANDERSSON.

W gminie Kymlinge było dwudziestu dziewięciu Hansów Anderssonów. Jeden z nich mieszkał w domu, którego właśnie pilnował Gunnar Barbarotti, siedząc w swoim samochodzie. Była to nowa strategia, przyjęta pośpiesznie i do odwołania. Postanowiono poinformować wszystkich dwudziestu dziewięciu o istnieniu potencjalnego zagrożenia wobec nich, a w zasadzie wobec osoby o nazwisku Hans Andersson, a ponadto zastosować pewne środki ochronne. Przez całe popołudnie nawiązano kontakt telefoniczny z dwudziestoma siedmioma z dwudziestu dziewięciu, spośród których sześciu

było na wyjazdach, ale obiecało, że zamelduje się na policji po powrocie.

Jeden z tych, z którymi nie dało się nawiązać kontaktu, przebywał przypuszczalnie w Gwatemali albo Kostaryce, drugi zaś co prawda chyba przebywał w mieście, ale kontakt z nim nie był zbyt łatwy. Był poetą i malarzem, prawdziwym wilkiem stepowym; żył bez telefonu, a z miesiąc temu w lokalnej gazecie ukazała się notka, że nie życzy sobie cholernych życzeń i imprez z okazji swoich osiemdziesiątych piątych urodzin.

Tak to w tej chwili wyglądało. Ten Hans Andersson, którego Gunnar Barbarotti aktualnie pilnował, mieszkał z żoną i trójką dzieci przy Framstegsgatan 4 w dzielnicy domków jednorodzinnych Norrby. Miał czterdzieści cztery lata i pracował jako ordynator na oddziale anestezyjologicznym w szpitalu. Wszyscy członkowie rodziny byli tego wieczoru w domu, a Gunnar Barbarotti nie bardzo wierzył w to, żeby jakikolwiek morderca chciał się teraz dostać do jasno oświetlonego domu. Gdyby tak się rzeczywiście stało, to by znaczyło, że nagle morderca okazał się ryzykantem do granic głupoty - lub kimś, kto robi wszystko, by dać się złapać - a przecież do tej pory sprawca tak się nie zachowywał. Wręcz przeciwnie.

Barbarotti spojrział na zegarek. Za piętnaście dziewiąta. Siedemdziesiąt pięć minut do zmiany. Wypluł gumę do żucia przez okno i nalał sobie do kubka kawy z termosu.

Kim jesteś? - zapytał po raz setny od momentu przeczytania listu.

Co stoi za twoimi zbrodniami i dlaczego piszesz właśnie do mnie?

Dobre pytania. Najsmutniejsze było jednak to, że nawet na krok się nie zbliżył do odpowiedzi na którekolwiek z nich.

Inspektor Backman zadzwoniła akurat wówczas, gdy wyjeżdżał z Norrby i zamierzał wstąpić na stację benzynową Statoil przy

Idrottsparken, żeby kupić sobie dwie grillowane parówki z bułką.

- Mam coś, co powinieneś zobaczyć - powiedziała.

- Teraz? - spytał Gunnar Barbarotti. - Już prawie wpół do jedenastej.

- Teraz - nalegała Eva Backman.

- Hmm... Jestem trochę głodny. A ty jesteś ciągle na komendzie, tak?

- Trafiony, zatopiony - odparła Eva Backman. - Zostało mi trochę pizzy z popołudniowej dostawy. Leży na moim biurku i może być twoja.

- Dzięki - powiedział Barbarotti. - Nie można ci się oprzeć. Na co mam popatrzeć?

- Na zdjęcie.

- Na zdjęcie?

- Tak. Będziesz tu za pięć minut, prawda?

- Co na nim jest?

- Słucham?

- Co jest na tym zdjęciu?

- Przepraszam, jestem trochę zmęczona. Sam ocenisz, gdy tu przyjedziesz.

- *All right* - westchnął Gunnar Barbarotti. - Już jadę. Chociaż nie rozumiem, o czym właściwie mówisz. Czy możesz wsadzić pizzę do mikrofalni na parę minut?

- Do mikrofalni jest zdecydowanie za daleko - oznajmiła inspektor Backman. - Ale mogę ją na chwilę powiesić na kaloryferze.

- Dziękuję - powiedział Gunnar Barbarotti.

- No i co powiesz?

Gapił się na fotografię. Było to zwykłe kolorowe zdjęcie, dziesięć na piętnaście centymetrów, przedstawiające dwoje ludzi siedzących na ławce. Mężczyznę i kobietę. Ostrość nie była najlepsza; wyglądało

na zrobione wieczorem albo późnym popołudniem, bez światła słonecznego.

Oboje mieli na sobie letnie ubrania. Siedzieli w odległości około pół metra od siebie. Mężczyzna miał granatową koszulę z krótkimi rękawami, jasne płócienne spodnie i sandały; kobieta beżową, cienką sukienkę z gołymi ramionami. Była bosa, ale na ziemi obok czerwonej torby papierowej stały zwykle klapki plażowe. Kobieta patrzyła w obiektyw bez uśmiechu, twarz mężczyzny była odwrócona w bok; wyglądało na to, że nie wie, iż jest fotografowany.

Chwilę trwało, zanim to sobie uświadomił, ale kiedy już to do niego dotarło, był pewien na sto procent. Kobieta na zdjęciu była Anna Eriksson. Miała inną fryzurę i inny kolor włosów, ale to na pewno była ona.

- To Anna Eriksson - powiedział.
- A więc się zgadzamy - odparła Backman. - A mężczyzna?
- A mężczyzna - powtórzył mechanicznie Barbarotti i ugryzł kawałek pizzy w temperaturze pokojowej. Podstawił fotografię pod lampę na biurku i poruszał trochę, żeby mieć lepszą widoczność. - Jest dość zamazany. Co chcesz, żebym powiedział?

- Skup się, to będzie mniej zamazane - zachęcała Eva Backman. - Człowiek oferuje świeżo upieczoną pizzę, więc mógłbyś wykazać trochę...

- Poczekaj - powiedział Gunnar Barbarotti. - Teraz rozumiem, o co ci chodzi. Sądziś, że to może być Erik Bergman?

Backman milczała. Podniósł zdjęcie na odległość dwudziestu centymetrów od twarzy i skupił całe spojrzenie na mężczyźnie na ławce. Próbował sobie przypomnieć, jak właściwie wyglądał Erik Bergman; w zasadzie mógł go porównywać tylko ze zdjęciem, które opublikowała prasa, ale wydawało mu się, że te dwie twarze nie miały ze sobą wiele wspólnego. Backman podsunęła mu „Aftonbladet” i zdjęcie, które próbował odtworzyć w pamięci.

Położył obie fotografie obok siebie i porównywał. Backman czekała bez słowa.

- Nie wiem - odezwał się w końcu Barbarotti. - To oczywiście może być on, ale równie dobrze może być ktoś inny. Skąd masz to zdjęcie?

- Z jednego z jej albumów ze zdjęciami. Göransson i Malm znaleźli je w jej piwnicy dwie godziny temu.

- W jej piwnicy?

- Tak.

- A dlaczego przeszukanie jej piwnicy zajęło aż tyle dni?

Eva Backman westchnęła.

- Bo miała dwie. Nie wiedzieliśmy o tej drugiej.

- Aha? - powiedział Barbarotti. - I tylko to tam było?

- Pytasz, czy było tam więcej zdjęć z osobą, która mogła być Bergmanem?

- Tak, chyba o to mi chodziło - potwierdził Barbarotti, odgryzając kolejny kawałek pizzy.

- Niestety - odpowiedziała Backman. - Tylko to jedno. W ogóle były tylko trzy albumy. Nie ma żadnych zdjęć, na których miałyby te same ubrania, ale można założyć, że zdjęcie zrobił ktoś inny i jej podarował. Bo pozostałe zdjęcia łatwo pogrupować tematycznie.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - A u Erika Bergmana nie znaleźliśmy żadnych fotografii? Pewnie też jakieś miał?

- Nic nie znaleźliśmy i to trochę dziwne.

- Nic? To mogłoby znaczyć, że...

- Że morderca zarekwirował jego album, tak? Choć z drugiej strony są ludzie, którzy nie robią zdjęć. Musimy popytać wśród jego znajomych, czy lubił zdjęcia, ale trzeba przyznać, że pomyśleliśmy o tym dopiero teraz. Poza tym teraz ludzie robią zdjęcia na cyfrówkach. I trzymają w komputerach.

- Tak, rzeczywiście - powiedział Barbarotti. - Ale chyba lepiej późno niż wcale. A Hans Andersson? Chodzi mi o zdjęcia.

- No właśnie - westchnęła Backman. - Musimy spróbować wyciągnąć zdjęcia od wszystkich Hansów Anderssonów i zobaczyć, czy któreś z nich nie pojawi się w albumie Anny Eriksson. Albo odwrotnie.

- Chodzi ci o to, że będziemy w ich albumach szukać Eriksson i Bergmana? Albo w komputerach?

Eva Backman wzruszyła ramionami; była bardzo zmęczona. Barbarotti zastanawiał się.

- Kiedy? - zapytał i spojrzał na zegarek.

Było za pięć jedenasta.

- Jonnerblad i Tallin postanowili, że to będzie pierwsze zadanie na jutro.

- Świetnie - powiedział Barbarotti. - A zatem jutro również będziemy mieli co robić, *À propos*, myślisz, że to przypadek, że wybrał faceta o nazwisku Hans Andresson?

- Co?

- Chodzi mi o to, że bardziej popularnego nazwiska już chyba nie ma. Anna Eriksson i Hans Andersson? A może wybiera właśnie takie nazwiska, żeby było nam trudniej znaleźć właściwą osobę?

- Erików Bergmanów było tylko pięciu.

- Zgadza się, ale wtedy nie wiedzieliśmy, czy traktować to na serio, czy nie.

Eva Backman kiwnęła głową.

- Tak, może masz rację. Bardzo możliwe, że rozwiązanie jest takie proste... Poza tym może być tak, że jeszcze nie zdecydował, którego z nich zabije. Może wybierze tego, którego będziemy najgorzej ochraniać. W takim razie...

- W takim razie - wszedł jej w słowo Barbarotti - mamy do czynienia z kompletnym wariatem. Nie, mam nadzieję, że jest jakiś związek. Przynajmniej byłoby to bardziej zrozumiałe... jeśli faktycznie jest jakiś powód.

Znowu popatrzył na zdjęcie.

- Jak myślisz, gdzie zostało zrobione? - zapytał. - Coś mi mówi, że to nie jest Szwecja.

- Też o tym myślałam - powiedziała Eva Backman. - Coś takiego jest z tą ławką i tym koszem na śmieci, że jestem pewna, że nie zrobiono go u nas.

- Świetnie - skwitował Barbarotti. - To została nam tylko reszta globu do przeszukania.

Eva Backman złożyła karton po pizzy i wcisnęła go do kosza.

- Stawiam stowę na to, że to jest Bergman - rzuciła i wyprostowała się na krześle. - Zakładasz się?

- Dlaczego nie - powiedział Barbarotti. - Ale wątpię, że kiedykolwiek się dowiemy, które z nas miało rację.

- Za dużo w tobie pesymizmu, na tym polega twój problem - stwierdziła inspektor Backman.

Ale kiedy to mówiła, jej twarz też nie wyrażała optymizmu, tylko zmęczenie, takie samo jakie odczuwał Barbarotti.

- Podwieźć cię do domu? - zapytał. - Przypadkiem mam tu samochód.

Eva Backman zastanawiała się przez chwilę.

- *All right* - powiedziała. - W zasadzie planowałam przekimać tutaj, w domu i tak nikogo nie ma. Ale może dobrze będzie wziąć prysznic i położyć się we własnym łóżku.

Trzy lata temu, pomyślał Gunnar Barbarotti, zaprosiłbym ją w takiej sytuacji do siebie na piwo. Trzy lata temu, ale nie teraz.

13.

- Musimy jeszcze raz poruszyć kwestię tych listów - powiedział zastępca komendanta Jonnerblad. - Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o tym z Tallinem i mamy podobną opinię.

Siedzieli w pokoju na trzecim piętrze, oddanym do dyspozycji dwóm kolegom z Centralnego Biura Śledczego. Pokój sąsiadował z gabinetem komisarza Asunandera i był przeznaczony na narady na wysokim szczeblu - głównie z udziałem komendanta policji Lindwedena, Asunandera i innych czołowych przedstawicieli kadry kierowniczej. Barbarotti słyszał, że pokój był używany przynajmniej raz w roku, kiedy Lindweden zapraszał swoich braci rotarian na świąteczny glögg. Meble w kolorze brzozy o jasnych włóknach, skórzane bordowe siedziska krzeseł i obrazy na ścianach; co prawda tylko reprodukcje, jakiś lasek sosnowy, trochę rozhuśtanego morza, ale jednak. Był tam ekspres do kawy i mała lodówka, która cichutko szumiała w kącie. Tablica suchościeralna, telewizor z odtwarzaczem DVD i wideo.

Dowodził zastępca komendanta Jonnerblad; nie ustalono żadnej hierarchii, ale był o jakieś dziesięć lat starszy od Tallina, miał bardziej przerzedzone włosy i znacznie więcej bruzd na twarzy; wyrażał siłę, więc ten układ wydawał się naturalny. Komisarz Tallin był niższy, dość szczupły, mniej więcej w tym samym wieku co Barbarotti. Cichy i zamyślony, uprzejmy w staroświeckim stylu. Przypominał Barbarottiemu pewnego nauczyciela matematyki ze szkoły średniej, obdarzonego specyficznym typem osobowości, która nabierała mocy z czasem, z każdą senną godziną lekcyjną, która minęła, z każdym omówieniem testu i z zakończeniem każdego kolejnego semestru. Obcowanie z takimi ludźmi jest prawdziwą przyjemnością, pomyślał Barbarotti. Oni nie muszą stale i niestrudzenie niczego nikomu udowadniać, sprawiają wrażenie ludzi, którzy kontrolują swoje zdolności i swoje niedostatki i potrafią nad nimi zapanować.

Do Jonnerblada też się trudno przyczepić, ale to całkiem inny typ człowieka. Na początku przyjął dość taktowną pozycję obserwatora, ale stopniowo podejmował coraz więcej decyzji. Pomijając Asunandera, grupa prowadząca dochodzenie liczyła sześć osób, ale

gdybyśmy nie byli policjantami, tylko stadem psów, pomyślał Gunnar Barbarotti, to Jonnerblad byłby tym, który pierwszy dostaje zarcie i pierwszy pokrywa sukę z cieczką.

Chociaż wydaje się oczywiste, że Eva Backman w życiu nie wpadłaby na pomysł, żeby kryć goniącą się sukę.

- Aha - powiedział Astor Nilsson. - Listy?

- Hmm - mruknął Tallin. - Tak, listy. Chodzi o fakt, że są adresowane do ciebie, Barbarotti.

- Ja też zastanawiałem się nad tą okolicznością - odrzekł Barbarotti. - Dość intensywnie.

- To świetnie - ucieszył się Jonnerblad. - Nasz morderca od samego początku wybrał ciebie jako odbiorcę swoich komunikatów. To musi coś oznaczać, musi mieć jakiś związek z tobą. Wiem, że się nad tym zastanawiałeś, ale teraz chcielibyśmy, Tallin i ja, żebyś zrobił to w sposób bardziej usystematyzowany. Żebyś poświęcił temu trochę czasu. Wydaje nam się, że to się opłaci.

Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- A co byś chciał, żebym zrobił? - zapytał. - Tak dokładniej.

- A zatem - powiedział Jonnerblad, a na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka - mamy sprawcę, który z jakiegoś powodu chce nie tylko odebrać życie pewnej liczbie ludzi. Chce przy okazji podrażnić się z gliną. Ale nie chce się drażnić z gliniarzami w ogóle i wybiera jednego, konkretnego gliniarza. Ciebie, Barbarotti. Dlaczego?

- Dlatego że...

- Dlatego że wie, kim jesteś, to jasne. A jeśli morderca wie, kim ty jesteś, to oznacza, że ty powinieneś wiedzieć, kim jest morderca. Masz z nim jakiś związek, po prostu. Może to być relacja stara jak świat, to może być ktoś, kogo wsadziłeś za kratki dawno temu, ktoś, kogo walnąłeś w pysk w czasie przerwy szkolnej w czwartej klasie. Ale najważniejsze jest to, że on gdzieś tam jest. W twojej

przeszłości, Barbarotti, i dlatego chcemy, Tallin i ja, żebyś przysiadł na trochę i wygrzebał go z pamięci.

Mówi jak w zwiastunach hollywoodzkich filmów, pomyślał Barbarotti. Co jednak nie oznacza, że nie może mieć racji.

- Możliwe - stwierdził. - Prywatna burza mózgu, tak?
- Można by zastosować trochę systematyki - wtrącił Tallin.
- Dzisiaj zrobimy tak - kontynuował Jonnerblad i pochylił się

nad owalnym stołem, opierając się na łokciach obu rąk, aż Barbarotti poczuł na twarzy jego oddech: kawa i jajka, chyba, oraz odrobina pasty kawiorowej. - Wyłączamy cię z innych działań dochodzeniowych. Masz usiąść spokojnie w swoim pokoju... albo możesz jechać do domu, jeśli wolisz... i zrobić przegląd swojego życia. Zapiszesz na kartce nazwiska ludzi, których spotkałeś i którzy mogliby... powtarzam, mogliby... być w stanie wymyślić podobne szaleństwo. Jak skończysz, powinieneś mieć około pięćdziesięciu osób na liście. Później wybierzesz z nich dziesięcioro, przy których stopień prawdopodobieństwa jest najwyższy, a jutro wszyscy obejrzymy obie listy. Oczywiście najważniejsze są postaci z twojej policyjnej przeszłości.

A niech to, pomyślał Barbarotti. Z tego, co powiedział, wynika... tak faktycznie powiedział, że mam jechać do domu, położyć się na łóżku i myśleć. W płatnym czasie pracy. Cały dzień.

- Niegłupi pomysł - powiedział i szybko wstał z krzesła. - Przynajmniej warto spróbować. Hmm... To do zobaczenia jutro, tak?

- O tej samej porze - powiedział Tallin.

Zastępca komendanta odchylił się do tyłu z zadowoloną miną.

- Czyli jesteśmy zgodni - oznajmił.
- Jak najbardziej - potwierdził Barbarotti.

Spodziewał się, że będzie przeciwny? - pytał sam siebie po wyjściu na korytarz. Przecenilem go.

Ale nie dalo się położyć na łóżku i rozmyślać. Nie w taki dzień, uznał, gdy tylko dotarł do domu.

Dzień był wprawdzie szary i pochmurny - możliwe, że po południu będzie przelotnie padać - ale było bezwietrznie i ciepło, około dwudziestu stopni.

Wymarzona pogoda na długi spacer, jak najbardziej. Mądry glina korzysta z możliwości ucieczki; najpierw uzbroił się w zrolowaną kurtkę przeciwdeszczową, mały plecak, butelkę wody i kilka owoców, długopis i notatnik, a potem pojechał samochodem w stronę cypla Kymmen i ruszył wzdłuż północnego brzegu jeziora. Była tam płatanina szlaków turystycznych wiodących przez las, wokół góry, aż do Kerran i Rimminge.

Jeśli w jego głowie rzeczywiście siedzi nazwisko mordercy, jak najwyraźniej uznali zastępcę komendanta Jonnerblad i komisarz Tallin z Centralnego Biura Śledczego, to parę godzin niczym niezakłóconego niespiesznego spaceru po tych spokojnych ścieżkach powinno być idealną metodą na wydobywanie go z pamięci. Prawda?

Tak oto pomyślał inspektor Barbarotti - z pewną dozą optymizmu, z którą zasadniczo się nie utożsamiał, ale która mogła teoretycznie służyć za punkt wyjścia. Za tonację.

Na początku jednak zadzwonił na Gotlandię. Żeby później móc spokojnie wyłączyć telefon - taką sobie wynalazł wymówkę.

Jej głos brzmiała nieco melancholijnie. Twierdziła, że to dlatego, iż to już ostatni dzień w Gustabo i jutro wraca z dziećmi do Skanii, ale nie wierzył w to wyjaśnienie. Nie do końca w każdym razie. Musiało być coś jeszcze. Najpierw zapytał, czy miało to związek z tym, że w poniedziałek wraca do pracy, i usłyszał, że z pewnością tak.

- Jutro muszę wyjechać z rajy, koniec urlopu za trzy dni, a ja zaraz dostanę okres. Po prostu jest niefajnie. Czuję się...

- Czujesz się jak?

- Bardzo samotna.
- Przecież masz przy sobie dwoje dzieci, masz policjanta, który cię kocha. Jak możesz czuć się samotna?
- To chyba...
- Tak?
- To chyba kwestia tego policjanta.
- Aha?

Nie wiedział, dlaczego powiedział „Aha”. Bo nic nie rozumiał, absolutnie nic. Wręcz przeciwnie, przypominało to ciemną kurtynę, która w szybkim tempie zjeżdżała w dół, a on poczuł się przez chwilę tak wyczerpany, że musiał się zatrzymać i oprzeć o pień drzewa. Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza.

- Co... co jest nie tak? - wykrztusił z siebie wreszcie.

Usłyszał cichy szloch.

- Mam czterdzieści dwa lata - powiedziała. - Ostatnie cztery lata byłam sama. Nie chcę jeszcze jednego takiego roku. Uwielbiam się z tobą spotykać, tak jak to było dotychczas, ale to... to po prostu nie wystarczy.

Jego wahanie trwało sekundę. Może półtorej.

- No to się pobierzmy - powiedział. - To znaczy, jeśli mnie zechcesz - dodał.

W słuchawce zapanowała cisza, ale słyszał jej oddech. Trochę szybszy niż zwykle, jakby też była na dworze i spacerowała; tak, kiedy się lepiej skupił, usłyszał chrzęst jej kroków na żwirowej ścieżce.

- Nie chcę, żebyś to mówił, czując się zobowiązany.
- Nie chcę wywierać presji.
- Nie czuję żadnej presji.
- Jeśli zamieszkamy razem i okaże się, że nam nie wychodzi, to chyba umrę. Nie wytrzymam kolejnej takiej procedury.
- Niech to jasna cholera - oznajmił Gunnar Barbarotti. - Tego nie musisz mi mówić. Ja mam czterdzieści siedem lat. Myślisz, że chcę się na starość szarpać z czterema żonami?

Roześmiała się.

Potrafię ją rozśmieszyć, pomyślał. Wcale nieźle.

- Nie mówisz poważnie?
- Owszem.
- Wcale nie słyhać, jakbyś mówił poważnie.

Odchrząknął.

- Chcesz nadal mieszkać w Helsingborgu?
- Ja...
- Bo ja chętnie się przeniosę do Skanii.

Usłyszał, że ona płacze.

Potrafię też sprawić, że płacze, pomyślał Gunnar Barbarotti i poczuł ukłucie paniki. Ale dlaczego? Nie chce mnie? Czy to ją... przytłacza?

- Nie chcesz mnie? - spytał.
- Chcę - odpowiedziała Marianne. - Oczywiście, że chcę. Ale nie wiem, czy ty naprawdę chcesz. Może życie ze mną wcale nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Spotykaliśmy się tylko w najkorzystniejszych okolicznościach, może nie...

- Bzdury - stwierdził Barbarotti. - Kocham cię. Nie cierpię być daleko od ciebie.

Usłyszał, jak wyciera nos.

- No dobrze - rzekła. - Ale daję ci tydzień na rezygnację z transakcji. Zadzwonisz do mnie w środę w przyszłym tygodniu i jeśli powtórzysz to samo, to nie będziesz miał odwrotu. Okej?

- Okej - zgodził się Gunnar Barbarotti. - Gdy wrócisz do domu, zacznij się rozglądać za większym mieszkaniem.

Kiedy skończyli rozmowę, wyłączył telefon. Zauważył, że puls mu podskoczył i dudnił jak pistolet maszynowy. Jakieś sto czy sto dziesięć.

Niech to szlag, pomyślał. I to by było na tyle.

Teraz spróbuję wydobyć z pamięci mordercę. Co za dzień.

Potknął się na wystającym korzeniu i o mały włos nie wpadł w krzaki tarniny.

Zrobił dokładnie tak, jak powiedzieli Jonnerblad i Tallin. Zaczął od samego początku. W notatniku zapisywał nazwiska, jedno po drugim, a było to zajęcie niezwykle osobliwe, coś na kształt pokuty albo ostatecznego sprawozdania składanego świętemu Piotrowi w dniu Sądu Ostatecznego.

W czasie mojej wędrówki po ziemskim padole zrobiłem krzywdę temu i temu. Z tym, z tą i z tym ciągle się kłóciłem, może żywili do mnie później urazę... aż od czasów szkolnych. Albo z czasów studenckich w Lund.

Albo ze szkoły policyjnej. Albo z pracy... Grający na skrzypcach kulturysta w Pampas albo handlarz narkotyków, albo faszystowski gwałciciel...

Może się to wydać dziwne, ale przed jego wewnętrznym okiem pojawiali się wszyscy ci ludzie: widział wyraźnie ich twarze, nazwiska i okoliczności. Z samej szkoły średniej, pełnej zgiełku klasy o profilu społeczno-politycznym w Szkole Katedralnej, wyciągnął sześć nazwisk - do tego dwóch nauczycieli; nie dlatego, żeby poważnie wyobrażał sobie, że ktoś z nich oszalał do tego stopnia, iż teraz pisał do niego listy, a potem uśmiercał ludzi jak na taśmie produkcyjnej. Ale metoda - metoda Jonnerblada i Tallina - oznaczała, że najpierw miał wypisać wszystkich, o których wiedział, że nigdy go nie lubili. Nie tylko tych, z którymi przy jakiejś okazji wszedł w poważną kolizję, ale również takich, co do których mógł podejrzewać, że - w pewnych maksymalnie perwersyjnych okolicznościach - mogła pojawić się taka możliwość.

Leif Barrander, z którym się bił w czwartej klasie.

Henrik Lofting, który splunął mu w twarz w piątej klasie, kiedy posłał piłkę między jego nogami i poniżył go w ten sposób podczas meczu piłkarskiego na lekcji wf-u.

Johan Karlsson, który był ofiarą mobbingu w siódmej i ósmej klasie i który próbował się zemścić na swoich prześladowcach (Barbarotti nie był jednym z nich, ale należał do milczącej, tchórzliwej

większości), dokonując próby samospalenia. Nie udało mu się odebrać sobie życia, ale rany oparzeniowe na jego twarzy już nigdy nie chciały się zabliznić.

Oliver Cesares, którego dziewczynę Madeleine ukradłem podczas tygodniowego pobytu na nartach. Przynajmniej Oliver myślał, że tak było, chociaż tak naprawdę Madeleine przyszła do mnie dobrowolnie.

I wszyscy pozostali.

Człowiek nie zdaje sobie sprawy, że ma tylu potencjalnych wrogów, pomyślał Gunnar Barbarotti. Każdy człowiek powinien sobie zrobić taką inwentaryzację. A przecież aż taki zły w końcu nie byłem? Nie gorszy od innych. A może jednak?

Gdy po ponadgodzinnym marszu doszedł do młyna Ulme, zrobił sobie przerwę i przeliczył galerię. Trzydzieści dwa nazwiska. Połowa szachownicy, a przecież zostało mu jeszcze piętnaście lat pracy w policji. Bez problemu dojdzie do pięćdziesiątki, jak mu nakazali Jonnerblad i Tallin.

Zjadł jabłko i wypił pół litra wody. Chwilę siedział oparty o szorstką ścianę młyna, przysłuchując się lejącej się wodzie; po suchym lecie strumień wody nie był zbyt szeroki, przypominał raczej strumyczek, ale było go słychać.

Ożenię się? - przyszło mu nagle do głowy. Ożenię się z Marianne. O Boże.

Ale zastanawiał się, kto tak naprawdę potrzebował tego tygodnia na rezygnację z transakcji. Może to ona potrzebowała? W gruncie rzeczy tak. A kiedy on zadzwoni w przyszłą środę, ona wymyśli jakąś wymówkę i spróbuje to odwlec.

Kiedy tak myślę o tym, zaczynam się czuć jak kupiec szukający nowego samochodu. Albo mieszkania.

Zobowiązanie, które na siebie przyjmował, było długoterminowe, a sprzedający jeszcze się nie zdecydował, czy kupujący się nadaje. Była to myśl absurdalna i ponadpragmatyczna, ale próbował przynajmniej spojrzeć na to wszystko bardziej trzeźwym okiem.

Jak mieszkają razem. Jak budzą się każdego ranka w tym samym łóżku i wychodzą każde do swojej pracy. Jak jedzą kolację z jej dziećmi. Jak jeżdżą na duże zakupy i zapraszają do siebie gości. Wspólnie planują wyjazdy i gapią się na jakiś film w telewizji.

Próbował też zobaczyć słabe punkty.

A jeśli zaczną działać sobie na nerwy, kiedy już będzie za późno na zmiany? A jeśli ona przestanie go kochać za dwa i pół miesiąca? Co powiedziałyby Sara? Co powiedziałyby Eva Backman, gdyby jej oświadczył, że zamierza ją zostawić samą ze Smutasem i z Asunanderem i przenieść się do Skanii? Czy w policji w Helsingborgu mają jakieś wolne etaty?

Czy nie bał się takiego kroku? Tak w gruncie rzeczy, kiedy przyjdzie co do czego? Przecież jednak zawahał się przez sekundę, zanim się oświadczył, a łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Niech to diabli wezmą, pomyślał Gunnar Barbarotti. To najlepsza decyzja, jaką podjąłem od pięciu i pół roku.

Próbował sobie przypomnieć, jakie inne znaczące decyzje podejmował w tym czasie, ale nie udało mu się znaleźć ani jednej.

Chyba tylko ta podróż do Grecji na Thasos.

Spojrzał na zegarek i postanowił pójść jeszcze kawałek dalej, a potem zawrócić w kierunku miasta. Człowiek powinien mieszkać w lesie, pomyślał nagle. Mieć psa i spacerować dwie godziny dziennie. Czy w okolicy Helsingborga mieli jakieś lasy? Las Pålshög, chyba jest tam coś takiego? Powinien to być las bukowy. Dlaczego nie?

Założył plecak i otworzył czystą kartkę w notatniku.

Pół godziny później doszedł do pięćdziesięciu pięciu nazwisk. Czterdziestu sześciu mężczyzn i tylko dziewięć kobiet.

Mimo wszystko człowiek jest dżentelmenem, stwierdził w myślach Gunnar Barbarotti. Wśród moich wrogów prawie nie ma kobiet.

Poczuł też, że zaczyna mieć dość tego katalogowania. Czemu to miało służyć? Czy Jonnerblad i Tallin faktycznie wyobrażali sobie, że wśród nazwisk, które nabazgrał w notatniku mniej lub bardziej na chybił trafił, znajdą nazwisko mordercy? Nie przypominał sobie, żeby widział gdzieś wzmiankę o tej metodzie, kiedy studiował kryminologię sto lat temu. Nie, to nie nazwiska trzeba teraz poszukiwać, pomyślał Barbarotti. Trzeba raczej... trzeba raczej zastanowić się nad profilem.

Z jakiego rodzaju człowiekiem mieli do czynienia? Jakie miał motyw? Czy w ogóle miał jakiś motyw? Czy próba opisania go logicznymi, racjonalnymi słowami miała sens?

Innymi słowy, czy był powód?

To pytanie pojawiała się w głowie Barbarottiego wielokrotnie od morderstwa Erika Bergmana, ale teraz, będąc w łagodnie szumiącym, nasyconym tlenem i umiarkowanie upalnym lesie, zauważył, że nie poświęcił wystarczająco dużo czasu na przeanalizowanie tego problemu.

Więc jak to właściwie było? Aha, jeśli Bergmana i Eriksson uśmiercił irracjonalny szalenciec, to trudno było spekulować. Albo raczej była to jedyna rzecz, jaką można było zrobić. Spekulować. Zgadywać. Może tego rodzaju sprawca w gruncie rzeczy chciał być złapany, tak jak mówił Lillieskog, a w takim wypadku przypuszczalnie prędzej czy później wykona jakiś zbyt ryzykowny ruch. Stanie się zuchwały i arogancki i zagalopuje się w tej zabawie z policją. Musi do tego dojść. Wystarczyłoby zatem poczekać na jego pierwszy błąd. I mieć nadzieję, że do tego czasu nie zdąży zabić zbyt wielu ludzi.

Jeśli to jednak nie jest irracjonalny szalenciec, to co wtedy? - pomyślał Gunnar Barbarotti, gdy dochodził do ptasiej wieży na wysokości Vretens i zatrzymał się, żeby dopić resztkę wody z butelki. No właśnie, co wtedy?

Morderca mający istotne powody do takiego właśnie zachowania? Mający plan i przemyślane motywy zabijania ludzi, których

najpierw wymienia z nazwiska w listach wysyłanych do inspektora kryminalnego Gunnara Barbarottiego z policji w Kymlinge. Jak... jak właściwie wyglądał ten scenariusz? Jaki, do licha, był sens przyjęcia takiej linii postępowania?

Usiadł na porośniętym mchem kamieniu i zawiesił to pytanie w swojej świadomości, nie próbując na nie od razu odpowiadać - chciał, żeby ta odpowiedź narodziła się niejako sama; była to metoda, która czasami przynosiła dobre efekty - ale jedyne, szczątkowe wręcz wyjaśnienie, jakie w końcu, po ośmiu czy dziesięciu minutach, udało mu się znaleźć, było stare jak świat: żeby zmylić policjantów.

Narobić im problemów. Zmusić ich do poświęcenia sił i środków. Rozdrobnić ich działania i doprowadzić do tego, że stracą z pola widzenia to, co najprostsze, a zarazem najważniejsze.

No tak, pomyślał Gunnar Barbarotti, ale co w tym wypadku jest najprostsze i najważniejsze?

Całkowicie abstrahując od listów.

Była tylko jedna odpowiedź.

Powiązania między ofiarami.

Musi być jakieś powiązanie. Jeśli morderca miał motyw, oczywiście, ale taki był przecież punkt wyjścia tego rozumowania. Drogi Erika Bergmana i Anny Eriksson musiały się gdzieś skrzyżować, a na tym skrzyżowaniu był również morderca.

Przypuszczalnie również osoba o nazwisku Hans Andersson.

Barbarotti nabrał od razu pewności, że gdyby Hans Andersson nazywał się przykładowo Leopold Bernhagen, to pod jego adres nie przyszedłby trzeci list. Ponieważ odnalezienie właściwego Leopolda Bernhagena byłoby dziecinnie proste.

Dlaczego pomyślał akurat o tym nazwisku? Bernhagen? Brzmiało znajomo, ale nie potrafił go umiejscowić.

Pokręcił głową.

Ale przecież właśnie to robimy, pomyślał. Szukamy powiązania między obiema ofiarami. Kierunek nie jest zły. Idziemy w dobrą stronę.

Jednak dość duże siły przeznaczono ostatnio na ochronę tłumu Hansów Anderssonów, temu nie można zaprzeczyć.

A jeden z elementów tychże sił wędrował po lesie i prowadził rozważania. Po bliższym wejrzeniu wyglądało to nieco absurdalnie.

Zmienię pracę, powiedział Marianne.

Dlaczego nie? Jeśli się ożeni i przeniesie do Skanii, to może przy tym rozwiązać również ten węzeł. Lato pełne zmian, nie da się ukryć.

Punkt zwrotny. Czas zmiany skóry.

Ponownie spojrzął na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej; wśród drzew powiał trochę chłodniejszy wiatr i wyglądało na to, że zaraz się rozpada. Wyjął z plecaka kurtkę przeciwdeszczową i schował długopis i notatnik.

Poza tym, pomyślał, przeskakując nie bez trudu przez strumień Rimminge, poza tym pozostaje oczywiście pytanie, jakie szanse na rynku pracy ma czterdziestosiedmioletni były policjant kryminalny.

Przypuszczalnie nie jestem wart tyle złota, ile ważę, pomyślał Gunnar Barbarotti.

Pod żadnym względem.

14.

Jonnerblad odchylił się do tyłu z taką siłą, że oparcie krzesła zaskrzypiało donośnie.

- Załoga w komplecie - stwierdził. - Dobrze że też mogłeś przyjechać, Lillieskog.

Gunnar Barbarotti rozejrzył się po pokoju. Zgadza się. Faktycznie było ich ośmioro. On sam, Eva Backman i Smutas reprezentujący siły miejscowe, Jonnerblad, Tallin i Astor Nilsson jako posiłki. Komisarz Asunander reprezentował samego siebie, tak to przynajmniej wyglądało; nie siedział przy stole jak inni, tylko trochę z boku, lekko za plecami Jonnerblada, w pozycji słuchacza. Lillieskoga, rzecz jasna, również należało traktować jako siły posiłkowe, pomyślał Barbarotti; a jeśli kogoś reprezentował, to były to psychologia i wiedza naukowa.

- Chętnie zacznę - powiedział. - Mam pociąg o wpół do czwartej.

Jonnerblad skinął głową. Barbarotti spojrział na zegarek. Parę minut po drugiej. Było piątkowe popołudnie i nie ulegało wątpliwości, że Lillieskog spieszył się do domu, do swoich bliskich.

Albo do złotej rybki, albo czegoś jeszcze innego.

Chyba wpadłem w zrzedliwy nastrój, pomyślał i postanowił zmienić nastawienie. Nie było powodu, żeby się nabijać; on sam nie miał nawet złotej rybki.

- Rozmawiałem o sprawie z kilkoma kolegami – zaczął Lillieskog. - Wygląda na to, że mamy sytuację zasadniczo odbiegającą od normy. Sprawcę... zasadniczo odbiegającego od normy, tak się wydaje.

- Odbiegającego od normy? - zapytał Jonnerblad.

- Dokładnie - powiedział Lillieskog. - Pod każdym względem niezwykajnego. Gdybyśmy chcieli przedstawić tutaj scenariusz *worst case*, to należałoby zacząć od stwierdzenia, że mamy prawdopodobnie do czynienia z bardzo inteligentnym mordercą. Takim, którego... niezależnie od tego, jak dramatycznie by to nie zabrzmiało... którego częściej spotykamy w literaturze niż w życiu. Albo w filmach. Sprawca, który ma przygotowany w najdrobniejszych szczegółach plan i realizuje go punkt po punkcie bez najmniejszych

skrupułów... Jak wszyscy wiecie, nie jest to raczej codzienny przypadek wśród naszych przyjaciół kryminalistów

- Sfrustrowanych ochlejusów, których zalewa krew i reagują gwałtem - odpowiedział Astor Nilsson.

- Mniej więcej tak. Zazwyczaj tak to wygląda. Albo są to porachunki między gangami. Ale nasz człowiek jest ulepiony z innej gliny. Złapiemy go wyłącznie z tego powodu, że ma motyw; tylko idąc w tym kierunku, możemy do dopaść. Naprawdę chce zabić konkretną liczbę ludzi... tylko tych i żadnych innych.

- Można sobie wyobrazić, że przypadkiem... - zaczęła Eva Backman, ale Lillieskog podniósł do góry rękę, przerywając jej.

- W mojej opinii wybór ofiar nie jest przypadkowy. Jeśli tak jest, to mamy do czynienia z irracjonalnym szaleńcem. Nie, ten człowiek ma opracowaną strategię pozbycia się pewnych ludzi, którzy w jakiś sposób go skrzywdzili. Można przypuszczać, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, że jest niekomunikatywny i defensywny, najprawdopodobniej lekko upośledzony społecznie, ale inteligentny, wszystko na to wskazuje. Może nawet bardzo inteligentny.

- Psychopata? - zapytał Astor Nilsson.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Lillieskog. - Określenie psychopata jest dość niedokładne. Łatwo go użyć, ale rzadko bywa adekwatne. Możemy się spodziewać obniżonych zdolności empatycznych, ale to dotyczy większości przestępców. Możliwe, że wcale nie boi się, że zostanie złapany. Patrzy na to jak na zabawę, rodzaj gry z policją. Pisanie listów daje mu coś w rodzaju kopa. Nakręca go do działania. Sam sobie udziela potwierdzenia. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy mieli do czynienia z seryjnym mordercą; to całkiem co innego. Obawiam się, jak już mówiłem, że jest dużo sprytniejszy niż ci, z którymi zazwyczaj musimy się mierzyć. Pracuje sam, wie, co chce zrobić, i robi to.

- Z jakichś powodów? - zapytał Tallin.

- Z jakichś powodów - odparł Lillieskog. - Zalecałbym poszukanie właśnie tych powodów.

Odchylił się do tyłu i schował długopis do kieszeni na piersi. Najwyraźniej skończył swoją analizę.

- Jakieś pytania do Lillieskoga? - powiedział Jonnerblad.

- Jedno - odparł Gunnar Barbarotti. - Na ile pewny jest ten obraz sprawcy?

Lillieskog zastanawiał się przez dwie sekundy.

- Osiemdziesiąt do dwudziestu - odpowiedział.

Gunnar Barbarotti skinął głową.

- A jeśli jest w tych dwudziestu procentach, to mamy świra, który wybiera nazwiska z książki telefonicznej?

- Na przykład - powiedział Lillieskog.

Kiedy psycholog Lillieskog opuścił zgromadzenie, zaczęła się dyskusja nad kwestią Hansów Anderssonów.

- Trzy dni - skonstatował Jonnerblad. - Minęły już przynajmniej trzy dni od wysłania tego listu. Znaleźliśmy wszystkich Hansów Anderssonów zameldowanych w Kymlinge i ze wszystkimi rozmawialiśmy. Wszyscy nadal żyją i nikt nie przyznaje się do znajomości czy jakichkolwiek powiązań z Anną Eriksson bądź Erikiem Bergmanem.

- Żadnych? - zapytał Astor Nilsson.

- Żadnych znaczących w każdym razie - powiedział Jonnerblad. - Trzech lub czterech wie, kim był Bergman; jeden chodził przez dwa lata do tej samej klasy co Anna Eriksson, ale nie należeli do tej samej paczki. Próbowaliśmy być maksymalnie niekonkretni i nałożyć na nich knebel - jak dotąd wydaje się, że skutecznie - ale na pewno nie da się tego utrzymać w tajemnicy wiecznie. Prędzej czy później rzucą się na nas dziennikarze z popołudniówek. Morderca piszący listy do policji i podający nazwisko swojej ofiary to przecież nie lada gratka. Z pewnością wzrost nakładu o pięćdziesiąt tysięcy. Ale tym problemem zajmiemy się, kiedy już się pojawi. Ochrona

tych wszystkich Hansów może i nie jest imponująca, ale kosztuje trzydziestu ludzi na dobę, a mimo to... - Zrobił pauzę i podrapał się pod brodą. - ...a mimo to wydaje się, że utrzymanie tej ochrony jest niezbędne. Jak myślicie?

- Dlaczego mielibyśmy z niej zrezygnować? - zapytał czujnie Smutas.

- Dlatego że sprawca prawdopodobnie nie zamorduje żadnej z osób, które ochraniaemy - odpowiedział Astor Nilsson. - Gdyby miał taki plan, to już by to zrobił. W przypadku Anny Eriksson w ogóle nie dał nam czasu na jakieś działanie. Albo też... albo też chodzi o jakiegoś Hansa Anderssona, który mieszka gdzie indziej.

- A w takim przypadku ta osoba już nie żyje - wtrącił Tallin. - W tym kraju mieszka ponad tysiąc pięćset osób o tym imieniu i nazwisku. Ale zanim to wypłynie, może minąć trochę czasu, bo w okresie urlopowym nie zwraca się uwagi na czyjaś nieobecność. W tym przypadku mamy oczywiście dostęp do danych krajowych.

- Oczywiście - potwierdził Jonnerblad. - Nie zapominajcie, że rezygnacja z ochrony może wywołać straszny raban. Choć zgadzam się, że nie możemy prowadzić jej w nieskończoność. Jej koszty są większe niż ochrona meczu piłkarskiego najwyższego ryzyka.

- Interesujące - powiedziała Eva Backman. - To co robimy w tej sytuacji?

- Jakies propozycje? - zapytał Jonnerblad i rozejrzał się po pokoju.

- Odwołać ochronę - podjął Astor Nilsson. - Ale nie mówić zainteresowanym.

- Uzasadnij - poprosił Jonnerblad.

- Chętnie - odpowiedział Astor Nilsson. - Poproszę tylko trochę wody.

Tallin odkręcił korek na butelce wody i nalał do szklanki.

- Dziękuję - powiedział Astor Nilsson. - Po pierwsze, ta beznadziejna ochrona, jaką prowadzimy, nie uniemożliwi żadnego

przestępstwa... Jej celem jest zasadniczo robienie dobrego wrażenia, co jest po prostu błazenadą. To taki haracz na rzecz opinii publicznej. Po drugie, jeśli sprawca rzeczywiście uderzy i zrealizuje swój zamiar pomimo naszej ochrony, to wyjdziemy na jeszcze bardziej niekompetentnych. Po trzecie... no, a po trzecie, wydaje mi się, że nasz przyjaciel, piszący listy morderca, nie robi krzywdy żadnemu z Hansów, których aktualnie pilnujemy. *Ergo*, odwołajmy ochronę.

- Zgadzam się - powiedziała Eva Backman.
- Zgadzam się - zawtórował jej Barbarotti.
- Hmm - zamruczał Jonnerblad. - Wydaje mi się, że musimy się nad tym dokładniej zastanowić.
- Zrobicie jak uważacie - powiedział Astor Nilsson. - Czy nie możemy jednak przejść do tych zwłok, które już mamy?

Jak najbardziej.

Najpierw Smutas szczegółowo opowiadał o dalszych przesłuchaniach ludzi, którzy znali Erika Bergmana. W takich bądź innych okolicznościach. Podsumowując, stwierdził, że obraz Bergmana w wielu miejscach się rozjaśnił, ale nie pojawiło się nic istotnego dla śledztwa.

Następnie Eva Backman w taki sam sposób przedstawiała sytuację w odniesieniu do Anny Eriksson. Jak zaznaczyła Backman, istniał rodzaj psychologicznej zgodności pomiędzy obiema ofiarami; oboje byli typowymi indywidualistami i prawie wszyscy, z którymi rozmawiano, opisywali ich jako osoby silne, choć nieco powierzchowne i zapatrzone we własne potrzeby. Wielu zeznających określało Annę Eriksson jako „twardą” czy „silną”, jeden z kolegów Erika Bergmana z liceum użył nawet określenia „oziębły”.

W sumie raporty Smutasa i Backman zajęły około godziny; do starych informacji dokładano kolejne, na przykład można było już z całą pewnością powiedzieć, że Anna Eriksson za pięć dwunasta

w południe we wtorek jeszcze żyła - ponieważ wiarygodny świadek mieszkający po drugiej stronie ulicy widział ją wtedy na balkonie - ale że prawie na pewno nie żyła już dwie godziny później, kiedy jakaś przyjaciółka dzwoniła do niej kilkakrotnie na komórkę, ale Anna nie odbierała. A zatem morderca uderzył w tym przedziale czasowym, czyli w ciągu tych dwóch godzin. Badania techniczne obu miejsc zbrodni już się zakończyły i kilka toreb plastikowych o najróżniejszej zawartości wysłano do analizy do Linköpingu, ale wyniki jeszcze nie przyszły; wydawało się dość nieprawdopodobne, żeby tą drogą udało się uzyskać informacje istotne dla potrzeb śledztwa. Odciski palców i materiał do badań DNA zgłaszały nieobecność; hipoteza przedstawiającą prawdopodobne zachowanie mordercy w przypadku Anny Eriksson była następująca: sprawca zadzwonił do drzwi, został wpuszczony do środka, uderzył ofiarę tępym narzędziem, owinał w worki foliowe i umieścił pod łóżkiem. Po prostu. Nieznany mężczyzna, którego plecy jeden ze świadków widział na klatce schodowej, był nadal bezkształtny i niezidentyfikowany, a podczas ponownego przesłuchania okazało się ponadto, że świadek prawdopodobnie myli wtorek z poniedziałkiem.

Jeśli chodzi o listy, to zostały ponownie przeanalizowane przez kolejną grupę grafologów. Najczęstsza opinia wskazywała na praworęcznego mężczyznę, który pisał drukowanymi literami lewą ręką. Ponieważ listy były nadawane w Göteborgu - dwa pierwsze - i w Borås - ten trzeci - można było przypuszczać, że mieszkał w promieniu stu pięćdziesięciu do dwustu kilometrów od Kymlinge.

- Świetnie - skomentował Astor Nilsson. - Mamy zatem do czynienia z praworęcznym mężczyzną z zachodniej części Szwecji. Złapanie go to tylko kwestia czasu.

- Ehmm uha - wymamrotał Jonnerblad. - Ważne jest prowadzenie dalszego dochodzenia w tak szerokim zakresie jak dotychczas. Ale koncentrujemy się na szukaniu powiązania, przeszukując

między innymi albumy ze zdjęciami. Dotychczas nie w ten sposób nie znaleźliśmy, ale byłoby dobrze coś odkryć, zanim dowiemy się, że Hans Andersson został zamordowany - Znowu odchrząknął, wypił trochę wody i dodał: - Równie ważne jest to, żeby inspektor Barbarotti spróbował nam wyjaśnić, dlaczego to właśnie on jest adresatem tych listów.

Gunnar Barbarotti poprawił się na krześle.

- W tym względzie się zgadzamy - powiedział. - Tak jak uzgodniliśmy, przeprowadziłem inwentaryzację moich trupów w szafie. Widzieliście listę. Interesuje mnie, czy któreś z tych nazwisk wam się z czymś kojarzy.

Zapanowała cisza. Wszyscy siedzący wokół stołu studiowali listę sześćdziesięciu nazwisk zapisanych przez Barbarottiego.

Później przez chwilę mówiono o pięciu czy sześciu z nich - każdy z nich był jednokrotnie, a czasami wielokrotnie notowany w Rejestrze Przestępstw - a następnie wszyscy pokiwali głowami i stwierdzili, że to do niczego nie prowadzi.

- A ty nie masz jakichś konkretnych wskazań, gdy chodzi o tę listę? - zapytał zastępca komendanta i nagle wydał się bardzo zmęczony.

- Nie - odparł Barbarotti. - Co nie oznacza, że będę bardzo zaskoczony, jeśli się okaże, że to faktycznie któryś z nich. Ale nie byłem w stanie wytypować najbardziej prawdopodobnych sprawców.

- Jak na mój gust jest w tym trochę za dużo matematyki - stwierdził Astor Nilsson. - Mamy dwudziestu dziewięciu Hansów i sześćdziesiąt duchów Barbarottiego. I co, wrzucimy ich do generatora przypadków i zobaczymy, który się do którego przyczepi, czy jak?

- Za dużo siedzenia za biurkiem i rozmyślania, za mało działań śledczych - dodała Eva Backman.

- Śledztwo zawsze potrzebuje jakiegoś kierunku - zaznaczył Tallin. - Przynajmniej po kilku dniach od zdarzenia.

- Zgadzam się - powiedziała Eva Backman. - Cofam tamte słowa.

Smutas odchrząknął ostrożnie.

- Ta fotografia - powiedział. - Przepraszam, że o tym wspomina, ale wydaje mi się, że zrobiono ją we Francji.

Szybko wyjęto z akt zdjęcie przedstawiające mężczyznę i kobietę na ławce i zaczęto się jej przyglądać.

- We Francji? - zapytał Jonnerblad. - Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Jest coś takiego w kolorze kosza na śmieci stojącego przy tej ławce - wyjaśnił Smutas. - I chociaż widać tylko kawałek, to zakładam, że to kosz na śmieci. Wydaje mi się, że rozpoznaję ten odcień.

Barbarotti przypomniał sobie nagle, że Gerald Borgsen malował obrazy w czasie wolnym od pracy. Kilka lat temu miał nawet małą wystawę w stołówce komendy. Z tuzin małych, nieco abstrakcyjnych obrazów olejnych i malowanych temperami jajowymi - budziły zdziwienie, ale również podziw. Barbarotti postanowił nawet kupić jeden z nich, ale zanim się zdecydował, wszystkie już były sprzedane. Możliwe, że nikt inny z tej grupy nie posiadał takiego wyczucia kolorów jak Smutas.

- Kolor kosza na śmieci? - zapytał Jonnerblad z wahaniem. - Nie jestem pewien...

- Cholera - powiedział Astor Nilsson. - Wydaje mi się, że masz rację. Przypomina kolor ram okiennych w domku, który kiedyś wynajmowałem. W Avranches... w Normandii, gdyby ktoś nie wiedział...

- Myślę, że nie będziemy się nad tym aż tak bardzo zastanawiać - przerwał Tallin. - Przecież nawet nie mamy pewności, że mężczyzna na zdjęciu rzeczywiście jest Erikiem Bergmanem. Prawda?

- Oczywiście - zgodził się Smutas. - Jednak chciałem wam o tym powiedzieć. To mogły być równie dobrze północne Włochy, ale jestem pewien, że to nam za bardzo nie pomoże.

- Aha, aha - odrzekł Jonnerblad i odchylił się do tyłu. - Francja albo Włochy? Wydaje mi się, że powinniśmy się skupić na ograniczaniu obszaru dochodzenia, a nie na jego rozszerzaniu i przenoszeniu poszukiwań na inne części Europy. Ale dziękujemy za informację. Może w przyszłości do czegoś nam się przyda.

- Proszę bardzo - powiedział Smutas.

Jonnerblad rozejrzał się po zmęczonym gremium. Spojrzał na zegarek.

- Na dzisiaj koniec - postanowił. - Niestety nie zostaje nam nic innego, jak pracować dalej zgodnie z kierunkami, o których mówiliśmy. Ochrona Hansów Anderssonów pozostaje niezmienną przez cały weekend. Jeśli nie zdarzy się nic niespodziewanego, widzimy się w poniedziałek o dziesiątej. Jakies pytania?

Nie było pytań. Jonnerblad ogłosił zakończenie narady. Była za dwadzieścia pięta w piątek dziesiątego sierpnia.

- A twój urlop? - zapytał Gunnar Barbarotti, kiedy Eva Backman dziesięć minut później zajrzała do jego pokoju. - Co z twoim urlopem?

- Pracuję do środy włącznie - powiedziała. - Ale jadę na weekend odwiedzić chłopaków. Osiemset kilometrów w obie strony, ale czego się nie robi dla spokoju w rodzinie? A ty co będziesz robił?

Gunnar Barbarotti wzruszył ramionami.

- Dwie rzeczy - oznajmił. - Po pierwsze, przyjadę tu i trochę popracuję. A po drugie, zamierzam się zastanowić nad swoim życiem.

- Nieźle - odparła Eva Backman. - Dobry plan. Szczególnie ta druga część.

- No widzisz - powiedział Gunnar Barbarotti. - Do poniedziałku. Pozdrów rodzinę.

- A ty pozdrów Marianne.

- Będę z nią rozmawiał dopiero w środę.

Eva Backman zatrzymała się w połowie drogi do wyjścia.

- W śróde? Dlaczego? - spytała.
- Jest jeden powód - powiedział Barbarotti.
- Jeden powód?
- Tak.
- Czasami potrafisz mówić tak jasno, że człowiek od razu

wszystko rozumie - stwierdziła Eva Backman.

15.

Włożył palec wskazujący pomiędzy kartki Biblii i otworzył ją. Trafił na Ewangelię Św. Mateusza. Rozdział szósty, wiersz dwudziesty drugi i dwudziesty trzeci.

Światłem ciała jest oko. Jeśli więc twoje oko jest zdrowe, całe twoje ciało będzie w świetle. Lecz jeśli twoje oko jest chore, całe twoje ciało będzie w ciemności. Jeśli więc światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność!

Przeczytał to dwa razy

Aha, pomyślał. Tak właśnie jest. Oczywiście.

Ale jeśli traktować to jako wskazówkę, a przecież o to zasadniczo chodziło, to nie do końca jasny był przedmiot tej wskazówki. No bo czy dotyczyła ona śledztwa? Czy też jego życia? Jego prywatnej, duchowej ciemności i ślepych, niepewnych kroków po pokrytych kołcami ścieżkach życia?

Albo może obu tych spraw?

Tak, możliwe, że obu, pomyślał. Niezmałone spojrzenie przyda się w obu przypadkach. Widzenie tego, co naprawdę istnieje, a nie tylko urojonych zagrożeń.

A może nie?

Inspektor Barbarotti westchnął i zamknął Biblię. Poszedł do kuchni i stwierdził, że lodówka jest pusta. No dobra, było trochę sera, kostka margaryny do chleba, litr mleka i cztery czy pięć innych porzuconych rzeczy, ale nic, z czego dałoby się zrobić przyzwoity obiad. Chociaż, z drugiej strony, po co gotować obiad dla jednej osoby? Było wpół do siódmej w sobotni wieczór, już za późno, żeby dzwonić do któregoś z przyjaciół i umówić się na kolację i kieliszek wina. Poza tym, dokładnie rzecz biorąc, ma tylko dwóch przyjaciół żyjących równie samotnie jak on i, szczerze powiedziawszy, nie chciało mu się iść do restauracji z żadnym z nich.

Samotny wypad był jednak jeszcze gorszym rozwiązaniem. Ludzie go znali. „Patrz, inspektor policji Barbarotti przyszedł całkiem sam na kolację! Biedaczysko, nie ma miłego życia”.

Nie, do cholery, ta opcja też mu się nie podobała. Był jednak głodny. Pod tym względem sygnały wysyłane przez ciało były jednoznaczne. A zatem zadowoli się paroma kiełbaskami z piure ziemniaczanym w barze Rockstagrillen, to chyba wystarczająco wyważony kompromis i dotychczas zadowalający. W drodze do domu zajrzy jeszcze do pubu Älgen i zobaczy, czy nie ma tam jakichś znajomych twarzy przy barze.

Przed wyjściem sprawdził termometr za oknem kuchennym. Dwadzieścia cztery stopnie. Po paru dniach gorszej pogody wróciły wyższe temperatury. Nawet nie musiał brać swetra. Wieczór jakby stworzony do wyjścia na miasto w gronie uśmiechniętych znajomych.

Niezależnie od ciemności panującej w mojej duszy, pomyślał Gunnar Barbarotti i żwawym krokiem ruszył w miasto.

A do Marianne wolno mi będzie zadzwonić dopiero w środę.

No, ale mogę zadzwonić do Sary.

Kiełbaski w Rockstagrillen i melancholijne, samotne piwo w Älgen doprowadziły wieczór do godziny piętnaście po ósmej. Gdy

tylko przekroczył próg mieszkania, poczuł przemożną chęć porozmawiania z córką.

Po prostu mus.

Usiadł w fotelu na balkonie i wybrał numer. Czekając na jej głos z dalekiego Londynu, obserwował zachód słońca i przysłuchiwał się kawkom. Po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Głos Sary radośnie informował - po angielsku i szwedzku - że albo śpi, albo jest pod prysznicem, ale postara się oddzwonić przed Bożym Narodzeniem, jeśli dzwoniący zostawi swój numer. Począł pięć minut i spróbował ponownie. Tym razem odebrała.

- Cześć, mówi tata.

- Kto?

W tle słychać było głośną muzykę i rozmowy.

- To ja - powiedział trochę głośniej. - Twój kochany ojczulek, jeśli jeszcze go pamiętasz?

Roześmiała się.

- Ach, to ty! Czy mogę do ciebie oddzwonić za... za pół godziny? Tu jest lekki bajzel.

Powiedział, że nie ma problemu. Zastanawiał się, co miała na myśli, mówiąc „bajzel”. I co znaczyło „tu”. Odnosił wrażenie, że było to miejsce niezbyt bezpieczne. Wolałby, żeby była w domu, a w tle słyszałby tylko odgłosy wiadomości telewizyjnych albo odkurzacza. Jeśli go uszy nie mylą, to doszedł go też brzęk butelek. I dym papierosowy, na pewno było tam siwo od dymu; co prawda, nie dało się tego odczuć przez telefon, ale od prawie dwudziestu lat był przecież inspektorem policji, więc swoje wiedział.

Wyjął z teczki listę sześćdziesięciu nazwisk, wziął z lodówki ostatnie piwo i znowu usiadł na balkonie.

Pomyślał, że skoro i tak musi czekać, to zajmie się pracą. Był to rodzaj bezpiecznej podpórki, na której można się było wesprzeć. Życie to zwirownia, a ty jesteś łopata.

Sara zadzwoniła po pięćdziesięciu pięciu minutach; miał więc prawie minutę na nazwisko, ale to i tak nie pomogło. Niezależnie od

tego, jak intensywnie się w nie wpatrywał, nie potrafił wytypować nikogo, kto pasowałby na mordercę piszącego listy, a zatem nie udało mu się zapalić żadnego światełka w ciemnościach.

- Cześć, tato - powiedziała Sara. - Czy możesz ty do mnie zadzwonić, bo mam mało pieniędzy na karcie.

Była to powtarzająca się procedura.

- Co u ciebie? - zapytał, kiedy już mogli zacząć rozmowę.

- Dobrze - odpowiedziała Sara. - Wszystko w najlepszym porządku. Chyba się o mnie nie martwisz?

- A są powody? - spytał przebiegle.

- Oczywiście, że nie - stwierdziła Sara, śmiejąc się. - Tylko że wiem, jaki z ciebie przewrażliwiony ojciec. Ale cieszę się, że zadzwoniłeś. Mogę ci teraz powiedzieć, że mam chłopaka.

- Chłopaka? - powtórzył Gunnar Barbarotti i o mało nie zgniótł szklanki z piwem.

- Tak. Ma na imię Richard. Jest super.

Ani sekundę w to nie wątpił, pomyślał Barbarotti. Nie rozumiesz, że zależy mu tylko na tym, żeby cię wykorzystać?

- Richard? - powiedział. - No proszę. A czym się zajmuje?

- Jest muzykiem.

Muzykiem! - ryknął wewnętrzny głos w głowie Gunnara Barbarottiego. Saro, czyś ty całkiem oszalała? Muzyka, narkotyki, AIDS i cholera wie co jeszcze. Wracaj do domu i zamknij się na klucz, przyjadę jutro i cię uratuję!

- Halo, jesteś tam?

- Tak... tak, jestem. Jesteś pewna, że... to znaczy, jaką muzyką się zajmuje?

Wysłał ekspresową modlitwę egzystencjalną do Boga. Powiedz, że jest wiolonczelistą w London Philharmonic Orchestra! Trzy punkty dla ciebie! Cokolwiek, tylko nie...

- Gra na basie w zespole, który często występuje w tym pubie.

Niech to szlag, pomyślał Gunnar Barbarotti. Wiedziałem. Kolczyk

w nosie, tatuaże i gówniane włosy ważące trzy kilo.

- W pubie?

- Tato, już nie pracuję tam gdzie wcześniej, tylko w pubie, ale tu jest bardzo fajnie. Wszyscy są grzeczni i naprawdę nie masz powodów do obaw.

- Sarenko, masz dziewiętnaście lat.

- Wiem, ile mam lat, tato! A co ty robiłeś, gdy miałeś dziewiętnaście lat?

- No właśnie dlatego się o ciebie martwię - wyrwało mu się, a w nagrodę znowu usłyszał jej śmiech.

- Tato, kocham się.

- Ja też cię kocham, Sarenko. Ale musisz dbać o siebie. Teraz są zupełnie inne czasy niż wtedy, kiedy ja miałem dziewiętnaście lat, a jeszcze gorsze dla dziewcząt. Gdybyś widziała tylko ułamek tego, co ja...

- Już to słyszałam, tatusiu. Ale naprawdę nie jestem idiotką. Zaufaj mi. A gdybyś poznał Richarda, to byś go polubił, jestem tego pewna.

Przesłuchiwałam go przez czternaście godzin bez przerwy na sikanie, pomyślał Gunnar Barbarotti. A potem wysłałbym go do Mongolii Zewnętrznej.

- Dlaczego już nie pracujesz w butiku? - zapytał. - Wydaje mi się, że pub nie jest odpowiednim miejscem pracy dla dziewiętnastolatki.

- Tato - powiedziała Sara cierpliwie, z głośnym westchnieniem.

- Zastanów się, miliony dziewiętnastolatek pracują jako kelnerki we wszystkich pubach świata. Pracuję tu cztery wieczory w tygodniu i zarabiam dwa razy tyle, co w tym snobistycznym butiku. Nic złego mi się nie dzieje. Nie palę, nigdy nie uprawiam seksu bez zabezpieczenia i nie piję nawet w połowie tyle co ty.

- *All right* - odparł Gunnar Barbarotti i poczuł, że musi rzucić ręcznik na ring. - Chciałbym tylko, żeby ci było dobrze, chyba rozumiesz. A co u Malin?

Malin była przyjaciółką Sary, która pojechała razem z nią do Londynu i z którą Sara wspólnie wynajmowała mieszkanie w Camden Town.

- U Malin też wszystko w porządku - zapewniła Sara. - Tyle że ona nie ma jeszcze chłopaka.

- Mądra dziewczynka - podsumował Gunnar Barbarotti. - Przyjeżdżam do ciebie we wrześniu w odwiedziny, pamiętasz? Jeśli nadal jestem zaproszony.

- *My heart belongs to daddy* - zacytowała Sara i po tych najmielszych słowach podczas całej rozmowy pożegnali się i umówili na kolejną pogawędkę za tydzień.

Został na balkonie i patrzył na niebo ciemniejące nad więziami dachów i czubkami wiązów rosnących wzdłuż rzeki. Nagle przez głowę przemknęła mu myśl, że za rok będzie siedział na innym balkonie i wyglądał na cieśninę Sund, Helsingör i muzeum Louisiana, wszystko razem.

A jeśli tak naprawdę będzie?

Gorzej, jeśli tak nie będzie. A jeśli będzie przesiadywał na tych trzech metrach kwadratowych już we wszystkie letnie noce do końca swoich dni. Akurat dzisiejszego wieczoru nie było to takie złe, ale jednak. Jednak?

Najgorsze było to, że nie miał żadnych problemów z odmalowaniem tej alternatywy na potrzeby swego wewnętrznego, niezmaconego oka. W miarę upływu czasu czuł narastającą gnuśność; wyobrażanie sobie, że za dwa lata, za pięć czy osiem lat będzie bardziej skłonny do zmian, było śmieszne.

Jeśli brakuje ci energii, gdy masz czterdzieści siedem lat, to nie będziesz jej miał również, mając pięćdziesiąt siedem, pomyślał. O ile nie dokonasz jakichś zmian.

A on chciał przeprowadzić zmiany Bardzo tego chciał. W środę zadzwoni do Marianne i jej to powie. Trzeba mieć nadzieję, że jej nie najdą wątpliwości. Zdumiewające było to, że potrafił czuć do niej tak

ogromne zaufanie; znali się przecież tylko rok, w tym czasie spotkali się zaledwie osiem czy dziesięć razy, ale może była to kwestia poczucia samotności, które pchało go do przodu.

W moim wieku, rozmyślał, nie ma się już tyle czasu, żeby przebierać jak w ulegalkach.

Albo działasz, albo usychasz.

Znowu naszła go myśl, że takie podejście pachnie cynizmem i pragmatyzmem, szczególnie że nie potrafił znaleźć w sobie wątpliwości co do własnych uczuć wobec Marianne. Kochał ją, był gotów odejść z pracy i przeprowadzić się dla niej do Helsingborga - w to nie wątpił. Mógł się przeprowadzić gdziekolwiek indziej, tam, gdzie tylko ona będzie chciała: do Berlina albo Fjgesty, albo na koniec świata.

Wybrałbym właśnie ją, nawet gdybym miał do wyboru wszystkie kobiety świata, pomyślał. Naprawdę, nie kłamie, niech zachód słońca będzie moim świadkiem.

Później w jego głowie pojawiło się pewne wspomnienie. Można by się zastanowić - dlaczego.

Przypadek, którym się zajmował w pracy jakieś dziesięć lat temu. W środku nocy zadzwoniła na policję kobieta, która twierdziła, że właśnie zabiła męża. Podała adres - był to jeden z nowo wybudowanych bloków w dzielnicy Pampas; pojechał tam razem z koleżanką policjantką, która później przeprowadziła się do Sztokholmu, i stwierdzili, że rzeczywiście było tak, jak mówiła kobieta. Mężczyzna siedział przy stole kuchennym, a jego pochylona do przodu głowa spoczywała na skrzyżowanych ramionach leżących na blacie stołu i gdyby nie uchwyt noża do krojenia mięsa wystającego spomiędzy jego łopatek, można by odnieść wrażenie, że śpi.

- Dlaczego? - zapytał Barbarotti.

- Nie miałam innego wyjścia - odpowiedziała kobieta.

- Powiedział, że ode mnie odejdzie. Co wtedy by się ze mną stało?

Spojrzał na nią zbity z tropu. Pięćdziesięcioletnia zniszczona kobieta z lekką nadwagą.

- A teraz co z panią będzie? - zapytał.

- Teraz ktoś się mną zajmie - wyjaśniła. - Nie potrafiłabym żyć sama. Ani przez jeden dzień. A Arne spocznie w grobie.

Później, kiedy ją przesłuchiwał, nadal trwała przy tej linii obrony, jakby to była oczywistość. Coś, czego nie potrzeba kwestionować czy wyjaśniać; mąż obiecał, że będzie ją kochał i opiekował się nią do końca życia, a kiedy złamał tę obietnicę, pozostało tylko jedno logiczne rozwiązanie: wbić mu nóż w plecy. Psychiatra sądowy, który badał ją przez kilka dni, stwierdził, że była całkowicie zdrowa, więc za popełnienie morderstwa sąd wymierzył jej karę dożywocia.

Barbarotti czasami myślał o tamtej sprawie. Dokładniej mówiąc, ta sprawa pojawiała się od czasu do czasu w jego świadomości. Tak jak teraz. Nie potrafił tego powstrzymać. Razem z nią pojawiały się zawsze pytania, których nie potrafił właściwie sformułować, a już na pewno nie potrafił na nie odpowiedzieć.

Jak właściwie było z tą jej winą?

Dlaczego nie potrafiła zrozumieć, że popełniła przestępstwo?

Gdyby to on był autokratycznym sędzią w utopijnym państwie prawa, przypuszczalnie - wbrew jej woli - uwolniłby ją. Wtedy już nigdy więcej nie znalazłaby się w sytuacji, w której musiałaby popełnić taki czyn, by obronić to... to, czego broniła. Nie za bardzo potrafił dotrzeć do sedna, ale czuł, że nie musi szukać właściwych słów.

Ważniejszy był związek między rozważaniami nad kwestią winy i kary a jego rolą jako policjanta?

Tego sierpniowego wieczora również nie znalazł rozwiązania. O dwunastej, kiedy kawki ucichły, postanowił iść spać, jednak zanim dobrze wstał z fotela, zadzwoniła jego komórka.

Cholera, pomyślał. Sara. Coś złego jej się przytrafiło.

Ale to nie była Sara.

To był Göran Persson.

Przez krótką chwilę Barbarotti rzeczywiście sądził, że dzwoni do niego były premier w jakiejś sprawie politycznej, ale po chwili zrozumiał, że to tylko imiennik byłego premiera.

Göran Persson był reporterem w „Expressen” i nietrudno było zgadnąć, z jaką sprawą dzwonił, niczym gwóźdź w babce piaskowej.

- Chodzi o te dwa morderstwa w Kymlinge. Dostałem informacje, że morderca podobno pisał do pana listy, w których informował, co zamierza zrobić. Jak pan to skomentuje?

- Co? - powiedział Gunnar Barbarotti.

Göran Persson powtórzył swoje stwierdzenie i pytanie dokładnie tymi samymi słowami.

- Nie będę tego komentował - wyjaśnił Barbarotti. - Nie rozumiem, o czym pan mówi. Skąd pan ma takie informacje?

- Czy pan nie wie, że próby wykrycia źródeł informacji dziennikarskiej są karalne? - odpowiedział pytaniem na pytanie Persson. - Ale może o tym zapomnę. Przypadkowo wiem, że te informacje są prawdziwe. Że w obu przypadkach, Erika Bergmana i Anny Eriksson, wiedzieliście, że zostaną oni zamordowani. W poniedziałek zamierzamy napisać o tych listach w gazecie i jeśli będzie pan próbował zaprzeczać faktom, to przedstawimy pana w niezbyt korzystnym świetle.

- Nie wydaje mi się...

- Jestem właśnie w samochodzie w drodze do Kymlinge - wyjaśnił reporter. - Czy możemy umówić się na śniadanie jutro rano w hotelu Kymlinge? Spokojnie sobie porozmawiamy. Wydaje mi się, że w takich okolicznościach najlepiej będzie grać w tej samej drużynie. Jeśli dobrze rozumiem, to listy są skierowane personalnie do pana. Pisane ręcznie, drukowanymi literami. Zgadza się?

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez trzy sekundy.

- O której? - zapytał.
- O dziesiątej - rzucił reporter Persson. - Mam jeszcze do przejechania dwieście kilometrów, a przecież jutro mamy niedzielę, mimo wszystko.

Mamy przeciek, pomyślał inspektor Barbarotti, myjąc zęby i patrząc w swoje nadzwyczaj mętne oczy w lusterku w łazience.

Kto?

16.

Czuł wewnętrzny opór, wręcz fizyczny, ale godzinę przed spotkaniem z Goranem Perssonem w hotelu Kymlinge zadzwonił do zastępcy komendanta Jonnerblada i przedstawił sytuację.

- Diabli nadali - powiedział Jonnerblad. - Chyba najlepiej będzie, jeśli pojedę tam zamiast ciebie.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł - zaprotestował Barbarotti.
- Wygląda na to, że on wie, iż listy są adresowane do mnie, i dlatego to właśnie ze mną chce rozmawiać.

Jonnerblad myślał przez chwilę i wyłączył radio.

- Okej - odparł w końcu. - Ale musimy ustalić strategię, której się będziesz trzymał.

- Bardzo chętnie - zgodził się Barbarotti. - Myślisz o czymś konkretnym?

- O tym, ile możemy ujawnić - powiedział Jonnerblad. - To jest najważniejsze.

- Wydaje mi się, że on i tak wie wszystko. Wpływanie się w kłamstwa nie będzie najmądrzejszą strategią.

- Kto mówi o kłamstwach? - spytał Jonnerblad.

- Nie wiem - odpowiedział Barbarotti.

- Co za fiut się wygadał?

- Nie mam pojęcia, ale sporo osób nad tym pracuje.
- Może była to po prostu tylko kwestia czasu - powiedział Jonnerblad. - Ale jak zobaczysz któregoś z naszych w garniturze od Armaniego, to daj mi znać.

- Obiecuję. Ale co z tą strategią?

Jonnerblad milczał przez chwilę; w słuchawce słyhać było tylko ciężki oddech.

Jakby na jego piersiach siedziało jakieś strasznie grube babsko, pomyślał Barbarotti.

Dlaczego w jego głowie zawsze pojawiały się takie idiotyczne myśli i obrazy? Prawie zawsze wytrącały go z równowagi i... jak to się nazywa... były kontrproduktywne. Po prostu tracił wówczas wątek. Dlaczego, do diabła, miałyby na nim siedzieć gruba kur...

- Ochrona - powiedział w końcu Jonnerblad. - Będzie pytał o ochronę.

- Nie musimy chronić tych, którzy już nie żyją - odparł Barbarotti. - Nie jestem pewien, czy...

- Hans Andersson - przerwał mu Jonnerblad. - Wiedział o Hansie Anderssonie?

- Właśnie to zacząłem mówić - rzekł Barbarotti. - Nie powiedział tego. Nie rozmawialiśmy o tym.

- Jeśli on o nim nie wspomni, to ty też nie musisz tego robić - zdecydował Jonnerblad.

- A jeśli o nim wspomni?

- Wtedy powiesz, że zorganizowaliśmy najlepszą w tych okolicznościach ochronę.

- W tych okolicznościach?

- Właśnie.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Prawdopodobnie będzie chciał zachować wyłączność na tę informację - powiedział Jonnerblad. - Masz tutaj niewielkie pole do negocjacji. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy jutro po południu zorganizowali konferencję prasową i upublicznili tę wiadomość.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Też o tym pomyślałem. Nie pojmuję, dlaczego nie roztrąbili tego już dziś.

- No i jakie wnioski wysnuwasz? - zapytał Jonnerblad. - Jak myślisz?

- Że musiał dostać tę informację tuż przed telefonem do mnie. Było już po dwunastej, więc nie zdążyli nic przygotować na dzisiaj, po prostu.

- Bardzo możliwe - zgodził się Jonnerblad. - Ale po co w ogóle się z nami kontaktuje?

- Dobre pytanie - oświadczył Barbarotti. - Bo może nie do końca uwierzył?

- Zwykle im to nie przeszkadza - rzekł Jonnerblad. - Choć może w tym przypadku tak. Masz wrażenie, jakby był pewien, że chce rozmawiać właśnie z tobą, tak?

- No tak... - powiedział Barbarotti.

- Byłeś trzeźwy?

Inspektor Barbarotti nie odpowiedział.

- Zadzwoń do mnie, gdy z nim skończysz - poprosił Jonnerblad. - Używaj zdrowego, policyjnego rozsądku, przecież już bywałeś w takich sytuacjach. A jeśli uda ci się wyciągnąć z niego źródło przecieku, nie będę miał nic przeciwko.

- Nie wydaje mi się, żeby to się udało. Dziennikarze bardzo dbają o poufność, gdy chodzi o swoje wtyczki.

- Też tak myślę, cholera - wymamrotał Jonnerblad i zakończył tę strategiczną rozmowę.

Göran Persson sprawiał wrażenie osoby, dla której hotel Kymlinge nie był ulubionym miejscem pobytu. Przypuszczalnie wolałby jakąś restaurację hotelową w Nowym Jorku albo Rzymie, jak ocenił Gunnar Barbarotti, ale niestety trafił właśnie tutaj. Widać było, że reporter skończył jeść śniadanie; zapaćkał więcej talerzy niż czteroosobowa rodzina, a na całym stole wałały się zmaltretowane resztki

wędlin, jaja i kawałki drożdżówki, na podłodze zaś leżał wymięty stos porannych gazet.

Przypomina zblazowanego gwiazdora opery mydlanej, pomyślał posepnie Barbarotti. W schyłkowej formie. Trzydniowy zarost, świeżo umyte, nieczesane włosy i czarny T-shirt pod wystrzępioną skórzaną kamizelką. Czterdzieści lat plus minus pięć.

Chociaż może wcale nie jest aż tak źle, jak wygląda, pomyślał później i usiadł naprzeciw reportera. Może na co dzień Persson zajmuje się infiltracją gangów motocyklowych. Dziennikarstwo śledcze. Nie należy oceniać po pozorach. Dobrze, że nie mam uprzedzeń.

- Siemanko - rzucił dziennikarz. - A więc to pan jest Barbarotti.

Barbarotti potwierdził jego przypuszczenia. Persson włożył do ust porcję snusu.

- Planujemy poświęcić sprawie cztery strony - powiedział. - Dwie całe rozkładówki. Zajebicie interesująca historia.

- Tak pan myśli? - zapytał Barbarotti.

- Chcemy umieścić tam te listy. Dokładnie tak jak wyglądają. To wam pomoże złapać tego fiuta.

- Nie jestem pewien, czy chcemy je komuś wydawać - odparł Gunnar Barbarotti.

- Jasne, że chcecie - zapewniał Göran Persson. - Przecież nie chcecie, żebyśmy napisali o was źle, prawda? W każdej chwili może się tu pojawić nasz fotograf, pomyślałem, że mógłby nas pan później zabrać na komendę. Chce pan kawy?

Gunnar Barbarotti skinął głową. Wstał od stołu i poszedł do bufetu po kawę i parę sucharów. Starał się nie ulec impulsowi wylania kawy na głowę reportera i żałował, że nie skorzystał z propozycji Jonnerblada, że to on zajmie się tą sprawą.

Ale jak miałyby pozwolić sobą rządzić? Niech to szlag.

- *All right* - powiedział, kiedy już siedział przy stole. - Zapytam kolegów. Ale tak w zasadzie to wydaje mi się, że pan coś opacznie

zrozumiał, a w waszym zawodzie często się to zdarza. Czy może mi pan powiedzieć, w jaki sposób dotarła do pana ta informacja... Osobiście nie zaglądałem do pana gazety od jakichś czterestu lat i jutro pewnie też tego nie zrobię.

Göran Persson spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, lekko poruszając kącikami ust - w lewym pojawił się kawałek porcji snusu. Potem poprawił się na krześle i odchrząknął.

A następnie zacytował z pamięci wiadomości od mordercy. Wolno i wyraźnie, słowo po słowie. Również trzecią wiadomość, tę o Hansie Anderssonie.

- Co, pana zdaniem, mogłem zrozumieć opacznie? - za pytał.

Niech to szlag, pomyślał Barbarotti. Co za idiota...? Zaraz, a jeśli to...?

W tym momencie oślepił go błysk flesza i dopiero dzień później przypomniał mu się, jaka myśl go wtedy naszła.

- Nisse Lundman - przedstawił się fotograf. - Pomyślałem, że zrobię parę zdjęć, jak tak siedzicie i gadacie, jeśli to okej?

- Tak, okej - powiedział Göran Persson i mrugnął do Barbarottiego. - No więc, dlaczego ten psychopata pisze właśnie do pana?

- Psychopata? - powtórzył Barbarotti.

- Nie czepiajmy się słówek - odrzekł Persson.

- Nie wiem - odpowiedział Barbarotti.

- Jest pan pewien? Czy po prostu próbuje pan ukryć przede mną informacje?

Inspektor Barbarotti nie odpowiedział. Żuł suchary i wyglądał przez okno. Fotograf zrobił parę zdjęć.

- W porządku - powiedział Göran Persson. - Ale nie upubliczniliście tych informacji. Mam na myśli informacje o listach, w których były ostrzeżenia. Będę dzisiaj rozmawiał z kilkoma krewnymi

ofiar. Przynajmniej posłuchamy co oni mają do powiedzenia.

- Oczywiście, proszę ich wysłuchać - odpowiedział Barbarotti.
- A ten trzeci facet, Hans Andersson... Jego jeszcze nie znaleźliście?
- Nie - odparł Barbarotti. - Ale obiecuję, że zadzwonimy do pana, gdy tylko go znajdziemy, tak że może pan już zacząć męczyć jego krewnych i przyjaciół, nie ma problemu.
- Nie bądźmy tacy złośliwi - zaproponował reporter, a spod jego wargi znowu wysunął się kawałek snusu. - Może pojedziemy na komendę?
- Muszę najpierw zadzwonić - powiedział Barbarotti.
- A ja pójdę się odlać - poinformował Göran Persson. - Mają tu gównianą kawę.

Jonnerblad odpowiedział po pół sygnału. Barbarotti przedstawiał sytuację przez około pół minuty.

- Diabli nadali - powiedział Jonnerblad.
 - Można tak powiedzieć - skomentował Barbarotti. - To co robimy?
 - A mamy wybór? - zapytał retorycznie Jonnerblad.
 - Raczej nie.
- Jonnerblad siedział przez chwilę cicho.
- Dobra - powiedział w końcu. - Przywieź go na komendę, a tam ja go przejmę. Będę za kwadrans.
 - Okej - mruknął Gunnar Barbarotti. - Tymczasem spróbuję nie obciąć mu uszu.
 - Jest aż tak okropnie? - zapytał Jonnerblad.
 - Sam zobaczysz - odpowiedział Barbarotti.

Dziesięć po jedenastej inspektor Barbarotti dostarczył reportera „Expressen”, Görana Perssona, do pokoju Jonnerblada na trzecim piętrze w budynku komendy. Komisarz Tallin też był na miejscu,

więc uznano, że nie ma potrzeby, by w spotkaniu brał udział Barbarotti.

Za co ten ostatni był bardzo wdzięczny. Pospiesznie opuścił budynek, wsiadł do samochodu i zaczął jechać w kierunku domu. Wspomnienie reportera Perssona pulsowało w jego głowie jak ból zęba. Stwierdził, że jeśli zamysłem Boga rzeczywiście było przeznaczenie siódmego dnia na regenerację sił i rekreację, to akurat ta niedziela nie zaczęła się najlepiej.

Jeśli zamysłem Boga było, żeby ludzie czytali gazety, to następnym razem, gdy będzie na linii, trzeba z nim o tym poważnie porozmawiać.

Kiedy skręcił w Baldersgatan, pomyślał, że właściwie nie chce wracać do domu. Obiektywnie rzecz biorąc, był przepiękny sierpniowy dzień, dlaczego więc miałby zamykać się w swoim posepnym trzypokojowym mieszkaniu w nastroju rosnącej frustracji i czekać na śmierć? Nie ma najmniejszego powodu. Muszą być sensowniejsze metody spędzania czasu. Znacznie sensowniejsze.

Tak oto myślał inspektor Barbarotti, przejeżdżając wolno obok swojego bloku z popękaną elewacją w słomkowym kolorze moczu, a zanim dojechał do świateł na skrzyżowaniu z Drottningatan, do głowy przyszedł mu Axel Wallman.

Wyjął komórkę i wybrał numer.

Axel Wallman był na wcześniejszej emeryturze i mieszkał w starym domku letniskowym w północnej części Kymlinge. Nie zawsze był emerytem. Trzydzieści lat temu chodził z Gunnarem Barbarottim do jednej klasy w szkole średniej i miał najlepsze w szkole oceny na świadectwie maturalnym - piątki ze wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem wf-u, gdzie zadowolili się wpisem: „zwolniony” - i wrócono mu błyskotliwą karierę naukową. Pod względem społecznym był jednak człowiekiem nieprzystępnym, odwróconym do innych plecami, trudnym do rozgryzienia, takim samotnym wilkiem. W szkole

średniej Barbarotti nie miał z nim za wiele kontaktu, mimo że przez wszystkie lata szkolne chodzili do tej samej klasy; bliżej poznali się podczas studiów w Lund.

Tam pewnie też by się z nim nie zaprzyjaźnił z własnej inicjatywy, gdyby nie to, że przypadkiem trafili do tej samej kwatery. Przez trzy lata mieszkali razem w dwupokojowym mieszkaniu przy Prennegatan. Barbarotti studiował prawo, Wallman - lingwistykę. I ileś różnych filologii. Podstawą były łacina i greka - to jasne - do tego kilka języków słowiańskich, a galerię kończył język fiński, a dokładniej mówiąc, ugrofiński. Wkrótce obronił pracę doktorską z gramatyki komparatywnej na temat użycia przypadku lokalizacji zewnętrznej* w językach wepskim, maryjskim i wotyckim; dzieło to Barbarotti nadal ma gdzieś w swojej bibliotece, z porozcinanymi kartkami, jednak nieprzeczytane.

* W językach ugrofińskich to rodzaj kategorii gramatycznej, przez którą odmieniają się m.in. rzeczowniki. Określa on relację miejsca w stosunku do desygnatu.

Ale w tym czasie on już oczywiście zakończył studia prawnicze. Ukończył Wyższą Szkołę Policijną i został śledczym. Założył rodzinę. Barbarotti wiedział, że z Wallmanem ciężko się współpracowało; był to ewidentny materiał na naukowca, ale nie na nauczyciela. W akademickiej wylęgarni talentów sytuacja ostatnimi czasy jednak się zmieniła; kiedyś można się było w niej bezpiecznie schować jak w pancerzu, swoistym ochronnym warsztacie naukowym dla introwertycznych geniuszy, ale pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku w Szwecji zmieniono zasady i zaczęto od wszystkich naukowców wymagać pracy dydaktycznej.

Szczególnie gdy chodzi o języki obce, które traktuje się przecież jak narzędzie komunikacji międzyludzkiej.

I na tym Wallman poległ. Co prawda najpierw dostał stanowisko lektora na uniwersytecie w Kopenhadze, potem przeniesiono go do Århus, potem do Umeå, następnie do Uppsali, a dalej do Åbo; cała

ta kariera pozioma oblamowana była długotrwałymi zwolnieniami lekarskimi i - tak się przynajmniej Barbarottiemu wydaje - nieustannymi konfliktami z kolegami i ze studentami, a nawet kilkoma skandalami. W tym czasie, czyli od 1985 do 2000 roku, Wallman zniknął z jego pola widzenia, a kiedy całkiem przypadkiem wpadli na siebie tuż po przełomie wieku, były geniusz był już odsiany z akademickiej maszyny i wyrzucony na śmietnik.

Tak to właśnie określił.

Ale - to również jego własne słowa - to nie on, lecz atramentowi zasrańcy mają czego żałować.

- Władam biegle dwudziestoma i jednym językiem, a te raz mogą tego słuchać tylko Saarikoski i ptaki.

Saarikoski był psem Wallmana, siedemdziesięciokilogramowym, pokojowo nastawionym do życia leonbergerem, który według jego pana był reinkarnacją tego właśnie poety. Ptaki spotykał, wędrując z Saarikoskim po lasach wokół domku. Albo kiedy siedział na wklęsłej werandzie w pobliżu jeziora, rozmyślał i pił piwo.

Albo gdy pisał coś, wszystko jedno co. Potem odbudowali kontakty - miało to oczywiście związek z rozwojem kariery rozwodnika u Barbarottiego - i spotykali się tak mniej więcej raz do roku; łącznie co najwyżej cztery czy pięć razy, więc wiele rzeczy dotyczących Axela Wallmana nadal pozostawało niewyjaśnionych.

Nigdy nie podnosił słuchawki przy pierwszej próbie połączenia; dopiero przy drugiej odbierał telefon. Ale nic nie mówił, istniała bowiem żelazna zasada: jeśli ktoś coś od niego chciał, to niech wykona pierwszy ruch na szachownicy. Na przykład niech się przedstawi.

Gunnar Barbarotti tak właśnie zrobił.

- Mówi Barbarotti. Pomyślałem, że wpadnę do ciebie. Miałem beznadziejny poranek i potrzebuję spędzić popołudnie w towarzystwie inteligentnego człowieka.

- Zapytam Saarikoskiego, czy jest wolny - powiedział kwaśno Axel Wallman.

Najwyraźniej był wolny. Wallman powiedział, że pan śledczy będzie mile widziany, o ile nie będzie za bardzo hałasował i przywiezie ze sobą zaopatrzenie. Barbarotti obiecał, że wszystko załatwi i pojawi się za jakąś godzinę.

Działka wokół domku Axela Wallmana wyglądała prawie tak samo jak twarz właściciela: dziko zarośnięta i nieregularna; kilkunastu zarost i pokrzywy; stopy starych gratów i wymaltretowane krosty; zakrwawiony plaster wskazujący, że próbował się ogolić jakoś w tym miesiącu, i stopy desek pod pokrowcem, które przypuszczalnie oznaczały, że ktoś miał zamiar przeprowadzić jakiś remont w ostatnim dziesięcioleciu.

Choć prawdopodobnie nie Wallman. Włosy były siwe, przerzedzone i zwisające do ramion; ubrany był w brudny, zielonkawy podkoszulek, stary niebieski garnitur i czarne półbuty bez skarpetek. Na ten widok Barbarotti pomyślał, że przeciętny świadek oceniłby jego wiek na ponad sześćdziesiąt lat, podczas gdy w rzeczywistości nie miał jeszcze pięćdziesiątki, zresztą tak jak on.

Jeśli, jak twierdził Wallman, rzeczywiście istniał akademicki śmietnik, to mógłby bez wątpienia przedstawiać właśnie taki widok.

Dokładnie jak tu. Nadal jednak było widać trochę jeziora, zauważył Gunnar Barbarotti, choć świeże pędy pokrzyw, olch, osiki i brzozy podrosły jakies pół metra w stosunku do ubiegłego roku.

Axel Wallman siedział - jak rok temu - w plastikowym fotelu na werandzie. Stojący obok stół był zavalony czym tylko się dało: książkami, starymi gazetami, długopisami, notatnikami, tytoniem, zapalkami, lampą naftową i pustymi puszkami po piwie. Nie poruszył się, kiedy zobaczył Barbarottiego, ale podniósł wzrok, a Saarikoski, który leżał w cieniu u jego stóp, zdobył się na dwa machnięcia ogonem.

- Cześć, Axel - powiedział Barbarotti. - Dzięki, że mogłem cię odwiedzić.

- Widmo krąży po dziejach - odpowiedział Axel Wallman. - Widmo feminizmu.

- Święta prawda - przyznał Barbarotti i postawił na podłodze siatki z zakupami. W jednej było piwo, a w drugiej makaron i składniki na sos z mielonego mięsa.

- Mam czterdzieści siedem lat i jestem prawnikiem - powiedział Axel Wallman. - Czy to cię interesuje?

- Nie - odpowiedział Barbarotti. - Szczerze mówiąc, nie.

- Saarikoski też ma to gdzieś - stwierdził Axel Wallman ponuro i zażółconymi od nikotyny palcami zaczął skręcać sobie papierosa. - No, ale on był wykastrowany już wówczas, gdy go brałem do siebie. Co możesz mi opowiedzieć o współczesnym świecie? Czy w tej torbie jest piwo?

Gunnar Barbarotti odsunął parę sztuk odzieży z drugiego plastikowego fotela i usiadł. Podał puszkę piwa gospodarzowi, a drugą otworzył sobie. Spojrzał na jezioro i pomyślał, że gdyby Axel Wallman pewnego dnia umarł w tym fotelu, to nikt by tego nawet nie zauważył; przyroda nadal zjadałaby i jego, i dom; Saarikoski pewnie leżałby dalej na podłodze, aż by wyzionął ducha u stóp swojego pana i obaj zostaliby pochowani tak samo.

W zieleni i zapomnieniu. Może to wcale nie taki głupi koniec.

Ale przecież nie przyjechał tu, żeby dyskutować o kruchości i marności życia. A przynajmniej tak mu się zdawało; prawdziwego powodu nadal nie był pewien, po prostu przyszedł mu na myśl stary towarzysz niedoli i nabrał ochoty, żeby się z nim spotkać; inny powód chyba nie był potrzebny. Nie w taki piękny sierpniowy dzień jak ten.

Wypili kilka łyków piwa i siedzieli dłuższą chwilę bez słowa.

- Co myślisz o mordercy, który pisze listy do policji i za powiada, kogo zamierza zamordować? - zapytał Gunnar Barbarotti.

Nie było powodu, żeby dać Axelowi Wallmanowi szansę na wybór tematu rozmowy. Można wtedy łatwo wpaść w kompletnie niezrozumiałe meandry. Formy czasowników francuskich u Strindberga albo kody szyfrów z drugiej wojny światowej.

- Tak wygląda współczesność? - zapytał Axel Wallman. - Że mordercy piszą listy?

- Chwilowo tak - odparł Gunnar Barbarotti.

- A potem rzeczywiście ich morduje? Nie tylko pisze?

- Rzeczywiście ich morduje.

- Nigdy nie przepadałem za współczesnością - odrzekł Axel Wallman i zapalił wymiętoszonego papierosa. - Czy to samiec, czy samica?

- Wydaje mi się, że samiec - odpowiedział Barbarotti.

- To dobrze - stwierdził Axel Wallman. - Na samicach się nie znam, już mówiłem. Wydaje mi się, że z gruntu rzeczy nie da się ich zrozumieć. Ale jeśli pokażesz mi te wiadomości od mordercy, to mogę dokonać analizy lingwistycznej.

- Nie mam ich ze sobą - wyjaśnił Gunnar Barbarotti.

- Nie masz ich ze sobą? No to po cholere o nich mówisz i marnujesz mój cenny czas?

- Przywiozłem piwo i jedzenie - bronił się Barbarotti. - Poza tym znam je na pamięć.

- Nigdy nie umiałeś się niczego nauczyć na pamięć - mruknął Axel Wallman. - Ale dobra, gadaj.

Inspektor Barbarotti wypił łyk piwa, pomyślał przez chwilę i wyrecytował z pamięci wszystkie trzy wiadomości, które przysłał mu morderca. Axel Wallman siedział bez słowa i drapał się po brodzie.

- Jeszcze raz.

Barbarotti nie był pewien, czy było to potrzebne do analizy, czy też Wallman chciał po prostu sprawdzić jego pamięć. Odchrząknął i powtórzył. Kiedy skończył, Wallman odchylił się do tyłu z zadowoloną miną.

- Oceniam, że mamy do czynienia z trzydziestoosmioletnim mężczyzną ze Smalandii.

- Co?

- Trzydziestoosmioletni Smalandczyk - powtórzył Axel Wallman i beknął. - Ze słuchem też masz problemy?

- Trzydziestoosmioletni Smalandczyk? Jak, do cholery, możesz to wiedzieć?

- Nie wiem - stwierdził Axel Wallman. - Nic nie wiem. To jedyna hipoteza dotycząca tych tekstów, jaką można postawić z perspektywy lingwistycznej. Jakich ludzi morduje?

- Mieszkanę - powiedział Barbarotti. - Ale wróćmy do analizy. Na czym ją opierasz?

- Na wyrażeniu „też mnie” - odparł Axel Wallman. - Wprawdzie ta forma się coraz bardziej rozpowszechnia, ale najpierw używano jej właśnie na południu Szwecji, choć nie w Skanii.

- Robisz sobie ze mnie jaja - rzekł Barbarotti.

- Niewykluczone - powiedział Wallman. - Jak by nie patrzeć, odciski palców są na pewno bezpieczniejszą metodą zwalczania przestępczości niż zasady kultury języka. Ale może też być tak, że to morderca robi sobie z ciebie jaja. Może jest z północy kraju, ale chce, żebyś myślał, że jest ze Smalandii.

- Hmm - mruknął Gunnar Barbarotti. - A skąd wiesz, że ma trzydzieści osiem lat.

- Przeciętny mężczyzna w tym kraju ma trzydzieści dziewięć lat - powiedział Axel Wallman. - Odjąłem mu rok, bo przestępcy zwykle są trochę młodszy niż przeciętna. Chodzi o poziom testosteronu.

Zgasił papierosa i zaczął chichotać. Gunnar Barbarotti oparł się wygodnie w fotelu i patrzył na niego. Axel Wallman nigdy nie śmiał się zbyt często, ale kiedy już się śmiał, brzmiało to jak śmiech nastoletniej dziewczynki, tchnienie radości wypuszczane krótkimi falami

przez lekko rozszerzone dziurki w nosie. Z uwagi na wygląd i ogólne zachowanie Wallmana robiło to dość dziwaczne wrażenie.

On nie jest całkiem normalny, pomyślał Gunnar Barbarotti. Ja też nie. Dlaczego siedzę w towarzystwie Axela Wallmana i plotę o dochodzeniu? Przecież przyjechałem tu, żeby się oderwać od pracy. Nie, teraz pogadamy o czymś całkiem innym.

- Twoje zdrowie, Axel! - Inspektor wznosił swoją puszkę. - Olewamy moje problemy. Powiedz lepiej, czym ty się ostatnio zajmujesz?

Axel Wallman wypił łyk piwa i zdobył się na kolejne beknęcie. Zaczął robić kolejnego skręta i wydawał się myśleć intensywnie.

- Hallandczyk - powiedział. - Możliwe, że pochodzi z Hallandu. O co pytałeś?

- Czym ty się zajmujesz?

- Zajmujesz to za dużo powiedziane - powiedział Axel Wallman. - Nie wiem, czy to dobre określenie tego, co aktualnie robię, ale tłumaczę wiersze Barina. Chcesz posłuchać?

Barbarotti zdjął buty i skinął głową.

- Dlaczego nie.

Axel Wallman wziął do ręki kołonotatnik, kartkował go przez chwilę, odkaszlnął ślinę i splunął długą salwą ponad poręcz werandy.

- Ten - powiedział i przekształcił się nagle w małego chłopca, który zamierza powiedzieć zagadkę na przyjęciu dla dzieci. - Nie jest takie głupie, cholera wie, może nawet lepsze od oryginału. Będę chyba musiał je zepsuć w paru miejscach; podczas tłumaczenia trzeba pamiętać, żeby nie poprawiać oryginału, nie wszyscy hołdują tej zasadzie, ale ja tak robię... no, podejrzewam, że nie masz większych szans, żeby to zrozumieć, ale jednak chcę...

- Czytaj wreszcie, Axel - przerwał mu Barbarotti. - Skończ te preludia i analizy, zamieniam się w słuch.

- Dobra, przekłety kretynie - powiedział Axel Wallman. - Słuchaj uważnie, bo to wielka poezja.

Wypił jeszcze jeden łyk piwa, podrapał Saarikoskiego pod brodą i zaczął czytać.

Ukochana, jesteś tłustym bobaskiem, który wpadł w błoto,
gdy nadeszła wojna,
jesteś odciskiem stopy żołnierza na podłodze obok
pszeniczno-złotego warkocza trzynastoletniej dziewczynki,
jesteś solą w solniczce, którą matka dziewczynki niosła
w kieszeni swetra tego dnia, kiedy wrzucono ją do
masowego grobu po drugiej stronie góry,
miejsca, którego już nikt nie odwiedza - ale nie jesteś wodą
szemrzącą w pobliskim strumieniu
ani ptakiem śpiewającym o zmierzchu,
ani miłym cieniem zielonego zagajnika.
Tak to jest, ukochana, i inaczej być nie mogło.

Zamyślony, kiwnął kilka razy głową, a potem zamknął notatnik. Gunnar Barbarotti dopił swoje piwo i zamknął oczy. Nadleciała brzęcząca mucha i usiadła na jego nadgarstku.

Co ja tu robię? - po raz kolejny zadał sobie to pytanie. Jak to się stało, że spędzam jedną z niedziel mojego czterdziestego ósmego roku życia właśnie w tym towarzystwie?

Uznał, że to pytanie jest przerażające i w najwyższym stopniu zasadne, więc przez dłuższą chwilę szukał jakiejś jednoznacznej odpowiedzi. Bezskutecznie. Następnie Axel Wallman powiedział, że poczuł inspirację, czytając swojemu staremu koledze tak cholernie dobry wiersz, i dlatego chciałby przeczytać jeszcze z tuzin.

Barbarotti nie miał nic przeciwko i tak zleciało całe popołudnie. Axel Wallman czytał swoje tłumaczenia późnych wierszy Michaiła Barina, czasem jasnych jak słońce, czasem ciemnych i zawitych; pili piwo, zrobili makaron z sosem z mielonego mięsa, wykapali się w

jeziorze, a kiedy nadszedł wieczór, Gunnar Barbarotti uznał, że poziom alkoholu we krwi przekracza dopuszczalną granicę, co oznacza, że musi zostać na noc.

Gospodarz nie protestował. O jedenastej Axel Wallman ogłosił, że dostał, ile mu się należało, z tej zapomnianej przez Boga niedzieli, przeczytał krótki i płomienny, choć kompletnie niezrozumiały apel o wolność poezji w języku węgierskim, zabrał ze sobą Saarikoskiego i poszedł spać. Barbarotti rozbił swój samotny obóz na skórzanej kanapie, używając koca i poduszki, które cuchnęły pleśnią i dymem tytoniowym. Ponownie przypomniało mu się pytanie z Księgi Koheleta - „jeden natomiast jakże się zagrzeje?” - leżał tak kilka minut i próbował sformułować adekwatną modlitwę do chwilowo istniejącego Boga.

Ale właściwe słowa nie chciały przyjść, więc w końcu zasnął z poczuciem, że znajduje się bardzo daleko.

Od Marianne, od swoich dzieci, od mordercy, który próbował się z nim komunikować z powodów, o których nie miał pojęcia - i setki kilometrów od siebie samego.

17.

Czarny poniedziałek rozpoczął się od kilku przelotnych ulew i silnych podmuchów wiatru z południowego zachodu. Gunnar Barbarotti opuścił domek Axela Wallmana tuż po ósmej rano w poczuciu, że zaczęła się jesień, a na dodatek po przejechaniu zaledwie dwóch kilometrów oderwało się pióro wycieraczki od strony kierowcy. Zakręciło się w powietrzu jak niedokończona myśl i w ciągu dosłownie kilku sekund zniknęło w głębokiej trawie porastającej przydrożny nasyp. Zatrzymał się na stacji benzynowej Statoil w Kerranshede i

kupił nowe wycieraczki, które z pewnymi trudnościami udało mu się zamontować. Mimo obietnicy danej Goranowi Perssonowi nie omieszkał również wraz z kawą kupić „Expressen”; później siedział w samochodzie, wokół którego szalał deszcz i wiatr, i przeczytał wszystko, co ta gwiazda reportażu miała do powiedzenia na temat morderstwa Erika Bergmana i Anny Eriksson.

I na temat listów.

I na temat niedociągnięć w pracy policji.

Rzeczywiście, zgodnie z zapowiedzią „Największa w tym dziesięcioleciu zagadka morderstwa” oraz „Piszący listy morderca z Kymlinge” dostały cztery strony - dwie pełne rozkładówki - których nagłówki opatrzone na wszelki wypadek słowem „EKSTRA” wydrukowanym białymi literami na czarnym pasku, żeby żadnemu czytelnikowi nie udało się przypadkiem nie zauważyć rangi tej historii.

Bogaty materiał zdjęciowy: mniejsza fotografia prowadzącego śledztwo Jonnerblada; dwa razy większa przedstawiająca inspektora Barbarottiego - przypominającego pacjenta siedzącego w poczekalni u doktora, który ma zdiagnozować przyczynę jego niestrawności; zdjęcie lotnicze Kymlinge, na którym szkolnym sposobem zaznaczono białymi krzyżykami miejsca znalezienia ofiar; oraz kilka sfingowanych zdjęć listów - wszystkich trzech. Tekst mordercy oddano *in extenso*, ale w podpisach zaznaczono uczciwie, że nie były to zdjęcia oryginalnych listów, ponieważ policja, dla dobra śledztwa, odmówiła ich okazania. „Expressen” była, jak zawsze, narzędziem w służbie prawdy i prawa do informacji. Ponadto, na samej górze na stronie ósmej, widniało zdjęcie dwóch kobiet w średnim wieku niosących siatki z zakupami; wprawdzie nie miały one nic wspólnego z morderstwami, a wręcz przeciwnie, w krótkim opisie do zdjęcia napisano bowiem, że reprezentowały zwykłych, uczciwych mieszkańców miasta, ale na pytanie reportera, czy się nie boją, obie zapewniły,

że oczywiście są śmiertelnie przerażone. „Człowiek prawie nie ma odwagi wychodzić z domu”. Na kolejne pytanie, dotyczące zaufania do policji, odpowiedziały mniej więcej, że już najwyższy czas, by siły porządkowe pokazały, na co je stać.

W najdłuższym fragmencie tekstu przedstawiono mordercę jako szczególnie przebiegłego psychopatę i zacytowano wypowiedzi Jonnerblada, prokuratora Sylveniusa oraz Barbarottiego. Barbarotti nie rozpoznał ani jednego słowa z cytatu, który mu przypisano, i nie mógł uwierzyć, by Jonnerblad rzeczywiście przysięgał - na honor policjanta - że sprawca zostanie schwytyany w ciągu kilku dni, co najwyższej tygodnia.

Ale najgorszy - najgorszy z najgorszych - był tytuł widniejący nad jego twarzą na zdjęciu „pacjenta z niestrawnością w poczekalni u lekarza”.

„Zamieszany?”.

Zamieszany? - pomyślał Gunnar Barbarotti. Co ten dupek sobie myśli? Jaki znowu zamieszany? Przecież jeśli napiszę list do matki papieża, to nie znaczy, że ona jest w coś „zamieszana”.

Wlał w siebie resztki kawy i odrzucił gazetę pełnym irytacji uderzeniem z bekhendu. Sekundę później zadzwonił Asunander. Odgłosy w słuchawce przypominały skacowaną kruszarkę do kamieni.

- Już jadę - zakomunikował inspektor Barbarotti. - Będę za dwadzieścia minut.

- Wrr tss - odparł komisarz, a Barbarotti zastanawiał się przez pozostałą drogę do Kymlinge, co tamten chciał powiedzieć.

- Kto - warczał komisarz Asunander - ...do kurwy nędzy... sprzedał... informacje... temu pieprzonemu... pismakowi?

Jak na Asunandera było to sensacyjnie długie i kompletne zdanie, a po jego wybrzmieniu wokół stołu nastąpiła równie wymowna cisza. Barbarotti zrozumiał, że w tej chwili ta sama myśl kołatała się

w głowach każdej z dwunastu zebranych tam osób. Na odprawę wezwano nawet czterech asystentów, którzy byli najbardziej zaangażowani w czynności śledcze.

„Ktoś z nas? Czy to możliwe, że to ktoś z nas?”

A może ta myśl przebiegała w istocie rzeczy tylko przez jedenaście głów? - pomyślał. No bo jeśli rzeczywiście jedno z tej dwunastki postanowiło skorzystać z szansy dorobienia paru groszy, przekazując prasie poufne informacje, to w głowie tej osoby w ciągu tych kilku wiejących lodem i groźbą sekund powinna się oczywiście pojawić całkiem inna myśl. Na przykład „Widać po mnie?” albo może „Ha, ha, nigdy mnie nie dorwiecie, przedpotopowe wypierdki!”.

Choć ta ostatnia kwestia mogła się chyba pojawić wyłącznie w biednej głowie samego Barbarottiego.

Ten dzień też chyba nie jest dla mnie najlepszy - przemknęło mu przez głowę, kiedy Jonnerblad przerwał panującą ciszę:

- Oprócz siedzących przy tym stole mamy do wyboru jeszcze z dziesięć możliwych nazwisk - stwierdził.

Asunander zamruczał coś, ale nikt go nie zrozumiał.

- Dokładnie - kontynuował Jonnerblad. - I, niestety, to zaczyna być normą w dzisiejszych czasach. W całym kraju, nie tylko w Kymlinge. Kadra policyjna przecieka jak sito i chciałbym tutaj skierować ostrzeżenie do wszystkich obecnych, z prośbą o przekazanie dalej. Jeśli to się powtórzy, jeśli nadal do prasy będą wyciekały informacje, informacje, co do których nie było zgody na upublicznianie, to poproszę o przysłanie człowieka z działu kontroli wewnętrznej ze Sztokholmu. To zastępca komendanta Wickman. Byli tacy, którzy po kilku dniach rozmów z tym facetem wieszali się.

Zrobił krótką przerwę, a wtedy, jakby się umówili, głos zabrał Tallin:

- Na drugą zwołaliśmy konferencję prasową. Oprócz tego, co zostanie powiedziane w jej trakcie, od tej pory tylko zastępca

komendanta Jonnerblad i ja będziemy rozmawiać z prasą. Prawdopodobnie do każdego z was będą dzwonić jacyś dziennikarze. Wszystkich odsyłajcie do Jonnerblada albo do mnie. Dla dobra śledztwa.

- Czy ktoś czegoś w tym względzie nie zrozumiał? - za pytał Jonnerblad.

Ponieważ pytanie zostało sformułowane w ten pokrętny sposób, w odpowiedzi niektórzy twardo potakiwali, a inni równie uporczywie kręcili przecząco głowami; Gunnar Barbarotti przypomniał sobie nagle, że podobnie czuł się lata temu, kiedy grywał w szkolnej drużynie piłkarskiej i po pierwszej połowie jakiegoś meczu trener dawał im w szatni ochrzan, bo do przerwy udało im się stracić cztery bramki, nie wbijając ani jednej.

Boys will always be boys, pomyślał, rzucając okiem na Evę Backman, jedyną kobietę w tym zgromadzeniu. Przebywanie w stadzie ciągle na nowo dojrzewających samców, dzień za dniem, nie może być specjalnie sympatyczne. Ani trochę sympatyczne.

A w domu czekało na nią kolejnych czterech facetów, ciągnął myśl dalej. Mąż grający w unihokeja i trzech nastoletnich synów grających w unihokeja. Z wyjątkiem okresu urlopowego, oczywiście. Musi to w każdym razie oznaczać, że ona...

- Barbarotti - powiedział Jonnerblad i przerwał tę analizę różnic rodzajowych - po przeczytaniu dzisiejszej „Expressen” wydaje mi się, że szczególnie twoja rola będzie bardzo problematyczna.

- Dlaczego? - dopytywał Barbarotti.

- Będziesz najbardziej nękany, o to mi chodzi.

- *No problem* - oznajmił Barbarotti. - Wyłączę telefon i przeniosę się do hotelu.

- To nie jest dobry pomysł - stwierdził Astor Nilsson. - Pamiętaj, że musisz codziennie jeździć do domu i przeszukiwać pocztę.

- Może nadszedł czas, żeby pogadać z urzędem pocztowym - zaproponował Tallin.

- Z urzędem pocztowym? - zdziwił się Astor Nilsson. - To jest jeszcze coś takiego? Wydawało mi się...

Ale Tallin miał w nosie to, co się Astorowi Nilssonowi wydawało na temat poczty.

- Jeśli morderca nadal będzie pisał listy - powiedział - może moglibyśmy przejmować korespondencję dwanaście godzin wcześniej. Co oczywiście oznaczałoby, że będziemy mieli jeszcze więcej domniemanych źródeł przecieku...

- Możemy też spodziewać się niejednego fałszywego autora listów - wtrąciła Eva Backman. - Prawda?

- Prawdopodobnie tak - mruknął Jonnerblad i właśnie w tym momencie inspektor Barbarotti uświadomił sobie, kim był informator „Expressen”.

Podczas dalszej wymiany zdań rozważał swoją wersję, rozumiejąc, że można wobec niej wnieść całą masę uzasadnionych zastrzeżeń, ale w jakimś płodnym zwoju jego pozbawionego struktury mózgu dojrzywała pewność, że ma rację. Tak musi być.

- Przepraszam - powiedział. - Właśnie wpadłem na to, kto jest informatorem.

- Kto? - zapytał Jonnerblad.

- Co, do cholery? - warknął Asunander.

- To proste - oznajmił Barbarotti. - I nie rzuca cienia na nikogo z tu zgromadzonych. Informatorem jest morderca.

- Co? - powtórzył Jonnerblad.

- Jak...? - zdziwiła się Eva Backman.

- Nie, chyba czegoś tu nie rozumiem - powiedział komisarz Tallin.

- To morderca skontaktował się z prasą - tłumaczył Gunnar Barbarotti wolno i z wyczuwalną, specyficzną satysfakcją, jaką ma ślepa kura, kiedy wreszcie znajdzie jakieś ziarno.

Przez dziesięć sekund nikt nic nie mówił. Komisarz Tallin podniósł prawą dłoń, a potem ją opuścił. Jonnerblad pstryknął długopisem, a Asunander sztuczną szczęką.

- To nie jest możliwe - zaprotestował ostrożnie zacerwieniony aspirant Olsen.

- Jest, jak najbardziej - powiedział Astor Nilsson. - Barbarotti ma rację. To na bank był on! To pasuje do reszty jak brakujący fragment układanki, nie widzicie tego?

Po prawie piętnastominutowej, mniej lub bardziej burzliwej, debacie okazało się, że nieznaczna większość zgromadzonych widziała.

Faktycznie.

Uznała, że jak najbardziej mogło być właśnie tak, jak powiedział inspektor Barbarotti.

Że to morderca skontaktował się z „Expressen”.

Żeby złamać dotychczasowe milczenie policji dotyczące listów z nazwiskami osób, które w najbliższym czasie miały stracić życie. Że - z jakiegoś powodu - nie odpowiadało mu to, iż policja trzymała tę informację w tajemnicy. Że chciał, by mówiły o tym wszystkie media, a nie tylko policjanci na komendzie w Kymlinge.

- Masz rację, niech to szlag - powiedziała inspektor Backman. - Gratuluję, Gunnar.

- Temu skurczysynowi zależy na maksymalnym rozgłosie - podsumował Astor Nilsson. - Policja, prasa i wszyscy święci.

Eva Backman kiwnęła głową. Barbarotti skinął głową. Komisarz Tallin też skinął ostrożnie głową, rzucając wcześniej spojrzenie na Tonnerblada. Była to pod wieloma względami zadziwiająca konkluzja - ale wcale nie nielogiczna.

Jeśli uwierzyć opinii nieznacznej większości.

A towarzyszyła temu myśl - natrętna jak mucha - że w istocie rzeczy to właśnie ten sprawca, działający od początku niezwykle konsekwentnie i z zimną krwią, sterował całą pracą dochodzeniową.

Przez resztę przedpołudnia inspektor Barbarotti siedział w swoim pokoju i telefonował. Umawiał się na spotkania z ludźmi w ten lub inny sposób powiązani z Erikiem Bergmanem i Anną Eriksson, których dotychczas nie udało się porządnie przesłuchać, a piętnaście po dwunastej udał się - zgodnie z rozkazem - do domu, żeby sprawdzić dzisiejszy plon pocztowy.

Ponad połowa chodnika w korytarzu była zasypana przesyłkami, a jednak zobaczył ją od razu.

Jasnoniebieska podłużna koperta, dokładnie taka sama jak poprzednim razem. Jego nazwisko i adres napisane drukowanymi literami jak poprzednio, nieco koślawymi, spiczasto zakończonymi wersalikami. Kod pocztowy i nazwa miejscowości Kymlinge podkreślone pojedynczą kreską.

Znaczek z tej samej serii, z motywem statku.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę, a potem założył cienkie rękawiczki, rozciął kopertę nożem kuchennym, rozłożył kartkę papieru i przeczytał wiadomość:

MOŻESZ WYCOFAĆ OCHRONĘ HANSA ANDERSSONA.
JESZCZE POŻYJE. ZAMIAST NIEGO ZABIJĘ HENRIKA I
KATARINĘ MALMGRENÓW. NIE PRZESZKODZISZ MI,
PRAWDA?

Przeczytał tekst dwukrotnie, jednocześnie próbując otrząsnąć się z poczucia nierzeczywistości. Myśl, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że to jakiś absurd, teatralny kryminał, pulsowała w jego skroniach jak zły sen.

Henrik i Katarina Malmgrenowie?

Dwoje? Tym razem zamierzał zabić dwie osoby?

Barbarotti włożył list z powrotem do koperty. Zadał sobie pytanie, dlaczego w ogóle ją otworzył; obiecał Jonnerbladowi niezwłocznie przekazywać mu wszelkie przyszłe wiadomości od mordercy w stanie nienaruszonym i w zaplombowanej torebce.

Złamał to przyrzeczenie, nie wahając się ani przez moment. To było... to musi chodzić o te odczucia chłopca grającego w piłkę w szkolnej drużynie; uczucie, że jest się zdany na łaskę i niełaskę mizernie utalentowanego kapitana drużyny. Gunnar Barbarotti nie lubił, gdy ludzie mu mówili, co ma robić - zawsze tak było. Prawdopodobnie właśnie z tego prostego powodu ciągle nie mógł awansować na komisarza i był nadal inspektorem kryminalnym... taka jest prawda. To plus brak prawdziwych ambicji, to jasne; tak czy owak, dostanie niezły opieprz za to, że otworzył list i go przeczytał przed przekazaniem do rąk osoby upoważnionej.

So what? - pomyślał Barbarotti, znalazł torebkę foliową i wrzucił do niej jasnoniebieską kopertę. I tak chce zmienić pracę i przenieść się do Helsingborga, a poza tym sam otwieram listy zaadresowane do mnie. Gwarantują mi to prawa człowieka.

Zdjął rękawiczki i zaplombował torebkę za pomocą gumki. Wybrał numer komórki Jonnerblada.

- Jem lunch - usłyszał, gdy tamten odebrał. - Czy to pilne?
- W mojej ocenie pilne - powiedział Barbarotti.
- Aha? - zapytał Jonnerblad.
- Właśnie dostałem kolejny list. Pisz, że ma w dupie Hansa Anderssona. Teraz będzie uśmiercał Henrika i Katarinę Malmgrenów.

- Otworzyłeś go?
- Zgadza się. Jest zaadresowany do mnie.
- Kurwa mać - zaklął Jonnerblad i zaczął pospiesznie przeżuwać trzymany w ustach kęs jedzenia.

Marchewka, ocenił Barbarotti. Cała albo w większych kawałkach, na pewno nie tarta.

- Dwoje, mówisz?
- Właśnie - potwierdził Barbarotti. - I oboje noszą nazwisko Malmgren.

- No dobra, przyjeżdżaj jak najszybciej - powiedział Jonnerblad. - Widzimy się u mnie w pokoju za dziesięć minut.

- Zrozumiałem.

Ale Jonnerblad jeszcze się nie rozłączył.

- Aha - dorzucił. - Na wszelki wypadek na razie nic nie mów o tym liście... To znaczy nikomu innemu, najpierw obejrzą go ja i Tallin.

- Wydawało mi się, że zgodziliśmy się co do tego, że to morderca był informatorem „Expressen”.

- Bardzo możliwe - powiedział Jonnerblad. - Ale tylko ten jeden raz. Głupio by było narażać się na niepotrzebne ryzyko, o drugiej mamy konferencję prasową. Chyba się ze mną zgodzisz, że nie powinniśmy tego dzisiaj ujawniać.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się.

- Może się zdarzyć, że Persson już został poinformowany - powiedział.

- Dobry strzał - westchnął Jonnerblad. - Tak czy inaczej, zamierzam przesłuchać Perssona po konferencji. No dobra, widzimy się za kilka minut, tak?

- Już jadę - potwierdził inspektor Barbarotti.

18.

Wbrew zapowiedzi w pokoju odpraw zebrał się kwintet zainteresowanych najnowszym ruchem mordercy na szachownicy. Oprócz Barbarottiego, Tallina i Jonnerblada był jeszcze Astor Nilsson i Eva Backman, a Gunnar Barbarotti założył, że prowadzący śledztwo zdążył przemyśleć sprawę przez te kilka minut, które minęły od zakończenia rozmowy.

Przemyśleć i dojść do wniosku, że w aktualnej sytuacji przypuszczalnie ważniejsza od poufności była siła i zasięg zdolności intelektualnych. Z zaciśniętymi zębami towarzystwo starannie analizowało

tekst listu; Astor Nilsson pierwszy zdobył się na komentarz.

- Z piekła rodem... - powiedział.
- Co masz na myśli? - zapytał Tallin.
- Chodzi mi o to, że facet to piekielnie wyczelował - odpowiedział Astor Nilsson. - Musimy tańczyć, jak nam zagra, jak... jak jakieś pchły w pieprzonym cyrku.

- Mów dalej - poprosił Jonnerblad i zaczął wycierać plamę na koszuli, która prawdopodobnie pojawiła się tam podczas lunchu.

- Chętnie - odpowiedział Astor Nilsson. - Po pierwsze, co robimy z Hansami Anderssonami? Założmy, że wycofamy ochronę, a on jednak kogoś zabije. Założmy, że opowie wszystko „Expressen”. Gdzie się wtedy znajdziemy?

- W narożniku - rzuciła Eva Backman.
- Właśnie. Morderca powiedział gliniarzom, żeby zabrali ochronę, a ci bezmózgowcy mu uwierzyli. Nie trzeba mieć specjalnie wybujałej wyobraźni, żeby...

- Dzięki, wystarczy - przerwał mu Jonnerblad. - Utrzymujemy ochronę, przynajmniej na początku. To jasne. Ale najwyższym priorytetem będzie teraz zidentyfikowanie tych... jak im tam było? Henrik i Katarina Malmgrenowie?

- Zgadza się - odparł Barbarotti.
- Jest ich dwoje i w jakiś sposób są ze sobą powiązani. Może to małżeństwo, może rodzeństwo; a ponieważ istnieje taki związek, to nie powinniśmy mieć trudności z ich odnalezieniem. Prawdopodobnie będzie tylko jedna możliwość, jak myślicie?

- Jeśli będziemy mieli szczęście - powiedział Astor Nilsson. - Nazwisko Malmgren nie jest przynajmniej tak popularne jak Andersson.

Jonnerblad spojrział na zegarek.

- Konferencja prasowa zaczyna się za pięć minut - po wiedział.

- Idziemy tam we dwóch z Tallinem, a wy możecie ją obejrzeć w telewizorze z transmisji wewnętrznej. Ale kiedy skończymy, gdzieś

za godzinę, chcę mieć tych Malmgrenów na celowniku. Jasne?

- Jak słońce - rzuciła Eva Backman. - Zejdę do Smutasa i załatwimy to bez problemu.

- Smutasa? - spytał Tallin. - Masz na myśli Borgsena?

- Jak zwał, tak zwał - odparł Barbarotti.

- Dobra - powiedział Jonnerblad, wstając. - Widzimy się tu ponownie piętnaście po trzeciej. Zwołajcie pozostałych z grupy dochodzeniowej, tych, którzy są na miejscu. Jakies pytania?

- Jedno - odrzekł Gunnar Barbarotti. - Jeśli okaże się, że któryś z dziennikarzy będzie miał informacje o nowym liście, to co zrobicie?

Jonnerblad zastanowił się przez sekundę.

- Próbuje przeczekać - wyjaśnił.

- Gra na zwłokę - dorzucił Tallin.

- Powodzenia - życzył Barbarotti.

- Przesłuchiwanie tego Görana Perssona to temat dość drażliwy - powiedział Astor Nilsson. - Pod każdym względem.

- Dlaczego? - zapytał Tallin.

- Dlatego że każde słowo natychmiast ukaże się w gazecie. Nie będzie łatwo zmusić go do milczenia, a wypytywanie o źródło informacji może skończyć się wielką kichą... jak mówią moje wnuczki.

To on ma wnuczki? - zdziwił się Barbarotti. I to w tym wieku, że mówią, że coś jest kichą?

- Mam tego świadomość - odpowiedział poirytowany Jonnerblad. - Moje mniemanie na temat reporterów z popołudniówek nie jest zbyt wielkie. Ale żeby świadomie chronili mordercę z uwagi na wzrost nakładu... nie, mam nadzieję, że tu właśnie przechodzi nieprzekraczalna granica.

Następnie opuścił pokój, a wraz z nim Tallin.

Kiedy za kolegami z Centralnego Biura Śledczego zamknęły się drzwi, Astor Nilsson odchrząknął i przez chwilę wodził spojrzeniem między Barbarottim i Backman.

- Muszę się do czegoś przyznać - powiedział. - Zaczynam niemal myśleć, że ten przypadek jest fascynujący. Moja dusza jest chyba dość perwersyjna.

- Fascynujący? - odparła Eva Backman. - Wy, faceci, nigdy nie przestaniecie mnie zadziwiać. Morderstwo jest super, to dlatego wybrałam zawód policjantki! Pamiętaj tylko, żeby nie powiedzieć tego reporterowi z „Expressen”, bo mógłby to źle zrozumieć.

Astor Nilsson kiwnął głową i przez chwilę wyglądał na lekko zażenowanego. Inspektor Backman machnęła ręką w stronę Barbarottiego i poszli dwa piętra niżej do Borgsena, *alias* Smutasa, i jego świetnie udokumentowanych umiejętności komputerowych.

Po niespełna dwudziestu minutach odnaleźli Henrika i Katarinę Malmgrenów.

W każdym razie wstępnie uznali, że to właściwy wybór. W całym kraju było wprawdzie z pięćdziesięciu Henrików Malmgrenów i około sześćdziesiąt Katarin Malmgren i przypuszczalnie część z nich była ze sobą jakoś spokrewniona - ale było tylko jedno małżeństwo o takich imionach i nazwisku, więc z jakiegoś nieokreślonego powodu cała trójka inspektorów kryminalnych uznała, że istnieje powalająco wysokie prawdopodobieństwo, iż piszącemu listy mordercy chodziło właśnie o nich.

- Dlaczego? - zapytał Gunnar Barbarotti. - Dlaczego jestem taki pewien, że to właśnie oni?

- Nie wiem - odpowiedziała Eva Backman. - Ale myślę podobnie. Mamy zasadniczo do wyboru trzy możliwe konstelacje: rodzeństwo, rodzic/dziecko i mąż/żona. Prawda?

- No tak, ale przecież może też chodzić o kuzynów - stwierdził Smutas. - Albo ciotka/syn jej brata, albo coś w tym rodzaju. Nawet nie muszą być spokrewnieni.

- Teraz przeginasz - powiedziała Eva Backman.

- Przepraszam - odrzekł Smutas. - Ja też głosuję za małżeństwem. A przynajmniej od nich powinniśmy zacząć. - Założył swoje miniokulary i zaczął przyglądać się dopiero co wydrukowanej liście. - Szczególnie że w Kymlinge nie ma ani Henrika, ani Katariny Malmgren.

- Załóżmy od razu, że to oni - powiedział Barbarotti. - A potem, gdyby była taka potrzeba, będziemy poszerzać krąg. Jaki mają adres?

Eva Backman wzięła listę do ręki i odczytała na głos. Henrik i Katarina Malmgrenowie. Berberisstigen 24 w Göteborgu.

- Wydaje mi się, że to gdzieś w dzielnicy Mölndal, siostra Villego mieszka gdzieś w tamtej okolicy. Dość elegancka dzielnica... minimum wyższa klasa średnia.

Barbarotti zajrzał jej przez ramię.

- Mają trzy numery telefonów - skonstatował. - Numer domowy i dwie komórki. Co robimy?

Smutas spojrzął na zegarek.

- Konferencja prasowa nie skończy się wcześniej niż za pół godziny - stwierdził.

- Szkoda tracić czas - powiedział Barbarotti.

- To byłoby przewinienie służbowe, gdybyśmy po prostu siedzieli i gapili się w sufit - dorzuciła Backman.

- Dawaj telefon, Gerald - zdecydował Barbarotti.

Wszystkie trzy losy były puste. Wysłuchał trzech różnych zapowiedzi na automatycznych sekretarkach - dwa razy pan Malmgren i raz jego żona prosili w uprzejmych i starannie dobranych słowach, żeby nagrać swoją wiadomość lub spróbować połączyć się z którymś z pozostałych dwóch numerów - i kiedy rozłączył trzecie połączenie, popatrzył na skupione twarze kolegów i poczuł, że potwierdzenie podejrzeń wywołało zimne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. To oni. To muszą być oni.

Jednocześnie głos opamiętania w jego głowie krzychał: *Don't jump to conclusions.*

Była za dwadzieścia trzecia po południu. Poniedziałek. Jeśli na przykład Henrik i Katarina Malmgrenowie byli w swoich miejscach pracy, gdziekolwiek bądź, to fakt, że nie odbierają telefonów, był jak najbardziej uzasadniony; gdyby było w pół do ósmej wieczorem, sprawa wyglądałaby całkiem inaczej. Widział po Backman i Smutasie, że chętnie oddadzą mu decyzję o kolejnym kroku, który trzeba podjąć, i nagle opuściła go pewność siebie. Czy rzeczywiście mieli prawo nagrać wiadomość i poprosić nieznanymi ludźmi, żeby skontaktowali się z policją w Kymlinge?

Po kilku sekundach uzmysłowił sobie, skąd pojawiła się ta niepewność; nie chodziło o ewentualną krytykę czy połajanki ze strony Jonnerblada; nie, chodziło o mordercę. A dokładniej mówiąc, chodziło o ten prosty fakt, że oczekiwał od nich właśnie takiego kroku. Najbardziej oczywistego. Barbarotti poczuł wyraźne ukłucie złości i pomyślał, że dłużej nie ma ochoty dawać przeciwnikowi broni do ręki. Lepiej było choć raz zrobić coś nieoczekiwanego; pytanie tylko: co?

- Może i tym razem blefuje - powiedziała Eva Backman, tak jakby miała podobne przemyślenia. - Może planował zamordować tylko tę pierwszą dwójkę, a teraz bawi się z nami w kotka i myszkę.

- Dlaczego? - spytał Smutas.

Eva Backman wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. W ogóle uważam, że w tym wypadku nie powinniśmy ślepo szukać motywów.

- Wydawało mi się, że właśnie to mieliśmy robić? - zdziwił się Barbarotti. - Zapomniałaś, co powiedział Lillieskog?

- Nie zapomniałam - odparła Eva Backman. - Ale nie bardzo ufam różnym ekspertom. I przestałam już wierzyć, że uda mi się w środę pójść na urlop.

- Jeśli chodzi o to ostatnie, to chyba masz rację - potwierdził Smutas i zaczął poprawiać stopy papierów na swoim biurku. - Wygląda na to, że czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. Dobrze by było, żebyśmy znaleźli jakiś związek pomiędzy tą parą i naszymi dotychczasowymi ofiarami. To by niezwykle nam ułatwiło.

- Bez wątpienia - powiedziała Eva Backman i spojrzała na zegarek. - No to co robimy? Siedzimy z założonymi rękami do końca konferencji?

Inspektor Barbarotti pokiwał głową i zaczął czegoś szukać w kieszeni marynarki.

- Poproszę o chwilę ciszy - zakomunikował. - Podam im numer na moją komórkę. To nie zaszkodzi. Nie powiem, że jestem z policji, ale jeśli oddzwonią, to będziemy przynajmniej wiedzieli, że żyją. Mam po dziurki w nosie tego, że nie mogę sam podejmować decyzji.

- Nikt ci nie zabronił - powiedziała inspektor Backman. - Bierz się do roboty.

Barbarotti skinął głową, ponownie połączył się z trzema automatycznymi sekretarkami i nagrał trzy mniej lub bardziej identyczne i stosunkowo mało mówiące wiadomości. Schował komórkę do kieszeni i spojrzał na kolegów.

- Zakładamy się?

- O co? - zapytała Eva Backman.

- Że na ulicy Berberisstigen w Mölndal będzie na jesieni dom do kupienia.

Inspektor Gerald Borgsen stwierdził, że praktycznie rzecz biorąc, już jest jesień, ale ani on, ani inspektor Backman nie przyjęli zakładu.

Kiedy Gunnar Barbarotti wychodził z budynku komendy o wpół do ósmej wieczorem w poniedziałek, miał na telefonie trzynaście połączeń przychodzących od godziny trzeciej. Wszystkie od tego czy innego poszukującego informacji i dążącego do prawdy dziennikarza,

który chciał mu zadać to czy tamto dobrze umotywowane pytanie, a on za każdym razem grzecznie, choć stanowczo odmawiał.

Jednak ani Henrik, ani Katarina Malmgrenowie się nie odezwali i kiedy się nad tym zastanowił, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się tak bardzo sfrustrowany jak teraz. Może sześć lat temu, gdy Helena powiedziała, że od niego odchodzi.

Ale żeby w pracy? Nigdy. Całe to dochodzenie sprawiało wrażenie mentalnej katastrofy; podczas pozbawionych nadziei godzin, z których składało się dzisiejsze popołudnie, kilkakrotnie przychodził mu do głowy wiersz Bo Bergmana „Marionetki” i nie był to przypadek. Morderca pociągał za sznurki, a kukiełki policjantów zabawnie i posłusznie kręciły piruety; dawał im jedno lub dwa nazwiska, a oni natychmiast zaczynali pracę i podejmowali kroki, których podjęcia każdy mógł oczekiwać. Szczególnie morderca. Animator marionetek.

Ale dlaczego? Czy takie działanie miało jakiś inny cel niż robienie sobie z nich jaj? Czy pisanie listów było częścią planu, jakiegoś większego wzoru, którego ani Barbarotti, ani pozostali nie potrafili uchwycić?

W ciągu ostatniego tygodnia stawiał sobie te pytania tysiące razy i wciąż nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

Jonnerblad i Tallin zapewnili, prawie chórem, że konferencja prasowa przebiegła dobrze, a Barbarotti pomyślał, że byłby mocno zdziwiony, gdyby powiedzieli coś innego. Opinie zebranych na konferencji dziennikarzy - podobno ponad osiemdziesięciu - na temat tego przedstawienia będzie można przeczytać w jutrzejszych wydaniach gazet albo usłyszeć podczas wieczornych wiadomości w radiu i telewizji.

Albo w internecie. Żaden z obecnych dziennikarzy nie zadał pytania na temat Henrika lub Katariny Malmgrenów, co rozwiało obawy, że morderca komunikował się z policją i prasą mniej lub bardziej symultanicznie. Przynajmniej tym razem.

Czy rzeczywiście informatorem Görana Perssona był morderca, pozostawało oczywiście sprawą ciągle niewyjaśnioną, ale to już inna kwestia. Sześć godzin po tym, jak uderzył w niego ten pomysł, Gunnar Barbarotti nie był już tak skłonny w niego wierzyć, jak w momencie gdy się nim dzielił z kolegami.

Właśnie stąd ta frustracja, pomyślał, skręcając z Grevgatan i wchodząc na ścieżkę wiodącą wzdłuż rzeki. Wielka sterta znaków zapytania, które pozaczepiały się o siebie bezładnie i całkowicie przypadkowo, jak stare, pokrzywione metalowe wieszaki na dnie zatechłej garderoby (skąd mu się biorą te wszystkie obrazy?). Na przykład, czy w ostatnim liście morderca miał na myśli to małżeństwo z Berberisstigen w Mölndal? A jeśli tak, to czy zamierzał ich zabić? Hansowie Anderssonowie - który z nich był tym właściwym, a może żaden? - najwyraźniej ujdą z życiem. Dlaczego? Czy tak miało być od samego początku, czy też coś się wydarzyło po drodze i zmusiło mordercę do zmiany planów?

A przede wszystkim: gdzie podziewają się Malmgrenowie? Pomimo bardzo intensywnych starań i życzliwej pomocy pół tuzina kolegów z policji w Göteborgu przez całe popołudnie nie udało się znaleźć po nich nawet śladu. Z drugiej strony oboje mieli jeszcze dwa tygodnie urlopu do wykorzystania - on pracował na uniwersytecie w Göteborgu, a ona w szpitalu Sahlgrenska - więc cała grupa dochodzeniowa uważała, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż są po prostu w podróży, gdzieś w świecie, a komórki zostawili w szufladzie biurka w domu. Coraz częściej wybierano taką opcję, trudno powiedzieć dlaczego.

Alternatywny powód braku sygnału z ich strony, czyli to, że już nie żyli, był oceniany przez członków grupy bardzo różnie, ale ponieważ wszystkie hipotezy opierały się wyłącznie na czystych spekulacjach, nie miało to większego znaczenia. Wieczorem i w ciągu kolejnego dnia trzeba będzie jeszcze przeprowadzić parę rozmów

z krewnymi i znajomymi tej pary, więc prędzej czy później obraz się trochę rozjaśni. Barbarotti rozmawiał przez telefon z przyrodnią siostrą Katariny Malmgren i dowiedział się, że nie było niczym dziwnym, że małżonkowie od czasu do czasu byli poza zasięgiem. Przez tydzień albo kilka dni; według niej był to taki nowy styl życia. „Nowa moda”. Choć, jak jej się zdawało, zwykle jednak dawali znak życia mailem albo telefonicznie, z tym że właściwie to nie utrzymywała z nimi bliższych kontaktów; między nią a Katarina było siedem lat różnicy, a ponadto prowadziły zupełnie inny tryb życia.

Barbarotti nie wdawał się w dalsze dyskusje na temat trybu życia, podziękował i zapowiedział, że może się jeszcze odezwać w razie potrzeby. Potem zadzwonił do następnej osoby i dowiedział się jeszcze mniej. I znów do następnej. I następnej. W sumie cała grupa - włącznie z tymczasowymi pomocnikami z policji w Göteborgu - rozmawiała w ciągu czterech godzin z prawie setką ludzi, w tym takich, którzy mieli tak bardzo luźne powiązania z Malmgrenami, że mieli poczucie, iż szukają kuli śnieżnej na pustyni - cytując Astora Nilssona - a efektem tych wszystkich wysiłków było to, że około siódmej zgromadzili już całą masę zupełnie im do niczego niepotrzebnych informacji.

A to, co być może - w wypadku najlepszego scenariusza - mogłoby się przydać, i tak pozostawało skutecznie ukryte w masie śmieci. Nie było w tym nic nowego; często się z tym spotykali podczas dochodzenia, ale w przypadku Malmgrenów zjawisko to stało się wyjątkowo wyraźne.

Poza tym mogło się przecież okazać, że wcale nie o nich chodziło. Co, jeśli w nieodległym czasie z życiem pożegnają się Katarina Malmgren z Lycksele i Henrik Malmgren ze Sztokholmu? Albo już się pożegnali?

Niech to szlag, pomyślał Gunnar Barbarotti. Jesteśmy tylko biednymi marionetkami.

„Nie przeszkodzisz mi, prawda?”.

To tekst dzisiejszej epistoły Ty. Nie wy. Piszący listy nadal zwracał się bezpośrednio do niego, do inspektora Gunnara Barbarottiego, a nie do kogoś innego. Dlaczego?

Dlaczego, dlaczego? Czy rzeczywiście, jak sugerował Jonnerblad, mogło istnieć jakieś powiązanie między nim a mordercą? Mimo wszystko? Powiększył swoją listę znajomych z dawnych lat, którzy mogli być domniemanymi sprawcami, o osiem nazwisk, ale nie uruchomiło to najmniejszego nawet sygnału alarmowego, a im dłużej o tym myślał, tym bardziej ta metoda wydawała mu się idiotyczna.

No i jaki tym razem był zamysł? Jakie były zamiary piszącego listy?

Hipoteza, do której skłaniali się zarówno on, jak i Backman - możliwe, że inni w grupie dochodzeniowej również, ale dyskutował o tym głównie z Backman - była taka, że w najgorszym wypadku już było po wszystkim. Jeśli rzeczywiście zamierzał zabić Malmgrenów, to już nie żyli. Ale gdyby udało się ich znaleźć przy życiu, oznaczałoby to, że mają ogromne szanse żyć dalej. W obu pierwszych przypadkach, a przynajmniej w drugim, list ze wskazówką przyszedł zdecydowanie za późno, by policja mogła zareagować, zaś w przypadku Hansa Anderssona nadal nie było ofiary. Wydawało się niedorzecznością, żeby morderca odważył się zabić dwoje ludzi objętych ścisłą ochroną policyjną; a gdyby jednak to zrobił, pokazałby, że jest kompletnym wariatem albo że chciał, by go złapano. Albo jedno i drugie.

A wtedy szybko mieliby go pod kluczem i mogliby odłożyć całe dochodzenie na półkę.

Sęk jednak w tym, że nie udało się dotrzeć do żyjących Malmgrenów. Może leżeli gdzieś martwi? Może morderca siedział sobie bezpiecznie w nieznanym miejscu, czekając na wiadomości w jutrzejszych gazetach?

Może właśnie to go kręciło? - pomyślał Barbarotti z nutą rezygnacji i skrzył w Hagendalsvägen. Czy mogłoby to być aż tak banalne?

Tak czy owak, poszerzyła się perspektywa geograficzna; w rejestrach ludności Kymlinge nie było ani Katariny, ani Henrika Malmgren. Można tylko spekulować, co to oznaczało, ale po dziesięciu godzinach nieprzerwanego spekulowania nie było to proste, więc inspektor Barbarotti przez chwilę zapragnął zamienić się życiem z Axelem Wallmanem.

Śmietnik akademicki? Może istnieje podobny śmietnik dla wysłużonych policjantów? Tak, prawdopodobieństwo, że coś takiego istnieje, graniczy z pewnością, pomyślał.

Trzeba sobie tylko odpowiedzieć na pytanie, czy był gotów weń wejść.

A zresztą, co za różnica, pojutrze zadzwoni do Marianne, a wtedy na zawsze rozstrzygną się losy jego życia.

Tak oto rozmyślał inspektor Barbarotti, na siłę wciskając swój rower pomiędzy dwa rowery z siodełkami dla dzieci na podwórku swojego domu.

Otworzył kluczem drzwi do swojego mieszkania, wszedł do przedpokoju i poczuł, że mimo hektolitrow kawy wypitych po południu i około dwudziestu ciasteczek Singoalla jest głodny. Szybko przejrzał lodówkę i spiżarnię i zdecydował się na przyrządzenie swojego dania firmowego: spaghetti z pesto, kaparami, oliwkami i cieniutkimi plastrami parmezanu. Do tego kieliszek czerwonego wina, jeśli coś w domu znajdzie, i cząstka gruszki. I właśnie w chwili, gdy skończył przygotowania, usłyszał dzwonek do drzwi.

Przez kilka sekund wahał się, czy otwierać, a później - kiedy to, co miało się zdarzyć, już się zdarzyło - zastanawiał się, dlaczego, do licha, nie posłuchał tego pierwszego, w pełni uzasadnionego impulsu.

Przed drzwiami stali Göran Persson i fotograf w czerwonej bejsbolówce.

- Fajnie, że jest pan w domu - rozpoczął Göran Persson, a fotograf błysnął fleszem.

- Jestem zajęty - powiedział Gunnar Barbarotti. - Przepraszam.

Próbował zamknąć drzwi, ale dziennikarz zdążył przełożyć przez próg potężny but w rozmiarze czterdzieści pięć.

- Chciałem tylko przez chwilę pogadać - odparł. - Bez kłopotów. Musi pan wiedzieć, że ludzi bardzo interesuje to dochodzenie.

- Proszę zabrać nogę - rzekł Barbarotti. - Nie mam żadnych komentarzy.

Fotograf zrobił zdjęcie.

- Żadnych komentarzy - powtórzył Göran Persson. - Jestem pewien, że jakieś pan musi mieć. Powiem tak: usiądziemy przy kuchennym stole i pogawędzimy, zajmie nam to dziesięć minut. Potem napiszę streszczenie tej rozmowy i dam panu do autoryzacji, a pan będzie mógł je odrzucić.

- Odrzucam je - skwitował Barbarotti.

- Chciałby pan, żebyśmy napisali, że policjanci są arogantami i dyktatorami?

- Arogantami... co to za brednie? Prowadzimy dochodzenie w sprawie o morderstwo, a pana teksty pełne sensacyjnego gówna tylko nam przeszkadzają. Pana gazeta przynosi wstyd idei wolności słowa.

Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Chwileczkę, czy mógłby pan to powtórzyć? - powiedział dziennikarz, wyjmując notatnik i długopis z kieszeni kurtki.

Fotograf nadal błyskał fleszem.

- Ostatni raz - rzekł Barbarotti. - Nie zamierzam z panem rozmawiać. Zabieraj pan tę przeklętą nogę, bo dam panu w ryj.

Göran Persson wyszczerzył zęby.

- Ojjoj, panie policjancie, niech pan uważa, co pan mówi. Niech pan nas wpuści i przestanie się stawiać. Ponad godzinę rozmawiałem z pana szefem... jak mu tam, Jonnerbladem. Mam dość nadętych glińiarzy.

Gunnar Barbarotti zacisnął zęby i przymknął na moment oczy. Potem zacisnął dłonie w pięści i wcisnął je w pierś dziennikarza, odpychając go od drzwi, aż tamten stracił równowagę i upadł do tyłu. Barbarotti zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Kiedy wracał do kuchni, na siatkówce oka jeszcze nie zgasło jasne światło ostatnich błysków flesza, a na jego błonie bębnekowej nadal wolno wybrzmiewał odgłos czegoś, co spadało po schodach.

To był głupi ruch, pomyślał. Nie zachowałem się jak profesjonalista.

Usiadł przy stole, żeby zjeść posiłek.

Notatki z Mousterlin

7-8 lipca 2002 roku

- Nie rozumiecie? Dziewczynka nie żyje!

Katarina Malmgren powtórzyła swoje wcześniejsze słowa, a potem, jestem tego pewien, przez co najmniej minutę była kompletna cisza. Siedzieliśmy i staliśmy ściśnięci w kokpicie, a martwe ciało Troaë leżało u naszych stóp; słyszeliśmy ustępujący deszcz i czuliśmy, że fale zaczynają się uspokajać. Wiatr też zelżał, robiło się jednak coraz ciemniej i wkrótce otoczył nas gęstniejący mrok; morze, niebo, wybrzeże, wszystko nabrało takiej samej, szaroczarnej, nieprzepuszczalnej barwy, a w ciemności jaśniały tylko malutkie punkciki światła widoczne na wybrzeżu, nie więcej niż pięć maleńkich światełek wielkości łebka od szpilki, więc trudno było ocenić odległość. Może niecały kilometr, może znacznie więcej. Najdalej na lewo, czyli najprawdopodobniej na zachód od nas, zobaczyłem światło, które pojawiało się i znikало i domyśliłem się, że to musi być latarnia w Beg-Mail. W takim razie ściągnęło nas daleko na wschód, co by się zgadzało z kierunkiem wiatru.

Po czasie nie mogę zrozumieć, jakim cudem udało mi się to wszystko zauważyć, zapamiętać te bezsensowne rozważania; moje ciało było odrętwiałe, w głowie czułem głuche uderzenia bólu, a skaleczona stopa dawała od czasu do czasu znać z nieoczekiwaną ostrością. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że osiągnęliśmy punkt zero. Zero absolutne.

Pierwsza odezwała się Anna.

- Nie żyje? No przecież nie mogła tak po prostu umrzeć?

Henrik, którego wkład w ratowanie małej był minimalny, parsknął śmiechem.

- Spójrz na nią - powiedział. - Jeśli nie jest martwa, to co jej jest, jak myślisz?

Ale jego głos brzmiał zdecydowanie bardziej żałośnie niż same słowa.

- Zamknij się, Henrik - warknęła Katarina. - Boże święty, co my teraz zrobimy?

- Co zrobimy? - powtórzył idiotycznie Gunnar. - Jak to się, kurwa, mogło zdarzyć?

Anna odwróciła się w moją stronę.

- Ty porąbany imbecyłu, to ty ją wypuściłeś za burtę.

- Wysunęła mi się - powiedziałem. - Przykro mi.

- Przykro ci? - zaatakował Henrik. - A więc jest ci przykro?

- A co byś chciał, żebym powiedział? - zapytałem.

Katarina Malmgren wybuchnęła płaczem. Głośnym i przejmującym.

- Czego ryczysz? - zapytał Erik. - To ty ją zabrałaś na tę zafajdaną wycieczkę.

- To nie... - próbowała coś powiedzieć Katarina.

- Racja - podchwyciła Anna. - To ty ją przywlokłaś ze sobą. Co zamierzasz teraz zrobić? Co zamierzasz zrobić?

W głosie Anny słyhać było zarówno ślady paniki, jak i triumfu - mieszanka, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem.

- Ja też o mało co nie utonęłam! - wrzasnęła nagle. - Ale mną się oczywiście nikt nie przejął!

Przypomniałem sobie, że faktycznie wypadła do wody w całym zamieszaniu i że rzeczywiście mogło być tak, jak mówi. A przynajmniej, że się porządnie wystraszyła. Nikt z nas nie zwrócił na nią uwagi; wszyscy byli skoncentrowani na ratowaniu dziewczynki. Nastąpiła kilkusekundowa cisza.

- Wygląda na to, że burza odchodzi - powiedział Gunnar. -

Chyba dryfujemy w stronę lądu. Uspokójcie się, chodźmy do kambuza i zastanówmy się razem, co, do diabła, dalej robić.

Tak też się stało. Zostawiliśmy martwe ciało dziewczynki na górze w kokpicie i wszyscy sześcioro usiedliśmy ściśnięci na ławkach w ciemnym jak smoła kambuzie. Katarina zastanawiała się, czy przynajmniej jedno z nas nie powinno zostać na górze i czuwać przy dziewczynce, ale nikt nie podjął tematu.

- Dlaczego tu nie ma światła - poskarżyła się Anna. - Dlaczego, u diabła, na tej pieprzonej łodzi nie ma nawet światła?

- Uspokój się, Anno - powiedział Gunnar. - Spróbuj choć raz zachowywać się jak dorosła.

- Dorosła?! - wrzasnęła Anna. - Ty mi będziesz mówić o dorosłym zachowaniu, ty perwersyjny kretynie?

Nie wiem, o co jej chodziło, ale Gunnar chyba wiedział, bo uderzył ją w twarz. Nie przypuszczam, żeby trafił; wydaje mi się, że uniosła dłoń w obronie, ale sam zamiar był skuteczny, bo ucichła.

- No to co robimy? - zapytał Henrik.

W jego głosie słychać było strach. Nerwowy i lekko przytłumiony strach, którego nie potrafił ukryć.

- Dobre pytanie - powiedział Erik.

- Po pierwsze, musimy się uspokoić - zaproponował Gunnar. - Krzyki, wrzaski i wzajemne oskarżenia nikomu nie pomogą.

- Mój Boże, ale dziewczynka nie żyje, nie dociera to do was? - powtórzyła Katarina po raz trzeci albo czwarty, tak jakby to właśnie ona miała największą trudność w przyjęciu tego faktu do wiadomości. Tak jakby musiała sobie przypominać o tym w równych odstępach czasu. - Dlaczego jej nie wyciągnęliście?

- O co ci chodzi? - zapytałem. - Myślisz, że nie próbowaliśmy?

- Nie wiem - odrzekła Katarina Malmgren.

- Próbowaliśmy we dwóch - stwierdziłem z naciskiem. - A pozostała czwórka stała i krzyczała.

- Ale tylko jeden spowodował, że wypadła za burtę - dopowiedział Henrik, nie bardzo wiedziałem po co.

- Mój Boże, nie możemy jej przecież tak zostawić na górze - lamentowała Katarina, a głos jej się załamywał. Słysząc było, że opanowała ją panika, a mówienie, stawianie pytań było jej metodą na kontrolowanie tej paniki.

Gunnar podniósł głos.

- Kurwa mać, cisza! - wrzasnął. - Nie dociera do was, że obrzucanie się nawzajem oskarżeniami nic nam nie da? Jedziemy na tym samym wózku.

Erik zaczął się śmiać.

- Brawo! Co za spostrzegawczość, na tym samym wózku, a w zasadzie na tej samej łajbie.

Gunnar go zignorował.

- Musimy wspólnie zdecydować, co robimy - wyjaśnił. - To musi być wspólna decyzja, niezależnie od tego, jaka będzie.

- O czym ty mówisz? - zapytała Katarina. - Jak to, co robić?

- On zawsze tak - powiedziała Anna. - Mówiłam przecież, że to chodząca perwersja.

Henrik odchrząknął.

- Chciałbym przypomnieć, że na pokładzie mamy martwą dziewczynkę. Zgadzam się z Gunnarem, musimy podjąć decyzję.

Wyglądało, jakby częściowo odzyskał pewność siebie, a przynajmniej próbował.

- Dziękuję - powiedział Gunnar.

- Nie rozumiem, o czym mamy dyskutować? - dziwiła się Katarina. - Przecież nie ma o czym.

- Wydaje mi się, że jest - odparł Gunnar. - I sędzę, że niektórzy z was też tak myślą.

- Musimy... - rzekła Katarina - musimy spróbować dostać się na ląd i tam poszukać pomocy.

- Pomocy w czym? - zapytał Henrik.

- No chyba wiesz? W... no w... - odpowiedziała Katarina, ale najwyraźniej nie potrafiła znaleźć dalszego ciągu.

Zapanowała cisza. Pamiętam, że było kompletnie cicho, i mam wrażenie, że dopiero teraz wszyscy, każdy według swoich możliwości, próbowali zrozumieć, w co się wpakowaliśmy. Próbowali wznieść się ponad ograniczenia swojego zwykłego poziomu świadomości i dorosnąć do potrzeby chwili i okoliczności.

Jako pierwsza usta otworzyła Anna.

- Kurwa mać - syknęła. - Zabraliśmy ze sobą na morze dwunastoletnią dziewczynkę, bez zgody jej opiekunów, i dopuściliśmy do tego, by się utopiła. Gdyby ktoś mnie za pytał na samym początku, to nawet nie...

Erik jej przerwał.

- Musimy to zatuszować.

- Co? - zapytała Katarina. - Zatuszować? Co masz na myśli?

- Musimy jakoś się jej pozbyć - odpowiedział Erik.

- Odbiło ci?

- Tak - zgodził się Erik. - Chyba mi odbiło. Musimy pozbyć się ciała i nikomu nic nie mówić. To najlepsze rozwiązanie.

- To najgorsze, co mi się... - zaczęła Katarina, ale Gunnar jej przerwał.

- Mów dalej, Erik - poprosił.

- Co to komu da, że zawleczymy jej martwe ciało na policję.

Jak będziemy się tłumaczyć? Co sobie pomyślą?

- Racja - powiedział Gunnar, a mnie się przypomniało, że na co dzień był chyba jakimś nauczycielem, a teraz zachowywał się tak, jakby siedział w klasie i słuchał sprawozdania z pracy grupowej.

Erik kontynuował:

- Zachowaliśmy się jak idioci, a teraz mamy na pokładzie ciało martwej dziewczynki. Jeśli chcemy dalej zachowywać się jak idioci, to możemy iść na policję, tak to widzę. Ale jeśli chcemy być trochę bardziej rozsądni, to powinniśmy wymyślić jakiś sprytny sposób pozbycia się ciała.

- Niedobrze mi - powiedziała Katarina.

- Sprytny? - zapytał Henrik. - Nie rozumiem, jak by się to miało odbyć.

- Chwileczkę - wtrąciła Anna. - A co będzie, jeśli ktoś to później odkryje?

- Dlaczego ktoś miałby to odkryć? - odpowiedział pytaniem Gunnar.

- Dlatego... dlatego, na przykład, że ktoś mógł nas widzieć - odrzekła Katarina. - Razem z dziewczynką. Będzie przecież poszukiwana przez policję.

- Jasne, że będzie poszukiwana przez policję - powiedział Gunnar. - Ale prawda jest taka, że nikt nie wie, iż spędziła ten dzień z nami.

- Co? - spytała zaskoczona Anna. - Co ty, do diabła, mówisz?

Powtórzył więc jeszcze raz, wolno i pedagogicznie:

- Mówię tylko, że nikt nie wie, iż Troaë popłynęła z nami dzisiaj na wyprawę na archipelag.

- Ktoś na pewno wie - powiedziała Anna.

- Niby kto? - zapytał Gunnar. - Kiedy wsiadaliście na łódkę, na plaży nie było żywego ducha, prawda?

- Nie wiem - odparła Anna. - Tak, to możliwe, tak mi się wydaje. Ale musieli ją przecież widzieć w tej restauracji. Tam, gdzie byliśmy na lunchu.

- To było tydzień temu - przypomniał Erik. - Nie musimy się wypierać, że wtedy z nami była. Musimy tylko zaprzeczać, że była z nami dzisiaj.

- Czy aby na pewno nikt nas nie widział rano, gdy wyruszyliśmy? - zapytała Katarina. - Jesteście pewni?

Zastanawiałem się przez chwilę. Inni także. Próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądała plaża, gdy staliśmy na brzegu, czekając na Henrika i Gunnara z łódką. Kiedy potem, brodząc po kolana, szliśmy w jej stronę. Gdy wspinaliśmy się na pokład. Czy w pobliżu byli jacyś ludzie? Wydawało mi się, że nie. Może dalej jakiś rybak albo spacerowicz, ale nie przypominałem sobie nikogo w pobliżu.

- Raczej nikt nas nie widział - rzekła Anna. - Tak mi się wydaje.

- W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na dziewczynkę - zgodziła się Katarina, której nagle zmienił się głos. Brzmiał teraz łagodnie i ustępliwie.

- No widzisz - powiedział Erik. - A więc racja.

- A ta para? - przypomniała sobie Anna. - Ta, która przyплыnęła na trochę na wyspę?

- Kiedy byli na plaży, dziewczynka cały czas leżała i czytała - stwierdził Gunnar. - Jestem na sto procent pewien. Byli co najmniej sto pięćdziesiąt metrów od nas. Jedyne, co widzieli, to grupa przyjaznych Szwedów na urlopie. Założę się, że nie liczyli nas, a poza tym odpłynęli po jakiejś godzinie.

Erik odchrząknął.

- Nie ma świadków - podsumował. - Byliśmy dzisiaj na wycieczce na Les Glénan. Cały czas było nas sześcioro. Parę dni temu spotkaliśmy dziewczynkę, która twierdziła, że ma na imię Troaë czy jakoś tak. Później nie widzieliśmy jej już ani razu.

Katarina chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Zapanowała cisza. Poczulem, że siedzącym po mojej prawej stronie Henrikiem wstrząsają dreszcze. Mój ból głowy uderzył parokrotnie w kość ciemieniową, a łódź silnie się zachybotwała; przez ostatnie pół godziny, od momentu wyciągnięcia dziewczynki z wody, łódka łagodnie podskakiwała na fali, ale teraz, przez krótką chwilę, morze przypominało nam o swojej mocy.

- Erik ma rację - odezwał się w końcu Gunnar. - Nie ma świadków. Co wy na to?

Podczas prawie całej narady byłem bierny i nie zamierzałem teraz zmieniać swojej postawy. W mojej głowie pojawiło się pytanie o to, co zdarzyło się podczas spaceru wokół wyspy, na który Erik zabrał dziewczynkę, ale nic nie powiedziałem. Uzmysłowiłem sobie tylko, że właśnie to mogło być powodem tak aktywnej postawy Erika podczas dyskusji. Ciągnięcie na policję dwunastolatki, która nie tylko utonęła, ale również nosiła ślady niedawnej penetracji, na pewno nie było dobrym pomysłem. Zastanawiałem się, czy dojdzie do głosowania, ale wkrótce stało się jasne, że nie jest ono potrzebne.

- Oczywiście - powiedział Henrik. - Bieganie na policję w tej sytuacji byłoby głupotą.

- To prawda - przytaknął Gunnar. - Co mówią panie?

Było to demokratyczne zaproszenie dla obu kobiet, żeby wyraziły swoją opinię. Zastanawiałem się, czy zostawienie mnie na koniec było pociągnięciem świadomym, czy tak po prostu wyszło. Wyglądało na to, że zarówno Anna, jak i Katarina chcą poczekać, aż to ta druga wypowie się najpierw; żadna nie chciała pierwsza zgodzić się na propozycję ukrycia zwłok i wejścia w ten sposób na drogę kłamstwa i zaprzeczania. Wmawiałem sobie przez chwilę, że podejmując taką decyzję, walczyły z typową dla kobiet empatią i skruchą, ale kiedy odezwała się Katarina, zrozumiałem, że błędnie je oceniłem.

- Przypuszczam, że macie rację. I nie zamierzam oponować. Gdyby to się wydało, to wszystkich nas spotka prawdziwa katastrofa... a my Henrik i ja, mamy przecież jeszcze dwa tygodnie urlopu. - Zrobiła pauzę. - To, co się stało, było strasznym wypadkiem, ale cokolwiek byśmy teraz zrobili, to życia jej nie przywrócimy.

- Też tak uważam - powiedziała Anna. - Spróbujmy uruchomić ten cholerny silnik i dopłynemy w końcu do brzegu.

- Czyli jak? - zapytał Gunnar pół godziny później. - I gdzie?

Wypalili papierosy. Troaë leżała przykryta ręcznikiem kąpielowym. Anna wysikała się przez reling.

Erik i Henrik próbowali wspólnie uruchomić silnik, ale bez powodzenia. Katarina znalazła latarkę, która przestała świecić po niespełna minucie, a my wałkowaliśmy temat pozbycia się ciała dziewczynki i doszliśmy do wniosku, że wyrzucenie jej za burtę nie jest dobrym pomysłem. Istniało duże ryzyko, że prądy morskie wyrzucą jej ciało na ląd i zostanie odkryta już jutro; zaczęłoby się dochodzenie, które mogłoby pójść w złą stronę i sprawy przybrałyby niekorzystny obrót. Lepiej by było, żeby dziewczynkę przez dłuższy czas uznawano za zaginioną. Przez kilka minut rozważany był pomysł przywiązania do jej ciała jakiegoś obciążenia, by pozostała na zawsze w głębinach, ale na pokładzie „Arcadii” nie znaleźliśmy nic, co by się nadawało - a nawet gdybyśmy znaleźli, to istniało ryzyko, że właściciel odkryje, że zginęło mu coś z wyposażenia.

A zatem pytania Gunnara były uzasadnione.

- Jak? - zapytał Erik. - Nie mam pojęcia. Ale przypuszczam, że najlepiej byłoby ją gdzieś zakopać.

- Rękami? - odezwała się Anna. - Dobry pomysł.

- W którymś z naszych domów musi przecież być jakiś szpadel? - powiedziała Katarina.

- Jeśli dopłyniemy do brzegu w pobliżu naszych domów - zaznaczyła Anna.

- Jakieś inne rozwiązanie? - zapytał Gunnar.

- Co? - spytała Anna.

- Inne niż zakopanie w ziemi - wyjaśnił Gunnar. - Jeśli już mamy się pozbyć ciała.

- No przecież nie będziemy jej ćwiartować - powiedziała Anna.

- Albo palić. Musicie ją zakopać, to oczywiste.

- Musicie? - zapytał Erik.

- Tak, ja nie zamierzam tego robić - odrzekła Anna.

- Ja też nie - dorzuciła Katarina.
- Wy musicie to zrobić - stwierdziła Anna. - Faceci. Bo to wy nie potrafiliście jej uratować.
- Halo, halo - powiedział Henrik.
- No, czego? - warknęła Anna. - Myślisz, że to telefon, czy co?
- Zamknij się, Anno! - krzyknął Gunnar. - Żebym nie musiał cię znowu uderzyć.
- Ty perwersyjny popaprańcu - wypaliła Anna.
- Chciałem tylko powiedzieć, że mam propozycję - oznajmił Henrik.

- Gadaj - powiedział Gunnar.
Henrik odchrząknął nienaturalnie.
- Chcę tylko powiedzieć, że nie ma sensu, żeby zbyt wiele osób ryzykowało wpadkę. Najlepiej, jeśli zrobi to jedna osoba.

Na chwilę zapanowała cisza.
- Nie jestem pewien... - zaczął Erik, ale po chwili się rozmyślił.
- I uważam, że nie ma wątpliwości co do tego, kto powinien to zrobić. - Przez ostatnie minuty zdobył trochę autorytetu. Przepuszczalnie dlatego, że zaczął trzeźwieć. - Żadnych wątpliwości - powtórzył.

- Rozumiem, co masz na myśli - wtrąciła Katarina. Nagle stali po tej samej stronie, byli mężem i żoną, rozumieli się prawie bez słów.

Henrik odwrócił się w moją stronę.
- Ty to spaprałeś - burzył się. - Ty doprowadziłeś do tego, że mała utonęła. Prawda? Myślę, że twoim zasranym obowiązkiem jest wyciągnięcie nas z tego bagna. Po prostu.

Rozejrzałem się wokół. Próbowałem rozróżnić twarze osób siedzących w ciemnym kambuzie; oczy już się przyzwyczyły do braku światła, ale widziałem same kontury. Słyszałem ich oddechy, czułem natrętną obecność ich ciał, zapach przetrawionego alkoholu wydobywający się z porów w skórze, ale moje oczy nie potrafiły odczytać

ich myśli. Nikt nie nie mówił. Nikt nie skomentował propozycji Henrika. Minęło dziesięć czy piętnaście sekund, przechyły łodzi prawie ustały; pomyślałem nawet, że być może znaleźliśmy się już blisko ładu, w jakiejś zatoczce albo lagunie. Pomyślałem o doktorze L, i o tym, ile mi jeszcze zostało pieniędzy na dalszą podróż.

- Okej - powiedziałem. - Domyślam się, że nie mam wyboru.

Kiedy zbliżyliśmy się do ładu na odległość stu metrów - o ile można było to ocenić - i znaleźliśmy się w małej, zaokrąglonej lagunie, Gunnarowi udało się niespodziewanie uruchomić silnik. Dostał za to zasłużone brawa, ale radość mąciło ciało martwej dziewczynki owinięte w dwa ręczniki kąpielowe. Erik i Henrik zapytali, czy chcę zejść na ład i pochować dziewczynkę gdzieś na tym nieznanym fragmencie wybrzeża, ale zaprzeczyłem. Powiedziałem, że potrzebuję szpadla i że wolę poszukać jakiegoś odpowiedniego miejsca w mokradłach między Mousterlin a Beg-Meil. Henrik uznał, że to mądra decyzja, i poczęstował mnie papierosem; w zasadzie nie palę, ale przyjąłem papierosa, ponieważ uznałem, że to z jego strony taki gest pojednania i uznania. Było już wpół do dwunastej, a nasza łódź zaczęła się teraz wolno posuwać wzdłuż linii brzegowej, nie oddalając się od niej na więcej niż pięćdziesiąt do stu metrów, na wypadek gdyby silnik znowu padł. No i żeby nie stracić orientacji. Po mniej więcej piętnastu minutach i opłynięciu kilku cypli, z których ostatnim musiał być Cap-Coz, zobaczyliśmy latarnię morską w Beg-Meil. Kiedy ją mijaliśmy, księżyc wyszedł zza chmur po raz pierwszy tej nocy, a ci, którzy akurat w tym momencie siedzieli w kokpicie - ja, Katarina i Gunnar - przez moment mogli zobaczyć swoje twarze. Żadne z nas nie wykorzystało tej szansy; wszyscy spuścili wzrok, a po kilku sekundach księżyc znowu schował się za ciemnymi chmurami.

Jakiś czas później opłynęliśmy cypel Mousterlin; zachodnia plaża była pogrążona w mroku. Pomagaliśmy sobie nawzajem przy przenoszeniu na ląd toreb, siatek i pustych butelek; na samym końcu Gunnar i Henrik przenieśli małą przez burzę, a ja holowałem ją w wodzie pozostałe trzydzieści metrów do brzegu. Gunnar i Henrik pomachali nam na pożegnanie, zawrócili na wschód i popłynęli oddać łódź na przystani w Beg-Meil. Nie wiem, czy mieli zamiar budzić właściciela w środku nocy i opowiedzieć mu o problemach z silnikiem. Może umówili się, że klucz oddadzą następnego dnia.

Pozostała czwórka zatrzymała się na plaży przy cieple dziewczynki. Gęsty mrok spowijał nasze sylwetki jak gruby sweter, wiatr zelżał, a księżyc nadal chował się za chmurami. Jedynymi kropkami światła były małe punkciki widoczne między drzewami od wschodu; wydawało mi się, że to światła hotelu u nasady cypla de la Pointe de Mousterlin.

- Jaki masz plan? - zapytała Katarina Malmgren.

Powiedziałem, że zamierzam ukryć ją na razie między wydmami i pójść do domu Erika po szpadel.

- Może mógłbyś pożyczyć szpadel od nas - zaproponowała Katarina. - Ale nie wiem, czy w domu jest jakiś szpadel, a poza tym może głupio by było nas w to wciągać.

- Bardzo głupio - przytaknąłem. Erik nic nie powiedział. Anna również.

- W porządku - rzekłem i wziąłem dziewczynkę na ręce. Nie była ciężka; według mnie ważyła może czterdzieści czy czterdzieści pięć kilogramów, a więc mimo ciągle dokuczającej rany na nodze mogłem ją nieść bez większych problemów.

- Będę w domu przed tobą - powiedział Erik po krótkiej chwili.

Katarina zapytała Annę, czy ta nie chciałaby pójść do ich domu i tam poczekać na Gunnara. Anna zawahała się przez chwilę, a potem

się zgodziła. Mimo to cała trójka nadal stała na plaży, nie mogąc się zdecydować. Przerzuciłem sobie dziewczynkę przez prawe ramię.

- Nie martwcie się - powiedziałem. - Zajmę się tym.

Kiwnęli głowami i zostawili mnie samego z Troaë.

Przedemną była niezwykła wędrówka i niezwykle godziny. Miałem poczucie, jakbym odbywał jakiś prastary rytuał; nie było świadków, tylko noc, ziemia, niebo i wieczność. Mimo wcześniejszego planu zaniósłem dziewczynkę prawie pod sam dom; bałem się, że jak ją zostawię między wydmami, to później jej nie znajdę, a nie chciałem, żebyśmy zaliczyli taką wpadkę. Używając liczby mnogiej, nie mam na myśli siebie i pozostałych Szwedów, tylko siebie i dziewczynkę; już po paru krokach marszu z jej ciałem na ramieniu poczułem, że łączy nas niezwykła więź. Ja żyłem, ona była martwa, a jednak to ona reprezentowała młodość; młodość, która w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności doświadczyła takich rzeczy, do których ja jeszcze nawet się nie zbliżyłem. Przekroczyła granicę, granicę ostateczną; może jej dusza już się przemieściła do całkiem innego świata, z którego miała na nas oko, kiedy ostrożnie posuwaliśmy się naprzód przez mady morskie. Wokół nas rozbrzmiewały delikatne odgłosy dyskretnych procesów rozkładu i gnicia. Słysząc było ulatniające się bąbelki, drgania, bulgotania i rechoty. Zadanie mnie całkiem pochłonęło; wkrótce miałem wrażenie, że spełniam obowiązek, nagłący obowiązek, którego nie był w stanie wykonać nikt inny z tego towarzystwa, i poczułem gorzką wdzięczność za to, że przypadł mi przywilej pochowania dziewczynki. Wokół czyhały ziarna szaleństwa: w ożywionej ciemności lekko fruwały za nami i przed nami, i obok nas; nie bałem się tego, ale wiedziałem, że to jest rzeczywiste zagrożenie, że taki może być efekt tej wędrówki. Że dziewczynka i ja po prostu położymy się razem i pozwolimy, by zawładnęła nami pożerająca wszystko energia świata roślin; że zachce mi się

towarzyszyć dziewczynce w jej ostatniej podróży Doszliśmy właśnie do polderu, ze wszystkich stron otaczały nas intensywne zapachy stojącej wody i nieprzepuszczalnej roślinności, a w mojej głowie zaświtała myśl, że zanurzenie się razem z nią w tej błotnistej, ciepłej wodzie i oddanie się siłom dużo starszym i bardziej pierwotnym niż nasze własne byłoby swoistym aktem miłości.

Ale nie zostałem. Nie zatrzymałem się, tylko szedłem dalej, krok za krokiem, oddech za oddechem. Dzięki spacerom odbywanym w ostatnich dniach mniej więcej orientowałem się w tym labiryncie ścieżek, więc w czasie, który po fakcie oceniłem na niespełna godzinę, dotarłem do skrzyżowania ścieżek, a stamtąd zobaczyłem już dom Erika. Zapalił lampę narożną; wszystkie inne były pogaszone. Ostrożnie zdjąłem z siebie martwe ciało, umieściłem dziewczynkę w pozycji półsiedzącej przy drzewie, około dwudziestu metrów od domu. Przeszedłem przez furtkę, dotarłem do szopy na narzędzia w najciemniejszym rogu ogrodu i otworzyłem drzwi.

Nie musiałem zapalać światła; prawie od razu natknąłem się na szpadel stojący przy ścianie, wziąłem go i wróciłem do dziewczynki.

Już wymyśliłem miejsce na jej grób i dwadzieścia czy dwadzieścia pięć minut później byłem na miejscu. To było otwarte pole, na które już raz próbowałem wejść, ale z powodu bagiennego podłoża musiałem zawrócić. Teraz przechodziłem ostrożnie z jednej kępy traw na drugą, co wcale nie było takie łatwe w ciemnościach, z dziewczynką wiszącą przez ramię; po chwili jednak księżyc znów się pokazał: duży i błydy księżyc w ostatniej kwadrze. Odszedłem około dziesięciu metrów w bok od ścieżki, po trawie do pasa, zatrzymałem się, położyłem ciało i wbiłem szpadel w ziemię na próbę.

Wszedł tak łatwo, jak sobie wyobrażałem, i - skracając nieco tę historię - wkrótce dziewczynka znalazła się w ziemi. Najdziwniejsze było to, że prawie nie potrzebovałem zasypywać grobu; miałem

wrażenie, że ziemia wessała ją, że jej ciało spowiła mokra, pachnąca gleba, a ja pomyślałem, że to znak, iż to miejsce było jej przeznaczone. Tu i nigdzie indziej.

Wróciłem na ścieżkę. Spojrzałem na zegarek: było dwadzieścia po drugiej. Nagle ogarnęło mnie ogromne zmęczenie; ponad moją głową, w odległości zaledwie kilku metrów pohukiwała sowa, a ja zastanawiałem się, czy dam radę dojść z powrotem do domu.

Udało się. Erik musiał się obudzić na chwilę po tym, jak zabrałem szpadel z szopy, bo lampa narożna była wyłączona. Odłożyłem szpadel na miejsce i poszedłem wziąć prysznic; stałem długo w strumieniu wody i próbowałem zmyć z siebie wszystkie ślady i wspomnienia tego okropnego dnia, a kiedy w końcu położyłem się do łóżka, zrobiła się prawie czwarta rano.

Spałem cztery godziny, znowu wziąłem prysznic i zacząłem pisać.

Po Eriku nie ma śladu, musiał wyjść z domu wcześniej rano. Tak, na pewno siedzi gdzieś z pozostałymi na naradzie. Jest poniedziałek, godzina druga, czuję silny impuls, który każe mi wrócić na pole i znaleźć miejsce, w którym wczorajszej nocy pogrzebałem dziewczynkę, ale rozumiem, że nie mogę mu ulec.

Czuję też inne impulsy, które każą mi się spakować i wynosić stąd, ale jestem potwornie zmęczony.

Poza tym boli mnie stopa, na zewnętrznej stronie kostki u nogi pojawiła się opuchlizna i zasiniony półksiężyc; nie jest to na pewno nic groźnego, ale kilkudniowy odpoczynek w łóżku wydaje się zbyt kuszącą alternatywą, żebym jej nie uległ.

Chciałbym też oczywiście usłyszeć, jakie plany wysmażono na naradzie. Kładę się na leżaku na tarasie pod parasolem i czekam na Erika.

Czuję, że jestem dzisiaj zupełnie innym człowiekiem niż jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu.

Komentarz

sierpień 2007 roku

A jednak tak nie jest. Jedynym efektem procesu linienia i zmiany skóry na nową jest właśnie to. Nowa, świeża skóra. Nasze wnętrze, sedno i nasza prawdziwa tożsamość zawsze pozostają takie same.

Nie możemy od tego uciec, a ja nie potrafię uciec przed tymi dniami i tym, co się wydarzyło. Tamci ludzie przyczepili się do mnie jak kleszcze, wyskali moją krew i rozum, a to, co się dzieje dzisiaj, jest oczywiście tego logiczną konsekwencją. Każde działanie rodzi konsekwencje i prędzej czy później musimy odpowiedzieć za swoje czyny, a ja czuję się odpowiedzialny za te krwawe, lecz nieuniknione czyny, które teraz popełniam.

Przez te wszystkie lata dziewczynka wracała do mnie regularnie w snach: najczęściej były to przerażające i wywołujące fale zimnego potu retrospekcje tych minut wśród fal - i podczas nocnej wędrówki żywego z umarłą przez mady morskie - ale od chwili gdy podjąłem decyzję, sny zmieniły charakter. Od razu pojawiło się w nich światło, wyraźna smuga pojednania; kiedy kilka dni temu w łagodnym świetle poranka spotkałem dziewczynkę w moim pokoju, znajdowaliśmy się na długiej plaży, może gdzieś pomiędzy Mousterlin a Bénodet, nie jestem pewien; rozpoznaliśmy się z daleka i od razu zobaczyłem, że ma swój plecak z wystającymi sztalugami, że uśmiecha się tym charakterystycznym, lekko krzywym uśmiechem, a kiedy doszliśmy do siebie, zatrzymaliśmy się na chwilę, wymieniliśmy pokrępowane frazy, ona dotknęła lekko, delikatnie mojego policzka i rozeszliśmy się, każde w swoją stronę.

Nigdy tego nie powiedziała, ale mogłem zobaczyć w jej twarzy, że cieszyła się, iż nareszcie postanowiłem rozprawić się z tymi ludźmi. Zauważyłem też, że stawała się dorosłą kobietą.

Przyczyna i skutek - kiedy więc ukończę swoje zadanie, wszyscy zobaczą, że chodziło wyłącznie o to.

Czasami we śnie pojawia się też doktor L. - zawsze w tej samej, krótkiej sekwencji - i za każdym razem, kiedy się budzę i pamiętam ten sen, czuję, że moja potrzeba pocieszenia została zaspokojona. Siedzi za swoim dużym, ciemnym biurkiem, ja wchodzę do pokoju, on podnosi wzrok znad papierów, które właśnie czytał, przesuwa okulary na czoło i wita mnie tym szczególnym, zamyślnym skinieniem głowy.

- Rozumiem - mówi. - Nie musisz nic wyjaśniać, rozumiem. Możesz iść dalej.

14-16 sierpnia 2007 roku

19.

We śnie tłoczył się w gromadzie tłustych aniołów.

Właśnie tworzyła się jakaś kolejka; był u stóp schodów wijących się do bramy w zmurszałym murze z białej cegły jakieś pięćdziesiąt metrów powyżej. Tamtędy się wchodziło. Niektórzy aniołowie wydawali się dziwnie znajomi; pierwszą znajomą osobą, którą wśród nich zauważył, była jego była żona Helena - stała kilka schodków wyżej, a on się zdziwił, że udało jej się uzyskać znacznie wyższy status. Przez dwadzieścia pięć lat znajomości nigdy nie była aniołem, wręcz przeciwnie. Tuż obok niej stali bracia Digermanowie, dwaj starzy włamywacze i przestępcy, których wsadził za kratki wiele lat temu, więc może tryb życia nie był aż tak bardzo brany pod uwagę - a teraz, właśnie w tym momencie, zobaczył Axela Wallmana i zastępcę komendanta Jonnerblada. Stali, trzymając się nawzajem za nasadę skrzydeł, całkowicie pochłonięci pogawędką na jakieś niezwykle ważne tematy; może o tym, co trzeba zrobić, żeby przesunąć się o kilka miejsc w kolejce. Z tego, co rozumiał, chodziło właśnie o wejście po schodach do góry i potem przez dziurę w murze, ale zanim się spostrzegł, przemknął obok jak strzała i już był na górze przy bramie.

Czekał tam święty Piotr - ktoś by inny, powinien przecież to wiedzieć, ale proste pytanie, które mu zadał ten białobrody i, faktycznie, lekko zezowaty odźwierny, zaskoczyło go kompletnie.

- Wymień trzy dobre uczynki, jakie spełniłeś podczas swojej wędrówki przez życie.

Tylko trzy? - pomyślał z zadowoleniem, jednak później poczuł się tak, jakby sam siebie zawiązał na supeł. W mózgu doszło do zwarcia, język przyrósł do podniebienia, a on sam zaczął się pocić pod pachami; kilka razy otwierał i zamykał usta, a święty Piotr podniósł pytająco brwi.

Kochałem swoje dzieci, pomyślał, zwłaszcza córkę, ale to się chyba nie nadaje. Przecież wszyscy kochają swoje dzieci, nawet seryjni mordercy i szaleńcy, czyż nie? Tutaj potrzebne było coś bardziej konkretnego, konieczne. No więc co takiego... co, do licha, takiego zrobił w życiu? Gdzie była ta perełka, niepoplamiona ani samolubstwem, ani... jałowym blaskiem codzienności i banału.

Że złapał niejednego złoczyńcę, a jeszcze większej masie pozwolił uciec? Podejrzał, że tym też nie można się tu przechwalać. Czuł, że święty Piotr bez przeszkód zaglądał w jego wnętrze, nie mógł więc sobie pozwolić na wątpliwości.

- A zatem? - dopominał się święty Piotr. - Widzę, że masz czterdzieści siedem lat. Przez te lata czegoś powinieneś się dorobić.

- Ja, po prostu, nie byłem przygotowany - usprawiedliwiał się Barbarotti - na to, że się tu dostanę.

Zauważył, że stojący za nim aniołowie zaczęli się awanturować z powodu jego opieszałości przy bramie, i pomyślał, że to dziwne, iż byli już wystrojeni w skrzydła i białe długie koszule - przecież jeszcze nie przeszli przez perłową bramę. A może tylko na chwilę stamtąd wyszli, by się rozerwać? Gdzieś na ziemi załatwić jakieś sprawy? Czy oni już mają przepustkę? W każdym razie byli tłuści, niektórzy wręcz bezkształtni; rozpoznał jeszcze niejakiego Conny'ego, zwanego Długim Connym, który często stał za barem w restauracji Algen z półprzymkniętymi powiekami i zgaszonym niedopałkiem cygara w kąciku ust - to właśnie on kompletnie zmienił kształt i wyglądał, jakby miał około metra sześćdziesięciu wysokości i ważył sto trzydzieści kilogramów.

Święty Piotr prześwidrował Barbarottiego wzrokiem, następnie odhaczył jego nazwisko w wielkiej księdze meldunkowej leżącej przed nim na stole i zniecierpliwiony machnął ręką.

- Wynocha - powiedział. - Dostaniesz jeszcze kilka lat. Ale jak tu przyjdiesz następnym razem, nie chcę usłyszeć tego samego. Bo cię wyślę do piekła.

Wdzięczny Barbarotti kiwnął głową, a święty Piotr uderzył młoteczką w dzwonek podobny do tych, jakie czasami można zobaczyć na ladzie w recepcji staroświeckiego hotelu, a następnie cała scena rozwiązała się jak mgła.

Ale dźwięk dzwoneczka nie ustawał, a sen rozbił się gwałtownie o nieurodzajną powierzchnię jawy. Leżał we własnym łóżku, zawinięty w prześcieradło i kołdrę, a ten uparty dźwięk nie pochodził oczywiście ze staromodnej portierni, lecz z telefonu komórkowego, który leżał obok, na szafce nocnej. Zanim się zorientował, co robi, odebrał.

To była Helena.

Przez chwilę myślał, że to dalszy ciąg snu. Wydało mu się całkowitą niedorzecznością, że jego żona pojawia się zarówno we śnie, jak i na jawie - i to w tak krótkich odstępach czasu - jednak realna nuta octu i papieru ściernego w jej głosie rozwiązała jego wątpliwości. To ona, całkiem prawdziwa.

- Dzwoniła Gittan - rzuciła. - Czytała „Expressen”. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Gittan była starą przyjaciółką, niegdyś wspólną, ale od czasu rozwodu wyłącznie jego byłej żony. Mieszkała w Huddinge i wołała gady od mężczyzn.

- Co? - powiedział Gunnar Barbarotti. - Która godzina?

- Za piętnaście ósma, a jakie to ma znaczenie? W „Expressen” napisali, że pobiłeś dziennikarza.

- Co?
- Przecież słyszałeś.
- No, słyszałem, ale nie wiem, o co ci chodzi? - wykrztusił

Barbarotti, wyplątując się z pościeli.

Za piętnaście ósma? Przecież nastawił budzik na za piętnaście siódma.

- Gittan przeczytała to na tablicach z nagłówkami gazet w kiosku, gdy szła do pracy. W stolicy gazety popołudniowe wychodzą wcześniej. Chcę tylko wiedzieć, jak mam to wyjaśnić dzieciom.

- Ach tak.

Do jego świadomości z wolna docierał sens usłyszonej przed chwilą wiadomości, jak jad po ukąszeniu żmii, i zrozumiał, że święty Piotr popełnił poważny błąd, wysyłając go z powrotem na ziemię.

- Oddzwonię później - powiedział. - Nikogo nie pobitem.

Powiedz to Larsowi i Martinowi.

Wstał, poszedł do łazienki i schował się pod prysznicem.

Następna rozmowa przysłała osiem po ósmej. Tym razem dzwoniła inspektor Backman.

- Rozszalała się burza - zaczęła. - Chciałam cię tylko ostrzec, jeśli jeszcze nie wiesz.

- Dzięki, słyszałem - powiedział Barbarotti.
- Wpłynęło na ciebie zgłoszenie o pobicie.
- Tak podejrzewałem. Pogadamy później.

Kiedy się rozłączył, zadzwonił dziennikarz z „Aftonbladet”. Zapytał o komentarz. Barbarotti wyjaśnił, że nie będzie nic komentował, oprócz tego, że jeszcze nie przeczytał gazety ich szacownego konkurenta i że absolutnie nikogo nie pobił.

Potem się ubrał, a wtedy zadzwonił zastępca komendanta Jonnerblad.

- Jesteś do odwołania odsunięty od dochodzenia - poinformował, a głos brzmiał tak, jakby jego właściciel właśnie przegryzał pręt zbrojeniowy.

- Dziękuję - powiedział Barbarotti. - Coś jeszcze?
- Nie musisz dzisiaj przychodzić do pracy. I trzymaj się z dala od prasy. Jasne?
- Jak słońce - odrzekł Barbarotti.
- Ani pary z ust - rozkazał Jonnerblad.
- Tak jest - odparł Barbarotti i rozłączył się.

Włączył ekspres przelewowy i właśnie zaczął przygotowywać dwie kanapki, kiedy zadzwonili z publicznej SVT z propozycją, by przyjechał do królewskiego miasta, Sztokholmu, i wystąpił jutro w porannym programie informacyjnym. Barbarotti wyjaśnił, że, niestety, dla dobra śledztwa musi odmówić, i rozłączył się. Usiadł przy stole w kuchni, a wtedy zadzwonili z TV4. Zaproponowali, żeby wystąpił u nich jako gość w wieczornym programie informacyjnym; Barbarotti poinformował grzecznie, choć stanowczo, że, niestety, jest już umówiony, i rozłączył się.

Wypił łyk kawy, ugryzł pierwszą kanapkę, a wówczas zadzwonili z programu radiowego Efter Tre. Zanim dzwoniąca kobieta zdążyła przedstawić swoją sprawę, Barbarotti wyjaśnił, że prowadzi właśnie ważne przesłuchanie i nie ma czasu na rozmowy.

Następnie wyłączył oba telefony, zjadł w spokoju śniadanie i przeczytał lokalną gazetę poranną. Nie było w niej ani słowa o policjancie bijącym ludzi.

Marianne, pomyślał. Marianne też przeżyje szok, gdy zobaczy nagłówki dzisiejszej „Expressen”.

Kiedy ponownie aktywował swoje kanały do świata zewnętrznego, minęła dziesiąta; tymczasem siedział czterdzieści pięć minut w wannie, słuchając suit Bacha na wiolonczelę, odmówił trzypunktową modlitwę egzystencjalną, a teraz zobaczył, że ma dwanaście nieodebranych połączeń na telefonie stacjonarnym.

Czternaście na komórce i po sześć wiadomości na każdym telefonie.

Jestem rozchwytywany, pomyślał inspektor Barbarotti. Słowo daje.

Albo w oku cyklonu, zależy, jak na to spojrzeć.

„Odsunięty do odwołania”?

Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

„Zgłoszenie pobicia”? To już się zdarzało. Każdemu się przytrafia, ale zazwyczaj chodzi o jakiegoś znanego przestępcę, który się wkurzył i postanowił się odgryźć. Postępowania w takich sprawach zawsze umarzano; można powiedzieć, że taki był standard: najpierw zgłoszenie, potem umorzenie. A szkoda, ponieważ czasem policjantom rzeczywiście zdarzało się stracić głowę i przyłożyć temu czy owemu, wszyscy to wiedzieli.

Jednak nie mógł sobie przypomnieć, żeby zgłoszenia dokonał dziennikarz prasowy, ale może i to już się wcześniej zdarzyło.

Nie miał jeszcze odwagi wyjść z domu, żeby kupić popołudniówkę; nie był pewien, o której gazety docierały do Kymlinge, a nie chciało mu się wychodzić po to, by zaraz wrócić z gołymi rękami. Najlepiej będzie poczekać jeszcze z pół godziny. Może wymyśli tymczasem jakieś przebranie.

Ale Marianne jeszcze nie dzwoniła. Zastanawiał się, dlaczego. Tak naprawdę była to jedyna sprawa, na której mu zależało. Z wolna docierała do niego ta oczywista prawda, że było mu obojętne, a przynajmniej nie za mocno go obchodziło, co myślał o nim świat, natomiast reakcja Marianne miała witalne znaczenie, w pierwotnym rozumieniu tego słowa - stanowiła o życiu i śmierci.

Wziął ze sobą ten problem, oba telefony i wyszedł posiedzieć na balkonie.

A zatem, dlaczego jeszcze nie zadzwoniła? Albo, całkiem po prostu, jeszcze nie dowiedziała się o skandalu dnia, albo... albo już o nim przeczytała, ale postanowiła milczeć.

To drugie rozwiązanie nie mogło być prawdą. Niech to jasna cholera, pod żadnym pozorem, pomyślał Gunnar Barbarotti. To, że

wypchnął tego przekłętego dziennikarzynę Perssona przez drzwi, po prostu nie mogło wywołać tak katastrofalnych skutków w jego życiu prywatnym. Sprawy nie mogą pójść w tym kierunku; rozmawiał o tym z Bogiem, kiedy leżał w wannie i słuchał Bacha, i Bóg był tego samego zdania.

Odsłuchiwał wiadomości. Dwie pochodziły od Jonnerblada - po jednej na każdym telefonie - dwie kolejne od inspektor Backman, pięć od najróżniejszych dziennikarzy, a pozostałe trzy od przyjaciół, którzy, jak można było wyczuć z ich głosu, zapoznali się z treścią dzisiejszego wydania „Expressen”.

Zarówno Jonnerblad, jak i Backman prosili, żeby nawiązał z nimi kontakt, a on bez problemu wybrał drogę komunikacji. Bez żadnego problemu.

Prywatny numer komórkowy Ewy Backman. Rzadko go wyłączała i tym razem również odebrała, po trzech sygnałach, i poprosiła, żeby chwilę poczekał. Domyślił się, że chciała znaleźć spokojne, odludne miejsce na rozmowę, a kiedy znów się odezwała, uzmysłowił sobie, że właśnie ją wybrałby spośród wszystkich policjantów na świecie, gdyby miał spędzić rok na bezludnej wyspie z kolegą z pracy.

Gdybyśmy nie mieli sześciorga dzieci z całkiem innymi partnerami, moglibyśmy zostać parą, przebiegło mu przez myśl. Nie była to zresztą wcale jakaś nowa myśl, tyle że od jakiegoś czasu leżała odłogiem. Brakowało jej nawozu.

- No i co tam u ciebie? - zapytała. - Trochę się martwię.
- Spokojnie - odpowiedział Gunnar Barbarotti i usłyszał dzwonek telefonu stacjonarnego. Sprawdził na wyświetlaczu, że to nie Marianne, więc nie odbierał. - Chociaż jeszcze nie przeczytałem gazety. Co tam właściwie piszą?

- To jakiś idiotyzm - odparła Backman. - I te tablice z nagłówkami gazet, i to wszystko. A co tak naprawdę się zdarzyło?

- Ten sukinsyn próbował wczoraj wieczorem wcisnąć się do mnie do mieszkania. Wypchnąłem go na klatkę schodową.

- Tak myślałam. W gazecie napisali, że go pobiełeś i zrzuciłeś ze schodów. Najwyraźniej udało mu się cudem poobijać. Jonnerblad prowadzi właśnie kolejną konferencję prasową, ale chce później z tobą pogadać.

- Tak, rozumiem.

- To dobrze.

- I jestem odsunięty?

- Z tego, co rozumiem, tak, do odwołania. I może dobrze.

Lepiej żebyś teraz nie rzucał się w oczy. Nastroje są dość bojowe.

- Naprawdę? - spytał Barbarotti. - A co nowego w śledztwie?

- Zrobiliśmy drobny krok naprzód - wyjaśniła Eva Backman, a w jej głosie można było wyczuć wymuszony optymizm.

- Naprzód? - zapytał.

- Tak, dowiedzieliśmy się, że ta para, Henrik i Katarina Malmgrenowie, pojechali prawdopodobnie na urlop do Danii, a przed chwilą Smutas powiedział, że chyba popłynęli wieczornym promem do Frederikshavn... w niedzielę, o ile dobrze zrozumiałam. Ale nie wszystko jest jasne. Zdaje się, że on nadal coś wyjaśnia z armatorem.

- Tak? - zdziwił się Barbarotti. - Co jest niejasne?

- Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do ciebie, jak pogadam ze Smutasem. Gotowa jest też analiza trzech pierwszych listów. Linköping przysłało raport, z którego wynika, że nie ma ani odcisków palców, ani śladów śliny... Wygląda na to, że nasz przyjaciel morderca jest bardzo dokładny, ale to wiedzieliśmy już wcześniej.

- Tak przeczuwaliśmy - zgodził się Barbarotti. - No dobrze, to powiedz Jonnerbladowi, żeby zadzwonił do mnie na komórkę, jakby co. Będę ją włączał na pięć minut po każdej półgodzinie; w powietrzu jest za dużo gnoju, żebym mógł ją mieć włączoną przez cały czas.

- Rozumiem - odrzekła Eva Backman. - Jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiał, iż jestem za miękka, to ci powiem, że żal mi ciebie.

- Ale jesteś mięczak - powiedział Barbarotti.

- Tak, chyba tak - zgodziła się Eva Backman i zaczęła się śmiać. - Nie zapominaj, że jestem kobietą. Dzięki temu mam w sobie żyłkę empatii, której facetom brakuje.

- Empa... co? Jak to szło?

- Daj sobie siana. Tak czy inaczej, zamierzam cię odwiedzić po pracy. Mam jakieś problemy komunikacyjne z tą bandą... jeśli nie masz innych planów, co?

- Przyjeżdżaj, będę czekać. Postawię ci piwo na balkonie. A co z twoim urlopem?

- Wygląda na to, że przesunie się o kolejne dni. A Ville straszy, że zaraz wróć z urlopu na działkę, bo chłopcy zaczęli narzekać na jedzenie.

- Policjanci w ogóle nie powinni mieć urlopu - stwierdził Barbarotti. - To tylko zaburza procedury. No dobra, nie mam już czasu na pogaduszki. Muszę iść po gazetę, potem położę się na kanapie i pobyczę się parę godzin.

- Cofam tamte słowa, że mi cię żal - powiedziała Eva Backman i rozłączyła się.

Było gorzej, niż przypuszczał.

Choć miał niezłą wyobraźnię. Usiadł przy stole w kuchni, rozłożył przed sobą gazetę i poczuł, ku swemu zdziwieniu, że jest mu niedobrze.

Był ozdobą całej pierwszej strony Połowę zajmował tytuł, napisany olbrzymimi literami.

**POLICJANT POBIŁ DO NIEPRZYTOMNOŚCI REPORTERA
„EXPRESSEN”**

Drugą połowę zajmowało ogromne, ziarniste zdjęcie, które fotograficznemu geniuszowi flesza udało się zrobić, dokładnie w momencie gdy wciskał pięści w pierś Görana Perssona. Nie wyglądało to najlepiej; najostrejszy na całym zdjęciu był wyraz twarzy Barbarottiego, do złudzenia przypominającego mistrza karate, który z pełną determinacją zadaje śmiertelny cios swojemu bezbronnemu przeciwnikowi.

I wyglądało na to, że ten cholerny reporter rzeczywiście upadał bezwładnie w tył.

Ale żeby od razu do nieprzytomności? Od pięści wciśniętych w pierś?

Przerzucił kartki do strony ósmej, gdzie odsłanianą pełną prawdę o tym najświeższym przykładzie brutalności policji, odmalowując ją w najdrobniejszych, przerażających szczegółach. Pełen najbardziej pokojowych zamiarów, doświadczony i szcycący się ogromną biegłością zawodową reporter śledczy Göran Persson próbował uzyskać komentarz na temat sprawy od policjanta o nazwisku Gunnar Barbarotti, zamieszkałego w trypokojowym mieszkaniu w centrum Kymlinge - z uwagi na to, że sprawca dwóch morderstw, które niedawno miały miejsce w tym mieście, pisał listy właśnie do niego; sprawę tę opisywano szczegółowo w poniedziałkowym wydaniu gazety. A wówczas niczym niesprowokowany Barbarotti zaatakował biednego, bezbronnego reportera, wymierzając mu silne ciosy, a następnie zrzucając go ze stromych schodów, co spowodowało utratę przytomności i złamanie dwóch kości w jego ciele.

W jego ciele? - pomyślał Barbarotti. Tak jakby kości mogły się znajdować gdzieś indziej.

Zszokowany i poturbowany Göran Persson udał się z pomocą towarzyszącego mu fotografa do szpitala w Kymlinge, gdzie spędził noc. Zdarzenie to zostało zgłoszone na policję, kładąc się, rzecz jasna, cieniem na jej działalności, i stanowi przeszkodę w dochodzeniu prowadzonym aktualnie przez policję w Kymlinge przy pomocy

kolegów z Göteborga oraz Centralnego Biura Śledczego - jak dotąd bez żadnego powodzenia - mającym na celu złapanie piszącego listy mordercy, który dotychczas ma na sumieniu, prawdopodobnie, dwie ofiary.

Kładąc się cieniem? - pomyślał Barbarotti. Może rzeczywiście trochę stuknął się w głowę?

Wbrew zwyczajom pod tekstem brakowało nazwiska autora, może ktoś w gazecie stwierdził, że podpisanie reportażu nazwiskiem Görana Perssona oznaczałoby, że siedzi w tym wypadku na zbyt wielu krzesłach.

Prowadzący śledztwo zastępca komendanta Jonnerblad nie odpowiadał na próby skontaktowania się czynione przez „Expressen” w celu uzyskania komentarza na temat brutalnego ataku inspektora Barbarottiego na wolne media i jego przedstawicieli. W wyniku pospiesznie przeprowadzonego badania opinii publicznej w Kymlinge i najbliższych okolicach ustalono, że sześćdziesiąt sześć procent badanych nie ma zaufania lub ma niewielkie zaufanie do policji i jej zdolności poradenia sobie z narastającą przestępczością. Przykładowo, tego lata nie wykryto sprawców żadnego z dwudziestu dwóch zgłoszonych włamań do domów jednorodzinnych w tym okręgu. Można sobie zadać pytanie, czym właściwie policja się zajmuje.

Na stronie piątej umieszczono więcej zdjęć weteranów Perssona i Barbarottiego, a ten ostatni nie mógł zrozumieć, skąd oni wzięli jego zdjęcia; wyglądał na nich bardzo niechlujnie, jakby właśnie wstał z łóżka po nocy spędzonej na trzeźwieniu w jakimś rowie, miał ogromne cienie pod oczami i do złudzenia przypominał zmarłego Christera Petterssona. Natomiast dziennikarz miał rozciętą wargę, siniaka pod okiem i zakrwawiony bandaż na głowie; przypominał trochę pacjenta z rozedmą dopiero co przejechanego przez walec drogowy.

Pieprzony dupek, pomyślał inspektor Barbarotti. Jak go jeszcze raz zobaczę, to naprawdę mu przywalę.

A potem stwierdził, że takie właśnie myśli charakteryzują wszystkich przestępców.

Wsunął na chybił trafił palec w Biblię.

To samo miejsce. Dziwne. Jak duże było prawdopodobieństwo? Choć może po prostu za pierwszym razem książka leżała otwarta na tym miejscu przez dłuższą chwilę; trzeba pamiętać, że właśnie na tym polegają różne triki karciane. Możliwe, że stare książki zawsze otwierają się na najbardziej wyczytanych stronach, jeśli zdać się tylko na los. Albo na palec wskazujący.

A zatem Matusz.

„(...) lecz jeśli twoje oko jest chore, całe twoje ciało będzie w ciemności. Jeśli więc światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność!”

Spojrzał na dalszy ciąg tekstu i stwierdził, że chodziło tutaj o sprawy zasadnicze.

Obok siebie stali tu Ojciec Nasz i Bóg oraz Mamona - ale wskazówka dla mnie głosi, że „moje oko jest chore”. Co to oznacza? Czego powinien się z tego nauczyć?

Nie potrzebował wskazówek, by zrozumieć, że aktualnie otacza go ciemność.

Zatrzasnął Biblię z głośnym westchnieniem i włączył telefon komórkowy.

Cztery nowe wiadomości głosowe i najważniejsze: SMS od Marianne.

Wreszcie, pomyślał i niezdarnie naciskał klawisze. Ścieżka mojego życia doszła właśnie do rozstaju dróg.

Marianne prosiła o czas.

Tak można było to przedstawić w wariancie optymistycznym. W związku z tym, co dzisiaj przeczytała w „Expressen”, potrzebowała czasu na przemyślenie sprawy. Napisała tak: „Czytałam, muszę pomyśleć”. Podejmowanie decyzji bez namysłu byłoby błędem. Ale nie ma przeszkód, żeby zadzwonił.

To wszystko. Z piętnaście minut dreptał wokół w poczuciu nerwowej niepewności, zanim zebrał się na odwagę. Nie odpowiedziała. Dreptał kolejne dziesięć minut. Spróbował ponownie, tym razem odebrała.

- Nie wierz w to, co piszą w gazecie - powiedział. - Wcale tak nie było.

Rozumiał jednak, że brzmi to strasznie nieprzekonująco. Tak jakby notoryczny nałogowiec próbował wyjaśnić, dlaczego pobił swoją żonę po raz trzydziesty czwarty. „To nie moja wina”. Minęło kilka złowieszczych sekund; ona nie komentowała, a on przynajmniej wykazał przytomność umysłu i powstrzymał się od kolejnych idiotycznych wyjaśnień.

- Rzeczywiście, bardzo bym chciała wiedzieć, co tak naprawdę się zdarzyło - powiedziała w końcu. - To jasne. Dotyczy to również dzieci. Może przede wszystkim dzieci; czytały gazetę i trudno im uwierzyć, że to ty. Nie wiem, co mam im powiedzieć.

Przełknął ślinę. Dzieci? Kilka godzin temu Helena powiedziała mu w zasadzie to samo.

- Rozumiem - odrzekł. - Było tak. Ten dziennikarz próbował weisnąć się do mojego mieszkania. Wypchnąłem go przez drzwi i tyle.

- To wszystko?

- Tak.

Cisza. Czuł, jakby w jego brzuchu ktoś wiercił dziurę pięścią.

- Nie wierzysz mi?

- Gunnar, nie wiem, w co mam wierzyć.

- Wybierasz wersję opisaną w „Expressen”?

- Nie, oczywiście, że nie. Mówię tylko, że... że trudno jest wyjaśnić takie rzeczy dzieciom.

- Już to mówiłaś. A co będzie z... nami?

Wahała się przez moment. Ciemne sekundy przepływały obok w drodze do ziemi niczyjej. Albo na cmentarz. Albo do piekła.

Skąd mi się biorą te wszystkie obrazy? - pomyślał. Znowu te obrazy i myśli pozbawione kontekstu.

- Nie wiem, co będzie z nami - odpowiedziała wreszcie. - Musisz mi dać więcej czasu.

- Mówisz to tylko z powodu tego artykułu w „Expressen”?

- Nie...

- Byłbym wdzięczny za szczerą odpowiedź, Marianne. Bo tydzień temu poprosiłem cię o rękę. Obiecałaś mi odpowiedź w tę środę. Dzisiaj mamy wtorek.

- Tak, wiem, jaki dziś dzień.

- To dobrze. W takim razie zadzwonię jutro, tak jak się umówiliśmy.

- Jeśli zadzwonisz jutro, usłyszysz „nie”. Nie masz prawa tak na mnie naciskać.

- *All right*, więc nie zadzwonię. Podasz mi nową datę czy mam to traktować jako zamknięty rozdział?

- Dlaczego naciskasz, Gunnar? Nie mogę w tej chwili podjąć takiej decyzji, czy to takie dziwne?

Powstrzymał się od komentarza i zastanowił, a jednocześnie poczuł lekką dumę, że mu się faktycznie udało. Ugryźć w język.

Chyba wydorostałem, pomyślał. Gdyby coś takiego zdarzyło się w czasach Heleny, to już by trzasnęła słuchawką.

- Przepraszam, mam dziś zły dzień - powiedział. - Obsmarowali mnie w całej Szwecji jako łobuza. Wpłynęło na mnie zgłoszenie na policję, właśnie mnie wywalili z pracy, a kobieta, którą kocham, mnie nie chce.

- Wywalili cię z pracy?

- Przynajmniej dostałem polecenie, żeby dzisiaj nie przychodzić do pracy

- No, przecież tak nie można...

- Owszem, można. I z uwagi na sytuację jest to zupełnie naturalne. Prawda?

W słuchawce słyhać było jej zatroskany oddech.

Że też można w oddechu usłyszeć zatroskanie, pomyślał. Że też można to było usłyszeć przez telefon. Z jakiegoś powodu uznał to za pocieszenie.

- Gunnar, zróbmy tak - zaproponowała - zadzwoń do mnie w sobotę. Porozmawiam o tym z Johanem i Jenny, muszę to zrobić... Dasz radę?

- Mam nadzieję - powiedział Gunnar Barbarotti. - Ja też potrzebuję czasu, żeby pewne sprawy powyjaśnić.

- Czyli w sobotę?

- W sobotę.

Kiedy skończyli, poczuł się w każdym razie trochę lepiej niż przed rozmową. Przynajmniej tak sobie wmawiał. Wyłączył telefon, nie odsłuchując nawet pozostałych wiadomości.

Moje wnętrze, pomyślał. Ciemność czy światło? Cmentarz czy piekło?

Zmiał „Expressen” i wcisnął do kosza na śmieci; wyszedł na balkon, usiadł w fotelu i zaczął rozwiązywać krzyżówkę.

20.

Inspektor Backman pojawiła się około wpół do siódmej, taszcząc pod pachą trzy grube, czerwone segregatory.

- Pomyślałam, że potrzebujesz trochę stymulacji! - zawołała w wejściu.

- Dzięki - mruknął Barbarotti.

- Żebyś nie musiał chodzić do parku i karmić gołębi.

- Właśnie.

- Przeczytaj je dziś wieczorem, to je jutro odbiorę, jadąc do pracy, dobra? Masz tu w zasadzie wszystko, czym na dzień dzisiejszy dysponujemy. Większą część informacji już znasz.

- Czy Jonnerblad i Asunander o tym wiedzą?
- Wcale nie pytałam - odpowiedziała Eva Backman.
- Sprytnie - skomentował Barbarotti. - Chodź, usiądziemy na balkonie. Chyba masz czas na małe piwo.

- Jak najbardziej. Moi faceci nie spełnili pogroźek o powrocie do domu. A wieczór mamy piękny.

- Jakieś towarzystwo przygotowuje sobie rakowe przyjęcie na sąsiednim podwórku - zapowiedział Barbarotti. - Możemy podczepić się pod ich szampański nastrój.

Inspektor Backman uśmiechnęła się.

- Super - powiedziała i siadła na jednym z dwóch leżaków. - Naprawdę pomyślałeś o wszystkim.

- Człowiek się stara - mruknął Barbarotti.

Poszedł do kuchni i wrócił z dwoma piwami i wysokimi szklankami.

Balkon był wprawdzie mały, ale wystarczający dla dwóch osób, pomyślał bezwiednie.

- Ale w zamian poproszę o najświeższe informacje - uśmiechnął się. - Swoimi słowami i łopatologicznie, zanim zacznę czytać. No bo chyba nie udało wam się rozwiązać sprawy w ciągu dzisiejszego dnia?

- Nie całkiem - przyznała Backman. - Chociaż z tą parą z Göteborga nie jest chyba, niestety, za wesoło.

Barbarotti nalał piwa, podnieśli szklanki w toaście i wypili każde po głębokim łyku.

- Ach tak? - powiedział Barbarotti. - Nie za wesoło?

- Aha - przytaknęła Backman, odchylając się do tyłu. - Cholera, fajniej pracować na balkonie niż w komendzie. Myślę, że w takich warunkach udałoby się szybciej rozwiązać wiele dochodzeń.

- Możemy wprowadzić taki zwyczaj na stałe - zaproponował Barbarotti. - Przynajmniej dopóty, dopóki jestem odsunięty. Jeśli będziesz tu przychodzić co wieczór i informować mnie o rozwoju sytuacji, to dostaniesz w nagrodę piwo.

- Dlaczego by nie - stwierdziła Eva Backman z uśmiechem.
- Nie za wesoło?

Odchrząknęła i spoważniała.

- Tak, na to wygląda. Z tego, co wiemy, Henrik i Katarina Malmgrenowie wsiedli w niedzielę na nocny prom z Göteborga do Frederikshavn i wiele wskazuje na to, że nie wysiedli z niego po duńskiej stronie.

- Wiele wskazuje na to...? - powtórzył Gunnar Barbarotti. - Co to oznacza?

- Że ich samochód nadal stoi na pokładzie samochodowym na promie, na przykład - odpowiedziała Eva Backman. - No tak, to w zasadzie jedyna poszlaka, ale jej waga jest znacząca. Nieprawdaż?

- Czyli nie zjechali samochodem na ląd?

- No właśnie nie. Zapakowane po dach gratami urlopowymi audi nadal tam stoi i można by oczywiście snuć teorie, że postanowili olać samochód i bagaże i wyruszyć na urlop piechotą, ale nikt z grupy dochodzeniowej nie wymyślił, jak dotąd, sensownego wytłumaczenia dla takiego zachowania. Może tobie się uda?

Gunnar Barbarotti zmarszczył czoło.

- Sugerujesz, że zamordowano ich na pokładzie i...?

- I rzucono do morza. Po prostu. To tylko teoria. Inna teoria jest taka, że zostali zamordowani i wpakowani do innego pojazdu... a po jakimś czasie zostaną zakopani w jakimś bagienku w Danii. Albo gdzieś na kontynencie, do wyboru, do koloru.

- Przejeżdżali przez granicę z trupami w bagażniku? Brzmi dość makabrycznie.

- W Europie nie ma już praktycznie granic - powiedziała Backman. - Ale oczywiście zgadzam się, bardziej prawdopodobny jest wariant wyrzucenia za burtę pod osłoną nocy.

- Jasna cholera - podsumował Gunnar Barbarotti. - Naprawdę tak myślicie?

- A jakie ty wyciągasz wnioski? - zapytała Eva Backman.
- Jeszcze nie wiem.
- Dwoje ludzi wjeżdża na prom swoim samochodem. Kiedy cztery godziny później wszyscy pasażerowie schodzą na ląd i prom jest pusty, ich samochód nadal tam stoi. *Ergo?*

Barbarotti nie odpowiedział. W ciszy przyglądał się trzem czerwonym segregatorom z materiałami ze śledztwa. Odpędził ręką osę, zwabioną zapachem.

- A związek z pozostałymi ofiarami?
- Prawdę powiedziawszy, nie zdążyliśmy się tym jeszcze zająć. Ewidentnych związków brak. Henrik Malmgren jest doktorem habilitowanym i wykłada filozofię na uniwersytecie w Göteborgu. Jego żona Katarina jest pielęgniarką anestezyjologiczną w szpitalu Sahlgrenska. Jedno trzydzieści siedem lat, drugie trzydzieści cztery, bezdzietni i nienotowani w rejestrze przestępstw.

- To już wiem - powiedział Barbarotti. - Przeszukaliście dom?

Spojrzała na zegarek.

- Właśnie zaczynają. Na miejscu są Tallin, Jonnerblad i Astor Nilsson. Prokuratorowi zajęło to trochę czasu, ale samochód został zatrzymany. To nasz główny ślad, cytując Centralne Biuro Śledcze.

- Główny ślad? Przecież szukamy ofiar. Wydawało mi się, że termin „główny ślad” dotyczy zwykle sprawców?

- Też tak myślałam - przytaknęła Eva Backman, upijając łyk piwa. - No tak, ale my, miejscowi policjanci, też nie mamy się czym chwalić, niestety. W każdym razie Jonnerblad wziął cię w obronę przed prasą i wydaje mi się, że „Aftonbladet” opisie cię jutro w trochę lepszym świetle.

- Tak, słyszałem - powiedział Barbarotti.
- Słyszałeś?
- Parę godzin temu rozmawiałem z Jonnerbladem. Ale kto czytuje sprostowania?

- Prawie nikt - stwierdziła Backman.

- No właśnie, prawie nikt. Przynajmniej w tym mieście stałem się twarzą przemocy policyjnej i będzie to nade mną wisiało przez wiele lat. Jonnerblad powiedział też, że nie pozwoli mi na razie wrócić do grupy, bo w tej sytuacji byłaby to zła taktyka.

Eva Backman kiwnęła głową.

- Uznał, że przynajmniej do czasu wycofania przez „Expressen” zgłoszenia o pobicie... byłoby to prowokacją wobec powszechnego pojmowania sprawiedliwości.

- Jest jeszcze jeden powód trzymania cię z dala od dochodzenia - powiedziała Eva Backman.

- Tak? Jaki?

- Jesteś adresatem listów mordercy. Można to uznać za powód wyłączenia z uwagi na ewentualną stronniczość.

- Czyli gdyby adresował listy na komendę, to wszyscy policjanci musieliby być odsunięci od dochodzenia?

- No nie...

- Musielibyśmy wynająć gliniarzy z Estonii?

Eva Backman znowu się roześmiała.

- Może i tak. Powodem twojego wykluczenia jest raczej ten pierwszy powód. Na razie jesteś za bardzo wyeksponowany, a, jak sam mówisz, ludzie potrzebują czasu, żeby zapomnieć. Przynajmniej kilka dni.

- Co wcale nie oznacza, że nie mógłbym po prostu siedzieć we własnym pokoju na komendzie i prowadzić czynności śledczych.

- To fakt. Ale tutaj jest dużo przyjemniej, już to chyba mówiłam.

- Taak... - westchnął Barbarotti. - Chcesz jeszcze jedno piwo?

Backman pokręciła głową.

- Miałam zamiar trochę pobiegać wieczorem, a z dwoma piwami w brzuchu będzie mi dość ciężko.

Barbarotti skinął głową i postukał knykciami w segregatory.

- To ruszaj - powiedział. - A ja spędzę wieczór, studiując materiały. Jak przyjedziesz po nie rano, powiem ci, co myślę.

Kiedy inspektor Backman podniosła się z fotela, z sąsiedniego podwórka rozległa się pijacka przyśpiewka *Helan går*.

- No proszę - mruknęła, spoglądając przez balustradę. - Kiedyś i nam będzie dane iść na imprezę, zobaczysz.

- Zawsze możemy mieć nadzieję - powiedział Gunnar Barbarotti. - A zresztą. Co z twoim urlopem?

- Przesunięty do odwołania - odpowiedziała inspektor Backman. - A co myślałeś?

Mniej więcej trzy godziny i około tuzina pijackich przyśpiewek później przeczytał już materiały ze wszystkich trzech segregatorów. Zapadł zmrok, a ponad nieregularnym miedzianym dachem Szkoły Katedralnej żeglował marmurkowy, żółtoczerwony, sierpniowy księżyc. Kawki już ucichły, z wyjątkiem tych podchmielonych i skrzeczących na sąsiednim podwórku. Nadal siedział na balkonie; niepostrzeżenie nadciągnął wieczorny chłód, ale wełniany sweter i koc przykrywający nogi na razie wystarczały.

Co za przedziwna sprawa. Wiedział to wprawdzie, jeszcze zanim zaczął się przekopywać przez materiały z dochodzenia, ale nie mógł sobie darować, żeby tego nie pomyśleć kolejny raz, kiedy już skończył. Jedna z najdziwniejszych w jego karierze policjanta.

I przerażająca. Szczególnie kiedy człowiek próbował sobie wyobrazić sprawcę. Narysować portret takiego człowieka.

Jeśli Henrik i Katarina Malmgrenowie rzeczywiście zostali zamordowani, to sprawca miał na sumieniu czworo ludzi. Już samo to, liczba ofiar, czyniło go wyjątkowym. Nie ma w kraju wielu morderców z czterema trupami na karku- Barbarotti był tego pewien.

Większość z tych, którzy odsiadywali kary w więzieniach w Hall, Österåker albo Kumli, miało na sumieniu jedną ofiarę, zaledwie kilku dwie lub trzy. Ktoś, kto pozbawił życia cztery osoby, grał niewątpliwie w pierwszej lidze.

Albo ostatniej - zależy, jaką skalę zastosować.

Barbarotti podejrzewał, że jest to przypadek wyjątkowy nawet w skali międzynarodowej, a to z powodu listów z informacjami, które sprawca napisał do policji we wszystkich czterech przypadkach. Lillieskog twierdził, że nie znał podobnych przypadków - dlatego miał tyle wątpliwości przy określaniu profilu. Profil sprawcy tworzyło się na podstawie posiadanych doświadczeń, a praca bez wcześniejszych doświadczeń to jak stąpanie po bardzo grząskim gruncie. I to by było na tyle.

Wśród wielu dokumentów w segregatorach była również opinia znanego kryminologa, który twierdził, że „być może, wyjątkowo, tym razem chodziło o mordercę, który miał więcej niż jedną szarą komórkę, i dlatego policja aktualnie była w kropce”, a Barbarotti był skłonny przychylić się do tej ogólnikowo sformułowanej hipotezy.

Przebiegły drań, nie da się ukryć. Może wcześniej niekarany. Może kierujący się bezwzględną determinacją w realizacji planu i obronie przed złapaniem. Dokładnie tak, jak wcześniej twierdził Lillieskog.

Morderstwa nie są przypadkowe, a sprawca, mimo dużej liczby ofiar, nie jest seryjnym mordercą. Po zabiciu tych, których zabić zamierzał, przestanie to robić. Pytanie tylko, jak długa jest lista. A przede wszystkim, co łączyło ludzi z tej listy.

Były oczywiście i inne pytania. Na przykład, czy uda się go powstrzymać, zanim skończy? Zanim zamorduje wszystkich, których obejmuje jego plan? Czy uda się go w ogóle złapać?

A Hans Andersson? Co miało znaczyć, że - używając słów sprawcy - „Hans Andersson jeszcze pożyje”? Czy rzeczywiście istniała potencjalna ofiara o tym nazwisku, czy był to tylko blef, zasłona dymna, z jakiegoś powodu potrzebna podczas batalii?

Czy Henrik i Katarina Malmgrenowie rzeczywiście już nie żyli? W segregatorze były ich zdjęcia: mężczyzna o szczupłej twarzy i przerzedzonych włosach, w okularach i o wyglądzie, którego Barbarotti nie potrafił opisać inaczej niż „pospolity”; Katarina Malmgren miała ciemne włosy, południowouropejską wyrazistą urodę i wyglądała na bardziej pełną życia; a do tego miała powiązania z Kymlinge. Najwyraźniej mieszkała tutaj, a dokładniej w Kymlingevik, przez pięć lat, gdy była nastolatką, pod koniec lat osiemdziesiątych. Tu pojawiają się kolejne ważne pytania: co w tym kontekście znaczyło Kymlinge? Czy morderca, tak jak jego ofiary, również miał związek z tym miastem? Krótko mówiąc, czy tu mieszkał? Wyjeżdżał tylko kilkadziesiąt kilometrów stąd, żeby nadać listy? I żeby zamordować Malmgrenów?

A jeśli założyć, że faktycznie już nie żyli, to jaką tym razem metodę zastosował? Uwzględniając to, co powiedziała Backman, i dokładając wszystko inne, musi być wyjątkowo zimnym draniem, pomyślał Barbarotti. Zamordowanie mężczyzny i kobiety na pokładzie statku, a następnie wyrzucenie ich ciał za burtę, tak żeby nikt nie widział, nie mogło być prostym zadaniem, jakby na to nie patrzeć.

Dlaczego więc wybrał taką metodę?

Jak zwykle Gunnar Barbarotti świetnie rozumiał, że wszystkie te drobne, choć znaczące pytania, które... - jakiego to sformułowania użył niedawno - ... które zaczepiały się o siebie przypadkowo, jak pokrzywione metalowe wieszaki w zatęchłej garderobie... że wszystkie te pytania można było zasadniczo zawrzeć w jednym słowie: „Dlaczego?”.

Dlaczego popełniono te morderstwa? Co było powodem... bo przecież musi być jakiś powód? Jakiś trzon i rdzeń, coś, co pozwoliłoby im wszystko zrozumieć. Przecież o to właśnie chodziło. Żeby zrozumieć. Zrozumieć to, co się dało zrozumieć, a resztę pominać.

Kiedy w liberalnych latach siedemdziesiątych Gunnar Barbarotti chodził do szkoły podstawowej, nauczył się, że umiejętność stawiania właściwych pytań była ważniejsza niż znajomość odpowiedzi. Często myślał sobie, że wolałby chodzić do szkoły w jakimś innym dziesięcioleciu.

Przysłuchując się wykonaniu *Knockin' on Heaven's Door* przez jednego z uczestników przyjęcia rakowego - który nie tylko śpiewał, ale również akompaniował sobie na gitarze, używając dość niecodziennego zestawu akordów - zaczął się również zastanawiać nad listami i aspektem czasowym. Jak to właściwie było, czy morderca rzeczywiście dawał policji jakieś szanse? Czy raczej nie było tak, że wiadomości o planowanych ofiarach docierały zawsze za późno, by można było uratować czyjeś życie? Nawet z teoretycznego punktu widzenia. Barbarotti obserwował gołębia, który usiadł na balustradzie balkonowej u sąsiada, i cofał w głowie film z przebiegu zdarzeń. Ostatni list przyszedł w poniedziałek; jeśli Malmgrenowie faktycznie już nie żyli, to morderstwo - morderstwa - musiały mieć miejsce w nocy z niedzieli na poniedziałek. Morderca nadawał wprawdzie list, jeszcze zanim przystąpił do dzieła, ale musiał wiedzieć, że kiedy list dotrze do policji, będzie już po wszystkim.

A ponadto: musiał być absolutnie pewien, że mu się uda.

Czy była jakaś możliwość wcześniejszego dotarcia do tych listów? Dyskutowali o tym, by dogadać się na ten temat z pocztą, ale pomysłu nie zrealizowano. No bo jak by to miało wyglądać? Że wszyscy listonosze, zajmujący się sortowaniem poczty w zachodniej Szwecji - bo stąd były wysyłane wszystkie listy - dostaliby instrukcję, że mają zwracać uwagę na nazwisko adresata i konkretny typ

koperty, a gdyby mieli przecucie, że coś jest nie tak, natychmiast kontaktować się z policją w Kymlinge? Albo z najbliższym posterunkiem policji, jak to zwykle podawano w starych ogłoszeniach policyjnych w radiu.

Nie, pomyślał Gunnar Barbarotti, to było niewykonalne. Oznaczałoby, że oddajemy mordercy jeszcze jedno pole.

Zawsze wyrażał się w czasie przyszłym, to fakt - informował, że ma zamiar zabić tego czy tamtego - ale kiedy ta informacja docierała do inspektora Barbarottiego, czas przyszły zamieniał się już w... jak to się fachowo nazywa? ...czas przeszły prosty? Zabił. Za późno, żeby czemukolwiek zapobiec.

Może lingwistyczny aspekt tej sprawy zainteresowałby Axela Wallmana.

Westchnął i słuchał w roztargnieniu słabych oklasków, które z wdzięcznością ogłaszały, że podchmielony trubadur zakończył pukanie do perłowej bramy. Barbarotti przypomniał sobie swój poranny sen i pomyślał, że trubadura też nie wpuszczono.

Zebrał wszystkie segregatory i wszedł z balkonu do mieszkania. Było już po jedenastej. Barbarotti przypomniał sobie, że przez kilka godzin udawało mu się nie myśleć o Marianne. Zawsze coś.

Praca była jedynym efektywnym lekarstwem na wszelkie obawy, gdzieś o tym kiedyś czytał. Może to prawda. I nawet jeśli się dostało wymówienie - choćby tylko tymczasowe - to nic nie stało na przeszkodzie, żeby prowadzić swoje malutkie prywatne dochodzenie.

Szczególnie jeśli przez przypadek było się jedyną osobą, która miała bezpośredni - choć niezwykle jednostronny - kontakt z mordercą.

Odsunięty? - pomyślał inspektor Barbarotti. Z kneblem na ustach? Dlaczego nie oleję tego wszystkiego i nie pojedę na urlop do jakiegoś kraju nad Morzem Śródziemnym?

Dobre pytanie.

21.

W środę rano obudził się bardzo wcześnie i od razu wiedział, że nie spał za dobrze. Czuł głucho dudnienie w głowie i wszystko go bolało. Kiedy z dziury na listy w drzwiach wejściowych wyjął gazetę lokalną, zauważył, że nie musi schodzić do najbliższego sklepiku, by o sobie przeczytać. Miejscowy głos w świecie mediów również opisał konflikt z poniedziałkowego wieczoru pomiędzy siłami porządkowymi a wolnym słowem. Zarówno na pierwszej stronie, jak i dalszych.

W odróżnieniu od „Expressen” nie publikowano jednak ani nazwisk, ani zdjęć stron konfliktu, napisano tylko, że reporter popołudniówki pokłócił się z policjantem, czego wynikiem było zgłoszenie przestępstwa. Nie napisali nawet, kto złożył doniesienie na kogo, a Gunnar Barbarotti zaczął żałować, że liczba czytelników „Lokaltidningen” wynosiła co najwyżej jedną dziesiątą czytelników skandalizującej gazety z królewskiego Sztokholmu. Nie licząc „GT”, która była prawie tej wielkości co „Expressen”.

Sporo napisali o samych morderstwach i listach, ale nie było tam nic, czego by już nie przeczytał w czerwonych segregatorach Backman, poczuł za to wdzięczność dla losu. Gazety wiedziały w każdym razie mniej niż policja.

Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Przecież to żaden powód do wdzięczności? Czyżbym miał tak mało zaufania do prowadzących dochodzenie, po tym jak pozbyli się swojego asa, że szukam w gazetach informacji, których nie ma w materiałach śledczych? Czyżbym należał do tych sześćdziesięciu sześciu procent? Najwyraźniej przestają to ogarniać.

Backman przyjechała po swoje segregatory tuż po ósmej i obiecała, że będzie go na bieżąco informować o rozwoju sytuacji.

- Jak wpadniesz na chwilę wieczorem, to postawię ci kolację - zaoferował Barbarotti. - Nie tylko piwo i zapach raków

Po chwili namysłu Eva Backman przyjęła propozycję. O ile sytuacja na lotnisku nie rozwinie się na tyle dramatycznie, że Ville przyjedzie z chłopcami do domu w ciągu dnia, zastrzegła. Nigdy nie wiadomo, wiele zależało również od pogody, a na razie widoki nie były zbyt różowe. No, ale pogoda w Kristianopelu nie musi być taka jak w Kymlinge.

- Coś ci wpadło do głowy po tej lekturze? - zaciekawiała się po odebraniu od niego segregatorów.

Barbarotti pokręcił głową.

- Nie. Nic mi nie przyszło do głowy. Przynajmniej nie wprost.

- Szkoda - mruknęła zawiedziona.

- Ale wiem, że mój mózg przetwarza wszystkie te informacje w podświadomości, i jestem pewien, że kiedy do dotychczasowych ofiar dodamy Malmgrenów, nastąpi przełom. Jeśli porządnie przeszukacie ich mieszkanie, to już przed południem znajdziecie łączący ich mianownik.

- Przeszukacie? - zdziwiła się.

- Przeszukacie - potwierdził.

Spojrzała na niego z troską.

- A jeśli nie znajdziemy?

- Jeśli nie znajdziecie - powiedział, pocierając skronie knykciami dłoni - będzie to znaczyło tylko jedno.

- Że nie ma wspólnego mianownika.

- Dokładnie. Znalezienie stycznych łączących życie dwojga ludzi nie jest łatwe, ale jeśli dołożyć do nich trzeciego i czwartego człowieka, wspólny mianownik pojawi się bardzo szybko. Przynajmniej wówczas, gdy za sterami będą kompetentni śledczy.

- Próbujesz mi wmówić, że nie gramy najsilniejszym składem?

Gunnar Barbarotti uśmiechnął się krzywo.

- Pani Unihokej zaczęła używać metafor, a ja się na tym nie znam.

- *Bullshit* - wypaliła. - No dobrze, zobaczymy, czy masz rację. Odezwe się, zgodnie z umową.

- Będę wdzięczny - powiedział Barbarotti.

Eva wyszła, Barbarotti pozmywał po śniadaniu, a potem poczuł, że nie za bardzo wie, jak zająć nadchodzące minuty i godziny.

Potrafił beczynn timer czekać, ale dziś czuł niespokojne mrowienie na ciele i w duszy. Boże, spraw, żeby coś się ruszyło, żebym nie musiał się pętać bez zajęcia po tej trzypokojowej celi jak znerwicowana samica niedźwiedzia polarnego. Dwa punkty, dobra?

Bóg westchnął, uderzył w okno kuchenne lekkim wietrzykiem i pojedynczymi kroplami deszczu, jednak darował sobie komentarze na temat żalonych metafor proszącego o pomoc, ponieważ przez tyle setek lat wiele już słyszał. Chodziło się do szkoły w latach siedemdziesiątych, to nic dziwnego.

Święta prawda.

Półtorej godziny później Bóg zaczął zgarniać swoje punkty. Przyczyniła się do tego, co chyba nie jest wcale dziwne, inspektor Backman.

- *Bad news is good news* - zaczęła tajemniczo. - Chcesz usłyszeć nowiny?

- Gadaj.

- Po pierwsze, znaleźliśmy Katarinę Malmgren.

- Ojoj.

- Tak. Dokładniej mówiąc, znalazł ją dzisiaj rano duński rybak... niedaleko Skagen. Wyruszył łodzią na połów, ale po przepłynięciu pięćdziesięciu metrów natrafił na pływające w wodzie zwłoki kobiety.

- Skąd wiecie, że to ona?

- Oczywiście jeszcze nie została zidentyfikowana, ale wiele na to wskazuje.

- Co, na przykład?

- Na przykład dokumenty tożsamości w kieszeni na piersi. Zafoliowany dowód osobisty nie przemaka w wodzie. Aktualnie trwa transport do Göteborga. Jej siostra, z którą chyba nawet ty rozmawiałeś, już wyruszyła z Karlstad, żeby ją zidentyfikować.

- Tak, zgadza się - przypomniał sobie Barbarotti. - Rzeczywiście rozmawiałem z siostrą tej Malmgren, zanim mnie wylano... siostrą przyrodnią, o ile dobrze pamiętam. A mąż, jego nie znaleziono?

- Zgadza się. Nadal jest traktowany jako zaginiony. Pewnie pływa sobie w innym miejscu. Albo utknął w jakiejś sieci, albo wkręcił się w śruby okrętowe, więc to może trochę potrwać.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - A przyczyna zgonu, coś już wiadomo? Jak umarła Katarina Malmgren?

- Uduszona sznurkiem. Ślady na szyi nie pozostawiają wątpliwości.

- Uduszona? Czyli... znowu zmienił metodę.

- Na to wygląda - potwierdziła. - Oczywiście za wcześniej określać termin zgonu, ale duński lekarz sądowy twierdzi, że przypuszczalnie było to w nocy z niedzieli na poniedziałek. Kiedy znalazł ją Trulsemänden, leżała w wodzie od dwóch dni.

- Trulsemänden?

- Tak się nazywa ten rybak. Ma siedemdziesiąt osiem lat.

- Zaczekaj... czy teraz nie ma obowiązku posiadania kompletnych list pasażerów na promach? Po zatonięciu „Estonii”?

- W zasadzie tak - odpowiedziała. - Niestety, nikt nie musi się legitymować.

- Co oznacza?

- Co oznacza, że możesz zamówić bilet na nazwisko Jöns Jönsson, a kiedy później odbierasz bilet, wystarczy, że powiesz, że tak właśnie się nazywasz. Wydadzą ci go, nawet jeśli w rzeczywistości nazywasz się Lars Larsson.

- *All right* - westchnął Barbarotti. - A to z kolei oznacza, że na liście pasażerów niekoniecznie musimy znaleźć nazwisko mordercy?

- Niestety, tak - odpowiedziała. - Też mieliśmy taką nadzieję, ale tylko przez jakieś dwadzieścia minut.

- Ale listę można przejrzeć i tak... Ilu było pasażerów?

- Nieco ponad tysiąc pięćset osób - oznajmiła. - Tak, już zaczęliśmy, ale to cholernie żmudna robota.

Gunnar zastanawiał się przez chwilę i zapytał:

- A przeszukanie mieszkania? Znaleźliście coś interesującego u Malmgrenów?

- Jeszcze nie wiemy - przyznała Eva Backman. - Ale właśnie zaczynamy przeglądanie czterech pełnych kartonów przywiezionych z ich mieszkania. Mamy zawartość sześciu szuflad, do tego przynajmniej dziesięć fotoalbumów. Zajęliśmy też dwa komputery.

- Wiecie przynajmniej, czego szukacie?

- Szukamy wielu rzeczy. Ale przede wszystkim czegoś, co w jakiś sposób łączy Malmgrenów z Anną Eriksson lub Erikiem Bergmanem.

- Albo z obojgiem.

- Albo z obojgiem. Poza tym pełną parą sprawdzamy komunikację telefoniczną. Jeśli w billingach Malmgrenów pojawi się ten sam numer, co u Eriksson lub Bergmana, to będziemy to sprawdzać. Czy pan inspektor jest zadowolony?

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Chwilowo nie mam nic do dodania - stwierdził. - Czy masz jakieś specjalne życzenia odnośnie do kolacji?

- Już dawno nie jadłam homara - przypomniała sobie Eva Backman.

Na Skolgotan w Kymlinge był sklep z rybami i owocami morza; Barbarotti od czasu do czasu robił tam zakupy, więc kiedy właściciel sklepu, pochodzący z Polski był skoczek narciarski nazwiskiem Dobrowolski, powiedział, że nie poleca tych homarów, które dzisiaj są w ofercie - szczególnie jeśli miałyby być przyrządzone dla kobiety - inspektor dał się przekonać do zakupu przegrzebków wielkich i dwóch homarców. Dostał do tego osiem przypraw do dania i przepis, a ponadto nazwę białego wina, które było wręcz nieodzownym uzupełnieniem tej potrawy, co zmusiło go do wizyty w sklepie z alkoholami.

Czuł się nieswojo, robiąc zakupy luksusowych artykułów przed południem w środku tygodnia, a przekładając wszystko do lodówki po powrocie do domu, miał wyraźne poczucie winy. Poza tym zbliżającą się kolację powinien przygotowywać dla Marianne, a nie dla inspektora Backmana, ale sytuacja była taka a nie inna, więc co zrobić. Nasze życie przypomina kołowrotek dla gryzoni: ten, kto nie chce biegać, ginie.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że jego myśli nie skupiały się wcale na tych łagodnych wyrzutach sumienia. Był to, co najwyżej, drobny przerywnik. Piszący listy uderzył po raz trzeci - a najprawdopodobniej również czwarty - działając z zimną krwią i tak bezwzględnie, że przynajmniej w oczach Barbarottiego było to wręcz zdumiewające.

Więc jak to właściwie było? Wsiadł - jeśli na potrzeby tego wyводу założymy, że morderca nie jest kobietą - na prom Stena Line z Göteborga do Frederikshavn. Prom odpłynął zgodnie z rozkładem jazdy pięć minut przed północą w niedzielę - jak poinformowała go inspektor Backman - a podczas trwającego nieco ponad trzy godziny przejazdu do Danii uśmiercił Henrika i Katarinę Malmgrenów, dokładnie tak jak obiecał, następnie zaś wyrzucił ich ciała za burtę.

Jakim cudem mu się to udało? - zastanawiał się Barbarotti. Jak?

Katarinę Malmgren udusił sznurkiem. Nie jest to najprostszy sposób pozbawienia kogoś życia, szczególnie na pokładzie statku zapelnionego pasażerami i potencjalnymi świadkami. Musiał mieć dokładnie przemyślany plan. Dokładnie wiedzieć, co robić, a poza tym - Barbarotti snuł domysły - potrzebne było jeszcze coś. Musiał... musiał znać Malmgrenów.

Musiało tak być, prawda? Jeśli chciał ich zamordować, musiał ich najpierw rozdzielić, a co było potrzebne, żeby rozdzielić małżonków w środku nocy na statku? Potrzebne było niezwykle wyrafinowanie. Środek nasenny w drinkach albo jakieś jeszcze bardziej wystudiowane narzędzie manipulacji.

Choć oczywiście nie było pewności, że wobec Henrika Malmgrena zastosował tę samą metodę. Mógł, na przykład, najpierw zastrzelić jego, a potem na spokojnie zająć się żoną. Dlaczego nie... choć z drugiej strony, pomyślał Barbarotti, hipoteza, że się znali, była kusząca. Do morderstw musiało dojść na pokładzie, a jaki mógłby być powód, żeby wyjść na pokład z nieznanym w środku nocy? Szczególnie gdy się podróżowało w towarzystwie własnego męża czy też własnej żony? Święta prawda.

Najpierw on, później ona. Albo odwrotnie.

Oboje naraz?

Nie, to wydawało się zupełnie niemożliwe.

Z drugiej strony znajomość pomiędzy mordercą a ofiarą nie była tutaj niczym nowym. Wybrano hipotezę, że na dzień tego wszystkiego istniał jakiś motyw, czyż nie? Że nie były to przypadkowo wybrane tarcze strzelnicze.

Po dojściu w rozważaniach do tego miejsca Gunnar usłyszał szuranie w przedpokoju. Przez otwór w drzwiach wejściowych wpadła do mieszkania dzisiejsza poczta, a pięć minut później już nie był pewien, czy rzeczywiście miał przecucie, czy tylko tak sobie wmawiał.

Nie było jednak żadnych wątpliwości, że Bóg uczciwie zarobił swoje dwa punkty.

Znowu nakładanie rękawiczek i koperta oparta o paterę z owocami na stole kuchennym.

Jasnoniebieska i podłużna, dokładnie jak numer dwa i trzy.

Jego nazwisko i adres wypisane drukowanymi literami na kopercie, tak samo niezdarnie. Znaczek z tej samej serii z motywem archipelagu: stylizowana łódź żaglowa na tle niebieskiego morza i niebieskiego nieba.

Próbował sobie przypomnieć, ile dni upłynęło od momentu, gdy trzymał w ręce pierwszy list, od tego ranka, kiedy wziął go z rąk listonosza na klatce schodowej, będąc w drodze na Gotlandię, do Marianne. Dwadzieścia dwa - wreszcie się doliczył. Naprawdę tylko trzy tygodnie? Do dziś cztery listy, cztery morderstwa. Przynajmniej jeśli wliczyć w to Henrika Malmgrena, a chyba można się o to pokusić.

A teraz numer pięć. Piątą ofiarę czekała śmierć - albo już ją dopadła, jeśli przyjąć wersję realistyczną. Było więcej niż udowodnione, że morderca potrafił działać z zimną krwią, więc trudno sobie wyobrazić, że w tej kopercie, nadal nieotwartej, mogłoby się znajdować nazwisko osoby, która jeszcze żyła - i przy okazji była w jakiś sposób powiązana z wcześniejszymi ofiarami. Bardzo trudno.

Nieotwartej, tak. „Jeszcze nierozcięty i jeszcze nieprzeczytany”.
Co robić?

No właśnie, co robić?

„Więc takie było sedno psie?”, pomyślał inspektor Barbarotti. To jasne.

Co robić? Gdyby dbał o przyszłą karierę - o możliwości awansu w policji kryminalnej - to nie miałby żadnych wątpliwości, jak postąpić. Powinien natychmiast zadzwonić do zastępcy komendanta Jonnerblada i poprosić, żeby ktoś przyjechał po list. Po odsunięciu go od dochodzenia nie dostał nowych instrukcji postępowania z kolejnymi przesyłkami, przynajmniej żadnych jednoznacznych, jednak

i tak trudno mu będzie ich przekonać, że działał w dobrej wierze. Jonnerblad i Tallin będą piekielnie wkurzeni, jeśli jeszcze raz zrobi to samo. Uznają, że prowadzi własną grę, że robi im wbrew, a rzeczą, której najbardziej nienawidzili przełożeni, było oczywiście prowadzenie przez podwładnych własnych gier. Wiedział o tym każdy posterunkowy; nigdy więcej nie dopuszczą go do swojego grona.

Nie mógł oderwać wzroku od leżącej na stole koperty. Później w jego głowie pojawiła się Birgit Cullberg. Najpierw nie mógł się nadziwić, dlaczego właśnie ona - nie miał przecież nic wspólnego ani z nią, ani z tańcem nowoczesnym - ale potem zrozumiał. Kilka lat temu, zupełnym przypadkiem, oglądał wywiad telewizyjny z tą tancerką, legendą szwedzkiego tańca; młody reporter zadał jej jakieś podchwytliwe i niewygodne pytanie, a ona dość długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Jeśli dobrze pamiętał, chodziło o jakąś skomplikowaną aferę polityczno-kulturalną, a zatem należało trzymać język na wodzy.

W końcu jej twarz rozjaśnił wielki uśmiech i padła wysublimowana odpowiedź:

- Mam to gdzieś.

Tak trzeba do tego podchodzić, pomyślał Gunnar Barbarotti. Mam to gdzieś. Dziękuję Birgit Cullberg. Powołam się na ciebie, kiedy na mnie wsiądą.

Założył rękawiczki, przyniósł nóż kuchenny i rozciął kopertę.

I tak zamierzam zmienić pracę, stwierdził po raz sto pięćdziesiąty czwarty od dnia powrotu z Gotlandii i Gustabo. Zacznę pracować jako grabarz albo coś w tym stylu, gdzieś w okolicy Helsingborga.

Wyjął z koperty znajomy arkusz papieru, złożony na pół i przeczytał:

NIE WIEM, CZY JUŻ ZNALEŻLIŚCIE MALMGRENÓW. DLA MNIE LICZY SIĘ TERAŻ TYLKO TEN OSTATNI, GUNNAR.

CHCĘ CI PODZIĘKOWAĆ ZA WSPÓLPRACĘ.

Przez pięć minut siedział nieruchomo. Czytał tekst od nowa. Liczył słowa. Dwadzieścia. Czytał ponownie, próbował zrozumieć, ale... ale coś się stało z jego percepcją albo może z rozumieniem szwedzkiego na piśmie? Co znaczyła ta wiadomość? Jaka informację zawierało tych dwadzieścia słów?

Tak naprawdę.

„Dla mnie liczy się teraz tylko ten ostatni, Gunnar”. Pomiędzy słowem „ostatni” a „Gunnar” był przecinek. Czy to zmienia treść wiadomości?

Czy chodzi o ostatnią ofiarę o imieniu Gunnar?

Albo może to „Gunnar” to bezpośredni zwrot do niego, Gunnara Barbarottiego? Od mordercy.

Albo... może jego zdolność percepcji i rozumienia języka zostały wytracone z równowagi przez tę zadziwiającą możliwość interpretacji...?

„Chcę ci podziękować za współpracę”?

Nagle zrobiło mu się czarno przed oczami; kuchnia zaczęła się kołysać i musiał złapać się krawędzi stołu, a uczucie, które po chwili zaczęło go wypełniać, przypominało proces zamrażania powierzchni jeziora w ciemną i zimną listopadową noc.

Po pewnym czasie, którego długości nie był w stanie ocenić - może po dziesięciu minutach, może dłużej - udało mu się wstać i podejść do telefonu.

22.

- Co powiedziałeś?

Powtórzył wszystko, nie zmieniając ani jednego słowa. - Jeszcze jeden?

- Mhm.
- I otworzyłeś go?
- Mhm.
- Odbiło ci?
- ...
- Pytam, czy ci odbiło?

Odchrząknął, próbując tymczasem znaleźć sensowne słowa, ale nic się nie pojawiło.

- Tak wyszło.
- Tak wyszło?
- Tak.
- Co ty wygadujesz? Z kim ja właściwie rozmawiam?
- Hmm.
- Boże, co się z tobą dzieje?
- Chyba... chyba miałem wylew. Przekaż to Jonnerbladowi.

Przez chwilę się nie odzywała. Skupił spojrzenie na swojej lewej dłoni, leżącej przed nim na pomalowanym ciemną bejcą stole kuchennym i przez chwilę wydawało mu się, że należy do kogoś innego. Skąd można to wiedzieć?

- *All right*, przekażę mu. Najpierw dostałeś list, a potem miałeś wylew krwi do mózgu. O to chodzi?

- Mhm.
- Gunnar, chyba... chyba nie mówisz poważnie?
- Nie.
- A co tym razem jest w liście? Spróbuj się skupić. Jesteś trzeźwy?

- Oczywiście, że jestem trzeźwy.

- To dobrze. Wreszcie poznaję twój głos. Wiesz co, chyba przyjadę i osobiście odbiorę ten list.

- Dziękuję.
- Będę u ciebie za kwadrans.
- Dziękuję.

- Możesz pożyczyć moje rękawiczki. Bo chyba nie wzięłaś swoich?
 - Gunnar, co się stało?
 - Nie wiem. Mam wrażenie, że... przeżyłem rodzaj załamania nerwowego.
 - Załamania nerwowego? Dlaczego?
 - Nie mam pojęcia. Nigdy czegoś takiego nie miałem. Czuję jakby...
 - Tak?
 - Jakbym przymarzał.
 - Przymarzał? Gdzie?
 - Tutaj, przy stole kuchennym. Siedziałem tutaj z piętnaście minut, nie mogąc się ruszyć, i dopiero wówczas udało mi się do ciebie zadzwonić. Nie mogłem się ruszyć.
 - A teraz? Jest lepiej?
 - Tak. Zaczynam odmarzać.
 - Faktycznie wyglądasz, jakbyś przeszedł przez wyżymaczkę.
 - Dziękuję.
 - Musisz iść do lekarza. To może... to może być coś neurologicznego.

- Nie sądzę. Przeczytaj raczej list.

Inspektor Eva Backman patrzyła na niego krytycznie przez kilka sekund, a potem spojrzała na list. Przeczytała, tekst, zmarszczyła czoło, rzuciła mu przez stół spojrzenie i znowu przeczytała.

- Gunnar? - zdziwiła się. - Pisze tylko „Gunnar”.
- Mhm.
- I że ma być ostatni?
- Mhm.
- Albo zwraca się bezpośrednio do ciebie. Tak też to można czytać.

Gunnar Barbarotti skinął głową. Po chwili milczenia inspektor Backman wpadła na jakiś pomysł. Wzięła głęboki oddech i zaplotła

dłonie leżące na stole. Pochyliła się w jego stronę.

- Ma zamiar zabić jeszcze jedną osobę, która ma na imię Gunnar? Albo ma zamiar zabić jeszcze jedną osobę, która nazywa się jakkolwiek?

- Nie wiem. - Albo...

- Co takiego? - Wzdrygnął się.

Spojrzała na niego pospiesznie, niemal z lękiem, a następnie przeniosła wzrok na list i zaczęła go ponownie studiować.

- Nie - mruknęła. - Tę możliwość wykluczamy. Wydaje mi się...

- Co ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że zamierza zabić jeszcze jedną osobę, a ta osoba ma na imię Gunnar. Albo raczej, że już to zrobił.

Ostrożnie bębnił palcami lewej dłoni po blacie stołu, a ona spojrzała na niego z matczyną troską.

O jakiej wykluczonej możliwości ona mówi? - pomyślał. Co się ze mną dzieje? Mam wrażenie, jakbym leżał w akwarium.

- Zgadzasz się z tą interpretacją?

- Oczywiście.

Pochyliła się jeszcze bardziej w jego stronę. Poczuł zapach świeżo umytych włosów.

- Gunnar, czy... to, co się z tobą działo... czy to ma jakiś związek z tym listem? To się zdarzyło, kiedy przeczytałeś list, tak?

Skinął głową.

- Nie wyglądasz normalnie.

- Nigdy nie wyglądałem normalnie, mam to w genach.

- Nie o tym mówię. Jesteś biały jak trup, a wczoraj byłeś opalony.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Masz torebkę foliową?

Wyjął torebkę z szuflady w szafce kuchennej, a ona wrzuciła do niej list. Zdjęła rękawiczki i zawiązała torebkę.

- Jak się teraz czujesz?

Wzruszył ramionami.

- Trochę lepiej. Ale jestem totalnie pusty w środku.

- Możesz wodzić wzrokiem za moim palcem wskazującym?

Przesuwała palec z prawa na lewo przed jego twarzą.

- Nie, nie przekreślaj głowy

Zrobił, co kazała, nie protestując, ale nie usłyszał, co myśli o wynikach testu.

O co jej właściwie chodzi? - zastanowił się. Naprawdę uwierzyła, że miałem wylew?

Jego własne oceny były spowite cieniem. Eva patrzyła na niego ponad stołem, potem podjęła decyzję i podniosła się.

- Gunnar, zadzwonię do doktor Olltman. Nie wychodź z domu. Odezwę się za jakąś godzinę, dobra?

Wahał się.

Olltman? - pomyślał. Tak, może to i dobry pomysł. Dlaczego nie?

Już dawno nie widział Olltman. Nie widział jej od czasu, kiedy wspólnie z Eva Backman towarzyszyli Kristofferssonowi, koledze, który dostał do niej skierowanie pewnego jesiennego poranka jakiegoś cztery czy pięć lat temu, po tym, jak siedział przez dziesięć godzin oko w oko z naładowanym karabinem do polowania na łosie w pewnym domku letniskowym niedaleko Kvarntorpa. Skończyło się tym, że inny kolega, Nyman, odstrzelił właścicielowi karabinu pół głowy. Jej fragmenty wylądowały Kristofferssonowi na kolanach, tyle Barbarotti pamiętał.

Olltman była dobra. Wszyscy wiedzieli, że była dobra. Choć nie mówiono o niej zbyt często.

Skinął głową, wiedząc, że nie zgodziłby się na to, gdyby Olltman nie była kobietą. W żadnym wypadku, czy to nie dziwne?

23.

Jej gabinet mieścił się przy Badhusgatan, naprzeciw kortów tenisowych. Gunnar przyszedł dwadzieścia minut przed czasem. Siedział w poczekalni, przeglądając stary numer „National Geographic” poświęcony orkom; kiedy po piętnastu minutach przyszła doktor Olltman i wyciągnęła do niego rękę, jego wiedza na temat orek nie poszerzyła się ani trochę.

- Dzień dobry, panie Gunnarze - przywitała go i zaprosiła do gabinetu urządzonego w kolorach zieleni i piasku pustyni. - Wydaje mi się, że już się kiedyś spotkaliśmy.

- Przynajmniej raz - odpowiedział Gunnar. - Kilka lat temu.

Skinęła głową. Usiedli, każde w swoim fotelu projektu Bruno Mathssona. Na ministoliku stojącym między fotelami stał półmisek z winogronami i zegar.

- Proszę opowiedzieć, dlaczego pan się tu znalazł.

- Przyszedłem do pani, bo Eva Backman, moja koleżanka, mi kazała.

- Kazała?

- Uważała, że powinienem do pani przyjść.

- Ale pan nie oponował.

Zastanowił się.

- Nie.

- To dobrze. Czy mógłby pan opisać, jak się pan czuje?

- Wydaje mi się, że... chyba jestem trochę przygnębiony.

- Przygnębiony?

- Tak.

- Jak to się objawia?

- Nie czuję się najlepiej.

- Rozumiem. Zadam panu kilka standardowych pytań, jakie zadaję wszystkim, którzy do mnie przychodzą. Odpowiedzi na te

pytania są mi potrzebne do możliwie jak najszybszej oceny pana stanu. Niektóre z nich mogą się panu wydać nieadekwatne, ale dobrze by było, żeby odpowiedział pan na nie jak najszczerzej. Zgadza się pan?

- Tak.
- Czyli jest pan przygnębiony?
- Tak... tak mi się wydaje.
- Jak długo to trwa?
- Niezbyt długo. Może kilka tygodni.
- Jada pan regularnie?
- No... tak.
- Śniadanie, lunch i kolację?
- Najczęściej.
- Alkohol? Ile pan pije?
- Niezbyt dużo.
- Okej. Ma pan problemy z koncentracją?
- Koncentracją? Nie jestem pewien...
- Zauważył pan może, że trudno się panu na coś skupić? Że

ma pan kłopoty z podejmowaniem decyzji?

Zastanawiał się.

- Tak, chyba tak. Nie jestem tak uważny jak zwykle.
- Czy w ostatnim czasie to się nasiliło?
- Chyba tak.
- Dobrze. Problemy ze snem?
- Niebezpośrednio. Chociaż...
- Chociaż?
- Chociaż dziś w nocy źle spałem.

Zapisywała coś w notatniku, a on nie mógł się powstrzymać od ziewnięcia.

- Czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś, co można po wiązać z pana kiepskim samopoczuciem?

Skinął głową.

- Tak, zdarzyło się wiele rzeczy. Pewnie pani czyta gazety?

Lekko się uśmiechnęła.

- Tak, ale nie „Expressen”.
- Ale przekazali pani informacje.
- Tak. Czyli łączy pan tę historię z reporterem ze złym samopoczuciem?

Wzruszył ramionami.

- Na pewno nie poprawiła mi nastroju. Poza tym...
- Tak?
- Wcale go nie uderzyłem, tylko go wypchnąłem przez drzwi.
- A gazety zrobiły z tego pobicie?
- Tak.
- Musiał pan być na niego wkurzony, tak czy siak. Czy w ostatnim czasie czuł się pan poirytowany bardziej niż zwykle?

- Chyba nie. Bycie poirytowanym na popołudniówki uważam za oznakę zdrowia.

- Dlaczego?
- Dlatego że są, jacy są.
- Co to znaczy?

Pospiesznie zastanawiał się nad właściwym sformułowaniem.

- Infantyilizują społeczeństwo. Popołudniówki i opery mydlane doprowadzą do tego, że za dwadzieścia lat w tym kraju mieszkać będzie banda idiotów.

Znowu się uśmiechnęła, tak jakby w tym względzie podzielała jego pogląd.

- A przy okazji uważają się za samorodnych prokuratorów, sędziów i poganiaczy, wszystko naraz.

- Myślę, że pod wieloma względami mogę się z panem zgodzić - przytaknęła Olltman. - Ale z tego, co wiem, dzisiaj wydarzyło się coś jeszcze?

- Owszem.
- Co to było?

Odchrząknął i zmienił pozycję w fotelu.

- Tak do końca nie wiem, co się zdarzyło. Wszystko jakby... poczerwiało. I nie mogłem się ruszyć. Trudno mi to opisać.

- Gdzie pan wtedy był?

- W domu. Siedziałem przy stole kuchennym.

- I jadł pan śniadanie?

- Nie... nie, czytałem list.

- List?

- Tak. Czy obowiązuje panią tajemnica służbowa?

- Oczywiście.

- Wobec wszystkich i w każdej sytuacji?

- Tak.

- Słyszała pani o tych morderstwach, które mieliśmy niedawno w Kymlinge?

- Co nieco.

- Słyszała pani, że morderca pisze listy, w których mówi, kogo zamierza zamordować?

- Tak, czytałam o tym.

- On pisze te listy do mnie.

- Tak, przekazano mi to.

- Dziś rano dostałem kolejny. Wydaje mi się, że właśnie ten list wywołał... to, co się zdarzyło później.

- Rozumiem. Dostał pan list, w którym było napisane, że dojdzie do kolejnego morderstwa?

- Tak.

- Coś jeszcze?

- Tak. Ponadto potwierdziło się podejrzenie morderstwa dwóch ofiar z Göteborga. Mamy już cztery ofiary... plus ta piąta, o której dowiedziałem się dziś rano. Trochę tego za dużo.

Kiwnęła w zamyśleniu głową i pogłaskała się po policzku palcem wskazującym. Przyszło mu do głowy pytanie, ile ona może mieć lat. Przypuszczalnie między pięćdziesiąt pięć a sześćdziesiąt, ale ponieważ była delikatnej budowy, można ją było wziąć za sporo młodszą. Przynajmniej z daleka.

Jednak teraz nie siedziała daleko, bo półtora metra od niego. Zauważył, że jego słowa ją zaniepokoiły. Rozumiał wprawdzie, że nie był zwyczajnym pacjentem; opowiedział jej właśnie o pięciu trupach, jakby to nie było nic nadzwyczajnego, a przecież nie chodziło o wytwór jego wyobraźni. Tak wyglądał dzisiejszy świat.

A jednak, pomyślał, jednak to nie dotyczyło tych ludzi, w tym momencie naprawdę dotyczyło to jego osoby, tymczasowo zwolnionego z pełnienia obowiązków inspektora kryminalnego Gunnara Barbarottiego. Czuł, że musi sobie o tym regularnie przypominać.

- Czy mógłby pan dokładniej opisać, jak pan odebrał to, co zdarzyło się przy stole w kuchni?

Opowiedział wszystko jeszcze raz. Wydawało mu się, że nie potrafi znaleźć adekwatnych słów, jednak ona słuchała, kiwała głową i sprawiała wrażenie, jakby coś rozumiała. A może po prostu chciała go tylko podtrzymać na duchu.

- Co było w tym liście? Oczywiście nie musi pan zdradzać całej treści, chodzi mi raczej o to, czy treść tego listu różniła się w jakiś sposób od poprzednich? Dostał pan przecież... ile już było tych listów?

- Pięć. Dzisiejszy był piąty. Tak, trochę się różnił.

- Trochę, czyli jak?

- Po pierwsze, napisał, że to jego ostatni list, że została mu do zabicia tylko jedna osoba... a po drugie, miałem wrażenie, że zwracał się do mnie w sposób jeszcze bardziej bezpośredni niż poprzednio.

- Chyba nie całkiem rozumiem.

- Przepraszam. Nie, chodzi tylko o to, że przez krótką chwilę wydawało mi się, że to ja jestem następny w kolejce.

- Że to pana morderca zamierza zabić?

- Tak, ale chyba tak nie jest. Wtedy jednak nie rozumiałem tego tak jasno. Czułem, jakby porywała mnie fala, a... dopiero później koleżanka wspomniała o tej drugiej możliwości. Albo przynajmniej mi się wydaje, że wspomniała.

- Chyba nie rozumiem, co pan ma na myśli.
- Tak, bo to jest niejasne, tak czy owak, być może właśnie ta myśl wywołała paraliż.

- Paraliż? Uważa pan, że to wyrażenie dobrze opisuje pana odczucia?

Zastanawiał się.

- Tak, dość dobrze.

Ponowne skinienie głową, jakby dyskretnie nagradzała go za prawidłową odpowiedź na kolejne z serii trudnych pytań.

- Czy rozmowa na ten temat pana męczy?

- Niespecjalnie. Mam... mam do pani zaufanie.

- Dziękuję. Muszę jednak zapytać o inne sprawy... jeśli wrócimy do pańskiego przygnębienia. Czy kiedykolwiek czuł się pan przygnębiony do tego stopnia, że myślał pan o samobójstwie?

- Nie - odpowiedział.

- Ani teraz, ani wcześniej?

- Nie, wydaje mi się, że coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

- Nigdy nie miał pan takich skojarzeń?

- Nie.

- Spójrzmy bliżej na pozostałe aspekty pana życia. Czy są jakieś inne czynniki, które w pana ocenie mogą mieć wpływ na pana zły nastrój? Jakież rzeczy, które ostatnio zdarzyły się w pańskim życiu.

Nie spieszył się z odpowiedzią, a ona nie popędzała go. Siedziała spokojnie i nieruchomo, oparta o zagłówek fotela, z prawą nogą założoną na lewą, i cierpliwie czekała. Przyszło mu do głowy, że zazdrości ludziom tej cechy, cierpliwości. Może dlatego, że sam jej miał zbyt mało?

- Hmm, tak - mruknął w końcu. - Jakby się bliżej przyjrzeć, to można by coś znaleźć. Chociaż nie przywykłem do przyglądania się bliżej.

Uśmiechnęła się.

- Mężczyznom to się często zdarza - skomentowała. - Może teraz przyszła na to pora. Czy może pan mi powiedzieć, jakie zdarzenia z ostatniego okresu mogły mieć na pana negatywny wpływ?

- Na przykład moja córka - wyrzucił z siebie.

- Co się dzieje z pana córką?

- Wyprowadziła się z domu. Ma dziewiętnaście lat, zdała wiosną maturę, a teraz mieszka w Londynie i związała się z jakimś rozczochranym muzykiem.

- Rozczochranym muzykiem?

- Właściwie to nie wiem, nie widziałem go.

- Ale martwi się pan?

- Tak.

- Bardzo?

- Martwię się jak cholera. Od sześciu lat jestem rozwiedziony. Po rozwodzie Sara mieszkała ze mną, a teraz mi jej brakuje. Mam też dwóch synów, ale oni mieszkają w Danii ze swoją matką i jej nowym facetem.

- Ma pan lepszy kontakt z Sarą niż z synami?

- Tak.

- Jak długo Sara ma zamiar mieszkać w Londynie?

Wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Zresztą rozumiem przecież, że postanowiła się usamodzielnic, ale jestem o nią niespokojny. Pewnie za jakiś czas wróci tutaj i pójdzie na studia; teraz zrobiła sobie taki rok przerwy od nauki, jak to młodzi mają w zwyczaju. Chyba nie ma w tym nic dziwnego i pewnie wszyscy rodzice tak mają.

- Był pan u niej w odwiedzinach?

- Zamierzałem pojechać we wrześniu.

- To dobrze. Mój syn wyjechał do Genewy po skończeniu szkoły średniej. Też się martwiłam, ale kiedy pojechałam w odwiedzinę, wszystko minęło.

- Z dziewczynami jest gorzej.

- Chyba tak. Ale myślę, że dobrze panu zrobi wyjazd do niej i zobaczenie jej nowego domu. Są jeszcze jakieś inne źródła niepokoju?

Odpowiedział dopiero po przełknięciu trzeciego winogrona.

- Oświadczyłem się pewnej kobiecie i boję się, że mnie nie będzie chciała.

- Aha? Od dawna się znacie?

- Mniej więcej od roku.

- I chce pan się z nią ożenić?

- A po co bym się oświadczał?

- W porządku. Czy ona też mieszka w Kymlinge?

- W Helsingborgu. Mieszka w Helsingborgu.

- Rozumiem. Kiedy pan się oświadczył?

- Tydzień temu. Miała mi dać odpowiedź właśnie dzisiaj, ale ponieważ wpłynęło na mnie doniesienie o pobiciu reportera „Expressen”, przesunęła to na sobotę.

Na twarzy doktor Olltman pojawił się wyraz zdziwienia, a potem zmieniła układ nóg. Położyła lewą na prawej i zamyśliła się.

- Czy w pana życiu są jeszcze jakieś wątki negatywne?

- Przepychanka z reporterem była niepotrzebna. Ludzie myślą, że jestem policyjnym brutalem.

- Mhm?

- Odsunięto mnie od dochodzenia.

- Nie bierze pan już udziału w dochodzeniu?

- Nie.

- Coś jeszcze? Jest coś jeszcze?

- Nie wiem, czy chcę dalej pracować w policji. Siedzę samotnie... sam jak palec w tym cholernym mieszkaniu i jest mi tak okropnie, jak prosiakowi na asfalcie.

Zaczęła się śmiać.

- Prosiak na asfalcie, tego jeszcze nie słyszałam.

- Ja też nie. Choć nie mam pojęcia, czy prosiaki czują się niekomfortowo na asfalcie. W ogóle nic nie wiem o prosiakach.

- To możemy sobie uścisnąć dłonie.

Zauważył, że z trudem powstrzymywała się od śmiechu; potem zrobiła głęboki wdech i spoważniała. Przez kilka sekund nie odzywała się, tylko patrzyła na niego intensywnie niebieskimi oczami. Ciekawe, że nawet w jej wieku można nadal mieć tak intensywnie niebieskie oczy. Wyglądają bardziej na oczy nastolatki.

- Podsumowując, można powiedzieć, że w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło się wiele rzeczy, które negatywnie wpłynęły na pana życie. Córka wyprowadziła się z domu.

Czuje się pan samotny i nieusatysfakcjonowany pracą.

Spotkał pan ciekawą kobietę, ale nie jest pan pewien, czy rzeczywiście będzie chciała z panem być. Dostaje pan dziwaczne listy od mordercy. Wpłynęło na pana zgłoszenie na policję za pobicie dziennikarza, co doprowadziło do odsunięcia pana od obowiązków. Z grubsza się zgadza?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dodać jeszcze tego, że zastanawia się nad sensem życia, ale zrezygnował.

- Tak, z grubsza tak - odpowiedział.

Uśmiechnęła się, a błękit jej oczu stał się jeszcze bardziej intensywny.

- Myśli pan, że to dziwne, że pan się kiepsko czuje... jeśli wziąć pod uwagę te okoliczności?

Zastanowił się.

- Nie, chyba ma pani rację. Ale dobrze by było, żeby się dało jakoś temu zaradzić.

- Zawsze możemy spróbować. Gdybyśmy położyli wszystkie te sprawy kolejno na wadze, to która ciąży panu najbardziej?

- Marianne - rzucił bez wahania. - Albo Sara... chociaż Sara jest jakby poza zasięgiem.

- Trzeba jej pozwolić żyć własnym życiem?

- Tak myślę.

- A Marianne to kobieta, której pan się oświadczył?

- Tak.

- I w sobotę da panu odpowiedź?
- Mam nadzieję.
- Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz?
- Że powie „nie”, to jasne.

Doktor Olltman założyła ręce przed sobą. - A jeśli powie „tak”, to inne sprawy nie będą panu przeszkadzały?

- Nie będą...
- Listy mordercy i dziennikarz „Expressen”, niezadowolająca sytuacja w pracy...

- Tak, wtedy sobie z nimi poradzę.
- To dobrze - mruknęła. - Wydaje mi się, że rozumiem pana położenie. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że wypiszę panu teraz zwolnienie na dwa tygodnie i że umówimy się na godzinną rozmowę w piątek? O tej samej porze?

- Żadnych tabletek?
- Poczekamy z tym do soboty. Ale chciałabym pana prosić o wypełnienie tego formularza dziś wieczorem albo jutro w domu. Jest to rodzaj skali oceniającej pana samopoczucie. Wypełnienie formularza zajmuje dziesięć do piętnastu minut i najlepiej będzie to zrobić w spokoju ducha i na serio. Pojutrze popatrzymy na pana wpisy, zgadza się pan?

Wręczyła mu plik świętych kartek. Wziął je, zrolował i włożył do kieszeni marynarki.

- I proszę natychmiast do mnie dzwonić, gdyby pan poczuł, że wszystko pana przytłacza. Albo gdyby miał pan jakiś nowy atak. Mój numer komórkowy jest na ostatniej stronie formularza. Jak się pan teraz czuje?

- Jak prosiak w błotnistej kałuży.

Roześmiała się. Przynajmniej udało mi się wprawić ją w dobry nastrój, pomyślał inspektor Barbarotti.

- Jeszcze jedno - rzuciła, kiedy już wyszli do poczekalni. - Zalecałabym panu przeniesienie się na kilka dni do jakiegoś przyjaciela.

- Pomyślę o tym.
- Do zobaczenia w piątek.
- Do zobaczenia. Pożegnali się uściskiem dłoni.

24.

Zanim wrócił do domu, zrobiła się czwarta. Komórkę miał wyłączoną przez prawie trzy godziny, ale kiedy ją znowu włączył, miał tylko jedną wiadomość. Żadnych wymówek od szefa grupy dochodzeniowej. Żadnych dziennikarzy.

O słowo, twój żywot jest taki krótki, pomyślał Barbarotti.

Wiadomość była od Evy Backman, która prosiła, żeby do niej zadzwonił, gdy będzie miał ochotę. Zaparzył kawę i wyszedł z kubkiem na balkon. Dopiero wtedy wybrał jej numer.

- Jak się czujesz? - zapytała na wstępie.

Barbarotti uznał, że nie czas na nowe prosiakowe metafory, i powiedział, że zważywszy na okoliczności, czuje się dobrze.

- Niestety, musiałam zmienić plany na wieczór - stwierdziła.

- Ville i chłopcy wracają?

- Nie, Jonnerblad twierdzi, że musimy zostać po godzinach. Do dziewiątej, może jeszcze dłużej.

- Nie szkodzi i tak nie udało mi się kupić homara. Ale to chyba znaczy, że zbliżacie się do jakiegoś rozstrzygnięcia?

- Czy mogę do ciebie oddzwonić za pół godziny? Za pięć sekund zacznę przesłuchanie.

Barbarotti potwierdził, przyniósł starą krzyżówkę i dopił kawę. Zauważył, że z jego głową nadal nie wszystko było w porządku, bo przez dziesięć minut nie udało mu się odgadnąć ani jednego hasła.

Zauważył też, że zaczyna go powoli ogarniać irytacja. Dlaczego siedzi tutaj i marnuje czas, jak jakiś archiwista na wcześniejszej emeryturze? Dlaczego nie może wrócić do komendy i także kogoś przesłuchać? Jak długo będą go trzymać z dala od dochodzenia?

Po chwili uznał, że odpowiedź na ostatnie pytanie jest prosta - doktor Olltman dała mu dwa tygodnie zwolnienia. Czy to możliwe, że była w zмовie z Jonnerbladem? Nie, niemożliwe, żeby chodziło o tak wątpliwą konspirację. Ale kto wie, jaka będzie sytuacja za dwa tygodnie? I w tej, i w innej sprawie.

Najlepiej skupić się tylko na jednym dniu, pomyślał Barbarotti. Na jednej godzinie, jednej minucie. Życie upływa nam właśnie w ten sposób, najpierw mijają sekundy i minuty. Choć najczęściej tak tego nie odbieramy, ponieważ zwykle człowiek nie ma czasu na takie najprostsze refleksje. A przecież rysująca kreskę na niebie jaskółka istnieje właśnie teraz - nie wczoraj ani jutro.

Chociaż akurat teraz... akurat teraz jaskółka już odleciała, odnotował ze smutkiem... Zależało mu na tym, żeby Eva Backman skończyła przesłuchania, wzięła telefon do ręki i zadzwoniła, by podać mu najświeższe informacje.

Wszystko inne oznaczało niepotrzebne czekanie. Wszystko ma swój czas.

- Co powiedział Jonnerblad o liście?

- Chodzi ci o to, że go otworzyłeś?
- Tak.
- Niewiele. Wyjaśniłam mu sytuację.
- Wyjaśniłaś sytuację?
- Tak.

Nie zamierzała rozwijać tej odpowiedzi, więc i on, po krótkiej chwili namysłu, uznał ją za wystarczającą. Przypuszczalnie były ważniejsze sprawy do omówienia.

- No? - ponaglił ją. - Coś mi powiesz czy nie?

Przez ułamek sekundy przyszło mu do głowy, że powie „nie”. Że będzie posłuszna jakiemuś poleceniu służbowemu i powie, że niestety... niestety tymczasowe odsunięcie inspektora Barbarottiego od dochodzenia i zwolnienie lekarskie oznaczają, że nie może liczyć na informacje o przebiegu śledztwa.

Ale Eva Backman nie była taka.

- Coś się ruszyło - wyjaśniła. - Wreszcie coś znaleźliśmy.
- Na przykład?
- Na przykład kilka fotografii u Malmgrenów. Są faktycznie dość interesujące.

- Tak?
- Dokładnie rzecz biorąc, mamy siedem zdjęć z jednego z ich albumów. Chcesz posłuchać?

- Oczywiście.
- *All right*. Wydaje nam się, że chodzi o lato 2002 roku, ale całkowitej pewności nie mamy. Można powiedzieć, że chodzi o typowe zdjęcia z urlopu, mniej więcej ze dwadzieścia z tego samego wyjazdu, ale tych siedem jest najbardziej interesujących.

- Dlaczego?
- Dlatego że pozostałe przedstawiają krajobrazy. Henrik Malmgren na tle morza, Katarina Malmgren na wielkiej kupie kamieni... no wiesz.

- Nie musisz mi opowiadać, dlaczego pozostałe zdjęcia nie są interesujące. Opowiedz, dlaczego tych siedem jest interesujących.

- Nareszcie gadasz jak prawdziwy ty - wypaliła Eva. - No więc, na tych siedmiu zdjęciach widać jeszcze innych ludzi. Jeśli nie mamy kompletnego rozmiękczenia mózgu, to chyba udało nam się zidentyfikować dwoje z nich. Rozumiesz, co mam na myśli?

Gunnar Barbarotti skinął głową, czego Eva Backman najpewniej nie zauważyła.

- Chodzi o Annę Eriksson i Erika Bergmana.
- Co? Annę i...? Oboje?

- Tak jest, szefie. Anna Eriksson. I Erik Bergman. I Malmgrenowie. Mamy cztery ofiary na tej samej fotografii. Co ty na to?

- Niech mnie...

- Nie klnij. Dokładnie tak, jak przewidziałeś: dzisiaj znaleźliśmy łącznik. Ta czwórka najprawdopodobniej spędzała wspólnie czas podczas urlopu kilka lat temu... i przypuszczalnie tylko wtedy, ponieważ ani pan Bergman, ani pani Eriksson nie występują w żadnym innym albumie.

- Rozumiem. Mówiłaś, że który to był rok?

- Przypuszczamy, że 2002, ponieważ na grzbiecie albumu napisano 2002-2003... chodzi o kolejność pór roku i takie tam. Jeśli wklejali zdjęcia chronologicznie, to było to lato 2002 roku. Przypuszczamy... a właściwie prawie jesteśmy pewni, że chodzi o Francję.

- Francję? Przecież to słowa Smutasa?

Eva Backman zrobiła przerwę i czegoś się napiła.

- Tak, faktycznie, Gerald zebrał dzisiaj pochwały. A to stare zdjęcie, z którego to wywnioskował, to, na którym przypuszczalnie rozpoznawaliśmy Erika Bergmana i Annę Eriksson, pochodzi prawdopodobnie z tej samej kliszy. Może Malmgrenowie wysłali jej to zdjęcie.

Znowu zapadła cisza; słyszał, jak Eva przekłada jakieś dokumenty.

- Cztery ofiary na wspólnym urlopie - rzucił. - Szlag by to trafił. No i co? Coś dalej udało się ustalić?

- To trochę skomplikowane - mruknęła Backman. - Na tych siedmiu fotografiach widzimy nie tylko ten kwartet. Jest tam jeszcze parę innych osób.

- Innych osób?

- Tak. I nie wiemy, czy należą do tej grupy, czy nie? Choć wydaje się, że już ustaliliśmy, iż zdjęcia zostały zrobione w trzech różnych sytuacjach. Podczas wizyty w restauracji, na polu do gry w

boule w jakimś parku... między innymi dlatego optujemy za Francją... i dwa z jakichś skałek nad brzegiem morza. To może być równie dobrze jakieś jezioro, ale musiało by być ogromne, co nie wydaje się prawdopodobne, szczególnie jeśli na pozostałych zdjęciach wyraźnie widać, że to morze.

- A te inne osoby - przerwał jej. - Co możesz o nich powiedzieć?

- Zaraz do tego dojdę. Oczywiście budzą naszą ciekawość. Czy któraś z nich jest mordercą? Czy któraś z nich...?

- ...ma na imię Gunnar? - dokończył Barbarotti.

- Na zdjęciu nie widać, czy ktoś ma na imię Gunnar - cierpliwie wyjaśniła Backman. - Ale uważamy, że znaleźliśmy ścieżkę prowadzącą do celu. Mamy faceta, który jest na czterech zdjęciach, a na jednym z nich obejmuje ramieniem Annę Eriksson. Może było tak, że...

- Annę Eriksson - powtórzył Barbarotti. - Okej, rozumiem. Czyli teraz ponownie przesłuchujecie jej znajomych?

- Właśnie zaczęliśmy - rzuciła Eva Backman. - Niestety, ludzie nie pojawiają się na posterunku tylko dlatego, że się o nich pomyślało. Ale Astor i ja właśnie skończyliśmy przesłuchiwać pewną dziewczynę, Lindę Johansson, nie wiem, czy ją pamiętasz... w każdym razie usłyszeliśmy od niej, że jakiś czas temu Anna Eriksson miała faceta, który przypominał tego ze zdjęć.

- Aha? - mruknął.

- I?

- Według niej możliwe, że facet miał na imię Gunnar, ale nazwiska nie pamięta.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Ale nie Barbarotti?

- Nie, tamten facet jest od ciebie z dziesięć lat młodszy. Trochę przypomina Zlatana.

- No to na pewno nie ja - odetchnął Barbarotti. - Ale uważam, że znalezienie tego faceta jest sprawą życia i śmierci.

- Dzięki za radę - syknęła Eva Backman. - I na razie to by chyba było na tyle. A poza tym muszę wracać do pracy. Jesteś pewien, że wizyta u Olltman poszła dobrze?

- Poszła znakomicie - zapewnił ponownie Barbarotti. - Powiedziała, że do wyzdrowienia potrzebuję takich sesji informacyjnych z tobą.

- Tego mi nie w mówisz.

- Przynajmniej tak ją zrozumiałem - wyjaśnił. - Wracaj do pracy i zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała jakiś problem.

- Pocałuj mnie w nos - odburknęła Eva Backman.

- Kocham inną - odciął się Barbarotti.

Przygotowanie homarca i przegrzebków według przepisu Dobrowolskiego zajęło mu godzinę i piętnaście minut - a po dziesięciu minutach było już po posiłku.

Przynajmniej wówczas, gdy się jadło w samotności. Wina wystarczyło jednak na dłużej; kiedy już załadował naczynia do zmywarki, wziął kieliszek i butelkę i wyszedł na balkon; przez cały dzień było szaro i co rusz przechodziły przelotne ulewy, ale teraz, około dziewiątej wieczorem, niebo rozjaśniło się fantastycznym zachodem słońca. Postanowił nie dzwonić do Backman po raz kolejny i nie męczyć jej pytaniem, jak poszło, choć miał ogromną ochotę. Dostojnie i bez pośpiechu wypił całą butelkę wina. Przez chwilę żałował, że dwanaście lat temu przestał palić, bo to był dobry moment na papierosa, może nawet dwa, właśnie teraz, gdy balkon, skąpany apokaliptycznym światłem, wisiał pod purpurowym niebem podświetlonym od dołu blaskiem słońca, którego już nie było widać nad horyzontem.

Można by się spodziewać, pomyślał Barbarotti, że z nieba spuszczą drabinę, po której na dół zejdzie gromada pulchniutkich aniołków w złotych szatach, wyposażonych w harfy i inne atrybuty

zbawienia. Jak też nazywała się ta napuszona szkoła malarstwa...
Düsseldorfska szkoła malarska, jakoś tak?

Zadowolony ze swojej wiedzy z dziedziny sztuk pięknych, wrócił
myślami do ciemnych stron życia.

Dużo ciemniejszych; można by rzec do czarnego ekspresjonizmu.
Ktoś zamordował czworo ludzi. Czworo ludzi spotkało się podczas
urlopu we Francji... co to mówiła Backman... w 2002 roku?

I to właśnie ten urlop miałyby po pięciu latach być tłem ich
gwałtownej śmierci. Śmierci zadanej przez sprawcę, któremu radość
sprawia również pisanie listów do inspektora z Kymlinge, w których
zapowiada, kogo zamierza zabić.

Dlaczego?

Wypił łyk wina. Nie miał poczucia, jakby to „dlaczego?” zmalało
z powodu odkrycia związku pomiędzy ofiarami. Naprawdę nie.

Ale można było zadawać nowe pytania, innego rodzaju pytania.

Na przykład, jak doszło do ich spotkania? Tej czwórki i ich
mordercy. Czy wyruszyli wspólnie ze Szwecji? Czy też wpadli na
siebie dopiero na miejscu, już we Francji?

Czy byli tam na wycieczce?

Zastanawiał się. Ta ostatnia myśl nie była aż tak absurdalna, a
jeśli byłaby prawdziwa, to liczba osób posiadających informacje
sprzed pięciu lat o kwartecie ofiar mordercy byłaby znacznie
większa.

Gdyby na przykład chodziło o wycieczkę autokarową; Barbarotti
nigdy by nie pojechał na taką wycieczkę za granicę, ale byli ludzie,
którym odpowiadała taka forma wyjazdu. Nie tylko do Sztokholmu,
żeby pójść do teatru, czy do Smalandii, żeby zwiedzić hutę szkła. Są
takie wyjazdy do Rzymu albo Lizbony. Nad jezioro Garda, do
Amsterdamu i Bóg jeden wie gdzie.

Pięćdziesięcioro ludzi w autokarze. Dziesięć albo piętnaście dni w podróży po Europie. Coś się wydarza i ktoś postanawia samemu wymierzyć sprawiedliwość.

Pięć lat później? Dlaczego, u licha? - pomyślał Gunnar Barbarotti i wypił łyk wina. A zresztą, dlaczego mówimy o kwartecie, skoro teraz w zasadzie chodzi już o kwintet? Ten Gunnar - który, dzięki Bogu, nie był nim samym - był niewątpliwie kolejnym kandydatem do listy trupów. Co znów oznaczałoby, że w tym węzle gordyjskim mamy wątki sześciu osób. Pięciu ofiar i sprawcy.

A może jeszcze kogoś? Chyba nie, piszący listy twierdził, że Gunnar będzie ostatnią ofiarą, więc miejmy nadzieję, że zatrzymamy się na pięciu morderstwach. To i tak o wiele za dużo.

A co z Hansem Anderssonem? Bardzo dziwna sprawa, rozmyślał Barbarotti. Jeśli było tak, że ktoś jeszcze był w to zamieszany i morderca faktycznie chciał tę osobę początkowo zamordować, ale potem postanowił tego nie robić... to trzeba przyznać, że taką strategię bardzo trudno zrozumieć. Jeśli ten Hans Andersson rzeczywiście należał do francuskiego grona, mógł przecież wskazać mordercę. Jeśli oczywiście w ogóle istniał.

Czyż nie? - pomyślał Barbarotti, a potem błyskawicznie stracił wątek, ponieważ nad balkonem majestatycznie przeleciała gigantyczna chmura kawek. Powinienem tu mieć papier i długopis. Powinienem trochę usystematyzować te myśli.

Powinienem zająć moją biedną głowę czymś całkiem innym, dalej snuł rozważania, gdy kawki odfrunęły. Już nie pracuję przy dochodzeniu.

Wypił łyk wina i spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej. Może Backman już skończyła pracę na dzisiaj? Może powinien do niej zadzwonić?

Powstrzymał się. Wszedł do mieszkania, żeby znaleźć formularz samooceny, który dostał od Olltman. Wrócił na balkon, w ramiona letniego wieczoru, niosąc w ręce ostatni kieliszek wina.

Przynajmniej na jedno pytanie powinni niedługo znaleźć odpowiedź.

Kim był ten Gunnar? Wszystko wskazywało na to, że miał marne szanse.

Później oparł się wygodnie w fotelu i zaczął czytać pierwszą stronę formularza.

Na samej górze widniał napis: „Instytut Neurobiologii Klinicznej, Sekcja Psychiatrii, Instytut Karolinska, Sztokholm”.

Stałem się przedmiotem analiz naukowych, pomyślał i wyciągnął długopis. Mama byłaby ze mnie dumna.

Jednak kiedy tak siedział i próbował zdiagnozować swoją domniemaną duszę - rozłożoną na pojęcia podstawowe, takie jak chęć do życia, stany niepokoju, nastrój, zdolność koncentracji i zaangażowanie emocjonalne - apokaliptyczne niebo pociemniało i zaczęło przypominać zakrzepłą krew, przez balustradę balkonu przetoczył się zimny podmuch wiatru, a Barbarotti wrócił myślami do poranka i nowego listu od mordercy leżącego wówczas na kuchennym stole.

„Chcę ci podziękować za współpracę”?

„Gunnar”?

Poczuł lodowaty dreszcz.

25.

W drodze do Axela Wallmana, w czwartkowy poranek, zatrzymał się przy sklepie ICA Basunen w Kymlingevis, żeby zrobić zakupy, i zobaczył tablicę z nagłówkami gazet.

NASTĘPNĄ OFIARĄ BĘDZIE GUNNAR. POLICJA JEST BEZRADNA - przeczytał na jednym.

GUNNAR W OBJĘCIACH ŚMIERCI - obwieszczał drugi.

No proszę, pomyślał Barbarotti. Tym razem powiadomił obie gazety, najwyraźniej na finał potrzebuje kompleksowej oprawy.

Przyszło mu do głowy, że zapomniał zapytać Eve Backman, jaki był wynik przesłuchania Görana Perssona. Czy nadal nie chciał ujawnić swojego źródła informacji, czy po prostu nie wiedział, kim był informator. Przepuszczalnie to drugie. Można było czynić prasie wiele zarzutów, na przykład to, że infantylizowała czytelników, ale trudno sobie wyobrazić, żeby świadomie chroniła mordercę.

Choć oczywiście dobrze by było wiedzieć, w jaki sposób sprawca się z nimi kontaktował. Czy za pomocą listów, jak w przypadku kontaktów z policją, czy może do kontaktów z trzecią władzą używał innego kanału komunikacyjnego. A w zasadzie czwartą, przynajmniej w demokracjach o szerszej perspektywie niż szwedzka.

Barbarotti zanotował w pamięci, żeby zapytać o to Backman, gdy będzie mu opowiadała o najświeższych postępach w śledztwie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Eva przyjedzie dziś wieczorem do domku Wallmana - jeszcze z nią nie rozmawiał, wymienili tylko SMS-y, w których dostał warunkową zgodę, ale nigdy nie wiadomo, co mogło się wydarzyć. Banda zawodników unihokeja mogła z nagłą wrócić z wyjazdu albo Jonnerblad mógł zarządzić pracę do nocy, w tej sytuacji niespodzianki były nieuniknione. Tak czy owak zamierzał zadzwonić do niej w ciągu dnia i wszystko ustalić.

Nie kupił jednak ani „Aftonbladet”, ani „GT” czy „Expressen”.

Ani mi się śni, pomyślał. Nie dorzucę ani jednej korony na utrzymanie tej fabryki skandali.

Kupił natomiast jedzenie i piwo, żeby wystarczyło również dla inspektora Backman, gdyby jednak odważyła się przyjechać. Podczas zakupów odebrał dwa telefony od dziennikarzy z propozycją dłuższych wywiadów, w których mógłby przedstawić swoją wersję wydarzeń - jeden z nich zaśpiewał nawet coś o gratyfikacji finansowej

- ale Barbarotti odmówił, jak zwykle. Przez głowę przebiegła mu jednak myśl, że niechybnie znowu trafił na listę przebojów z uwagi na „Gunnara-w-objęciach-śmierci”.

W czasie dwudziestominutowej podróży do Wallmana telefon dzwonił jeszcze trzy razy, ale postanowił nie odbierać. Sprawdzał tylko, czy nie wyświetla się numer inspektor Backman albo Marianne, ale nie.

Axel Wallman nie zmienił się zasadniczo przez cztery dni. Wymienił zielonkawy T-shirt na niebieski, to wszystko.

- Co tu robisz? - zdziwił się.

- Przecież dzwoniłem - odpowiedział Barbarotti. -

Powiedziałeś, że mogę przyjechać.

- Tak, pamiętam - burknął Axel Wallman.

- No jasne, że pamiętasz, przecież dzwoniłem dwie godziny temu.

- Nie przerywaj. Powiedziałem, że możesz przyjechać, ale chyba mogę zapytać, co tu robisz? Ale popraw mnie, jeśli się mylę, Saarikoski.

Pies uderzył ogonem w podłogę dwa razy.

- Mówi, że mam rację - przetłumaczył Wallman. - Więc?

What brings you here? Analizując tę sprawę, możemy chyba napić się po piwku.

Otworzyli sobie po piwie i usiedli w plastikowych fotelach. Barbarotti przypomniał sobie, że doktor Olltman pytała o jego konsumpcję alkoholu, i podniósł puszkę do ust z lekkimi wyrzutami sumienia. Było przed południem, dopiero piętnaście po jedenastej, dużo za wcześnie na picie.

No, ale okoliczności były, jakie były.

- Było mi dość ciężko - zaczął - przez ostatnie dni.

- Dobrze ci tak - skomentował Wallman. - A twój morderca dalej gania na wolności, tak?

Barbarotti skinął głową.

- To może lepiej by było, gdybyś go szukał, zamiast siedzieć ze mną, żłopać piwo i się obijać?

- Jestem zawieszony w obowiązkach - odburknął Barbarotti.

- Znam to pojęcie - odparował Wallman. - W czasach gdy jeszcze pracowałem, często bywałem zawieszany w obowiązkach. Nie ma co spuszczać nosa na kwintę.

- Dzięki - powiedział Barbarotti. - I nie spuszczam nosa na kwintę. Ale nie czuję się najlepiej. Byłem u psychiatry. Ty też masz z nimi doświadczenie, jak rozumiem?

- Miałem do czynienia z wieloma - potwierdził Axel Wallman. - Jest z nimi taki problem, że wszyscy są nieuleczalni. Stawiałem jedną doskonałą diagnozę za drugą, ale to nie pomagało. Nie płacili też moich rachunków.

- Życie nie jest proste - zauważył Barbarotti.

- Więc przyszedłeś do mnie i Saarikoskiego, żeby znaleźć spokój duszy? - podsumował Axel Wallman i podrapał się pod pachami. - Idąc za radą swojego lekarza... to by świadczyło o tym, że trafiłeś na mądrego konowała. Na śmietniku wszyscy są równi; bez wyjątku mali i bez znaczenia, ale równi.

- To kobieta - poprawił go Barbarotti. - Lekarka.

- A niech mnie - wypalił Wallman. - Czy już ci mówiłem, że nadal jestem prawiczkim?

- Tak, wspominałeś.

- Sytuacja na tym polu nie zmieniła się od niedzieli.

Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba mam ochotę na spacer - stwierdził. - Muszę się rozruszać. Jak pójdę w tę stronę, to trafię na ścieżkę biegnąca wzdłuż jeziora, prawda?

- Tak, przynajmniej jeszcze wczoraj tam była ścieżka. Ale dzisiaj postanowiliśmy, Saarikoski i ja, że nie pójdziemy na spacer. Więc musisz sobie radzić sam.

- Spróbuję - zapewnił Gunnar Barbarotti.

Po mniej więcej półgodzinnym marszu, kiedy przeszedł już spory kawałek wzdłuż nabrzeża i zdążył się spocić, w jego kieszeni znowu zawarczał telefon. Nadszedł nowy SMS.

Znowu jakiś reporter w pogoni za prawdą - pomyślał Barbarotti, ale zatrzymał się i przeczytał wiadomość.

„Myślę o Tobie. Marianne”.

Marianne? - zdziwił się inspektor Barbarotti. - Myśli o mnie. Wow, dzięki ci, Boże!

Przysiadł na kamieniu przy brzegu. Nagle zrobiło mu się słabo. Jednak to uczucie nie przypominało tamtego przy stole w kuchni; teraz czuł się raczej jak po... po wypiciu szampana? Minęło po trzech sekundach. „Myślę o tobie”. Że też trzy słowa mogą aż tyle ważyć. Stado gęsi kanadyjskich - też stosunkowo ciężkich - relaksowało się na wodzie parę metrów od niego; wcale się nie przejmowały jego obecnością.

Moi Bracia Mniejsi, pomyślał Barbarotti. Muszę jej odpowiedzieć, to ważne. Kilka dobrze dobranych słów i moja dusza znajdzie spokojną przystań.

Skomponowanie wiadomości zabrało mu niezłą chwilę. W końcu wystukał ją drżącymi palcami na klawiaturze.

„A ja o Tobie. Gunnar”.

Był zadowolony z tego, co napisał. Żadnych wielkich słów; małe słowa wyrażające wielkie myśli są bardziej efektywne; właśnie takie podejście do słowa usiłowała zaszczerpić w nim nauczycielka szwedzkiego z liceum („Umniejszanie faktów jest dużo bardziej efektywne niż hiperbole i dotyczy to wszystkich sfer życia, pamiętajcie robaczki!”), pomyślał więc teraz o niej z wdzięcznością.

Nie ruszał się z kamienia jeszcze przez jakiś czas, myślał o przedziwnych układach choreograficznych istnienia, o formularzu, który wypełniał wczoraj wieczorem na balkonie, o wyboistej drodze do swojej dzisiejszej pozycji wzdłuż życiowego systemu współrzędnych,

o Marianne - i o tym, czy telefon jeszcze raz zabrzączy.

Nie zabrzączał.

No cóż, pomyślał Barbarotti, i tak powinienem się cieszyć. Odsunąłem się odrobinę od cienistej doliny śmierci, nie można wymagać zbyt wiele.

Wstał i ruszył w drogę powrotną w kierunku domu Axela Wallmana.

Inspektor Backman zadzwoniła około piątej i zameldowała, że zamierza się pojawić za jakieś dwie godziny. Barbarotti zaczął natychmiast strzelać baterią zmagazynowanych pytań, ale mu przerwała, mówiąc, że musi uzbroić się w cierpliwość do czasu spotkania w cztery oczy. Było dużo do opowiadania, z punktu widzenia śledztwa dzień nie był stracony, a jak on się czuje? I czy był pewien, że powinna się spotkać z tym dziwakiem Wallmanem?

- Tak, dostaniesz to w pakiecie - przyznał. - Przynajmniej dzisiaj, bo ja zostaję tu na noc, ale oczywiście ty nie musisz. Świeże powietrze i wzmacniające spacery po lesie, z tych liści utkam lek na moją słabość.

- Jakie to piękne.

- Tak, ale ja tylko cytuję. Nic lepszego nie mogę sobie wymarzyć i tak... a przy okazji, mój mózg się odezwał i powiedział, że potrzebuje jakiejś stawy.

- To ci mogę zapewnić - obiecała. - I nie będziesz miał więcej ataków?

- Nie ma żadnych oznak.

- Witamy boginię na Śmietniku Raj - rzucił kurtuazyjnie Axel Wallman, gdy wreszcie dotarła, tuż po wpół do ósmej. - Wolę policjantki, tak samo jak kobiety w sutannach.

Barbarotti starał się możliwie najlepiej przygotować ją na spotkanie z Axelem Wallmanem.

- Dziękuję - odpowiedziała po prostu. - Czy dotrzykaliście

słowa i macie dla mnie jakąś kolację?

- Oczywiście - zapewnił Barbarotti.
- Pewnie jesteś mężatką? - zapytał Wallman.
- Mąż wielki jak stodoła i troje dzieci - odpowiedziała

Backman.

- A ja jestem singlem - rzucił Wallman.
- Tak myślałam.
- Jak, do cholery, się domyślaś?
- Kobięca intuicja.
- To coś, co mnie zawsze przerażało - wybuchnął Wallman. -

Wy, kobiety, potraficie przejrzeć człowieka na wylot. Jesteście prawdziwą zagadką. Jak to jest, być tak zagadkową istotą?

Kolacja i przynależna do niej konwersacja, obejmująca nawet odczytanie przez gospodarza kilku wierszy, trwała około godziny, a później gospodarz i Saarikoski weszli do środka, zostawiając oboje policjantów w spokoju na tarasie. Backman wyjęła z teczki segregator, tym razem niebieski.

- Zacznę od gratulacji - powiedziała.
- Dlaczego? - zdziwił się.
- Już nie jesteś podejrzany o popełnienie przestępstwa.

„Expressen” wycofała swoje zgłoszenie. W związku z tym już jutro rano możesz wrócić do pracy.

- To dobrze - mruknął Barbarotti. - Choć jeśli dobrze zrozumiałem, jestem na zwolnieniu lekarskim. Co wiemy o dziennikarskich źródłach informacji? Widziałem dziś rano tablice z nagłówkami gazet.

- Powiedzieli nam, jak było - wyjaśniła Backman. - Ci z „Expressen” i ci z „Aftonbladet”. Z nimi też się komunikuje za pomocą listów.

- Pisanych lewą ręką?
- Nie, nie całkiem. Zwykle wydruki z komputera. Adresowane do konkretnych reporterów, Görana Perssona, a w tej drugiej gazecie

do Henninga Claussona. Ale podobno nie do wyśledzenia. W tym ostatnim przypadku są to identyczne kopie do obu gazet, trochę ponad pół strony A4... Czytałeś, co piszą?

Gunnar Barbarotti pokiwał głową.

- Okej, nie ma znaczenia. Śmiem twierdzić, że znaleźliśmy Gunnara, o którego chodzi w tym przypadku, i to najważniejsze. Rozmawialiśmy ze starymi znajomymi Anny Eriksson przez cały dzień i mamy potwierdzenie, że miała kiedyś chłopaka, który nazywał się Gunnar Öhrnberg.

- Öhrnberg?

- Tak. Podobno byli ze sobą przez większą część 2002 roku. Nigdy razem nie mieszkali, ale byli uważani za parę... od marca do mniej więcej czasu tuż przed świętami Bożego Narodzenia. On cały czas mieszkał w Borås, a ona tutaj, w Kymlinge. Latem pojechali razem do Francji, dokładnie do Bretanii - dwie przyjaciółki dostały stamtąd widokówki, a na jednej z nich było napisane Quimper.

- Świetnie - powiedział Barbarotti.

- Tak, a świadkowie z Göteborga twierdzą, że Malmgrenowie też spędzali wtedy urlop w Bretanii... znaczy się pięć lat temu.

- Bretania - mruknął. - Byłaś tam?

- Nie. A ty?

Skinął głową.

- Byłem. Piękny krajobraz, trochę kosmaty, niesamowite skały, raj dla smakoszy owoców morza. Wszędzie hortensje, takie ogromne kwiaty, podobne do kalafiora. Byliśmy tam, jeszcze zanim chłopcy przyszli na świat, na początku lat dziewięćdziesiątych, tylko Helena, Sara i ja... Mów dalej.

Eva Backman przekartkowała segregator.

- W albumie Anny Eriksson jest kilka zdjęć Gunnara Öhrnberga, ale przecież tego nie wiedzieliśmy wtedy, kiedy... w tym jeden akt.

- Powiedziałaś, że go znaleźliście?

- To zależy, jak interpretować słowo znaleźliśmy. Wiemy o nim bardzo dużo: ma trzydzieści siedem lat i mieszka obecnie w Hallsbergu, pracuje jako nauczyciel w liceum Alléskolan. Uczy historii i wiedzy o społeczeństwie; w poniedziałek było rozpoczęcie roku szkolnego... tylko dla nauczycieli... ale on się nie pojawił.

- Nie pojawił się? - powtórzył Barbarotti.

- Właśnie, nie przyszedł. W zasadzie wygląda na to, że nikt go nie widział od tygodnia.

- Sugerujesz...?

Po chwili wpatrywania się w mrok odpowiedziała:

- Można podejrzewać, tak. Nie ma rodziny. Ponoć sporo podróżował w czasie wakacji. Głównie po zachodnim wybrzeżu. Jest instruktorem nurkowania, zazwyczaj nurkuje w jakiejś bazie w pobliżu Kungshamn. Ale na początku sierpnia wrócił do domu, do Hallsberga, to wiemy na pewno. Jutro jedziemy tam, żeby przeszukać jego mieszkanie. Jonnerblad powiedział, że możesz się przyłączyć, jeśli masz ochotę.

- Kto jedzie?

- Ja i Astor Nilsson. Na miejscu spotkamy się z technikami z policji w Örebro.

Barbarotti zastanawiał się przez dwie sekundy. - *All right* - powiedział. - Co prawda mam randkę z panią psychiatrą, ale ją odwołam.

- Osobiście bardzo bym się cieszyła, gdybyś z nami pojechał.

- Dzięki - mruknął Barbarotti. - Jesteś porządną gliniarą. Choć może trochę za miękką... coś jeszcze?

Zaczęła się śmiać.

- Tak, trochę się mówiło o tym, że dochodzenie powinno być prowadzone w Göteborgu albo że Centralne Biuro Śledcze powinno je całkowicie przejąć. Ale ponieważ mamy już przedstawicieli obu jednostek na miejscu, Sylvenius zdecydował, że wszystko zostaje

po staremu. Choć oczywiście w przypadku Malmgrenów dostaliśmy znaczną pomoc z Göteborga.

- Świetnie. Nie powinno się wymieniać drużyny w połowie meczu. A tak przy okazji, co z mężem, nie wypłynął gdzieś?

- Z moim?

- Nie, nie z twoim. Mówię, rzecz jasna, o Henriku Malmgrenie.

- Okej. Nie, jeszcze nie wypłynął. Mój, zresztą, też nie.

- Rozumiem. A te zdjęcia, masz je ze sobą?

Eva Backman wyjęła plik kartek z segregatora.

- To nie są oryginały, musisz się zadowolić zeskanowanymi kopiami. Ale są tak samo wyraźne.

Rozłożyła je na stole. Barbarotti pochylił się do przodu i zaczął je studiować.

Siedem zdjęć, jak mówiła. Siedem zdjęć z urlopu, trochę amatorskich, dwa trochę niewyraźne. Format dziesięć na piętnaście. Jeśli ich nie zmniejszono albo powiększono podczas skanowania.

Trzy z nich, akurat stosunkowo wyraźne, przedstawiały ludzi przy stolikach w ogródku jakiejś restauracji. Sądząc po świetle, musiał być środek dnia. Ludzie siedzący przy stoliku, inni ludzie w tle. Ściana pokryta kwitnącym pnączem. Bez wahania zidentyfikował cztery osoby, cztery dotychczasowe ofiary: Erik Bergman, Anna Eriksson, Henrik i Katarina Malmgrenowie.

- Który to Gunnar Öhrnberg? Ten?

Wskazał trzydziestoletniego mężczyznę o sportowej sylwetce, ciemnych włosach i silnie zarysowanym nosie. Pamiętał, że mówiła o podobieństwie do Zlatana Ibrahimovića. Przytaknęła.

Przyjrzał się pozostałym zdjęciom. Gunnar Öhrnberg występował na czterech, ale tylko na tym jednym, na jednym ze zdjęć z restauracji, cały kwintet pojawiał się w komplecie. Było to też jedyne

zdjęcie, na którym Katarina i Henrik Malmgrenowie byli razem.

- Aparat był ich... prawda? Malmgrenów?

Eva Backman wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.

- Jest tu jeszcze szósty facet, mamy go na zdjęciu z restauracji i z placu do gry w boule.

Backman kiwnęła głową i spojrzała na zegarek.

- Tak, Ten Szósty.

Gunnar Barbarotti podniósł pytająco jedną brew.

- Tak go ochrzcieliśmy. Wiesz co, przez cały dzień wgapiłam oczy w te zdjęcia. Jeśli jutro rano mamy jechać do Hallsberga, muszę się porządnie wyspać. Zostawię ci je, to będziesz mógł się na nie pogapić i coś wymyślić. Pogadamy jutro w samochodzie. Może być?

- Bardzo chętnie - odpowiedział Barbarotti. - O której wyruszamy?

- O ósmej spod komendy. Naprawdę zamierzasz tu dzisiaj nocować? To znaczy... tutaj?

- Spokojnie - rzucił Barbarotti. - Dzielilem mieszkanie z tym grubianinem przez trzy lata. Jutro o ósmej stawię się gdzie trzeba. Jedź do domu i wyśpij się porządnie, a ja sobie jeszcze chwilę posiedzę i ułożę tę układankę.

- Czy powinnam wejść do środka i pożegnać się z... grubianinem?

- Nie sędzę, pewnie już śpi albo tłumaczy wiersze i na pewno nie chce, żeby mu przeszkadzać. Pożegnaj go od ciebie jutro rano.

Eva Backman patrzyła na niego przez kilka sekund z podniesionymi brwiami, potem wstała i zniknęła w mroku. Słyszał, jak uruchamia samochód, widział stożki światła pomiędzy drzewami, kiedy cofała, a pół minuty później nad Śmietniskiem Raj znów zapanowała cisza.

26.

Postanowił usystematyzować myśli - to na pewno nie zaszkodzi. Wyjął z teczki długopis i notatnik i ponumerował zdjęcia od pierwszego do siódmego. Zdjęcia z restauracji dostały numery od jednego do trzech.

Dokładność jest cnotą, pomyślał. Zdjęcie po zdjęciu, może gdzieś tu skrywa się morderca.

Otworzył notatnik na czystej kartce i zaczął zapisywać.

Zdjęcie nr 1

Miejsce: Restauracja, ogródek na zewnątrz. Stolik, przy którym siedzi grupka ludzi. Na jednej ścianie kwitnące pnącze. Na stole talerze z jedzeniem, butelki wina i kieliszki.

Czas: Dzień.

Osoby: Erik Bergman, Anna Eriksson, Gunnar Öhrnberg, Henrik Malmgren, Katarina Malmgren.

Fotograf: Nie wiadomo. Może Ten Szósty?

Pozostałe detale: W tle widać innych gości, a nawet połówkę kelnera w czarno-białym stroju. Wszyscy przy stole patrzą w aparat, z wyjątkiem Anny Eriksson, która wydaje się przyglądać czemuś nad głową fotografa. Wszyscy uśmiechają się w taki nieco wymuszony sposób, charakterystyczny dla osób fotografowanych. Po prawej stronie przy stole, najbliżej fotografa, stoi puste krzesło, może Jego?

Zdjęcie nr 2

Miejsce: Ta sama restauracja.

Czas: Trochę później. Na stole stoją filiżanki z kawą.

Osoby: Erik Bergman, Anna Eriksson, Gunnar Öhrnberg. Cała trójka siedzi obok siebie po lewej stronie stołu w tym samym układzie, co na zdjęciu nr 1.

Fotograf: Henrik lub Katarina Malmgren. Lub Ten Szósty. Zdjęcie zrobiono z ich strony stołu.

Pozostałe detale: Nie są świadomi, że ktoś im robi zdjęcie. Erik Bergman patrzy w prawo na coś poza kadrem. Gunnar Öhrnberg zapala Annie Eriksson papierosa. W prawym dolnym rogu zdjęcia widać dłoń i pół czyjegoś przedramienia, przypuszczalnie męskiego. Nieznana kobieta stoi lekko pochylona do przodu tuż za Erikiem Bergmanem, ale prawdopodobnie nie należy do towarzystwa.

Zdjęcie nr 3

Miejsce: To samo.

Czas: W zasadzie ten sam, co na zdjęciu nr 2.

Osoby: Henrik Malmgren, Ten Szósty, Gunnar Öhrnberg.

Fotograf: Katarina Malmgren?

Pozostałe detale: Zdjęcie zrobione z ukosa, od krótszej strony stołu. Wygląda, jakby nikt nie zauważył, że są fotografowani. Gunnar Öhrnberg nie siedzi po tej samej stronie stołu, co pozostali dwaj mężczyźni; widać go, ponieważ pochylił się do przodu, jakby coś mówił do Tego Szóstego.

Barbarotti zrobił sobie przerwę i popatrzył w mrok. Próbował sobie przypomnieć tytuł filmu, który kiedyś oglądał, filmu grozy - chodziło o identyfikację ludzi na starych fotografiach, która miała posłużyć znalezieniu mordercy - ale nie udało mu się. Samego filmu też za bardzo nie pamiętał; chodziło o bardzo powiększone, ziarniste zdjęcia, twarze obcych, ale znaczących ludzi, które pozostawały w pamięci oglądającego. Zagadkowa tożsamość jakiejś twarzy, dziwna zmiana po zatrzymaniu żyjącej twarzy w kadrze i przetworzeniu jej w nieruchomy punkt w strumieniu czasu. Widział ten film przynajmniej dwadzieścia lat temu; jeśli dobrze pamiętał, był to film czarno-biały, być może prawdziwy film z rolki.

Odsunął na bok te rozważania i wrócił do zdjęć na stole. Skupił wzrok na nieznanym, szóstym uczestniku biesiady. Najlepiej

było go bez wątpienia widać na zdjęciu nr 3. Dość wysoki i mocno opalony mężczyzna około trzydziestki. W białej koszuli z krótkimi rękawami, okularach przeciwsłonecznych podniesionych na czoło. Krótko obcięte ciemnoblon d włosy i szczupła twarz o dość wyrazistych rysach: szerokie usta, dość długi nos, regularna broda.

Wygląda tutaj, pomyślał Barbarotti, wygląda tutaj jak ktokolwiek.

Dokładnie jak ktokolwiek. Wziął do ręki długopis i wrócił do systematyki.

Zdjęcie nr 4

Miejsce: Park.

Czas: Wczesny wieczór.

Osoby: Na zdjęciu widać przynajmniej dwadzieścia osób, większość w oddaleniu. Grupa mężczyzn gra w boule, dwie starsze kobiety siedzą na ławce i rozmawiają, zmierzwiony pies obwąchuje pień drzewa. Na pierwszym planie, w odległości czterech do pięciu metrów od fotografa, stoją Henrik Malmgren, Anna Eriksson i Erik Bergman. Anna Eriksson je loda, Henrik Malmgren zaciąga się papierosem.

Fotograf: Katarina Malmgren?

Pozostałe detale: Po lewej stronie widać róg mniejszego budynku i fragment markizy w szerokie pasy, może budki z lodami. Ta trójka czeka być może na to, aż pozostali kupią sobie lody. Zdjęcie jest trochę nieostre.

Zdjęcie nr 5

Miejsce: Ten sam park.

Czas: Ten sam, ewentualnie trochę później.

Osoby: Erik Bergman, Anna Eriksson, Gunnar Öhrnberg, Henrik Malmgren, Ten Szósty. Stoją na linii i obserwują grę w boule. Na zdjęciu widać również kilku graczy i kilku pozostałych widzów.

Fotograf: Katarina Malmgren?

Pozostałe detale: Również to zdjęcie jest nieostre. Gunnar Öhrnberg obejmuje ramieniem Annę Eriksson. Widać pewne podobieństwo wszystkich czterech mężczyzn. Wszyscy noszą jasne koszule z krótkim rękawem, spodnie do kolan i sandały, bez skarpetek. Są dość mocno opaleni, wszyscy około trzydziestki. Henrik Malmgren nieco od nich odstaje; jest trochę niższy od pozostałych i jako jedyny nosi okulary. Anna Eriksson nadal trzyma w ręku lodę.

Zdjęcie nr 6

Miejsce: Płyta skalna nad morzem.

Czas: Dzień.

Osoby: Anna Eriksson, Erik Bergman, Katarina Malmgren. Wszyscy troje w strojach kąpielowych opalają się, siedząc oparci o ścianę skalną.

Fotograf: Henrik Malmgren?

Pozostałe detale: Typowy obrazek z urlopu. Wszyscy mają przymknięte oczy i twarze zwrócone ku słońcu. Siedzą na jakichś matach z łyka, w dolnej części zdjęcia widać ręczniki i torby, po lewej stronie, w tle, morze i horyzont. Erik Bergman i Anna Eriksson mają okulary słoneczne, Katarina Malmgren trzyma w ręce zamkniętą książkę.

Zdjęcie nr 7

Miejsce: To samo, co na zdjęciu nr 6, ale z większej odległości.

Czas: Dzień.

Osoby: Erik Bergman, Anna Eriksson, Gunnar Öhrnberg, Katarina Malmgren. W wodzie widać kąpiących się ludzi. W dali płynie żaglówka.

Fotograf: Henrik Malmgren?

Pozostałe detale: Typowy obrazek z urlopu. Widać piasek u podnóża skały. Fotografowana czwórka coś je. Anna Eriksson patrzy w kierunku fotografa i macha ręką, jej dłoń jest zamazana. Obie

kobiety w bikini w kolorze czerwonym, ale o różnych odcieniach.

To wszystko. Gunnar Barbarotti odłożył długopis i spojrzał ponownie na wszystkie zdjęcia. Odpędził dłonią jakiegoś spóźnionego komara.

Czym ja się właściwie zajmuję? - pomyślał. Czy z tego da się coś wyczytać? Co takiego mogło się tym ludziom przydarzyć?

Pytania uzasadnione, bez wątpienia. Szczególnie to ostatnie. Oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Myślał.

W tle każdego przestępstwa jest jakaś historia; chodzi o to, żeby ją odsłonić. W zasadzie na tym głównie polegała praca policjantów z wydziałów kryminalnych: mieli odsłonić motywy zdarzenia. Zawsze wstecz, zawsze cofając się w czasie, błędząc i poszukując decydującego momentu w przeszłości.

A zatem w tym przypadku, o ile nie wszystkie znaki były fałszywe, chodziło o urlop spędzony przez pięć osób w Bretanii. Latem 2002 roku... zdaje się, że to ten rok? Zapomniał zapytać Backman, czy ta informacja jest już potwierdzona. Najwyraźniej chodzi o dwie pary: Henrika i Katarinę Malmgrenów z Göteborga oraz Annę Eriksson z Kymlinge i Gunnara Öhrnberga z Borås. Piątym jest Erik Bergman z Kymlinge.

A szósty? Kto to jest? Gunnar Barbarotti otworzył oczy. Pochylił się w kierunku stołu i znowu popatrzył na fotografie. Ten Szósty był w restauracji i parku, gdzie grali w boule. Ale nie było go na zdjęciach ze skałek. Co to znaczy?

Bzdura, pomyślał Gunnar Barbarotti, to oczywiście nic nie znaczy. Może właśnie pływał; zdjęcia o numerach sześć i siedem mogły być zrobione w odstępnie zaledwie minuty.

W ogóle, rozmyślał dalej, patrząc na zdjęcia, a później na mroczne jezioro i skraj lasu odcinający się od jaśniejszego nieba po drugiej stronie, w ogóle trudno tutaj stawiać sensowne pytania. Niestety

tak było. Nie uczestniczył w czynnościach śledczych przez trzy dni i z pewnością pojawiło się mnóstwo okoliczności, o których nie miał pojęcia.

Na przykład miejsce? Gdzie w Bretanii zrobiono te zdjęcia? Jeśli znajomi Malmgrenów wiedzieli o tej podróży - chyba Backman tak mówiła? - to grupa dochodzeniowa musiała ustalić więcej szczegółów. Mnóstwo szczegółów. Jak podróżowali? Własnym samochodem czy jako wycieczka? W jakim terminie nie było ich w domu? Czy istniało jakieś powiązanie pomiędzy Malmgrenami a Gunnarem Öhrnbergiem? - szczególnie tę kwestię należy zbadać możliwie najdokładniej.

A teraz, kiedy już znaleziono związek między morderstwami - a wszystko na to wskazuje - należałoby chyba zacząć kolejny etap przesłuchań przyjaciół i znajomych pierwszych dwóch ofiar.

I - co możliwe - dowiedzieć się nowych, interesujących rzeczy.

Nie, pomyślał Gunnar Barbarotti. Nie ma sensu, żebym dalej siedział i spekulował. Jestem zbyt daleko za nimi. Lepiej teraz zakończyć, a jutro zapytać o jak najwięcej szczegółów w drodze do Hallsberga.

Zebrał zdjęcia i swoje notatki. Schował wszystko do teczki i spojrzął na zegarek. Pięć po jedenastej - najwyższa pora iść spać.

Ustawił budzik w komórce na wpół do siódmej, po chwili zmienił na piętnaście po szóstej. Dlaczego nie skorzystać z okazji, że ma się jezioro na wyciągnięcie ręki i nie popływać z rana?

Szczególnie z uwagi na stan pościeli gościnnej w Śmietniku Raj. Nie przypuszczał, żeby Axel Wallman coś z nią zrobił od ostatniego razu.

A więc postanowione, późny wieczór i wczesny poranek.

A morderca? Chyba już czas go wreszcie złapać?

Notatki z Mousterlin

8-9 lipca 2002 roku

Zasnąłem na leżaku na tarasie. Obudził mnie Erik, który wrócił do domu parę godzin później.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał.

Nie bardzo rozumiałem, o jaką sytuację mu chodzi. Czy pytał o moje samopoczucie, czy o to, kiedy się wyniosę. A może chodziło o zdarzenia ubiegłej nocy. Założyłem, że chodzi o to ostatnie, ale odpowiedziałem, jakby chodziło o to pierwsze.

- Dobrze. Jestem trochę zmęczony, ale poza tym w porządku.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, jakiego u niego wcześniej nie widziałem. Jakby dopiero teraz zorientował się, że jestem człowiekiem dużo bardziej złożonym, niż mu się wydawało. Że jest we mnie coś, czego nie rozumie. Albo nie był przyzwyczajony do zagłębiania się w motywacje i problemy innych ludzi. Erikowi wystarcza własna osoba, a teraz, kiedy tak stał i świdrował mnie wzrokiem, a jego szczęki ruszały się miarowo, wyglądał, jakby tracił kontrolę nad czymś, nad czym wprawdzie zwykle nie miał albo nie chciał mieć kontroli, ale co przypadkiem wpadło w jego ręce.

- Zapraszają na kolację wieczorem - powiedział w końcu. - Do Le Thalot w Beg-Mail. Porozmawiamy. Ale w nocy wszystko poszło jak należy, tak?

- Tak - rzuciłem. - Poszło jak należy.

Usiadł przy stole. Wstałem z leżaka i spojrzałem na zegarek. Było wpół do piątej.

- Pójdę wziąć prysznic - powiedziałem. - O której mamy tam być?

- O ósmej - odpowiedział Erik. - Możemy wyjść stąd mniej więcej o wpół do.

- Dobrze. O czym mamy porozmawiać?

Spojrzał na mnie skonfundowany.

- No chyba wiesz? - odparł. - Nie możemy przejść nad tym do porządku dziennego.

- Aha, rozumiem.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem zapalił papierosa.

- Co z ciebie za człowiek? - zapytał.

- Człowiek jak każdy inny - odpowiedziałem. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Zaciągnął się głęboko.

- No widzisz - powiedział. - Chyba jednak właśnie ty najlepiej to rozumiesz. Czyli umawiamy się na wpół do ósmej, tak?

- Jak najbardziej - odparłem.

W Le Thalamot było w zasadzie pusto, z wyjątkiem grupy Niemców, którzy siedzieli przy okrągłym stole i zajadali homarce i małże. Sezon turystyczny nadal jeszcze się w pełni nie zaczął, mimo iż zbliżała się już połowa lipca; podejrzewam, że wszystko się zmieni za jakieś dwa tygodnie. Na plażach, na ścieżkach spacerowych na polderze, w restauracjach i naleśnikarniach.

I na polach kempingowych. Ale wtedy będę już daleko stąd; co prawda jeszcze nie wiem dokładnie gdzie, ale gdzieś na południu, to na pewno; pojedę na południe. Od jakiegoś czasu instynktownie czułem, że chcę umrzeć nad Morzem Śródziemnym; może na Bliskim Wschodzie, dlaczego nie w Kairze czy Aleksandrii. Te szerokości geograficzne wzbudzają we mnie rodzaj tęsknoty; nie bardzo rozumiem, skąd się bierze ten zew ani co dokładnie wyraża, ale człowiek nie musi wszystkiego rozumieć. Najważniejsza jest droga i uczucia, a nie cel i zamiar.

Kwartet już tam był; czekali na nas przy stoliku w głębi sali, przy otwartym oknie wychodzącym na ogród i w bezpiecznej odległości od Niemców. Zauważyłem, że ubrali się trochę bardziej odświętnie, cała czwórka: obie damy nosiły sukienki, których wcześniej nie widziałem - Anna jasnozieloną, Katarina czerwoną - a panowie mieli świeżo wyprasowane bawełniane koszule z krótkimi rękawami. Zamówili drinki i sączyli je przy stoliku, a kiedy Erik i ja weszliśmy do restauracji, Gunnar i Henrik wstali z miejsc.

- Miło, że przyszliście - powiedział Gunnar. - Siadajcie. Drinka?

Z uwagi na to, że niecałą dobę temu obrzucaliśmy się obelgami nad ciałem martwej dziewczynki, to powitanie wydało mi się nadmiernie formalne, pomyślałem jednak, że na dzisiejszy wieczór przewidziano całkiem inny scenariusz. Scenariusz obmyślony i uzgodniony podczas dzisiejszych narad. Poczulem, jak wzbiera we mnie wewnętrzny, ironiczny uśmiech.

- Jasne - powiedział Erik. - Dla mnie dzin z tonikiem.

Ja postanowiłem ograniczyć się do kieliszka białego wina.

Usiedliśmy przy stole. Erik między Anną i Henrikiem, a ja między obiema kobietami. To też wydawało się zaaranżowane, choć nie bardzo rozumiałem, w jakim celu.

Kiedy Erik i ja dostaliśmy nasze drinki, wznieśliśmy toast. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek się uśmiechał. Był to raczej moment powagi i poczucia wspólnoty. Następnie przesadnie dużo czasu poświęciliśmy na wybór dań z menu; dyskusję z kelnerem prowadziła jak zwykle Katarina. W oczekiwaniu na jedzenie toczyła się rozmowa o francuskich winach, francuskich serach, o dniach i miesiącach, których należy unikać, kiedy ma się ochotę na owoce morza; w ogóle, pomyślałem, w ogóle wszystko wydawało się jakąś powtórką... tej rozmowy, która miała miejsce podczas pierwszego wspólnego

lunchu w starym porcie w Bénodet. Sprzed dziesięciu dni, jeśli dobrze liczę.

Różnica była taka, że piliśmy znacznie mniej wina i zamówiliśmy ryby i mięso, a nie owoce morza. Dopiero przy deserze Gunnar zaczął wreszcie mówić o najważniejszym.

- Chcemy ci podziękować - zwrócił się do mnie. - Podziękować, że podjąłeś się tego bardzo nieprzyjemnego zadania i że je wykonałeś.

Zrobił krótką przerwę. Nikt się nie odezwał.

- Bo zakładam, że wykonałeś je najlepiej, jak się dało.

Odczekałem kilka sekund. Czułem, że skupiły się na mnie spojrzenia wszystkich obecnych.

- Pytasz, czy porządnie zakopałem dziewczynkę? - zapytałem.

Gunnar i Henrik rozejrzeli się niespokojnie wokół, a ja pomyślałem, że wybór publicznego miejsca na takie rozmowy był głupim pomysłem, jeśli tak bardzo bali się obcych uszu.

- Nie ma obawy - rzucił Erik. - Nie ma tu nikogo, kto rozumie szwedzki.

- Chcecie wiedzieć, gdzie? - zapytałem.

- Nie, nie - wzdrygnął się Gunnar. - To nie jest konieczne. Chcemy tylko wiedzieć, że wszystko poszło zgodnie z planem. To dla nas ważne.

Zgodnie z planem? - pomyślałem.

- Że nie ma nic, o czym powinniśmy wiedzieć - dorzuciła Katarina.

Zastanawiałem się, o co im naprawdę chodziło. Czy tylko o jakiś rodzaj potwierdzenia, by poczuć się bezpiecznie, czy też o coś innego. Nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, co to mogłoby być.

- Wszystko poszło tak, jak planowałem - powiedziałem. - Możecie spokojnie pić wino.

- Nie o to chodzi - rzucił Gunnar. - Chodzi po prostu o to, że chcemy mieć pewność, że ta sprawa to już zamknięty rozdział.

- Rozdział jest zamknięty - stwierdziłem. - Możecie spać spokojnie.

- Musimy też ustalić wspólną strategię, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu jednak pojawiła się policja - kontynuował Henrik. - Przecież zostajemy tu jeszcze przez dwa tygodnie, więc...

- A ty jak długo planujesz zostać? - spytała Katarina, próbując się uśmiechnąć.

- Wyjeżdżam pojutrze.

- W środę - powiedział Gunnar. - Świetnie. Tak czy inaczej, ważne jest, żeby wszyscy stanowczo zaprzeczali, że zabraliśmy dziewczynkę na wczorajszy rejs po archipelagu. I że w ogóle ją spotkaliśmy. Spędziła z nami parę godzin któregoś popołudnia w ubiegłym tygodniu, to wszystko. Nic innego nie musimy mówić.

- A co z łódką? - spytałem.

- Żadnych problemów - odpowiedział Henrik.

- To dobrze - skomentowałem. - No tak, zakładam, że nie ma większego znaczenia, czy na świecie będzie jedna dziewczynka więcej czy mniej.

Poczułem, jak Anna, która siedziała tuż przy mnie, wzdrygnęła się. Przypuszczalnie chciała coś powiedzieć. Ale Gunnar podniósł palec do góry i spojrzał na nią wymownie. To wystarczyło - nie odezwała się. Anna w ogóle niewiele mówiła przez cały wieczór. Erik też. Konwersację prowadzili Gunnar, Henrik i Katarina, co z pewnością nie było przypadkiem.

Skończyliśmy za piętnaście dziesiąta. Gunnar i Henrik zapłacili rachunek po połowie i razem wyruszyliśmy do domu drogą dla jeżdżących konno, wiodącą pomiędzy stromym brzegiem plaży a polderem. Erik i ja skręciliśmy w kierunku naszego domu bez postludków. Przed pójściem spać wypiliśmy na tarasie po kieliszku calvadosu. Niewiele mówiliśmy.

- Aha, czyli w środę? - spytał.

- Tak. Ruszę przed południem.
- Myślę, że to i lepiej - powiedział.
- Na pewno - potwierdziłem.

Zaśmiał się krótko.

- Imię tej dziewczynki... - wypalił.
- Tak?
- Henrik wymyślił jego znaczenie.
- Znaczenie?
- Tak, wymyślił, czego jest symbolem. Jeśli je przeliterujesz i podstawisz wyraz pod każdą literę. T-R-O-A-Ë... po angielsku, jak myślisz?

Zastanawiałem się przez chwilę i pokręciłem głową.

- *The Root Of All Evil* - wyrecytował Erik. - Dobre, co?
- *The root of all evil?* - powtórzyłem. - Brzmi, jakby miał nastąpić jakiś ciąg dalszy. Mam na myśli tę historię.

Nie wiem właściwie, co miałem na myśli. Erik nic nie odpowiedział. Zgasił papierosa i po raz kolejny popatrzył na mnie tym pytającym spojrzeniem.

Później powiedzieliśmy sobie dobranoc i poszliśmy do łóżek.

We wtorek rano poszedłem do cukierni, kupiłem też „Ouest-France”. Przerzuciłem gazetę od deski do deski. Mimo marnych umiejętności językowych potrafiłem stwierdzić, że nie było tam ani słowa o zaginionej dziewczynce.

Była piękna pogoda. Uznałem, że Erik poszedł już na plażę, pewnie w stronę Bénodet; dowiedział się, że tam można się opalać nago, a widocznie to go rajcowało. Postanowiłem zostać w domu, spakować się i zapisać kolejne strony pamiętnika.

Podsumować wrażenia. Uderzyło mnie przede wszystkim to, że tak wiele zależy od czystego przypadku albo sił, których nie kontrolujemy. Erik zabrał mnie ze stacji benzynowej pod Lille, kiedy stałem tam już od pięćdziesięciu ośmiu minut i próbowałem złapać

okazję; pamiętam to dokładnie, ponieważ postanowiłem sobie, że będę próbował przez godzinę, a potem wrócę do kawiarni. Gdyby nadjechał dwie minuty później, nigdy byśmy się nie spotkali. Złapałbym inny samochód i trafił w zupełnie inne miejsce.

Czy wtedy Troaë nadal by żyła? Najłatwiej byłoby odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, ale byłoby to upraszczanie rzeczywistości. Nie ma najmniejszych szans, żeby to rozstrzygnąć; może i tak by się pojawiła na plaży tego ranka i popłynęła ze Szwedami na archipelag Les Glénan. Może przebieg tego dnia byłby taki sam; jedno jest pewne, pogoda na pewno byłaby taka sama: przyszłaby burza, prawdopodobnie doszłoby również do awarii silnika; ale czy dziewczynce zrobiłoby się niedobrze w drodze do domu, czy statek zachybotałby się na tym samym zdradzieckim grzbiecie fali i czy ktoś inny wypuściłby z ręki jej dłoń? Nie rozwiążę tej zagadki, ale nie mogę się pozbyć tych myśli i pytań. W jakim stopniu faktycznie biorę udział w wydarzeniach tego świata? Czy są inne rozwiązania - i inni możliwi uczestnicy - na drodze do ustalonego celu?

Może Henrik Malmgren mógłby mi to wyjaśnić; zdaje się, że są to sprawy wchodzące w sferę filozofii, pramatki wszystkich nauk, ale nie zamierzam go o to pytać. Zakładam, że nie spotkam już żadnego z nich przed jutrzejszym wyjazdem, oczywiście oprócz Erika, z którym pewnie jeszcze wymienimy kilka zdawkowych zdań. Muszę się, między innymi, upewnić, czy nie jestem mu coś winien; choć wydaje mi się, że jesteśmy mniej więcej rozliczeni, jeśli chodzi o wspólną kasę na jedzenie; za wycieczkę na Les Glénan też zapłaciłem swoją część. Ale mam trochę gotówki, jakby co. Uzmysłowiłem sobie, że w przyszłości powinienem traktować pobyt w Finistère jako zdanie wtrącone, coś, co w pewnym sensie nigdy się nie zdarzyło. Każdy człowiek musi mieć prawo do takich okresów; to niemożliwe, żebyśmy musieli ponosić odpowiedzialność za każdy nieszczęśliwy przypadek, za każdą sekundę, która wypadła z toru.

Gdy tylko stąd wyjadę, postaram się zapomnieć o tych dwóch tygodniach. Wymażę z pamięci wędrówkę z ciałem dziewczynki na plecach, jej silną obecność i zadziwiającą lekkość; zawsze słyszałem, że martwe ciała są bardzo ciężkie, ale w przypadku Troaë to nie była prawda. Wyprę ze świadomości wspomnienie tych straszliwych minut w wodzie i postaram się nigdy nie wracać do tego, jak ziemia otaczała ją swoim objęciem. Oczywiście zachowam te notatki, ale to nie znaczy, że muszę do nich wrócić i od nowa je czytać; wystarczy mi świadomość, że są i że gdybym kiedyś w przyszłości ich potrzebował, to je znajdę.

Może powinienem poświęcić parę słów tym ludziom, którzy zapełniali sobą moje życie przez ostatnie dwa tygodnie, ale chyba nie mam na to ochoty, a wręcz odczuwam w związku z tym przemożną niechęć; byliby chyba zdziwieni, gdyby wiedzieli, jak głęboką darzę ich pogardą. Ale w moim przypadku to, co w sercu, nigdy nie było na języku - ma to swoje dobre i złe strony. Pamiętam wnikliwe dyskusje na ten temat z doktorem L., który twierdził początkowo, że to był niuans i czynnik charakterystyczny dla mojej choroby, ale z tego, co pamiętam, zgodziliśmy się w końcu, że była to raczej kwestia charakteru. Okazywanie swoich uczuć nie musi być oznaką zdrowia, a jeśli nie jest wrodzoną cechą osobniczą, na pewno nie należy się tego specjalnie uczyć.

Po południu posprzątałem swój pokój i spakowałem większość rzeczy. Zrobiłem sobie półtoragodzinny spacer w głąb łąd i przechodząc obok cukierni, kupiłem popołudniówkę. I znów ani słowa o zaginionej dziewczynce. Kiedy wróciłem do domu, Erika nadal nie było, pomyślałem więc, że musiał przyłączyć się do pozostałych Szwedów; może już nie lubi przebywać w moim towarzystwie. Jak się nad tym bliżej zastanowić, to nie ma wątpliwości, że o to właśnie chodzi. Przymuszczałnie dotyczy to całej piątki. Z niecierpliwością czekają na mój wyjazd, żeby móc w spokoju ducha powrócić do

trywialnego spędzania czasu na plaży i wyrzucić z pamięci to, co się zdarzyło. Przez chwilę rozważam myśl, żeby spełnić ich życzenie i wyjechać już dziś wieczorem. Ale najbliższy autobus z Quimper odjeżdża dopiero jutro rano, a łapanie okazji pomiędzy Moustierlin i Fouesnant nie wydaje się dobrym pomysłem. Mogłoby to przy okazji wzbudzić zainteresowanie, a zainteresowanie było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowaliśmy.

Kiedy piszę te słowa na tarasie, do domu wraca Erik. Pyta, czy mam ochotę iść na kolację do Le Grande Large, bo mają dziś dostawę świeżych małży. Mówię, że muszę się zająć pakowaniem i że wystarczy mi kanapka. Erik bierze prysznic, przebiera się i wychodzi. O wpół do ósmej odkładam długopis i idę do kuchni.

Smażę sobie dwa jajka. Próbuję coś zrozumieć z wiadomości podawanych przez radio tranzystorowe stojące na parapecie w kuchni. Mój francuski znacznie się poprawił podczas tego pobytu, więc większość informacji jest dla mnie zrozumiała. Kiedy woda w czajniku zaczyna się właśnie gotować, a ten wyłącza się automatycznie, słyszę chrząknięcie od strony tarasu. Kładę łyżkę na patelni i zdejmuję ją z gazu. Wycieram ręce w ścierkę i wychodzę na zewnątrz.

Pod parasolem stoi starsza kobieta. Jest ubrana na czarno i wygląda prawie jak grecka wdowa - choć jej ubranie jest z dużo cieńszej tkaniny - ma kruczoczarne włosy, z pewnością farbowane, a na głowie nosi krwistoczerwony kapelusz słomkowy z szerokim rondem. Jest drobna i szczupła, co najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale twarz wyraża zdecydowanie. Na swój sposób egzotyczna: ciemne oczy, ostry nos i broda świadcząca o wrodzonym uporze. Patrzy na mnie, mrużąc oczy; prawdopodobnie jest krótkowidzem.

- Troaë! - mówi z naciskiem.
- *Oui?* - rzucam pytająco.

- Troaë? Co zrobiliście z Troaë?

Jej francuski jest trochę dziwny, bardzo ostro wymawia „r”. Próbuję jej wyjaśnić, że nie wiem, o czym mówi.

- *Petite* Troaë. Jestem jej babcią. Wiem, że ona jest w wami. Ale teraz już pora wracać do domu.

Rozkładałam bezradnie ręce, jakbym nadal nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Kątem oka zauważam duży klucz francuski leżący na jednym z foteli. Erik go tu zostawił; zapomniał odnieść do szopy po naprawach starego, zardzewiałego roweru. Było to cztery albo pięć dni temu, i na dodatek nie przyniosło efektów. Rower odstawił do szopy, ale o kluczu zapomniał. Pamiętam, że o nim rozmawialiśmy, bo był szwedzkiej produkcji, marka Bahco, pamiętam nawet numer seryjny - 08072.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Oczy zwięzione w szparki, twarz przypominająca trochę kota; stoi, opierając zaciśnięte dłonie na biodrach. Myśli przypuszczalnie, że jest niezwyciężona; znam ten typ.

- Troaë? - rzucam pytająco, robiąc krok w lewo i biorąc do ręki klucz. - To jakaś pomyłka.

Na początku nie mogę sobie przypomnieć słowa pomyłka - *erreur* - ale w końcu mi się przypomina.

- To nie jest pomyłka - syczy. - Od wielu dni mówi tylko o was, a kiedy wychodziła w niedzielę z domu, powiedziała, że zamierza was poszukać i spędzić z wami dzień.

Nie waham się. Robię zamach kluczem francuskim i trafiam ją z całych sił z ukosa ponad lewym uchem. Kapelusz spada, a kobieta upada na podłogę tarasu jak ustrzelona zwierzyna.

Komentarz

sierpień 2007 roku

Słowa znaczą tak niewiele, czyny dużo więcej. Mimo to otaczamy się słowami, słowami, słowami. Prawdziwie ważne chwile zdarzają się w życiu rzadko i zwykle są od siebie oddalone w czasie. Pojawiają się w odstępach kilkuletnich, a nawet wieloletnich. Gdy pewnego dnia będziemy robić podsumowanie, zauważymy ten fakt; że to, co mówiliśmy i pisaliśmy, waży niezwykle mało, natomiast ciężar czynów jest niespodziewanie duży. Za słowa nikt nas nie będzie rozliczał, więc nie bardzo rozumiem, dlaczego stale uciekamy pod ich osłonę. Dlaczego nie mamy odwagi odpoczywać w ciszy, w towarzystwie własnych myśli? Za każdym razem, kiedy nie potrafimy przypisać naszym czynom ich właściwej wagi i znaczenia, dewastujemy nasze życie; to nic nowego, ale wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdybyśmy mieli więcej spokoju i czasu na rozmyślanie.

Zabijanie idzie zgodnie z planem; jeszcze trochę jest do zrobienia, ale nie mam wątpliwości, że uda mi się zrealizować plan do końca. Fakt, że nie zgodzili się na rozwiązanie finansowe, świadczy o ich próżności. Moje żądania nie były wcale absurdałne; domyślałam się, że konferowali ze sobą i doszli do wniosku, iż wszyscy powiedzą „nie”. A ja się w zasadzie cieszę, że została mi właśnie ta możliwość. Pieniądze to przecież tylko czasowe rozwiązanie, krótkoterminowy półśrodek, tak już jest.

Przez ostatnie noce śniła mi się babcia dziewczynki, drobna, krucha i zgorzkniała kobieta o wymagających oczach i trujących słowach, które przypieczętowały jej los. Przychodzi do mnie we śnie w postaci nietoperza i nie bardzo rozumiem, co miałyby to symbolizować; przylatuje przez otwarty, ciemny prostokąt okna i siada mi na

kolanach albo ramieniu, a potem mi się przygląda przenikliwymi, żółtymi oczami, i nic nie mówi, tylko tak siedzi ze zdrobniałą głową, którą przekrzywia to w prawo, to w lewo, i po chwili odfruva z charakterystycznym świstem. Zawsze wtedy się budzę, a najdziwniejsze jest to, że czuję się wówczas pełen radości, a w każdym razie satysfakcji.

Spośród wszystkich ludzkich czynów zabijanie ma znaczenie najbardziej definitywne.

17-19 sierpnia 2007 roku

27.

- Jaki jesteś rzeński - skomentowała inspektor Backman, gdy wsiadli do samochodu.

- Przepłynąłem rano pół kilometra - przyznał Barbarotti. - A wy nie?

- Rzeczywiście, rzeński jak skowronek - burknął Astor Nilsson.

- Przecież miał trzy dni urlopu. A my w tym czasie wypruwaliśmy sobie żyły.

- Kto prowadzi? - zapytała Eva Backman.

- Ja - odpowiedział Astor Nilsson. - Znam drogę do Hallsberga.

Kiedyś znałem tam pewną kobietę.

- Ach tak? - powiedział Barbarotti.

- A żebyś wiedział. Ciemnowłosą i mistyczną piękność z rozległych okolic Viby Mieliśmy się żenić, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie.

- Mógłbyś skorzystać z okazji i ją odwiedzić - zaproponowała Backman. - Nigdy nie wiadomo.

- Nie sądzę. Jeśli się nie mylę, to mogę co najwyżej odwiedzić jej grób na cmentarzu.

- Okej, to dajmy jej spokój - mruknęła Backman. - Poza tym mamy przecież roboty po pachy.

- No pewnie - westchnął Astor Nilsson, skręcając w Norra Kungsvägen. - Ta sprawa zdążyła już ze mnie zrobić wrak człowieka.

- Szczerze mówiąc, prawie przestałem sypiać - poskarżył się dziesięć minut później, gdy już wyjechali z miasta, a Eva Backman skończyła udzielać swoim dzieciom najróżniejszych instrukcji przez telefon. - Myślicie, że znajdziemy tam trupa?

Eva Backman wzruszyła ramionami.

- Czy coś znajdziemy, trudno powiedzieć. Ale wiele wskazuje na to, że Gunnar Öhrnberg nie żyje, prawda?

- Zastanawiam się, jaką metodę zastosował tym razem - rzucił Astor Nilsson. - Co powiecie na otrucie? Tego jeszcze nie próbował?

- Nie wiemy, jak umarł Henrik Malmgren - przypomniała Eva Backman. - I jeszcze nikogo nie zastrzelił, o ile dobrze pamiętam.

- Przepraszam - przerwał im Gunnar Barbarotti, który na ochotnika usiadł z tyłu. - Czy moglibyście zaktualizować moją wiedzę? Muszę wiedzieć, na jakim etapie jesteśmy, skoro już zostałem przywrócony do łask i mam zrobić coś pożytecznego.

- Wszystkiego cię nauczę - Astor Nilsson wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając w lusterko wsteczne. - Nie przywaliłeś temu dziennikarzowi, co?

- Nie - odpowiedział Barbarotti. - Nie przywaliłem.

- Szkoda - wypalił Astor. - Ale dla ciebie chyba lepiej. No to gdzie mamy zacząć? Wydaje mi się, że przydałby mi się ktoś z zamiłowaniem do porządku, kto umiałby nadać temu wszystkiemu strukturę i kształt.

- Dziękuję - burknęła Eva Backman. - Rozumiem przytyk. Chociaż moim zdaniem sytuacja zaczyna się klarować.

- Kobieto - powiedział Astor Nilsson. - Oświeć nas.

- Zawsze mogę spróbować - oświadczyła Eva Backman. Zrobiła głęboki wdech i podniosła nieco oparcie fotela. - Mimo wszystko wiemy już dość dużo, chyba panowie się ze mną zgodzą? Wiemy na przykład, że wszystko w jakiś sposób jest powiązane z tym, co zdarzyło się w Bretanii latem 2002 roku.

- Wiemy? - zdziwił się Astor Nilsson.

- *All right* - mruknęła Backman. - „Wiemy” nie jest chyba właściwym słowem. A zatem mamy przeświadczenie, że tak jest. Odkryliśmy jeden jedyny punkt styczny pomiędzy tymi czterema osobami, mianowicie to, że przez kilka tygodni... w zasadzie nie wiemy, jak długo... przebywali tamtego lata wszyscy w tym samym miejscu. Myślicie, że należałoby wątpić w prawidłowość tego rozumowania?

- Ja próbowałem - odparł Astor Nilsson. - Przez całą noc. Ale trudno uwierzyć, że to nieprawda. Jedynym powodem zwątpienia mogłoby być to, że nie mamy nic innego.

- Co masz na myśli? - spytała Eva.

Astor Nilsson pokiwał pedagogicznie palcem.

- Znaleźliśmy jedno jedyne połączenie, jeden jedyny punkt styczny. Więc, do cholery, musimy opierać się na tym punkcie. Chcę przez to powiedzieć tylko tyle, że gdybyśmy odkryli więcej takich punktów, sytuacja byłaby całkiem inna.

- Z pewnością - przytaknął Barbarotti z tylnego siedzenia. - Ale gdyby istniało więcej takich punktów, to już by chyba wypłynęły. Podczas całego dochodzenia.

- Przynajmniej powinny - zgodziła się Backman. - Ja w każdym razie uważam, że z powodzeniem możemy założyć, iż wątek francuski jest wiarygodny, skoro nie mamy nic, co by mu przeczyło. Czyż nie?

- Niech ci będzie - potwierdził Astor Nilsson. - Czyli zgodziliśmy się, że chodzi o Bretanię w 2002 roku. Co, do licha, mogło się wtedy wydarzyć?

Nastąpiła kilkusekundowa cisza.

- Nadal nie wiemy też, w którym dokładnie miejscu - dorzuciła Backman, odwracając głowę w kierunku tylnego siedzenia. - W mieszkaniu Malmgrenów znaleźliśmy jakieś mapy i broszury, które wskazują, że spędzali ten urlop w południowej części, w Finistère. Ale może też było tak, że przemieszczali się z miejsca na miejsce i... no, tego niestety nie wiemy.

- A pozostali? - spytał Barbarotti.
 - U pozostałych nie znaleźliśmy nic przydatnego, ale sprawdzamy biura podróży i kogo się da. Niestety, po pięciu latach wiele śladów się zaciera.
 - Moje włosy wytarły się po trzech - skomentował Astor Nilsson.
 - Fotografie - przypomniał Barbarotti.
 - Tak - potwierdziła Backman. - Jeśli mamy być szczerzy, to jedyne poszlaki, jakimi dysponujemy. Wczoraj wieczorem przysła mi do głowy pewna myśl. Co myślicie o aspekcie czasowym? Z ilu dni pochodzą te zdjęcia?
 - Słucham? - zdziwił się Astor Nilsson.
 - Bo zastanawiam się - powiedziała Backman - czy wszystkie zrobiono w tym samym dniu, to bowiem by znaczyło, że spędzili ze sobą tylko ten jeden dzień.
- Barbarotti wyciągał w zamyśleniu zdjęcia z teczki.
- Nie - odpowiedział. - Wydaje mi się, że to były przynajmniej dwa różne dni. Mają inne ubrania i w ogóle. Może nawet trzy. Ale rozumiem, dlaczego o tym mówisz.
 - Tak, ja też - dodał Astor Nilsson. - Czy spotkali się w ten jeden jedyny dzień, czy też spotykali się w jakimś dłuższym okresie? Wydaje się oczywiste, że nie znali się wcześniej. A przynajmniej nic na to nie wskazuje.
 - Tak - powiedziała Backman. - Ich spotkanie nie było zaplanowane. Ale coś musiało się tam stać, a przynajmniej my sobie tak wmawiamy. Podczas tych dni stało się coś, co... pięć lat później skutkuje śmiercią pięciorga ludzi. Jeśli założymy, że „Gunnar-w-objęciach-śmierci” rzeczywiście nie żyje.
 - Właśnie - mruknął Astor Nilsson, ziewając. - Ja też doszedłem do wniosku, że tak musimy założyć. Bo inaczej po co jechalibyśmy teraz do Hallsberga?
- Zapanowała cisza. Barbarotti próbował na nowo przeanalizować siedem fotografii.

- A Ten Szósty? Jak myślicie?
- Właśnie o to chodzi - burknął Astor Nilsson.
- O co? - spytał Barbarotti.
- Że to on - powiedziała Eva Backman. - Znaczy, że to jego

szukamy

Barbarotti podrapał się po karku, obserwując stado łaciatych krów, które stały na polu, przyglądając się samochodowi.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że właśnie o to chodzi? - zapytał Astora Nilssona.

Astor Nilsson na chwilę wypuścił kierownicę z rąk i rozłożył z irytacją ręce.

- Tylko tyle, że to jest tak cholernie oczywiste. A ja nie przepadam za oczywistościami. Chociaż zgadzam się, że to musi być on. Szkoda tylko, że ma tak totalnie przeciętny wygląd.

Barbarotti skinął głową.

- Ja też o tym pomyślałem. Poza tym jest trochę niewyraźny. No i minęło już pięć lat. Zapadła już jakaś decyzja w tej sprawie?

- Jonnerblad się waha - odpowiedziała Backman. - Sylvenius i Asunander też. Zwykle opublikowanie zdjęć osób podejrzanych o morderstwo przynosi same komplikacje.

- Nie trzeba informować, że chodzi o mordercę - skomentował Barbarotti.

- Jak to? - zdziwił się Astor Nilsson.

- Można powiedzieć, że policja ma pilną potrzebę skontaktowania się z mężczyzną na zdjęciu. Albo z ludźmi, którzy mają jakieś informacje na jego temat.

Astor Nilsson chrząknął.

- Przecież i tak będą pisać, że to morderca, to chyba jasne? A przynajmniej sugerować czytelnikom, że tak jest.

Myślałem, że czegoś się dowiedziałeś o funkcjonowaniu świata mediów?

Barbarotti westchnął i schował zdjęcia do teczki.

- No to co, do cholery, mamy zrobić?

- Opublikujemy je, tak czy inaczej - zawyrokował Astor Nilsson. - Minie jeszcze kilka dni i panowie przestaną się wahać.

- *I see* - rzucił Barbarotti. - Pewnie masz rację.

- O ile w międzyczasie nie zdarzy się nic niespodziewanego, co przyniesie nam rozwiązanie zagadki - dodała Backman. - Na przykład w wielkim mieście Hallsbergu.

- Na przykład - zgodził się Astor Nilsson.

- A Hans Andersson? - spytał Barbarotti po kolejnej chwili ciszy. - Zakładam, że rozmawialiście o możliwości, że morderca może się tak nazywać?

- Albo facet na zdjęciu, albo morderca? - spytała Backman z przelotnym uśmiechem.

- Właśnie o to chodzi - burknął Astor Nilsson.

- Znowu to powiedziałaś - skomentowała Backman.

- Tak, zrobiłem to świadomie - powiedział Astor Nilsson. - Bo właśnie o to chodzi. Jeśli jest coś, co irytuje mnie bardziej niż cała ta sprawa, to właśnie ten przeklęty Hans Andersson. Gdyby ta opera mydlana miała jakąś logikę, to on też powinien być zginąć. Kimkolwiek jest. A jeśli jest tak, że...

Stracił wątek.

- Chodzi ci o to, że wolałbyś mieć jeszcze jednego trupa? - spytała Eva Backman, częstując eukaliptusowymi cukierkami Läkerol. - Nie wydaje ci się, że mamy ich aż nadto?

- Nie - odpowiedział Astor Nilsson, wrzucając do ust cztery pastylki. - Przerwałaś mi. A zamierzałem powiedzieć, że jeśli... jeśli Ten Szósty przykładowo nazywa się Hans Andersson, to przypuszczalnie nie jest mordercą. W takim razie na zdjęciu nie mamy sprawcy, a Ten Szósty jest może tylko Bogu ducha winnym Hansem, który był postacią drugoplanową... a ponieważ był postacią drugoplanową i nie może zidentyfikować mordercy, to nadal żyje.

Barbarotti i Backman zastanawiali się nad tym przez chwilę.

- W takim razie... - zaczęła Backman. - W takim razie spotkanie z nim oznaczałoby przełom w śledztwie.

- Bez wątpienia - zgodził się Astor Nilsson. - Ale nie wydaje mi się, żeby facet na zdjęciu nazywał się Hans Andersson.

- Dlaczego? - zapytała Eva Backman.

- Nie jestem pewien. Gdybyśmy grali w cluedo, czy jak ta gra się nazywa, to na pewno nazywałby się Hans Andersson, ale z tego, co wiem, nie gramy w żadną grę.

- I tu się zgadzamy - powiedział Gunnar Barbarotti. - Ja też uświadomiłem sobie, że to nie jest gra w cluedo.

Na wysokości Götene zaczęło padać. Jednocześnie zadzwonił telefon komórkowy inspektor Backman. Odpowiedziała pięć razy „tak”, dwa razy „nie”, a potem rozłączyła się.

- Z policji w Örebro - poinformowała ich. - Będą na miejscu o jedenastej. Inspektor o nazwisku Ström i dwóch techników.

- Dobrze - powiedział Astor Nilsson. - Musimy jeszcze tylko znaleźć zwłoki i plan będzie wykonany.

- Jak dobrze rozpracowaliśmy tego Gunnara Öhrnberga? - spytał Barbarotti. - Jak długo nikt go nie widział?

- Przez dziesięć dni - odpowiedziała Backman. - Ale zostało to odkryte dopiero w poniedziałek, kiedy nauczyciele rozpoczęli swój rok szkolny. Chyba nawet wtedy nikt nie przypuszczał, że on zaginął, ale kiedy my zaczęliśmy do nich dzwonić, a oni sprawdzać, to okazało się, że nikt go nie widział od wtorku poprzedniego tygodnia... czyli dziesięć dni do dziś, jak by nie liczyć.

- Mieszka sam?

- Trochę trudno zniknąć niezauważenie na tydzień, gdy jest się żonatym - skomentował Astor Nilsson, rzucając krzywy uśmiech do lusterka.

- No tak, rzeczywiście - przyznał Barbarotti. - Z kim rozmawialiście?

- Właściwie tylko z jedną osobą - wyjaśniła Backman. - Ale robiła wrażenie bardzo kompetentnej. Dyrektorka szkoły, która przeprowadziła swoje własne dochodzenie, kiedy uznała, że sprawa jest poważna. Wydaje mi się, że możemy uznać jej słowa za wiarygodne.

- Nie ma innych powiązań między Öhrnbergiem a pozostałymi ofiarami? Oprócz tej Bretanii?

- Nie - przytaknęła Backman. - No, ale wtedy był partnerem Anny Eriksson. Byli ze sobą przez większą część 2002 roku, jeśli wierzyć temu, co mówią świadkowie. Nie był to jednak udany związek, taka jest zgodna ocena większości z nich. Gunnar potrafił być bardzo dominujący; nigdy ze sobą nie mieszkali i nikt się właściwie nie zdziwił, gdy się rozstali. Choć trzeba oczywiście pamiętać, że mamy te informacje od znajomych Anny.

- Wtedy pracował w jakiejś szkole w Borås, prawda?

- Owszem. Ale tylko trzy semestry. I nie znaleźliśmy nikogo z jego znajomych, kto by pamiętał Annę Eriksson.

- Może nie zabierał jej na imprezy dla nauczycieli?

- Pewnie nie.

Kiedy minęli Hove, deszcz przestał padać.

- Mam sen - powiedział Astor Nilsson.

- Jak to? - spytała Eva Backman. - Myślałam, że nie możesz spać?

- To sen na jawie - wyjaśnił cierpliwie Astor Nilsson. - W tym śnie on nadal żyje, ten magister Öhrnberg, dzięki czemu możemy sobie z nim porozmawiać całe popołudnie i wszystko wyjaśnić.

- Kupuję to - skomentował Barbarotti. - Która godzina? Zapomniałem zdjąć zegarek, gdy rano szedłem popływać, i przestał chodzić.

- Dwadzieścia po dziewiątej - odpowiedział Astor Nilsson. - Będziemy w Hallsbergu pół godziny za wcześnie. Co powiecie na krótką przerwę na kawę i sprawdzenie, co też dzisiaj piszą w „Expressen”?

- Dla mnie wystarczy kawa - mruknął Gunnar Barbarotti.

- GPS się zepsuł - stwierdził Astor Nilsson, gdy zjechali z E20 i zbliżali się do byłej metropolii kolejowej. - Ale z tego, co pamiętam, jest tam tylko jedna ulica.

Co okazało się prawdą, ale z pewnymi modyfikacjami. Wprawdzie Storgatan ciągnęła się przez całą miejscowość, wzdłuż torów kolejowych, ale były tam również ulice poprzeczne i parę przejazdów kolejowych. Astor Nilsson zatrzymał się obok księgarni Stiga, wszedł do środka, a już po chwili wyszedł na ulicę w towarzystwie rozentuzjasmowanego wąsatego pana około sześćdziesiątki. Pięć po jedenastej zaparkowali pod niewielkim blokiem przy Tulpangatan 4. Natychmiast podszedł do nich wysoki mężczyzna z wygoloną na łyso głową.

- Ström. Jak podróż?

Przywitali się uściskiem dłoni. Astor Nilsson zapewnił, że podróż szła jak po maśle. Inspektor Ström machnął ręką w kierunku dwóch młodych mężczyzn wysiadających właśnie z niebieskiego volvo.

- Wziąłem ze sobą dwóch techników, zgodnie z planem. Gdyby była taka potrzeba. Jönsson i Fjárnemyr.

Przyjezdni przywitali się więc również z Jönssonem i Fjárnemyrem. Barbarotti zauważył, że Jönssonowi brakuje pół palca wskazującego prawej ręki, ale uznał, że to nie musi być żadną przeszkodą dla pracy w zawodzie technika kryminalistycznego.

- Dozorca już otworzył drzwi - wyjaśnił Fjárnemyr. - Można wchodzić.

Ström pierwszy ruszył w górę po schodach. Mieszkanie znajdowało się w trzypiętrowym budynku o architekturze typowej dla lat sześćdziesiątych. Jednak dom był bardzo czysty i najprawdopodobniej świeżo po remoncie. Po dwa mieszkania na piętrze; Öhrnberg mieszkał na samej górze.

Inspektor Ström zatrzymał się przed drzwiami i czekał na pozostałych.

- Przepraszam - powiedziała Eva Backman. - Myślę, że ja wejść pierwsza. Nie ma sensu, żebyśmy tam wkraczali całą gromadą.

Barbarotti zobaczył, że Ström się wzdrygnął.

Aha? - pomyślał. Wychowanek starej szkoły. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, ale najwyraźniej przeszkadzało mu, że jedyna kobieta w zespole przejmuje dowodzenie.

- Proszę bardzo - mruknął, przytrzymując drzwi.

Eva Backman przekroczyła zamasyżycie stos listów i gazet leżący na podłodze przedpokoju. Otwierała kolejno pozostałe drzwi - po prawej stronie, po lewej i na wprost - i sprawdzała, co za nimi jest. Trwało to około minuty. Następnie wróciła do pozostałych.

- Nic - powiedziała. - *No body, no nothing*. Ten zapaszek pochodzi z worka ze śmieciami w kuchni. Nie było go w domu ponad tydzień, a mamy upały.

- Więc jaki jest plan? - zapytał Ström, patrząc to na Astora Nilssona, to na Barbarottiego; pewnego rodzaju demonstracja, świadoma albo nieświadoma.

- Może zrobimy tak - powiedział Astor Nilsson. - Zostawicie nas tutaj na parę godzin, a my zobaczymy, czy nam się coś uda znaleźć. Nie ma potrzeby, żebyśmy byli tu wszyscy i sobie nawzajem przeszkadzali. Więc przyjdź tu z dozorcą... - Spojrzał najpierw na zegarek, a potem na Stroma. - ...powiedzmy o wpół do drugiej? Powiemy wtedy, co chcemy zabrać, i zamkniemy mieszkanie na klucz. Okej?

Inspektor Ström kiwnął głową. Technicy Jönsson i Fjärnemyr kiwnęli głowami.

- No to dobrze - powiedział Gunnar Barbarotti. - Na razie.

Gunnar Öhrnberg lubi - bądź lubił - porządek; podczas półtoragodzinnego wędrowania po jego mieszkaniu nie dało się tego przeoczyć. Wszystkie trzy pokoje były posprzątane i schludne. Miał starannie wypełnione półki na książki, przede wszystkim literaturą fachową z interesujących go dziedzin - historii i wiedzy o społeczeństwie - ale było tu również sporo literatury pięknej. Biurko w gabinecie wypełnione niemal perfekcyjnie; stał tam komputer i urządzenie wielofunkcyjne. Półki z segregatorami i pudełkami na gazety - wszystkie starannie oznakowane etykietami.

Choć nie można oczywiście zapominać, pomyślał Barbarotti, że rok szkolny jeszcze się nie zaczął.

Być może dla Gunnara Öhrnberga już nigdy się nie zacznie, ale jeszcze za wcześnie na definitywne stwierdzenia. Dużo za wcześnie. Mógł przecież w ostatniej chwili zdecydować się na podróż *last minute* i zapomniał, że powinien wrócić do pracy. Albo zgubił się podczas wędrowki po górach. Albo... no co jeszcze? - zapytał sam siebie Barbarotti, zamykając drzwi wypełnionej po brzegi bieliźniarki. Został porwany? Doznał udaru mózgu podczas wyprawy do lasu na grzyby i stracił pamięć?

Na dębowym bufecie w salonie stały ramki ze zdjęciami. Sześcioro nieznanymi ludźmi, dwoje starszych - prawdopodobnie rodzice - dwoje dzieci. Chłopiec i dziewczynka, oboje ciemnowłosi. Do tego para młodych: mężczyzna podobny trochę do Gunnara Öhrnberga, więc Barbarotti założył, że to brat, a dzieci to bratanek i bratanica. Za drzwiczkami bufetu stało dokładnie dziesięć butelek whisky, wszystkie single malt, z czego siedem otwartych. Można by powiedzieć, że był koneserem. Do tego humidor z sześcioma cygarami.

Ale żadnego albumu ze zdjęciami. I żadnych widocznych wolnych miejsc na półkach z książkami, gdzie mogłyby stać.

- Wydaje się, że on też nie robił zdjęć - stwierdziła Eva Backman. - Nie ma też aparatu.

- Zabierzemy komputer - powiedział Astor Nilsson. - Tam coś może być. Zresztą, może tam być wszystko.

- Jest w każdym razie książka adresowa, prowadzona odrębnie - oznajmił Barbarotti. - Anna Eriksson w niej jest, ale pozostałych nie ma.

- A Hans Andersson? - zapytał Astor Nilsson. Barbarotti pokręcił głową.

- Niestety nie. Ale zabierzemy ją i tak.

- Jasne - potwierdził Astor Nilsson, podciągając żaluzje w drzwiach balkonowych.

Telewizor i aparatura muzyczna firmy Bang & Olufsen, w nowoczesnych stojakach około setki płyt CD; sporo jazzu, ale jednocześnie dużo śmieci, jak stwierdził Astor Nilsson, a filmów na DVD, znalezionych w dębowym bufecie o bogatym wnętrzu, było niecałe trzydzieści. Połowa to pornosy.

- Przecież to kawaler - usprawiedliwił go Astor Nilsson.

- Mówisz z własnego doświadczenia? - niewinnie spytała Eva Backman.

- Niestety nie - odpowiedział Astor Nilsson. - Chciałbym móc się podniecać tym gównem, ale to na mnie nie działa.

- Przepraszam - powiedziała Backman. - Nie zamierzałam wchodzić ci z butami w życie intymne.

- Nie szkodzi. Jestem jak otwarta księga. Co by nie mówić, to ten nasz profesorek wygląda na cholernie dobrze zorganizowanego. Powinien tylko wyrzucić śmieci, ale może się nie kapnął, że zostanie zamordowany.

- Wszystkiego przewidzieć się nie da - skomentował Barbarotti. - Wygląda jednak na to, że nie został zamordowany w domu. Myślę, że możemy zaryzykować takie twierdzenie.

- Zanim zaczniemy twierdzić, że nie został zamordowany w domu, powinniśmy się upewnić, że w ogóle został zamordowany - powiedziała Eva Backman.

- Niezłe to skomplikowałaś - rzucił Astor Nilsson. - Nie uważacie, że powinniśmy już skończyć? Musimy jeszcze pogadać z paroma osobami.

- Piwnica? - spytał Barbarotti. - Rzucimy okiem? Mamy przecież klucze.

Backman kiwnęła głową.

- Ty idź. A my zaczniemy wnosić rzeczy, które chcemy zabrać. Możemy na dole poczekać na Stroma ze świtą. Dobrze by było, żebyśmy znaleźli czas na lunch, co wy na to?

- Absolutnie i koniecznie - zapalił się Astor Nilsson. - Na głodniaka jestem najgorszym policjantem w całej Szwecji. Po prostu nie słyszę, co ludzie do mnie mówią.

- Co? - westchnął Barbarotti, a na twarzy Backman pojawił się uśmiech.

28.

- Nic, prawda? - spytał Astor Nilsson. - Chodzi mi o piwnicę.

Barbarotti pokręcił głową.

- Pełno sprzętu do nurkowania. I narty. I panczeny. Buty do chodzenia po górach, plecaki. Wygląda na to, że uprawiał wiele sportów; nie ograniczał się do whisky i cygar.

- Nie podoba mi się, że mówisz o nim w czasie przeszłym - oznajmiła Eva Backman. - Wiem, że to głupie, ale mi się nie podoba.

- Przecież ty też tak mówisz - bronił się Barbarotti.

- Wiem - przyznała. - I to mi się też nie podoba.

- Tam jest chińska knajpka - przerwał Astor Nilsson. - Czy to państwu wystarczy?

- Wystarczy - powiedział Barbarotti. - Przynajmniej nie trzeba będzie długo czekać.

I rzeczywiście nie czekali. Gunnar Barbarotti zdążył nawet szybko wpaść do sklepu z zegarkami i kupić sobie nowy zegarek na rękę. Kosztował tylko dwieście czterdzieści dziewięć koron, a ekspedientka mówiąca bardzo trudnym do zrozumienia miejscowym dialektem zapewniała go, że będzie chodził wieki.

- To żaden chłam, nie szkodzi, że tani. Jeszcze na pogrzeb go panu założą na rękę.

Barbarotti zapłacił i wyszedł. Posterunek policji w Hallsbergu znajdował się przy Västra Storgatan, ale umówił się z Tomaszem Wallinem w kawiarni na dworcu kolejowym. To miłe, że w tak małej miejscowości mieli posterunek, ale kawiarnia to jednak kawiarnia. Pokój przesłuchań wszędzie wygląda tak samo.

Tomas Wallin był opalony i wypoczęty, ale zaczął od stwierdzenia, że strasznie się niepokoi.

- Musiało mu się coś stać. Gunnar nigdy by się tak nie ukrył przed światem.

Barbarotti spojrzał na niego pospiesznie. Dość niski, dobrze zbudowany mężczyzna, tak między trzydzieści pięć a czterdzieści lat. Rude, centymetrowej długości włosy, uczciwe, niebieskie oczy.

- Chciałbym nagrać naszą rozmowę - uprzedził Barbarotti i włączył magnetofon. - Żeby mi nic nie umknęło.

- Aha - mruknął Tomas Wallin, podnosząc do ust szklanekę z wodą.

- Nazywa się pan Tomas Wallin i jest pan przyjacielem Gunnara Öhrnberga. Proszę podać pełny adres i numer telefonu.

Wallin podał.

- A więc Örebro?
 - Tak.
 - *All right*. Czy może pan powiedzieć, od jak dawna zna pan Gunnara Öhrnberga?
 - Od siedemnastu czy osiemnastu lat. Poznaliśmy się w wojsku, w Arvidsjaur.
 - Strzelcy górscy. I od tamtego czasu utrzymujecie ze sobą kontakt?
 - Od czasu do czasu. Właściwie najczęstszy ostatnio, kiedy Gunnar przeniósł się do Hallsberga.
 - A pan cały czas mieszkał w Örebro?
- Wallin pokręcił głową.
- Mniej więcej dziesięć lat. Urodziłem się w Gävle i tam chodziłem do szkoły, potem jakiś czas mieszkałem w Umeå.
 - Czym pan się zajmuje?
 - Jestem stomatologiem.
- Barbarotti był kompletnie zaskoczony. Gdyby go ktoś zapytał, powiedziałby, że to kierownik siłowni albo coś w tym stylu. Nie bardzo umiał sobie wyobrazić krępą postać Tomasa Wallina w roli zręcznego manualnie dentysty.
- Ale teraz często się spotykacie? - spytał.
 - Tak - odpowiedział Wallin. - Mamy podobne zainteresowania sportowe.
 - Jakie?
 - Przede wszystkim nurkowanie. Obaj jesteśmy instruktorami. Pracujemy tydzień albo dwa w centrum nurkowania w Kungshamn. Byliśmy też razem na kilku wypadach. Nad Morzem Czerwonym, na Filipinach i tak dalej. I chodzimy razem w góry.
 - Co roku?
 - Przynajmniej przez trzy ostatnie lata.
- Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.
- Rok 2002 - powiedział. - Czy pamięta pan, jak było w roku 2002?

- Czy wtedy też byliśmy w górach?
- Tak.

Tomas Wallin zastanawiał się przez chwilę. Później pokiwał głową.

- Nie, wtedy nie. Chodziliśmy razem po górach na początku lat dziewięćdziesiątych... no i przez te ostatnie lata.

- Ale w tym roku nie?
- Chcemy iść na cztery dni we wrześniu.

Optymista, pomyślał Barbarotti.

- A praca jako instruktor nurkowania?
- Jak często?

- Tak, proszę. I w którym roku, jeśli może pan sobie to przypomnieć.

Wallin znowu się zamyślił.

- Byliśmy teraz w lipcu. I w ubiegłym roku, i dwa lata temu...
- W roku 2002?

- W 2002 też. Wydaje mi się, że w tym dziesięcioleciu opuściliśmy tylko rok 2001.

- W którym miesiącu lata zwykle tam jeździecie?

- Zawsze w ostatni tydzień lipca - bez wahania odpowiedział

Wallin. - Czasami również w pierwszy tydzień sierpnia.

Barbarotti poczuł nagłe drżenie.

- Rozumiem - powiedział. - Zaraz porozmawiamy o tym roku, ale najpierw chciałbym, żebyśmy przez chwilę się skupili na roku 2002. Czy jest pan w stanie sobie przypomnieć, jak było wtedy?

Tomas Wallin wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi panu o tydzień nurkowania, to nie wiem. Czy w roku 2002 było coś specjalnego?

- Właśnie od pana chciałbym o tym usłyszeć - oznajmił Barbarotti. - W tamtym roku Gunnar miał dziewczynę o imieniu Anna. Anna Eriksson. Latem pojechali razem do Francji; musiało to być

tuż przed spotkaniem z panem w centrum nurkowania.

Tomas Wallin zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam żadnej Anny. Ale to, że był we Francji, to się zgadza. W Bretanii, o ile się nie mylę. Przywiózł stamtąd butelkę calvadosu, a ja mu tłumaczyłem, że calvadosu nie produkuje się w Bretanii, tylko w Normandii... No nieważne, tak czy owak, piliśmy ten calvados po jakimś nocnym nurkowaniu, to pamiętam.

- Świetnie - powiedział Barbarotti. - Opowiadał coś o tej Bretanii?

Wallin rozłożył ręce.

- Pewnie tak. Ale nie pamiętam za wiele.

- Mówił, kogo tam spotkał i tak dalej?

- Nie.

- Chciałbym pana prosić, żeby pan się nad tym jeszcze zastanowił. To może być ważne.

Tomas Wallin napił się trochę wody. Przez chwilę wyglądał przez okno.

- Dlaczego to może być ważne? - zapytał.

- Niestety, nie mogę panu tego teraz powiedzieć - wyjaśnił Barbarotti.

- Czy to ma może jakiś związek z...?

- Z czym?

- Z tymi morderstwami tam u was. „Gunnar-w-objęciach-śmierci” i te bzdety... Nie jestem taki głupi. Człowiek sobie różne fakty potrafi poskładać, nawet nie będąc policjantem.

Gunnar Barbarotti skinął głową.

- Rozumiem, wcale się nie dziwię - stwierdził. - Ale pewnie pan również rozumie, że nie o wszystkim mogę z panem rozmawiać?

- Naturalnie - potwierdził Tomas Wallin. - Przepraszam, strasznie się martwię o Gunnara.

Nagle Barbarotti pomyślał, że musi go spytać, czy jest żonaty. Mam nadzieję, że tego źle nie zrozumie.

- Ma pan rodzinę, żonę? - spytał.
- Tak, żonę i dwie córki. Młodsza właśnie skończyła roczek.

Super, pomyślał Gunnar Barbarotti. Zdrowa, męska przyjaźń, po prostu. Jak zwykle jestem pełen stereotypów. A może to zazdrość, że nie mam takiego przyjaciela jak Tomas Wallin?

Sprawdził magnetofon i skoncentrował się znowu na rozmowie. Podał mu wizytówkę, mówiąc:

- Gdyby coś się panu przypomniało na temat roku 2002, może pan dzwonić bezpośrednio do mnie. Choćby był to tylko drobiazg, byle dotyczył urlopu we Francji albo tej Anny.

Wallin skinął głową i schował wizytówkę do portfela.

- Dobrze - powiedział Gunnar Barbarotti. - To przechodzimy do współczesności. Kiedy ostatnio widział pan Gunnara Öhrnberga?

- Dwa tygodnie temu - natychmiast odpowiedział Wallin. - W sobotę dwa tygodnie temu. Odwiedził nas, zjedliśmy kolację. Nocował u nas i dopiero w niedzielę pojechał do domu.

Gunnar Barbarotti zajrzał do kalendarza.

- W sobotę czwartego sierpnia, tak?

- Zgadza się - potwierdził Tomas Wallin. - W poprzedni poniedziałek wróciliśmy ze Scorpiusa, wtedy go zaprosiliśmy.

- Zaprosiliśmy? - powtórzył Barbarotti. - Scorpius?

- Emma, moja żona, i ja. Tak, tym razem zabrałem do Scorpiusa całą rodzinę. Tak się nazywa to centrum nurkowania; leży na małej wysepce pomiędzy Kungshamn a Smögen. Moja żona zrobiła advanced.

Gunnar Barbarotti zakładał, że to rodzaj certyfikatu nurkowania, ale nie zapytał o szczegóły.

- Okej - mruknął tylko. - Zauważył pan coś szczególne go u Gunnara? Albo podczas tego tygodnia nurkowego, albo wówczas, gdy był u państwa w tamtą sobotę?

- Nic. Był dokładnie taki jak zwykle.
- Jest pan pewien?
- Tak.
- Nie był niespokojny?
- Nie.
- Może trochę nerwowo?
- Nie, nie.
- Jak pan teraz na to patrzy, nie ma pan wrażenia, że coś ukrywał? Jeśli się kogoś dobrze zna, powinno się takie rzeczy zauważyć.

Oczekiwał kolejnego stanowczego „nie”, ale Tomas Wallin zawahał się przez sekundę i podrapał nerwowo po szyi. Sygnały były prawie niewidoczne, ale Barbarotti wyczuł, że czegoś się dowie.

- Mhm - powiedział. - To chyba nie ma nic do rzeczy, ale wydaje mi się, że on się spotyka z jakąś kobietą.

- Z kobietą? - Barbarotti nie potrafił ukryć rozczarowania. - Czy to oznacza, że od dawna nie był w żadnym związku?

Wallin kiwnął głową i zrobił minę, która miała usprawiedliwić kolegę.

- Nie, Gunnar jakoś nie miał szczęścia do kobiet. Stary kawaler. Od czasu gdy się przeprowadził do Hallsberga, chyba nie miał nikogo. Przynajmniej nic o tym nie mówił.

- A teraz coś powiedział?

- Nie wprost - potwierdził Tomas Wallin. - Ale podczas tygodnia nurkowania wyjeżdżał przez dwa wieczory i wracał dopiero rano. No to chyba musi chodzić o jakąś kobietę.

- Ale nie pytał go pan o to?

- Moja żona go zapytała. Wtedy, w sobotę, kiedy nas odwiedził. Odpowiedział wymijająco, ale Emma twierdzi, że to dlatego, iż chce to utrzymać w tajemnicy. Bo prawdopodobnie chodzi o jakąś mężatkę... wie pan, moja żona potrafi takie rzeczy wyczuć.

Oczywiście, pomyślał Barbarotti. I nie jest odosobniona w tej umiejętności, większość kobiet ją ma.

- Czyli po poranku piątego sierpnia już pan Gunnara nie widział?

- Nie.

- Rozmawialiście przez telefon?

- Raz - potwierdził Tomas Wallin. - W poniedziałek.

- O czym?

- Właściwie o niczym. Dziękował za miłe przyjęcie... aha, byłbym zapomniiał, mówił coś o jakimś parodniowym wyjeździe na ryby z jakimś kolegą.

- Z kolegą z pracy?

- Tak to zrozumiałem.

- Nie wymienił żadnego imienia?

- Nie, jestem prawie pewien, że nie.

Gunnar Barbarotti wyjrzał przez okno i zobaczył pociąg X 2000 zatrzymujący się na torze 1.

Nadal się tu zatrzymują, pomyślał. Przynajmniej niektóre.

- Kiedy zorientował się pan, że Gunnar zaginął?

- We wtorek. Zadzwonili do mnie ze szkoły z pytaniem, czy go nie widziałem.

- A więc w szkole wiedzą, że jesteście przyjaciółmi?

Tomas Wallin wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej tak.

- Nie ma pan pomysłu, gdzie Gunnar mógł pojechać?

- Nie mam. Jest to dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Dla mojej żony też.

Barbarotti zastanawiał się przez chwilę i stwierdził:

- To chwilowo wszystko. Czy mogę do pana zadzwonić, gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

- Ma się rozumieć. Bardzo mi zależy na tym, żeby...

Wyglądało na to, że nie wiedział, co powiedzieć.

Może dlatego, że za wiele się powiedzieć nie da, pomyślał Barbarotti posępnie, wyłączając magnetofon.

- Proszę też, żeby pan dzwonił, gdyby się panu coś przypomniało.
- Ma się rozumieć - powtórzył Wallin, podnosząc się z krzesła.
- Szczególnie, jeśli chodzi o lato roku... 2002.
- Tak, rozumiem - powtórzył Tomas Wallin, kiedy podawali sobie ręce na pożegnanie.

Byli z powrotem w samochodzie.

Eva Backman opowiedziała o swojej rozmowie z samotną matką, która była sąsiadką Gunnara Öhrnberga przy Tulpangatan.

- Coraz więcej tych samotnych matek - skomentowała.
- W tym towarzystwie już dwie - dorzucił Astor Nilsson.

Nazywała się Gunnel Pekkari. Miała trzydzieści pięć lat, była rozwiedziona, samotnie wychowywała pięcioletnią córkę i opiekowała się kotem. Dobrze wyglądała, w ocenie inspektor Backman, w każdym razie jak na dzisiejsze kanony mody: wydatny biust, sarnie oczy i świeżo wymodelowane usta. Backman uznała za bardzo prawdopodobne, że sąsiadka miała krótki romans z Öhrnbergiem, a przynajmniej poszła z nim parę razy do łóżka. Mieszkali przecież naprzeciwko, było to więc bardzo praktyczne.

Ale ostatnio mieli niestety rzadki kontakt. Gunnel Pekkari nie wiedziała nic, co mogło by się przydać w śledztwie. Tylko jeden szczegół: spotkała sąsiada na schodach około siódmej wieczorem we wtorek, czyli siódmego, i może zeznać pod przysięgą, że jeszcze wtedy żył. Ale bardzo się spieszył, więc powiedzieli sobie tylko cześć - on wychodził, a ona wracała do domu.

Poza tym była zdania, że Gunnar Öhrnberg był przystojnym facetem ze świetną sylwetką i może odrobinę za dużym nosem; ale o jego wnętrzu nie potrafiła niestety nic powiedzieć.

- Znakomicie - skomentował Astor Nilsson. - Czyli siódmego wieczorem jeszcze żył. Przynajmniej tyle wiemy.

Potem on opowiedział o swojej wizycie u dyrektorki Alléskolan, pani Manner-Lind. Od wtorku, czyli od momentu gdy poczuła, że coś nie jest w porządku, naprawdę zrobiła wszystko, by znaleźć Gunnara Öhrnberga. Dała co prawda do zrozumienia, że to nie był pierwszy przypadek, gdy jakiś nauczyciel zapomniał o pierwszym dniu pracy nad nowym rozkładem zajęć; zdarzało się to nazbyt często - ale nigdy o drugim, takich przypadków nie pamięta, a co dopiero jeśli chodzi o nauczyciela tego kalibru co Gunnar Öhrnberg.

Nie dlatego, żeby się jej bał, tylko dlatego że był, kim był. Prawie żadnych zwolnień chorobowych, silny jak skała w każdych okolicznościach. Lubiany przez uczniów, kolegów i rodziców. I przez dyrekcję szkoły. Kiedy było potrzebne zastępstwo, nigdy nie odmawiał. Nadgodziny? *No problem*. Kto na ochotnika pojedzie z dziećmi na wycieczkę? Öhrnberg zgłaszał się bez ociągania.

Dlatego pani dyrektor Manner-Lind zaczęła dzwonić po kolei do wszystkich. Do Josefssona i Pärmana, bo wiedziała, że Öhrnberg czasami spotykał się z nimi prywatnie. Do Rosandera, który miał jechać z Öhrnbergiem na golce nad jezioro Vättern, ale wyprawa została odwołana z powodu operacji biodra, jakiej poddała się żona Rosandera. Do brata Öhrnberga w Östersund i do jego rodziców w Kramfors.

Do jego przyjaciela nazwiskiem Wallin w Örebro też, ale nikt nie wiedział i nie potrafił dać jej najmniejszej wskazówki, gdzie mogłaby szukać zaginionego nauczyciela.

Dlatego ostatecznie zadzwoniła na policję.

- Po zakończeniu tej rozmowy naszło mnie nieprzyjemne uczucie - stwierdził Astor Nilsson.

- Aha? - zaciekał się Barbarotti, również w drodze do domu siedzący z tyłu. - Jakie uczucie?

- Ano właśnie - odpowiedział Astor Nilsson. - Jeśli nawet pani dyrektor Manner-Lind nie udało się człowieka wywęszyć, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten człowiek już jest martwy.

- Wydaje mi się, że większość przesłanek wskazuje na to, że... - zaczął Barbarotti, ale przerwał, gdy zadzwonił telefon Backman.

Odebrała. Powiedziała kilka razy „tak”, potem popatrzyła przez okno i powiedziała „Wydaje mi się, że Laxå”; następnie zakłęła, skinęła głową i przez jakiś czas mówiła na przemian „Tak” i „Nie”. Wreszcie stwierdziła: „Tak, naturalnie” i rozłączyła się.

- Co, do cholery? - zaniepokoił się Astor Nilsson.

- To Jonnerblad - wyjaśniła Backman. - Zjedź na tamtą stację benzynową. Musimy zawrócić.

- Dlaczego? - zapytał Barbarotti.

- Dlatego że na polu pszenicy niedaleko Kumli znaleziono zwłoki mężczyzny. Wiele przemawia za tym, że to Gunnar Öhrnberg.

- A nie mówiłem? - mruknął Astor Nilsson.

- Na polu pszenicy? - spytał Barbarotti.

Backman kiwnęła głową.

- Znalazł go rolnik, który właśnie kosił zboże kombajnem. Podobno jest nieźle pokiereszowany.

29.

Gunnar Öhrnberg był nieźle pokiereszowany.

Najładniej rzecz ujmując. Pole pszenicy znajdowało się we wsi Orsta. Na wąskiej zwirowce, prowadzącej do szerszej drogi asfaltowej, stał rząd samochodów , cztery policyjne, cztery cywilne - oraz trochę ludzi, motocykl i zaciekle ujadający pies. Trzydzieści metrów dalej, na polu, stał nieruchomo zielony kombajn zbożowy i jeszcze jedno zbiegowisko ludzi. Kiedy Barbarotti, Backman i Astor Nilsson

dojechali na miejsce, właśnie zaszło słońce; na zachodzie, na tle żółtoczerwonego nieba, widać było zarysy miasta Kumla, z cmentarzem i kościołem na pierwszym planie oraz zabudowaniami wspinającymi się po żwirowym wzgórzu. Barbarotti odruchowo szukał czegoś, co przypominałoby mur słynnego więzienia, ale jego spojrzenie przykuła stara, piękna wieża ciśniń.

- Ciekawe, dlaczego Ström nie zadzwonił bezpośrednio do nas - skomentował pod nosem, wysiadając z samochodu. - Pośrednictwo Jonnerblada wydaje się trochę niepotrzebne.

- Wiesz - odparł Astor Nilsson - mam wrażenie, że ten pan inspektor nas nie lubi.

- Dziwne - zauważyła Eva Backman.

Pod eskortą komisarza Schwerina doszli na pole, a kiedy wreszcie stanęli przy resztkach ciała nauczyciela licealnego Gunnara Öhrnberga, Barbarotti miał przez krytyczną chwilę wrażenie, że zwymiotuje. Jednak dwie kiełbaski z piure ziemniaczanym, którymi się posilił przed wyjazdem z Hallsberga, cofnęły się w połowie drogi i wróciły do żołądka.

Rolnik nazywał się Mattsson i, niestety, nie zdążył zatrzymać kombajnu na czas. Stąd te obrażenia.

Kiedyś mówiło się o Śmierci jako postaci z kosą, pomyślał Gunnar Barbarotti. Może tutaj mamy do czynienia z uwspółcześnioną symboliką. Śmierć kosząca kombajnem.

- Nie da się ukryć, lekko go zmieliło - przyznał komisarz Schwerin. - Ale ma też w głowie otwór po kuli. Był na pewno martwy, gdy rolnik go skosił.

- Otwór po kuli? - powtórzył Astor Nilsson.

- Jak najbardziej - potwierdził inspektor Ström, który właśnie do nich dołączył. - Kula przeszła na wylot. Otwór wlotowy na lewej skroni, wylotowy na prawej.

Eva Backman spojrzała na zegarek.

- Jest wpół do dziewiątej. O której go... znalazł?

- Za piętnaście szósta czy jakoś tak - odpowiedział Schwerin. - Był zszokowany. Miał ze sobą komórkę, ale nie był w stanie zadzwonić. Dziesięć po szóstej zadzwoniła jego żona.

- Jedenaście po szóstej - poprawił go Ström.

- Ström, czy możesz sprawdzić, jak idzie Bengtssonowi i Linderowi - powiedział Schwerin.

Inspektor Ström kiwnął głową i odszedł. Gunnar Barbarotti próbował wyobrazić sobie tę makabryczną scenę. Do skoszenia zostało jeszcze z pół pola. Rolnik dojechał do połowy długości, a kombajn stał teraz nieruchomo jak gigantyczne, prehistoryczne zwierzę, które nagle opadło z sił. Na prostokacie o powierzchni boiska piłkarskiego nadal kołysało się zboże, poruszane podmuchami łagodnego, wieczornego wiatru - wysokie do pasa i dojrzałe. Policja odgrodziła niewielki placyk za pomocą biało-niebieskiej taśmy; wokół kombajnu i poszarpanych zwłok Öhrnberga uwijali się lekarze, technicy i fotografowie, a po zewnętrznej stronie taśmy stało przynajmniej trzydzieści osób.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - zapytał Gunnar Barbarotti.

Komisarz Schwerin wzruszył ramionami.

- Wieść się rozniosła. Sąsiedzi i inni ciekawscy. Gazety też już tu dotarły. W naszych stronach rzadko coś takiego się dzieje.

- Nie kazaliście im się odsunąć?

- Owszem. Ale większość z nich była tu, jeszcze zanim my dotarliśmy na miejsce. A przecież obowiązuje prawo o swobodnym dostępie do terenów zielonych i o wolności prasy.

Barbarotti spojrział na komisarza. Drobny, spokojny mężczyzna około sześćdziesiątki. Wydawał się przyjmować to wszystko ze stoickim spokojem; może w tych okolicznościach to było właściwe podejście. Nie czuł potrzeby odpędzania tych wszystkich ludzi. Z pewnością i tak zdążyli już zdeptać wszystkie ewentualne ślady

na żyznej, gliniastej glebie charakterystycznej dla regionu Närke.

- Znaleźliście kulę? - zainteresował się Astor Nilsson.

- Nie, ale szukamy. Choć nie mam większych nadziei, że ją znajdziemy.

- Dlaczego?

Schwerin uśmiechnął się łagodnie.

- Dlatego że prawdopodobnie zastrzelili go gdzieś indziej. Trochę trudno sobie wyobrazić, że sprawca zabiera ze sobą ofiarę na spacer przez pole pszenicy i właśnie tutaj do niej strzela. Dużo prościej byłoby go najpierw zastrzelić, a potem przyciągnąć zwłoki na pole.

Barbarotti zastanawiał się.

Ma rację, pomyślał. Oczywiście musiało tak być.

- Ale jesteście pewni, że to Öhrnberg? - zapytał.

Nie bez kozery; sam nie miał tej pewności za grosz. Głowa była tak mocno pokiereszowana, że mogłaby należeć do kogokolwiek.

- Prawie pewni - odpowiedział Schwerin. - Miał przy sobie portfel i dowód.

Barbarotti skinął głową.

- Czy da się ocenić, jak długo tu leżał? - spytał Astor Nilsson.

- Lekarz sądzi, że co najmniej tydzień - odpowiedział Schwerin. - Sprawa przypuszczalnie spadnie na wasze biurko. Może najlepiej będzie wysłać ciało do Göteborga?

- Tak, tak będzie najlepiej - odpowiedział Astor Nilsson. - Ale postarajcie się zebrać jak najwięcej fragmentów ciała.

Zadzwoił telefon Backman. Odeszła na bok. Po minucie wróciła.

- Jonnerblad - wyjaśniła. - Chce, żebyśmy wysłali go do Göteborga. I żebyśmy zostali tu jeszcze do jutra... - Kivnęła do komisarza. - Żebyśmy wrócili do domu, mając już pierwszy, w miarę kompletny obraz zdarzenia.

Kompletny obraz i kompletne ciało, pomyślał Barbarotti.

Schwerin znowu się łagodnie uśmiechnął.

- Zamierzałem jutro pograć w golfa - stwierdził - ale chyba odwołam. W zasadzie nie lubię grać w golfa, raczej towarzyszę żonie... no, ale trzeba będzie przeprowadzić jakieś przesłuchania i tak dalej, prawda?

- Jakież tak - potwierdził Astor Nilsson. - Co z tym rolnikiem? Jest w stanie rozmawiać?

- Możecie spróbować - powiedział Schwerin i pokazał go ręką.
- Tam stoi. W ubiegłym roku przejechał sarnę, ale dzisiejszy wypadek był dużo gorszy.

- Sprytne - oświadczyła Eva Backman - że położył go na polu pszenicy.

- Co masz na myśli? - zapytał Barbarotti.

Stanęli trochę z boku, na tle sierpniowego nieba, które zmieniało kolor na czarny, podczas gdy Astor Nilsson rozmawiał z Mattssonem. Barbarotti rozgryzał ziarno pszenicy.

- No, to, że chciał go ukryć, ale jednocześnie być pewny, że wkrótce ktoś go znajdzie. Kto spaceruje po polu porośniętym zbożem? Miał tu leżeć ukryty aż do żniw.

Barbarotti wydłubał z kłosa kolejne ziarno i włożył je do ust.

- Masz rację. Ale kiedy przechodzi się przez takie zboże, zwykle zostaje wydeptany ślad?

- Niekoniecznie - powiedziała Eva Backman. - Jeśli robisz to ostrożnie, to źdźbła się nie łamią i podnoszą po pewnym czasie. Jak po deszczu. Nie mogę przestać myśleć o tym, że jest taki sprytny.

- Tak - zgodził się Barbarotti. - Mamy chyba sporo dowodów na to, że ten koleś właśnie taki jest. Sprytny.

Eva Backman skinęła głową i rozejrzała się po coraz ciemniejszym polu.

- Pięcioro ludzi, możesz to sobie wyobrazić? Przez jedno lato pozbawił życia pięcioro ludzi, a my nie zrobiliśmy nic, żeby go

powstrzymać. Pisze listy, udzielając wskazówek i nam, i mediom. Za co właściwie nam płacą?

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Ale w końcu go złapiemy. A do tych wskazówek nie przywiązywałbym takiej wagi.

- Tak? - zdziwiła się Eva Backman, wycierając nos. - Cholera, na dodatek chyba złapałam alergię. Nie powinnam spacerować po świeżo skoszonych polach.

- Cierpienie nie ma końca - skonstatował Barbarotti. - Tak czy inaczej, Öhrnberg był martwy na długo przed tym, jak dostałem list o „Gunnarze-w-objęciach-śmierci”. Wskazówki nie przychodzą nawet we właściwej kolejności. Malmgrenowie wsiedli na prom w niedzielę, a przecież Öhrnberga zastrzelił kilka dni wcześniej?

Eva Backman zastanowiła się.

- Zgadza się - odpowiedziała. - Mam w pokoju grafik wszystkich zdarzeń. Musimy sprawdzić, jak wrócimy.

Zadzwonił telefon Barbarottiego.

Dziennikarz z „Aftonbladet”. Młoda kobieta, która dowiedziała się, że na polu żyta pod Karlskoga znaleziono nowe zwłoki.

- Pszenicy - powiedział Barbarotti. - I pod Kumlą. Ale o zwłokach nic nie wiem.

Rozłączył się. Muszę któregoś dnia zmienić numer telefonu.

Komisarz polecił im Stora Hotellet w Örebro; skorzystali z tej rady. Kupili sobie w recepcji po piwie i usiedli w jadalni, której okna wychodziły na rzekę Svartån i zamek. Restauracja hotelowa była już nieczynna, więc siedzieli sami w wielkiej sali z częściowo wygaszonymi lampami.

- To drugi najpiękniejszy zamek w Szwecji - oświadczył Astor Nilsson, wskazując na sylwetkę za oknem.

Barbarotti i Backman przyglądali się starej kamiennej twierdzy, popijając piwo.

- A który jest pierwszy? - spytał Barbarotti.
- Kalmar - odpowiedział Astor Nilsson.
- Wygląda na to, że sporo zwiedzałeś - skomentowała

Backman.

- Przecież wam mówiłem - zauważył Astor Nilsson. - Mój szef wysłałby mnie choćby do Paryża, żeby tylko na mnie nie patrzeć. No to co, podsumujemy dzisiejszy dzień?

- Możemy zrobić próbę - powiedział Barbarotti. - Mogę zacząć?

- Proszę bardzo - odparła Eva Backman.

- Dziękuję. Gunnar Öhrnberg został zamordowany strzałem w głowę z broni wielkokalibrowej typu Pinchmann albo Berenger. Przypuszczalnie w ubiegłą środę. Przypuszczalnie gdzieś w Närke. I tyle. Myślę, że podsumowałem wszystko.

- Niezupełnie - wtrącił się Astor Nilsson. - Został potem zapakowany do jakiegoś pojazdu, może wepchnięty do samochodu. Wywieziony na pole pszenicy w urodziwej, acz zapomnianej przez Boga i ludzi wsi Orsta, niedaleko dawnej stolicy obuwnictwa, miasta Kumla, wytaszczony na to pole, aby w swoim czasie wpaść pod kosę kombajnu należącego do rolnika o nazwisku Henrik Mattsson. Wywiezienie go na pole porośnięte zbożem było faktycznie sprytnym posunięciem.

- Sprytnym? - powtórzył Gunnar Barbarotti.

- Już o tym rozmawialiśmy - wyjaśniła Eva Backman.

- Aha - mruknął Astor Nilsson. - Zmieniając temat, czy ktoś wie, jaki jest jutrzejszy plan gry wobec mediów?

- Rozmawiałem ze Schwerinem - oznajmił Barbarotti. - Będzie mnóstwo relacji, szczególnie w „Nerikes Allehanda”. Będziemy tam prosić o pomoc. Tajemnicze samochody w okolicy Orsta i tym podobne. I w pobliżu Tulpangatan w Hallsbergu. Z tego, co wiem, podane będą specjalne numery dla informatorów. Spodziewają się, że linia będzie gorąca. Zobaczymy, ile to da.

- Dobrze - powiedziała Eva Backman. - Już chyba nie ma nikogo w tym kraju, kto by nie czytał o tym przypadku. Dobrze by było, żeby wreszcie ktoś coś widział.

- Pobożne życzenie - odpowiedział Astor Nilsson. - Ale jeśli ktoś do kogoś strzela w lesie o godzinie trzeciej w nocy, a godzinę później wyrzuca go na pole, to nie ma co liczyć na zbyt wielu świadków.

- Cholerny pesymista - powiedziała Eva Backman. - W porządku, dopijamy piwko i idziemy spać.

Gunnar Barbarotti spojrział na zegarek. Nie chodził.

W sobotę rano, kiedy wyszedł spod prysznicza, zadzwoniła Marianne.

- Gdzie jesteś? - zaczęła tak, jak zaczynała się co druga rozmowa w dzisiejszych czasach.

W erze globalizacji tuż przed Armagedonem, jak to określono w niedawnym materiale jakiejś zacofanej gazety. Kiedy ludzie stracili swoje korzenie i zamienili się w rój szarańczy chaotycznie błądzący po ziemi.

- Örebro - zakomunikował. - Właśnie patrzę na drugi najpiękniejszy zamek w Szwecji.

- Tak, wiem - skomentowała. - Widziałam go. Ale Kalmar jest faktycznie ładniejszy.

Wygląda na to, że to powszechnie uznana prawda, pomyślał ze zdziwieniem Barbarotti.

- Też tak myślę.

- Co tam robisz?

- Nie czytałaś gazet?

- Nie.

- To dobrze. Nie czytaj. Kocham cię.

W jakiś niepojęty sposób udało mu się zapomnieć, że była sobota. Ta sobota.

Chyba oszalałem, pomyślał Barbarotti. Jak mogłem zapomnieć? Mój mózg zamienił się w mózg ryby.

Jednak gdy już mu przypomniano, jaki jest dzień, to przynajmniej pamiętał, o jaką sprawę chodziło. Zawsze coś.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

Roześmiała się. Chciał przyznać Bogu punkt, ot tak, z czystej radości. W jej śmiechu było coś takiego, że... że co?

Że wszystko będzie dobrze. Po prostu było to słyhać. Będą razem, on i Marianne, *come rain, come sleet or snow*, czy jak to tam, do cholery, leciało. Nagle wszystkie wątpliwości odfrunęły daleko, a on nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że kiedyś je miał.

W ciągu zaledwie kilku sekund doznał olśnienia. Zanim jej krótki śmiech nie wybrzmiał w słuchawce.

- Chcę się z tobą spotkać - odpowiedziała. - Może w przyszły weekend? Będziesz miał czas?

- Będę wolny - powiedział Gunnar Barbarotti. - Dla ciebie zawsze jestem wolny.

- A morderca piszący listy?

- Do przyszłego weekendu zamknę tę sprawę - obiecał Barbarotti. - Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie. Prawdę powiedziawszy, ja chciałam przyjechać do ciebie. Jeśli nie masz nic przeciwko. Dzieci będą u ojca w Göteborgu, więc mogę je odwiedzić, a potem odebrać w drodze powrotnej.

- *You have a deal* - oznajmił Barbarotti. - Ugotuję dla ciebie homara, mam świetny przepis. Czyli do piątku wieczorem?

- Do piątku wieczorem. Gunnar?

- Tak?

- Wydaje mi się, że też cię kocham. Chyba zapomniałam to powiedzieć.

Kiedy dotarł do restauracji na śniadanie, nadal się uśmiechał.

- Jesteś nawalony czy znalazłeś rozwiązanie naszej sprawy? - spytała Eva Backman.

- Ani jedno, ani drugie, niestety - odpowiedział Barbarotti.

- Pewnie znowu poszedł popływać - rzucił Astor Nilsson, kiwając głową w stronę rzeki. Wyglądał, jakby przez całą noc próbował się kochać z oporną niedźwiedzicą. - Kurde, całą noc nie zmrzyłem oka, to dochodzenie mnie wykończy.

- Chodźcie, weźmy kawę i zastanówmy się, co dalej - zaproponowała Eva Backman. - O, przyszedł Schwerin.

Komisarz sprawiał wrażenie tak samo odprężonego jak wczoraj na polu.

- Postanowiłem skorzystać z okazji i przedyskutować z wami sytuację, zanim pojedziemy na komendę - wyjaśnił. - Kiedy nikt nam nie przeszkadza. Czy podoba się wam nasz zamek?

- Drugi najpiękniejszy w Szwecji - powiedział Barbarotti. - Tak, powinniśmy trochę pogadać.

- Widzieliście już dzisiejszy numer „Nerikes Allehanda”? - zapytał Schwerin i podał im gazetę.

Barbarotti spojrział na stronę tytułową. Nad zdjęciem przedstawiającym stojący nieruchomo, oświetlony fleszem kombajn zbożowy i grupę ciemnych postaci widniał napis „ŚMIERTELNE ŻNIWA”, wydrukowany literami wysokości trzech centymetrów. Wyglądało to sugestywnie i złowieszczo.

Nadawałoby się na plakat filmowy, pomyślał Barbarotti.

- Szlag by to - powiedziała Eva Backman. - Czy podają jego nazwisko i inne szczegóły?

- Nie - odpowiedział Schwerin. - Niedługo spodziewamy się jego rodziców, którzy mają rozpoznać zwłoki. Mieszkają w Kramfors. Przewieźliśmy go do USÖ, a potem przesłamy do Göteborga do Kliniki Medycyny Sądowej zgodnie z umową.

- USÖ? - zdziwiła się Backman.

- Klinika Uniwersytecka w Örebro - wyjaśnił Schwerin.

- Aha - mruknął Astor Nilsson. - No to bierzmy się za śniadanie.

Usiedli przy tym samym stole, przy którym wczoraj pili piwo. W skupieniu przeglądali dwa egzemplarze „Nerikes Allehanda”, gdzie obrazowo odmalowywano makabryczne znalezisko na polu pod Kumlą, a także jego związek z wcześniejszymi morderstwami w zachodniej Szwecji. Po kilku minutach komisarz Schwerin odchrząknął cicho.

- Jak to właściwie wygląda? Na jakim etapie jest wasze dochodzenie?

Astor Nilsson przestał przeżuwać i przez chwilę wyglądał, jakby miał zeza.

- Pomalutku posuwamy się naprzód - powiedziała Eva Backman.

- Pytam z uwagi na konferencję prasową - wyjaśnił Schwerin. - Ma być o trzeciej. Zapowiedziały się jakieś tłumy. Dobrze by było, żeby ktoś z was też w niej uczestniczył.

- Jasne - powiedział Barbarotti. - Inspektor Backman i ja weźmiemy to na siebie, a komisarz Nilsson utnie sobie w tym czasie popołudniową drzemkę.

Astor Nilsson uśmiechał się i jadł dalej.

- Jaki jest plan dnia? - spytała Backman.

Schwerin wyjął czarny notes.

- Czterech ludzi ma się zająć sąsiadami w Hallsbergu - odpowiedział. - Chyba już są na miejscu. Chcemy jeszcze przed konferencją prasową dostać od nich przynajmniej wstępne raporty. Odprawa jest o drugiej. Wtedy powinniśmy też być po rozmowach z okolicznymi rolnikami... może wy...?

- Oczywiście - powiedział Astor Nilsson. - Pojedziemy do tych rolników i pogadamy z nimi.

- To dobrze. No, a poza tym powinniśmy dostać jakieś sygnały od ludzi; trzeba będzie je oceniać i opracowywać. Ja będę to

wszystko koordynować wspólnie ze Strömem, którego już znacie, i jeszcze jednym inspektorem. Tak to wygląda, ale może macie jakieś uwagi?

- Plan jest świetny - powiedział Barbarotti.
- Idealny - przytaknął Astor Nilsson.

Zadzwoił telefon Backman. Jonnerblad chciał wiedzieć, czy on i Tallin będą potrzebni w Örebro. Backman wyjaśniła mu, że nie, i obiecała, że będzie go informować o rozwoju wydarzeń przez cały dzień.

- Pogadajmy z tym rolnikiem jeszcze raz - zaproponował Barbarotti. - Gdyby zauważył jakieś zdeptane miejsca... może dowiedzielibyśmy się, którądy morderca wszedł na pole, może udałoby się wtedy znaleźć jakieś odciski stóp. Öhrnberg ważył przynajmniej siedemdziesiąt pięć kilogramów.

- To oznacza, że morderca nie jest drobną, niską kobietką - zauważył Astor Nilsson. - Ale to już chyba wiedzieliśmy.

- Wczoraj wieczorem było tam strasznie dużo ludzi - powątpiewała Backman. - Chociaż masz rację, nie możemy tego zlekceważyć.

- Czy możemy zabrać do Orsta któregoś z techników? - zapytał Barbarotti.

- Jasne - zgodził się Schwerin. - Coś jeszcze?

- Zobaczymy, co się urodzi w ciągu dnia - odparł Astor Nilsson. - Odprawa w komendzie o drugiej, tak?

- Tak, o drugiej - potwierdził Schwerin.

- Czy w pobliżu hotelu nie ma jakiegoś sklepu z zegarkami? - spytał Gunnar Barbarotti. - Muszę sobie kupić zegarek.

- Po drugiej stronie ulicy - powiedział Schwerin. - Ale otwierają dopiero o dziesiątej.

- *All right* - mruknął Barbarotti. - To może poczekać.

30.

Komisarz Schwerin zaczął odprawę od pytania, czy ktoś z obecnych czytał książkę fińskiego pisarza Mikiego Waltariego pod tytułem *Egipcjanin Sinuhe*.

Nie. Schwerin wyjaśnił wówczas, że książka między innymi opowiadała o egipskim neurochirurgu, żyjącym ponad tysiąc lat przed Chrystusem, i o tym, jak w tamtych czasach patrzono na różne sprawy. Na przykład na operacje mózgu; jeśli podjęto wszystkie właściwe działania i wszystko poszło tak, jak trzeba, zawsze uznawano operację za udaną. Nawet jeśli pacjent zmarł. Komisarz uważał, że czynności przeprowadzone przez policję dzisiejszego ranka i przedpołudnia można opisać w taki właśnie sposób; wszystko przebiegło według planu, każdy dał z siebie wszystko, ale efektów nie było, niestety, żadnych: nikt nie widział nawet cienia mordercy.

Ciekawe porównanie, pomyślał Gunnar Barbarotti, wymieniając spojrzenie z Eva Backman, która wyglądała na wpół rozbawioną, wpół zaniepokojoną.

Oczywiście na ostateczne konkluzje było jeszcze za wcześnie; wszystkie dotychczasowe raporty były w największym stopniu wstępne, o czym Schwerin nie omieszkał wspomnieć. Rozmawiano z pięćdziesięcioma dwiema osobami, jak w talii kart: trzydziestoma w Hallsbergu - głównie sąsiadami i kolegami Öhrnberga, siedemnastoma w okolicy Örsty pod Kumlą, oraz garstką znajomych w Örebro. Wszyscy twierdzili, że są w szoku, choć o różnym natężeniu. Nikt - przynajmniej po pierwszej, pobieżnej analizie - nie miał żadnych informacji, które mogły być istotne dla śledztwa. Przymuszalnie ostatnią osobą, która widziała zamordowanego żywego, oprócz sprawcy, była pewna kobieta pracująca w małym sklepiku spożywczym pięćdziesiąt metrów od mieszkania Öhrnberga przy

Tulpangatan. O dziesiątej wieczorem we wtorek kupował w sklepie jogurt, sok i chleb.

We wtorek siódmego sierpnia, pomyślał Barbarotti. Tydzień przed nadejściem listu. Dzięki za cynk, poniewczasie.

Na specjalną policyjną centralę telefoniczną zadzwoniono dotychczas (do godziny za dziesięć druga po południu) około stu razy. Rozmowy te miały najróżniejszy charakter. Czterech telefonujących wezwano na przesłuchanie z powodu wagi przekazanych przez nich informacji, jednak do tej pory odbyło się tylko jedno przesłuchanie; jak się wydaje, nie wniosło do sprawy nic nowego. Przesłuchanie jest nagrane i będzie przepisane jeszcze dziś po południu.

Barbarotti zauważył, że Astor Nilsson zasnął. Siedział po jego prawej stronie, odchylony w tył, z rękami splecionymi na piersi i brodą zwieszoną w dół. Na nosie miał ciemne okulary, więc być może nikt tego nie zauważył. Barbarotti miał nadzieję, że Nilssonowi uda się utrzymać głowę w tej pozycji i nie zacząć chrapać; w pokoju było wielu młodych, ambitnych policjantów, więc zaśnięcie członka grupy dochodzeniowej byłoby chyba obciachem.

Po półgodzinie Schwerin poprosił o komentarze, ale pojawiło się tylko jedno pytanie. Smukły aspirant zapytał skromnie, czy zwłoki zostały już zidentyfikowane.

- Przepraszam - powiedział komisarz. - Zapomniałem o tym szczególe. Tak, nie ma wątpliwości, że są to zwłoki Gunnara Öhrnberga.

W porządku, pomyślał Gunnar Barbarotti i sprzedał Nilssonowi kuksańca w bok.

Uzgodniono, że najlepiej będzie, jeśli w konferencji prasowej udział weźmie jak najmniej osób. Na przykład dwie. Na przykład komisarz Schwerin i inspektor Backman.

Barbarotti stał przyciśnięty do ściany na samym końcu wypełnionego ludźmi pokoju i kiedy tak obserwował dwoje kolegów siedzących przy stole zastawionym mikrofonami,

uznał, że to był dobry wybór. Spokojny, budzący zaufanie komisarz. Bystra, inteligentnie ripostująca Backman.

Starszy mężczyzna, trochę młodsza kobieta - przepis nie był wcale nowy.

Było około pięćdziesięciu dziennikarzy, których szefowie odpowiedzieli na zaproszenie. Wszyscy się pocili. Słysząc było szum trzech kamer. Pomieszczenie było przeznaczone dla co najwyżej trzydziestu osób, a do tego przestała właśnie działać wentylacja. Było mniej więcej trzydzieści stopni; wymarzona atmosfera, żeby ludzie myśleli tylko o tym, by wyjść na zewnątrz. Barbarotti zastanawiał się w duchu, czy jest to przemyślany ruch aż tak doświadczonego, choć pozornie łagodnego komisarza. Wcale by go to nie zdziwiło.

Pytań było bez liku. O Öhrnberga. O pozostałe morderstwa. O stan śledztwa.

- Czy mamy do czynienia z seryjnym mordercą? - zapytał tajemniczy mężczyzna z TV4.

- Nie - odpowiedziała Eva Backman. - Przypuszczamy, że morderca już skończył. Chciał zabić właśnie te pięć osób i, niestety, udało mu się zrealizować swój plan.

- Skąd wiecie, że nie będzie więcej ofiar?
- Mamy wiele poszlak, które na to wskazują.
- Co to za poszlaki?
- Niestety, na tym etapie nie mogę wchodzić w szczegóły.
- Tak napisał w swoich listach?
- Między innymi.

I tak dalej. Barbarotti rozglądał się po sali, ale nie zauważył swojego przeciwnika z „Expressen”, był jednak pewien, że pytanie o niego prędzej czy później się pojawi. Tak też się stało; po mniej więcej piętnastu minutach wstał wysoki mężczyzna i przedstawił się jako Petersson z „Agendy”.

- Na początku tygodnia doszło do incydentu. Policjant użył przemocy wobec reportera. Jak państwo to skomentują?

- Nie będziemy komentować - odpowiedziała Eva Back man. - Po zakończeniu tej konferencji policjant, o którym mowa, odpowie na ewentualne pytania w tej sprawie.

Namówili go, żeby się zgodził. W gruncie rzeczy długo nie musieli namawiać; wiedział, że nie da się chować głowy w piasek wobec reporterów. Samo sformułowanie „nie chcę komentować” z daleka sygnalizowało winę i wstyd. Jednak po czterdziestu pięciu minutach, zajmując miejsce za stołem z mikrofonami, czuł lekki niepokój.

- A więc to pan? - zaczęła ciemnowłosa kobieta około pięćdziesiątki.

- Co ja? - zapytał Gunnar Barbarotti.

- To pan uderzył Perssona z „Expressen”?

- Nie - odpowiedział. - Nie uderzyłem go.

- Ale złożono na pana meldunek - stwierdził dobrze zbudowany mężczyzna w pierwszej ławce.

- „Expressen” wycofało swoje zgłoszenie po niecałej dobie.

- Czy mógłby pan nam opowiedzieć, co właściwie się stało? - zapytał ktoś mówiący z fińskim akcentem z końca sali.

- Jasne - powiedział Barbarotti. - Była dziewiąta wieczorem. Byłem u siebie w domu. Właśnie miałem usiąść do kolacji po dwunastu godzinach pracy. Wtedy przyszedł reporter Persson i próbował wepchnąć się do mojego mieszkania.

- W jaki sposób? - zapytał inny głos.

- Zadzwoił do drzwi. Otworzyłem. Chciał wejść i zadać kilka pytań. Powiedziałem, że nie mam czasu, a on już wcześniej w ciągu dnia rozmawiał z wieloma naszymi funkcjonariuszami. Poprzedniego dnia udzieliłem mu długiego wywiadu.

- Ale czy pan go fizycznie wyrzucił?

- Nie. Nie pozwalał mi zamknąć drzwi. W końcu miałem go dosyć. Wpchnąłem go na klatkę schodową i zamknąłem drzwi.

- Ale przecież on spadł ze schodów - podjął temat pierwszy mężczyzna.

- Nie wiem, jakim cudem mu się to udało - zauważył Barbarotti. - Ale w „Expressen” chyba wszystko jest możliwe.

W sali dało się usłyszeć nieśmiało parsknięcia śmiechu.

- Uważa pan, że postąpił pan właściwie?

- Prawdopodobnie nie - powiedział Barbarotti. - Ale z dwóch złych rozwiązań wybrałem to mniej złe. Oczywiście nie chciałem, żeby stała mu się krzywda.

- A jakie było to drugie złe rozważanie?

Po chwili namysłu Gunnar Barbarotti odpowiedział:

- Wiem, że większość z was to poważni, ciężko pracujący dziennikarze - powiedział w końcu. - Mam nadzieję, że solidarność zawodowa nie przeszkodzi państwu spojrzeć na to zdroworozsądkowo. Metody pracy pana Görana Perssona nie poprawiają wizerunku prasy w tym kraju.

- Czy jest tutaj ktoś z „Expressen”? - padło pytanie.

- Ja - odpowiedziała kobieta około trzydziestki.

- Czy mogłaby pani wyjaśnić, dlaczego pani gazeta najpierw sformułowała doniesienie na policję, a potem je wycofała?

- Nie - odpowiedziała kobieta. - Niestety nie. Dostałam ten temat dopiero dzisiaj. Wydaje mi się, że Göran Persson poszedł na urlop.

- Szach-mat - mruknął niski męski głos. - Dajmy temu spokój i chodźmy na świeże powietrze.

Propozycja została przyjęta jednogłośnie, a Gunnar Barbarotti wypił pół butelki wody mineralnej i odetchnął z ulgą.

O piątej byli już w drodze na południe. Astor Nilsson zajął tylne siedzenie i zasnął, zanim jeszcze wyjechali z miasta. Za kierownicą siedziała Eva Backman. Barbarotti wyjął siedem fotografii z Bretanii i znowu zaczął się im przyglądać. A przynajmniej trzem z nich.

Próbował mrużyć oczy, a wtedy Ten Szósty nabierał ostrości. Jednak nie do końca. Niewielkie zamazanie na jego twarzy na wszystkich trzech zdjęciach nie chciało zniknąć.

- Że też ludzie nie potrafią ustawić ostrości - mruknął.
- A jak oceniasz naszą ostrość? - zapytała Eva Backman.
- Kiepsko - przyznał Barbarotti. - Co powiedział Jonnerblad o

upublicznieniu zdjęcia?

W ciągu dnia z sześć razy kontaktowali się z Kymlinge. Relacjonowali swoje rozmowy z różnymi rolnikami mieszkającymi w okolicy Kumli, nieudane poszukiwania śladów stóp na Polu Śmierci (logiczne było, że „Gunnar-w-objęciach-śmierci” dokonał żywota na „Polu Śmierci”, przynajmniej tak uważał redaktor „Nerikes Allehanda” przygotowujący tytuły do dzisiejszego wydania) i inne działania operacyjne przebiegające w całym regionie Närke. W zamian usłyszeli od Jonnerblada przynajmniej jedną nową wiadomość: ustalono, że w billingach Anny Eriksson i Gunnara Öhrnberga, w połączeniach przychodzących, znaleziono jeden - ten sam - nieznaną numer telefonu komórkowego. Wyglądało na to, że karta prepaidowa, nie do wykrycia, została użyta tylko do tych dwóch rozmów. Ale interesujące były daty połączeń. Do panny Eriksson we wtorek 31 lipca, trzydzieści sześć minut po dziesiątej rano. Przypuszczalnie w dniu jej śmierci. Do Öhrnberga prawie dokładnie tydzień później: we wtorek siódmego sierpnia w ciągu dnia, dwadzieścia pięć minut po pierwszej. Obie rozmowy trwały około minuty. Czy to morderca umawiał z nimi termin spotkania?

Bardzo prawdopodobne. Jonnerblad chciał wiedzieć, po co ktoś kupuje sobie kartę telefoniczną, skoro korzysta z niej tylko dwukrotnie. To oczywiste, że musiał mieć złe zamiary.

Ale, jak wiadomo, użytkownik jest nie do wyśledzenia.

- Słucham? - zapytała Backman.
- Pytałem, czy Jonnerblad i Tallin już skończyli się wahać - powtórzył Barbarotti. - Może już pora, by pokazać tę twarz w mediach?

Z irytacją postukał ołówkiem w zdjęcie.

- Wydaje mi się, że mówił coś o poniedziałku - odpowiedziała Backman. - Czyli w prasie we wtorek. Chyba będziemy musieli pójść tą drogą, tak mi się wydaje.

- Myślisz, że to błąd?

- Nie wiem, co myśleć - odpowiedziała Eva Backman. - Nie wiadomo, jak zmieni się sytuacja, kiedy już to zrobimy. A ja już jestem zmęczona jak diabli. Mam ochotę przywalić jakiemuś dziennikarzowi; przynajmniej dostanę parę dni wolnego.

- Nie wydaje mi się, żeby to była właściwa droga - skomentował Barbarotti.

Astor Nilsson zaklął przez sen z tylnego siedzenia.

- Pieprzony, porąbany piekarz - wymamrotał nie do końca wyraźnie.

- Czy on ma jakieś niezalutowane porachunki z piekarzem? - spytał Barbarotti z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Backman. - Ale wygląda na takiego, co to może mieć porachunki z każdym, jeśli mu przyjdzie ochota.

Zadzwoił telefon Barbarottiego. Spojrzał na ekran.

- Smutas - oznajmił. - Zobaczysz, zdarzyło się coś przełomowego dla śledztwa.

Przełom to trochę za duże słowo.

Raczej małe kroczki na drodze do prawdy.

- Znaleźliśmy dom, który wynajmowali Malmgrenowie.

- Dobrze - powiedział Barbarotti. - Gdzie?

- Finistère. Około dwudziestu kilometrów od Quimper - wyjaśnił Smutas. - Jeśli ci to coś mówi.

- Chyba tak - powiedział Barbarotti. - Przynajmniej mniej więcej.

- Miejsce nosi nazwę Mousterlin - uzupełnił Smutas. - Najbliższa wieś nazywa się Fusnong czy jakoś tak; nie bardzo wiem, jak to się wymawia.

Zabrzmiało to jak kichnięcie, pomyślał Barbarotti.

- Jak to się pisze? - zapytał.
- F-o-u-e-s-n-a-n-t - przeliterował Smutas.
- Zapisalem - powiedział Barbarotti. - Skąd to wiecie?
- Zadzwoił jakiś facet z Göteborga. Prowadzi agencję wynajmu domów we Francji. Głównie w Bretanii. Był na urlopie w sierpniu, ale teraz już wrócił do domu, przeczytał o sprawie w gazecie i sprawdził swoje archiwum w komputerze. Znalazł Malmgrenów. Wynajmowali ten dom w Mousterlin przez trzy tygodnie w czerwcu i lipcu 2002 roku.

Barbarotti zastanawiał się.

- Powiedział coś jeszcze?
- Niewiele - odparł Smutas. - Ale jeszcze go nie przesłuchiwaaliśmy. Zadzwoił dwie godziny temu. Przyjedzie na przesłuchanie jutro.

- W domu mieszkali tylko Henrik i Katarina Malmgrenowie, tak? Nikt z pozostałej grupy?

- Nie wiem. Ten wynajmujący też nie. Obiecał, że spróbuje wypytać właściciela tego domu. Jest tam sześć miejsc do spania, więc teoretycznie to możliwe.

- A gdyby rzeczywiście tak było? - powiedział Barbarotti, gdy już pożegnał się ze Smutasem i przekazał wiadomość Backman. - Gdyby rzeczywiście było tak, że cała grupa mieszkała w tym domku?

Eva Backman zastanawiała się.

- Dlaczego, u diabła, mieliby mieszkać razem? - zapytała. - Przecież się nie znali, a przynajmniej tak do tej pory uważaliśmy.

- Może Malmgrenowie wynajmowali miejsca z drugiej ręki - rzucił pomysł Barbarotti. - Przez internet albo jakoś tak, chyba to nie jest zabronione?

- Chciałbyś mieszkać w czasie urlopu w jednym domu z czwórką nieznanych ludzi? - zapytała Backman. - Bo ja bym chyba zrezygnowała z takiego urlopu.

- Ja bym nie chciał - zauważył Barbarotti. - Ty też nie. Ale nigdy nie wiadomo. Może chcieli obniżyć koszty?

- On był pracownikiem naukowym, a ona pielęgniarką anestezyjologiczną.

- *All right* - oznajmił Barbarotti. - Poddaję się. Nie mieszkali w tym samym domu.

- Ale nie martw się - pocieszyła go Eva Backman. - Trzeba tylko poczekać, aż inni pośrednicy wrócą do domu z urlopów i przeczytają o sprawie w gazetach. - Czyż nie?

- W czekaniu jesteśmy dobrzy - skomentował Barbarotti i schował zdjęcia, które trzymał na kolanach. - Co będziesz robić jutro?

- Spędzę dzień z panami mojego serca. Cała banda wraca dzisiaj do domu. Najwyższy czas, podobno w poniedziałek zaczyna się rok szkolny.

Barbarotti poczuł nagłe ukłucie w okolicach serca. Początek roku szkolnego? Dlaczego Sara nie urodziła się rok później? Wtedy on także oczekiwałby na rozpoczęcie szkoły.

Muszę do niej wieczorem zadzwonić. Na pewno się dziwi, że się nie odzywam.

A może lepiej poczekać do jutra? Mimo wszystko. Niedzielny poranek. Dziś sobotni wieczór; nie miał ochoty ponownie słuchać tego zadymionego brzęczenia butelek. Najmniejszej ochoty.

Może lepiej poświęcić trochę czasu Bogu? Już prędzej On dziwił się, siedząc tam na swym tronie w obłokach, dlaczego tak dawno nie miał wiadomości od sympatycznego inspektora kryminalnego z Kymlinge.

Tak, na pewno się dziwił.

31.

Oba te plany speszły jednak na niczym.

Nie porozmawiał ani z Sarą, ani z Bogiem. Kiedy Eva Backman podwiozła go pod dom przy Baldersgatan - najpierw wsadziwszy Astora Nilssona do pociągu do Göteborga - było dwadzieścia po ósmej. Był głodny jak wilk, a z tego, co pamiętał, w lodówce nie było nic, w co by się dało wbić zęby. Trochę wędliny na kanapki, jakieś jajko i pół litra wątpliwej świeżości mleka, nic więcej. Nie było sensu wchodzić na górę i sprawdzać.

W związku z tym zrobił sobie spacer do baru Rockstagrillen, kupił jak zwykle dwie kielbaski z piure ziemniaczanym i majonezem ogórkowym, a ponieważ musiał jeszcze taszczyć teczkę, usiadł na ławce w parku przy budynku straży pożarnej i spokojnie zjadł posiłek.

Kiedy tak siedział, w jego głowie zaczęły grasować swobodne myśli dotyczące dochodzenia. A w zasadzie dalej grasowały; nie dało się o nich zapomnieć, jak o bólu pękniętego żebra albo bólu zęba.

Wszystkie ofiary. Wszystkie listy.

Wszystkie przesłuchania i kilogramy przelanego potu, które nie przyniosły żadnych efektów. Francja? Co ten Smutas mówił? Jak nazywało się to miejsce? Mousterline? Postanowił sprawdzić to na mapie, gdy tylko wróci do domu.

Co to mogło znaczyć, że morderca dzwonił do dwóch ofiar, a do innych nie? Jeśli to rzeczywiście on dzwonił? Może dzwoniąc do Malmgrenów i Erika Bergmana, używał innych niemożliwych do wysledzenia numerów telefonów? Jeśli w ogóle potrzebował nawiązywać z nimi kontakt, zanim ich zabił.

No i ta wczorajsza groteskowa scena na polu. Tego też nie potrafił wyrzucić z pamięci. Czy sprawca wyobrażał sobie, jaki to będzie

widok, gdy umieszczał tam swoją ofiarę? Że jej odnalezienie będzie wyglądało mniej więcej w taki sposób? Może chciał, żeby kombajn zbożowy zmasakrował ciało do połowy? W ciepły i uroczy sierpniowy wieczór, kiedy księżyc wszedł w czwartą kwadrę. Czy stał za tym jakiś zamiysł? A jeśli tak, to kim, do licha, jest ten perwersyjny człowiek, którego szukali?

Inspektor Barbarotti ugryzł kęs kielbasy i wykonał wysiłek myślowy, żeby odsunąć od siebie te wszystkie pytania. Muszę się skupić na tym, że siedzę właśnie na parkowej ławeczce i jest sobotni wieczór. Zajadam kielbaskę z piure. Tak daleko zaszedłem w czterdziestym siódmym roku życia.

No tak, wieczór jest dzisiaj piękny, a kielbaska całkiem niezła. Wtedy w jego myślach pojawiła się Marianne, jakby automatycznie, gdy tylko zrobił dla niej miejsce. Wlatywała do jego oszołomionego mózgu jak gołąbek pokoju i miłości z kompletnie obcego kontynentu. A raczej jak całe stado gołębi. Latały wkoło i zapełniały każdy, nawet najmniejszy zakątek jego mózgu. Dziwny obraz, ale właśnie na takich obrazach koncentrowały się aktualnie jego zdolności umysłowe. Potrząsnął głową, żeby się pozbyć ptaków.

Kiedy już się pobierzemy, pomyślał, to nigdy więcej nie będę musiał siedzieć na ławce w parku i wsuwać kielbasy na kolację.

Bo przecież w końcu tak będzie? Ona i ja razem?

Może to już ostatni raz? - pomyślał i przełknął wszelkie wątpliwości razem z ostatnim kęsem kielbasy. Naprawdę ostatni raz?

Wytań z twarzy resztki piure i majonezu, złożył tackę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Po posiłku poczuł pragnienie, więc postanowił w drodze do domu wpaść na piwo do Älgen.

Skoro i tak już był na mieście.

Z jednego piwa zrobiły się trzy.

Miało to swoje powody. Dwaj koledzy z liceum, Sigurd Sollén i Viktor Emanuelsson, zostali dzisiaj słomianymi wdowcami, więc

postanowili spędzić razem miły wieczór. Tak to się nazywa. Kiedy zobaczyli Barbarottiego, uparli się, żeby przysiadł się do ich stolika i pogadał z nimi o starych dobrych czasach szkolnych. Może on pamiętał coś lepiej od nich.

Po mniej więcej godzinie Sigurd Sollén poczuł silniejszy szum w głowie i uznał, że czas na rozwiązanie największej w tym dziesięcioleciu zagadki morderstwa. Bardzo mu zależało, żeby podzielić się z kolegą swoimi informacjami i pomysłami. Miał też parę pytań.

Barbarotti wypił ostatni łyk piwa i zapewnił kolegów, że obaj będą mogli przeczytać o wszystkich najdrobniejszych szczegółach w jego pamiętnikach „Życie gliniarza w lusterku wstecznym”, których wydanie jest zaplanowane na doroczne targi książki w Göteborgu w roku 2023.

Plus minus rok.

- Kurraa maś - wybełkotał Sollén. - Soś si ąwala?
- Odwala? - powtórzył Emanuelsson.
- Poedziaem mąrała - wymamrotał Sollén.
- Całkiem się już skułeś, kretynie? - zdziwił się Emanuelsson, ale Gunnar Barbarotti już wtedy opuścił lokal.

Kiedy wchodził do swojego mieszkania, była za dziesięć jedenasta, o czym Barbarotti nie miał pojęcia, ponieważ nadal - z niewiadomego powodu - nosił na przegubie zepsuty, wieczny zegarek z Hallsberga.

Uzmysłowił sobie, że nie było go w domu od piątkowego poranka - czyli, mówiąc dokładnie, od poprzedniego poranka - kiedy to w ekspresowym tempie przebierał się przed podróżą do regionu Närke razem z Backman i Nilssonem.

Przypomniał sobie też, że nadal nosi ubranie, które wczoraj założył, w związku z czym znakomicie pasował do tej ławeczki w parku. Wtapiał się w krajobraz.

Na podłodze w holu leżała piątkowa poczta, więc postanowił się z nią rozprawić, zanim pójdzie pod prysznic.

Trzy rachunki, jeden kupon rabatowy ze Statoil i jedna gruba brązowa koperta formatu A4, to wszystko. Dużą kopertę otworzył na końcu.

Jego nazwisko i adres wypisane kanciastymi, nieco nierównymi wersalikami. Czarnym tuszem. Prawie połowę górnej krawędzi listu zajmował rząderek zagranicznych znaczków. Długą chwilę zajęło mu odszyfrowanie nazwy poczty nadania.

Kair.

Kair? - pomyślał Gunnar Barbarotti. - Ki diabeł? Pamiętał, że wcześniej tego dnia ktoś coś mówił o Egipcie, ale nie mógł sobie przypomnieć kontekstu. Datownik był wyraźny i czytelny 14.08.07.

Cztery dni temu. Wyjął nóż do chleba. Usiadł przy stole kuchennym i rozciął kopertę.

Wyjął z niej plik gęsto zapisanych kartek. Wydruk komputerowy, pojedynczy odstęp między wierszami. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stron, tak przynajmniej wyglądało, bo strony nie były ponumerowane.

Spojrzał na nagłówek na pierwszej stronie. „Notatki z Mousterlin”.

Co, do cholery? - pomyślał Barbarotti.

Kiedy wreszcie wszedł pod prysznic, ciągle działający zegar kuchenny pokazywał dziesięć po trzeciej.

Notatki z Mousterlin

8-9 lipca 2002 roku

- Co zrobiłeś?! - wrzeszczy Erik.

- Zabiłem ją - wyjaśniam ponownie. - Leży przy szopie z narzędziami, jeśli chcesz ją zobaczyć.

Erik wytrzeszcza na mnie oczy. Jego usta to otwierają się, to znów zamykają. Po twarzy i szyi przebiegają krótkie drgania; widzę, że jest bardzo poruszony.

- Uznałem, że to konieczne - mówię. - Co miałem zrobić?

- Zwariowa...

Odwraca się do mnie plecami, odchodzi dwa kroki i zawraca. Obraca się, spoglądając w stronę szopy na narzędzia, ale jest za daleko, za ciemno. Nie można dojrzeć, czy leży tam jakieś ciało.

- Dlaczego? - pyta. - Dlaczego, do cholery?

Jeszcze raz opowiadam mu, jak to było. Osuwa się na fotel, opiera łokcie o kolana i chowa głowę w dłoniach.

- Co my teraz zrobimy? - wydusza z siebie, gdy kończę.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, coś ty narobił?

- Narobił? - dziwi się. - Przecież ona wiedziała. Nie miałem innego wyjścia. Co ty byś zrobił?

Ponownie rzuca mi spojrzenie. Dostrzega klucz francuski, który leży na białych kafelkach na podłodze tarasu.

- Tym?

Kiwam głową.

- Bahco 08072 - wyjaśniam. - Nie miałem nic innego pod ręką.

Przyglądamy się kluczowi przez kilka sekund; wokół główki widać odrobinę zaschniętej krwi, na podłodze też jest kilka ciemnych

plam. Nie posprzątałem po sobie, wyniosłem tylko ciało. Erik wyjmuję swoją komórkę.

- Zadzwoń po resztę - mówi. - Jasna cholera! A myślałem, że już mamy to za sobą.

- Ja też tak myślałem - zauważam. - Ale wezwij pozostałych, tak będzie najlepiej.

Kiedy po wybraniu numeru czeka na połączenie, patrzy na mnie, a w jego wzroku dostrzegam strach.

Po niecałych trzydziestu minutach pozostała czwórka dociera na miejsce. Jest za dwadzieścia jedenasta, ale nie jest jeszcze całkiem ciemno. Ten region słynie ze swego wieczornego światła. Nie potrzebujemy lampy, żeby stojąc w półkolu, obejrzyć martwą kobietę przy ścianie szopy z narzędziami. Wyraźnie widać, że tam leży. Jej martwe ciało wydaje się jeszcze mniejsze niż za życia, sprawia wrażenie niewiele cięższej od wnuczki. Wcale nie jest zimno, ale obie kobiety drżą.

- Jasna cholera - mówi Gunnar. - Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Jak to wyprawiasz? - dziwię się. - Wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że trzeba ukryć wszelkie ślady śmierci dziewczynki?

Anna szepce coś do Katariny, ale nie słyszę co. Henrik gwałtownie pali papierosa; nie może ustać w miejscu, drepce wkoło i mruczy coś nieskładnie i niezrozumiale.

- Zabiłeś ją - mówi Gunnar.

- Tak - odpowiadam. - Zabiłem ją.

- Zamordowałeś - mówi Katarina.

- Jasna cholera - warczy Gunnar.

- Wczoraj mi dziękowaliście, że wziąłem na siebie niewdzięczny obowiązek - przypominam im. - Jak myślicie, co by się stało, gdyby ta kobieta poszła na policję?

- Co mówiła? - pyta Gunnar. - Dlaczego w ogóle tu przyszła?

- Wydawało mi się, że już to wyjaśniałem - mówi Erik.

- Chcę to usłyszeć z ust mordercy - nie ustępuje Gunnar.
- Czy możemy usiąść na tarasie? - prosi Anna. - Nie chcę tu stać, niedobrze mi.

Idziemy na taras i siadamy przy stole. Erik zapala dwie lampy i przynosi butelkę czerwonego wina.

- Zakładam, że wszyscy chcą się napić.

Nikt nie odmawia. Erik wyciąga kieliszki i nalewa. Moją uwagę zwraca niezwykła masa nietoperzy latających dzisiejszego wieczoru w pobliżu; powietrze aż drży podczas ich przelotu. Lecą w górę i znikają, lecą w górę i znikają, szybciej od myśli.

- Więc? - mówi Gunnar. - Czy mógłbyś to szczegółowo wyjaśnić? Zanim pójdziemy na policję zgłosić morderstwo.

- Nie sądzę, żebyście poszli na policję.
- Nie bądź taki pewny - rzuca Henrik i nerwowo popija wino.
- W porządku - odpowiadam. - Ale gdybym jej nie zabił, to o tej porze już wszyscy siedzielibyśmy na policji. Wydawało mi się, że zawarliśmy układ.

- Zawarliśmy układ, że nie będziemy nic mówić o tym, co wydarzyło się w niedzielę - mówi Gunnar. - A nie, że będziemy zabijać stare kobiety.

- Mordować - podkreśla Katarina.
- Mój Boże, zabiłeś ją, ot tak sobie? - pyta Anna.

W jej głosie brzmi niewielka nutka hysterii.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłem - wyjaśniam. - Nigdy nie zakopywałem utopionej dziewczynki i nie mam zwyczaju zabijać starszych pań kluczem francuskim. Naprawdę nie rozumiem, o co mnie oskarżacie.

Zapada cisza. Henrik i Anna zapalają kolejne papierosy. Z jakiegoś powodu, mimo tak późnej pory Erik założył okulary przeciwsłoneczne. Widzę po Gunnarze i Henriku, że intensywnie nad czymś myślą. Przypuszczam, że obaj, każdy z osobna, dostrzegają sens

mojej wypowiedzi. I mojego czynu. Zauważają to wbrew swojej woli i na tym właśnie polega problem, ich problem; nie chcą przyznać, że moje działanie jest konsekwencją tego, na co wszyscy się zgodziliśmy. Że ukryjemy to, co się zdarzyło podczas wycieczki łodzią na Les Glénan. Że dziewczynka o imieniu Troaë utonęła i że w momencie gdy postanowiliśmy ukryć ten fakt, wstąpiliśmy na ścieżkę, którą właśnie podążamy. To nie tylko moja wina, ale ich również, tak; mogę obserwować, jak ta gorzka prawda z wolna dociera do ich pijanych mózgów, jak teraz szukają słów, za pomocą których mogliby to przepracować i przewalczyć.

- To nie jest normalne - mówi Anna.

- Uspokój się, Anno - upomina ją Gunnar. - Musimy się zastanowić, jak to załatwić.

- Załatwić? - powtarza Anna. - Co, do cholery, załatwić?

- *The Root Of All Evil* - mówi Erik i zaczyna się nagle śmiać. - Musieli wiedzieć, co robią, kiedy ją tak nazywali.

Słyszę, że Erik jest już wstawiony. Henrik gasi papierosa i zwraca się do mnie.

- Muszę stwierdzić, że wszystko przeinaczyłeś - mówi i wydmuchuje ostatni dymek prosto w moją twarz; nie wiem, czy świadomie, czy nie. - I to całkowicie.

- Ach tak? - dziwię się. - Na czym polega to przeinaczenie?

- Na tym - odpowiada Henrik wyraźnie podniecony tym, że może przedstawić swoje argumenty, jakby chodziło o akademicką dysputę. - Twierdzisz, że na nas spoczywa taka sama odpowiedzialność, ale tak oczywiście nie jest. W istocie rzeczy... tak, w istocie rzeczy to ty ponosisz winę za wszystko, a my postanowiliśmy milczeć, żeby nie wpędzać ciebie w kłopoty. To ty wypuściłeś dziewczynkę z rąk, w wyniku czego wpadła do wody i utonęła, to ty zakopałeś jej ciało, zamiast pójść z tym na policję i opowiedzieć o wszystkim, to ty zamordowałeś jej babcię. Nie rozumiesz, że jeśli

teraz wszystko opowiemy na policji, to do odpowiedzialności pociągną wyłącznie ciebie. My cię chronimy, ale nie mamy wobec ciebie żadnych zobowiązań czy długów.

- Dokładnie - przytakuje mu Katarina.

Zastanawiam się przez chwilę. Patrzę wokół stołu.

- A zatem - odpowiadam - jeśli tak to widzicie, to od razu możemy iść na policję.

Henrik, który po swoim wywodzie wyglądał na bardzo zadowolonego, traci teraz cierpliwość.

- Jesteś nienormalny - warczy. - Po prostu nienormalny.

- Przecież to mówiłam - oznajmia Anna.

Nikt nie sprzeciwia się temu stwierdzeniu. Katarina kręci głową i patrzy w mrok.

- Wyjątkowo dużo nietoperzy dziś lata - zauważa. - Ciekawe dlaczego.

- Może to zwiadowcy śmierci - mówię.

Gunnar marszczy czoło i patrzy na mnie intensywnie. Tylko Erika nie mogę rozgryźć, bo schował się za ciemnymi okularami. Henrik ponownie przechyla się w moją stronę nad stołem. Jakby to wszystko było sprawą między nim a mną.

- Czego ty chcesz? - pyta.

- Słucham?

- Pójść na policję? Tego chcesz?

- Niekoniecznie - odpowiadam.

- Co masz na myśli?

- Jestem gotów zrobić to, co wspólnie postanowimy. Również tym razem. Ale nie przyjmę na siebie roli kozła ofiarnego.

Henrik odchyła się w tył. Wymienia spojrzenie z Gunnarem.

- Masz jakąś propozycję? - pyta.

Kręcę głową.

- Jest obłąkany - mówi Anna. - Boże, nie rozumiecie, że jest obłąkany?

Gunnar wstaje. Bierze Annę za rękę i odchodzą na bok. Nie w kierunku szopy, tylko w przeciwną stronę. Pod śmietnik i jabłoń. Erik pyta, czy otworzyć jeszcze jedną butelkę wina, Henrik odpowiada, że tak. Bezwiednie przychodzi mi na myśl obraz twarzy Anny, gdy pierwszego wieczoru wracała z nocnej kąpieli nago. Nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie ten obraz wrył się w moją pamięć ostrymi szponami. Mam go wyraźnie przed oczami, potem znika i znowu się pojawia.

Może dlatego, iż jestem przekonany, że gdybym w tamtej chwili wziął ją za rękę, to bez wahania poszłaby ze mną na plażę, by się kochać. Mam wrażenie, że Gunnar jest beznadziejnym kochankiem.

Gunnar i Anna wracają do stołu.

- Musimy wspólnie zdecydować, co robimy - oznajmia Gunnar.
- Dobry pomysł - popiera go Erik. - Nie byłoby dobrze, gdyby leżała tu nadal jutro rano, kiedy przyjdzie *monsieur* Masson, żeby skosić trawę.

Gunnar ignoruje jego komentarz.

- Mówiłeś coś o jeszcze jednej butelce wina, tak?

Erik idzie po wino. Anna siada obok Katariny i zapala papierosa. Domyślam się, że dostała polecenie, żeby się więcej nie odzywać. Katarina i Henrik szepczą do siebie coś, czego nie jestem w stanie usłyszeć. O to przecież chodzi, żebym nie usłyszał.

- Chcecie, żebym was zostawił na chwilę samych? - pytam. - Jeśli musicie się znowu naradzić.

- Nie ma potrzeby - odpowiada Gunnar. - Mam propozycję.
- Świetnie - stwierdza Katarina.
- Myślę tak - zaczyna Gunnar, próbując skupić wzrok na mnie.

- Jesteśmy gotowi jeszcze raz zachować wszystko w tajemnicy, jeśli ty pozbędziesz się ciała. Nie pójdziemy na policję i jeśli policja nas z jakiegoś powodu zapyta, to powiemy, że nic nie wiemy. Ani o

dziewczynce, ani o jej babci. Ty stąd jutro wyjedziesz i nigdy więcej się nie spotkamy. Zrobił przerwę i popatrzył po kolei na pozostałych.

- Czy wszyscy się zgadzają?

Anna i Katarina skinęły głowami. Erik też, a na koniec Henrik. -

A ty?

- Poproszę jeszcze trochę wina - powiedziałem.

Erika przechodzi dreszcz. Nalewa wina: najpierw mi, potem pozostałym. Przez chwilę siedzę i bawię się kieliszkiem, obserwując, jak czerwone wino tańczy wkoło i wkoło; kolorem nie przypomina świeżej krwi, raczej starą, zaschniętą. Wypijam łyk i odstawiam kieliszek na stół.

- Przyjmuję tę propozycję - oznajmiam. - Ale potrzebuję kogoś, kto poniesie szpadel.

Gunnar niesie szpadel. Wydawało mi się, że to zadanie przypadnie Erikowi, ale z jakiegoś powodu dostał je Gunnar. Może dlatego, że jest wyższy i silniejszy od Erika. Nigdy nie wiadomo.

Ale to ja niosę kobietę. Nic nie mówimy; ja idę przodem, Gunnar dwa kroki za mną. Najpierw skręcam w prawo na wąską szutrówkę, potem, po dwustu metrach, w lewo, wąską ścieżką wiodącą do Menez Rouz. Idę tą samą drogą, co poprzednio; kobietę przewiesiłem sobie przez prawe ramię, tak samo jak dwa dni temu Troaë. Robimy dwie przerwy: kładę ją na ziemi i odpoczywam. Chcę ją pochować blisko dziewczynki, może nie tuż obok, ale w odległości odpowiedniej do rozmowy. Wydaje się ważne, żeby dziewczynka, nawet po śmierci, miała babcię na wyciągnięcie ręki. Ale tylko na wyciągnięcie ręki - przecież nie były aż tak bardzo zaprzyjaźnione.

Kiedy dochodzimy do pola, słabo oświetlonego wątpliwej jasności blaskiem księżyca, pokazuję Gunnarowi, żeby stanął. Ostrożnie kładę ciało na ścieżce, a Gunnar podaje mi szpadel.

- Ja wracam - mówi. - Nie ma sensu, żebym tu czekał.
- Idź - odpowiadam. - Trochę to potrwa.

Odchodzi i już po sekundzie znika w mroku. Jestem sam z ciałem, szpadlem i bagnistą łąką.

I nietoperzami. Zaczynam nabierać wprawy

Wracam do domu Erika piętnaście po drugiej, ale wszyscy nadal tam siedzą.

- Mieliliśmy tu małą dyskusję - wyjaśnia Gunnar. - I coś ustaliliśmy.

- Ach tak? - rzucam pytająco.
- Uważamy, że najlepiej będzie, jak wyjedziesz od razu. Henrik i ja podrzucimy cię kawałek, żebyś jutro rano mógł jechać dalej. Za parę godzin zacznie świtać.

Opieram szpadel o poręcz biegnącą wokół połowy tarasu.

- A więc tak? Kiedy na to wpadliście? Chociaż może rzeczywiście to jest najlepsze rozwiązanie.

- Dobrze, że się zgadzasz - stwierdza Katarina.
- Najpierw jednak muszę się umyć - dodaje.
- Weź prysznic - proponuje Erik. - A ja przygotuję kawę.
- Którym samochodem pojedziemy? - pytam.
- Możecie wziąć mój - proponuje Erik. - Nie ma problemu, ma pełny bak. Wystarczy aż do Rennes i z powrotem.

Kiwam głową. Zostawiam wszystkich na tarasie i idę pod prysznic. Spłukuję z siebie zapach ziemi i zgnilizny.

Wyruszamy o świcie. Gunnar prowadzi, Henrik siedzi na fotelu pasażera z przodu, ja i mój plecak z tyłu. Nazwy miejscowości migają w stopniowo rozjaśniającym się mroku. Concarneau. Pont-Aven. Quimperlé, to tutaj wjeżdżamy na autostradę i przyspieszamy. Prawie nic nie mówimy; nikt nic nie mówi. Zastanawiam się nad

poziomem alkoholu we krwi Gunnara. Gdyby nas teraz zatrzymał patrol policji i wpadlibyśmy w tarapaty właśnie z tego powodu, byłaby to niezwykła ironia losu.

Ale o tej porze na drodze jest prawie pusto. Lorient. Auray Vannes. Pytają, czy wolę pojechać do Rennes, czy do Nantes. Oba miasta leżą daleko od Mousterlin; rozumiem, że chcą mnie wywieźć jak najdalej. Mówię, że wolę Nantes. To większe miasto i leży bardziej na południe niż Rennes.

Nie wiem, ile kilometrów pokonaliśmy, ale piętnaście po szóstej skręcamy do przydrożnej kawiarni pod Nantes. Ostatnie czterdzieści pięć minut drzemałem, Henrik chyba też. Gunnar ma ciemne cienie pod oczami i spojrzenie lemura.

- No to już - mówi Henrik. - Tu nasze drogi się rozchodzą.
- To prawda - odpowiadam.
- Czasami sprawy się komplikują - zauważa Gunnar i dostaje ataku kaszlu.

Rozumiem, że to był początek wypowiedzi, która miała ogólnikowo załagodzić sytuację. Podkreślić, że mimo wszystko jesteśmy ofiarami nieszczęśliwego zbiegu okoliczności albo coś w tym stylu.

Ale kaszel mu przeszkodził. Hamuje i zatrzymuje się przed samym wejściem do kawiarni. Nie rozpina pasów; najwyraźniej przed pożegnaniem nie ma ochoty na kawę w moim towarzystwie - choć widać po nim, że kawa by mu się przydała.

A może teraz Henrik przejmie kierownicę. Może znajdą inną kawiarnię, jak tylko się mnie pozbęda. Tak, to takie proste; nie chcą mnie widzieć ani sekundy dłużej. Kiedy wyjmuję plecak z samochodu, przychodzi mi do głowy jeszcze inny wariant ironii losu: ten, który będzie prowadził w drodze powrotnej do Mousterlin, zaśnie za kierownicą i obaj zginą, kiedy samochód roztrzaska się o skały. Makabryczne konsekwencje, nie da się ukryć; zastanawiam się tylko,

jak pozostała trójka wyjaśniałaby policji, co ci dwaj robili sto czy sto pięćdziesiąt kilometrów od Mousterlin tak wcześnie rano.

- Jedziemy - oznajmia Henrik. - *No hard feelings*.

Nawet nie wysiadają z samochodu. Idę dokola i podaję im kolejno rękę przez opuszczone szyby.

- Jedźcie ostrożnie - rzucam na pożegnanie.

Przerzucam plecak przez jedno ramię i wchodzę do kawiarni.

Nie oglądam się za siebie.

Siedzę przy stoliku przy oknie i piszę. Zbliżam się do ostatniej kropki w opisie wydarzeń w Mousterlin. Zjadłem *galette* z jajkiem i bekonem, a teraz mam przed sobą wielki kubek czarnej kawy; jestem prawie sam w pustym lokalu, oprócz mnie jest tu jeszcze dwóch kierowców ciężarówek; siedzą przy osobnych stolikach pochyleni nad pożywными zestawami śniadaniowymi. Może mógłbym ich poprosić o podwiezienie - jednego albo drugiego - ale wolę posiedzieć jeszcze trochę. Najpierw sformułować te ostatnie zdania, może zająć się elementarną toaletą poranną. Jest dopiero kilka minut po siódmej i jeszcze nie czuję się gotowy na rozpoczęcie nowego dnia.

Zastanawiam się przez chwilę nad faktem, że tamci, tamta szwedzka diaspora w Mousterlin, przypuszczalnie nawet nie wiedzą, jak się nazywam. Przez te dwanaście dni nigdy nie podawałem nikomu swojego nazwiska. Możliwe, że to również ma jakieś znaczenie.

Chcąc nie chcąc, noszę w sobie tę dziewczynkę. Jej babcię również, ale nie aż tak namacalnie. Wiem, że kiedy udało mi się zdrzemnąć w samochodzie, śniła mi się Troaë. Jej żywiołowa niewinność i jej intensywna obecność pierwszego dnia na plaży i w Le Grand Large. Jej bezsilność na falach. Jej jeszcze większa bezsilność, gdy zamykała się nad nią ziemia.

Nie jestem pewien, czy uda mi się wyrzucić ją ze świadomości. Zaczęła się we mnie jakby wgryzać i właśnie to mnie niepokoi. Gdybym był członkiem jakiegoś utopijnego sądu i miał wydać wyrok, pozwoliłbym jej żyć, poświęcił życie tamtej piątki za jej jedno. Babci też. Zrobiłbym to bez wahania; trochę żałuję, że doktor L, nie siedzi tutaj naprzeciw mnie przy stole; jestem ciekaw jego opinii na temat tego równania.

Ale teraz już kończę. Czując ciągle niepokój, o którym już pisałem. Notatki znajdują się na samym dnie plecaka. Jeszcze dziś albo jutro kupię nowy zeszyt, żeby móc pisać dalej.

Dopijam kawę. Postanawiam darować sobie poranne ablucje, zakładam plecak na ramię i wychodzę na parking. Świeci słońce, czeka nas gorący dzień.

Muszę ruszać dalej. Na południe.

Komentarz

sierpień 2007 roku

A zatem już po wszystkim. Miałem plan, zrealizowałem go, wszystko się udało.

Cała piątka nie żyje. Nie wiem, czy już znaleźli Gunnara, i może nigdy się nie dowiem. Zirykowało mnie tylko to, że Katarina Malmgren wypłynęła na powierzchnię. Nie tak miało być, przymocowałem do ich ciał duże obciążniki, ale widocznie węzły przy jej ciele jakimś sposobem się poluzowały. Chciałem, żeby oboje spoczęli na dnie morza, żeby sobie tam leżeli i zastanawiali się nad walką z falami, którą stoczyła Troaë, zanim utonęła. A oni nawet nie opuścili łodzi, żeby ją ratować. Erik też nie - siedział tylko na mostku - i

dlatego to jego musiałem zabić pierwszego. O kluczu francuskim już pisałem, że leży spokojnie na dnie morza; najchętniej użyłbym go również przy Gunnarze, ale to by się nie udało. Zanim posłałem go na tamten świat, musiałem z nim chwilę pogadać, dlatego użyłem broni palnej.

Rozmowa była bardzo interesująca. Szczególne zadowolenie sprawił mi widok tego śmiecia pełzającego po ziemi i błagającego o życie. Cała duma opadła z niego jak stara, wysłużona skóra, dokładnie tak, jak się spodziewałem. Zanim strzeliłem, zdążył się zsikać w spodnie.

Przestała mi się śnić babcia. Od jakiegoś czasu znowu zacząłem śnić o dziewczynce, ale tym razem są to pogodne sny. Widzę ją zazwyczaj, jak stoi na plaży i maluje nas ze skupionym uśmiechem na twarzy.

Ale nie widzę obrazu, który maluje. Nie zobaczyłem go też wtedy, a ludzie, którzy na nim są, już nie żyją.

Koniec rozdziału, najwyższy czas ruszyć w dalszą drogę.

20-27 sierpnia 2007 roku

32.

Dwudziestego sierpnia, czyli prawie tydzień od poprzedniego razu, inspektor Barbarotti wszedł do swojego pokoju w komendzie.

Uświadomienie sobie tego faktu zajęło mu parę sekund. Tydzień temu, w poniedziałkowy wieczór, wypchnął Perssona, reportera „Expressen”, przez drzwi, a potem został odsunięty od śledztwa na trzy dni, następnie dwa dni spędził w regionie Närke, a niedzielę w Kymlinge pod chmurą przemyśleń, rozważań i znaków zapytania.

Dwukrotnie przeczytał notatki z Mousterlin, sześćdziesiąt cztery gęsto zapisane strony, rozmawiał półtorej godziny przez telefon z inspektor Backman, prawie tyle samo z Astorem Nilssonem i około dwudziestu minut z Jonnerbladem.

Oni też przeczytali. Już około dziewiątej rano w niedzielę Smutas przyszedł do niego po maszynopis, który po skopiowaniu został natychmiast przesłany do Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego do Linköpingu. Wszyscy dostali swoje kopie: prokurator Sylvenius, Asunander, Jonnerblad, Tallin, Astor Nilsson, Smutas i Backman. No i on sam.

- Przygotowuję się na kolejną bezsenną noc - zwierzył mu się Astor Nilsson około dziesiątej wieczorem z hotelu Kymlinge. - Ale przynajmniej mam lekturę, w którą można wbić zęby. Jasna cholera.

Barbarotti też nie spał zbyt dobrze. Męczył go dziwaczny sen o kombajnach tonących w Atlantyku; on sam był członkiem ekspedycji

ratunkowej, której nie udało się wyłowić wszystkich pasażerów utrzymujących się rozpaczliwie na powierzchni wzburzonego oceanu. Szczególnie zależało mu na wyłowieniu małej dziewczynki i kiedy o wpół do siódmej rano się obudził, nie od razu dotarło do niego, że jego łódź nie jest tratwą, a szum wody, który docierał do jego uszu, był odgłosem deszczu uderzającego w dach parkingu dla rowerów na podwórku.

Rozejrzał się po pokoju. Nikt tu nie sprzątał, kiedy go nie było. Pamiętał zarówno jabłko, które jadł w poniedziałkowe popołudnie tydzień temu, jak i połowę kanapki z serem, którą wtedy zostawił, ale innych rzeczy nie poznawał. Najwyraźniej pił również kawę z czterech różnych kubków, a na parapecie stały dwie otwarte butelki napoju z czarnej porzeczki.

Ale kosz był pusty, trzeba być wdzięcznym choćby za to. Westchnął i zaczął sprzątać, a po niespełna minucie przez drzwi zajrzała inspektor Backman, informując go, że zaczyna się odprawa. Gunnar Barbarotti skinął głową, zostawił niedomknięte okno, żeby się wietrzyło, i poszedł za nią.

- Myślę, że dzisiejsza odprawa potrwa przynajmniej do lunchu - zaczął Jonnerblad. - Jakieś piętnaście po dziesiątej przyniosą nam kawę.

Barbarotti spojrzął na zegarek; w szufladzie biurka w domu znalazł stary zegarek na rękę, tak przedpotopowy, że trzeba go było nakręcać, ale jak na razie działał bez zarzutu. Aktualnie pokazywał na przykład dziewięć po dziewiątej.

Wszyscy byli bardzo skupieni. Nic dziwnego, ludzie zwykle tak wyglądają w poniedziałkowe poranki; trzeba się nastawiać na tydzień ciężkiej pracy, bo piątek wydaje się odległy o cały rok świetlny. Ale dziś dochodziło do tego coś jeszcze.

Wyglądamy jak drużyna sportowa, która trenowała przez trzy lata na jedne, jedyne zawody, pomyślał Barbarotti. A te zawody

właśnie się zaczynają. Teraz się wszystko rozstrzygnie.

Skąd mi się biorą takie idiotyczne myśli? - zastanawiał się później. Pracujemy nad tą sprawą już prawie miesiąc i nareszcie coś zaczyna się wyjaśniać. Nic dziwnego, że wszyscy są tacy skupieni i pełni oczekiwań.

- Pracujemy nad tą sprawą już prawie miesiąc - rozpoczął Jonnerblad, jakby czytając w jego myślach. - Po raz pierwszy dostajemy informację, która może wyjaśniać, o co właściwie chodzi. Dzisiejsze spotkanie może być przełomowe dla dochodzenia, musimy zatem zachować ostrość umysłów, ale chyba o tym nie musimy przypominać. Tallin.

- Przeczytałem relację mordercy dwukrotnie - zaczął Tallin. - Wiem, że wszyscy też ją przeczytali. Przynajmniej raz. Opisuje okropną historię, chyba wszyscy się ze mną zgodzą. Najwyraźniej jest przekonany, że nigdy go nie złapiemy. My musimy naturalnie zakładać, że będzie odwrotnie. Że go wyśledzimy i postawimy przed sądem. Czy są jakieś komentarze na tym etapie?

Eva Backman podniosła do góry swój długopis.

- Koniec? - oznajmiła z lekkim pytaniem w głosie. - Zanim przejdziemy dalej, chcę was spytać, jak zrozumieliście koniec tej historii.

- Ja miałem to samo pytanie - powiedział Astor Nilsson. - Pisze, że nie żyją już wszystkie osoby przedstawione na tym obrazie. Czyli on też?

- Bardzo możliwe - powiedział Jonnerblad. - Ale oczywiście nie umorzemy dochodzenia tylko dlatego, że nam się wydaje, że sprawca nie żyje. Sytuacja byłaby inna, gdybyśmy wiedzieli, że on nie żyje.

- Nie twierdziłem, że mamy umorzyć dochodzenie - zaproponował Astor Nilsson.

- Ale może być tak, że on chce, byśmy uwierzyli, że on nie żyje - wtrącił Smutas.

- Właśnie to jest strasznie dziwne - dorzucił Astor Nilsson. - Dlaczego w ogóle do nas pisze? Najpierw te wszystkie listy, a teraz ten dokument. Mógł przecież zabić tych pięcioro ludzi i zniknąć... więc dlaczego tak nie zrobił?

- Bardzo ważne pytanie - oświadczył niespodziewanie Asunander.

Tym razem, wyjątkowo, komisarz nie stał gdzieś z tyłu i nie obserwował spektaklu jak niemy i z lekka pochmurny cień, tylko siedział ze wszystkimi przy stole.

- Najwyraźniej chce nam powiedzieć, dlaczego to zrobił - stwierdziła Eva Backman. - Myślę, że bardzo mu zależy, by świat usłyszał o jego motywach.

Jonnerblad odchrząknął.

- O charakterze sprawy porozmawiamy sobie bardziej szczegółowo po południu - wyjaśnił. - Przyjedzie Lillieskog i psychiatra sądowy. Mamy do czynienia z piorunsko skomplikowanym człowiekiem, chyba wszyscy się z tym zgodzą?

Rozejrzał się po pokoju.

Skomplikowanym? - pomyślał Barbarotti. Łagodnie powiedziane.

- Dobrze pisze - powiedział Astor Nilsson. - Można powiedzieć, że ma talent literacki.

- To prawda - potwierdziła Eva Backman. - Też o tym pomyślałam. Ale abstrahując od tego, że przekazuje nam tylko to, co chce, żebyśmy wiedzieli, to cała historia jest makabryczna. Siebie też wcale nie stawia w lepszym świetle.

- Moim zdaniem siebie w ogóle nie stawia w świetle - skomentował Astor Nilsson. - Nie mogę go rozgryźć.

- Bo chyba nie chodzi mu o to, żebyś mógł go rozgryźć - odpowiedziała Backman.

- Jesteś pewna? - spytał Nilsson.

- Wszystko wskazuje na to, że spisywał historię w trakcie wydarzeń - stwierdził Tallin po chwili ciszy. - Z wyjątkiem tych komentarzy.

Mam nadzieję, że uda się zweryfikować większość danych jeszcze dziś. Fakt, że Malmgrenowie mieszkali w tej miejscowości, ustaliliśmy już wcześniej.

- Ale przecież musiał to przepisać na czysto - podkreślił Barbarotti. - Twierdzi, że spisał wszystko ręcznie w roku 2002. Później musiał to przepisać na komputerze.

- Jasne - powiedział Jonnerblad. - Ale nie bardzo rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Pewnie żadne - mruknął Barbarotti. - Ciekawe tylko, kiedy to zrobił. Czy pięć lat temu, czy też tuż przed tym, jak zaczął ich zabijać?

- Mhmm... - mruknął Jonnerblad i przekartkował plik papierów. - Pojawia się rzeczywiście mnóstwo pytań. Jak zauważyliście, nagrywamy przebieg tej odprawy, nie chcemy bowiem przegapić żadnego, nawet najdrobniejszego pytania, jakie może się pojawić. - Wskazał na zminiaturyzowany magnetofon, który stał na środku stołu. - Jeszcze coś?

- Czy nawiązaliśmy kontakt z francuską policją? - zapytała Backman.

- Pierwszą rozmowę zaplanowaliśmy na jutrzejsze popołudnie - odpowiedział Tallin. - Co powiecie o informacjach o samym sobie, które przedstawia w tych notatkach? Niewiele się można dowiedzieć, prawda?

- Właśnie o to mi chodziło - oznajmił Barbarotti. - W ogóle o sobie nie opowiada. Mam wrażenie, że wyretuszował wszystkie szczegóły ze swoich pierwotnych, ręcznie pisanych notatek.

- To niewykłuczone - zgodził się Astor Nilsson. - Kilka razy wspomina o doktorze L. Myślicie, że można go jakoś znaleźć?

- Chyba nie chodzi o to, żebyśmy mieli go znaleźć - odpowiedziała Eva Backman. - Myślę, że ukrycie wszystkiego albo prawie wszystkiego na swój temat świadczy o tym, że nie popełnił samobójstwa. Gdyby już nie żył, nie miałyby to znaczenia.

- Może zależy mu, żeby nawet wówczas te informacje nie ujrzały światła dziennego - zastanowił się Smutas. -Znaczy po jego śmierci.

- Ale przecież wszystko nam mówi - podkreśliła Backman. - Chce ukryć swoją tożsamość, ale sądzę, że nie wstydzi się tego, co zrobił. Ani nie żałuje. Przeciwnie, przyjmuje pełną odpowiedzialność za wszystko.

- Z wyjątkiem dziewczynki - wtrącił Smutas.

- Tak, ale w tym wypadku rzeczywiście jest niewinny - zauważyła Backman. - Jednak musi zabić tych ludzi po tym, co zdarzyło się w Bretanii pięć lat wcześniej, i chce mieć szansę wyjaśnienia, dlaczego to robi. Dlatego pisze. Może to jest istota sprawy?

- Cenne uwagi - skomentował Jonnerblad. - Przedstawimy je naszej ekspertce psychiatrii sądowej dziś po południu. Backman, wzięłaś ze sobą ten grafik, o który cię prosiłem?

Eva Backman skinęła głową i wyjęła kartkę papieru.

- Mamy tutaj jego poczynania w teraźniejszości - wyjaśniła. - Już wcześniej zauważyliśmy, że listy do Barbarottiego nie są najlepiej zsynchronizowane, a rola tego Hansa Anderssona jest nadal niewyjaśniona. Mam to omówić?

- Tak, prosimy - odpowiedział Jonnerblad.

Eva Backman odchrząknęła.

- Seria morderstw zaczyna się od Erika Bergmana trzydziestego pierwszego lipca, następnie mamy Annę Eriksson, trochę później tego samego dnia. Potem mamy Gunnara Öhrnberga, w tym wypadku nie mamy pewności co do daty, ale można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że było to siódmego sierpnia, no i wreszcie Henrika i Katarinę Malmgrenów w nocy z dwunastego na trzynastego sierpnia. Jeśli porównamy to z terminami otrzymywania przez Barbarottiego listów, to należy stwierdzić, że słynny list o „Gunnarze-w-objęciach-śmierci” przychodzi w środę, na stemplu pocztowym z Göteborga mamy datę trzynastego sierpnia, czyli poniedziałek, co

oznacza, że list powinien być dotrzeć do Kymlinge we wtorek, ale winę za opóźnienie ponosi poczta.

Wypiła łyk wody i kontynuowała swój raport.

- Później mamy list z Kairu, czyli ten ostatni. Został wysłany z lotniska w Kairze we wtorek czternastego sierpnia, co oznacza... poprawcie mnie, jeśli się mylę... że nasz sprawca albo wrócił do Szwecji po zabiciu Malmgrenów na promie, albo wrzucił list o „Gunnarze-w-objęciach-śmierci”, zanim wsiadł na prom. Osobiście skłaniam się ku tej ostatniej wersji, szczególnie że we wtorek był już w Kairze. Wszystko jasne?

- Wydaje się, że tak - odpowiedział Astor Nilsson. - Jeśli poleciał bezpośrednio z Kastrup do Kairu w poniedziałek, to powinniśmy go znaleźć na listach pasażerów. Ile dziennie może latać bezpośrednich samolotów w tamtą stronę?

- Założę się, że nie poleciał bezpośrednio do Kairu - oświadczyła Eva Backman. - Poleciał do Londynu albo Paryża czy Frankfurtu i stamtąd kupił bilet dalej.

- Paszport? - spytał Smutas. - Musiał okazywać paszport. Albo jakiś dokument tożsamości?

- Teraz to już w ogóle nie jest potrzebne - odpowiedział Tallin.
- Do Kairu pewnie tak, ale nie w ramach Unii Europejskiej.

Jonnerblad pokręcił głową.

- Jeśli rozmyślał nad tą historią przez pięć lat, to zdążył sobie załatwić fałszywy paszport. Wiemy przecież, że bez problemu załatwił sobie broń.

- Nie pięć lat - poprawił go Barbarotti. - Pamiętasz, co pisze w przedostatnim komentarzu, że chciał od nich wyciągnąć pieniądze... Wydaje mi się, że było to pół roku temu, przynajmniej ja tak rozumiałem. Nie macie wrażenia, że dopiero potem się zdecydował?

- Bardzo prawdopodobne - powiedział Jonnerblad. - Ale i tak miał dużo czasu.

- Wystarczająco dużo - potwierdził Barbarotti. - Mam pytanie z innej beczki. Co robimy ze zdjęciami i gazetami?

Jonnerblad wyprostował plecy i schował długopis do kieszeni na piersi.

- Rozmawialiśmy o tym z Tallinem - odparł. - I uznaliśmy, że to nic nie zmienia. Tego samego zdania jest prokurator. Chcemy przekazać zdjęcie jego twarzy dziś po południu. Wszyscy wiemy, co to oznacza, ale moim zdaniem jest to najszybszy sposób na jego identyfikację.

- Bardzo ważne jest to - wtrącił Tallin - że te zdjęcia są jedyną poszlaką, której nie dostaliśmy za pośrednictwem mordercy.

- Bardzo ważna kwestia - powtórzył Asunander i tym razem zupełnie niespodziewanie, więc przy stole zapanowała na chwilę cisza.

Przez głowę Barbarottiego przemknęła myśl, która wydawała się jednocześnie znajoma i nieznaną, ale której nie zdążył schwytać, bo odleciała tak szybko jak nietoperz. Było to jednak coś istotnego.

- Tak, cholera jasna - mruknął Astor Nilsson. - Szkoda tylko tych pięciuset biedaków, którzy są do niego podobni, ale pewnie macie rację, że trzeba to zdjęcie upublicznić. Jeśli będziemy mieli szczęście, to ustalimy jego tożsamość w ciągu tygodnia.

- Dobrze by było wiedzieć, jak się nazywa - zauważyła Eva Backman. - Nawet gdyby jego samego nigdy nie udało się znaleźć.

- Skoro można wyśledzić starych nazistów po pięćdziesięciu latach, to może da się znaleźć pięciokrotnego mordercę po miesiącu od zbrodni - zastanawiał się Astor Nilsson.

- Sześciokrotnego - powiedział Smutas. - Zapomniałeś o jednej.

- Przepraszam - powiedział Astor Nilsson. - Rzeczywiście, szwedzka stał ukąsiła przecież jeszcze jakąś francuską staruszkę.

- Ale życie dziewczynki nie obciąża jego sumienia - stwierdziła Eva Backman.

- Przynajmniej nie w taki sposób - zgodził się Tallin. - Tak czy inaczej, historia budzi grozę.

Znowu zapadła cisza. Jonnerblad grzebał w swoich papierach, a Asunander wstał i otworzył okno.

- Gorąco - wyjaśnił.

- Ciekawe, czy ich przesłuchiowano? - zastanawiała się Eva Backman.

- Kto? - zapytał Jonnerblad. - O kim mówisz?

- Nasze ofiary Tam, we Francji, po jego wyjeździe. Czy policja odkryła, że dziewczynka pojechała z nimi, czy nie... Jeśli tak, to musieli ich przesłuchiwać.

- Tego powinniśmy się dowiedzieć po południu - zauważył Tallin. - W każdym razie całkiem niedługo. Rzeczywiście to ciekawe, czy udało im się uniknąć kontaktu z policją. Jeśli tak, to mieli szczęście.

- Przecież byli niewinni - podkreślił Astor Nilsson. - Nie możemy o tym zapominać.

- Niewinni? - zdziwiła się Eva Backman.

- Przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo - doprecyzował Astor Nilsson. - Można oczywiście dyskutować na temat moralnego ciężaru długów.

- Był na tyle duży, że stracili życie - zauważył Barbarotti. - Cała piątka.

- W oczach mordercy, tak - zgodził się Tallin. - Mam nadzieję, że nikt przy tym stole tak nie myśli. I nie bierze jego wyznania za dobrą monetę. Chyba się ze mną zgodzicie, że nie mamy tu do czynienia z umysłem normalnego człowieka?

Postukał długopisem w notatki z Mousterlin, które leżały przed nim na stole.

- Tak - powiedziała Eva Backman. - Wyobrażałam sobie, że to musi być coś paskudnego, ale to tutaj... jest na swój sposób jeszcze gorsze. I takie... smutne.

Barbarotti rzucił mimowolnie spojrzenie Smutasowi i przypomniał sobie nagle, że to właśnie on pierwszy odkrył maleńki ślad prowadzący do Francji. Niebieski kolor kosza na śmieci.

Wydaje się, jakby to było już sto lat temu. A w gruncie rzeczy minęły niespełna dwa tygodnie.

- Jaki jest plan? - zapytał. - Wyślemy tam kogoś?
- To niewykłuczone - oświadczył Jonnerblad. - Raczej bardzo możliwe.

Druga część odprawy upłynęła pod znakiem pytań bez odpowiedzi, a w porze lunchu Barbarotti wspólnie z Backman czmychnęli do Kungsg Grillen. Uznał, że po tych wszystkich kielbaskach i rozpaćkanym piure ziemniaczanym przyda mu się tradycyjne domowe jedzenie.

- Dlaczego powiedziałas „smutne”? - zapytał, gdy usiedli przy stole nad talerzami z daniem dnia: szczupakiem z chrzanem, z gotowanymi ziemniakami i roztopionym masłem.

- Ty tak nie myślisz? - zapytała zdziwiona. - Że to smutne?
- Tak, chyba tak - odparł Barbarotti. - Przynajmniej gdy chodzi o tę dziewczynkę i jej babcię.
- Dla mnie historia sprawcy też jest na swój sposób smutna - oznajmiła Backman. - Wszystko jest takie...

Zawahała się.

- Jakie?
- Takie przeraźliwie przypadkowe. To nie musiało się wydarzyć. Wypuścił rękę młodej dziewczynki, czego konsekwencją jest śmierć siedmiorga ludzi.

Barbarotti zastanawiał się.

- Ośmiorga, jeśli popełnił samobójstwo.
- Myślisz, że targnął się na własne życie?
- Nie. Z jakiejś przyczyny w to nie wierzę. Nie pytaj dlaczego.
- Okej. Ja też nie wierzę, że on nie żyje. Ale kim on jest?
- Dobre pytanie - powiedział Barbarotti.
- Kim jest z zawodu? Jak spędził ostatnie pięć lat... od chwili gdy siedział w kawiarni przy drodze? I gdzie?
- Co robił wcześniej? - dorzucił Barbarotti.

- To też. Wędruje i pisze, opowiada o doktorze L. Przyglądałam się mu na zdjęciu w restauracji; to chyba pierwszy wspólny dzień, o którym pisze w notatkach? Zaraz po tym, jak się spotkali w... jak się nazywało to miejsce?

- Bénodet - powiedział Barbarotti. - Stary port w Bénodet.
- Właśnie. Wygląda tak... tak przeciętnie.

Barbarotti skinął głową.

- Zgadza się. Ale jednak napisał, że nigdy nie pokazuje, co myśli. Śmieje się i uśmiecha, śmieje się i uśmiecha, wydaje mi się, że to z Hamleta... co oznacza, że jest erudyta, nie uważasz?

- Tak - potwierdziła Eva Backman, patrząc przez chwilę intensywnie przed siebie, jakby właśnie była na tropie nowego wątku. Przypuszczalnie nie udało jej się go złapać, bo potrząsnęła głową i odłożyła sztucce. - Tak, też miałam takie wrażenie. Astor Nilsson ma rację, te notatki ocierają się o literaturę. Ciekawe, skąd pochodzi? Czy rzeczywiście był w psychiatryku? Łapie okazje na autostradzie pod Lille i...

- I nagle spędza dwa tygodnie w tym miejscu w Bretanii - uzupełnił Barbarotti. - A potem znowu znika.

- Na południu.
- Właśnie, na południu.

Znowu zapadła cisza. Barbarotti pomyślał, że powinien być ze sobą zabrać kartkę z pytaniami, które zapisywał podczas drugiego czytania tekstu o historii z Moustierlin. Żeby uporządkować swoje myśli; miał nieodparte wrażenie, że ciągle, raz po raz, powtarzał te same pytania i te same zdziwione stwierdzenia.

Ale zostawił kartkę na stole w mieszkaniu.

- Jego żona? - ponowiła dywagację Backman. - Co myślisz o żonie? Pisze, że umarła kilka lat wcześniej. Ona i doktor L, to jedyne osoby z przeszłości, o których pisze.

- Zgadza się - odpowiedział Barbarotti. - W zasadzie nic nie wiemy o jego dniu dzisiejszym, ale jeśli go złapiemy... to wydusimy

z niego wszystko. Dowiemy się, jak miała na nazwisko jego pierwsza wychowawczyni w podstawówce i jaki numer buta nosił jego kaleki kuzyn w Bengtsfors. I wszyscy będą udzielać wywiadów w „Expressen”.

Eva Backman znowu się roześmiała.

- Tak, chyba tak. Obraz mordercy to coś...

- Tak?

- Coś, co najbardziej pobudza wyobraźnię. Tak było przez setki lat, co ja mówię, przez tysiąclecia. I teraz jest tak samo. Kobiety będą się w nim kochały, tak jak zakochiwały się w Clarku Olofssonie i Hannibalu Lecterze... Można by zapytać, dlaczego.

- Pewnie dlatego zostałam policjantką? Żeby móc spotykać takie ciemne typy, żeby w sposób naturalny zaspokoić swoje mroczne popędy?

- O nie, na pewno nie dlatego - oznajmiła trzeźwo Eva Backman. - Teraz zaczął pan gonić w piętce, panie policjancie. A tak z innej beczki, nie jesteś jakoś umówiony z Olltman?

- Wydaje mi się, że uznała mnie za zdrowego - mruknął Barbarotti. - Ale jeszcze to sprawdzę.

- Koniecznie - powiedziała Eva Backman. - No cóż, chyba nadszedł czas na drugą połowę meczu?

- Tak, chyba tak - odparł Barbarotti.

33.

Psychiatrą sądowym okazała się czterdziestopięcioletnia kobieta nazwiskiem Klasson. Powiedziała, że od lat z powodzeniem współpracowali z Lillieskogiem, ale w tym przypadku żadne z nich nie będzie mogło służyć istotną pomocą.

Oczywiście przeczytała dokumentację, szczególnie notatki z Mousterlin, i na tej podstawie starała się dokonać ostrożnej analizy

człowieka, którego ścigali.

Pierwsza sprawa, nad którą warto się zatrzymać, to zaburzenia empatii. Świadczy o tym sposób, w jaki wypowiada się o ludziach, których później zabił. Również dzisiejsze komentarze pokazują, że ma trudności w rozumieniu uczuć innych ludzi. A metoda zabicia babci dziewczynki wskazuje u sprawcy na wyraźny brak uczuć. Nie wyrażał żadnego żalu, żadnej skruchy z powodu tego czynu; widział go wyłącznie jako „logiczną konsekwencję” - zacytowała Klasson.

- Ale wobec dziewczynki wykazuje pewne uczucia - wtrąciła Backman.

- Prawda - potwierdziła Klasson. - Są to nadzwyczaj silne uczucia, ale ciekawe jest przy tym to, w jaki sposób o nich mówi. Mówi, o ile dobrze pamiętam, że ona „wgryza się w niego”. Jest to proces, którego on zdaje się nie rozumieć, jest poza jego kontrolą, jest obcy tak samo, jak obce są mu wszystkie inne uczucia. Nie ma z nimi żadnego kontaktu.

- Właśnie te uczucia do dziewczynki stanowią iskrę wznecającą pożar - sufluje Lillieskog. - Po pewnym czasie. Można by się pokusić o stwierdzenie, że jego życie uczuciowe jest źle zbalansowane.

- To dość powszechne zaburzenie - kontynuowała Klasson. - Nadmierne reakcje i zbyt słabe reakcje. Chcę jednak podkreślić, że w tym przypadku mamy bardzo mało materiału do analizy. Ta relacja, którą nam przekazał, jest świetnie napisana, można wręcz powiedzieć, że wykazał się żyłką pisarską. Co oczywiście oznacza, że przedstawia nam taki obraz samego siebie, jaki chce, żebyśmy widzieli. Nawet jeśli nigdy nie idealizuje swojej roli. Mam wrażenie, że pisze w jakimś ucziwym zamiarze. Chce opowiedzieć tę historię i wyjaśnić, dlaczego - w swoich własnych oczach - musiał zabić tę piątkę ludzi.

- Dlaczego zostaje z nimi, skoro ich tak nie lubi? - spytał Smutas. - Tego nie mogę zrozumieć.

- No właśnie, kto to wie - odparła Klasson. - Wydaje się, że poczucie wyobcowania jest mu dobrze znane; pisze o tym na samym początku. Już w pierwszym zdaniu. Mamy z pewnością do czynienia z bardzo samotnym człowiekiem, tego jestem prawie pewna.

- Czy na podstawie tej opowieści nie da się postawić diagnozy psychiatrycznej? - zapytał Tallin.

- Nie - odpowiedziała Klasson. - Oczywiście można spekulować w jedną bądź w drugą stronę. Z dużym prawdopodobieństwem miał kontakty z leczeniem psychiatrycznym, może nawet był na leczeniu szpitalnym. Ale nie wiemy, co napisano w jego karcie choroby.

- Ma pani większe doświadczenie w stawianiu diagnozy ludziom, z którymi może się pani spotkać twarzą w twarz, prawda? - spytał Astor Nilsson.

- Bez wątplenia - odpowiedziała Klasson i zdobyła się na przelotny uśmiech. - Profilowanie kryminalne to działka Lillieskoga, ale często współpracujemy.

Lillieskog przytaknął.

- Po zdjęciu z człowieka maski trzeba zawsze rewidować profil - zauważył. - Można się wtedy czegoś nowego nauczyć. Kiedy czytałem te notatki, zdziwiła mnie jedna rzecz: informacje o jego żonie. Wymienia ją dwa razy, ale bardzo skrótowo. Dowiadujemy się, że ona nie żyje. Z tego, co pisze, wynikałoby, że umarła pięć lat przed tymi tygodniami w Bretanii. Jak umarła? Czy tutaj kryje się jakaś trauma? Był wtedy jeszcze dość młody, co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Może to był wypadek, a może kryje się za tym coś jeszcze gorszego.

- Jeszcze gorszego? - powtórzył Astor Nilsson.

- Tak - powiedziała Eva Backman. - Ja też czułam pewien niepokój, gdy przeczytałam, jak wspomina o żonie. Może wtedy wszystko się zaczęło?

- Bardzo możliwe - powiedziała Klasson. - Ale na tym etapie nic o tym nie wiemy.

- W zasadzie w ogóle niewiele wiemy - westchnął ciężko Astor Nilsson. - Mimo że wyposażył nas w sześćdziesięcioczworostronicowe sprawozdanie.

- Zgadza się - odpowiedziała Klasson. - Kiedy już go znajdziecie, chętnie zatrzymam go na oddziale przez parę tygodni, ale teraz naprawdę nie wiem, co mogłabym o nim powiedzieć. Podejrzewam, że dla mnie jest taką samą zagadką, jak dla was.

Odprawa trwała jeszcze nieco ponad pół godziny, ale Gunnar Barbarotti uznał, że nie dowiedział się niczego nowego. Niczego, co już wcześniej nie zostało powiedziane, w taki czy inny sposób. Charakter sprawcy opisywały najlepiej słowa Klasson.

Zagadka.

Późnym popołudniem wysłano dwa maile do francuskiej policji. Najpierw krótki po francusku - okazało się, że Tallin nieźle sobie radzi - a potem trochę dłuższy po angielsku. Jednocześnie Barbarotti i Backman przygotowali sześciostronicowe streszczenie sprawy po angielsku, łącznie z podstawowymi informacjami dotyczącymi notatek z Mousterlin; o wpół do piątej wysłano go mailem do Centralnego Biura Śledczego do korekty językowej, a o piątej zaczęła się konferencja prasowa, na której przekazano prasie zdjęcie Tego Szóstego.

Gunnar Barbarotti nie uczestniczył w konferencji, ale wiedział, że prowadzący będą podkreślać, iż nie jest to list gończy za mordercą. Chodzi tylko o to, że policji bardzo zależy na nawiązaniu kontaktu z mężczyzną ze zdjęcia, którego twarz zakreślono kółkiem.

Zrobiono je latem 2002 roku w Bretanii we Francji, a policja jest zdania, że osoba ze zdjęcia posiada pewne informacje, które mają kluczowe znaczenie dla dochodzenia w sprawie pięciu morderstw, które miały miejsce w ostatnim miesiącu w kilku miejscach w Szwecji, dla których jednak Kymlinge było swoistym punktem centralnym.

Tak to miało być przedstawione, natomiast jak reporterzy, czytelnicy, słuchacze i widzowie zinterpretują te słowa, to już zupełnie inna sprawa.

Pobożne życzenie, pomyślał Gunnar Barbarotti, wyciągając swojego crescenta ze stojaka na rowery i ruszając w kierunku domu.

On sam nie żywił żadnych iluzji i bez trudu potrafił sobie wyobrazić jutrzejsze tytuły w gazetach. „MORDERCA?” i zdjęcie Gunnara Öhrnberga, Henrika Malmgrena i Tego Szóstego przy stole w restauracji. Dwaj pierwsi zamordowani; może przez tego trzeciego, którego twarz została zaznaczona wyraźnym kółkiem.

To nie gloria. Przeciwnie.

Gunnar Barbarotti postanowił zadzwonić do Marianne i Sary, gdy tylko dotrze do domu. Musi przestać o tym myśleć. Wyrzucić to po prostu z głowy, inaczej zwariuje.

Zanim jednak zaczął je po kolei obdzwaniać, odebrał telefon od trzeciej kobiety swojego życia.

Heleny. Byłej żony. Dopiero po ułamku sekundy przypomniał sobie, że ona w ogóle istnieje. To chyba dziwne.

- Cześć - powiedział. - Miło, że dzwonisz.
- Mam nadzieję, że naprawdę tak myślisz - odparła. - Bo muszę z tobą poważnie porozmawiać. O ile masz trochę czasu.
- Mam trochę czasu - zapewnił i usiadł na kanapie.

Przypomniał sobie ich rozmowę sprzed tygodnia, po incydencie z Goranem Perssonem, i pomyślał, że znowu chodzi o tamtą sprawę.

Ale nie.

- Ulrich dostał wspaniałą propozycję.

Aha? - pomyślał. Kim, u diabła, jest Ulrich?

Ale nie powiedział tego głośno i chyba dobrze, bo Ulrich był nowym mężem Heleny, aktualnym przyszywanym ojcem jego synów. Kiedy się nad tym zastanowił, wiedział dokładnie, że tamten miał właśnie tak na imię - a nie Torben, jak mu się przez chwilę wydawało - tyle że udało mu się ten fakt ukryć w zakamarkach pamięci.

- Chcą, żeby poprowadził nowe centrum jogi w Budapeszcie. Dostanie kontrakt na dwa lata i mieszkanie w centrum miasta. To świetna propozycja, drugiej takiej nie dostaniemy i musimy podjąć decyzję w ciągu tygodnia.

O czym ona mówi? - pomyślał.

- Dlaczego to takie świetne? - zapytał.

- Oczywiście dlatego, że Ulrich zna węgierski.

- Jakim cudem zna węgierski?

- Bo jest Węgrem, głuptasie.

- Nigdy o tym nie mówiłaś.

- Oczywiście, że mówiłam.

- Byłem pewien, że jest Duńczykiem. Jakim cudem Węgier może mieć na imię Ulrich?

- Jego matka jest Dunką. Ale urodził się w Debreczynie i mieszkał tam do dziesiątego roku życia.

- Okej - powiedział Barbarotti. - Wierzę ci. Ale jaki ja mam z tym związek?

Poczuł, że zaczyna się wkurzać, i wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Chodzi oczywiście o chłopców.

- O chłopców?

- Tak. Przedyskutowaliśmy wszystkie możliwe opcje i uznaliśmy, że ciągnięcie ich z nami do Budapesztu byłoby bardzo niepraktyczne. Strasznie mnie to boli, wierz mi, ale mieszkanie jest bardzo małe, tylko dwa pokoje i kuchnia. Chociaż widok z okna na Dunaj jest przepiękny.

- Więc chodzi ci o to...?

- Tak. Wydaje mi się, że Larsowi i Martinowi lepiej będzie, jak przez najbliższe dwa lata zamieszkają z tobą. Pod warunkiem, oczywiście, że się zgodzisz. Teraz, gdy wyprowadziła się Sara, to myślę, że dla wszystkich stron mogłoby to być dobre.

Dla wszystkich stron? - pomyślał Gunnar Barbarotti. Wiem, którą stronę ty reprezentujesz.

Ale wziął dwa głębokie oddechy i zastanowił się. Dojrzałość emocjonalna, która zaczęła go dotykać w ostatnim czasie, wydawała się umacniać pozycję. W każdej sytuacji życiowej niewzruszony jak skała.

- Rozumiem - powiedział. - A co oni na to?

- Jeszcze im o tym nie mówiliśmy. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że przedyskutowaliście wszystkie możliwe opcje?

- Ulrich i ja przedyskutowaliśmy wszystko, ale nie dzieci.

- *All right* - powiedział Gunnar Barbarotti. - Porozmawiaj wieczorem z Larsem i Martinem i poproś, żeby do mnie zadzwonili. Możliwe, że niedługo się ożenię, ale to chyba im nie będzie przeszkadzać?

Nastąpiła cisza, jakby linia się zerwała.

- Halo?

- Jestem, jestem. Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Chciałem najpierw przedyskutować to z przyszlą żoną.

Taki sarkazm był zupełnie nie na miejscu, więc ugryzł się w język.

- Okej. Jeśli chcesz rozmawiać tym tonem, to nie ma sprawy. Ale porozmawiam z chłopcami. O tym również. Czy ona ma jakieś imię?

- Marianne.

- Marianne? Tak miała na imię ta dziewczyna, z którą zerwałeś, gdy się poznaliśmy. Ale to chyba nie ona?

- Nie - powiedział Gunnar Barbarotti. - To nie ona.

- To dobrze. W takim razie zadzwonimy jeszcze raz, może nawet dziś wieczorem.

- Powiedz chłopcom, że będę się bardzo cieszył, gdy zamieszkają ze mną.

Helena obiecała, że im to przekaze, i rozmowa się skończyła.

Nie nie powiedziałem o możliwej przewodniczce do Helsingborga, pomyślał Barbarotti i wyszedł do kuchni, żeby nastawić wodę na makaron.

Ale przecież Helsingborg nie leży na Węgrzech.

Kiedy skończył jeść i zasiadł w fotelu, żeby wybrać numer do Sary, zadzwonił Tallin.

- Dobry wieczór - zaczął. - Tallin z tej strony. Przepraszam, że przeszkadzam.

- Nie ma sprawy - powiedział Barbarotti. - Jak tam konferencja?

- Dobrze - odpowiedział Tallin. - Dostali swoją kość i po półgodzinie było po wszystkim. Jak wygląda twój francuski?

- Jak mam dobry dzień, to potrafię policzyć do dwudziestu - odparł Barbarotti. - Dlaczego pytasz?

- Dlatego że jutro przed południem lecimy obaj do Francji. Zabierzemy jeszcze na wszelki wypadek kogoś, kto mówi biegle po francusku. Panią inspektor z Göteborga.

- Rozmawialiście z tamtejszą policją?

- Tylko mailowaliśmy. Ale odpowiedź była pozytywna. Pojedziemy do Quimper i spotkamy się z *commissaire*, który nazywa się Leblanc.

- Ach tak? - powiedział Barbarotti. - Dlaczego... dlaczego Jonnerblad nie jedzie?

- Dlatego że jego żona ma raka i będzie miała w środę operację. Jutro wieczorem jedzie do Sztokholmu.

- Ojoj. Nie wiedziałem...

- Ja też nie. Powiedział o tym dopiero dziś rano. No cóż, trzeba trzymać kciuki, żeby operacja się udała.

- Tak - zgodził się Barbarotti, myśląc o tym, jak niewiele wiedział o przyjeźdnych kolegach. W zasadzie nie wiedział nic o ich rodzinach, hobby i spędzaniu czasu wolnego. Ani jakiej drużynie piłkarskiej kibicowali.

Prawie jak z mordercą, pomyślał.

- Zakładamy, że to będą trzy dni - powiedział Tallin. - Wracamy w piątek. Może być?

- W piątek wieczorem mam bardzo ważną sprawę - oznajmił Barbarotti.

- Nie ma problemu - skwitował Tallin. - Na pewno wrócimy do tego czasu. Jutro za dziesięć jedenasta mamy samolot z Landvetter. Piętnaście po ósmej przyjedzie po ciebie samochód. Plan wyjazdu i wszystkie inne sprawy praktyczne omówimy po drodze. Umowa stoi?

- Tak, jasne - odpowiedział Barbarotti.

Po rozmowie z Tallinem stwierdził, że nie czuje się na siłach, żeby rozmawiać z Sarą czy Marianne. Nastawił sobie płytę z muzyką fado, zrobił kubek herbaty i rozpoczął trzecie czytanie notatek z Mousterlin. Postanowił przygotować się jak najlepiej. Będzie przecież wędrował śladami mordercy.

Również tym razem odłożył tekst dopiero po przeczytaniu całości, więc do łóżka poszedł po dwunastej. Kiedy zgasił lampę, przypomniał sobie, że nie było telefonu od Larsa i Martina.

Ta myśl nie dawała mu zasnąć jeszcze przez co najmniej godzinę.

34.

Na lotnisku Landvetter zobaczył pierwsze tablice z nagłówkami gazet, których treść zgadzała się dość dobrze z jego przewidywaniami.

Jednak nigdzie nie użyto słowa „morderca”. Było za to „Ścigany”, „Poszukiwany” i „Kim jesteś?”.

Zawsze coś, pomyślał Barbarotti. Może Jonnerbladowi i Tallinowi udało się posmarować wczorajsze informacje balsamem opamiętania.

Albo po prostu kłamali jak z nut.

- Jak dobrze wyjechać stąd właśnie dziś - skomentował Tallin.

- O, idzie nasza Francuzka.

Carina Morelius nie wyglądała na Francuzkę. Barbarotti podświadomie przygotował się na delikatnej budowy, choć silną, niewysoką kobietę o krótkich, czarnych włosach i uduchowionym spojrzeniu; inspektor Morelius przypominała jednak bardziej norweskie królowe nart. Albo przynajmniej była norweską królową nart; wyglądała na czterdzieści lat, była wysoka, jasnowłosa i dobrze zbudowana.

- Cieszę się, że znalazłaś czas - powiedział Tallin po zakończeniu prezentacji. - Podobno nasz francuski komisarz mówi po angielsku, ale nigdy nie wiadomo.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Carina Morelius.

- Zasadniczo nigdy nie odmawiam wyjazdu do Francji. A więc ty jesteś tym słynnym Barbarottim?

Udało jej się to powiedzieć bez ironii czy podtekstów, a on przyjął to bez zbędnych konwenansów.

- *Oui*. Ten sam, który krótko rozprawia się z aroganckimi reporterami i stał się twarzą policyjnej przemocy.

Roześmiała się.

- Myślę, że można spotkać różne charaktery. Wśród policjantów i dziennikarzy też. - Później spoważniała. - Ale przyznam, że ta wasza historia jest straszna. Oczywiście wiem tylko tyle, ile podaje telewizja i prasa, ale mam nadzieję, że mnie trochę doinformujecie po drodze.

- Tego możesz być pewna - zapewnił Tallin, spoglądając na zegarek. - Za sześć godzin lądujemy w Quimper, więc mamy sporo czasu na rozmowy. Mamy też ze sobą materiały pisemne, w tym sześćdziesiąt cztery strony gęsto zapisanych notatek.

- Już się cieszę - powiedziała Morelius, a Barbarotti tym razem również nie zauważył ironii.

Na lotnisku w Quimper padał deszcz.

Czekała na nich młoda umundurowana policjantka trzymająca w rękę kartkę, na której napisane było Talain, a inspektor Morelius natychmiast zaczęła z nią konwersować po francusku, który brzmiał, jakby była rodowitą Francuzką. Przynajmniej dla Barbarottiego. No, ale przecież mieszkała przez pięć i pół roku w Lyonie, była żoną francuskiego kolarza zawodowego, którego później zostawiła dla masażysty z Partille. O tym i wielu innych rzeczach opowiedziała w samolocie z Göteborga do Paryża - siedzieli wtedy obok siebie; z lotniska Charles de Gaulle do Quimper samolot był pełny, a miejsca nienumerowane, więc siedzieli oddzielnie.

Większa część lotu zeszła im oczywiście na rozmowie o sprawie i analizowaniu materiałów, tak jak przewidywał komisarz Tallin.

Który starał się konwersować trochę z młodą policjantką, wiozącą ich do miasta; pokazał już przecież, że i on opanował nieco ten język. Barbarotti natomiast siedział cicho na tylnym siedzeniu i wpatrywał się w deszcz za oknami samochodu.

Co ja tutaj robię? - zastanawiał się. O czym oni mówią? Przez najbliższe trzy dni będę grał rolę tępego kuzyna ze wsi.

Ale *commissaire* Leblanc naprawdę znał angielski. Mówił wprawdzie z wyraźnym francuskim akcentem, ale zasób słów był bez zarzutu. Był niski i łysy, nosił okrągłe, bezramkowe okulary i przypominał Barbarottiemu pewnego aktora, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Przywitał ich długą tyradą, poczęstował kawą i zapewnił, że wydział policji kryminalnej prefektury w Quimper, którego był szefem, zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc szwedzkim kolegom w dochodzeniu.

Ale potrzebował trochę więcej szczegółów sprawy. Przeczytał oba fakсы, jak również raport napisany przez Barbarottiego i Backman, ale chciałby poznać trochę więcej konkretów. *More meat on the bones, jes?*

Tallin i Barbarotti wspólnie przedstawiali te szczegóły - prosząc niekiedy Morelius o tłumaczenie - ponad pół godziny; kiedy skończyli, Leblanc zdjął okulary, zaczął je przecierać zieloną szmatką, którą wyjął z szuflady biurka, i powiedział, że czuje się zbity z tropu.

- *Dérouté. Betwixted, jes?*

- Zbity z tropu - przetłumaczyła Carina Morelius. - Mówi, że jest zbity z tropu.

- Dlaczego? - zapytał Tallin.

- Dlatego - zaczął Leblanc i sprawdził jakość zabiegów czyszczących, spoglądając przez szkła w kierunku świetlówki na suficie - dlatego że nie pamiętam przypadku zaginięcia dwóch osób latem 2002 roku.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza. Komisarz Tallin podniósł prawą dłoń, a potem ją opuścił.

- Musiał być taki przypadek - oświadczył Barbarotti.

Leblanc rozłożył ręce w sposób charakterystyczny dla Francuzów.

- Rozumiem wasz punkt widzenia - stwierdził. - Ale sprawdziłem informacje w naszym archiwum i nie znalazłem tam takiego zgłoszenia.

- Nie ma zaginionej dziewczynki i jej zaginionej babci?

- Nie.

- Dziwne - powiedział Tallin.

- A może i niedziwne - zauważył Barbarotti.

- Tamtego lata mieliśmy przypadek zaginięcia pary turystów z Holandii, to pamiętam - kontynuował Leblanc. - Chłopak i dziewczyna, którzy jednak później się znaleźli w okolicy Perpignan. Wydaje mi się, że miało to jakiś związek z narkotykami.

- Chyba jednak nie jest możliwe, by dwie osoby zniknęły i nikt tego nie zgłosił? - spytał Tallin.

- Niestety, nie tak niemożliwe, jakby się wydawało - odpowiedział Leblanc z żalem w głosie i założył okulary na nos. - Może

zgłoszenie poszło do jakiejś innej jednostki policji. Aha, mam pytanie, czy uważacie, że babcia tej dziewczynki miała dom gdzieś w pobliżu Moustierlin?

- Oczywiście - odpowiedział Tallin.

- Nie mamy pewności - powiedział Barbarotti. - Wydaje mi się, że możliwe są też inne scenariusze.

- Scenariusze? - spytał Leblanc.

- Tak - powiedział Barbarotti. - Taką informację podaje dziewczynka, i to tylko przy pierwszym spotkaniu. A potem wielokrotnie pojawiają się sugestie, że dziewczynka nie jest do końca wiarygodna. Wczoraj wieczorem jeszcze raz przeczytałem te notatki i...

- Nie jestem pewien, czy się zgadzam z tą opinią - przerwał mu Tallin, ale Leblanc go zignorował.

- Czyli mogła wynajmować dom? - dopytywał. - Jeśli spędzały tu tylko wakacje, prawda?

- Możliwe - powiedział Barbarotti.

- I nigdzie nie pada nazwisko tej babci?

- Nie.

- Ani to, gdzie właściwie jest ten dom?

- Nie.

Barbarotti rzucił spojrzenie Tallinowi, a ten kiwnął potwierdzająco głową.

- Kwestia tego domu jest rzeczywiście niejasna - przyznał. - Czytając notatki, zakładałem, że babcia i dziewczynka mieszkały w domu znajdującym się niedaleko Fouesnant i że babcia była właścicielką tego domu, ale przyznaję, że jest całkiem możliwe, iż rację ma inspektor Barbarotti.

- W jednym miejscu notatek autor pisze, że dziewczynka być może jest mitomanką - zauważył Barbarotti. - Kiedy czytałem te notatki po raz pierwszy, myślałem przez chwilę, że może wcale nie było żadnej babci, że to tylko wymysł tej dziewczynki. Ale kiedy później się pojawiła, to moje podejrzenia się rozwiały.

- Pojawiła i została zamordowana - wyjaśnił Tallin.
- Co za okropna historia - powiedziała inspektor Morelius po francusku.

- Dobrze - oznajmił Leblanc. - Wydaje mi się, że obraz zaczyna się rozjaśniać. Gdyby kobieta, która posiada dom w Fouesnant, zniknęła bez śladu razem z wnuczką, to sprawa musiałaby prędzej czy później dotrzeć do naszej wiadomości. Ale jeśli założymy, że to nie babcia była wymyślona przez dziewczynkę, tylko dom, to jak zmienia się sytuacja?

Barbarotti podrapał się po głowie i wymienił kolejnym pustym spojrzeniem z Tallinem.

- No właśnie, to jak zmienia się sytuacja? - powtórzył. - Mogło być nawet tak, że w ogóle nie mieszkali w domu, tylko...?

- Na kempingu? - dorzucił Tallin. - Jest ich tu cała masa, prawda?

- *Mais oui* - przytaknął entuzjastycznie Leblanc. - Pomiędzy Bénodet i Beg-Meil, czyli na terenie tuż przy Moustierlin, jest ich przynajmniej ze dwadzieścia. Akurat o tej porze roku, od połowy lipca do końca sierpnia, mamy tutaj tłumy turystów. W tym tysiące kempingowiczów. Większość to oczywiście Francuzi, ale są też turyści z innych krajów. Anglia, Holandia i Niemcy. Nawet ze Skandynawii. Mam nadzieję, że oprócz pracy znajdziecie trochę czasu na obejrzenie naszej cudownej przyrody. *Oh la, le travail, le travail, toujours du travail...* taki jest los francuskiego policjanta, ale podejrzewam, że was też dotyka to przekleństwo i nie macie czasu na nic innego?

- Zdarza się - odpowiedziała Morelius po francusku. - *Ça arrive*.

- Wyjeżdżamy w piątek - odpowiedział Tallin. - Więc powinno się udać coś zobaczyć. A zatem, jeśli spróbujemy przyjrzeć się opcji, że dziewczynka mieszkała z babcią na kempingu... to co się zmienia?

Ich zniknięcie też powinno być zgłoszone na policji, prawda?

Leblanc odwrócił wewnątrz dłoni w kierunku sufitu.

- Rzecz jasna. Gdzieś w kraju ktoś musiał złożyć meldunek. Ale zaginięcie z domu to jednak inna sprawa niż zaginięcie z namiotu.

Barbarotti przez chwilę analizował tę ponurą prawdę.

- Czy jest możliwe, że mieszkali na kempingu i nie byli na nim zarejestrowani? Mimo że faktycznie tam mieszkali?

- Nie wiem. - Leblanc wzruszył ramionami. - Oczywiście zasady są takie, że wszyscy mieszkający na kempingu mają podać swoje dane w recepcji przy okazji rozbijania namiotu czy parkowania swojego kampera, ale... niewykluczone, że nie każdy się do tego stosuje. Niektórzy rolnicy wynajmują jakieś łąki pod namioty, kiedy turystów jest najwięcej. Pozwala to szybko zarobić trochę ekstra kasy; władze nie są w stanie wszystkiego skontrolować. Może nawet nie chcą, bo jak można komuś zabronić postawienia namiotu na własnym polu.

Barbarotti skinął głową.

- Ale gdyby nawet tak było - zauważył - to musiałyby zostać po nich jakieś rzeczy. Namiot i ubrania, i inne przedmioty, czyż nie?

Leblanc zastanowił się przez sekundę.

- Rzecz jasna... - powiedział w końcu. - Rzecz jasna, ktoś powinien nam o tym donieść, tak czy inaczej. Muszę jednak stwierdzić, że nikt tego nie zrobił. Niestety, przykro mi.

- Zapomniany na polu namiot nie jest chyba traktowany jako wielka sprawa - dodała Morelius.

- Na pewno nie - uśmiechnął się Leblanc.

- Więc jeśli ta hipoteza jest prawdziwa - westchnął Barbarotti - to prawdopodobnie sprawa leży gdzieś w jakiejś innej prefekturze w kraju. Prawda?

- Na pewno - potwierdził Leblanc.

- Gdzie? - spytał Tallin.

Leblanc pogłaskał się po łysinie.

- Wszystko zależy od tego, kto ich szukał - wyjaśnił cierpliwie.
- I gdzie ich szukano, oczywiście. Jeśli na przykład miejsce spędzania urlopu nie było znane... to ich zaginięcie musiało być zgłoszone w ich rodzinnym mieście. Czyli Paryżu, o ile dobrze pamiętam.

- Tak, w Paryżu - potwierdził Barbarotti. - Przynajmniej jeśli uwierzymy w słowa dziewczynki. Jak w takim razie tu przyjechały? Chwileczkę. Czy w pobliżu Moustierlin nie znaleziono tamtego lata jakiegoś porzuconego samochodu? Wiem, że trochę za dużo wymagam, stawiając takie pytanie po pięciu latach, ale...?

Leblanc roześmiał się krótko i sucho.

- No tak, oczywiście mogę posadzić przy tym któregoś z chłopaków, ale nie spodziewałbym się jakichś rewelacji. Może rolnik zatrzymał sobie też samochód? Dlaczego nie?

Nastąpiła kilkusekundowa cisza.

- Uważa pan, że taka wersja jest możliwa? - dopytywał się nieufnie Barbarotti. - Że dziewczynka i jej babcia mieszkały w namiocie u jakiegoś rolnika, a kiedy któregoś dnia rolnik zauważył, że obie zniknęły, zatrzymuje sobie ich namiot, ich rzeczy osobiste i samochód?

- To tylko teoria. - Leblanc podniósł okulary na czoło. - Nie chciałbym, żeby okazała się prawdziwa, ale... Co tu właściwie jest prawdą?

Tallin odchrząknął i spytał:

- Jak ona się dostała do domu Erika tamtego wieczoru? Chodzi mi o babcie. Nie sądzę, żeby jechała samochodem.

- Ja też nie - potwierdził Barbarotti. - Nie, pewnie przysłała pieszo, inaczej jej samochód zostałby pod domem, a wtedy..

- Wtedy ktoś z grupy musiałby się nim zająć - uzupełnił Tallin.
- Niewykluczone, że tak właśnie było, prawda?

- Tak - odpowiedział. - Faktycznie.

Mój Boże, pomyślał. Oczywiście, że mogło tak być. Że Szwedzi zatarli wszystkie ślady. Ale Ten Szósty nie mógł tego wiedzieć,

ponieważ wyjechał stąd już tej samej nocy, kiedy pochował staruszkę na polderze.

- Jeśli założymy, że przyszła wtedy na piechotę - odezwał się Leblanc - i jeśli założymy, że była starszą kobietą, to powinno oznaczać, że mieszkały gdzieś niedaleko. Wiemy, w których domach mieszkali ci Szwedzi, dobrze pamiętam?

- Tak, wiemy - powiedział Tallin. - Potwierdzenie ostatniego adresu dostaliśmy wczoraj wieczorem. Planujemy wybrać się do tych trzech miejsc jutro. Jednak fakt, że w rejestrach tego okręgu nie ma zgłoszenia zaginięcia dziewczynki i jej babci, stanowi bezsprzecznie wielki minus w naszym zestawieniu. Ile czasu zajmie panu sprawdzenie tych informacji w Paryżu?

- Podejrzewam, że kilka dni. - Leblanc wzruszył ramionami. - Cholernie szkoda, że nie mamy ich nazwisk, ale zaraz roześlę zapytanie do wszystkich okręgów w kraju.

- Troaë - zauważył Barbarotti. - Przynajmniej to mamy.

- Jeśli naprawdę tak się nazywała. - Leblanc ponownie założył okulary na nos. - Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego imienia. No, ale jeśli gdziekolwiek we Francji zgłoszono ich zaginięcie, to w przyszłym tygodniu będziemy mieli potwierdzenie. Może nawet przed waszym wyjazdem. Łącznie z ich prawdziwymi nazwiskami.

- Dobrze - odpowiedział Tallin. - Będziemy wdzięczni. Niezwykle wdzięczni.

- Czy macie jeszcze jakieś pytania, na które mógłbym znać odpowiedź? - zapytał Leblanc.

Tallin spojrział na Barbarottiego, a później pokręcił przecząco głową.

- Na tę chwilę nie. Ale oczywiście coś jeszcze się może pojawić.

- Oczywiście. - Leblanc wyprostował się w fotelu. -Przestępstwo nigdy nie może popłacać. W żadnej sytuacji i w żadnym kraju.

Po tych mądrych słowach obejrzał się za siebie, żeby zobaczyć, co się dzieje za oknem.

- Wygląda na to, że przestało padać - powiedział. - Chciałbym zaproponować kolację na starym mieście, zanim odwieziemy was do hotelu. *Mademoiselle?*

- *Madame* - poprawiła go z uśmiechem Carina Morelius. - *Je vous en prie, monsieur le commissaire.*

Jedli przy stoliku w ogródku restauracji położonej przy nieregularnym rynku o nazwie Place Beurre.

Rynek Maślany, tyle to nawet Barbarotti rozumiał.

Zapiekany ser kozi. Marynowane małże. Jakieś niezwykle kruche mięso z sosem na bazie białego wina i musztardy. Dwa gatunki sera, roquefort i dwuletni comté. *Crème brûlée.*

Wino alzackie i bordeaux. Kieliszek calvadosu i mała *café noir*. Zajęło im to dwie i pół godziny; Barbarotti postanowił, że już nigdy w życiu nie pójdzie do baru Rockstagrillen.

Commissaire Leblanc prowadził konwersację nieprzerwanie. Opowiadał o mieście Quimper. O tradycjach związanych ze sztuką, o architekturze. O urodzie miasta, szczególnie gdy chodzi o starą jego część, w której się właśnie znajdowali, otoczoną fosą i murami obronnymi. O wielusetletniej i urozmaiconej historii katedry.

Ale ani słowa o sprawie. Ani słowa o pracy w policji; Barbarotti pomyślał w pewnej chwili, że właśnie tak powinno się funkcjonować. Zamknąć sprawy zawodowe w momencie zamykania drzwi do pokoju w pracy.

Jeśli chce zachować zdrowie psychiczne, jeśli chce, żeby Marianne była w stanie znieść ich wspólne życie, to musi się nauczyć tak funkcjonować. Nie może dalej żyć tak jak teraz - i nie tak jak Astor Nilsson, który nawet nie może sypiać po nocach.

Trzeba zacząć się interesować innymi sprawami. Zbudować sobie własne życie, jak to mówią w programach telewizyjnych dla młodzieży.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, nie ma dwóch zdań. Kiedy znalazł się w swoim pokoju - hotel leżał pięć minut spacerkiem od Place Beurre - rozpakował walizkę i włożył palec do Biblii.

Pierwszy raz w życiu zabrał ją ze sobą w podróż.

Księga Przysłów. Poczul przyptyw naglej wdzięczności, że nie musiał już myśleć o zepsutym oku.

20:5

Głęboką wodą plan w sercu człowieka,

Czerpie z niej człowiek przemyślny.

Aha? - pomyślał. O co tu chodzi?

Czyj plan? Mój czy kogoś innego?

Siedział na brzegu łóżka, próbując zważyć to przesłanie, ale skojarzenie z prowadzonym dochodzeniem było tak klarowne, że postanowił odpuścić. Tego nauczył się od Leblanca. Wyjął telefon; było już wprawdzie po jedenastej, ale na wojnie i w miłości nigdy nie jest za późno.

- Cześć - powiedział. - Obudziłem cię?

- Nie - odpowiedziała Marianne. - Jeszcze się nie położyłam.

Jenny zaczęła chodzić do nowej klasy i potrzebowała pocieszenia. Trochę czasu nam to zajęło.

Oczywiście, pomyślał Barbarotti. Początek roku szkolnego.

- A co u ciebie? Chyba nie zmieniłeś zdania w sprawie piątku?

- Nigdy w życiu - powiedział Gunnar Barbarotti. - Ale jestem we Francji.

- We Francji?

- Szukam wina do homara.

- Słucham? - zdziwiła się Marianne.

- Żartowałem. To podróż służbowa. Wydaje się, że zaczęliśmy mu deptać po piętach.

- No tak, przeglądałam dzisiejsze gazety. W wiadomościach telewizyjnych mówili, że wpłynęło bardzo wiele zgłoszeń. Czy ten

facet w kółku na zdjęciu to... to jest morderca?

- Tego nie wiem. - Barbarotti poczuł, że wypowiadając te słowa, wcale nie kłamał. - Naprawdę nie wiem. To strasznie skomplikowane. Tak czy siak, chciałem ci powiedzieć dobranoc i przypomnieć, że cię kocham.

- Dzięki - mruknęła Marianne. - Jesteś kochany. Bardzo się cieszę na to spotkanie w piątek. Postaraj się nie zostać we Francji, proszę. Mamy dużo ważnych spraw do omówienia.

- Powitam cię różami, mlekiem i miodem - przyrzekł Barbarotti. - I winem, oczywiście. Ale mogłabyś mi życzyć szczęścia w tutejszych poszukiwaniach.

- Życzę ci szczęścia w poszukiwaniach, najdroższy. Dbaj o siebie i śpij dobrze.

Jednak nie spało mu się dobrze. Mimo wszelkich ku temu warunków. Gdy tylko zgasił światło, głowę wypełniły mu myśli o efektach dzisiejszych rozmów z *commissaire* Leblankiem.

Nigdy nie były poszukiwane? Co to, do cholery, znaczy?

I te spekulacje, że dziewczynka i jej babcia mogły mieszkać na jakimś nieoficjalnym kempingu. Na ile mogły być wiarygodne?

Na ile wiarygodne były słowa Troaë? Wcześniejsze podejrzenie, że była drobną mitomanką, bez wątpienia nabrały w ciągu dzisiejszego dnia nowej mocy.

A cały dokument o Mousterlin? Jaki sens miało pisanie takiej relacji? I przesyłanie jej do nich? Czy to nie był podstawowy problem? Pytanie, na które odpowiedź należało znaleźć w pierwszej kolejności? W tym mrowiu pytań.

„Głęboką wodą plan w sercu człowieka” - to prawda.

Inspektor Barbarotti westchnął i przypomniał sobie nagle słowa Axela Wallmana z czasów, gdy mieszkali razem w Lund. Że w gruncie rzeczy różnica pomiędzy laureatem Nagrody Nobla a bełkoczącym

i śliniącym się idiotą nie była zbyt wielka; ten pierwszy przypuszczalnie posiadał mniej więcej jeden procent całej dostępnej wiedzy, a ten drugi zatrzymał się na połowie procenta.

Niewielka pociecha dla strapionych?

Kiedy ostatni raz podnosił głowę znad poduszki, na elektronicznym zegarze wbudowanym w telewizor jaśniała na czerwono godzina za cztery druga w nocy

35.

Leblanc dał im do dyspozycji samochód, czarne renault, które nasunęło Barbarottiemu skojarzenie z koniakiem. Wyjechali z Quimper około dziewiętej i po półgodzinnej jeździe krętymi drogami przez zielony, gdzieniegdzie prawie całkowicie zarośnięty krajobraz znaleźli się w Cap de Mousterlin. Cypel wystawał daleko w morze, na kształt nosa: po obu jego stronach rozciągały się długie piaszczyste plaże. Z powodu odpływu skraj wody był aktualnie oddalony o pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów od porośniętego trawą wału, chroniącego znajdujący się nieco dalej polder. W ogóle nie przypominało to tej Bretanii, w której Barbarotti spędził dwa tygodnie urlopu piętnaście lat temu. Był wówczas na północnym wybrzeżu, w Côtes-d'Armor charakteryzującym się dramatycznymi skałami, zacisznymi zatoczkami, grotami i osobliwymi formacjami kamiennymi. Nagle przypomniały mu się dziwaczne nazwy miejscowości: Trégastel, Perros-Guirec, Ploumanach.

Natomiast strona południowa, jak teraz widać, jest kompletnie płaska, dokładnie tak, jak to opisują notatki z Mousterlin. No i mieli tu upały, przynajmniej tego dnia; słońce świeciło z niemiłosiernie błękitnego nieba, a słupek rtęci zatrzymał się z pewnością na dwudziestu pięciu czy nawet trzydziestu stopniach - mimo że było

jeszcze wczesne przedpołudnie oraz że w Szwecji zaczął się już rok szkolny. Plaże były prawie puste, ale nie było wątpliwości, że za kilka godzin będzie tu pełno ludzi. Żałował, że nie spakował do walizki pary krótkich spodni, bo jego czarne dzinsy wręcz parzyły w nogi - wydawało mu się jednak, że policjant i krótkie spodnie pochodzą z całkiem innych bajek.

Są niekompatybilne, jak to się teraz mówi.

Na prawo, a więc na zachodzie, plaża kończyła się w miasteczku portowym Bénodet; po lewej stronie, na wschodzie, w odległości trzech kilometrów znajdowało się Beg-Meil.

Barbarotti spojrzął na zegarek, a Tallin kiwnął głową. Czas na wizytę w Le Grand Large, czyli restauracji, która podobno znajdowała się jakieś dwieście metrów stąd w kierunku Beg-Meil. To tam Szwedzi zabrali małą Troaë tego dnia, kiedy spotkali ją na plaży po raz pierwszy Barbarotti wiedział, że całe to przedsięwzięcie nie miało szans powodzenia. Wiedział też, że Tallin i Morelius myślą tak samo. Ale mieli zamiar porozmawiać z pracownikami restauracji i pokazać im zdjęcia. Zamierzali dać im również swoje wizytówki i numer bezpośredni do *commissaire* Leblanca - gdyby wbrew oczekiwaniom komuś coś się później przypomniało.

Przyjęto ich wprawdzie uprzejmie i z zainteresowaniem, ale też z pełnym ubolewania kiwaniem głowami. Tylko jedna osoba spośród aktualnej załogi pracowała w tym miejscu w roku 2002, ale ponieważ przeżyła w tym rozkoszonym lokalu nie mniej niż jedenaście sezonów, co oznacza pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt tysięcy gości restauracyjnych i barowych, to przeprasząc, wyjaśniła, że niestety nie pamięta ludzi z tego zdjęcia.

Pojechali do Bénodet. Bez problemu znaleźli restaurację w starym porcie, nazywała się Le Transat; znaleźli prawdopodobnie właśnie ten stół i tę ścianę, przy których szóstka Szwedów spędziła sobotni wieczór pięć lat wcześniej, i odbyli długą rozmowę z właścicielem lokalu. Miał dwa metry wzrostu, jego brat pracował w policji

w Marsylii, a on uwielbiał powieści kryminalne ponad wszystko na świecie. No może z wyjątkiem swojej żony i dzieci.

Mimo to nie potrafił im pomóc. Studiował i analizował fotografie z 2002 roku długo i dokładnie, ale, jak pomyślał Barbarotti, nawet gdyby doznał teraz olśnienia i przypomniał sobie właśnie to towarzystwo i właśnie tę sobotę sprzed pięciu laty, to co by to dało? O ile Ten Szósty nie zostawił prawa jazdy na stole albo w inny sposób nie rozgłosił swojej tożsamości, to nadal dreptali w miejscu. Może nie byli na początku trasy, ale taśmy mety na pewno jeszcze nie było widać.

Właściciel zapytał, czy nie zostaną przynajmniej na lunch, ale ponieważ było dopiero wpół do dwunastej, ten punkt programu postanowili załatwić w trzecim lokalu zaplanowanym na to przedpołudnie.

Le Thalamos w Beg-Meil.

Tutaj chciałbym mieszkać, gdybym był bogaty, pomyślał nagle Gunnar Barbarotti, wysiadając z samochodu. I gdybym potrafił się dogadać po francusku.

Może niedokładnie w Le Thalamos, ale w pobliżu. W którymś z tych ogromnych, otoczonych murami kamiennych domów, które wydawały się punktem centralnym Beg-Meil. Wieżyczki i wieże, niebieskie okna dachowe i głęboka zieleń; kompletna izolacja i morze w odległości zaledwie kilku metrów.

Później przyszło mu do głowy, że chyba jednak nigdy nie będzie bogaty. A przede wszystkim nigdy nie nauczy się francuskiego. Żeby to się udało, trzeba wyjść za mąż za kolarza z Lyonu.

Po raz trzeci przedstawili swoje pytania i pokazali zdjęcia i po raz trzeci zobaczyli pełne ubolewania uśmiechy i kiwanie głowami. Zamówili więc po sałatce i omlecie, każdy z innymi składnikami, i skorzystali z okazji, żeby napić się miejscowego cydru.

Smakował jak stary, sfermentowany sok jabłkowy. Barbarotti przypomniał sobie, że ma podobne wspomnienia sprzed piętnastu laty z Côtes-d'Armor; żadne z nich nie poprosiło o dolewkę.

- Przynajmniej nazwy się zgadzają - stwierdził Tallin przy kawie. - Miejsca istnieją i lokale istnieją. Wszystko się zgadza. Nie musimy więc wątpić w prawdziwość samej historii.

- Może i nie - mruknął Barbarotti. - To prawda, że wszystko jest na swoim miejscu. Ale gdzieś w madach morskich leżą martwe dziewczynka i stara kobieta, a nikt się nie przejął ich zniknięciem. To trochę irytujące, przynajmniej dla mnie.

- Nie wiemy jeszcze, jakie efekty przyniosło zapytanie rozesłane przez Leblanca - podkreśliła Morelius. - Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem albo jutro poznamy ich nazwiska.

- Oto spełnienie pożądanego - mruknął Tallin.

Barbarotti odnotował, że dobronudszny komisarz zaczyna być zmęczony. Nawet jego to dopadło.

- Troaë - powiedział. - Leblanc nigdy wcześniej nie słyszał takiego imienia.

- Ja też nie - przyznała Morelius.

- *The Root Of All Evil* - westchnął Tallin. - Tak, mój Boże.

- Co nowego w kraju? - spytał Barbarotti, chcąc zmienić temat.

- Moja komórka nie odezwała się wczoraj wieczorem ani razu.

Tallin dopił kawę i wydawał się trochę bardziej rześki.

- Rano rozmawiałem z Asunanderem - przyznał. - Tylko wczoraj wpłynęło czterysta pięćdziesiąt pięć nazwisk. To chyba rekordowa liczba; co najmniej dziesięcioro wystąpi przeciwko nam do sądu, bo czują się wytykani palcami. Ale cały czas trwa selekcja. Zobaczmy, jak to się skończy.

Barbarotti skinął głową.

- Mam nadzieję, że do naszego przyjazdu zredukują liczbę do siedmiu czy ośmiu. Nad tym da się popracować.

- Zawsze można mieć nadzieję - powiedział Tallin. - Słuchajcie, płacimy i ruszamy popatrzeć na rynek nieruchomości, dobra?

Również pod tym względem dokument z Mousterlin, jak niechętnie zaczęli nazywać te notatki, był zgodny z rzeczywistością. Dom, który Malmgrenowie wynajęli za pośrednictwem agenta z Göteborga, znajdował się niespełna dwieście metrów od cypla Mousterlin, tuż za wałem. Nie umówili się z właścicielem na jego oglądanie głównie dlatego, że od tamtego czasu dom miał nowego właściciela. *Monsieur Diderot* - w uszach Barbarottiego zabrzmiało to znajomo - który wynajął ten dom parze Szwedów, zmarł w 2004 roku, a następnie spadkobiercy sprzedali dom szwajcarskiemu bankierowi.

Jednak sam dom był na swoim miejscu - przyjemny, pobielony wapnem i otoczony niskim murkiem. Dach łupkowy, jak na niemal wszystkich domach w okolicy, duży taras, parę cyprysów, rozłożyste rododendrony i ogromne kępy hortensji. Barbarotti nie rozpoznawał wielu z rosnących tu roślin, ale Morelius znała ich nazwy nawet po szwedzku.

Znalezienie domu Gunnara Öhrnberga i Anny Eriksson zajęło troszkę więcej czasu. Okazało się, że stoi jakoś w połowie drogi między Mousterlin a Beg-Meil, ale zanim go znaleźli, krążyli wokół dobrą chwilę po szutrowych drogach biegnących wzdłuż i wszerz przez teren polderu. Tutaj też nie umówili się na spotkanie z właścicielem; Leblanc i Morelius rozmawiali z nim wprawdzie tego ranka przez telefon, ale powiedział tylko, że wynajmował chałupę tyłu zwariowanym turystom przez te wszystkie lata, że już dawno przestał ich odróżniać. A poza tym zaplanował sobie wyjazd na ryby i nie pozwoli, żeby gliniarze mu w tym przeszkodzili. *Des flics et des touristes! Jamais de la vie!*

- Gliniarze i turyści! Nigdy w życiu! - przetłumaczyła Morelius.

Gdy dojechali do Le Clos, czyli trzeciego - i zgodnie z wszystkimi uzasadnionymi oczekiwaniami najważniejszego - domu, była już czwarta po południu, a na niebie nadal nie było ani jednej chmurki. Właściciel, *monsieur* Masson, obiecał się pojawić około piątej, ale powiedział, że gdyby dojechali wcześniej, to mają poczekać na tarasie. Rzut beretem od tego miejsca była cukiernia, dokładnie tak, jak opisano w dokumencie, którą właśnie otwarto po przerwie na lunch; poszli więc tam, kupili wodę, owoce, gazetę i trzy *pain au chocolat*. Wrócili do Le Clos, rozsiedli się pod parasolem na tarasie i czekali. Barbarotti ocenił, że są co najmniej trzydzieści trzy stopnie w cieniu i gdyby w towarzystwie nie było kobiety, rozebrałby się do slipek.

Byli dokładnie ukryci przed oczami ciekawskich. Z trzech stron otaczał ich wysoki i gęsty żywopłot z rododendronów, z czwartej strony, czyli od strony morza, rozciągała się łąka porośnięta metrowej wysokości trawą. Barbarotti zauważył, że słyszeć morze, chociaż dzieliło ich od niego kilkaset metrów; prawdopodobnie trwał przypływ.

Dom przypominał ten, w którym mieszkali Malmgrenowie. Białe ze szczytami pokrytymi szarym kamieniem i niebieskimi okiennicami. Dwa poziomy Taras z białymi meblami ogrodowymi, niebiesko-żółty parasol. Jakby IKEA wykupiła sobie prawo wyłączności. Niebieski kolor furtki był identyczny jak Smutasowy kosz na śmieci.

- A więc to jest miejsce zbrodni? - zdziwiła się Morelius, obierając banana.

Barbarotti rozejrzał się.

- Prawdopodobnie tak - powiedział. - Musiało to być właśnie na tym tarasie... a tam - wskazał ręką - tam mamy szopę na narzędzia.

Była częściowo schowana pod puszystym drzewem liściastym; przypominało kasztan, jak zauważył Barbarotti, ale liście miały drobne ząbki na brzegach. Wypił łyk wody, wstał i poszedł do szopy.

Zauważył, że w cieniu ogromnej korony drzewa jest trochę chłodniej, więc postał tam przez chwilę; czuć tam było nawet słaby wiaterek. Przyszło mu do głowy, że gdyby tu mieszkał, to bez wątpienia spędzałby taki dzień jak dziś w leżaku pod drzewem, którego nazwy nie znał.

Tutaj leżały zwłoki tej starej kobiety, pomyślał nieco później. A Szwedzi siedzieli na tarasie i naradzali się, co zrobić z jej ciałem.

Drobna, krucha kobieta z głową roztrzaskaną kluczem francuskim produkowanym w Szwecji. Wpatrywał się w trawę przy ścianie szopy pokrytej blachą falistą. Prawdopodobnie właśnie na tym skrawku trawy leżała ubrana na czarno Francuzka, w krwistoczerwonym kapeluszu słomkowym i... Nagle poczuł zawrót głowy, może to udar słoneczny, wpływ upału i tej niezrozumiałej, mrocznej historii, tego niemożliwego do uchwycenia, a jednocześnie niezwykle namacalnego opowiadania, którego główny bohater... no właśnie, co?

Główny bohater, którego nie dało się zrozumieć, pomyślał Barbarotti. Delikatnie mówiąc.

Który mieszkał w tym spokojnym domku przez dwa letnie tygodnie przed pięcioma laty i który miał na sumieniu śmierć siedmiorga ludzi. A może i swoją śmierć.

Kim jesteś? - pomyślał. Albo kim byłeś? Jaki sens ma to twoje opowiadanie?

Wróciły do niego słowa przeczytane wczoraj w Biblii.

„Głęboką wodą plan w sercu człowieka. Czerpie z niej człowiek przemyślny”.

A może ostatecznie to wszystko nie jest aż tak skomplikowane? Musiał się zemścić, żeby móc się zrehabilitować, i musiał to wyjaśnić. Dokładnie tak, jak napisał. Czyż nie można było przyjąć tego wyjaśnienia za dobrą monetę?

Zadzwoił telefon komórkowy. Wzdrygnął się, wyjął komórkę z kieszeni na piersi i odebrał.

- Cześć, tato! Mówi Lars.

- Cześć Lars!
- Co robisz?

Przez krótką chwilę wyobraził sobie możliwy rozwój tej rozmowy Jakby wyglądała, gdyby trzymał się prawdy

- Jestem we Francji, synku.
- Co tam robisz?
- Stoję na trawniku i patrzę na pewną plamę.
- Jaka plamę?
- Na plamę w miejscu, w którym pięć lat temu ktoś zamordował pewną kobietę.
- Dlaczego?
- Tego nie wiem, synku.
- Dlaczego ktoś to zrobił? Czy już ją stamtąd zabrali?
- Oczywiście. Teraz świeci słońce i wszystko jest, jak być powinno.

Jednak nie, bo kiedy rozmawiamy z dziećmi, prawda nie zawsze jest najważniejszym lekarstwem. Wybrał więc inną odpowiedź.

- Jestem w podróży służbowej. A co tam u was, u ciebie i Martina?
- Właśnie wróciliśmy ze szkoły. Tato, chcielibyśmy mieszkać z tobą. Zgodzisz się?
- Oczywiście, że tak. Będę się bardzo cieszył, jak się do mnie przeprowadzicie, przecież wiesz?
- To fajnie. To tak zrobimy. Powiem mamie i Martinowi, że się będziesz bardzo cieszył.
- Tak, powiedz im to. Powiedz mamie, żeby do mnie zadzwoniła, to ustalimy, kiedy przyjedziecie i inne sprawy.
- Fajowo, tato - powiedział Lars i rozłączył się.

To by było na tyle, pomyślał Barbarotti. Życie i śmierć. Schował komórkę i wrócił na taras.

Henri Masson zjawił się parę minut po piątej, trzymając w ręce butelkę miejscowego cydru i bretońskie ciasto, którymi chciał poczęstować gości z dalekich stron.

Miał około siedemdziesiątki, nosił słomkowy kapelusz i wąsy tak bujne, że można je było bez trudu zobaczyć, nawet gdy ich właściciel odwrócił się tyłem.

A odwrócił się tyłem tylko wówczas, gdy zamykał furtkę i zaglądał do skrzynki na listy. Przez resztę czasu był bardzo otwarty i uprzejmy. Bardzo chciał dołożyć swoją cegiełkę do ich układanki. Leblanc przedstawił mu w zarysie, na czym polega problem; możliwe, że cytował właśnie Leblanca, gdy napełnił cztery wysokie szklaneczki i wznosił toast.

- *Pour la lutte contre la criminalité!* Za walkę z przestępczością!

W ogóle nie znał angielskiego, ale zapalał natychmiastową sympatią do inspektor Morelius i czerpał prawdziwą radość z tego, że jego słowa tłumaczy tak zachwycająca i szykowna kobieta.

- A zatem - zaczął Tallin - chodzi o pewnego Szweda, który mieszkał w tym domu pomiędzy 28 czerwca i 25 lipca 2002 roku. Nazywał się Erik Bergman. Mieszkał z nim jeszcze ktoś i bylibyśmy bardzo wdzięczni za wszelkie informacje, którymi pan dysponuje.

- Pamiętam - powiedział Henri Masson z dumą w głosie. - Wynajmowałem ten dom przez wiele lat, od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, ale rok 2002 był ostatni. Po panu Bergmanie miałem tylko jednego lokatora.

No nareszcie, pomyślał Barbarotti, gdy Morelius skończyła tłumaczyć, nareszcie w tej mętnej zupie zaczynają się pokazywać kawałki układanki.

- Oczywiście zostawiam swoich gości w spokoju - kontynuował Masson, podkręcając wąża. - Ale pojawiaam się raz w tygodniu, żeby skosić trawę i zabrać śmieci. Moja żona i ja mieszkamy bowiem w Fouesnant.

- Dlaczego przestał pan wynajmować dom w roku 2002? - spytał Barbarotti.

- Wygrałem trochę pieniędzy na loterii piłkarskiej - wyjaśnił

coraz bardziej dumny z siebie Masson. - Nie musiałem już dorabiać. Teraz mieszkają tutaj tylko nasze dzieci z rodzinami. Wczoraj właśnie wyjechała jedna ekipa, a w piątek pojawi się następna. Mam pięcioro dzieci i trzynaścioro wnucząt; jeśli tylko posprzątają po sobie, to mam w nosie, co tutaj robią.

- A wracając do *monsieur* Bergmana - wtrącił Tallin. - Czy pamięta pan jego pobyt?

Masson wzruszył ramionami.

- Niezbyt dokładnie, rzecz jasna. Przywitałem ich, gdy przyjechali, widziałem ich, kiedy kosiłem trawę, a gdy stąd wyjeżdżał, sprawdzałem, czy dobrze posprzątał i tak dalej. Przy tej ostatniej wizycie była ze mną żona; gdy chodzi o te sprawy, kobiety są bardziej spostrzegawcze od nas, facetów.

Mrugnął porozumiewawczo do inspektor Morelius, która z wprawą odwzajemniła się mrugnięciem.

- Mówi pan „oni”? - zdziwił się Tallin. - Czyli mieszkały tu dwie osoby?

- Przynajmniej na początku byli we dwóch - odpowiedział Masson. - Ale w dniu wyjazdu *monsieur* Bergman był sam.

- Czyli ta druga osoba to też był mężczyzna? - chciał uściślić Barbarotti.

- *Oui*. To też mężczyzna. Obaj mieli po trzydzieści lat. Nigdy nie interesowały mnie preferencje seksualne innych ludzi, więc... kompletnie mnie to nie obchodziło.

Nowe mrugnięcie do Morelius. Nowe mrugnięcie zwrotne.

- Chodzi panu o to, że byli parą homoseksualistów? - drażył temat Barbarotti.

- Nie, przeciwnie. Chodzi mi o to, że w ogóle nic nie myślałem na ich temat.

- Rozumiemy - oznajmił Tallin. - Jak się nazywał ten drugi?

Barbarotti zamknął oczy i splótł dłonie. Teraz, pomyślał. Tak czy nie?

Henri Masson wzruszył swoimi szerokimi ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Tego Morelius nie musiała tłumaczyć, ale przetłumaczyła.

W zasadzie nie spodziewałem się niczego innego, pomyślał Barbarotti. Dlaczego miałby być tak nieostrożny, żeby zostawiać swoje nazwisko? Również w tym względzie dokument o Mousterlin okazywał się wiarygodny.

- Jest pan pewien, że nigdy nie podali panu jego nazwiska? - spytał Tallin i wypił mały łyżek cydru.

- Absolutnie pewien - odparł Henri Masson. - Nigdy nie wiedziałem, jak się nazywał, więc nie mogłem zapomnieć. - Postukał palcem wskazującym o czubek słomkowego kapelusza. - Za dom odpowiadał *monsieur* Bergman. Nie było żadnych zastrzeżeń, kiedy wyjeżdżał.

- Nie zwrócił pan uwagi, czy nie zginął panu klucz francuski z szopy na narzędzia? - spytał Barbarotti.

- Klucz francuski? Nie, na pewno nie. Ale jest tam tyle różnych rupieci, że pewnie nawet bym nie zauważył.

- Rozumiem - westchnął Barbarotti.

- A jeśli chodzi o tego drugiego mężczyznę - powiedział Tallin.

- Rozpoznałby go pan, gdyby pan go zobaczył?

Henri Masson wypił porządny łyk cydru i zastanawiał się.

- Prawdopodobnie tak - odparł. - Tak, myślę, że tak.

Inspektor Barbarotti wyjął ostrożnie z teczki jedno ze zdjęć. Przesunął po stole w kierunku Massona.

- Czy widzi go pan na tej fotografii? - zapytał Tallin.

Henri Masson przeprosił, z lśniącego etui wyjął okulary i umieścił je pieczołowicie na swoim potężnym nosie. Trzymał zdjęcie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i przyglądał mu się przez pięć sekund.

- *Oui*. - Wskazał palcem. - To ten. Pozostałych nie znam.

Gunnar Barbarotti zauważył, że przez cały czas od wyjęcia zdjęcia wstrzymywał oddech.

36.

Kiedy Gunnar Barbarotti obudził się w czwartkowy poranek, niebo było pokryte grubą warstwą chmur i przypomniał sobie, że tak samo było podczas tamtego urlopu w latach dziewięćdziesiątych. Słoneczne, bezchmurne dni na przemian z burzami i zimnymi wiatrami znad Atlantyku. Przypomniała mu się też huśtawka humorów Heleny Po zakończeniu toalety porannej zaczął się zastanawiać, jak wyglądałoby ich wspólne życie, gdyby się nie rozeszli już prawie sześć lat temu.

Zaraz jednak odpędził te myśli, uznając, że nie są najważniejszym początkiem nowego, pełnego optymizmu dnia. Zauważył, że obudził się i wstał dużo za wcześniej; umówili się z Tallinem i Morelius, że zjedzą wspólnie śniadanie o wpół do dziewiątej, a kiedy Barbarotti był już ubrany i gotowy do wyjścia, nadal była dopiero ósma. Głupio by było siedzieć samotnie i zjadać croissanty przez pół godziny, ale przyszedł mu do głowy świetny pomysł.

Nie rozmawiał z Sarą już... od prawie dwóch tygodni. Wiele razy zbierał się, żeby zadzwonić, ale zawsze coś mu przeszkadzało.

A teraz miał na to czas. Wprawdzie istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że jeszcze spała, ale z drugiej strony, co mogło się mierzyć z rozpoczęciem nowego dnia pobudką zgotowaną przez troskliwego i kochającego ojca?

Wybrał numer. Po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Rozłączył się i wybrał numer ponownie.

Teraz odebrała.

Przynajmniej wydawało mu się, że to ona. Jej głos brzmiał jak odgłos rozdeptywanej bezy Nie żeby miał zwyczaj deptania po bezach, ale tak mu się skojarzyło.

- To ja - powiedział. - Twój kochany tatuś.
- Tata?

- Tak, to ja.
 - Dlaczego... dlaczego dzwonisz... Która jest godzina? Siódma! Dlaczego dzwonisz o siódmej rano? Coś się stało?
 - Jest ósma - zaczął Gunnar.
 - Ale w Anglii siódma. Przecież wiesz.
 - No tak, rzeczywiście - przypomniał sobie nagle Barbarotti. - Już dawno się nie odzywałaś, a ja mam wolne pół godziny, więc postanowiłem zadzwonić.
 - Wolne pół godziny? Poważnie masz tyle roboty? Zastanawiał się.
 - Tak, naprawdę. Jestem strasznie zaganiany Ale jeśli chcesz jeszcze pospać, to możemy to przenieść na potem. Mogę zadzwonić wieczorem.
 - Nie, i tak mnie już obudziłeś. A poza tym jest pewna sprawa... W zasadzie właśnie miałam do ciebie dzisiaj dzwonić.
 - Ach tak? Co to za sprawa?
 - Potrzebuję... muszę pożyczyć trochę pieniędzy. Niech to szlag, pomyślał Barbarotti. Coś się musiało stać.
 - Dlaczego? - zapytał.
- Sara nigdy nie prosiła o pieniądze. Nadleciała sfera podejrzeń i złych przeczuć. Co wcale nie oznaczało, że był przewrażliwionym ojcem.
- Dlaczego? - powtórzył pytanie.
 - Nie chcę... nie, nie chcę o tym mówić - odpowiedziała wolno żalonym tonem. - Ale mogłabym spłacić pożyczkę jakoś na jesieni. A na pewno przed Bożym Narodzeniem, dobrze?
- Przed Bożym Narodzeniem? - pomyślał.
- Ile chcesz pożyczyć?
 - Cztery tysiące. Albo pięć, jeśli to możliwe.
 - Pięć tysięcy? Na co, u licha, potrzebne ci pięć tysięcy? Saro?
 - Jest taka jedna sprawa - powiedziała Sara i zabrzmiało to bardzo smutno. To było coś więcej niż poranne zmęczenie. - Ale naprawdę nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi.

- Sarenko...

- Tylko ten jeden raz. Wiesz, że nigdy nie zebrzę o kasę, i obiecuję, że oddam. Nie chcę z tym dzwonić do mamy, bo...

- Wolałbym wiedzieć, na co są ci potrzebne. Chyba rozumiesz?

- Jeśli musisz wiedzieć, to spróbuję załatwić je w inny sposób.

- Mój Boże. Nie, oczywiście, że ci pożyczę. A co poza tym?

- Tak sobie. Ale wszystko będzie dobrze. Nie musisz się martwić, tato.

- Masz pracę?
- Jasne.
- W tym pubie?
- Oczywiście.
- A ten muzyk? Jego też masz nadal?

Dlaczego o to spytałem? - pomyślał. Chcę tylko sprawdzić, czy powie, że nie.

- Tato, możemy się umówić, że zadzwonię do ciebie za parę dni? Nie mogę teraz za bardzo rozmawiać.

Dlaczego? - pomyślał. Dlaczego nie może teraz rozmawiać? Bo Malin się obudziła i słucha? Albo ten... jak, do cholery, on się nazywa... Robert? Richard?... Niech to szlag. Dostanie pieniądze i tydzień, a potem jadę tam i zabieram ją do domu.

- Przeleję pieniądze jeszcze dziś. Mam numer twojego konta, więc nie ma problemu.

- Dzięki, tato - powiedziała Sara. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odpowiedział Gunnar Barbarotti. - Spróbuj pospać jeszcze trochę.

Rozłączył się. Spojrzał na zegarek. Piętnaście po ósmej. Nie zdążył jej nawet powiedzieć, że jest we Francji.

Ale zostało mu jeszcze trochę czasu, żeby zadzwonić do banku w Szwecji i wydać dyspozycję o przelaniu tych pięciu tysięcy. Kiedy zapytał sympatyczną panią po drugiej stronie słuchawki, ile pieniędzy

zostało mu na koncie, usłyszał, że sześćdziesiąt dwie korony i piętnaście öre.

Przed południem Leblanc był zajęty zwalczaniem lokalnej przestępczości, więc mieli kilka godzin na zwiedzanie, ale ponieważ zaraz, jak tylko skończyli śniadanie, zaczęło lać jak z cebra, odwiesili te plany na kołek. Spotkali się wszyscy w pokoju Tallina, zamówili kawę i zaczęli omawiać najnowsze ustalenia w sprawie.

- Czy komuś przyszły do głowy w nocy jakieś nowe pomysły?
- zapytał Tallin.

Barbarotti zauważył to już przy śniadaniu, a teraz miał potwierdzenie, że coś się musiało stać z Tallinem. Od przyjazdu do Bretanii jakby uszło z niego powietrze; widać to było już wczoraj, a dzisiaj stało się to jeszcze bardziej widoczne. Jakby bolały go zęby albo jakby przegrał wszystkie oszczędności w pokera.

- Niestety nie - odparła Carina Morelius i nalała kawy. - Ale jak już mówiłam, ja tu jestem bardziej obserwatorem niż uczestnikiem. I tłumaczem, rzecz jasna. Pracujecie nad tą sprawą już od prawie miesiąca, prawda? Zaczęło się chyba dwudziestego piątego lipca, tak?

- Dwudziestego czwartego albo trzydziestego pierwszego - odpowiedział Barbarotti. - Zależy, jak liczymy.

- Nowe pomysły? - uparcie nalegał Tallin.

- Co by tu powiedzieć? - zaczął Barbarotti. - Mamy potwierdzenie, że Ten Szósty rzeczywiście mieszkał u Erika Bergmana... i że jest na tym zdjęciu. To powinien być przełom w śledztwie, ale trudno to tak odbierać.

- Miałeś wątpliwości, czy to się będzie zgadzać? - zapytał Tallin.

- Nie - odpowiedział. - Właściwie nie. Zobaczymy, czego dowiemy się po południu, ale jeśli w całej Francji nikt nie zgłosił zaginięcia dziewczynki i jej babci, to cała ta historia robi się... jeszcze bardziej skomplikowana. Przynajmniej dla mnie.

- Dla mnie też - przyznał Tallin. - Pracuję, cholera, w tej branży ponad trzydzieści lat i nie pamiętam czegoś podobnego.

- Na przykład sprawa akcentu babci - podjął temat Barbarotti po chwili milczenia. - ...a czasami też dziewczynki... Nawet nie chcę o tym myśleć, bo jeśli pochodziły z jakiegoś innego kraju, to radykalnie poszerza nam się perspektywa.

- No właśnie - westchnął Tallin. - Zgadzą się w stu procentach. Ale odrzucmy na razie tę wersję.

- A jakie są efekty pokazania portretu pamięciowego w kraju? - spytała Morelius. - Są jakieś zgłoszenia?

- Ponad pięćset na liście - odpowiedział Tallin. - Tyle że to nie jest portret pamięciowy, trzeba o tym pamiętać. To prawdziwa fotografia.

- Przepraszam - powiedziała Morelius.

- Proszę bardzo - odparł Tallin. - Tak czy siak, wszystkie zgłoszenia są sprawdzane i segregowane do poszczególnych grup ważności. Pierwsza, druga i trzecia. W pierwszej, gdzie są te najbardziej prawdopodobne, zbierało się dziś rano czterdzieści pięć nazwisk. Dziś po południu zaczną się przesłuchania. Jeśli dopisze nam szczęście, to przełom nastąpi właśnie podczas przesłuchań. Niezależnie od wyników wyjazdu do Francji.

- W tym przypadku chyba nietrudno zapewnić sobie alibi? - spytała Morelius.

- Też o tym myślałem - odparł Barbarotti. - Oprócz lata 2002 roku musisz jeszcze mieć szanse, żeby w ciągu ostatniego miesiąca pojawić się w czterech różnych miejscach zbrodni na terenie Szwecji. Miedzy innymi musisz znajdować się na pokładzie promu do Danii właśnie tej konkretnej nocy... więc jeśli znajdziemy biedaka, który nie będzie miał alibi na wszystkie te terminy, to rzeczywiście będzie pozamiatane.

- I jeśli dodatkowo wygląda jak facet na zdjęciu?

- Właśnie, jeszcze to.

- Ale czarujący Masson wydawał się wiarygodny, prawda? - spytała z uśmiechem Morelius.

- Tak, też mi się tak wydaje - stwierdził Barbarotti. - Chociaż dużego wyboru nie miał. Może powinniśmy jakoś inaczej przeprowadzić to okazanie?

- Dlaczego? - zirytował się Tallin. - Myślisz, że będzie świadkiem koronnym w procesie czy co?

Co się z nim dzieje? - pomyślał Barbarotti. Zaczyna tracić styl.

- Muszę iść podzwonić - skłamał. - Do zobaczenia za godzinę przy recepcji, okej?

- Ja też muszę podzwonić - oznajmiła inspektor Morelius i razem wyszli od Tallina.

- Jest dzisiaj jakiś naburmuszony - powiedziała, gdy znaleźli się na korytarzu. - Twój przyjaciel komisarz, rzecz jasna.

- Tak - potwierdził Barbarotti. - Ja go za dobrze nie znam. Przysłali go do nas z Centralnego Biura Śledczego.

- Tak, wiem - odparła Carina Morelius, ścisząc głos do szeptu. - Ale ja go znam. Parę lat temu byliśmy parą.

- O żesz... - Barbarotti aż się zatrzymał z wrażenia.

- Tak, co prawda tylko przez kilka tygodni. Zresztą, para to chyba za dużo powiedziane. Raczej romans, mieliśmy romans.

- Przecież on jest z piętnaście lat starszy od ciebie.

- Trzyście - powiedziała Morelius. - Ale nie chodziło o wiek.

- Czyli według ciebie... wiązał jakieś nadzieje z tym wyjazdem?

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - odparła Morelius, wchodząc do swojego pokoju.

O bardzo wielu rzeczach człowiek nawet nie ma pojęcia, pomyślał Barbarotti. O bardzo wielu.

- Co roku w naszym kraju policja otrzymuje około sześć dziesięciu tysięcy zgłoszeń w sprawie zaginięcia - wyjaśniał *commissaire* Leblanc. - *Six-zero-zero-zero-zero*.

Barbarotti zanotował.

- Jest to oczywiście ogromna liczba, ale to tylko promile liczby ludności. Większość z nich wraca. W uproszczeniu można by powiedzieć, że co tysięczny jest faktycznie zaginiony. Idąc dalej tropem statystyki, można wyliczyć, że co miesiąc dochodzi do około pięciu tysięcy zaginięć.

- W naszym kraju te statystyki też są wysokie - przyznał Tallin.

- Czytałem niedawno artykuł, w którym stwierdzano, że liczba *per capita* jest podobna w większości krajów Europy Zachodniej.

- To by się zgadzało - potwierdził Leblanc. - Ale musimy pamiętać, że spośród tych pięciu tysięcy zaginionych miesięcznie tylko ułamek pozostaje zaginiony rok później. W zasadzie piętnaście procent. Ludzie gdzieś się pojawiają, wracają do domu albo odnajdujemy ich zwłoki. Okoliczności kryminalne dotyczą mniej niż dziesięciu procent przypadków, a liczba tych, którzy po pięciu latach nadal są traktowani jako zaginionieni, jest prawie taka sama, niecałe dziesięć procent. Chcę przez to powiedzieć, że co roku blisko sześć tysięcy osób rozplywa się w powietrzu. Zakłada się, że mniej więcej połowa z nich nie żyje, a spośród pozostałych trzech tysięcy około setka nadal pozostaje w granicach kraju. Ludzie migrują, po prostu, z różnych powodów; najbardziej popularnym są długi podatkowe.

Barbarotti przewrócił kartkę i postanowił przestać notować.

- Ile osób zaginęło w lipcu 2002 roku? - zapytał.

- Właśnie do tego zmierzam - uśmiechnął się Leblanc. - Przepraszam za te ćwiczenia matematyczne, ale chciałem przedstawić właściwe podłoże.

- Znakomicie - powiedział Tallin.

- Z tego, co rozumiem, śmierć Troaë i jej babci nastąpiła na początku lipca; na wszelki wypadek sprawdziliśmy okres dwóch miesięcy pomiędzy czwartym lipca a czwartym września tamtego roku, wtedy to w większości miast rozpoczął się również rok szkolny. W tym przedziale czasowym w całym kraju wpłynęły dwanaście tysięcy sześćset osiemdziesiąt dwa zgłoszenia o zaginięciu. Ze statystycznego punktu widzenia to liczba normalna; latem zazwyczaj znika więcej ludzi, ale dla tamtego roku ten wzrost jest minimalny.

Zrobił krótką przerwę, w trakcie której czyścił okulary i sprawdzał coś w papierach.

- Z tamtych zgłoszeń do dziś niewyjaśnionych pozostaje tysiąc trzydzieści pięć przypadków.

- Czyli tyłu jest nadal zaginionych? - chciał się upewnić Barbarotti.

- Dokładnie - powiedział Leblanc. - A w tym tysiącu nie ma takiego przypadku, żeby ten sam człowiek zgłosił zaginięcie dwóch osób.

- Chwileczkę - wtrącił Barbarotti. - Z tego, co pan mówi, wynika, że nikt jednocześnie nie zgłosił zaginięcia dziewczynki i babci.

- Dokładnie - powiedział Leblanc.

- Czyli to oznacza, że w ogóle nikt nie zgłosił ich zaginięcia? No bo nie ma powodu, żeby ich zaginięcie zgłaszały dwie różne osoby?

- Jeśli mamy do czynienia z wnuczką i babcią, to najbardziej logiczne byłoby zgłoszenie ich zaginięcia przez jedną i tę samą osobę - zgodził się Leblanc i wyjął na wierzch kolejny dokument. - Ale jeśli zrobimy eksperyment myślowy i założymy, że były dwa oddzielne zgłoszenia, i jeśli będziemy dość rozrzutni przy ustalaniu profilu wiekowego... założmy wiek dziewczynki na dziesięć do piętnastu lat, a wiek babci na pięćdziesiąt do osiemdziesięciu... Zgadza się państwo, że margines bezpieczeństwa jest w takim przypadku wystarczająco duży?

- Bez wątpienia - westchnął Tallin. - To ile wychodzi ostatecznie?

Leblanc odchrząknął.

- W całym kraju, podkreślam w całym kraju, z wyznaczonego przez nas okresu dwóch miesięcy - lipiec i sierpień - 2002 roku nadal zaginionych pozostaje szesnaście kobiet ze starszego profilu wiekowego i jedenaście z młodszego.

- I mamy nazwiska wszystkich tych osób? - spytał Barbarotti.

- Oczywiście - powiedział Leblanc. - Ale między tymi osobami nie ma żadnych więzów pokrewieństwa i nie mamy żadnej dziewczynki o imieniu Troaë.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza. Komisarz Tallin odchylił się do tyłu na krześle i gapił się w sufit. Barbarotti poczuł ból, bo przegryzł sobie policzek od środka.

- Jedno pytanie. Czy ta lista obejmuje również osoby, których zaginięcie zgłosiły jakieś instytucje... typu szkoła lub urząd skarbowy?

- Tak - odpowiedział Leblanc - te również.

- Ale - stwierdził Barbarotti - zasadniczo przecież nie ma przeszkód, żeby dziewczynka i babcia jednak były wśród tych... ile ich było...?

- *Vingt-sept* - powiedział Leblanc.

- Wśród tych dwudziestu siedmiu osób?

- Oczywiście, że nie ma - odpowiedział Leblanc. - Poprosiłem o przesłanie danych dotyczących wszystkich tych zniknięć. Jak tylko do mnie dotrą, przekażę je do was do Szwecji. Przypuszczalnie na początku przyszłego tygodnia.

- *Merci* - powiedział Tallin. - *Merci beaucoup*.

- Jest jeszcze jedna sprawa - zauważył Barbarotti. -Przypuszczam, że w tym kraju mieszka jakaś liczba ludzi bez pozwolenia na pobyt. Czyli ludzi, o których władze zasadniczo nic nie wiedzą.

- Szacunkowo między pół miliona a milion - przyznał Leblanc.

- W większości z Afryki.

- I gdyby tak ktoś z nich...?
- Oczywiście, że nie - stwierdził Leblanc. - Ich nie obejmują żadne statystyki. Ale przecież ani ta dziewczynka, ani jej babcia nie miały ciemniejszego koloru skóry?
- Nie - odpowiedział Barbarotti. - Nic na to nie wskazuje.
- Arabki...? - spytał skrzywiony Tallin. - Dlaczego nie? Dziewczynka była ciemnowłosa, w notatkach można to przeczytać w kilku miejscach.

Znowu zapadła cisza. Leblanc zdjął okulary i zaczął je czyścić. Barbarotti spojrział przez okno i zobaczył, że nadal pada.

- To tyle - powiedział Tallin po szwedzku. - Chyba możemy uznać, że już więcej z tego nie wyciśniemy.

To samo uważał sześć godzin później, kiedy siedzieli przy kolacji w restauracji Kerven Mer. Byli o rzut beretem od hotelu, tylko we dwóch - inspektor Morelius poprosiła o wychodne, ponieważ chciała się spotkać ze starą przyjaciółką, która mieszkała w Breście - i wypili już dwie butelki bourgogne. Miało pełny smak i było niezłe, ale wystarczyłaby jedna.

- Jeśli potrafisz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi, to załatwię ci awans na komisarza od pierwszego stycznia - powiedział Tallin. - Masz to jak w banku.

Barbarotti wiedział, że Tallin nie miał na pewno żadnych możliwości wpływania na decyzje o awansach, ale udał, że mu wierzy.

- Wielkie dzięki - odpowiedział. - Przecież to proste. Albo dziewczynka i babcia są w tej grupie osób, których dane dostaniemy w przyszłym tygodniu... tak po prostu. Albo też... no tak, albo były turystkami i mieszkały w przyczepie kempingowej.

- Co? - zapytał Tallin.

- Albo Cygankami bez pozwolenia na pobyt - dorzucił Barbarotti. - Albo Arabkami, dlaczego nie? Dziewczynka była czarnowłosa, babcia też. Nawet jeśli nie miały ciemnej skóry

Tallin zastanawiał się.

- Czyli według ciebie możliwe są te dwa rozwiązania? - spytał.

Gunnar zastanawiał się przez chwilę i stwierdził:

- Jest jeszcze trzecie. Że on kłamie.

- Kłamie? - powtórzył Tallin.

- Tak, wymyślił całą tę historię. I jeśli dziewczynka i babcia w ogóle istnieją, to wcale nie umarły tego lata.

Tallin podniósł swój kieliszek i zaraz odstawił go z powrotem.

- Co ty, do cholery, mówisz?

- To nie jest wykluczone - powiedział Barbarotti. - Wymyślił tę historię... nie tę o Szwedach, ale tę o dziewczynce i babci.

- A jakie jest sensowne wytłumaczenie, że taką historię wymyślił? - Tallin brzmiał teraz, jakby nie skonsumował takich ilości wina.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Gunnar Barbarotti. - Dobra, cofam to. Bardziej prawdopodobne jest rozwiązanie numer dwa.

Ale Tallin nie chciał odpuścić.

- Czyli miałyby zabić tę piątkę z innego powodu? Z powodu, który z jakiejś przyczyny chce ukryć? To masz na myśli?

- Nie - odpowiedział Barbarotti. - Nic nie mam na myśli. Przecież to brzmi jak jakieś szaleństwo.

- Chyba zdawał sobie jednak sprawę z tego, że my będziemy wszystko sprawdzać - upierał się Tallin.

- Może dla niego jest to nieistotne.

Tallin podrapał się po głowie.

- Myślisz, że to rozjaśnia sprawę? Jaki byłby sens opowiadania historii, jeśli się wie, że my ją przekłujemy jak balon.

- Jestem lekko nawalony - powiedział Barbarotti. - I powiedziałem, że bardziej przemawia do mnie wersja Niemców w kamperze. Opowiedzieli rodzinie i znajomym, że jadą do Nordkapp, ale ostatecznie zmieniają zdanie i lądują w Bretanii, a potem trafiają na

tych Szwedów. Co to mówiłeś o awansie na komisarza?

- Zamierzam zamówić jeszcze kawę i koniak - oświadczył Tallin.

- Czy to konieczne? - mruknął Barbarotti.

Kiedy w piątek rano zgłosili się do odprawy na lotnisku w Quimper, zadzwonił telefon Barbarottiego. Dzwoniła doktor Olltman.

- Co słychać?

Starał się naprędce wymyślić jakieś prosiakowe metafory, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Wszystko w porządku - powiedział z przekonaniem. - Jestem aktualnie we Francji. Nagrałem pani wiadomość na sekretarce w sprawie ubiegłego piątku, mam nadzieję, że do pani dotarła?

- Tak, jak najbardziej - zapewniła Olltman. - Dzwonię, bo chciałam się umówić na nowe spotkanie.

- Sprawy się trochę pozmieniały.

- Mam nadzieję, że na lepsze?

- Bez wątpienia - potwierdził Barbarotti. - Ale byłem w niedoczasie.

- Nadal czytuję gazety - poinformowała go Olltman. - Proszę o telefon, kiedy znowu pan będzie miał czas. Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyśmy się jeszcze raz czy dwa spotkali.

- Oczywiście - powiedział Barbarotti. - Odezwę się w przyszłym tygodniu, kiedy wszystko się trochę uspokoi. Przepraszam, ale muszę już iść do kontroli bezpieczeństwa.

- Miłej podróży do domu - życzyła Olltman.

- Dziękuję - powiedział Barbarotti.

Uspokoi się? - pomyślał, kiedy już wyłączył telefon i zaczął wyjmować z kieszeni metalowe przedmioty. Można sobie tak

wmawiać. Chyba należę do ludzi, którzy odpoczywają dopiero w grobie, o ile w ogóle.

Kiedy chwilę później podążał za Tallinem i Morelius w kierunku bramki, przypomniał sobie, że musi wstąpić na lotnisku Charles de Gaulle do sklepu i znaleźć dobre wino.

Nadszedł piątek, mimo wszystko.

37.

Przyrządzenie homara trwało dwie godziny, a zjedzenie go cztery.

Nieoczekiwanie długi czas konsumpcji był spowodowany przerwą na seks. Po prostu nie mogli się powstrzymać.

Innych rzeczy też nie dało się powstrzymać.

- Podjęłam decyzję - oświadczyła Marianne. - Chcę być z tobą.
- Dobra, umowa stoi - powiedział Gunnar Barbarotti.

Marianne zaśmiała się.

- Nigdy nie zapomnę tych słów. „Umowa stoi”. Przypomnę ci je, kiedy za jakieś czterdzieści lat będziemy spacerować, trzymając się za ręce, po jakiejś plaży o zachodzie słońca.

- Będę miał wtedy osiemdziesiąt siedem lat. Wiele rzeczy trzeba mi będzie przypominać. Myślisz, że powinniśmy wziąć prawdziwy ślub i tak dalej?

- A ty myślisz, że nie?
- Uważam, że powinniśmy. Oczywiście. Chcesz jeszcze wina?

Doszli do deseru. Lody z malinami na gorąco, tylko tyle, ale homar zajął mnóstwo czasu i Barbarotti nie zdążył przygotować nic innego. Zresztą, bez przesady, w świecie inspektora Gunnara Barbarottiego nie było lepszego deseru niż lody waniliowe i gorące

owoce. Nawet to *brûlée* w Quimper nie smakowało lepiej.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Jestem pijana z miłości.
- Przypomnę ci o tym kiedyś na tej plaży - uśmiechnął się

Barbarotti.

- Dobrze - zgodziła się Marianne. - Jesteś pewien, że jakoś przeżyjesz ślub w kościele i całe to zamieszanie?

- Może wystarczy jakiś maleńki kościółek - zaproponował Gunnar. - Bez pięciuset gości i tony ryżu na szczęście?

- Wystarczy, że będziemy ty i ja - oświadczyła Marianne.
- Może jeszcze jakiś ksiądz?
- Okej, ale malutki. Co myślisz o dzieciach?

Barbarotti zastanawiał się. Nie opowiadał jej jeszcze o ostatnich pomysłach Heleny; sam nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że mimo wszystko nie był pewien, czy do tego dojdzie. Czy rzeczywiście Lars i Martin przeprowadzą się do niego. Różnie już wcześniej bywało. Może również dlatego, że nie chciał rozmawiać z Marianne o Helenie. Z jakiegoś powodu.

- Musimy im wszystko powiedzieć - oznajmił. - Może powiemy im, że jeśli mają ochotę, to też mogą przyjść?

Na chwilę spoważniała.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że zostaniesz ojcem nastolatków? - Przeszywała go spojrzeniem swoich zielonych oczu. - Johan i Jenny mieszkają ze mną i to się nie zmieni.

- Jasne, że sobie zdaję sprawę. Nauczę ich wszystkiego, co umiem.

Roześmiała się.

- Wiesz co? Najbardziej mi się w tobie podoba to, że możemy się razem śmiać. Z Tommym nigdy się nie śmiałam.

- Nigdy? Czasami musieliście się przecież z czegoś cieszyć?

Pokręciła głową.

- Nie, nigdy nie śmialiśmy się razem, przynajmniej nie w ostatnim okresie. On lubił śmiać się ze mnie, a to zupełnie nie to samo.

Najsmutniejsze jest to, że wydaje mi się, że ze swojej nowej żony też się naśmiewa.

- Masz z nią kontakt?
- Tylko wówczas, gdy odwożę i odbieram dzieci. Ale nie widzę u niej radości. Mają też dwoje własnych dzieci.
- Chyba nie chcesz, żebyśmy i my...
- Nigdy w życiu - wybuchnęła Marianne i uderzyła go w brzuch. - Ty masz troje, ja mam dwoje; jeśli ci mało, musisz sobie poszukać innej.
- Świetnie - powiedział Gunnar Barbarotti. - W tym punkcie pełna zgoda.
- Ale jest coś innego - przypomniała sobie Marianne po kolejnej łyżce lodów.
- Co takiego?
- Musisz przestać się bić z reporterami. Johan marzy o zawodzie dziennikarza, całkiem nieźle pisze, więc nie byłoby dobrze, gdyby myślał, że...
- Następnym razem, gdy się spotkamy, pogadam z nim i spokojnie mu wszystko wyjaśnię. Jeśli ma pracować w tym zawodzie, to moje doświadczenia z pewnością mu się przydadzą.
- To dobrze - ucieszyła się Marianne. - A więc w tym punkcie też pełna zgoda.

- Co myślisz o Helsingborgu?

- Słucham?
- Pytam, czy byłbyś gotów przeprowadzić się do Helsingborga.
- Chyba tak.

Nadal był piątek.

Ale późny. Długie pauzy pomiędzy replikami i powiew łagodnego wiatru z otwartego balkonu. Wygodnie wyciągnięci na podłodze w migoczącym świetle świecy. Z głośników słysząc Cristinę Branco, cicho, cicho. Odkrył muzykę fado, tego portugalskiego bluesa,

dopiero rok temu, ale zdążył już dorobić się piętnastu płyt w swojej kolekcji.

Dostałem laski, pomyślał Gunnar Barbarotti. Nie ma słów, by opisać taką chwilę.

- Hmm.

- Co miało znaczyć to „hmm”?

- Wiesz, ja tam mieszkam od dziesięciu lat. - Głaskała go po piersi i brzuchu. - Myślę, że mogłabym zmienić otoczenie. Zaczęlibyśmy wszystko całkiem od początku. Ale najpierw muszę oczywiście pogadać z dziećmi.

- Nie wspomniałaś im, że... zamieszkamy razem?

- Nie - mruknęła nieco zmartwionym tonem. - Musiałam najpierw sama się upewnić. Decyzja o ponownym małżeństwie należy do mnie, nie do nich. Ale muszę uwzględnić ich zdanie co do miejsca zamieszkania.

- Naturalnie - powiedział Barbarotti. - *À propos*, może pójdziemy na spacer? Zobaczysz, jak wygląda to miasto w ciepłą noc końca lata?

- Bardzo chętnie - zgodziła się. - A nie uważasz, że powinniśmy najpierw coś na siebie założyć?

- Chyba powinniśmy.

Spędzili ze sobą całą sobotę i pół niedzieli. W sobotę wieczorem opowiedział jej o trzech dniach w Bretanii, a potem o całym dochodzeniu. Nie miał wcześniej takiego zamiaru, ale wszystko się przecież zaczęło, kiedy w przepiękny letni poranek w Gustabo w Hogrån otworzył pierwszy list, miała więc trochę racji, twierdząc, że należy jej się wgląd w dalszy ciąg zdarzeń.

- Więc jak myślisz? - zapytała, gdy skończył. - Tak naprawdę.

- To właśnie jest najgorsze. Nic nie myślę. Zazwyczaj mam przeczucie, w którą stronę sytuacja się może rozwijać, ale nie w tym przypadku. Z drugiej strony jednak nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Marianne zmarszczyła czoło.

- Może prawdą jest to, że były zagranicznymi turystkami w kamperze. W paru miejscach było napisane, że dziewczynka i babcia miały dziwny akcent, prawda?

- Przynajmniej babcia. Oczywiście, że to może być prawda. Jednak z drugiej strony sam morderca jest taki... jakby to powiedzieć?... nieprawdopodobny?

- Chodzi ci o to, że to wszystko opisuje?

- Między innymi.

Marianne zastanawiała się przez chwilę.

- Nie wydaje ci się, że jest w tym trochę logiki? Że był takim kozłem ofiarnym, któremu przyszło wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko... chociaż całą lawinę zdarzeń wywołał zwykły nieszczęśliwy wypadek. Nic dziwnego, że po czymś takim człowiek traci spokój ducha.

Gunnar Barbarotti uśmiechnął się.

- Traci spokój ducha? Brzmi trochę staroświecko, ale chyba bardzo dobrze go punktuje.

- Może trzeba potraktować tę relację jako znak zdrowienia - zaproponowała. - Mimo wszystko. Że mimo wszystko czuje potrzebę wyjaśnienia tego, co robi.

- Tak - zgodził się Barbarotti. - Też o tym myślałem. Co w takim razie zrobić z listami? W nich trochę trudniej dopatrzeć się oznak zdrowienia, nie uważasz?

- Tak, masz rację.

Siedziała bez słowa i widać było, że myśli. Później przeczesала włosy palcami i potrząsnęła głową, jakby chciała z niej wytrząsnąć te osobliwe spekulacje i zrobić miejsce dla czegoś jaśniejszego i normalniejszego.

- Potworna historia, jak by na to nie patrzeć. Myślisz, że uda wam się ją rozwiązać? Znaczący, czy go złapiecie?

Gunnar Barbarotti roześmiał się.

- Kiedy byłem we Francji, włożyłem palec w Biblię w poszukiwaniu wskazówki. Wiesz, na co trafiłem?
- Nie.
- Księga Przysłów, rozdział dwudziesty, wers piąty. Znasz to? Zastanawiała się przez chwilę.
- Coś tam o sercu człowieka i głębokiej wodzie, tak?
- Boże, skąd to wiesz?
- Czytam to od czasu do czasu, przecież wiesz. A Księgę Przysłów czytam dość często. Jak to brzmi naprawdę?
- „Głęboką wodą plan w sercu człowieka - zacytował Barbarotti. - Czerpie z niej człowiek przemysłny”.
- No właśnie, więc zrób to - zaśmiała się Marianne. - Wyraźniejszej podpowiedzi nie będzie. Zaczerpnij z niej ten plan!

Rozstali się w niedzielne popołudnie. Umówili się, że poinformują wszystkie dzieci, których to dotyczy, a także eksmałżonków i innych, a potem złożyli sobie obietnicę, że święta Bożego Narodzenia spędzą już razem jako mąż i żona. Mają zatem cztery miesiące, a przygotowanie niewielkiego ślubu w niewielkim kościółku z niewielkim księdzem nie wymagało z pewnością dłuższych przygotowań.

Po wyjeździe Marianne pomyślał, że głupio zrobił, nie mówiąc jej o sytuacji z Larsem i Martinem; ale dzwoniąc do niej w następnym tygodniu, mógł przecież udawać, że właśnie dostał tę informację. Nie wspomniał też o swoich rozważaniach o zmianie pracy, ale przecież przez ostatni tydzień wszystkie takie myśli wyleciały mu z głowy, więc pewnie dobrze zrobił.

O czwartej włączył z powrotem wszystkie telefony, wyłączone od piątkowego wieczoru. Miał cztery wiadomości. Dwie od dziennikarzy, którzy chcieli przeprowadzić z nim wywiad, jedną od Heleny i jedną od Evy Backman.

Zaczął od dziennikarzy - mając na świeżo w pamięci obietnicę złożoną Marianne: że będzie dbał o dobre relacje z prasą. Wyjaśnił grzecznie, lecz stanowczo każdemu z nich - pierwszy był z „Dagens Nyheter”, a drugi z ”Vår Bostad” - że bardzo chętnie udzieli im wywiadu, ale dopiero po zakończeniu trwającego dochodzenia.

Następnie zadzwonił do swojej byłej żony. Zauważył, że nadal myślał o niej właśnie w takich kategoriach. Nie „Helena”. Nie „Matka moich dzieci”. Niestety.

- Dzwonił do mnie Lars - oznajmił. - Powiedział, że są z Martinem gotowi pomieszkać pod jednym dachem ze starym ojcem.

- Ha, ha - zaśmiała się Helena. - Tak, wydaje mi się, że sobie poradzą.

- Świetnie, że tak myślisz - zauważył Gunnar i wziął głęboki oddech. - Czyli podjęliście decyzję w sprawie Budapesztu?

- Oczywiście. Ulrich jedzie już w środę, a ja dojadę, gdy tylko załatwimy sprawę z chłopcami.

- Potrzebny jest aż taki pośpiech? - zapytał.

- Co masz na myśli? - skontrowała. - Jeśli mają zacząć naukę w nowej szkole, to chyba lepiej, żeby to nie było w połowie semestru, prawda?

- Czyli kiedy chciałabyś to przeprowadzić?

- Może spróbujesz załatwić to od przyszłego poniedziałku?

- Od przyszłego poniedziałku? To przecież tylko tydzień.

- Tak, wiem, ale dla wszystkich najlepiej będzie, jak nie będziemy tego przeciągać. Ja porozmawiam tutaj w szkole jutro, a ty mógłbyś zrobić to samo w Kymlinge. I jutro wieczorem się zdzwonimy, okej?

Dziwne, że po prostu nie zadzwoniła do drzwi i nie zostawiła ich tu, każdego z małą walizką, pomyślał. Ale przypomniał sobie o świeżo nabytej dojrzałości emocjonalnej, zamknął oczy, policzył

do trzech i powiedział, że ten plan jest w porządku.

Kiedy odłożył słuchawkę, zastanawiał się przez chwilę nad podziałem posiadanych trzech pokoi. Czy chłopcy będą mieszkać osobno, czy będą mogli mieszkać razem w pokoju Sary, jak zwykle robili, gdy przyjeżdżali do niego na krótsze wizyty? Sara przenosiła się wtedy na sofę w pokoju dziennym albo do jakiejś koleżanki.

Nie ma problemu, wszystko się ułoży. Jutro przed południem musi zadzwonić do Kymlingeviskolan. Za tydzień znowu będzie miał pod opieką dziesięciolatka i dwunastolatka; co by nie mówić o życiu, to czasami zmienia się jak w kalejdoskopie.

Wybrał numer do Evy Backman. Była zajęta przygotowywaniem obiadu, ale obiecała, że zadzwoni za dwie godziny.

I zadzwoniła.

- Słyszałam o wynikach rozmów z francuską policją - zaczęła.
- No tak, wiedziałem, że będziesz poinformowana - stwierdził.
- No i co to może znaczyć?
- Nie wiem. Nie rozumiem tego.
- Ja też nie - zgodziła się. - Nie lubię rzeczy, których nie

rozumiem.

- Mam to samo. Ale potykam się o nie bez przerwy.
- Wyobrażam sobie.

Wygląda, że jest na tropie, pomyślał Barbarotti.

- Słyszałem, że wy też nie macie się czym chwalić, co?
- Straszna mizéria - potwierdziła. - Nie rozumiem, po co opublikowaliśmy to zdjęcie. Jedyne efekty są takie, że setki Bogu ducha winnych ludzi są podejrzane o popełnienie masowego morderstwa. Jeśli nie znajdziemy tego właściwego, to wszyscy oni pozostaną na liście podejrzanych przez całe swoje życie.

- No, ale chyba większość nie ma problemów z alibi?
- Oczywiście. I co z tego. Myślisz, że gazety publikują nazwiska i zdjęcia tych, których wykluczaliśmy? Kenneth Johansson

Z

Alvesty nie zamordował pięciorga ludzi, Gustaf Olsson albo Kalle Kula w Sztokholmie też nie. Sprawy o odszkodowanie będą trwały latami, wierz mi.

- Chyba jesteś wkurzona.
- A żebyś wiedział. Myślałam o tym, oglądając sześć meczów unihokeja.

- Aha! Zaczął się sezon?

- Tak, sezon przygotowawczy. Olać to. Interesuje mnie ta dziewczynka i jej babcia. Coś musieliście przecież ustalić?

- Niewiele. Chociaż nie, ustaliliśmy jedną rzecz. Wydaje mi się, że imię dziewczynki jest wymyślone.

- Przez kogo?

- Albo przez nią samą, albo przez mordercę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Dlatego że komisarz Leblanc nigdy takiego imienia nie słyszał. A poza tym...

- Poza tym...

- Poza tym ta gra słowna: *The Root Of All Evil*. Po prostu jest zbyt wymyślne.

Po chwili namysłu Eva Backman odpowiedziała:

- Jeśli jest wymyślone, to na pewno nie przez dziewczynkę.

- Nie, to prawda. Ale jest w tej historii coś, co mi się nie zgadza. Zastanawiałem się też nad tym, co mogło się wydarzyć między Erikiem a dziewczynką na tym spacerze po wyspie.

- Chyba nietrudno się domyślić, po prostu ją przeleciał. A ona może się za bardzo nie broniła.

- Dwunastolatkę?

- Może masz rację, tu też się coś nie zgadza - przyznała Backman. - Nie zamierzam go bronić.

Barbarotti nie skomentował tych słów.

- Dlaczego ich nie znaleźli w archiwum, jak myślisz? - ciągnęła dalej Backman. - Pomijając fakt, że nie wszystkie szczegóły się zgadzają.

- Jest kilka możliwych wyjaśnień. Za parę dni dostaniemy materiały z poszukiwań i jeśli ich tam nie znajdziemy, to musimy rozejrzeć się za innymi rozwiązaniami.

- Innymi rozwiązaniami?

- Tak.

- Na przykład?

- Możemy o tym pogadać jutro? Ale przyszła mi do głowy inna myśl, o której chciałbym z tobą pogadać.

- Super, że nadal masz w głowie jakieś myśli - skomentowała Eva Backman.

- Tak sądzisz?

- Tak. Bo jutro przed południem masz rozwiązać tę sprawę. Przejrzysz listę wszystkich Tych Szóstych, których nam zgłoszono, i przypomnisz sobie jednego z nich ze swojej przeszłości. Taki jest plan.

- Ach tak? Z powodu tych listów?

- Właśnie. A kiedy skończysz, będę mogła nareszcie iść na urlop.

- Obiecuję, że zrobię, co będę mógł - powiedział Barbarotti i odłożył słuchawkę.

O wpół do dziesiątej wieczorem wypił małą whisky. Prawie nigdy tego nie robił, szczególnie w niedzielny wieczór. Ale potrzebował lekarstwa. Próbował w głowie strzelić gola wieloma piłkami naraz i potrzebował czegoś, co pomoże mu się z tym uporać.

Jego ciało też musiało sobie golnąć. Kiedy tak siedział i popijał drinka małymi łydkami, próbował posegregować najważniejsze sprawy.

Marianne? W najbliższych miesiącach się pobiorą i zamieszkają

razem. Czy rzeczywiście był gotowy na taki krok?

Głupie pytanie, jasne, że tak.

Chłopcy? W przyszlą niedzielę, za tydzień, będzie im mówił dobranoc przed pierwszym dniem w szkole w Kymlinge. Wszystko było takie dziwne.

Ta sama sytuacja, co wcześniej; najgorszym doradcą są tutaj niepewność i powątpiewanie.

Sara? Palił jej się grunt pod nogami. Na co, do cholery, potrzebuje aż pięciu tysięcy? Co tam się stało?

Skoncentrował się maksymalnie, żeby przepchnąć ją do warstwy podświadomości.

Johan i Jenny? Prawie ich nie znał. Spotkał ich może pięć, może sześć razy, a teraz będzie odpowiadał za ich życie. Gliniarz, który się bije z dziennikarzami; jak im się spodoba taki przyszywany ojciec?

Nie, pomyślał Gunnar Barbarotti. Trzeba robić to, co w naszej mocy, a potem żywić nadzieję i ufać. Wypił łyk whisky i zamknął oczy.

No i wreszcie dochodzenie. Całe to przekłete dochodzenie, którego nie dało się okiełznać. Troaë, która utonęła pięć lat temu, coraz bardziej wymykała się z rąk i była coraz mniej uchwytana - i jej babcia, starsza pani, która pojawia się pewnego wieczoru pod pewnym domem w Finistère i zostaje zamordowana kluczem francuskim wyprodukowanym w Szwecji. Skąd się tam wzięły? Czy kiedykolwiek uda się ustalić ich prawdziwą tożsamość?

Albo, jak to określiła Marianne: Czy kiedykolwiek uda się to rozwiązać?

Kiedy whisky się skończyła, zmówił modlitwę egzystencjalną.

Boże, ześlij na zamroczony mózg gliniarza promień czysty i jasny. Co to za gadanie o planach i głębokiej wodzie? Masz dwadzieścia cztery godziny, żeby to wyjaśnić, a jeśli jutro wieczorem nic mi się nie rozjaśni, stracisz punkt. Jeśli mi pomożesz, dostaniesz trzy. Słyszysz, to bardzo ważne. Trzy punkty!

Bóg, który aktualnie był osiem punktów na plusie, odpowiedział, że wprawdzie prośba łamała wszystkie zasady - bo dotyczyła aktualnego dochodzenia, a to nie wchodziło do umowy - jednak rozważy sprawę.

Gunnar Barbarotti podziękował. Potem na jednym z kanałów w kablówce znalazł jakiś stary angielski film z Michael'em Caine'em. Film zaczął się o dziesiątej, a Gunnar zasnął na sofie już piętnaście minut później.

38.

- Jak mam go teraz rozpoznać, skoro nie rozpoznałem go na zdjęciach z Bretanii? - spytał Barbarotti.

- Nie będziesz rozpoznawał twarzy - wyjaśnił cierpliwie Jonnerblad. - Chodzi o nazwiska. Nawet nie mamy ich zdjęć, z wyjątkiem kilku.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Jak się czuje żona?

- Żona?

- Tallin mówił, że miała mieć w środę operację.

- Dzięki - odpowiedział Jonnerblad, a zmarszczki wokół oczu i ust na chwilę się wygładziły. - Operacja poszła dobrze, ale nie są pewni, czy usunęli wszystko.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Trzeba ufać i mieć nadzieję. W porządku, czyli idę z tymi listami do siebie. Mam zacząć od grupy o najwyższym priorytecie?

Jonnerblad wyglądał przez chwilę, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest.

- Nie - powiedział w końcu. - I nie powiemy ci też, kto ma alibi. Lepiej żebyś podchodził do nich obiektywnie.

Podał mu plik kartek w przezroczystej, miękkiej plastikowej koszulce.

- Naprawdę wierzysz, że między mną a mordercą istnieje jakieś powiązanie - zapytał Barbarotti, stojąc już w drzwiach.
- Na pewno nie możemy wykluczyć tej możliwości.
- Ilu ich jest?
- Tylko pięćset pięćdziesięciu. Wyeliminowaliśmy ze stu pięćdziesięciu szaleńców, żebyś miał łatwiej.
- Dzięki - mruknął Barbarotti.

Siedział przy swoim biurku i czytał nazwiska z listy przez dwie i pół godziny. Jonnerblad kazał mu pracować wolno i metodycznie, więc się do tego stosował. Patrzył na imię i nazwisko, rok urodzenia, miejsce zamieszkania i zawód, mając przed sobą również zdjęcie Tego Szóstego, a kiedy wreszcie skończył, na jego liście rozpoznanych były tylko trzy osoby.

Wszyscy trzej z Kymlinge. Jeden z nich pracował na siłowni, do której czasami chodził potrenować, drugi mieszkał w tej samej klatce co on, w bloku przy Baldersgatan, a trzeci był policjantem.

Był bardzo zdziwiony, widząc te dwa ostatnie nazwiska. Sąsiad i kolega? Co to znaczy? Jeden nazywał się Tomas Jørnevik, a drugi Joakim Möller. Próbował przypomnieć sobie ich twarze i porównać je z człowiekiem z restauracji w Bénodet, ale nie wydawały mu się szczególnie podobne. Jørnevik był cięższy tak mu się przynajmniej wydawało, i miał zdecydowanie bardziej zaokrągloną twarz, a Möller miał ciemniejsze włosy, dużo ciemniejsze, i nawet oczy nie były podobne; Barbarotti uznał, że podobieństwo jest w zasadzie zerowe.

Więc to, że zareagował na ich nazwiska, wynikało wyłącznie stąd, że obydwaj mieli jakiś związek z jego osobą, a o to przecież chodziło. O to prosił go Jonnerblad. Zastanawiał się, kto mógł ich zgłosić. Takie informacje na pewno też gdzieś były dostępne, ale nie na tych listach, które dostał. Próbował sobie przypomnieć, co

wiedział o Jörneviku i Möllerze, ale szybko stwierdził, że prawie nic. Obydwaj mieli po trzydzieści sześć lat, tak było napisane przy ich nazwiskach; wydawało mu się, że Jörnevik pracował jako taksówkarz, mówił mu dzień dobry, gdy się spotykali na schodach, i to wszystko. Może coś studiował, a z tego, co Barbarotti zaobserwował, wynikało, że mieszkał sam. Möller pracował w grupie młodzieżowej, zajmującej się głównie rozpracowywaniem i zwalczaniem siatki narkotykowej. Jego żona była chyba politykiem gminnym, jakoś tak mu się kojarzyło. W partii socjaldemokratycznej, blondynka, dość ładna.

Jeśli można tak mówić o polityku. Ale chyba można. Jakiś rok wcześniej pewna pani minister powiedziała przecież w mediach, że polityka była najseksowniejszą rzeczą w jej życiu.

Zamknął oczy, żeby przegonić te myśli. Ponownie otoczył te trzy nazwiska kółkiem i próbował sobie przypomnieć, czy ma z nimi jakieś niewyjaśnione porachunki, ale nic mu nie przyszło do głowy. Poskładał kartki i włożył je z powrotem do koszulki. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej. Umówił się z Jonnerbladem, że spotkają się po lunchu, o pierwszej.

Pora przebrać się na chwilę w rolę rodzica, pomyślał i wybrał numer do Kymlingevisksskolan.

Nie było żadnych problemów. Były miejsca w klasach zarówno czwartych, jak i szóstych. Barbarotti nie wyjaśniał przyczyn tej nagłej zmiany szkoły, powiedział tylko, że z powodu niespodziewanych okoliczności Lars i Martin mieli od teraz zamieszkać u niego.

Pani dyrektor Varpalo o nic nie pytała. Może teraz to norma, że dzieciaki mieszkają trochę tu, trochę tam? - pomyślał Barbarotti. Szkoła musi się cieszyć z dwóch nowych uczniów, bo pomijając już inne aspekty, oznacza to podwyższenie budżetu o jakieś sto tysięcy.

Bo chyba tak działają dotacje oświatowe. W każdym razie pani Varpalo obiecała, że wyszuka odpowiednie klasy, porozmawia z

wychowawcami i odezwie się jutro.

Kiedy odłożył słuchawkę, do drzwi zapukała inspektor Backman i wsunęła głowę do środka.

- Zapraszam na lunch do Kungsgrillen. Pod warunkiem że podasz mi nazwisko mordercy.

- Kungsgrillen może być - odpowiedział Barbarotti. - Ale sam za siebie zapłacę.

Przypomniał sobie, że ma jeszcze na koncie sześćdziesiąt dwie korony, ale nie powiedział tego głośno.

- Czyli wynik negatywny?

- Chyba tak. Wiesz, którzy mają alibi?

- Wszystkich nie pamiętam, ale z grubsza wiem. Mogę zgadywać, których wybrałeś?

- Wyniki podam Jonnerbladowi o pierwszej. Ciebie nie będzie?

- To zależy, czy masz coś ciekawego do powiedzenia. No to mogę zgadywać, czy nie?

- Proszę bardzo - powiedział Barbarotti.

- Trzy nazwiska. Twój sąsiad, facet z siłowni i Möller.

Barbarotti przestał gryźć.

- A niech to! To ja harowałem przez całe przedpołudnie, a ty przychodzisz i tak po prostu...

- Przepraszam - powiedziała Backman. - Czyli miałam rację?

- Tak. Miałaś rację. Jak rozumiem, prześwietliłaś już całą trójkę?

Backman kiwnęła głową.

- Jonnerblad o tym nie wie, ale rzeczywiście. Möllera sprawdzili już wcześniej, a dwóch pozostałych sprawdziłam w czasie meczów unihokeja. Oczywiście tylko przez komórkę, ale mogę ich z dużą pewnością wyeliminować z listy... nie chcę jednak, żeby nasi koledzy z centrali poczuli się rozczarowani, więc dajmy im zrobić to jeszcze raz, taka jest moja rada.

- Czyli nie będzie cię na tej naradzie?
 - Nie. Olewam ją. Jest kilka starych wątków, nad którymi chcę popracować.
 - Jakich?
 - Przynajmniej pieczeń była świetna - pochwaliła Eva Backman.
 - No to skreślam cię z testamentu - oznajmił Barbarotti.
- Ludzie powariowali - wypalił Astor Nilsson. - Dzisiaj rano ktoś zgłosił swojego brata jako potencjalnego sprawcę.
- To chyba nic zdrożnego, że robisz zgłoszenie na własnego brata - odparł Tallin. - Morderca to morderca.
 - Może i tak - odpowiedział Astor Nilsson. - Ale ten brat przypadkiem ma siedemdziesiąt pięć lat i mieszka w Los Angeles. Do tego jest niewidomy od urodzenia.
 - Proponuję, żebyśmy go wykreślili - powiedział Smutas.
 - Dobra - oznajmił Jonnerblad, choć wyglądał, jakby nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Odchrząknął i zwrócił się do Barbarottiego. - A więc te trzy osoby znasz, tak?
- Barbarotti skinął głową.
- Möllera już oczywiście sprawdziliśmy - zauważył Jonnerblad.
- A co z tym sąsiadem?
- Spojrzał na Tallina. Tallin spojrzał na Smutasa. Smutas spojrzał w notatki, które trzymał w ręce.
- To chyba nie on - odpowiedział. - Dwa ostatnie tygodnie lipca spędził w Grecji.
 - A ten facet z siłowni? - spytał Jonnerblad.
 - Chyba jeszcze nie był sprawdzany - odparł Smutas. - Zrobię to po południu.
 - Kto go zgłosił? - chciał wiedzieć Barbarotti. Smutas zajrzał do notatek.
 - Żona. Zdaje się, że się rozwodzą.
 - O Boże - jęknął Astor Nilsson.

Inspektor Barbarotti opuścił komendę w Kymlinge w poniedziałek tuż po piątej, będąc w stanie ducha przypominającym... no właśnie, co? - zastanawiał się. Rozpacz, która człowieka ogarnia, kiedy oblał egzamin po raz szósty. Albo kiedy po raz dziesiąty nie zdał egzaminu na prawo jazdy.

Albo oświadczył się i został wyśmiany.

Mimo że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby się udało.

Nigdy tego nie rozwiążemy, pomyślał. Nigdy przenigdy. Jesteśmy... - szukał właściwych słów, odpinając rower od stojaka i ruszając w drogę - ...jesteśmy zdani na mordercę, a on jest dużo sprytniejszy od nas, ma nad nami taką przewagę, że dalsza gonitwa w zasadzie nie ma sensu. Bawi się z nami. Śle listy i opowiada nam całą historię, trochę kłamie, trochę mówi prawdę, jak mu pasuje, a my tańczymy, jak nam zagra, jakbyśmy byli bezwolnymi, sparaliżowanymi myślowo marionetkami. W ciągu miesiąca zamordował pięcioro ludzi i prawdopodobnie mu się upieczce. Co najmniej pięcioro. Może siedmioro, może ośmioro. Niech to szlag.

Więcej morderstw nie będzie. To było najbardziej ewidentne w tym wszystkim. Ostatni znak życia dał dwa tygodnie temu, kiedy wysłał z Kairu swoje notatki. Barbarotti czytał gdzieś, że jeśli człowiek chciał zniknąć bez śladu, ukryć się dyskretnie przed oczami świata, to należało się udać do miasta, które było najbardziej odpowiednim do tego miejscem na ziemi. Do Kairu.

Od wtorku dwa tygodnie temu panowała cisza. *Case closed*. Morderca zabił już wszystkich ze swojej listy i nie miał nic więcej do powiedzenia.

Cholera, pomyślał Barbarotti, wygląda na to, że marzę o tym, iż znajdę na podłodze w przedpokoju nowy list od mordercy. Nawet jeśli to musi oznaczać nazwisko nowej ofiary

Byle złapać kolejny trop. Nowe otwarcie, możliwość wystartowania z innej strony. Obiecany przez Leblanca raport jeszcze się nie pojawił, ale Barbarotti czuł, że nawet kiedy już dotrze, będzie oznaczał tylko kolejny minus w bilansie. A ten pomysł, że dziewczynka

i babcia były w istocie zagranicznymi turystkami w kamperze... Czy taką hipotezę da się jakoś sprawdzić? A jeśli były rumuńskimi Cygankami, których nie ma w żadnych rejestrach świata? Dlaczego nie? Nietrudno sobie wyobrazić, jak cała ta historia roznosi się w czasie i przestrzeni w sposób niemal nieograniczony - i zobaczyć oczami duszy, jak siedzi razem z kolegami i przegląda te same dokumenty i te same listy za pięć, za dziesięć, a może i za piętnaście lat. Jasna cholera!

Z drugiej strony dał przecież Bogu dwadzieścia cztery godziny, prawie o tym zapomniął. Choć wiele wskazywało na to, że to trochę za mało.

Na rogu Skolgatan i Munkgatan pojawiła się nowa kawiarnia. Ponieważ nikt na niego w domu nie czekał, zatrzymał się, oparł rower o ścianę i wszedł do środka. Zamówił cortado - pół szklanki kawy, pół mleka - wziął gazetę o wydarzeniach kulturalnych i zaczął apatycznie przeglądać repertuar kinowy.

Trzeba zrobić coś z zupełnie innej bajki, pomyślał. Trzeba zrobić jak Leblanc, zostawić pracę w pracy.

Udawało mu się to przez dwa dni, kiedy była u niego Marianne, aie teraz wszystko wróciło na utarte ścieżki. Myśli w jego głowie pyrkotały jak garnek ze starą potrawką z kurczaka, z której nikt nigdy nie będzie miał pożytku; jeśli nad tym nie zapanuje, będą tak kipieć przez cały wieczór, aż do momentu gdy szczęśliwie uda mu się zasnąć. A będzie to z całą pewnością grubo po północy.

Później wszystko i tak do niego wróci w snach. Sprawa, dochodzenie i szydzący z nich morderca w nowo-starym diabolicznym kompocie - albo w potrawce - wymieszane z pozostałymi składnikami jego poplątanego życia.

Marianne. Chłopcy. Sara. Göran Persson.

Göran Persson? - zdziwił się. Nie, kurde, tylko nie Göran Persson.

Zadzwonił telefon.

To Asunander.

Co, do cholery? - pomyślał Barbarotti. Asunander? Przecież on nigdy do mnie nie dzwoni.

- Przepraszam - powiedział.

To było jeszcze bardziej nienormalne.

- Nie szkodzi - powiedział Gunnar Barbarotti.

- Gdzie jesteś?

- Na kawie w kawiarni.

- Kiedy będziesz w domu? Chciałbym pogadać na spokojnie.

Barbarotti zauważył, że wokół niego było dość głośno. I że ma co najmniej dwa razy tyle lat, co najstarszy gość.

- A o co chodzi?

- Później ci powiem. Jak zadzwonię do ciebie na domowy numer, dobra?

- Jasne - powiedział Barbarotti. - Nie ma sprawy. Będę w domu za kwadrans.

- To jesteśmy umówieni - powiedział Asunander i rozłączył się. Gunnar Barbarotti dopił swoją kawę i wyszedł z kawiarni.

- Chciałbym z tobą pogadać.

- Aha?

- Chodzi o dochodzenie.

- Tak?

- Nie byłem dzisiaj w pracy. Zostałem w domu, czytałem i myślałem. Mam pewną teorię.

Gunnar Barbarotti uszczypnął się w ramię. Tak, tak, to nie był sen. Naprawdę rozmawiał z Asunanderem. Jak cofnął kawałek taśmy pamięci, to stwierdził, że rzeczywiście nie widział komisarza przez cały dzień.

Ale jakaś teoria? Asunander?

- Proponuję, żebyś do mnie wpadł wieczorem. Porozmawiamy. O ile nie jesteś zajęty, ma się rozumieć.

- Nie, oczywiście. Nie jestem zajęty. Kiedy...?

- Powiedzmy o ósmej? Zapraszam na drinka. Storgatan 14, kod do domofonu 1958. Mundial w Szwecji.

- Będę.

Kiedy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że podczas rozmowy nie słyszał ani razu kliknięcia sztucznej szczęki.

39.

Drinka? - pomyślał Gunnar Barbarotti, wędrując w kierunku Storgatan. Uliczka znajdowała się w odległości dziesięciominutowego spaceru od jego domu i wcale nie była zbyt wielka, ale może kiedyś wydawała się większa*. Dlaczego Asunander wpadł nagle na pomysł, żeby mnie zapraszać na drinka? I opowiadać jakąś teorię?

* Storgatan znaczy ulica Wielka.

Dotyczącą sprawy.

Nigdy nie był u niego w domu. Wątpił, żeby ktokolwiek z kolegów tam był. Ani Backman, ani Smutas, ani Toivonen. Może któryś z szefów innych wydziałów, ale pewnie oni też nie. Asunander nie należał do ludzi, którzy spraszają do siebie gości. W każdym razie nie po tamtym. Po wypadku. Kij bejsbolowy i nowe, niedopasowane zęby

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę. To było jedenaście lat temu. W 1996 roku. Asunander objął właśnie stanowisko szefa; przyjechał z Halmstad i po niespełna pół roku od przybycia doszło do tego incydentu.

Zaulek Bella za dworcem kolejowym. Listopadowy wieczór, czterech chuliganów i jedno uderzenie z pełnego wymachu. Był na służbie, ale po cywilnemu, więc sprawcy twierdzili podczas rozprawy, że to całkowity przypadek, iż ofiarą był wysoko postawiony oficer policji.

Potem był cztery miesiące na zwolnieniu. Później zostawiła go żona. Mieli dom w dzielnicy Pampas, ale po rozwodzie Asunander kupił to mieszkanie przy Storgatan. Nie ma zresztą co rozwijać tej przydługiej i dość smutnej historii.

Zachował stanowisko szefa wydziału śledczego i z każdym rokiem coraz bardziej odsuwał się od wszystkich. Ale trwał na stanowisku. Nigdy nie ruszał się zza biurka. Straciwszy zęby na służbie, można było być pewnym jednego. Na pewno cię nie wyleją.

Parszywy los, pomyślał Barbarotti. Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślał? Czy ktokolwiek zwracał sobie głowę Asunanderem?

Ale była też druga strona medalu. Asunander nie był typem łatwym we współżyciu. Tak było już przed wypadkiem z kijem bejsbolowym, a potem było tylko gorzej. Barbarotti przypomniał sobie, że Backman próbowała faktycznie zbliżyć się do niego, może inni też próbowali. Nie miało to jednak sensu, podsumował Barbarotti, wychodząc z przejścia pod torami kolejowymi i skręcając w prawo w Storgatan. I jeśli mu się wydawało, że to koniec wszystkich dziwacznych wątków w tej analizie, to jednak jeden, najdziwniejszy, pozostał niewyjaśniony.

Drink i nowa teoria w domu u Asunandera.

Przywitali się uściskiem dłoni.

- Dzięki - powiedział Barbarotti. - Chyba po raz pierwszy mam przyjemność zobaczyć, jak mieszkasz.

- Tak, wiem - przytaknął Asunander. - Jestem typem samotnika, niestety. Tak wyszło.

Było to najbardziej osobiste wyznanie, jakie Barbarotti kiedykolwiek usłyszał z ust komisarza. A był to dopiero początek.

- Miałem psa, suczkę, ale wiosną musiałem ją uspić. Miała dopiero osiem lat.

- Ojej - powiedział Barbarotti.

- Stawy biodrowe, prawie nie mogła już chodzić. Miała za dużo szczeniąt. Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że uważacie mnie za dziwaka. Wiem, że nie jestem ideałem.

Gunnar Barbarotti kiwnął głową, maszerując za Asunanderem do obszernego salonu. Trzy ściany, od podłogi do sufitu, zajmowały regały pełne książek. I jeden jedyny obraz. Duży obraz olejny pomiędzy oknami, przedstawiający samotne, wysmagane wiatrem drzewo na odludnej równinie w wielu odcieniach żółtego.

- Zostały mi trzy lata do wieku, w którym mogę dostać niezłą emeryturkę, więc wcześniej się mnie nie pozbędziecie.

- Przecież nigdy... - zaczął Barbarotti, ale komisarz machnął ręką i przerwał mu.

- Nie musisz się zgrywać. Swoje wiem. Ty też. Ale nie o tym chciałem dzisiaj mówić. Chcesz whisky czy koniaku?

- Whisky - powiedział Barbarotti. - I kroplę wody, poproszę.

- Świetnie. Mamy podobny gust. Przepraszam, że nazwałem to drinkiem.

- Nie szkodzi - zapewnił Barbarotti.

Usiedli wygodnie w wysiedzianych, skórzanych fotelach rozdzielonych niewielkim stolikiem z prawie czarnego drewna. Może heban.

Jakim cudem oba fotele są wysiedziane? - pomyślał mimowolnie Barbarotti. Siedzi w nich na zmianę? Albo może w drugim siadywała żona... to chyba lepsze wytłumaczenie, nie były przecież nowe.

Asunander przyniósł butelki, szklanki i karafkę z wodą. Do tego dwie miseczki z oliwkami i orzeszkami. Popielniczkę z fajką i zapalkami. Nalał do szklanek na wysokość dwóch centymetrów i pokazał Barbarottiemu, żeby sam sobie dolał wody.

- Mówiłeś, że masz jakąś teorię - zaczął Barbarotti.

- Zgadza się - odpowiedział Asunander. - A przy okazji, zauważyłeś, że moje zęby dzisiaj nie klikają?

- Tak, myślałem o tym.

- Wypróbuję nowy klej. Wydaje się, że będzie dobry, tfu, tfu, na psa urok.

- Dlaczego nie powiedziałeś o niej Jonnerbladowi i pozostałym? O tej teorii?

Asunander milczał przez kilka sekund.

- Z dwóch powodów - powiedział w końcu. - Nie lubię Jonnerblada. Wolę ciebie i Backman. Ale nie można zaprosić babki na whisky.

- Hmm - mruknął Barbarotti.

- A czułem, że potrzebny jest mocniejszy trunk.

- Myślę, że Backman nie ma nic przeciwko whisky.

- Tak myślisz? Okej. A drugim powodem jest to, że nie do końca jestem do niej przekonany. Do tej mojej teorii. A nie mam najmniejszej ochoty być wyśmiany przez tych porąbanych pajaców ze Sztokholmu. Wolę najpierw usłyszeć, co ty o tym myślisz.

- Moja ciekawość rośnie.

- To dobrze. Byłbyś cholernie marnym policjantem, gdybyś nie był ciekawy. Twoje zdrowie.

- Zdrowie.

Wypili. Komisarz rozciągnął usta w ponurym uśmiechu i odstawił szklanke. Barbarotti przyglądał się wysmaganemu wiatrem drzewu i czekał w milczeniu, aż Asunander zapali fajkę. Pociągnął kilka razy z widoczną przyjemnością i wydmuchnął w górę obłok dymu. Barbarotti pomyślał nagle, że być może śni, że to nie dzieje się naprawdę. Cała sytuacja przypominała początek koszmarne go snu.

- W ciągu dnia przeprowadziłem kilka ostrożnych kontroli - wyjaśnił Asunander. - Ku mojej radości ich wynik potwierdza moje przypuszczenia.

- No nie, gadaj wreszcie.

- Bardzo chętnie. Punktem wyjścia jest oczywiście to, że ten przypadek składa się z jakiejś horrendalnej masy dziwnych okoliczności.

- Zgadza się.

Asunander pochylił się do przodu i oparł łokcie o kolana.

- Posłuchaj, zacznę od podsumowania. Morderca pisze do ciebie listy. Kontaktuje się z mediami. Mówi, kogo zamierza zabić, choć w większości przypadków list dociera do ciebie, kiedy te osoby już nie żyją. Nie zabija jednej osoby, którą sam wskazał. Pisze obszerny dokument, w którym opisuje dziwne wydarzenia w Finistère sprzed pięciu lat. Nadaje go do ciebie z Kairu. Trzeba więc zapytać: dlaczego to wszystko robi?

- Jeszcze zabija pięcioro ludzi - dodał Barbarotti.

- Niewątpliwie. Ale dlaczego robi to, o czym mówiłem przed chwilą? Jaką ma motywację?

- Nie wiem - powiedział Barbarotti.

- Nie wiesz?

- Nie.

- Mimo że szukamy tej motywacji od samego początku - stwierdził Asunander, odkładając fajkę na stół. Wrzucił do ust dwie oliwki. - I nawet nazywaliśmy ją wielokrotnie.

- Nazywaliśmy? - zdziwił się Barbarotti i poczuł nagle, że komisarz sobie z niego kpi albo że może znowu ktoś go walnął kijem bejsbolowym w łeb.

- Wielokrotnie - powtórzył Asunander. - Właściwie mówiliśmy o niej każdego dnia.

- Do rzeczy - poprosił Barbarotti.

- Żeby nas zmylić - powiedział komisarz i wypluł pestki oliwek na dłoń. - Zrobił to, żeby nas zmylić. Zagmatwać naszą pracę. Zatrzeć jasność spojrzenia i skierować naszą uwagę na fałszywe tropy. Prawda? Przecież tak mówiliśmy?

- Tak - zgodził się Barbarotti. - Rozumiem, rzeczywiście ciągle o tym myślałem.

- Ja też - powiedział Asunander. - Problem w tym, że nie potrafiliśmy trzymać się tej linii. Gdy tylko pojawiała się nowe zagranie, natychmiast rzucaliśmy się do analiz i podejmowaliśmy masę czynności.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Zamiast zauważyć, że to wszystko w istocie rzeczy jest pozbawione sensu - kontynuował Asunander. - Za tymi wszystkimi listami nie stoi żadna logika, żadna przyczyna. Ani za tym, że przychodziły właśnie do ciebie. Nigdy nie miał zamiaru zabijać Hansa Anderssona. Nigdy nie wypuścił z rąk żadnej dziewczynki na żadnej łodzi i nie ma żadnej babci pochowanej na polderze w okolicy Mousterlin.

- Co? - wybąkał zaskoczony Barbarotti.

- Wszystko to bujda.

Wziął do ręki fajkę, ale jej nie zapalał. Barbarotti pomachał głową i próbował jakoś ogarnąć słowa Asunandera.

- Ale tych innych przecież zamordował...

- Oczywiście. W tym przypadku ma swój powód. Przynajmniej gdy chodzi o dwoje z nich.

- Dwoje z nich? Teraz... teraz nie bardzo rozumiem - odparł Barbarotti i wypił łyk whisky.

Kiedy odstawiał szklanekę, zauważył, że drży mu ręka.

- Ale jak dotąd rozumiesz, o co mi chodzi? - spytał Asunander, patrząc na niego zmrużonym, taksującym spojrzeniem, jakiego Barbarotti nigdy wcześniej u niego nie widział.

- Tak. Tak mi się wydaje.

- To dobrze. To napijemy się jeszcze trochę whisky i opowiem ci, jak, moim zdaniem, to się spina w całość.

Kiedy wychodził z mieszkania komisarza Asunandera przy Storgatan, było piętnaście po jedenastej i zaczęło padać. Prawdziwie chłodny i przenikliwy jesienny deszcz, ale prawie tego nie zauważył. Przedstawiona przez Asunandera teoria - którą później walczyli w tę i z powrotem przez dwie godziny, opróżniając przy tym butelkę whisky, dziesięcioletniej Glenmorangie Single Highland Malt - zajmowała jego myśli i świadomość do tego stopnia, że nie zauważyłby nawet dwóch metrów śniegu i pożaru ratusza.

To niemożliwe, myślał. To nie jest, do cholery, możliwe.

Choć wiedział, że było możliwe. Że właśnie tak to musiało wyglądać i że teraz wystarczyło zawiązać worek, żeby morderca nie mógł z niego wyskoczyć.

Niezbadane są ścieżki Pana, pomyślał Barbarotti, otwierając bramę domu przy Baldersgatan 12. Słowo daję. To jak się umawialiśmy, trzy punkty?

VII

29-31 sierpnia 2007 roku

40.

Przesłuchanie prowadzili Barbarotti i Backman. Jonnerblad, Tallin i Smutas siedzieli po drugiej stronie lustra fenickiego i obserwowali. Taka była decyzja Asunandera.

Wszystko było nagrywane. Na taśmę dźwiękową i na DVD, na wszelki wypadek. To też decyzja Asunandera, który siedział w innym pokoju wpatrzony w ekran telewizora.

Kobieta nazywała się Ulrika Hearst. Miała trzydzieści siedem lat, nazwisko panięskie Lindquist; wyszła za Anglika. Dotarli do niej dzień wcześniej.

- Hoss & Boss? - spytał Barbarotti.
- Tak sami siebie nazywali - odpowiedziała Ulrika Hearst. - Już wówczas, gdy byli mali. Ale może imiona wymyślił ktoś inny, tego nie wiem.
- Pani ich zawsze tak nazywała?
- Tak. Hoss i Boss. Nigdy nie używam ich prawdziwych imion.
- I zna ich pani od dziecka?
- Tak. Jesteśmy kuzynami. Ich matka i moja matka są siostrami. Oni mieszkali w Varbergu, a my w Kungsbase. Często się spotykaliśmy; ja jestem jedynaczką. Hoss i Boss są moimi jedynymi kuzynami.

Założyła pasmo swoich blond włosów za ucho. Wędrowała niebieskim spojrzeniem pomiędzy inspektorami, jakby zastanawiając się, do kogo z nich powinna się zwracać.

- Interesujemy się przede wszystkim Hossem - przejęła inicjatywę Backman.

- Tak, rozumiem.
- Czy mogłaby pani coś o nim opowiedzieć?

Zastanowiła się.

- Był... trudny - odpowiedziała. - Obaj byli trudni.
- Trudni? - zdziwiła się Eva Backman.
- Nie wiem, jak mam to opisać - stwierdziła Ulrika Hearst. -

Kiedy byłam mała, nie miałam zbyt wielu przyjaciół. W szkole byłam odludkiem i tak jakoś. Hoss i Boss należeli w naturalny sposób do mojego wyobrażenia o świecie, a jego podstawą jest wiara, że wszystko, co znamy, jest normalne. Prawda? Przynajmniej kiedy jest się dzieckiem. Chyba właśnie to nazywane jest wejściem w dorosłość - że się człowiek rozstaje z mylnymi wyobrażeniami i mitami dzieciństwa.

Backman kiwnęła głową.

- Rozumiem, co pani ma na myśli. A kiedy zrozumiała pani, że oni są trudni?

- Przeprowadziliśmy się do Sztokholmu, gdy miałam szesnaście lat - kontynuowała Ulrika Hearst. - Zaczęłam chodzić do dobrego liceum, nawiązałam nowe znajomości. Moi kuzyni znaleźli się w pewnym oddaleniu. I chyba wtedy dotarło do mnie, że byli dość specyficzni.

- W jakim sensie specyficzni? - zapytał Barbarotti.

- Po pierwsze, besserwisserzy - odpowiedziała Ulrika Hearst i próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech szybko zgasł. - Cały czas rywalizowali ze sobą o to, kto będzie lepszy, ale kiedy ja się pojawiałam, zrywali się i wspólnie atakowali mnie. Byłam ich tępą kuzynką, co to nic nie kapuje... Byłam dziesięć miesięcy młodsza od nich: urodziłam się w grudniu, a oni w lutym. Czasami robili sobie zawody w tym, kto lepiej mnie oszuka.

- Zawody w oszukiwaniu pani? - spytała Backman. - To na pewno nie było miłe.

- Nie było - potwierdziła Ulrika Hearst. - Któregoś razu, miałam wtedy osiem lat, Hoss powiedział, że do studni wpadł mu portfel

z pieniędzmi, ale ani on, ani Boss nie mogli po niego zejść na dół, bo cierpieli na dziwną chorobę uszu, która nie pozwalała im na schodzenie w dół w ciasnych przestrzeniach. Powiedział, że jeśli ja po niego zejdem, to dostanę połowę pieniędzy. W ścianie studni umocowane były żelazne stopnie drabinki, ale na dole oczywiście nie było żadnego portfela; jak tylko zesłam na dół, oni zakryli wejście przykrywają. Siedziałam tam na dole w ciemnościach przez ponad godzinę. Pamiętam, że się posikałam ze strachu, ale nigdy nie powiedziałam mamie, z jakiego powodu.

- Co za gnojki - skomentowała Backman.

- Są bliźniętami jednojajowymi, tak? - spytał Barbarotti.

- O, tak - potwierdziła. - Nie można ich było odróżnić, chyba że ktoś wiedział, że Hoss miał małe znamię pod lewym uchem. Jest też o centymetr wyższy i dwadzieścia minut starszy, ale poza tym są identyczni.

- I nie mieli innego rodzeństwa? - spytała Backman.

- Nie, było ich tylko dwóch. I byli ze są bardzo związani. Wiem, że Maud i Yngve, czyli ich rodzice, próbowali jakoś z tym walczyć. Próbowali ich na różne sposoby rozdzielać, ale to się nigdy nie udawało. Na przykład, nigdy nie mieli oddzielnych pokoi, mimo iż mieszkali w siedmiopokojowej willi. W szkole umieścili ich w różnych klasach, ale wtedy chłopcy przestali się w ogóle uczyć. Nigdy też nie mieli innych kolegów, tylko siebie.

- Co było potem? - spytał Barbarotti. - Kiedy byli starsi?

Ulrika Hearst pokręciła wolno głową; coś się zmieniło w jej spojrzeniu. Znowu poprawiła włosy i wypila łyk wody.

- Nie jestem pewna. Ale coś było nie tak. Obydwaj ukończyli liceum w 1989 roku. W tej samej klasie, z takimi samymi ocenami; byliśmy na ich imprezie po rozdaniu świadectw. Była trochę dziwna, bo przyszli tylko krewni. Dziesięć czy dwanaście osób. Ja swoje przyjęcie miałam w Sztokholmie dwa tygodnie wcześniej i było nas co najmniej pięćdziesięcioro. Tak, chyba wtedy po raz pierwszy

zauważyłam, że coś było z nimi nie tak. Na świadectwie maturalnym mieli najlepsze stopnie, obaj złożyli papiery na medycynę w Göteborgu i obaj, oczywiście, się dostali. Rodzice kupili im dwupokojowe mieszkanie przy Aschebergsgatan, przyjmując prawdopodobnie z ulgą ich wyprowadzkę z domu, bo chłopcy za nimi też nie przepadali. No i tak wyprowadzili się i zaczęli studiować medycynę.

- Co było dalej? - chciał wiedzieć Barbarotti. - Mówimy o jesieni 1989 roku, tak?

- Tak - potwierdziła. - Pierwsze trzy czy cztery semestry wszystko szło jak po maśle, o ile pamiętam. Zdawali wszystkie egzaminy, sprawdziany i co tam jeszcze. Odwiedziłam ich parę razy, gdy byłam w Göteborgu przy jakiejś okazji. Byli faktycznie parą zapalonych medyków, ze szkieletem i planszami anatomicznymi na prawo i na lewo. Oczywiście, kiedy dorośliśmy, traktowali mnie z trochę większym szacunkiem, nie zwabiali mnie do żadnych studni, ale zawsze jednak cieszyłam się, wychodząc z ich mieszkania. Pamiętam, że...

- Tak? - spytał Barbarotti.

Zaczęła się śmiać.

- Pamiętam, że zwykle zatrzymywałam się na chodniku przed ich domem i stałam tak po prostu, oddychając głęboko. Wdychałam atmosferę normalnego świata, jaki był na zewnątrz, to było... to było wrażenie czysto fizyczne. Ja studiowałam ekonomię w Uppsali. Pamiętam przekomarzenia w stylu, kto jest nudniejszy: ci z ekonomii czy ci z medycyny - i myślałam sobie wtedy, że każdy, kto choć raz spotka moich kuzynów z Göteborga, będzie znał prawidłową odowiedź na to pytanie.

Eva Backman roześmiała się.

- Ale później coś się wydarzyło, tak?

- Tak. - Ulrika Hearst wyprostowała się i spoważniała. - Boss poznał dziewczynę. W maju 1991 roku. Byłam w odwiedzinach u mamy w Nacka, bo miała urodziny, i od niej usłyszałam nowinę. Oczywiście w każdej normalnej rodzinie taka wiadomość nie jest niczym niezwykłym, ale dla nas była to sensacja. A jeszcze większą sensacją było to, że latem usłyszeliśmy, że mają się pobrać i przeprowadzić do Australii. Ona była tutaj na wymianie międzyuczelnianej, a pochodziła z Brisbane.

- I tak się stało? - spytała Backman.

- Tak, pobrali się. Boss i Bessie, bo tak miała na imię, pobrali się i przeprowadzili do Australii jakoś na Boże Narodzenie 1991 roku i od tego czasu mieszkają na przedmieściach Sydney.

- Odwiedzała ich pani?

- Tak, prawdę mówiąc, tak. Spędziłam w Australii miesiąc z moim chłopakiem... jakieś dwanaście lat temu i wtedy skorzystałam z okazji. Mieli córeczkę i wszystko wyglądało normalnie. Boss złagodniał, nie był oczywiście aż takim luzakiem jak typowi Australijczycy, ale jednak. Zmienił się bardzo.

- Ale widziała się pani z nimi tylko ten jeden raz?

- Tak. Wizyta była zresztą krótka. Nocowaliśmy u nich tylko jedną noc, więc nie ma o czym opowiadać. Ale pamiętam, że mój ówczesny chłopak, Gustaf, też uważał, że są sympatyczni.

Barbarotti skinął głową.

- A Hoss? Jak zareagował na nagłe zniknięcie brata?

Ulrika Hearst wypła łyk wody. Zwilżyła językiem usta.

- Właśnie to jest dziwne. W zasadzie nie wiadomo. Hoss nigdy nikomu się nie zwierzał. Moja matka o niczym nie wiedziała. Jego rodzice powiadomili ją tylko, że Boss się ożenił i przeniósł do Sydney. Kiedy spotkałam Hossa w czerwcu 1992 roku w göteborskiej Hadze, poszliśmy na kawę do kawiarni, mówił, że wszystko jest w porządku. Ale na jesieni porzucił studia medyczne i zaczął studiować

filozofię. Nigdy nikomu nie wyjaśnił, dlaczego. Przez parę lat nie miałam z nim prawie żadnego kontaktu, mieszkałam wtedy w Anglii, ale w 1997 roku, kiedy wróciłam do Szwecji, był już po ślubie i robił doktorat. Pamiętam, że robił zawrotną karierę w dziedzinie logiki. Obronił pracę w 1999 roku i w tym samym roku dostał etat na uniwersytecie.

- Widziała pani jego żonę?

- Tak. Parę razy. Pierwszy raz na przełomie wieków. Była w ciąży i właśnie przeprowadzili się do domu w Mölndal, który dopiero co kupili. Pracowała w szpitalu Sahlgrenska; myślę, że się poznali, kiedy on jeszcze studiował medycynę. Kilka miesięcy później poroniła... nie udało im się mieć dzieci.

- Jak pani ocenia ich związek? - spytał Barbarotti.

Zastanawiała się, ale tylko przez chwilę.

- On był dość dominujący. Ona wyglądała na bardzo nieśmiałą, później dowiedziałam się, że wychowała się w bardzo religijnej rodzinie, a Hoss ją stamtąd wyrwał, mniej lub bardziej z korzeniami.

- Wyrwał z korzeniami? - zdziwiła się Backman. - Okej, chyba rozumiem.

- Później spotkałam ją jeszcze raz po paru latach - opowiadała Ulrika Hearst. - Tylko ją; spotkałyśmy się przypadkiem w Sztokholmie, prawie jej nie poznałam. Można powiedzieć, że... wyrosła, że się usamodzielniała, gdyby to wyrażenie nie było takie wyświechtane.

- Niektóre wyrażenia nie bez powodu stają się wyświechtane - skomentowała Eva Backman.

- Tak, to prawda.

- Kiedy? - spytał Barbarotti. - Kiedy się spotkałyście w Sztokholmie?

- Myślałam o tym - odparła Ulrika Hearst - i wyszło mi, że to musiał być styczeń albo luty 2006 roku.

- Czyli półtora roku temu?

- Tak.

- A Hoss? Czy z nim się pani spotykała w ostatnich latach?

- Tylko raz - odpowiedziała Ulrika, wzruszając przepraszająco ramionami. - Na targach książki w Göteborgu, w ubiegłym roku. W zasadzie się nie spotkaliśmy... on zasiadał w panelu na jakimś seminarium. Nie pamiętam, jaki był temat, ale kiedy zobaczyłam jego nazwisko, poszłam tam z ciekawości. Wyglądał bardzo przeciętnie. Nie przywitaliśmy się nawet; zauważyłam, że zobaczył mnie wśród publiczności, ale kiedy dyskusja się skończyła, poszedł gdzieś w inną stronę.

- Czy wie pani coś na temat ich związku? - spytała Eva Backman.

- Właściwie to nie. Ale pamiętam, że moja matka powiedziała kilka lat temu, że nie chciałyby być w jej skórze.

- W skórze żony Hossa?

- Tak.

- Powiedziała dlaczego?

Ulrika Hearst lekko się uśmiechnęła.

- Moja matka lubiła analizować związki - wyjaśniła. - Rozstała się z moim ojcem, gdy miałam piętnaście lat, i potem stało się to najważniejszym elementem jej życia.

- Kiedy zmarła pani matka?

- W ubiegłym roku. Rak, poszło bardzo szybko, niestety

- Pracowała jako terapeutka rodzinna?

- Tak. Zwykle mówiła, że po rozstaniu z moim ojcem wyszła za mąż za swój zawód; i tym razem zrobiła to z miłości.

Eva Backman kiwnęła głową.

- Więc jeśli twierdziła, że nie chciałyby być w skórze Katariny Malmgren, to wiedziała, o czym mówi?

- Tak mi się wydaje.

- Bardzo przepraszam - powiedział Astor Nilsson. - Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby ktoś mi wytłumaczył, o co w tym wszystkim chodzi? I jak na to wpadliśmy?

Astor Nilsson nie był obecny przy przesłuchaniu Ulriki Hearst. Przesłuchiwał innych ludzi z uniwersytetu w Göteborgu.

Ale teraz wrócił na komendę w Kymlinge. Była trzecia po południu i cała grupa dochodzeniowa zgromadziła się w pokoju Jonnerblada i Tallina.

- No tak, końcówka była bardzo szybka - przyznał Jonnerblad.
- Ale zasadniczo nie ma wątpliwości. Człowiekiem, którego szukamy, jest Henrik Malmgren. Czapki z głów przed komisarzem Asunanderem: bez jego wnikliwej analizy nadal byśmy się kręcili w kółko.

- Nie ma sprawy - powiedział Asunander.

- Czy możemy zacząć od metody - poprosił Astor Nilsson. - Jak on to zrobił? Olejmy całą tę pisaninę i skupmy się na *modus operandi*.

- W takim razie poczekajmy też z motywem - zauważył Tallin.

- *All right* - powiedziała Eva Backman. - Teraz, mając rozwiązanie w ręku, można powiedzieć, że to wcale nie było skomplikowane.

- Naprawdę? - wymamrotał Astor Nilsson.

- Tak, naprawdę - powiedziała Backman, wyciągając swój notatnik. - Przyjeżdża tu z Göteborga i zabija Erika Bergmana i Annę Eriksson. Jest trzydziesty pierwszy lipca. Musiał znać zwyczaje joggingowe Bergmana, ale chyba nietrudno było je poznać. Czyha na niego w krzakach i zaskakuje go podczas biegu, po prostu. Wbija mu nóż, raz za razem, i znika.

- Kilka godzin później jedzie do mieszkania Anny Eriksson, bo tam się z nią umówił - kontynuował Barbarotti. - Zakładamy, że tak było. Znali się z tego urlopu w Bretanii, może jej mówi, że coś dla niej ma.

- Skąd możesz to wiedzieć? - spytał Smutas.
- To tylko moje domysły - odpowiedział Barbarott. - Tak czy owak, ona go wpuszcza, on ją zabija, może rzeczywiście kluczem francuskim, o jakim pisze, ale tego na razie się nie dowiemy. Zawija ją w folię, żeby uniknąć roznoszenia się zapachu; nie chce, żebyśmy ją zbyt szybko odkryli, no i znika.
- Okej, kupuję to - oświadczył Astor Nilsson. - Jasna cholera! A potem?
- Potem pisze parę listów, przeczekuje kilka dni... nawiązuje kontakt z prasą, wymyśla numer z Hansem Anderssonem po to, żeby nas zmylić, ale również po to, żeby dwie kolejne ofiary nie domyśliły się jakiegoś związku. Przecież te pięć lat temu rzeczywiście się trochę spotykali. Trzeba jednak pamiętać, że dokument z Mousterlin jest fikcją, od początku do końca. Szczególnie gdy chodzi o dziewczynkę i babcię.
- Tak, szczególnie gdy o to chodzi - przytaknęła Eva Backman.
- Ale jak można...? - zaczął Astor Nilsson, ale Asunander mu przerwał.
- Wrócimy do tego później. Barbarotti, mów dalej.
- No i po mniej więcej tygodniu jedzie do Hallsberga. Tym razem ma ze sobą broń, bo nie wie za bardzo, jak się zachowa Gunnar Öhrnberg. Gunnar Öhrnberg i jego żona są bowiem najważniejszymi ofiarami, Anna Eriksson i Erik Bergman tracą życie tylko po to, żeby uwiarygodnić dokument z Mousterlin. Żebyśmy kupili całą tę historię, tylko po to.
- O Boże - jęknął Astor Nilsson. - A tego Öhrnberga chce zabić, bo...?
- Bo ma romans z Katariną, zgadza się - dopowiedział Barbarotti. - I pomyśleć, że miałem w ręku maleńką podpowiedź, kiedy rozmawiałem z tym kolegą od nurkowania. Powiedział mi, że Öhrnberg spotykał się potajemnie z jakąś mężatką w zachodniej

Szwecji. Ale skąd, do cholery, miałem wiedzieć, że chodzi o Katarinę Malmgren?

- No właśnie, skąd - powtórzył Tallin. - Mów dalej.

- Na pewno się nie spieszy z Öhrnbergiem. Możliwe, że wszystko przebiega tak, jak to opisuje w notatkach. W każdym razie odnoszę wrażenie, że rozkoszuje się tym zabójstwem. Ale oczywiście to sprawa dla speców od psychiatrii sądowej.

Wypił łyk wody. Backman przewróciła kolejną kartkę w swoim notatniku i podjęła wątek.

- Po umieszczeniu trzeciej ofiary na słynnym polu pszenicy wraca do Göteborga i wspólnie z żoną pakuje samochód przed planowanym tygodniowym urlopem w Danii. Ruszają nocnym promem w niedzielę, zgodnie z planem, wychodzą na chwilę na pokład, wtedy ją dusi i wyrzuca za burtę. Schodzi na piechotę na ląd w Frederikshavn, jedzie do Kopenhagi na Kastrup i stamtąd odlatuje samolotem. Dobę później jest już w Kairze i stamtąd wysyła swoje notatki.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza.

- Niesamowite - powiedział Astor Nilsson. - Po prostu niesamowite.

- Przepraszam - wtrącił Smutas. - A co z paszportem i takimi sprawami?

- Sprawdziliśmy to - powiedziała Backman. - Na liście pasażerów rejsu z Kopenhagi do Aten czternastego sierpnia jest pasażer o nazwisku Malmgren. Bertil Malmgren. Możemy przypuszczać, że brat przysłał mu swój paszport z Australii. Szczególnie po zeznaniach Ulriki Hearst. Prawda?

- Na to wygląda - potwierdził Jonnerblad.

- *All right* - westchnął Astor Nilsson. - Sprytne. I przypuszczam, że technicznie jak najbardziej możliwe. Ale jeśli robi to wszystko dlatego, że jego żona spotkała innego, to ten powód jest strasznie dymany; przepraszam, ale tak właśnie myślę.

- Pewnie uwielbiał planować - powiedziała Eva Back man. - Opracowywać plan, a potem go realizować. Chodziłam kiedyś z takim chłopakiem, kiedy byłam młodsza. Przejechaliśmy samochodem całą Europę, ale dla niego mapa była ważniejsza od Europy.

Znowu zapadła cisza, potem usłyszeli chrząknięcie Asunandera.

- Trzeba pamiętać o jednym - powiedział - mianowicie, że waga motywów rzadko jest proporcjonalna do rozmiarów przestępstwa.

- Co masz na myśli? - spytał Jonnerblad.

- To równanie wygląda na prawidłowe wyłącznie w głowie sprawcy, oczywiście - dokończył Asunander. - Kiedy patrzymy z zewnątrz, pobudki wydają się prawie zawsze błahe i nieistotne, i prawie zawsze takie są. Zazdrość, żądza zemsty, chciwość. Choć mogą przyjmować różne formy.

- Tak, to prawda - zgodził się Tallin. - Jak właściwie wpadłeś na to rozwiązanie?

Asunander siedział dłuższą chwilę z pochyloną głową, jakby przyglądał się swoim splecionym dłoniom, aż wreszcie odpowiedział.

- Redukując - powiedział. - Redukowałem, aż w końcu zostało tylko to. Ta jedyna możliwość.

- Ja też próbowałem zredukować - powiedział Astor Nilsson. - Cały czas. Jednak problem polegał na tym, że na koniec nic nie zostawało. Kompletnie nic.

- Jest jeszcze jeden detal - dodał Asunander po krótkiej przerwie.

- Jeden detal? - zdziwił się Tallin.

- Tak. W notatkach.

- Jaki? - spytał Jonnerblad. - Czytałem je... już nawet nie wiem, ile razy. Co najmniej cztery.

- Myślę, że zachowam to dla siebie.

- Co do...? - zaczął Astor Nilsson, ale Asunander przerwał mu, podnosząc w górę palec wskazujący.

- To moja prywatna sprawa - powiedział.

Potem skrzyżował ręce na piersi, rozejrzał się po zebranych, a z jego ust wydobył się słaby, wibrujący dźwięk, który przypominał Barbarottiemu mruczenie kota.

On nie jest całkiem normalny, pomyślał Gunnar Barbarotti. Na pewno nie.

Ale znalazł rozwiązanie. Detal? Co za cholerny detal?

- Poza tym coś jeszcze... sprawdzałeś? - spytał ostrożnie Tallin.

Asunander kiwnął głową.

- Nie szczególnego. Mam starego przyjaciela, który ma wgląd w dokumenty bankowe. Pod koniec maja Malmgren sprzedał wszystkie posiadane przez siebie akcje. Za prawie półtora miliona, i nie kupił żadnych nowych. Potrzebował kapitału na rozruch w Australii. Backman ma całkowitą rację, wszystko było znakomicie zaplanowane. W najdrobniejszych szczegółach.

- Mógł to zrobić dużo prościej - zauważył Astor Nilsson.

- Bardzo możliwe - zgodził się Asunander. - Jego celem było zabicie żony i jej kochanka, ale wydaje mi się, że były jeszcze inne cele.

- Jakie? - spytał Smutas. - Tak dokładniej.

- Coś musiało się stać w tej Bretanii - stwierdziła Eva Backman, kiedy Asunander kiwnął na nią głową. - Anna Eriksson i Erik Bergman odgrywają w tym jakąś rolę, ale nie wiemy jaką. Zobaczmy, co nam o tym powie.

- Ten Szósty? - spytał Astor Nilsson.

- Nie wiemy, kim był - odparł Barbarotti. - Facet, który przez jakiś tydzień mieszkał z Erikiem Bergmanem, ale chyba nie odgrywa żadnej roli w tej historii.

- Ale przecież jest na kilku zdjęciach.

- A gdzie znaleźliśmy zdjęcia? - spytała Eva Backman. - Zapomniałeś? W albumach Malmgrenów.

- O żesz ty! - zawołał Astor Nilsson. - One też?

- Tak - powiedział Barbarotti. - One też.

Dwie godziny później stali z Backman przy stojaku na rowery pod komendą. Zanośli się na deszcz; zauważył, ku swemu zdziwieniu, że jest mu zimno i że bardzo by nie chciał, żeby niebo się otwierało.

- To, co powiedziałeś na koniec, jest bardzo prawdopodobne - rzekł Gunnar Barbarotti.

- Co? - zapytała Eva Backman.

- Że musiało się coś stać w tej Bretanii. Było to coś, co przynajmniej w oczach Henrika Malmgrena miało znaczenie decydujące.

Eva Backman zastanawiała się.

- Tak - powiedziała - ale nie była to dziewczynka i jej babcia, które straciły życie. Jak myślisz, co to mogło być?

- Czytałeś notatki z Mousterlin już po tym, jak się dowiedziałaś, że napisał je Henrik Malmgren?

- Nie - odpowiedziała Eva Backman. - Nie zdążyłam. I nie mam pojęcia, o jakim detalu mówił Asunander.

- Ja też nie - przyznał Barbarotti. - Ale ja przeczytałem je jeszcze raz dzisiejszej nocy. Kiedy już się wie, że pisał to Henrik Malmgren, można odnaleźć w tekście mnóstwo osobliwych kluczy. I że zamierza ich wszystkich zamordować... wtedy robi się z tego całkiem inna historia.

- Całkiem inna historia? - zdziwiła się Backman. - Tak, pewnie tak. Wiesz, o czym marzę?

- O urlopie?

- To też. Ale głównie o tym, żeby go przesłuchać. A ty nie?

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.

- Możliwe - powiedział. - Ale jeszcze go tam nie znaleźli. Nie jestem pewien, czy będziesz miała tę przyjemność, by siedzieć z nim oko w oko.

- Psujesz mi zabawę - poskarżyła się Backman. - Pracują nad tym dopiero od ośmiu godzin, a poza tym w Sydney jest chyba teraz rano.

- Chyba tak - potwierdził Barbarotti i spojrzał na swój wiekowy, ale idealnie chodzący zegarek. - Z tym że najlepszą porą na znajdywanie ludzi jest właśnie noc, prawda? No zobaczymy, choć mam przeczucie, że mu się upiecze i będziesz musiała się zadowolić rozmową z Bossem.

- Hoss i Boss - prychnęła Backman. - Niektórzy od samego początku mają pod górkę. A potem jest już tylko gorzej. Czyli sugerujesz, że w dokumencie z Mousterlin jest jakieś drugie dno? Oprócz detalu Asunandera, oczywiście.

- Sama przeczytaj, to zobaczysz - odparł Barbarotti.

Backman wzruszyła ramionami i przypięła swoją teczkę do bagażnika roweru.

- Jeśli dane mi będzie z nim rozmawiać, to zapytam go o jego potrzebę kontrolowania wszystkich i wszystkiego. Właśnie ta śrubka jest najbardziej poluzowana.

- Naprawdę? - powiedział Barbarotti.

- Oczywiście. Najpierw opuszcza go brat, przypuszczalnie jedyny człowiek na całym świecie, który coś dla niego znaczy. Musiał to odczuwać niemal jak amputację. Mimo to udaje mu się znaleźć kobietę, ale po pewnym czasie ona z niego wyrasta i zamierza od niego odejść. Przypuszczalnie zaczął się tego domyślać właśnie tamtego lata. A kiedy staje się to faktem, uruchamia ten czarny cyrk, żeby się zemścić, zniknąć i zacząć nowe życie w Australii. Musiało mu to dać niesamowitego kopa, a najgorsze jest to, że widzę w tym pewną logikę.

- Logika, zgoda. - Barbarottiemu przypomniało się nagle, co powiedziała Marianne. Wyciągnął rower ze stojaka. - Jest profesorem filozofii, matki wszystkich nauk. Trochę żał tych wszystkich nauk.

Backman uśmiechnęła się.

- Wiesz co - powiedziała. - Wiesz, co jest najdziwniejsze w tej całej historii?

- Nie - odpowiedział.
 - Że zacząłeś pijać whisky z Asunanderem.
 - Myślę, że to stan przejściowy - odparł Barbarotti.
 - Mam nadzieję, że nie. Bo chciałabym, żebyś go o coś spytał, gdy będziecie następnym razem siedzieli przy drinku.
 - O co? - spytał Barbarotti.
 - Dlaczego w ogóle nosi tę sztuczną szczękę? Zastanawiam się nad tym od dziesięciu lat, ale nie mam odwagi zapytać. Wszyscy emeryci wstawiają sobie dzisiaj implanty. Sztuczne szczęki to prehistoria.
- Barbarotti zastanawiał się.
- Chyba jeszcze nie jesteśmy tak blisko - powiedział. - Obawiam się zatem, że to pytanie będzie musiało poczekać.
 - Tchórz. Ale okej, do zobaczenia jutro. Przeczytam te notatki jeszcze raz dziś wieczorem. Jedziemy w tę samą stronę?
 - Raczej nie. Muszę najpierw pojechać do szkoły.
 - Do szkoły? Dlaczego?
 - Opowiem ci innym razem.

41.

- Mów głośniej! - powiedział Barbarotti. - Kiepsko słyhać. Był czwartkowy poranek. Dziesięć po dziesiątej. Nie bardzo wiedział, która może być teraz godzina w Australii.
- *Sure, mate!* - krzyknął *detective inspector* Crumley i nagle słyhać go było, jakby siedział na ramieniu Barbarottiego. - *We got'em! Got'em both in fact!*
- Macie ich obu? - zdziwił się Barbarotti swoim najlepszym, szkolnym angielskim? Uważał, że angielski Crumleya pozostawia wiele do życzenia. - Dobrze zrozumiałem? Macie obu braci Malmgrenów w areszcie?

- Tak! Hossa i Bossa Malmgrenów. Mieszkał u swojego brata, tak jak myślałeś. Chcecie obu czy jednego? Przyznaję, że mamy pewne trudności z ich rozróżnieniem.

- Myślę, że potrzebujemy obu - odpowiedział Barbarotti. - Możesz przestać krzyczeć, już cię lepiej słyszę. Jeśli chodzi o naszego sprawcę, to nie ma żadnych przeszkód w transporcie, ale muszę sprawdzić, jak wygląda sprawa, jeśli chodzi o...

- Boss Malmgren pojedzie dobrowolnie - przerwał mu Crumley. - Powtórzył to już z siedemdziesiąt razy od czasu zatrzymania. Chce jechać z bratem do Szwecji i stać przy jego boku. *Come what may.*

- A jego rodzina? - zdziwił się Barbarotti. - Bossa Malmgrena?

- Już nie ma rodziny Rozwiódł się trzy lata temu. Wygląda na to, że się za sobą stęsknili, mam na myśli braci. Zachowują się prawie jak papużki nierozłączki, wiesz, o czym mówię?

Barbarotti nie był tego pewien, ale chyba rozumiał sens.

- Rozumiem - powiedział. - To wystąpimy o przekazanie nam obydwu. Jak tylko załatwię potrzebne papiery, zaraz je do was wyślemy. Tylko ich pilnujcie, żeby nie zwiali albo nie odebrali sobie życia. Hoss ma przecież na sumieniu czworo ludzi.

- Nie wygląda, jakby miał jakieś sumienie - odpowiedział Crumley. - Może to jego główny problem?

- Prawdopodobnie - skomentował Barbarotti. - Zadałeś mu to pytanie, o którym wspominałem?

- Ten Szósty?

- Tak.

- *Yes mate* - odparł Crumley i długo odchrząkiwał. - Zapytałem, nie wiedząc właściwie, o co, ale jestem przyzwyczajony. Najpierw nic nie mówił, jakby nie mógł się zdecydować, czy w ogóle odpowiadać. Potem skinął głową, jakby sam do siebie, i powiedział, że to był Stephen.

- Stephen?

- Tak. Chłopak, który spędzał urlop, jeżdżąc autostopem po Europie. Pochodził w Johannesburga w Afryce Południowej. *Does that make sense?*

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę. Pomyślał, że szwedzkie wydarzenia kryminalne nie zajmują zbyt wiele miejsca w południowoafrykańskich gazetach, i powiedział, że tak. *Made sense.*

- Coś jeszcze? - spytał Crumley
- Wyślę ci maila - odparł Barbarotti i pożegnali się.

- A więc udało ci się skontaktować z tą przyjaciółką?

- Tak - odpowiedział Astor Nilsson. - Wyglądało na to, że zależy jej, by pogadać z policją.

- Dlaczego?

- Dlatego że przeżyła szok, gdy się dowiedziała, że oboje zostali zamordowani. Ale nie miała powodów przypuszczać, że miało to związek z tym, co jej Katarina opowiadała o tym kochanku.

- A tak dokładnie, to co jej opowiadała?

- Że miał na imię Gunnar i że go kochała. I to by chyba było na tyle. Plus to, że zamierzała odejść od Henrika, ale nie mogła się zebrać na odwagę.

- Bała się go?

- Tak myślę - burknął Astor Nilsson. - Jessica, czyli ta przyjaciółka, twierdzi, że od ponad roku namawiała ją, żeby wreszcie załatwić sprawę.

- Ale nikt inny o tym nie wiedział? O tym, że Katarina Malmgren miała kochanka?

Astor Nilsson pokręcił głową.

- Nie, dość mocno ją naciskałem w tym punkcie, ale cały czas twierdziła, że jest prawie pewna, że tylko ona o tym wiedziała. Katarina Malmgren nie miała szerokiego grona znajomych. Nie była typem kobiety, którą otacza stado przyjaciółek. On ją cały czas trzymał pod mikroskopem, rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem - powiedział Barbarotti.

Pomyślał nagle, że nie miałby nic przeciwko temu, by jeszcze kiedyś pracować z Astorem Nilssonem. Można z nim było konstruktywnie porozmawiać. Sprawy posuwały się cały czas do przodu; z niektórymi ludźmi było całkiem odwrotnie, niestety. Po rozmowie z nimi trzeba było odsiedzieć przez godzinę w cichej izolacji, żeby mózg znowu mógł zacząć pracować.

Możliwe jednak, że są ludzie, którzy tak reagują na niego; chcą się zakopać po rozmowie z Barbarottim. Nie wolno uważać się za lepszego.

- Katarina Malmgren i ta Jessica pracowały razem, tak?

- Zgadza się - odpowiedział Astor Nilsson. - I rzeczywiście tamtego lata w Bretanii coś musiało się wydarzyć. Katarina mówiła jej, że właśnie wtedy poznała Gunnara. Nie żeby od razu ze sobą spali, chodzi tylko o to, że właśnie wtedy zrozumiała.

- Co zrozumiała?

Astor Nilsson wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale nietrudno się domyślić. Może to, że jej życie było karłowate. Może to, kim był jej mąż. Tam, w Bretanii, dotarło do niej, jak mogłoby wyglądać jej życie, tak to przynajmniej opowiedziała przyjaciółce. Szwedzka grupa liczyła pięć osób; czwórka z nich świetnie się bawiła, a obok nich był Henrik Malmgren.

- Ale nie wiedziała, że mąż odkrył zdradę? Chodzi mi o czas teraźniejszy.

- Jessica mówiła, że nie. Że Henrik zupełnie nic o tym nie wspominał. Według niej był bardzo trudnym typem człowieka. Co prawda spotkała go tylko raz, ale Katarina opowiadała jej takie rzeczy, że aż się bała. Chciał ją całkowicie kontrolować, ale z każdym mijającym dniem ona jakby wyrastała z niego. Tak, właśnie tak się wyraziła. „Wyrastała z niego”. Kiedy zajrzeć trochę głębiej za kulisy, trudno uwierzyć, jakie ludzie mają życie.

Gunnar Barbarotti siedział przez chwilę z brodą opartą na dłoni i zastanawiał się.

- Kiedy widziała się z Katarina Malmgren po raz ostatni?
- Jakiś tydzień przed ich wyjazdem do Danii. Katarina spędziła z Gunnarem noc, to chyba było podczas jego obozu nurkowego i... wyglądało na to, tak przynajmniej twierdzi ta przyjaciółka, że Katarina podjęła decyzję.

- Że powie wszystko mężowi? Że powie, iż zamierza od niego odejść?

- Tak. Nie mówiła tego wprost, ale Jessica odniosła takie wrażenie.

- A w tym momencie on już zaczął mordowanie pozostałych ofiar?

- *Yep.* Ona nic nie przeczuwała. Miała swój plan, a on miał swój.

- O Boże. Zupełnie jakby ktoś to wyreżyserował.

- Jakie zgranie w czasie. Ona wyjeżdżała na urlop na Jutlandię z zamiarem oznajmienia mu, że chce się z nim rozwiść. On jechał z zamiarem zamordowania jej i wyrzucenia za burtę. No i on był szybszy. A Jessica Lund twierdzi, że Katarina musiała być kompletnie nieświadoma tego, co on wyprawia. Wiedziała oczywiście, że był szalony, ale nie że aż tak szalony

- Nie - odpowiedział Barbarotti. - Skąd miałyby to wiedzieć?

- Najciemniej jest zawsze pod latarnią - zauważył Astor Nilsson ponuro. - Trudno jest dostrzec szaleństwo, kiedy się mieszka w samym jego środku. Ja też tak miałem przez pewien okres w moim życiu. Choć jeden z kolegów Malmgrena powiedział pewną interesującą rzecz. Że byłby gotów skrócić sobie życie o trzydzieści lat, gdyby to dało mu zaszczyty i sławę.

- Henrik Malmgren?

- Tak.

- Porąbany gość.

- Właśnie o to chodzi. Ale tacy ludzie też chodzą po ziemi. Dostaniesz Nagrodę Nobla, jeśli zgodzisz się umrzeć, mając pięćdziesiąt dwa lata. Bez nagrody dożyjesz osiemdziesięciu dwóch... Ale oczywiście nie wiem, czy ten kolega miał rację. Malmgren skracał życie innym, nie sobie.

- Przywiozą go w połowie przyszłego tygodnia - Barbarotti podsumowywał rozmowę. - Zobaczymy, co nam powie, kiedy będziemy z nim rozmawiać oko w oko.

- Zobaczymy. Mam zamiar przy tym być. Prawda, że to chore, że człowiek marzy o tym, by przeanalizować takiego potwora na żywo? A przynajmniej, żeby go spotkać.

- Nie jesteś w tym odosobniony. Cała reszta ludzkości też o tym marzy.

- Pewnie tak. Ale wcale nie poprawia mi to humoru. Że są tak samo perwersyjni jak ja. Na szczęście takie typy jak Henrik Malmgren są stosunkowo rzadkie.

- Jak myślisz, jaki jest jego brat? - zapytał Barbarotti.

- Żona go zostawiła i nadal żyje, więc chyba jest w porządku. Dobra, koniec z tym, mam dość tej historii.

- Ja też. Człowiek ma pewne granice wytrzymałości.

Po rozmowie z Astorem Nilssonem Barbarotti stanął w oknie. Łebscy gliniarze w książkach zawsze tak robili. Spoglądali przez listwy żaluzji na deszczowo szary Paryż albo na patynowane cynobrem niebo zapowiadające śnieg w Göteborgu. Łączyli w wysublimowanie literacki sposób świat zewnętrzny (miasto, pole gry przestępcy) ze światem wewnętrznym (intelekt gliniarza). Problemem Barbarottiego było to, że cztery piąte jego widoku przez okno zajmował dłuższy bok nieczynnej obecnie fabryki butów Lundholm & söners. Budynek stał pusty i nieużywany od co najmniej dwudziestu lat, szyby w oknach były powybijane, a Barbarotti marzył, żeby władze miasta wreszcie podjęły decyzję o rozebraniu rudery. Najchętniej widziałby

tu park albo niską zabudowę, żeby widok z okna pokazywał mu jakąś szerszą perspektywę.

Jednak kiedy stał przy oknie i spoglądał na ukos w prawo, mógł zobaczyć kawałek korony drzewa i skrawek nieba. Backman miała rację, że jego balkon był dużo lepszym miejscem do prowadzenia analiz i dokonywania przemyśleń. Milion razy lepszym.

Z drugiej strony do zrozumienia Henrika Malmgrena może nie były potrzebne piękne widoki. Wręcz przeciwnie: umiejętność wchodzenia w ciasne przestrzenie, we wszechświat tak skurczony, że aż inwersyjny. Może w taką studnię, o której opowiadała Ulrika Hearst? Nie ulega wątpliwości, że człowiekowi, który buduje swój świat z tak niewielu klocków, bardzo zależy, żeby wszystkie one zawsze leżały na swoim miejscu. Zniknięcie tak ważnego klocka jak brat albo żona stwarza poważne zagrożenie, iż cała budowla się zawali.

Czy to jest metoda na zrozumienie jego postępowania? Astor Nilsson mówił, że wśród filozofów jego nazwisko było dobrze znane. Wielcy filozofowie osiągnęli swój złoty wiek w okolicach pięćdziesiątki, a najczęściej po swojej śmierci - ale Henrik Malmgren był niezwykle obiecujący. Szczególnie gdy chodzi o logikę wielowartościową i systemy deduktywnej logiki matematycznej. Natomiast niewiele było wiadomo o jego cechach ludzkich, przynajmniej tak twierdził Astor Nilsson. Żenująco niewiele.

Ale żeby skonstruować aż taką historię? Dziewczynka, która utonęła, i jej babcia? I to imię. *The Root Of All Evil*.

I sposób, w jaki sam siebie opisywał oczami fikcyjnego mordercy.

Czy tutaj się odsłonił? - zastanawiał się Barbarotti. Czy tutaj Asunander wyczuł jakiś fałsz?

Nie wiedział. Barbarotti nic nie wyczuwał. Asunander nic więcej nie powiedział, ale wyglądało na to, że coś wyczuł, czytając dokument z Mousterlin po raz trzeci czy czwarty. Może właśnie wtedy

odkrył ten szczegół. Może powie coś więcej, jeśli nadarzy się kolejny wieczór whisky, chyba że rzeczywiście zamierzał zachować to dla siebie. Asunander był trudnym do rozgryzienia sukinsynem i może właśnie ktoś taki jest potrzebny, żeby zrozumieć innych trudnych do rozgryzienia sukinsynów? Jak Henrik Malmgren.

Wczorajszego wieczoru zdarzyło się coś osobliwego. Kiedy Barbarotti wyszedł ze sklepika obok swojego domu, spotkał na ulicy Axela Wallmana, który wyjątkowo był w jakiejś sprawie w mieście. Prawdopodobnie przeczytał nazwisko Henrika Malmgrena w jakiejś gazecie - jako ofiary, nie jako sprawcy - bowiem zatrzymał Barbarottiego i wspomniął o tym.

- Powiniście wyłowić z morza tego zabitego filozofa - oznajmił. - Taki facet jak on potrzebuje drewnianego kołka w serce, żeby naprawdę umrzeć.

Kiedy Barbarotti - nie zdradzając najświeższych wyników śledztwa - zapytał, co ma na myśli, Wallman rozłożył tylko ręce i powiedział, że kiedyś uczestniczył z Malmgrenem w jakimś seminarium i że tamten wówczas pokazał, z jak kiepskiej był ulepiony gliny.

Wallman nie wspomniął jednak o tym, że Malmgren pochodził z Hallandii, Barbarotti sam sobie o tym przypomniał.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił wzrok od fabryki butów Lundholm & söners i przerwał analizę.

- Jonnerblad kupił dwa torty kanapkowe - oznajmiła Backman.
- Będzie coś w rodzaju stypy z okazji zakończenia śledztwa.

- Idę - powiedział Barbarotti.

Jednak podczas jedzenia tortu kanapkowego nie nastąpiło istotne podsumowanie.

Zrobili je z Eva Backman we dwoje, przed pójściem do domu. Zwykle tak było.

- To czego nauczyliśmy się podczas tego śledztwa?

Zanim wypowiedziała te słowa, siedziała w fotelu dla gości w jego pokoju już dłuższą chwilę.

- Nie wiem - odparł Barbarotti, nie podnosząc wzroku znad papierów. - Ale zakładam, że skoro pytasz, to masz odpowiedź. Wyjaśnij mi zatem, czego się nauczyliśmy.

- Kiedy tak mówisz, odechciewa mi się mówić cokolwiek - skomentowała Backman. - Ale w porządku, widzę, że jednak cokolwiek do ciebie dociera.

Barbarotti spojrzał na nią.

- Przecież wiesz, że nigdy nie zapominam wypowiedzianych przez ciebie słów. Najmądrzejsze kawałki zapisuję w notatniku, który kupiłem specjalnie w tym celu.

- Dobrze - powiedziała Eva Backman. - Myślę tak: nawet jeśli stu gliniarzy pracuje przez sto dni i przeprowadza tysiąc przesłuchań, czasami to nie pomaga.

- Piękny wstęp - zauważył Barbarotti.

- Wiem, nie przerywaj. Kiedy ścigamy taki perwersyjny umysł, ważniejsze wydaje się to, żebyśmy dysponowali umysłem, który działa w podobny sposób. Który potrafi zrozumieć mordercę. Gdyby Asunander nie przeprowadził swojej analizy, tylko przyszedł normalnie do pracy, to byśmy tego nie rozwiązali.

Dokładnie o tym myślałem godzinę temu, stwierdził w duchu Barbarotti, ale nic nie powiedział.

- Chodzi ci o to, że potrzebujemy Asunandera, ponieważ ma perwersyjny umysł? - zapytał. - Czyż nie o tym był film *Milczenie owiec*? Następnym razem, kiedy będziemy sobie pić whisky, zapytam Asunandera, czy przypadkiem nie ma na imię Hannibal.

- Ma na imię Leif. Sprawdziłam to. Nie, chodzi mi o to, że są śledztwa, w których potrzebne są nieco inne działania niż najszerzej nawet zakrojone czynności śledcze.

- Siedzenie na balkonie i filozofowanie o zachodzie słońca? - zaproponował Barbarotti i pomyślał, że głos w jego głowie stał się

okropnie gderliwy, gdy chodzi o ten balkon.

- Gdybym miała taki balkon jak ty, rozwiązałabym ten przypadek w trzy dni - zapewniła Backman.

- Już niedługo będę się nim cieszył.

- Słucham? Dlaczego?

- Wydaje mi się... że rodzina mi się powiększy.

Eva Backman wyglądała przez chwilę, jakby nie rozumiała, o czym on mówi. Później uśmiechnęła się krzywo i podniosła się z fotela.

- Gratuluję. Ile was teraz będzie?

- Jeszcze nie wiem. Ale moje trzy pokoje nie wystarczą, tak czy inaczej.

- Ach tak. Opowiesz mi o swoim nowym życiu za trzy tygodnie. Teraz idę na urlop. Ale możliwe, że wpadnę na chwilę, żeby spojrzeć na Malmgrena.

- Koniecznie. No i udanego urlopu. No to co mam zapisać w notatniku?

- Nigdy nie ufaj pisarzowi - odparła Eva Backman. - Myślałam, że powiedziałam to z niezbędną wyrazistością.

42.

Wyszedł z gabinetu doktor Olltman tuż po piątej w piątkowe południe. Rozmawiali przez prawie trzy godziny, choć uzgodnione było tylko czterdzieści pięć minut. Nie ustalili terminu kolejnej wizyty, ale Barbarotti dostał pozwolenie, by dzwonić do niej, kiedy tylko pojawi się taka potrzeba. Kiedy jej dziękował za wizytę, korciło go, by powiedzieć, że chciałby, żeby jego żona była do niej podobna, ale się powstrzymał. Może Marianne jest taką właśnie kobietą?

Nie przypuszczał również, żeby pojawiła się nowa potrzeba.

Przez te wszystkie tygodnie coś się ze mną stało, pomyślał Gunnar Barbarotti, przechodząc obok kawiarni przy Skolgatan.

Nie wiadomo co, ale coś istotnego.

Zamknięcie sprawy miało oczywiście swoje znaczenie. Obaj bracia Malmgrenowie mieli przybyć na lotnisko Kastrup we wtorek; Crumley zapowiedział, że wyślą dokumenty z przyznaniem się do winy, więc cała reszta tej historii będzie już sprawą prokuratora, adwokatów i psychiatrów sądowych - ale szalony filozof uruchomił jakieś dziwne mechanizmy również w jego duszy, niewątpliwie.

Jakaś korespondencję, którą niełatwo ubrać w słowa, ale którą się czuło, która miała znaczenie. A dokładniej, co? Może to zwykła mentalna papka, ale chyba warto spróbować.

Możliwe, że chodzi o tak prostą rzecz jak to, że nie wolno nikomu odbierać życia tak, jak zrobił to Henrik Malmgren. Jeśli nasz byt jest grą, a pewnie jest - przynajmniej pod pewnymi względami - to człowiek musi przyjmować rolę pokornego pionka w grze, a nie gracza. To nie oznacza, że musi ulegać innym pionkom albo akceptować zasady, nakazy i głupstwa ograniczające jego własną egzystencję.

Innymi słowy, stara modlitwa AA. Rozmawiał o tym z Olltman, niedokładnie tymi słowami, które teraz tańczą w jego głowie, ale jednak; właśnie o to chodziło. Wolność i odpowiedzialność - te wyświechtane kamienie węgielne. Jaźń i świat zewnętrzny, przybliżenie i obecność, przede wszystkim to ostatnie; obecność w każdym momencie, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. W tym względzie miał duże zaniedbania. Wszedł do sklepu ICA przy Frejagatan i szybko odmówił modlitwę egzystencjalną.

Boże, dziękuję za pouczające lato. Dopilnuj, proszę, żebym pozostał w dobrej formie i żeby wszystkie sprawy się poukładały jak należy - wiesz, o czym myślę - a dostaniesz trzy punkty, masz to jak w banku. Poza tym istniejesz już ponad jedenaście miesięcy bez

przerwy, co trzeba uznać za twój rekord i świetną robotę, zważywszy na okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne, muszę to przyznać. Świeży makaron, oliwki z kaparami i parmezan chyba pasują do takiego dnia jak ten, jak sądzisz? To prawdziwie niebiańska kombinacja, ale tego chyba nie muszę ci tłumaczyć?

Bóg się nie odezwał, z wyjątkiem niskiego i nieartykułowanego mrużenia, jakie wydaje z siebie chłodziarka - ale brzmiało to na tyle przyjaźnie i bezpiecznie, że Barbarotti zaczął wypełniać swój koszyk z większą ufnością.

W połowie gotowania makaronu zadzwoniła Sara.

Nawet nie poprosiła, żeby to on zadzwonił. Od razu zaczęła płakać.

- Rany boskie, co się dzieje, Saro? Co się stało?

Sara łkała przez chwilę, a on kilkakrotnie powtarzał pytanie w nieco zmodyfikowanej formie.

Mój Boże, pomyślał. Zaszła w ciążę. W najlepszym razie. Ma AIDS, wiedziałem, że tak będzie. Jest umierająca.

- Tato, chciałabym wrócić do domu - powiedziała, gdy wreszcie mogła wydobyć z siebie coś więcej niż łkanie.

- Oczywiście. Wracaj. Wsiadaj do pierwszego samolotu jutro rano.

- Mogę?

- Co?

- Będę mogła znowu u ciebie mieszkać?

- Czyś ty zwariowała, Saro? Oczywiście, że możesz wrócić do domu. O niczym innym nie marzę.

- Dziękuję.

- No, ale co właściwie się stało, córeczko? Musisz mi powiedzieć. Jesteś chora?

Zacząła się śmiać. Żalorny, nieśmiały śmiech.

- Nie tato, nie jestem chora. Nie jestem też w ciąży, o ile miałeś zamiar teraz o to spytać. Ale nie chcę już tu być. Czy możemy poczekać z wyjaśnieniami, aż się zobaczymy?

- Naturalnie. Chcesz, żebym sprawdził rozkład lotów? Masz pieniądze na bilet?

- Nie, sama to zrobię. I wydaje mi się, że powinno mi wystarczyć na bilet. A jakbym miała za mało, to pożyczysz mi jeszcze raz?

- Jak najbardziej. Mam jeszcze sześćdziesiąt koron na koncie. Bierz się za pakowanie i zadzwoń do mnie, jak już będziesz wiedziała, kiedy przylatujesz.

- Dzięki tato. Przykro mi, że tak wyszło. Miało być inaczej.

- Olej to. *Shit happens*. A... poza tym tutaj też są pewne zmiany, ale pogadamy o tym, kiedy przyjedziesz.

- Zmiany? Jakie zmiany?

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez chwilę. Nad kosztami połączeń komórkowych z zagranicy, na przykład.

- Pogadamy o tym, kiedy już tu będziemy razem. O tym też.

Sara milczała przez chwilę, potem zaakceptowała jego propozycję i rozłączyli się.

Barbarotti zjadł pozostałą porcję makaronu. Cały czas się zastanawiał i liczył.

Siedmioro, wreszcie się doliczył. Będzie ich siedmioro. Marianne z dwójką dzieci, on z trójką.

Siedmioro? O Boże.

Posprzątał naczynia, wziął do ręki gazetę i wyszedł na balkon. Jak zwykle w piątki w gazecie był dodatek mieszkaniowy. Zaczął go przeglądać.

Siedmioro? Gdyby zebrali się na tym balkonie, każdy miałby pół metra kwadratowego. To niewiele, a do tego pewnie cały ten kram by się zawalił.

Dom, pomyślał. Będzie nam potrzebny dom.

Z siedmioma czy ośmioma pokojami.

Po około piętnastu sekundach znalazł go. Stary dom należący do pewnego hurtownika, na cyplu Kymmen. Dziesięć pokoi i kuchnia.

Potrzebny niewielki remont. Duży ogród i własny pomost. Półtora miliona, tylko.

Jak na zawołanie. Będzie można wykorzystać te sześćdziesiąt koron.

Wybrał numer, rozmawiał z dziesięć minut z miłym, starszym panem i został zaproszony na obejrzenie domu w niedzielę o pierwszej.

Właśnie się przeniósł do środka i usiadł do komputera przy biurku, żeby zobaczyć swoją przyszłość na zdjęciach, kiedy zadzwoniła Marianne.

Była radosna.

W gruncie rzeczy prawie zawsze była radosna, ale tym razem było to coś ekstra.

- Wiesz - powiedziała, śmiejąc się. - Rozprawiłam się tu z pewnymi sprawami.

- Aha? - Załatwiła malutkiego księżulka, pomyślał. - Na przykład z czym?

- Dzwoniłam do szpitala w Kymlinge. Od pierwszego listopada mogą mnie zatrudnić na umowę o pracę. Co ty na to?

- Od pierwszego listopada?

Wiedziałem. Nikt nie może ci się oprzeć.

- Ciii - powiedziała Marianne. - A Johan i Jenny nadal deklarują chęć przeprowadzki, więc w zasadzie dzwonię, żeby ci powiedzieć, że musimy się zdecydować.

- Przecież już to zrobiliśmy. Ale musimy znaleźć coś większego, niż ostatnio uzgadnialiśmy

- Większego? Dlaczego?

- Hmm - mruknął Gunnar Barbarotti. - Dzieją się różne zawirowania z moimi dziećmi. Wygląda na to, że... faktycznie cała trójka będzie ze mną mieszkać przez jakiś czas.

- Co takiego?

- No właśnie - stwierdził Gunnar Barbarotti i poczuł, że mu duszno. Albo może było to coś innego, jakaś nierozciągliwa, przeszkadzająca membrana, która blokowała wszystkie słowa pojawiające się w jego głowie. - Tak wyszło. - Tyle udało mu się z siebie wykrztusić. - Lars i Martin przyjeżdżają już jutro, a przed chwilą dzwoniła Sara z Londynu, że też wraca do domu, więc... no więc włącznie z twoimi dziećmi będzie nas siedmioro.

- Siedmioro?

- Tak, siedmioro. Ale w niedzielę jadę obejrzeć dom i...

Nastąpiła kilkusekundowa cisza. Podniósł wzrok i zobaczył stado kawk na jednym z wierzchołków przed Szkołą Katedralną.

Teraz, pomyślał inspektor Barbarotti. Teraz wszystko się rozstrzygnie. Cementarz, krowy, rzepak, las. Za trzy sekundy będę wiedział.